

KREW FERÓW

DOM

WIEDZMA

ADAM FABER



DOM  
WIEDŹM



**KREW FERÓW**

---

---

MIASTO SNÓW

---

---

DOM WIEDŹM

---

---

CÓRKA SMOKA



ADAM FABER  
DOM  
WIEDZYM



Copyright © Adam Faber, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Marketing i promocja: Łukasz Chmara, Marta Friedrich

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: FecitStudio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66517-86-8

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@weneedya.pl

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Callen Malloway przewracał się z boku na bok, bezskutecznie próbując zasnąć. Przeszkadzało mu nawet tykanie zegara, w ciemności głośniejsze i tak odmienne od nierównego bicia serca. Jeszcze do niedawna zegar, podobnie jak wszystkie inne sprzęty w domu, stał, cierpliwie czekając, aż na nowo uruchomi go dotyk magicznej ręki. Obudził się wraz z całą resztą Domu Czarownic, gdy wróciła tu utracona moc.

Magia była prawdziwa. Zdaniem Callena czasem nawet zbyt prawdziwa. Kilkukrotnie niemal przez nią zginął i to ona doprowadziła do największych paradoksów jego życia. Podążał ku niej, a zawracany z toru, szukał nowych ścieżek, ale to przed magią wciąż musiał uciekać, ścigany przez istoty, które uważał za swoją rodzinę.

Bez wątpienia miał w sobie dwie natury: ludzką, odziedziczoną po matce, i magiczną – spuściznę po ojcu należącym do rasy ferów, które nienawidziły ludzi. Obie te części nieustannie ze sobą walczyły, gnając chłopaka przez dwa światy.

Dom Czarownic również był paradoksem. Naprawdę należał dawniej do wiedźm, sióstr Malloway, przybranych ciotek Callena. Chłopak znał wszystkie zakamarki starego budynku, kochał zapach suszonych ziół w świątyni na strychu i kwiatów zaklętego ogrodu, wiedział, dokąd prowadziły liczne drzwi, których dom był pełen. A mimo to po powrocie z krainy ferów czuł się tu obco. Może dlatego, że wszystko się zmieniło, i to w zaledwie kilka tygodni, a przyczyna tych zmian spała tuż za ścianą.

Gdyby nie March Sky, Callen nigdy nie dotarłby do miejsca, w którym teraz się znajdował. Oczywiście sam do tego wszystkiego doprowadził, ale to dłoń March okazała się dość magiczna, by przypomnieć Domowi Wiedźm o drzemiącej w nim sile. Odkąd tylko dziewczyna pojawiła się w Finfolk, Callen czuł, że jest magiczna. Krótko mówiąc, była taka jak on, tyle że nie miała o tym pojęcia. A on chyba zbyt szybko jej to uświadomił, przez co sprawy wymknęły się spod kontroli. To z pomocą March przeniósł się do Aislingen, gdzie rzucono na nich przekleństwo snu. I tylko ta dziewczyna okazała się dość silna, by się z tego snu uwolnić. Imponowała mu – nie mógł powiedzieć, że nie. Była niezwykła w sposób, którego nie potrafił do końca określić. Jasne, miała w sobie magię. Ale to nie była zwykła magia, było w tym wszystkim... coś jeszcze, coś więcej. Czasem wydawało mu się, że March Sky jest bardziej ferinią niż człowiekiem.

Moce ferów były potężne i przerażające. Callen wolał nie wracać do zesłanych przez nie koszmarów. To one były zresztą jednym z powodów, dla których nie potrafił zasnąć. Ostatnio działało się tak wiele – z trudem mógł uwierzyć w to, że właśnie położył się spać po raz pierwszy od chwili, gdy March wyswobodziła go z klątwy. Bał się, że koszmary wrócą w snach, w wyobraźni słyszał metaliczny odgłos krat, schodził głęboko pod ziemię, w ciemność i duchotę, słyszał śmiech Strażnika Koszmarów, a dookoła migały kolorowe skrzydła.

Wybudzenie, do którego doprowadziła March, przyniosło mu ulgę na krótko. Znaleźli się w samym środku walki między ferami a ich więźniami. Królowa skrzydlatych, choć zdawałoby się, że pokonana, nie dała za wygraną. Podstępem czy nie, pozwoliła March zabrać klucz koszmarów, w którym kryły się największe lęki dziewczyny. Gdy klucz się stłukł, miasteczko Finfolk pograżyło się w mamiących zmysły czarach Wyrd, władczyni Miasta Snów.

Callen nie chciał myśleć o królowej. Nie bał się jej, a mimo to wzbudziła w nim pewien niepokój. Zawsze towarzyszyła jej nieprzyjemna aura. Choć otaczało ją piękno całego Aislingen, w głębi Wyrd była odrażająca, inaczej nigdy nie wymyśliłaby wizji, którymi potrafiła doprowadzać do szaleństwa.

Chłopak wiedział, że to tylko kwestia czasu, aż lęki opanują wszystkich mieszkańców. Być może w tej chwili, gdy większość z nich już spała, koszmary nabierały mocy, zaglądając w ich umysły i wyciągając z nich to, co najgorsze.

Zapominając o kocie śpiącym w nogach łóżka, Callen gwałtownie zrzucił z siebie kołdrę. Piątek na moment przestał chrapać, ale na szczęście się nie obudził. Chłopak wołał, kiedy kot spał – wtedy przynajmniej nie gadał.

Callen podszedł do okna, wiedziony dziwnym poczuciem, że skoro inni śpią, on powinien czuwać. Odsłonił starą, przykurzoną zasłonę, wpuszczając do pokoju nieco światła. Tylko księżyc rozświetlał szare, nocne niebo, na którym jeszcze kilka godzin temu tańczył mglisty potwór, obejmując zaklęciem Wyrd kolejne części miasteczka. Z pewnością dotarł również do rozciągającego się za Domem Czarownic lasu, by wywabić z niego stare demony.

Gdy Piątek głośniej zachrapał, Callen odskoczył od parapetu, jakby w obawie, że samą myślą przywoła istoty zamieszkujące las. Kot przeciągnął się, ale zamiast wrócić do snu, postawił uszy i przeciągle ziewnął.

– Ale miałem sen! – oświadczył.

– To nie był sen – odparł znudzonym głosem Callen.

– Co? – Oczywiście Piątka zaśniły w ciemności.

– *Byliśmy* w Aislingen, jeśli o to ci chodzi...

Kot parsknął.

– Wcale nie o tym mówię. Naprawdę miałem sen.

– Koszmar? – Callen poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.



– Bo ja wiem? Nie był wcale taki najgorszy.

– A co ci się śniło? – Chłopak na poważnie się zaciekał. Sny zawsze miały znaczenie, ale gdy wróciło się z Aislingen, Miasta Snów, stawały się właściwie kluczowe, by w pełni zrozumieć sytuację, w jakiej wszyscy się teraz znaleźli.

– Apokalipsa – odparł Piątek.

Callen nie znosił jego skłonności do żartów nawet w takich chwilach.

– No – stwierdził wreszcie. – Apokalipsa nie byłaby znowu taka zła. Na pewno mielibyśmy po niej trochę spokoju.

– Nie, nie, to zupełnie nie było tak! – zaprotestował kot, zeskakując z łóżka. Rozległ się cichy odgłos lepkich łapek uderzających o podłogę, po czym Piątek wskoczył na parapet. Wpatrywał się w ciemne niebo niczym wilk. – Nie było żadnego końca świata. To znaczy nie tak jak w filmach o zombie albo w *Wojnie światów*, albo w tym czarno-białym, który widzieliśmy razem z Cleto, w tym... no wiesz...

– Do rzeczy – ponaglił go chłopak.

Kot prychnął z oburzeniem, ale ciągnął:

– No wiesz, było ciemno, zupełnie jak teraz, a może jeszcze ciemniej. I nagle... *pam-pam-pam* – zaczął wyśpiewywać. – Rozległ się dzwon. No, jakoś tak to brzmiało. Zadudnił tak trzy razy, a towarzyszył temu podmuch wiatru, silnego, zimnego... I wszyscy zastygli. Nie żebym ich widział, ale po prostu to wiem. Wszyscy na całym świecie zastygli, jakby na coś czekali. Czekali tak i czekali...

– No i? – zniecierpliwił się Callen.

– Chwilę, przecież buduję atmosferę, nie? – warknął kot. Milczał, przez dłuższy czas wpatrując się w księżyc. Sprawiał wrażenie, jakby faktycznie się bał.

– Więc co stało się potem? – spytał spokojniej Callen.

– Chwilę, zdenerwowałeś mnie. Muszę ochłonać.

Piątek dał sobie jeszcze moment, po czym mówił dalej:

– Kiedy już zapadła noc... Cóż, właściwie nic wielkiego się nie wydarzyło, tylko obudził się jeździec apokalipsy i zaczął wszystkich zabijać. Wyglądał jak prawdziwa bestia. Zamiast stóp miał ciężkie kopyta. Jak się poruszał, ich huk niósł się po całym świecie. Jęzor miał długi jak krowa, a łeb pokryty czarną sierścią, trochę jak ja, tyle że był ode mnie dużo brzydszy. A przechadzał się tuż przed naszym płotem. Przybył z lasu. No i co ty na to?

– Nic – odparł Callen, rozumiejąc, że nie tego oczekiwał kot.

– Myślałem najpierw, że fery dostały ci się do głowy i w niej namieszały, ale to mi wygląda na zwyczajne majaki.

– Naprawdę nie widzisz w tym niczego więcej? – zdumiał się kot.

– A powinienem?

Piątek westchnął.

– Kopyta, długi jęzor, czarna sierść...

Callen zastanawiał się przez chwilę, po czym, jakby olśniony, wydobył z pamięci jedną z opowieści sióstr Malloway.

– Ach tak – powiedział bez zbędnego przejęcia. – Bestia z lasu. Więc mamy wytłumaczenie. Wróciłeś tu, położyłeś się w starym łóżku i naszło cię na wspomnianie starych historyjek.

– Zobaczymy... zobaczymy...

Coś w tonie kota sprawiło, że Callen nagle się zdenerwował.

– Nie wkurzaj mnie, okay?! – zawołał. – Zachowujesz się, jakby mało ci było kłopotów!

Piątek, zamachnąwszy się ogonem tak, by smagnąć nim chłopaka po twarzy, zeskoczył z parapetu i ruszył w stronę łóżka.

– Mam większe problemy od twoich – oznajmił, wciąż wysoko unosząc ogon, jakby chciał dać Callenowi do zrozumienia, gdzie go ma. – Przypominam ci, że straciłem w Aislingen przedostatnie życie.

Wtulił łepkę w poduszkę, ale chyba nie miał już zamiaru spać.

– W najgorszej sytuacji i tak jest March – zauważył Callen. – Przez nas weszła do świata magii w najbardziej beznadziejny sposób z możliwych, w dodatku straciła kontakt z matką i przyjaciółmi. No i ścigają ją za morderstwo.

Nie dodał, że chodziło o zamordowanie *jego*.

– Przez nas? – Piątek znów poderwał się z łóżka. – Posłuchaj, panie Krótka Pamięć. Nie obwiniaj mnie o swój idiotyczny plan. *Sam* wszystko załatwiłbym inaczej. Tak pogmatwałeś sprawy, że nawet ja się pogubiłem.

– Ciekawe, jak ty byś to załatwił – prychnął Callen.

– Przede wszystkim od początku mówiłbym jej prawdę. A ty kłamałeś jak najęty.

Callen nic na to nie odpowiedział, bo Piątek miał rację. Rzeczywiście, kłamstw było za dużo. No, może nie kłamstw, ale półprawd. Tyle że chłopak nie miał innego wyjścia – musiał nieco przeinaczyć fakty. Niby co miał zrobić? Powiedzieć March od razu, że w Aislingen mieli go za przestępcę, choć sobie na to nie zasłużył? Przecież by mu nie uwierzyła. I tak cudem było to, że zgodziła się wspólnie z nim rzucić czary.

– Wszystko jej powiem – oświadczył urażony.

– Tylko bez łgarstw – ostrzegł kot. – Przypilnuję cię.

– A ja ciebie. Kto jej wmówił, że jest kotem od urodzenia?

W odpowiedzi Piątek tylko machnął ogonem.

– Mniejsza z tym – dodał Callen. – Jutro wszystkiego się dowie. Na razie niech śpi.

– Niech śpi – zgodził się kot. – I oby nie nawiedziły jej nocą fery. Już i tak się nieźle wpakowaliśmy.



## ROZDZIAŁ DRUGI

March Sky nie byłaby zadowolona, gdyby ktoś jej powiedział, że to, co się jej ostatnio przytrafiło, było zwykłym snem. Zwykłe sny nie istniały. W przeciągu ostatnich tygodni nauczyła się, że koszmary bywają o wiele bardziej niebezpieczne od rzeczywistości i piekielnie trudno z nimi walczyć. Dlatego gdy obudziły ją dochodzące z dołu trzaski, ucieszyła się, że już nie śpi. Jeśli cokolwiek jej się przyśniło, to na szczęście już tego nie pamiętała.

Nie potrzebowała ani chwili, by zorientować się w nowej sytuacji. Od razu po przebudzeniu przypomniawszy sobie, gdzie jest i co się wydarzyło. Zamiast tracić czas na rozmyślenia, zerwała się z łóżka. Wczoraj mogła kłaść się przygnębiona, za to dziś obchodziło ją jedynie rozwiązanie problemów, a to musiała wydusić z dwóch osób, które prowadziły właśnie małą wojnę w kuchni.

– Prosiłem, żebyś nie łaził po stole jak jakaś małpa! – krzyknął Callen. – To była ulubiona zastawa Cleto!

– Ja za to nigdy jej nie lubiłem – oświadczył Piątek. – Możemy jeść z normalnych talerzy.

– Ty nie dostaniesz żadnego. Nie umiesz jeść jak człowiek, to jedz z kociej miski!

– Dzień dobry? – bardziej spytała, niż powiedziała March. Zdawała sobie przy tym sprawę z tego, że sama wygląda jak kompletne zaprzeczenie dobrego dnia. Włosy miała potargane, a za długa halka, którą musiała pożyczyć z szafy Irmy, wisiała na niej niczym wyświechtana płachta.

Piątek i Callen uspokoili się jak na zawołanie.

– Hej – powiedział chłopak. – Właśnie przygotowujemy... To znaczy *ja* przygotowuję śniadanie.

Stał przy stole zasypanym mąką, trzymając w ręku dymiącą patelnię, a w pasie miał przewiązany fartuch ozdobiony czarownicami na miotłach. Oczywiście fartuch był za długi. Większość rzeczy zaprojektowanych dla ludzi była za wielka dla Callena i March. Jako ferianie, pół ludzie, pół fery, mieli mniej niż półtora metra wzrostu.

– Super – mruknęła March, obrzucając go wzrokiem od stóp do głów. Minę miała kwaśną. – A co to jest? – Wskazała na patelnię.

– Naleśniki – odparł Callen, patrząc na danie. – No, prawie, bo mamy tu tylko mąkę, cukier i wodę. Myślałem, że coś z tego wyjdzie...

March nachyliła się, by powąchać przypaloną maź.

– Mąkę? – spytała. – To może być trujące. A na pewno przeterminowane.

– Nie, mąka wcale nie leżała tu długo – oznajmił Piątek. – Jakieś czterdzieści lat... Ale bez obaw! Irma i Cleto nakładały na jedzenie czary konserwujące, a z tej mąki robiły nawet maseczki ujędrniające twarz i...

Jedno spojrzenie March wystarczyło, by zamilkł.

– Radzę wam to wywalić – powiedziała, nie przejmując się tym, że rani uczucia Callena. Na pewno się starał, co nie miało znaczenia, skoro była na niego wściekła. Najwyraźniej to wyczuł, bo odłożył patelnię i oświadczył:

– Masz rację. W sumie możemy zjeść coś innego. W ogrodzie zaowocowały już chyba jakieś krzaki.

– Jest lipiec – westchnął Piątek.

– Przecież mówię, że *jakieś*, tak? – warknął Callen. – Musimy się zadowolić tym, co mamy, póki nie znajdziemy wyjścia z sytuacji. Na razie nie wolno nam wychodzić poza ogród. On jest granicą, do której działają czary ochronne. Potem możemy

ewentualnie przenieść się do Jaaru, żeby znaleźć coś do żarcia.

– Albo stać się dla kogoś żarciem – dodał kot. – Co filozoficznie nie stanowi aż tak wielkiej różnicy.

March nie miała ochoty teraz słuchać o kolejnych alternatywnych światach. Jeden stanowczo wystarczał.

– Wyjście z sytuacji – powiedziała, unosząc dłonie. – Właśnie to mnie teraz obchodzi.

Nie była głodna. Chciała tylko, o ile to możliwe, wrócić do normalności, chociaż takiej, na jaką mogła sobie pozwolić po tym, co zobaczyła w Mieście Snów. Trzeba było zacząć od pozbycia się skutków klątwy Wyrd.

– Ale na początek powiecie mi o sobie wszystko, co dotąd ukrywaliście – zastrzegła.

– Chyba czytasz nam w myślach – odparł Piątek – bo właśnie chcieliśmy ci się trochę pozwierać.

– Nie czytam w niczyich myślach. Po prostu chyba rozumiecie, że lepiej mnie nie wkurzać, zwłaszcza teraz, gdy już wiem, że jestem czarownicą.



Callen odsłonił franki w salonie, wpuszczając do środka ostre, czerwone światło. Ogród za zakurzonymi szybami wyglądał fantastycznie, zupełnie jakby nie dosięgnął go czar Wyrd, jakby żadna ciemna magia nie miała nad nim władzy.

– Co, jeśli ktoś zobaczy nas przez okno? – zaniepokoiła się March, zasłaniając oczy przed rażącym słońcem.

– Tym się nie martw – odparł Piątek, który usadowił się już na najwygodniejszym fotelu. – Czar chroni dom przed ciekawskimi, zawsze chronił.

– Co to właściwie za czar? Kto go rzucił?

– To stare zaklęcie – powiedział Callen. – Czarownice zwykle zabezpieczają swoje domy ochronnymi urokami. Irma i Cleto rzuciły je, by bronić się przed ferami, kiedy ja... Kiedy zrobiłem pewną głupotę.

March przypomniała sobie o wizji, którą miała po rozbiciu klucza koszmarów Piątka – co zrobiła zresztą na jego własne życzenie. Wśród zmieniających się obrazów zobaczyła dwie czarownice nakładające czar.

– Pewną głupotę? – Spojrzała na chłopaka. – Chciałeś doprowadzić do rebelii w Aislingen, zgadza się? Nazywajmy rzeczy po imieniu.

– No... może faktycznie przesadziłem. – Callen się zaczerwienił. Zważywszy na jego zwykle bladą twarz, wyglądało to niemal komicznie. – Ale idee miałem słuszne.

– Och, my wszyscy mamy słuszne idee – westchnął Piątek – tylko świat ich nie rozumie.

March tak gwałtownie odwróciła się w jego stronę, że aż podskoczył na fotelu.

– Właśnie, powinnam zacząć od ciebie – uznała. – Widziałam twoje wspomnienia, ale nie wszystko zrozumiałam. Kim właściwie jesteś, Ove?

Użyła jego imienia z czasów, gdy jeszcze nie był kotem. Odkrycie jego przeszłości, choć szokujące, wcale nie rozjaśniło spraw, a tylko je pogmatwało. March wiedziała, że Ove został skazany na życie w skórze zwierzęcia, życie, w którym miał dziewięć razy umrzeć. Ale co takiego zrobił? Tego do końca nie rozumiała.

– Mam zacząć od samego początku? – spytał kot.

– Tak! – zawołała od razu March, przekrzykując błagalne „Proszę, nie!” Callena.

Piątek wziął sobie jej polecenie do serca.

– Pochodzę z bardzo szanowanego norweskiego rodu wiedźm Heksenson, *bardzo* szanowanego. Nasze początki sięgają



pierwszego wieku, a moja prapraprapra... i tak dalej... babka Gutrig potrafiła czytać runy od prawej do lewej, odwrotnie, a nawet od góry do dołu. Kiedy rozłożyła kości, upadło Cesarstwo Rzymskie. Po śmierci praprapra... babka Gutrig została walkirią. Podobno zawsze lubiła patrzeć, jak faceci leją się po mordach.

Callen posłał March znaczące spojrzenie, ale kot dopiero zaczął się rozkręcać.

– I żyliśmy sobie tak przez jedno stulecie, drugie, trzecie, czwarte...

– Zaraz – przerwała mu March w obawie, że będzie tak liczył do dwudziestki. – Ale chyba nie urodziłeś się *wtedy*, prawda? To znaczy chyba wiemy nie mogą tak długo żyć?

Przeczuwając, że kot odpowie pokrętnie, spojrzała pytająco na Callena, który wyjaśnił:

– Długowieczność można osiągnąć na różne sposoby, ale dla ludzi jest to nienaturalne. On – wskazał na Piątka – nie jest długowieczny. Choć zbyt naturalny też nie.

– Urodziłem się w tysiąc dziewięćset siódmym roku – odparł kot z taką dumą, jakby w tej dacie kryło się coś jeszcze.

– Więc może łaskawie przeniesiesz się o te dwadzieścia lat do przodu, kiedy poznałeś Irmę – poprosiła March – bo chyba nic interesującego się do tego czasu nie wydarzyło?

Piątek się obruszył.

– Nie uważam swojego życia za nudne – oświadczył. – Ale skoro nalegasz...

Poprawił się na poduszce i utkwiał rozmarzony wzrok w oknie.

– Miłość – westchnął. – Słodka miłość. Poznałem Irmę w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym. Wtedy Londyn był stolicą wszystkiego, co magiczne. Istniało tam Towarzystwo Alchemiczne, a my dwoje byliśmy szalenie zainteresowani tymi sprawami.

– Tak dla jasności – wtrąciła March. – Alchemia to jakaś magiczna forma chemii, zamiana metalu w złoto i takie tam?

– Takie tam? – powtórzył urażony kot. – Od wieków alchemicy mają dwa podstawowe cele: jednym jest faktycznie zamiana *ołowiu* w złoto. Ale to rzecz drugorzędna. Przede wszystkim zadaniem każdego alchemika jest dążenie do wyższego celu, do stworzenia kryształu alchemików.

– To przecież bajka... no nie?

– Nie do końca – oznajmił Callen. – Co prawda nikomu jeszcze nie udało się go stworzyć, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że w końcu ktoś odniesie sukces.

– I do czego taki kryształ miałby służyć?

– Och, w większości możemy na ten temat tylko gdybać – westchnął Piątek. – Jedną z jego mocy byłaby, jak wspomniałaś, zamiana metali ciężkich w szlachetne. To zrobiłoby z posiadacza kryształu niezłego bogacza, największego w świecie. Ale ponieważ tworzenie Antimonium, czyli właśnie kamienia, kryształu alchemików, opiera się na czystej magii, właściwości klejnotu są praktycznie niezmierzone. Możliwe nawet, że potrafi on pomóc w przekroczeniu bariery życia i śmierci.

– Słyszałaś kiedyś o kamieniu Danu? – spytał Callen i od razu się zreflektował. – Nie, jasne, że nie. W każdym razie istnieje pewna legenda... No, choć dziś właściwie wszyscy już wiedzą, że to nie tylko legenda. W każdym razie to historia o tym, jak Matka Duchów, istota, którą fery nazywają też Danu lub Nią Samą, jeszcze przed powstaniem świata stworzyła kamień zawierający w sobie moce wszystkich żywiołów. Kryształ alchemików to w pewnym sensie kopia tamtego kamienia. Jeśli komuś, tak jak Danu, uda się stworzyć coś podobnego, to stanie się... no, tak jakby wszechpotężny.

– Chodzi o to – uzupełnił Piątek – że odtwarzając akt tak potężnej istoty jak Ona Sama, można osiąść moce równe jej.

– I właśnie to chcieliście osiąść ty i Irma? – March nie wierzyła w tę historię. Słyszała już o Niej Samej i była przekonana, że to wiedźmiarska wersja Boga. W którego nie wierzyła. Albo który był jej obojętny. Magia to jedna sprawa, można było ją zobaczyć, wyczuć, ale wszelkie te mity i opowiastki religijne... Nie, po prostu nie.

Patrzyła teraz na Piątka niemal z wyrzutem.

– Chcieliście przejąć władzę nad światem czy jak? – spytała.

– No wiesz, o co mnie posądzasz?! – prychnął. – Nam zależało tylko na bogactwie, co zresztą ciągle wyrzucała nam Cleto. Przyznaliśmy jej rację dopiero, kiedy wpadliśmy w łapy międzynarodowców.

– Organizacji zrzeszającej wiedźmy z całego świata – wyjaśnił Callen.

– Dlaczego? – March zmarszczyła czoło.

– Poszło o pewną figurę, tak zwanego pierzastego węża – odparł kot. – Aztekowie nazywali go Quetzalcoatlem. Wiadomo, że jeśli ktokolwiek znał się na złocie, to właśnie Aztekowie. W Towarzystwie Alchemicznym sporo się o nich mówiło. Wiedźmy i magowie z naszej organizacji wierzyli, że azteccy kapłani znali sekret zamiany metali ciężkich w złoto. Konkwistadorzy zniszczyli większość ich wiedzy, ale dzięki magii pewne tajemnice udało się zachować. Przetrwała również legenda o pierzastym wężu.

– Bo to znów taka legenda nie legenda – przejął opowiadanie Callen. – W starożytności między mieszkańcami Ziemi i Jaaru istniało o wiele więcej powiązań. Aztecki mit to prawdopodobnie echo opowieści ferów o Neshlirze.

– Czym? – To było dopiero drugie pokręcone imię, które usłyszała dziś March, a już była przerażona, że się zgubi.

– Fery otrzymały kiedyś od Niej Samej jajo, z którego wykuło się coś, co przypominało połączenie ptaka z wężem. Nazwano go Neshlirem i stał się obrońcą skrzydlatych.

– Pewnie nie był zbyt miły... – uznała March.

– To nie do końca tak – odparł Callen. – Jak już wiesz, istnieje więcej niż jedna kraina ferów. Aislingen to nie wszystko. Pozostałe dwie, Tir-na-Nog i Elphame, są w porządku.

– Pewnie sobie myślisz, że wszystkie fery to dupki – wtrącił kot – i ja się z tobą zgadzam, ale poprawność polityczna każe mi poprzeć Callena. Elphamianie i Tirnanie są okay, zwłaszcza odkąd ci drudzy coraz rzadziej mordują ludzi.

Callen zgromił go wzrokiem.

– Wróćmy do tematu – poprosiła March. – Skończyłeś na tym upierzonym...

– Pierzastym wężu, tak. No więc uważa się, że ta istota chce ludzkiego dobra. Podobnie jak Neshlir jest obrońcą ferów, tak jego ziemską formę ma być obrońcą ludzi. Alchemicy, może trochę pokrętnie, uważali, że skoro jajo pół ptaka, pół węża zostało stworzone przez Matkę Duchów, to posążek pierzastego węża ukryty w azteckiej piramidzie powinien zawierać cząstkę pierwotnej mocy. No bo wiesz, człowiek znów stworzył coś tak jak Ona Sama.

– Faktycznie – westchnęła March. – Strasznie to pokręcone.

– Dla alchemików nie – uciał kot. – Przynajmniej my z Irmą w to wierzyliśmy. Figurka miała się kryć pod świątynią w mieście Mixcoatl. To jedno z zaginionych miast dla ludzi, *ostatnie miejsce*, ale czarownice mogą się tam dostawać. Azteccy kapłani zostawili mapę, która prowadziła do skarbu, a Irmie udało się ją odczytać.

– A co na to Cleto? – spytał Callen z takim zaciekawieniem, jakby dotąd nie słyszał tej historii.

– O niczym nie wiedziała. Chyba nie sądzisz, że zaplanowalibyśmy coś takiego pod jej nosem? I tak narzekała, że chcemy wzbogacić się za pomocą magii i że to „niegodne wiedźm”. Irma była zupełnie inna. Nie miała ochoty uprawiać wiejskiego czarostwa, zawsze była bardzo ambitna i...

Oczy Piątka rozbłyły na wspomnienie dawnej ukochanej. March bezlitośnie przerwała ten podniosły moment.

– Co było dalej? Wykradliście tę figurkę?

– Prawie. Nie przypuszczaliśmy, że piramida będzie tak silnie chroniona przez międzynarodowców. Jak tylko dotknęliśmy pierzastego węża, nasze moce zostały zablokowane. Sądziliśmy najpierw, że to stara aztecka klątwa, ale szybko zjawily się te szuje z WOPZ-u.

– Z czego?

– Wydział Ochrony Przedmiotów Zaklętych – wyjaśnił Piątek z obrzydzeniem. – Zabrali nam figurkę i oskarżyli o kradzież. Dacie wiarę, że wszyscy przedstawiciele Społeczności zebrali się, żeby nas osądzić?

– Jasne, że damy – parsknął Callen. – To znaczy ja dam. To tak, jakby ktoś chciał okraść piramidę w Egipcie.

– Bez przesady. Figurka była niczyja. Poza tym, odkrywając jej zagadkę, działalibyśmy dla dobra całej magicznej społeczności. A sam proces był bezsensowny, bo każdy kraj ma inne regulacje dotyczące nadużyć w czarach, niektóre wcale ich wtedy nie miały. Kilku przywódców, idiotów, domagało się dla nas kary śmierci. W końcu uznano, że musi nas ukarać jedynie szkocka Rada.

March wiedziała, co stało się potem. Widziała, jak Ove zmieniał się w czarnego kota. Ale jak ukarano Irme?

– Objęto ją aresztem domowym – oznajmił Piątek, gdy o to zapytała. – Nie zabroniono się nam widywać, wręcz przeciwnie, zamieszkałem w domu sióstr. Tyle że mieliśmy żyć osobno, mimo że razem. Miałem nigdy nie kontaktować się

z ludźmi, co udało mi się obejść, gdy Cleto znalazła sposób, żebym zaczął mówić. Nie wolno mi było jednak na nowo stać się człowiekiem. Żyłem więc jako kot, a Irma...

Urwał nagle, jakby czymś się zadławił. Odwrócił głowę w stronę drzwi i dokończył:

– Umarła.

March uznała to za koniec tematu. Pamiętała, jak odeszła Irma – w szpitalu, w towarzystwie czarnego kota. O nic więcej nie musiała dopytywać Piątka. Ale opowieść nie była skończona. Teraz przyszła kolej na Callena.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Przez chwilę March miała wrażenie, że Callen spróbuje się wykrecić, zupełnie jakby to wnerwiające mijanie się z prawdą weszło mu w nawyk. Wreszcie spuścił głowę i czerwony na twarzy powiedział:

– Wiesz, że nigdy cię nie okłamałem.

– Po prostu nie wyjawiałeś całej prawdy, wiem – odparła. – Dla niektórych to nie kłamstwo, dla mnie nawet coś gorszego.

Utkwiła w nim świdrujące spojrzenie.

– Opowiem ci wszystko jeszcze raz – zaproponował cicho. – Tym razem niczego nie pominę.

– Oby.

– No właśnie – dodał Piątek.

Callen westchnął i zebrał się w sobie.

– Nie wiem, jak poznali się moi rodzice. Moją matkę, w ciąży i z wysoką gorączką, znalazła w finfolkskim lesie Cleto. O tym więcej może ci powiedzieć Piątek.

March powędrowała wzrokiem w stronę kota.

– Nie ma tu co opowiadać – stwierdził. – Nie widziałem tego. Cleto codziennie wychodziła do lasu, miała tam swoje sprawy. Finfolk to jedno z ostatnich miejsc magicznych w Szkocji, więc można tam natrafić na magicznego owada czy roślinę. Któregoś dnia Cleto przyprowadziła ze sobą Angelinę. Biedaczka prawie zaczęła rodzić przed domem. I powtarzała tylko: „Emerald, Emerald”. Uznaliśmy, że tak chciała dać na imię dziecku, ale szczerze mówiąc, ciężko było się z nią dogadać. Ona była... była...

Zerknął ukradkiem na milczącego Callena.



– Oszalała – wycedził ten, zaciskając pięści. Uporczywie wpatrywał się w podłogę. – Fery doprowadziły ją do szaleństwa.

Widząc, że chłopak zaczął coraz mocniej się denerwować, March zadała bardziej rzeczowe pytanie:

– Kiedy właściwie się urodziłeś? Pamiętam twoje koszmary. To było w...

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Fery dysponują...

– Trzema darami, wiem – przerwała mu. – Snem, młodością i magią. Alogos mi powiedział.

Callen nagle uniósł na nią wzrok.

– Nie ufałbym temu jednorożcowi.

– Gdyby nie on, nadal byśmy siedzieli w Aislingen – odparła spokojnie March. – Albo nie żyli. Poza tym wcale nie ufam Alogosowi, nie bardziej niż wam.

Jednorożec też jej nie okłamał – też zwyczajnie przemilczał ważną część prawdy. Tyle że to dzięki niemu zdołała odkryć swoją moc.

– Mojej matki nie udało się uratować – podjął znów Callen, choć sprawiało mu to wyraźną trudność. – Zmarła w szpitalu dla obłąkanych i opętanych wiedźm w Anglii. Miałem wtedy sześć lat.

– Cleto zabrała go na pogrzeb, bo nalegałem – wtrącił Piątek. – Uznałem, że powinien w nim uczestniczyć.

– Można by stwierdzić, że nie byłem bardzo zżyty z matką – powiedział chłopak. – Ale mimo tego, że jej nie widywałem, zawsze istniała między nami pewna więź. To matka łączyła mnie ze światem czarownic, no i z ojcem. Na pogrzebie poczułem to bardzo wyraźnie.

– Wińcie za to mnie – westchnął kot.

– Wińcie? – uniósł się Callen. – Gdyby nie ten pogrzeb, być może nigdy bym się nie dowiedział, kim jestem!

– I do czego cię to doprowadziło? – prychnął Piątek.

– Do prawdy.

– Wielka mi rzecz, *prawda*. Posłuchaj mnie dobrze; oboje mnie posłuchajcie. Ludzie ciągle czegoś poszukują. Ja szukałem magicznej mocy i spójrzcie, co mi z niej zostało. Prawda to tylko głupi frazes. Wolałbym nigdy się nie wychylać i żyć teraz z Irmą. – Zawahał się. – No, albo nie żyć z Irmą, bo pewnie byłbym już martwy.

Callen patrzył na niego niemal z pogardą, ale nie odpowiedział. Zamiast tego wrócił do swojej historii.

– Zacząłem podświadomie wyczuwać, że wokół mojej matki wytworzyła się jakaś tajemnica. Próbowałem jej dociekać, ale ciotki, to znaczy siostry Malloway, mnie zbywały. Za każdym razem, gdy pytałem, mówiły, że niewiele wiedzą o jej przeszłości.

– Bo taka była prawda – zaprotestował Piątek. – Pojawiła się zniecka i miała przy sobie tylko tę kartkę z imieniem.

– Kartkę z imieniem? – zaciekawiła się March.

– No tak. Wyglądało na to, że sama nie wiedziała, jak się nazywa. Trzymała jakiś świstek, na którym napisano: *Angelina Callen*. Najpierw myśleliśmy, że poszukuje kogoś o tym imieniu, ale w końcu wyjawiała, że sama się tak nazywa. Czy taka była prawda? Nie wiedzieliśmy, bo rzadko mówiła z sensem. Wyobraź sobie, jak się zdziwiliśmy, kiedy po kilku latach wyszło na jaw, że Callen jest półferem.

– To nie zauważyliście tego od razu? – zdumiała się March.

Callen pokręcił głową.

– Badali mnie, bo nie rozwijałem się tak jak inne dzieci. Ferianie rzadko odróżniają się od ludzi czymś więcej niż niskim wzrostem. Ciotki poznały prawdę, gdy miałem trzy lata, ale nie wyznały mi jej od razu. Z niego – wystrzelił palcem w stronę kota – udało mi się to w końcu wyciągnąć.

– Podstępem – mruknął Piątek.

– W jaki sposób? – spytała March.

– Sny. Jak wiesz, mam zdolność przenikania do cudzych marzeń sennych.

– O tak, coś o tym wiem...

– No więc któregoś popołudnia Piątek spał i mruzczał coś na temat Angeliny. Dość wcześnie odkryłem w sobie talent do podróżowania astralnego, a dzięki zdolnościom odziedziczonym po ojcu bez trudu wniknąłem w umysł Piątka. Tym, co zobaczyłem, były jego wspomnienia.

– Mały drań łąził mi po głowie – warknął kot. – Za moich czasów złoiliby go za to kosturem.

Callen, zupełnie się nie przejmując tymi słowami, ciągnął teraz żywiej:

– Nie mógł się dłużej wykręcać i wszystko mi powiedział. Miałem dwanaście lat, a przez trzy kolejne planowałem, jak przedostać się do Aislingen. Stan mojej matki jasno wskazywał, że to stamtąd wróciła. Oczywiście dla żadnej z nas nie jest tajemnicą, że portal do Miasta Snów znajduje się w Finfolk, w drzewie, które rośnie na środku parku. Fery je przeklęły, jednak nie były w stanie całkiem zmienić jego natury. Właśnie dlatego raz w roku, tuż przed tym, jak kwiaty mają zmienić się w owoce, czego nigdy nie robią, drzewo staje się portalem. Za pierwszym razem, gdy próbowałem z niego skorzystać, zaskoczył mnie strażnik parku.

– Ten facet, który...

– Nie. Strażnik parku to duch tego miejsca. Dałem się nabrać na głupią sztuczkę, iluzję. W kolejnym roku nie byłem już równie naiwny. Wreszcie, gdy miałem piętnaście lat, udało mi się dostać do Miasta Snów. Fery powitały mnie z wielką radością i od razu zaprowadziły do Ametystowego Snu, pałacu Wyrd.

– Więc wtedy nie chciały cię jeszcze zabić?

Callen się roześmiał.

– One zawsze wolą zabijać, tyle że Społeczność im na to nie pozwala. W każdym razie fery opowiedziały mi historię matki, oczywiście nieprawdziwą. Ale uwierzyłem w nią, musiałem w coś uwierzyć, inaczej moja przeszłość nie miałaby sensu.

– Poznałeś swojego ojca?

– Nie. Za związek z moją matką został wygnany. No, przynajmniej tak sędzę, choć Lei i Leila mówili...

Urwał. March dokładnie pamiętała, co mówili błękitny fer i różowa ferini. „Twój ojciec zdechł zaraz po tym, jak cię spłodził”.

– Niewiele wiedziałem o Mieście Snów – zaczął znów Callen – bo nie przyznałem się siostrze Malloway, że poznałem prawdę, a w książkach, które mogłem zdobyć, nie znalazłem większości informacji. Fery twierdziły, że nie znają tożsamości mojego ojca i że prawdopodobnie się mnie wyrzekł, a matkę porzucił. „Musimy ci to wynagrodzić”. – Callen zmienił barwę głosu. – Tak mi powiedziała Wyrd. Zamieszkałem w Domu Gości, a ona obiecała, że nauczy mnie magii. I oczywiście codziennie piłem eliksir.

March wiedziała, o jaki eliksir chodzi. Sama go piła.

– Dałem się omamić ich czarom. Faktycznie nauczali mnie magii, ale nigdy nie pozwolili poznać prawdziwych tajemnic. Utrzymywali mnie w stanie błękitnego snu i młodości przez... – Urwał, by przełknąć ślinę, po czym dokończył: – Niemal czterdzieści lat.

– A w tym czasie tutaj tak wiele się wydarzyło – wtrącił Piątek, patrząc na niego z wyrzutem. – Ciebie nie było, zostawiłeś nas.

– Przecież nie wiedziałem, że rzucą na mnie czar! – zaprotestował chłopak.

– Mogłeś się domyślić! – Kot zeskokczył z fotela i syknął ostrzegawczo. – Mogłeś nam powiedzieć o swoich planach! Byliśmy rodziną!

– Ale nie prawdziwą! Chciałem odkryć swoje...

– Nie *prawdziwą!* – prychnął Piątek. – Masz siedemdziesiątkę na karku, a jesteś głupszy od dzieciaka! Co to jest *prawdziwa* rodzina? To kwestia krwi czy więzi?

– W moim przypadku to krew – oznajmił chłodno Callen. – Krew ferów, moje dziedzictwo.

Piątek wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, po czym obrócił się w stronę March.

– Widzisz, jaki z niego dureń?

Dziewczyna była zdumiona, że ich emocje wybuchły właśnie teraz. Przecież powinni mieć już całą masę okazji, by je przepracować.

– Co stało się tutaj, w Domu Czarownic? – zapytała. – Oczywiście wiem o wściekłym tłumie...

– Tak, mieszkańcy nas zaatakowali – odparł kot. – Próbowaliśmy się bronić, potem uciekać i... – Przerwał, najwyraźniej nie chcąc do tego wracać. – Sama wiesz, co było potem, widziałas moje wspomnienia. Straciliśmy to miejsce. Irma i Cleto od dawna nie żyją, a on wrócił. – Wskazał na chłopaka, który niespokojnie się poruszył.

– Jeśli to dla ciebie takie trudne, pomyśl, co było ze mną – powiedział. – Gdy fery z powrotem wrzuciły mnie do tego świata, nie miałem pojęcia, co się wydarzyło. To był tak wielki szok, że przez miesiące tylko leżałem. Czułem się, jakby otaczała mnie ciemność, nawet w najjaśniejsze dni. To bolało tak... prawdziwie, mocno, jakby ktoś mi dłubał w sercu. Straciłem jedną możliwość życia, potem kolejną. Tylko chęć zemsty na ferach trzymała mnie przy zmysłach.

Właśnie tego bała się March – że ta historia będzie wymagała głębokiego kopania w zbyt mrocznych miejscach. Mimo to nie miała zamiaru odpuszczać.

– Dlaczego wyrzucili cię z Aislingen? – spytała.

Callen wzruszył ramionami.

– Za bunt.

– A dokładniej? – Jego swoboda w mówieniu o tym rozjuszała March.

– To stało się wtedy, gdy czary mamiące zaczęły tracić na sile. Odkryłem, że Wyrd doskonale wiedziała, kim był mój ojciec.

– Bratem Leia i Leili – dopowiedziała March.

– I jej synem. Właściwie wszystkie aislingeńskie fery są po części jej dziećmi, ale mój ojciec jest, można powiedzieć, dzieckiem w prostej linii, jej fizycznym, nie tylko duchowym, synem. A dzieciom tego rodzaju nie wolno zakochać się w człowieku. Przypuszczam, że nawet w Elphame i Cienistej Krainie byłoby to niemile widziane. Co prawda mój ojciec, jako mężczyzna, nie mógł dziedziczyć tronu...

– Którego Wyrd pewnie nigdy nie odda – wtrącił Piątek. – Jest najstarszą królową wśród ferów i świetnie się trzyma, jak Cher.

– W każdym razie – mówił dalej Callen – królewskiej krwi nie należy mieszać. Nie myśl, że Wyrd wybaczyłaby coś takiego komukolwiek, nawet najukochańszemu synowi czy córce. Jej nienawiść do ludzkiej rasy jest większa niż miłość do ferów, a przede wszystkim Wyrd dba o swoje interesy. Potrafi zabijać bez mrugnięcia okiem, a jedyną osobą, której ufa, jest ona sama.

– Zdążyłam się już przekonać, kim jest Wyrd – mruknęła March. – Dzięki za przypomnienie.

Callen westchnął.

– Cóż – podjął na nowo. – Fery bardzo pilnowały, żebym nie poznał prawdy. Oczywiście nie miały pojęcia, że im dłużej mnie mamią, tym większych nabieram podejrzeń. Ich czary świetnie działają na ludzi, ale ferianin prędzej czy później się z nich wyswobodzi. Uśpiłem ich czujność i udało mi się zbadać umysł Leia. Zobaczyłem nie tylko swojego ojca, ale też

Komnatę Więźniów, to pomieszczenie w Bibliotece Snów, gdzie trzymają zaklętych wrogów.

March wzdrygnęła się na wspomnienie tego miejsca. Było równie posępne co same koszmary.

– Obmyśliłem plan, jak ich uratować. W ogrodzie Wyrd stworzyłem portal, przez który ściągnąłem rodziny więźniów i różne istoty, nie zawsze wspaniałe, przyznaję. Powinienem był lepiej to przemyśleć...

– Ale jak? – przerwała mu March. – Przecież żeby zaatakować Ametystowy Sen, trzeba było pewnie całej armii. Jakim cudem udało ci się ją zgromadzić w pałacowym ogrodzie pod nosem Wyrd?

– Jak lepiej poznasz magię, przestaniesz się dziwić – odparł Piątek. – Istnieją sposoby, by upchać wiele rzeczy w czymś małym, ludzi też.

Callen machnął ręką.

– Mniejsza z tym. Oczywiście niewiele wskórałem. To był szalony pomysł. Zupełnie nieprzygotowana armia nie miała szans na wygraną z ferami. Od razu przegraliśmy, a mnie zesłali tutaj.

– Do sierocińca? – spytała March. – To znaczy do więzienia, tak? Pamiętam, że zmienili ci imię i...

– Panują tam specyficzne zasady. Odbierając komuś imię, nakłada się blokadę na jego moce, choć nie na wszystkie. Te, które są wrodzone, moce *siddhe*, pozostają. W moim przypadku były to projekcja astralna i przenikanie do snów.

– Ale dlaczego nie odebrali ci daru młodości?

Chłopak gorzko się zaśmiał.

– To była ich forma... łaski. Dali mi wyrok pięćdziesięciu lat, twierdząc przy tym, że skoro się nie zestarzeję, to tak, jakbym wcale nie został ukarany. Wzięli pod uwagę okoliczności łagodzące.

– Kto?

– Społeczność.

– No właśnie! – podchwyciła March. – Co z nimi? Przecież wiedzą, co się dzieje w Aislingen. Czemu nikt się tym nie zajmie?

Piątek westchnął.

– Jak by ci to najlepiej wytłumaczyć... Słyszałaś o czymś takim jak polityka?

– Nie rozumiem. – March zmarszczyła brwi.

– Miasto Snów rządzi się własnymi prawami, a więdźmy muszą utrzymywać z Wyrđ stosunki dyplomatyczne. Myślisz, że gdyby zaatakowano Aislingen, to Elphame i Tir-na-Nog nie stanęłyby po jego stronie? Nie chcemy wojny ze skrzydlatymi. Są od nas silniejsi.

– Społeczność zawarła z Wyrđ umowę – dodał Callen. – Zgodnie z nią każdy człowiek, którego Aislingen o coś oskarży, ma być najpierw sądzony przez ludzi, a dopiero gdy nadal będzie łamał prawo, fery będą mogły wydać własny wyrok.

– No dobrze, ale co z więzieniem ludzi w Mieście Snów? – ciągnęła March. – Z tym całym mamieniem?

– Jaki masz dowód na to, że sama nie poprosiłaś ferów, by cię zaczarowały? – spytał nagle kot.

– C-co?

– No, czy jesteś w stanie udowodnić, że nie wyruszyłaś do Miasta Snów na własne życzenie, żeby uczyć się magii? A może zakochałaś się w jakimś ferze?

Był tak przekonujący w zadawaniu tych pytań, że przez chwilę March miała wrażenie, jakby robił to na poważnie.

– Co ty pleciesz? – prychnęła. – Niby kto byłby tak głupi...?

– O, zdziwiłabyś się! Mnóstwo więdźm na własne życzenie przedostaje się do Aislingen, a Społeczność działa w tej kwestii zgodnie z najstarszą magiczną zasadą.

– Jaką zasadą?



– O wolnej woli. W skróconej wersji brzmi tak: umiesz wdepnąć w gówno, to naucz się z niego wyłazić.

– Więc mają nas gdzieś? – upewniła się March.

– Można tak powiedzieć, choć nie oficjalnie.

– Nie ma co na nich liczyć – stwierdził Callen. – Zresztą założę się, że już nas ścigają, bo zawaliliśmy sprawę w Komnacie Więźniów. Wielu z tych, których uwolniłaś, faktycznie było przestępcami.

March nic na to nie odpowiedziała. Nie dbała teraz o Społeczność, choć niesprawiedliwość tego, o czym usłyszała, w innych okolicznościach kazałaby jej krzyczeć ze wściekłości. Ale miała inne zmartwienia. Przyszła pora na pytanie, które cisnęło się jej na usta od dłuższego czasu, a którego nie odważyła się jeszcze zadać.

– A co ze mną? – Zmusiła się, by je wypowiedzieć. Poczowała się, jakby wnętrzości przewracały się jej na drugą stronę.

Było tak wiele spraw czekających na wyjaśnienie, a historie Piątka i Callena stanowiły tylko niewielką ich część. Jednak teraz, gdy już lepiej je zrozumiała, musiała poznać własną tajemnicę, równie niezwykłą.

– Niestety, tego nie wiemy. – Callen ze smutkiem potrząsnął głową.

– Jak to? Przecież badałaś historię mojej matki. Ona jest jeszcze starsza... *dużo* starsza od twojej matki, nawet od Irmy i Cleto. Widziałam to w twoich koszmarach. I ja sama... ja też muszę być starsza...

W tym momencie strach chwycił ją za gardło. Wewnątrz niej odezwało się coś, czego nie umiała jeszcze nazwać, a co wywoływało smutek, niemal paraliżujące uczucie osamotnienia i bezradności. Przed oczami stanął jej kłęb czarnej energii, mały pasożyt zamieszkujący jej brzuch i blokujący magię.

– Musisz wiedzieć – zaczął powoli, jakby ze strachem Callen – że niewiele wiadomo o ofiarach działań aislingeńskich ferów. Siostrze Malloway nigdy nie udało się odkryć przeszłości mojej matki. Grzebanie w tych sprawach mogłoby wywołać konflikt z Miastem Snów. To, co wiem na temat twojej matki, pochodzi z pewnych zapisków...

– Więc mi o nich opowiedz – nalegała March. – Mów wszystko, co wiesz!

– Nie ma tego wiele – zaczął chłopak, uważnie śledząc zmiany na jej twarzy. – Wyczułem twoje pojawienie się w Finfolk, wiesz o tym. Miałem pewność, że gdzieś niedaleko pojawił się ktoś podobny do mnie. Któregoś dnia podczas podróży astralnych zobaczyłem twoją matkę. Skojarzyłem jej twarz. Przejrzałem wszystkie zapiski o uprowadzonych przez fery i dotarłem do tego, który opisywał Emmę Sky.

– Ona widziała fera, prawda? – March dokładnie pamiętała krótką notkę na temat swojej matki. – Czy to dlatego ją uprowadzono?

– No wiesz, twoja matka nie była wtedy wiedźmą, pewnie stała się nią dopiero w Aislingen. Z informacji na jej temat wynika, że w dzieciństwie faktycznie zobaczyła fera i ta wizja nigdy jej nie opuściła. Emma długo badała fery, pisała artykuły do całkiem poważnych gazet.

– Co nikomu się nie podobało – wtrącił Piątek. – Ani ferom, ani Społeczności. Jeśli uprowadzono ją do Miasta Snów właśnie dlatego, a jakoś żaden inny powód nie przychodzi mi do głowy, to wiedźmom było to na rękę.

March patrzyła na towarzyszy z rosnącym niepokojem. Nawet jeśli nie wiedzieli nic więcej, ona wiedziała. Miała dwie wizje związane z matką – wynikało z nich, że Emma Sky była zakochana w ferze i że wymazano jej pamięć.

– Urodziła cię po tym, jak wróciła na Ziemię, niestety nic więcej nie wiemy – oznajmił Callen, patrząc na March niemal

z litością. Nienawidziła tego. Niby jak miało jej pomóc jego współczucie?

– Sama dowiem się więcej – warknęła. – A teraz: jak mamy wyjść z tego bagna?

Udała, że rozczarowanie całkiem z niej spłynęło. Naprawdę było odwrotnie; miała pewność, że ta dziwna pustka będzie jej jeszcze długo towarzyszyć.

– Wpadliśmy w koszmar, nawet jeśli na jawie. Dobrze to rozumiem? – spytała.

– Dokładnie tak – odparł Piątek. – Kula, która się rozbiła, należała do ciebie, ale Wyrd zaklęła w niej swoją magię, co wzmocniło koszmar i sprawiło, że ogarnął całe miasto. Jasne, ty jesteś najbardziej poszkodowana, w końcu uznano cię za morderczynię, ale to też lęki wszystkich mieszkańców. Póki koszmary są uwięzione w kluczu, dotyczą jednej osoby, za to ten rozbił się na otwartej przestrzeni, w niekontrolowanych warunkach, więc nie mamy pojęcia, do czego może doprowadzić. To precedens.

– Ale już trochę o tym myślałem – dodał Callen. – Jeśli mamy wiedzieć, jak działa urok, musimy zbadać Finfolk. Do wszystkiego trzeba dochodzić małymi krokami...

– Żeby na końcu urżnąć Wyrd ten wstrętny łeb – uzupełnił Piątek.

– Oczywiście nie możemy poruszać się między ludźmi jako... no, *my* – ciągnął chłopak nieco nerwowo. – Dobrze byłoby zmienić nieco kształty.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

March zamrugwała.

– Że co? Mamy być zmiennokształtni, przybierać postacie zwierząt i takie tam? Jak w jakichś filmach?

Może nie do końca oswoiła się z magią, ale gdy słyszała o podobnych rzeczach, miała wrażenie, że ktoś robi sobie z niej żarty.

– Mniej więcej – wyjaśnił Callen. – Choć my nie będziemy zmieniać się w zwierzęta. To niezbyt przyjemne.

– Rasista – mruknął Piątek.

– My, to znaczy ty i ja, bo on – chłopak wskazał na kota – i tak wygląda jak zwykły tłusty kot... – Piątek syknął gniewnie.

– No, w każdym razie musimy zmienić się w innych ludzi, żeby nikt nas nie rozpoznał.

– Ale jak? Mam wystrzelić energię z athame i...

– Nie, nie! – przeraził się Callen. – W ten sposób można się tylko uszkodzić. Będzie nam potrzebny specjalny amulet.

March spojrzała na Piątka. Jego mina sugerowała, że gdyby tylko miał ręce jak człowiek, rozłożyłby je teraz i zawołał: „Uhu-hu, magia!”.

– A jak go zrobić?

– Irma miała gdzieś przepis – powiedział Callen. – Trzeba go tylko znaleźć. Jeśli chodzi o składniki, to w większości jakieś zioła, no i kilka innych rzeczy.

– Jakich rzeczy? – Nie wiedzieć czemu March od razu przyszły do głowy jakieś obrzydlistwa. – Mam nadzieję, że nie zasuszone glisty czy coś w tym stylu?

Callen wyraźnie się zakłopotał.

– No, to właśnie muszę odkryć... Ale wiesz, nie sądzę, by chodziło o coś takiego. Większość tych ohydnie brzmiących nazw, oko traszki czy tam jęzor ropuchy, to tylko nazwy roślin.

– Ale magicznych – dodał Piątek – a one bywają czasem o wiele gorsze od ropuch. No, bądź co bądź, na początek musimy znaleźć notatki sióstr, a do tego będzie trzeba użyć najmagiczniejszej ze wszystkich sztuk.

– Czyli? – dopytała March, pewna, że zaraz przyjdzie jej rzucić jakieś zaklęcie, bo ani Callen, ani kot nie mogli używać aktywnej magii.

– Czyli sprzątania własnego podwórka.



Piątek wcale nie żartował, nazywając sprzątanie magią. Razem z Callenem podszli do dawno nieużywanego kranu, z którego buchnęła woda, po czym chłopak zajrzał pod zlew.

– To chyba ten czerwony, co nie? – spytał. – Nigdy nie mogłem zapamiętać.

Zastukał trzy razy w coś metalowego.

– Co wy...? – zaczęła March, ale urwała, gdy nad głową nagle przeleciała jej miotła.

A potem cały dom zaczął się ruszać. Szafki pootwierały się, wystrzeliło z nich mnóstwo ścierek, które zabrały się do czyszczenia mebli, z półek wypływały naczynia, które ustawiały się pod kranem, a następnie, umyte i wytarte, wracały na swoje miejsca. Kilka mioteł wespół z szufelkami zamiatało kuchnię, a śmieci wpadały do raz po raz otwierającego i zamykającego się kosza. Coś takiego March widziała dotąd jedynie w filmach Disneya – których swoją drogą nie znosiła. Choć czar był rzeczywiście całkiem przydatny.

– Skoro one odwalają robotę, to my możemy iść po coś do żarcia! – stwierdził Callen, przekrzykując odkurzacz, który wjechał nagle do salonu. Przypominał małe zwierzę i agresywnie przeganiał ich z dywanu.

– Idźcie, idźcie! – zawołał Piątek, sam ruszając na górę. – Ja dopilnuję, żeby sprzątanina szła jak należy.

Gdy Callen i March opuścili dom, kakofoniczne odgłosy krzątania ucichły.

– Nadal nie rozumiem, jakim cudem przez tyle lat nikt tego nie zauważał – powiedziała dziewczyna.

– Zakłęcie ochronne odwraca uwagę nieprzynależących – wyjaśnił Callen, prowadząc ją na tyły ogrodu. – W jakiś sposób sprawia, że nie interesują się domem. No, a fery... One po prostu nie mają tu wstępu, oczywiście tylko te z Aislingen, bo Elphamianie i Tirnanie mogliby tu wejść.

– Co by się stało, gdyby wlaź tu jakiś aislingeński fer?

– Naprawdę nie wiem. Może by umarł? Choć nie sądzę, żeby moje przybrane ciotki były zdolne do takich czarów. Nie żeby nie potrafiły... Zresztą Irma może i by chciała, ale Cleto hamowała jej zapędy.

Gdy znaleźli się za domem, March uświadomiła sobie, że ogród był większy, niż sądziła. Może zresztą powodowały to czary. Daleko mu było do eleganckich, zadbanych ogrodów zwykłych mieszkańców Finfolk. Właściwie był dziki, jakby stanowił część lasu, z którym zresztą się łączył.

– To tak, instrukcje – powiedział Callen. – Szukamy tylko dojrzałych owoców.

– Też mi nowość – prychnęła March.

– Rośnie tu pełno magicznych krzaków – ostrzegł chłopak. – Jeśli znajdziesz jakiś wyjątkowo dziwny, lepiej go nie dotykaj. Cleto starała się siać jedynie bezpieczne rośliny, ale niczego nie gwarantuję. Gdyby coś, to mnie wołaj.

– Że niby miałyby mnie zjeść wielka borówka? – March wcale nie próbowała żartować; była raczej zażenowana.

– Niewykluczone – oznajmił Callen dość poważnie. – No dobra, to rozdzielamy się i szukamy, ty po prawej stronie, ja po lewej.

March wzruszyła ramionami. Myśląc o owocach, a marząc o jajkach na bekonie, ruszyła w stronę swojej części ogrodu. Wysokie drzewa ochraniały ją przed ostrym słońcem. Patrzyła w dół, na bujne krzaki. Część z nich była już obwieszona sporymi owocami. Trudno było powiedzieć, czy pochodzą z tego, czy z innego świata. Wyciągnęła po nie rękę i zastygła w połowie drogi, niepewna, czy zerwanie ich będzie dobrym pomysłem. Chciała nawet zawołać Callena, ale w końcu uznała, że to głupie. Sięgnęła po kilka jagód, uświadamiając sobie przy okazji, że zapomnieli wziąć ze sobą czegoś, do czego można by je wrzucać. Naciągnęła więc bluzkę i to do niej zaczęła zbierać kolejne owoce, idąc w głąb ogrodu.

Może tylko z powodu mocniej działającej wyobraźni, ale miała wrażenie, że ogród jej nie toleruje. Nie umiała powiedzieć, dlaczego tak jest – po prostu jego aura wydawała się nieprzyjazna. Właściwie March nie powinna się temu dziwić. Ogród stanowił część magicznego świata sióstr Malloway i dopóki ona nie wkroczyła do ich domu z hukiem, panował tu wieloletni spokój. Może ogród rozpoznawał ją jako przynależącą w części do *niemagicznego* świata – świata, za którym teraz najbardziej tęskniła.

Poszukując owoców, dotarła do końca ogrodu. Od lasu oddzielał go ostry, solidny płot. Irma i Cleto próbowały chyba wytyczyć lasowi wyraźne granice, ale najwidoczniej nawet czarami niewiele mogły tu wskórać: drewniane drzwi pośrodku płotu porosły gęstym mchem. Przyglądając się im, March dostrzegła obok kolejne, niewielkie drzwiczki. Ich



obecność ją zdziwiła. Po co siostry miałyby tworzyć więcej niż jedno przejście do lasu, i to tuż obok siebie?

Z czystej ciekawości otworzyła mniejsze drzwi. Były tak małe, że nawet ona musiała się schylić, przechodząc przez nie.

Znalazła się na początku częściowo udeptanej ścieżki. Jej koniec znikał wśród wysokich drzew, których cienie opadały na drogę niczym mroczna kurtyna. Las był cichy i w pewien sposób ponury, mimo silnego słońca, którego promienie sączyły się tak leniwie, że zdawało się, jakby pełzały po ścieżce.

Dziewczyna patrzyła na zamkniętą przez cienie drogę. *Co za bzdury* – pomyślała, sama nie wiedząc w odpowiedzi na co, chyba na rodzący się podskórnie lęk.

Ale przecież nie była strachliwa, a przynajmniej zawsze starała się żyć bez lęku. Las ją ciągnął, nie miała ochoty zawracać. Obawy mogły nieco ją stopować, jednak magia istniała, a siostry Malloway z pewnością nie bez powodu otwierały te drzwi. Może w lesie kryło się coś ważnego?

– Szlag – szepnęła, uświadomiwszy sobie, że zapomniała o athame. Szumiący dotąd las naraz ucichł, jakby jej słuchał.

*Przecież nie będę musiała go użyć* – stwierdziła, niepewnie rozglądając się wokół. Nim postawiła stopę na ścieżce, przez kilka chwil nasłuchiwała wszystkiego, co mogło się wydać podejrzanym. Kolejne kroki przychodziły jej coraz łatwiej. Wprawdzie jej nogi wciąż musiały się opierać jakiemuś krępującemu je uczuciu, ale March przyspieszała, chcąc się go pozbyć. W końcu strach znikł i prowadziła ją już tylko ciekawość.

Gdy dotarła do miejsca, które przedtem była gotowa uznać za serce mrocznego lasu, zaśmiała się w duchu. Cienie rozgoniło prześwitujące między drzewami słońce. Ścieżka prowadziła dalej w las, gdzie stawała się coraz bardziej zarośnięta. Raz po raz odchodziły od niej kolejne. March,

zupełnie jakby kierował nią instynkt, ignorowała większość z nich, lecz w końcu jedną wybrała. Nie wiedziała dlaczego, ale szybko to odkryła.

Stanęła na szczycie niewielkiej skarpy, u której stóp dostrzegła coś dziwnego. Wśród trawy utworzony był krąg – tak idealny, że nie dało się go pomylić z czymś ukształtowanym przez naturę. Wyglądało to tak, jakby ktoś, wytyczywszy mu granice, rozpalił wielkie ognisko, znacząc w ten sposób teren. Na środku stał kamienny stół.

Ołtarz – pomyślała, choć właściwie nic o tym nie świadczyło. Nic poza jej tajemniczą wewnętrzną pewnością.

Ostrożnie, by nie upuścić zebranych jagód, zeszła na dół.

– No proszę – westchnęła, stanąwszy przed stołem. Nie był prowizoryczny, miał solidnie wykonane nogi, a blat pokrywały mocno już zatarte magiczne symbole.

Dotąd March niezbyt zajmowała się intuicją, ale wyglądało na to, że ta jej działała całkiem dobrze. Może siostry Malloway faktycznie odprawiały w lesie rytuały?

Schyliła się, by poszukać śladów magii pod ołtarzem. Nie odkryła żadnych narzędzi wiedźm, natrafiła za to na odcisk wielkiej łapy. Nie miała pojęcia, jakie zwierzę mogło go pozostawić. Ślad kojarzył jej się tylko z gadem – zmutowaną jaszczurką albo nawet krokodylem, przy czym ta druga możliwość była chyba mniej prawdopodobna od pierwszej.

Jedną ręką ściskając materiał bluzy, drugą przejechała po śladzie.

Wtedy powietrze rozdarł wrzask. Brzmiał jak odgłos drapieżnego ptaka, jednak nie dochodził z góry, ale spomiędzy drzew.

March gwałtownie zerwała się na nogi, rozsypując owoce pod ołtarzem. Coś zmierzało w jej stronę – wyraźnie to słyszała. Kroki były tak donośne, jakby leśną ściółkę pokrywał kamień, a to coś miało stalowe stopy. Uderzało coraz mocniej, a March,

sparaliżowana strachem, rozglądała się na wszystkie strony. Jednak to coś, do czego należały kroki, było najwyraźniej niewidzialne.

Chciała uciekać, ale nie wiedziała dokąd, chciała krzyżeć, lecz strach ścisnął jej gardło. Wydała zaledwie krótki pisk, gdy coś stanęło za jej plecami. A wtedy, zanim zdołała się odwrócić

...

Oddech, przepływający jakby wokół niej, a potem stapiający się z wiatrem.

I cisza.

Coś znikło.

Na chwilę las opanował spokój; udzielił się również March. Jej serce, które na moment zastygło, moment później zaczęło bić tak szybko, jakby miała umrzeć z przerażenia. Strach wrócił ze zdwojoną siłą.

Rzuciła się w kierunku skarpy i wspięła o wiele szybciej, niż by siebie o to podejrzewała. Biegła w stronę Domu Wiedźm, ignorując szumiącą w uszach krew i potworną kolkę. Nie wiedziała, kiedy znów znalazła się w ogrodzie, zamknęła cholerne drzwi i dysząc gwałtownie, położyła dłoń na piersi.



– I nie pamiętasz, jak to wyglądało? – spytał Piątek, i to już któryś raz z kolei.

– To *nie* wyglądało! Ile razy mam mówić, że tego nie widziałam?!

– Co jeszcze o niczym nie świadczy – stwierdził rzeczowo kot.

– Widziałas *Predatora*? Tam potwór też był niewidzialny, a jednak czasem, jak się poruszał, dało się zobaczyć jakieś tam kontury.

W takich momentach March wiele by dała, by móc zabijać wzrokiem. Piątek zachowywał się, jakby nic sobie nie robił z jej opowieści. Zresztą Callen wcale nie wyglądał na bardziej przejętego. Siedzieli z powrotem w Domu Czarownic, gdzie opowiedziała im, co ją spotkało.

– Kamienny ołtarz faktycznie należał do Irmy i Cleto – oświadczył chłopak. – Ścieżka służyła temu, by bezpiecznie do niego dotrzeć. Te małe drzwi są zaklęte tak, żeby tylko osoby, które przez nie przechodzą, znalazły ołtarz, przy okazji nie wpadając na nieprzynależących. To, co cię spotkało, mogło być skutkiem czaru Wyrd. Mówiłem, żebyś nie wychodziła poza dom.

March zgromiła go spojrzeniem. Chyba nie miał zamiaru jej teraz pouczać?

– Tak czy inaczej – dodał – miło by było wiedzieć, z czym mamy do czynienia. To może być twój lęk. Czego się panicznie boisz?

Od razu się speszyła. Pytanie było zbyt osobiste. Zresztą nie umiałaby na nie odpowiedzieć. Jak niby miała nazwać lęk? Co najwyżej mogła go doświadczać.

– Albo inaczej – spróbował Piątek. – Czy *panicznie* boisz się niewidzialnych istot? Wracamy tu oczywiście do *Predatora*. I wcale nie żartuję! – dodał szybko, jakby w obawie, że oberwie. – Czasem trudno pozbyć się jakichś obrazów, zwłaszcza gdy widzi się je w dzieciństwie. Miałem tak z Golemem.

– Nigdy nie bałam się *Predatora* – odparła na odczepnego March. – Zawsze sobie wyobrażałam, że go rozwalam.

Kot się zastanowił.

– No, chyba że... – zaczął powoli, rzucając ukradkowe spojrzenie Callenowi. – Może nie chodzi o *twój* lęk?

– Co masz na myśli? – spytała od razu.

Ale Piątek nie patrzył na nią. Utkwił wzrok w chłopaku, zupełnie jakby porozumiewali się szyfrem.

– Może Wyrd wyjęła coś z koszmarów *całego* Finfolk? – rzucił.

– Hej! – zawołała March. – Miało nie być żadnych kretyńskich tajemnic, tak?!

– No i nie ma – odparł Callen. – Musimy po prostu pokonać koszmar i wszystko wróci do normy. No, to znaczy będziemy mieć czas, żeby zająć się pozostałymi problemami.

– Po co siostrze był ten ołtarz? – zapytała nagle March. – Odprawiały na nim jakąś zakazaną magię? To wszystko... Sama nie wiem, ale wyglądało dość mrocznie.

Jej towarzysze wydali się zdziwieni tą sugestią.

– Nie – powiedział Callen. – To normalny ołtarz. Ciotki nie uprawiały żadnej *zakazanej* magii.

– Zakazaną magię uprawia się w domu – dodał Piątek pouczającym tonem.

– Niech będzie – westchnęła March. – Ale jeśli to coś przylezie tutaj...

– Bez obaw, dom *naprawdę* jest bezpieczny – zapewnił kot i przeciągle ziewnął. – Z innych rzeczy, sprzątanie mnie zmęczyło, więc się zdrzemnąłem. No i wpadło mi coś do głowy. Przypomniałem sobie, jakiego specjalnego składnika Irma używała w amulecie zmiennokształtnym. Mam dla was dwie wiadomości: złą i jeszcze gorszą.

– No nie, tylko bez gierek! – ostrzegł go Callen.

Piątek, wyraźnie zrezygnowany, oświadczył:

– No dobra. Przede wszystkim: do amuletu będziemy musieli użyć kilku nasion lejnika brzęcierzawego. To zła wiadomość. A gorsza jest taka, że ta roślina...

– ...rośnie wyłącznie w Jaarze – dokończył Callen.

– Tylko nie to! – zawołała March. – Znowu inny wymiar?! Nienawidzę kosmosu!



Przez resztę popołudnia planowali wyprawę. March dała Callenowi i Piątkowi wolną rękę, a sama zajmowała się studiowaniem mapy domu, która, zwinięta w rulonik pod zlewem, czekała, aż ktoś ją otworzy. Nie była zwykła. Na czarny szkielec budynku naniesione zostały kolorowe punkty z nazwami drzwi. Budynek był ich pełen, a każde prowadziły do innej krainy lub magicznego miejsca na Ziemi. Duże niebieskie podpisano jako *Zguba*, małe czerwone, ozdobione przebitym sercem – *Tu uprawiać ciemną magię*, a okrągłe srebrne, przypominające wielką pajęczynę, opisano jako *Prowadzące do Puszczy Krzyków. Po powrocie zamknąć na trzynaście spustów. W razie gdyby wędrowiec nie wracał, zamknąć i tak – najpewniej zginął.*

Callen i Piątek wiedzieli, które drzwi prowadzą do tego dziwaczного świata więdźm, więc nie zajmowali się mapą. Za to March pod koniec dnia miała dość klamek wszelkiego rodzaju, nawet tej do własnego pokoju, a właściwie starego pokoju Irmy, który jej przydzielili.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Póki miała zajęcie, udawało jej się nie myśleć o kamiennym ołtarzu i niewidzialnej istocie, jednak wystarczyło, że zamknęła oczy, a miała wrażenie, jakby znów wkroczyła na zacięnią ścieżkę. Naraz nabrała pewności, że tamto miejsce nie wiązało się tylko z jej lękiem, że musiało się tam coś stać, coś ważnego.

Gdy o tym rozmyślała, wsłuchując się w ciężkie bicie własnego serca, do głowy przyszła jej straszna odpowiedź, z którą nie próbowała nawet walczyć. Irma i Cleto były czarownicami. A to mogło wiele wyjaśniać, bo więdźmy wcale nie są... nigdy nie były... No, zawsze uważano je za złe.

*Ale ja...* – pomyślała nagle. I od razu prychnęła. Wcale nie była dobra, co najwyżej ani dobra, ani zła. Sama nie miała pojęcia, do czego byłaby zdolna. Wtedy, w Aislingen, była gotowa zabijać. Owszem, fery, swoich przeciwników, tyle że to niczego nie zmieniało. Zabójstwo to zabójstwo, a po nim ofiara nie liczy się już tak bardzo jak sprawca. Ofiara blaknie, sprawca zostaje.

*A mama?* – W głowie zaświtała jej kolejna myśl. *Ona nie jest zła...* Ale to też nie był dobry trop. Przecież tak naprawdę nie wiedziała, kim była Emma Sky, nie miała o niej bladego pojęcia. Za to, gdy o niej myślała, coś kłuło ją w serce. Odkąd opuściła dom, wciąż towarzyszył jej żal: nie dlatego, że za nim tęskniła. Miała żal do matki o to, że jej nie znalazła, że być może wcale jej nawet nie szukała – jeśli miała cokolwiek wspólnego z magią, to powinna była jej szukać; jeśli faktycznie nie pamiętała o czarach, to czy utrata córki nie powinna jej o nich jakoś przypomnieć? March dochodziła czasem do wniosku, że miłość jest silniejsza od zaklęć, więc może gdyby matka ją kochała... Ale takie myślenie było bzdurne, Emma Sky zapewne nie byłaby w stanie nic zrobić.

Przede wszystkim dziewczyna miała jednak żal do samej siebie. Gdyby nie uciekła wtedy z domu, to wszystko by się nie wydarzyło. Jasne, nie poznałaby też prawdy, choć szczerze mówiąc, umiałaby bez niej żyć. Nie potrzebowała prawdy, która przyniosła jej tyle bólu. Byłoby o wiele lepiej, gdyby tamtego feralnego wieczora została w domu, posłusznie zasnęła i po prostu się poprawiła, była lepsza jako córka. Bo, musiała to przyznać, bywała okropna. Dla innych, ale głównie dla siebie, nie celowo, najwyraźniej inaczej nie umiała. Chciała, by ktoś ją tego nauczył. A teraz pragnęła tylko wyjąć komórkę i zadzwonić do matki, tego jednak nie mogła zrobić. Wiedziała, że skończyłoby się natychmiastowym

aresztowaniem. W końcu oskarżono ją o zamordowanie Callena i matka była pewnie pod ścisłą obserwacją policji.

Przewróciła się z boku na bok, odganiając wątpliwości niczym natrętną muchę. Musiała zrobić tak jeszcze kilka razy, nim wreszcie udało jej się zasnąć.

Jej sny wypełnił krzyk – na wpół ptasi, na wpół... inny, niezwykły, jakby istota, która go wydawała, przynależała do innego świata. March stała w lesie wypełnionym zniekształcającą wszystko mgłą. Była sparaliżowana, coś kazało jej patrzeć na ołtarz, z którego spływała gęsta krew. Za plecami czuła obecność, przerażającą, napełniającą powietrze lękiem.

To coś... pachniało. Zgnilizną, błotem, strachem.

Krzyk był blisko, tuż obok March. Istota wydała go jeszcze kilka razy, nim zmienił się w słowa:

*– Mało, chcę więcej... Daj mi więcej!*

Owoce leżały pod ołtarzem, zupełnie wysuszone. Obok śladu potwornej stopy pojawiło się jeszcze kilka takich samych. Prowadziły donikąd.



Obudził ją głuchy odgłos. Zerwała się gwałtownie z łóżka i spojrzała na komórkę, uświadamiając sobie, że odpłynęła zaledwie na pół godziny. Koszmar skutecznie spłoszył jej sny. Włożyła kapcie, stanowiące część spadku po Irmie, i ruszyła ku drzwiom. Przez chwilę zastanawiała się, czy szukanie źródła hałasu to dobry pomysł, ale skutecznie pokonała impuls, żeby przeczekać w pokoju.

Ledwo wyszła na korytarz, przypomniała sobie o scyzoryku – zabieranie go wszędzie ze sobą jeszcze nie weszło jej w nawyk. Już miała wrócić po niego do sypialni, gdy zjawił się Callen,



tocząc przed sobą wielki, miedziany kocioł. Wyglądał tak komicznie, że pewnie by się roześmiała, gdyby tylko jego zachowanie nie wydało jej się podejrzanym. Nie zauważyła jej, dopóki nie chrząknęła. Wtedy naraz się zatrzymał.

– Ach, to ty – westchnął z zakłopotaniem. Próbował uciec wzrokiem, jednak March w jakiś sposób udało się go przyszpilić tak, że patrzył wprost w jej oczy.

– Co ty kombinujesz? Po co ci ten kocioł?

– Będzie nam potrzebny do stworzenia amuletu.

March założyła ręce na piersi.

– Kocioł do stworzenia amuletu? – odparła podejrzliwie. – To chyba nie jest tak zwana... magia praktyczna, co nie?

Callen miał nietęgą minę.

– Nie bardzo praktyczna, zgadza się, tyle że amulety zmiennokształtne nie są łatwe. Żeby je zrobić, trzeba zmieszać kilka ziół, oczywiście w zaklętym kotle. Im częściej używasz magicznych przedmiotów, tym potężniejszą mają aurę. A tego kotła Irma i Cleto używały *przez lata*.

– Aha – mruknęła March. – A można wiedzieć, dlaczego taszczysz go sam o tej porze?

– Och, lepiej, żeby wszystko było gotowe na jutro, a ja i tak nie mogłem zasnąć. Zabieram go tylko do świątyni. Nie prosiłem nikogo o pomoc, bo Piątek nie mógłby, no a ty jesteś... – Zawahał się, ale było już za późno, by się wykręcić.

– Co jestem? – wycedziła March. Znała odpowiedź, tyle że gdy Callen ją wymówił, zabrzmiała bardziej jak „dzzwcz”. – Słucham?

– No dziewczyną, tak? – wypalił w końcu zniecierpliwiony.

– Jasne, a ty chciałeś być dżentelmenem – prychnęła. – Na co i tak już jest za późno. I tak wiem, że znów kręcisz. Ale to dobrze, super, radź sobie sam. Faktycznie jest późno.  
*Dobranoc.*

Wściekła wparowała do pokoju i zatrzasnęła drzwi z takim impetem, że z sufitu skruszyło się nieco tynku. Nim opadł na podłogę, magia domu pochwyliła go i przykleiła z powrotem.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Callen nie znał się na dziewczynach. Nie miał okazji, by się na nich poznać. Do czasu ucieczki do Aislingen głowę zaprzętała mu jedynie magia, a czary ferów sprawiły, że miał wrażenie, jakby w Mieście Snów spędził tylko kilka miesięcy. Zresztą ferinie niespecjalnie go interesowały. W Aislingen wszystkie wydawały się bardzo zadufane w sobie, a na niego, jako półczłowieka, zwykle patrzyły z pogardą. Nawet jeśli nie dawały tego po sobie poznać, wiedział, co o nim myślały. Był empatą. Potem, w sierocińcu, dziewczyny były ostatnią rzeczą, jaka go obchodziła.

Odkąd poznał March, często żałował, że nie zgłębił wiedzy na temat tego, co niektórzy nazywali „kobietą psychiką”. Oczywiście nie żeby... Nie, nie, absolutnie! Ale znajomość dziewczyn bardzo by mu się teraz przydała.

Odczekał jeszcze chwilę w korytarzu, a następnie otarł pot z czoła i zaczął dalej toczyć kocioł. Blokada, którą nałożono na niego w więzieniu, sprawiła, że nie był w stanie przetransportować niczego za pomocą teleportu. Ze zdolności pasywnych, które mu pozostały, miał jeszcze możliwość rzucania niektórych zaklęć. I właśnie z tej mocy miał zamiar skorzystać.

Wcale nie okłamał March. Jutro kocioł faktycznie im się przyda. A nie przyznał się do swoich zamiarów, bo nie był pewien, czy zaklęcie w ogóle zadziała. Nawet jeśli, była to sprawa zbyt osobista. Nikt nie musiał o niej wiedzieć, Callen nie był zresztą gotów, żeby o tym rozmawiać.

Dotarł do schodów prowadzących do świątyni sióstr i u ich stóp postawił kocioł. Teraz musiał go odwrócić i wtaszczyć, stopień po stopniu. Choć nie było ich wiele, co pięć sekund musiał robić sobie przerwy.

Gdy otworzył drzwi świątyni, jego nozdrza wypełnił znajomy zapach – nie ziół czy dawno temu palonych kadzideł, ale samej magii. Tęsknie wspominał czasy, w których mógł ot tak tu przyjść i rzucić czar, jaki chciał. Był niezły w magii, a bez niej czuł się, jakby ktoś odebrał mu najistotniejszą część duszy.

– Może się uda – mruknął. Nie miał na to większych nadziei, ale czary tego typu miały to do siebie, że ich rezultaty nie zawsze pojawiały się natychmiast. To był ten typ magii, który kochała Cleto. Callen doskonale pamiętał, jak kładła rękę na piersi i mówiła: „O, tutaj. To przemiana tej części jest najważniejszą magią w świecie”. Nawet jako dziecko wiedział, że chodziło jej o serce, choć nie miał wtedy pojęcia, co dokładnie miało to znaczyć. Przed ucieczką do Aislingen nie zastanawiał się nad tymi sprawami, nie rozumiał ich. A teraz...

Zamyślił się.

Teraz sam nie był niczego pewien. I pewnie tak właśnie miało być.

Postawił kocioł przy ołtarzu i wyjął z kieszeni niewielki notes. Nie musiał długo go szukać wśród ksiąg i zeszytów ułożonych w pokoju Cleto po magicznym sprzątaniu. Pamiętał, że właśnie w tym notatniku starsza czarownica zapisywała wszystkie najistotniejsze zaklęcia. Nie było ich wiele, bo nim Cleto Malloway uznała coś za godne uwagi, nieraz musiały minąć lata.

Kartkując notatki, chłopak przypomniał sobie dzień, w którym wiedźma sporządziła tę konkretną. Miał może siedem lat, a ona siedziała przy kuchennym stole i nagle z powagą oświadczyła:

– Przeszłość jest niezwykle ważna. Nasze korzenie, nasze dziedzictwo...

Wpatrywał się w nią uważnie, pewien, że przekazywała mu życiową mądrość. Czekał na więcej słów, ale Cleto zamilkła i pisała dalej.

Szkoda, że *jego* przeszłość nie była dla niej równie ważna. Gdyby nie podstęp, nigdy by nie odkrył swojego pochodzenia. Ale gdyby je znał od początku, nigdy by nie musiał uciekać się do podstępu. Jego życie wyglądałoby pewnie inaczej, byłby już dorosłym mężczyzną, być może pogodzony z tym, że nigdy nie pozna swojego ojca. Ale jakie miało to znaczenie dla dorosłych ludzi? Uważał, że żadne, a na pewno o wiele mniejsze niż dla niego. Ciągłe w tym niedorostym i niedorastającym przez tyle lat ciele czuł się jak najgorsza wersja tego, kim mógłby być. Doprowadzało go to do szału.

Nie miał żalu do ciotek – nie umiałyby chyba gniewać się na kogoś, kto od dawna nie żył – ale gdyby mógł z nimi porozmawiać, co by im powiedział? Że jest mu najzwyczajniej w świecie źle? *Najzwyczajniej* – pomyślał. *Wcale nie najzwyczajniej*. Nikt chyba nie miał podobnego problemu, a to sprawiało tylko, że czuł się jeszcze bardziej wyobcowany. Rozmowa z March by mu nie pomogła. Tylko się wydawało, że są w tej samej sytuacji. Tak naprawdę ich ścieżki bardzo się od siebie różniły. Bardzo. I dziewczyna nie miała o tym pojęcia. Byli podobni, to prawda, ale ostatecznie całkowicie, niemożliwie różni.

Chyba wolał o tym wszystkim nie myśleć. Miał dziwne wrażenie, że choć minęło tak wiele czasu, to skoro wciąż się nie starzał, rany nie dostały szansy się zabiłnić. Magia nie mogła mu w tym pomóc, ale mogła wskazać nowe ścieżki.

Przeczytał listę składników potrzebnych do czaru.

PRZYZYWANIE PRZESZŁOŚCI

*łyżeczka skruszonego kryształu górskiego*  
*łyżeczka popiołu*  
*biała świeca*  
*szałwia*  
*nieco śliny lub ziemi z miejsca urodzenia (lub innego*  
*zdarzenia, które chce się przywołać).*

Szałwia, ziemia i ślina... tak, to były składniki typowe dla wiejskich wiedźm, a Cleto była jedną z nich. Szukając pozostałych ingrediencji – które z pewnością również gdzieś tu były – Callen zastanawiał się, czy czar mógł służyć również tym, którzy szukali powrotu do przyjemnych chwil. On sam był więźniem przeszłości, to ona go zniewalała. Wrócił z krainy ferów z młodym ciałem, jednocześnie mając wrażenie, jakby więcej niż pół życia przeciekło mu między palcami. Coś go ominęło – rzeczy, do których nie sposób było wrócić, ludzie, których stracił. Tam, w Aislingen, czas może być wrogiem, ale gdy znów wpadnie się w jego wir, nie płynie się z nim, raczej przechodzi się obok.

Odkurzył fiolkę z szałwią. Na szczęście wszystkie pojemniki były podpisane. Chodząc po świątyni, od czasu do czasu doznawał wrażenia, jakby siostry Malloway zaraz miały tu wejść. Podczas lat niewoli zdawało mu się, że ich dusze nad nim czuwają. Wierzył w *tamten* świat – mieszkając z ferami, trudno było w niego nie wierzyć. One żyły trochę na pograniczu, a to, co dla ludzi było już tylko wymysłami lub wielką zagadką, dla nich stanowiło oczywistość. Tylko czy *jego* ciotki rozpoznałyby go jako „swojego Emeraldę”, gdyby mógł je zobaczyć?

Zmienił się. W więzieniu wciąż dostosowywał się do zmian, które zachodziły wśród ludzi. Na nowo uczył się, jak być nastolatkiem, on, *wieczny* nastolatek, wiecznie samotny, ostatecznie niepasujący do żadnych czasów. Często odzywała

się w nim też krew czarownic. Słyszał o tym, co wydarzyło się stosunkowo niedawno – o przebudzeniu Strażników Żywiołów, o powrocie Przekłętego – i nie mógł zrobić nic, by wspomóc wiedźmy. A może gdyby mógł, sprawy potoczyłyby się inaczej... Nawet pomoc jednej osoby mogłaby wszystko zmienić.

– Popiół... popiół... – mruczał, zaglądnąwszy w każdą szafkę. W końcu znalazł misę, w której Irma spalała kadzidła. Pozostałości po nich wciąż tam były, zupełnie jakby jeszcze wczoraj czarownica jej używała.

Został tylko kryształ górski... tak, tego było tu pod dostatkiem... i mógł zaczynać.

Zwykle na tym etapie, gdy wszystkie składniki czekały już na ołtarzu, nie miał żadnych wątpliwości. Nie wypadało ich mieć. Silna wola była najważniejsza, wola i moc. Callen doskonale wiedział, co chce osiągnąć, jednak z mocą było o wiele trudniej. Czy ta, jaka mu pozostała, wystarczy, by czar zadziałał?

– Zobaczmy – stwierdził i zapalił świece na ołtarzu, a potem w czterech stronach kręgu, dla każdego z żywiołów. Zgasił światło, pogrążając świątynię w blasku migoczących płomieni, które odbijały się w miedzianym kotle. Dla atmosfery zapalił jeszcze kadzidło. Przez kilka chwil wdychał słodki zapach, po czym wlał do kotła wodę.

Z ulgą stwierdził, że magia kotła wciąż działała, bo woda zaczęła samoistnie bulgotać. Wsypywał do niej po kolei składniki, za każdym razem mieszając trzy razy, zgodnie z instrukcją. Potem wypowiedział zaklęcie.

*Powietrze, szepciem przynieś wspomnienia.*

*Ogniu, wznieć wolę, by czar się dopełnił.*

*Wodo, dni cofnij, znajdź odpowiedzi.*

*Ziemi, prawdą mój krąg napętnij.*

*Poprzez żywioły, przez wszystkie życia*



*niech przeszłość wróci do swego dziedzica.*

Powtórzył ostatnie dwa zdania jeszcze raz, głośniej, potem znowu. Zamknął oczy, już nie tylko rzucając zaklęcie, ale modląc się do wszystkich sił i duchów, by czar się dopełnił. Trwał w bezruchu przez kilka chwil. Oczy otworzył dopiero wtedy, gdy nadzieja na to, że zobaczy jakikolwiek znak działania magii, stała się zbyt silna. Nie chciał się rozczarować, bo przypuszczał, że nic się nie stanie.

I nic się nie stało. Świece paliły się tak samo jak wcześniej, woda w kociołku wciąż się gotowała; magia nie ujawniła się.

Ale to nie znaczyło, że nie zadziała.



Kładł się już spać, gdy usłyszał drapanie w drzwi. Zniecierpliwiony, wstał i lekko je uchylił.

– Czego chcesz? – warknął, gdy Piątek przecisnął się do pokoju przez wąską szparę. – Jest późno.

– Też to zauważyłem – syknął kot. – Dobrze wiem, że łąziłeś po domu. Ale nie o tym chcę z tobą gadać.

Callen westchnął, zrezygnowany.

– O co chodzi?

– Dobrze wiesz.

– Nie bardzo...

– Co znaczy, że jesteś głupi – skwitował kot. – Chętnie ci przypomnę. Kamienny ołtarz, tajemnicza *obecność*. Klątwa. – Nawet nie musiał udawać złowieszczego tonu.

– No nie – prychnął Callen. Daleki był od spokoju, ale historie o lesie najmniej zaprzętały mu teraz głowę. – Jedyne, co nam grozi, to czary Wyrd. Rzeczy, o których opowiadały siostry, wydarzyły się tak dawno temu, że nie wiadomo, czy

w ogóle miały miejsce. To były raczej historyjki, którymi Cleto lubiła mnie straszyć.

Piątek wpatrywał się w okno, w stronę lasu.

– March widziała odciśniętą łapę – powiedział cicho, jakby wcale nie słyszał argumentów chłopaka. Potem nagle odwrócił się ku niemu, a jego oczy zaślniły. – Nie chcę nikogo niepokoić, ale...

Zawiesił głos. Trwał tak przez dłuższy czas. Callen miał wrażenie, że kot od dawna chciał coś powiedzieć, jednak celowo tego nie robił.

– No? – zachęcił go, wyraźnie znudzony.

– Sen o apokalipsie – przypomniał mu Piątek. – Tak tylko mówię.

Machnął ogonem na znak zakończenia rozmowy i wyszedł przez wciąż uchylone drzwi.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Od samego rana Callen i Piątek chodzili zadowoleni, zupełnie jakby zapomnieli, że czeka ich wypad do świata, w którym diabeł jeden wie, co może ich spotkać. Gdy March usiadła przy kuchennym stole, z pochmurną miną i żołądkiem ściśniętym głodem, kot się do niej uśmiechnął. Uznała to za wyjątkowo bezczelne.

– Dziś środa! – niemal zaśpiewał.

– Więc? – rzuciła, przy okazji patrząc wilkiem na krzątającego się po kuchni Callena. Po co łąził tam i z powrotem, skoro i tak nie mieli nic do jedzenia? Naprawdę chciałyby mieć lepszy humor, ale jego wczorajsze zachowanie znów wzbudziło w niej podejrzenia. Ani słowem się jednak na ten temat nie odezwała. Wolał działać sam, to proszę bardzo.

– To dzień Merkurego – oświadczył Piątek.

– Boga oszustów? – spytała z naciskiem March, zadowolona, że pamięta coś z mitologii.

– I handlarzy – dodał Callen, siadając przy stole. Podsunął jej szklanekę wody, którą wypila jednym haustem.

– No i mądrych ludzi, skoro już o tym mowa – odezwał się znów kot. – Zresztą wcale nie chodzi o boga, ale o planetę. Dziś dzień handlarzy, więc w Elphame odbywa się cotygodniowy targ zielny. Najważniejszy przypada wprawdzie na początek sierpnia, ale w każdą środę można znaleźć coś ciekawego.

Teraz March już rozumiała, skąd ich zadowolone miny.

– Więc chcecie przenieść się na ten targ i kupić tę dziwną roślinę, tak? Ale zaraz... Elphame jest jedną z krain ferów, i to

tych, które współpracują z wiedźmami. Skoro ściga nas Społeczność, to mogą nas tam złapać, prawda?

Wyobrażała sobie, że musi istnieć jakiś magiczny nadajnik tropiący przestępców w innych światach. Piątek od razu potwierdził jej domysły.

– Na przestępców nakłada się odcisk auryczny. Na mnie to nie działa, odkąd jestem kotem. Co do was, to jeśli nos mnie nie zawodzi, za wami Społeczność nie będzie tak prędko ganiać.

– Niby dlaczego? – zdumiała się March.

– W końcu zaczną, bez obaw, ale jeszcze nie teraz. Stosunki Społeczności z Aislingen są co najwyżej poprawne. Wszyscy wiedzą, że fery tropią czasem zupełnie niewinne osoby, więc minie trochę czasu, nim cokolwiek odcisną na waszych aurach. Jaar jest w miarę bezpieczny, dlatego więźniowie z komnaty go wybrali.

– Szczerze mówiąc, najmniej bezpieczni jesteście w Finfolk – stwierdził Callen. – Dobrze będzie wreszcie się stąd wyrwać.

– I oczywiście wiecie, jak to zrobić tak, żebyśmy po drodze nie zginęli? – upewniła się March.

– Och, to tylko Jaar – zbył ją Piątek.

– Jesteśmy przygotowani – oświadczył Callen, wskazując na leżący przy kominku plecak, wypchany do tego stopnia, że wyglądał, jakby miał pęknąć. – Mamy nawet nić Ariadny.

– Mamy co?

– To na wypadek, gdybyśmy się zgubili – wyjaśnił kot. – Właściwie to nić i szpulka. Działają całkiem fajnie. Szpulkę zostawiasz w miejscu, które opuszczasz, a nić zabierasz ze sobą i jeśli o odpowiedniej porze nie wrócisz...

– Ale to wszystko tylko na wypadek nagłych i nieprzewidzianych okoliczności – przerwał szybko Callen.

– Mówiliście, że Jaar jest bezpieczny – zauważyła March. – Nie żebym w to wierzyła, ale...

– Bezpieczny? Naprawdę? – prychnął kot, machając ogonem.  
– Na pewno tak nie mówiłem. Jest wprawdzie bezpieczniejszy od Aislingen, ale na pewno nie jest bezpieczny.

– Możesz się zamknąć? – warknął Callen. – Wybieramy się tylko do Elphame. A przenosiny są jak jazda samochodem, tyle że wypadki zdarzają się o wiele rzadziej.

– No i jest znacznie szybciej – dodał Piątek. – Niektórzy wymiotują!

– Dość tego! – zagrzemiał Callen. – Ty nie jedziesz! To znaczy nie przenosisz się!

Kot wrzasnął, jakby nadepnięto mu na ogon.

– Nie będziesz mi rozkazywać! – zawołał. – Oczywiście, że idę z wami! Gdyby coś się stało...

– Jedyną osobą z naszej trójki, która może użyć magii obronnej, jest March – zauważył chłodno Callen.

– Która jeszcze bardzo niewiele potrafi! – wtrąciła szybko zainteresowana.

– Bez przesady – stwierdził chłopak. – W Aislingen byłaś całkiem niezła. Poza tym, niezależnie od twoich zdolności, i tak jesteśmy zdani tylko na ciebie.

– Właśnie. – Piątek słodko zamrugął. – Jak się z tym czujesz?



March nie była pewna, jak się z tym czuje. Złość, strach, bezsilność nie oddawały w pełni jej stanu. Piątek wciąż robił sobie żarty, a Callen brał jej moc za pewnik. Sama nie wiedziała, który wkurzał ją bardziej. W dodatku wcale nie byli najlepszymi nauczycielami. Najważniejszej rzeczy – tego, że w magii liczy się przede wszystkim umysł – nauczył ją przecież Alogos, który ostatecznie miał dziewczynę gdzieś. Fakt, że

uciekli z Miasta Snów, wcale nie był jej zasługą. Wtedy poniósł ją instynkt, ale nie miała bladego pojęcia, co by się stało, gdyby musiała użyć bardziej strategicznej magii.

Wszystkie te wątpliwości ją zdołowały. Ze skwaszoną miną stała przed lustrem Irmy, przymierzając po kolei jej sukienki. Powiedzieć, że żadna z nich nie pasowała, to tak, jakby stwierdzić, że March niewiele brakuje, by zostać modelką. Każdy strój czarownicy był na nią za wielki, zresztą March nienawidziła sukienek, a Irma chyba nigdy nie wkładała spodni.

Westchnęła. Jej ubranie, to, w którym uciekła z domu, było w praniu. Zrezygnowana ściągnęła z siebie kolejną sięgającą kostek, niegustowną sukienkę i zaczęła dalej przeszukiwać szafę.

Garderoba Irmy była niezwykła, o czym March przekonała się, gdy tylko po raz pierwszy zaczęła szperać wśród płaszczy. Zdawało się, że szafa nie ma dna. March wołała nie zapuszczać się zbyt głęboko, w obawie, że mogłaby się zgubić albo natrafić na kolejne drzwi, które przeniosłyby ją do innego świata.

Gdy raz jeszcze weszła do szafy, omal nie potknęła się o wielkie pudło. Ciekawa, wyciągnęła je i natychmiast otworzyła.

– No! – ucieszyła się. – To jest okay!

W pudle znajdowały się starannie złożona mała czarna i długie białe rękawiczki – dokładnie ten sam strój, który Irma miała na sobie, gdy pozowała do zdjęcia z Piątkiem. Tego, które wisiało w domu.

– Gotowa?! – dobiegł z dołu głos Callena.

– Już schodzę!



Piątek oniemiał, gdy ją zobaczył. Oczy mu zapłonęły – a może zaszyły łzami na wspomnienie Irmy? Z twarzy Callena trudno było wyczytać, czy jest zachwycony, czy raczej zażenowany.

– *Wow* – powiedział pewnie tylko dlatego, że tak wypadło.

Ale March i tak się zarumieniła. Czuła się głupio. Sama uważała, że wygląda idiotycznie. Sukienka Irmy sięgała jej za kolana, rękawiczki musiała podwinąć – po co właściwie je włożyła? Jak jakaś trzpiotka, nie umiała im się oprzeć, choć były zupełnie niepraktyczne. Poza tym obawiała się, że wkładając te rzeczy, popełni świętokradztwo, zszarga pamięć czarownicy, ale skoro nawet Piątek nie narzekał, wszystko było okay.

– Och, przecież nie mogłam iść w podomce! – zawołała, jeszcze mocniej się czerwieniąc. Pierwsza ruszyła w stronę licznych drzwi znajdujących się w salonie. – Które to?

– Okrągłe fioletowe – wskazał Callen. – Przejdziemy nimi na polanę Yrenndall.

Drzwi przypominały wjazd do jakiegoś podziemnego świata. Ozdabiał je rysunek koła o ośmiu szprychach, z których każda była oznaczona dodatkowym obrazkiem. March pamiętała, co było napisane na mapie domu, jeśli chodziło o to przejście: *Baw się dobrze, ale zachowaj ostrożność*. Wpatrywała się w nie z pewnymi obawami. W wyobraźni słyszała już inny świat, który się za nimi znajdował. Oddychała głęboko, gdy Callen położył na podłodze szpulkę od nici Ariadny i przekręcił okrągłą klamkę na środku drzwi. Wypłynęło zza nich jaskrawe światło.

Piątek wbiegł pierwszy.





Początkowo March próbowała walczyć z zachwytem. Wiedziała, że piękno magicznych krain bywa złudne. Jaar był jednak hipnotyzujący, niezwykły, inny, wspaniały. Słońce, choć jaśniejsze niż w świecie ludzi, wcale nie raziło oczu. Kolory i zapachy mieszały się ze sobą jakby w tańcu, żywe, niemal mające własną świadomość. W powietrzu unosiła się jakaś muzyka, najpierw trudna do uchwycenia, potem coraz głośniejsza. March była gotowa się jej poddać, żeby choć na moment zapomnieć o problemach, ale Callen otrzeźwił ją krótkim:

– To jesteśmy.

Naraz urok opadł. Owszem, miejsce, w którym się znaleźli, pozostawało piękne, ale March zaczęła patrzeć na nie trzeźwym okiem.

– Już tu byłam! – zawołała nagle.

Tak, dobrze to pamiętała. Alogos przeniósł ją tu w wizji. Wizji, która sprawiła jej tak wiele bólu...

– Jak to? – zdumiał się Callen.

– Naprawdę. To znaczy nie *naprawdę*, ale widziałam to miejsce.

Stali na rozległej polanie, od której odchodziło wiele dróg. Część z nich prowadziła do odległego lasu, część na pola pokryte wysoką trawą. W tym samym miejscu, co oni teraz, znajdował się jednorożec, gdy poraził go ten okrutny ból. Przekazał jej potem cierpienie, by mogła nauczyć się z nim walczyć. Dotąd jedynie podejrzewała, że polana istniała naprawdę.

– Kiedy trafiliśmy do Aislingen, też tak mówiłaś – przypomniał sobie Callen. – Może znów miałaś wizję?

– Tak, coś w tym rodzaju – zbyła go March. – Jak się nazywa ta polana? Irbendal?

– Yrenndall – poprawił ją Piątek. – Miejsce, gdzie nikt nie może nas zaatakować, takie jest prawo.

– Prawo?

– Polana do nikogo nie należy. Wszyscy mogą tu przebywać, od czasu do czasu zjawiają się też namhajdy. One co prawda nie przestrzegają praw, ale kto by się tym przejmował, skoro masz scyzoryk.

March sięgnęła do niewielkiej torebki, również pożyczonej od Irmy, by wyciągnąć z niej athame.

– Szlag! – zdenerwowała się. – Mogliście mnie ostrzec.

– Niby przed czym? – zdumiał się Callen.

– Przed kompromitacją. Wyglądam jak kretyńska!

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że targ będzie się pewnie odbywał pod gołym niebem. Jasne, nie spodziewała się luksusów, ale miała nadzieję, że sukienka Irmy – i tak jedyna rzecz, którą mogła włożyć – nie będzie tak idiotycznym wyborem. Na szczęście miała na stopach trampki, choć to tylko potęgowało żałosny efekt.

– Wyglądasz w porządku. – Piątek na pocieszenie otarł się o nią ogonem. – Czarownice często bywają ekscentryczne.

*Ekscentryczne, niestety, leżało daleko od piękne.*

– Możesz się przebrać, jeśli chcesz – odezwał się Callen. – Choć byłoby miło, gdybyś odłożyła swoje babskie rozterki na potem.

– Że co proszę? – wycodziła.

– Nie mamy czasu na bzdury – brnął chłopak, nie mając pojęcia, co wyprawia. – Są na świecie rzeczy ważniejsze od twoich sukienek.

Teraz March naprawdę się wkurzyła. Czy on serio myślał, że sprowadzała wszystko do sukienki i rękawiczek? Co za kretyn!

– Posłuchaj tylko – powiedziała, bezwiednie unosząc dłoń, w której trzymała athame. – Jeszcze jeden taki tekst, a wpakuję ci ten scyzoryk w...

– Spokojnie, dzieciaki! – Piątek wskoczył między nich i zaczął żywo machać ogonem. – Bo za karę oddam was na pożarcie

jednorożcom.

– Idziemy – zarządził Callen, gwałtownie odwracając się w stronę pól. – Ja prowadzę.



Zmierzając w stronę celu, który coraz bardziej ciekawił March, Callen nie odezwał się ani słowem. Dziewczyna szybko zapomniała o złości, pochłonięta przyglądaniem się nowemu miejscu. Niby wszystko było tu podobne do świata, który znała, a jednocześnie wydawało się całkiem od niego różne, choć nie umiała wytłumaczyć tej różnicy. Chodziło chyba bardziej o aurę niż wygląd.

Wkroczyli na ścieżkę, przy której wbito tabliczkę z nazwą ELPHAME w kilku językach. Piątek wytłumaczył jej, że wszystkie ścieżki wychodzące z polany są zaklęte tak, by po wstąpieniu na którąś z nich wreszcie zawsze dojść do celu.

– Rekordowo zajęło to komuś aż siedemdziesiąt lat – mówił – ale zwykle prędzej czy później dojdiesz tam, dokąd chcesz, no chyba że coś cię załatwi po drodze.

Po obu stronach ich ścieżki rosła soczyście zielona trawa. Gałązki rzadkich drzew ozdobione były kolorowymi wstążkami i amuletami.

– Fery wierzą, że rozwieszanie ich przynosi szczęście – tłumaczył kot. – Ja też kiedyś tu coś zawiesiłem, ale nic to nie dało.

W powietrzu dźwięki ptaków i owadów łączyły się ze sobą w jedną pieśń, jakby w naturze tego miejsca ukrywał się jakiś dyrygent nadający wszystkiemu rytm. March miała wrażenie, że sama raz po raz staje się częścią tej muzyki – było to tak, jakby jej własny umysł łączył się z umysłami innych istot albo nawet samej tej krainy, a następnie się od niej oddalał.

Jednak wszystko to było niczym w porównaniu z tym, co zobaczyła, gdy przekroczyli granicę Elphame. Przypominało to wejście w bańkę mydlaną – krainę otaczała aura magii.

*To nie dzieje się na serio* – pomyślała od razu March. Ten świat po prostu nie mógł rzeczywiście istnieć, a jeśli istniał, to był rajem. Ku błękitnemu niebu wystrzeliwały gigantyczne, kolorowe kwiaty. Wokół nich latały potężne pszczoły i jeszcze większe motyle, na których grzbietach zasiadały fery.

W pierwszej chwili March odruchowo zaniepokoiła się skrzydlatymi, jednak szybko zaczęła podziwiać ich cudownie barwne ciała i wymyślne stroje. Na twarzach tych ferów nie pojawiała się wrogość, jak w Aislingen, a niektóre z nich wręcz posyłały dziewczynie pogodne uśmiechy, jakby rozpoznawały w niej w połowie *swoją*.

Podążała za Callenem i Piątkiem, potykając się o własne stopy. W Elphame było mnóstwo ludzi, a im dłużej na nich patrzyła, tym mniej zaczynała się przejmować własnym wyglądem. Piątek miał rację, mówiąc, że więdmy bywają ekscentryczne. W porównaniu z niektórymi z nich wyglądała absolutnie zwyczajnie. Widać w tym świecie znalazło się miejsce dla każdego.

*Nie jestem już dziwadłem.* Ta myśl spłynęła na nią zniecka, wywołując radość, której wcale by się nie spodziewała. Dotąd zawsze nieco inna od większości, zbyt dziwna dla ludzi, a dla aislingeńskich ferów wręcz niepożądana, tutaj wreszcie poczuła się, jakby *pasowała*, jakby ten świat był jej. I nie tylko jej. On należał do każdego, kto tu przychodził, a jednocześnie nikt nie mógł posiadać go na własność.

Dopiero widok mnóstwa drewnianych stoisk przypomniał jej, po co tu przybyli. Mimo swojej nazwy targ z pewnością nie był tylko zielny. Oprócz zasuszonych ziół dostrzegła magiczne narzędzia, amulety i przedmioty, których nie umiałyby ani

nazwać, ani opisać. Pochyliła się nad wisiorcami ozdobionymi malutkimi czaszkami i już miała sięgnąć po jeden z nich, gdy nagle tuż przed nosem przeleciało jej czarne zwierzę. Nie był to ptak, ale raczej latająca ryba. Rozwarła paszczę, jakby chciała połknąć March w całości, i wrzasnęła:

– Złodziejka!

Niezwykły czar przysł. Naraz March poczuła się, jakby wszyscy wokół zamilkli i gapili się tylko na nią. Nie było to nawet w połowie prawdą, bo większość kupujących przechodziła obojętnie, co nie zmieniało faktu, że dałaby wszystko, byleby tylko stąd wyparować.

– Ja wcale nie... – zaczęła tłumaczyć się przed nagle wyrosłą przed nią sprzedawczynią. Kobieta miała na sobie czarny kombinezon i czepkę całkiem zakrywający włosy, jej nos był karykaturalnie długi. Nie odzywała się, tylko wpatrywała w March świdrującym wzrokiem.

Nagle na stoisko wskoczył Piątek. Sprzedawczyni przeniosła wzrok na niego, ale wciąż milczała. Latająca ryba skurczyła się i pękła.

– O matko! – zawołała March. – Przepraszam! To chyba nie moja wina?

– Żadna z niej złodziejka – odezwał się kot. – Tylko patrzyła, tak? – Zeskoczył i szturchnął dziewczynę ogonem. – Idziemy.

Zachowanie sprzedawczyni stawało się coraz bardziej zastanawiające. Nawet nie drgnęła, ale gniewne spojrzenie, które im posyłała, mogłoby zabić. March sądziła nawet, że rzucała klątwę.

– Nie ma się co przejmować – stwierdził Piątek, gdy się oddalili. – Przekleństwa działają tylko wtedy, jak się w nie uwierzy. Dlatego wiedźmia psychologia mówi, żeby mieć je gdzieś.

– Niepotrzebnie wyskakiwałeś – powiedział Callen, który przez całe zajście pozostawał obojętny. March miała wrażenie,

że był mocno na czymś skupiony, ale pozostawało to poza jej zasięgiem. – Gadające koty są podejrzane nawet w Jaarze.

– Och, zamknij się – westchnął Piątek. – Przypominam ci, że nie żyjesz.

Callen, nie przejmując się ani słowami Piątka, ani wzrokiem March, szedł dalej, aż wreszcie stanął przed stoiskiem obwieszonym masą ziół. W licznych słoiczkach na ladzie znajdowały się nasiona. Stoiska pilnowała tęga ferini w nieco pobrudzonej ziemi tunice. Skrzydła miała tak malutkie, że March zastanawiała się, jakim cudem była w stanie się przy ich pomocy wznieść.

– Co dla ciebie, dziecko? – spytała. Widząc nadętą minę Callena, March prawie parsknęła śmiechem. Chłopak zaczął wodzić palcem po napisach na słoiczkach i zatrzymał się przy jednym z nich.

– Lejnik brzęcierzawy – powiedział. – Poproszę to.

– Jasne – odparła ferini z uśmiechem. – To będzie pięć...

– Chwilkę – powstrzymał ją. – Proszę najpierw wykonać próbę.

Po wesołej minie ferini nie pozostał choćby ślad. Fuknąwszy, sięgnęła po misę z ziemią, zasadziła w niej jedno nasionko i podlała je wodą z niewielkiej konewki. Naraz z ziemi wystrzeliła okazała roślina, a jej wygląd był jeszcze dziwniejszy od prędkości, z jaką wyrosła. Różowy kwiat przypominał dzbanek. Roślina poruszyła się i opuściła płatki, z których wylała się czerwona maź.

– Świetnie – ucieszył się Callen. – To...

– Sześć złotych monet – oznajmiła ferini urażonym tonem.

Chłopak bez słowa wręczył jej pieniądze i zabrał buteleczkę z nasionami.

– Skąd macie kasę? – spytała March, nachylając się do Piątka.

– Irma i Cleto zostawiły trochę w schowku na miotły. Chyba powinno wystarczyć na coś do jedzenia.



Wystarczyło. I to na całkiem dobre, choć dziwacznie wyglądające jedzenie. Na wszelki wypadek March wolała nie pytać, co to. Nazywało się skrzydełka oktoptaka i smakowało jak kurczak połączony z baraniną. Ledwo zjedli, Callen uparł się, by wracać do domu.

– Nie lepiej poszukać tu pomocy? – zastanawiała się March.

– Tu? – odparł zdumiony.

– No, w Jaarze.

W odpowiedzi Callen tylko prychnął. Miała ochotę rąbnąć go w głowę skrzydełkiem, co byłoby może niedojrzałe, za to w pełni satysfakcjonujące.

– Lepiej, żebyś na mnie nie parskał – ostrzegła – zwłaszcza że to ja mam magię.

– Wcale na ciebie nie parskam, tylko mówię, że trzeba wracać, pilnować domu.

– A niby co, inaczej nam zwieje?

– No wiesz, to niewykluczone – uznał Piątek.

Callen przewrócił oczami. Jego aura aż się skrzyła. March przypuszczała, że był poirytowany z jakiegoś innego powodu niż ich kłótnia. Zdziwiłaby się zresztą, gdyby chodziło właśnie o nią. Przez cały czas pozostawał tak samo nieobecny i wciąż się rozglądał. March była już pewna, że szukał czegoś konkretnego.

– Czasami musisz mi po prostu wierzyć na słowo, okay? W magii są rzeczy, które...

Stanął nagle jak wryty. Przechodzili właśnie obok kolorowego namiotu, gdy ze środka wychyliła się czyjaś ręka.

Cienkie palce o długich, pożółkłych paznokciach ozdobione były licznymi pierścieniami, a jeden z nich wyginał się w zapraszającym geście. Opary słodkiego kadzidła wiły się wokół dłoni niczym węże.

– Wejź – z namiotu dobył się stary, kobiecy głos. Słowo brzmiało nie jak zaproszenie, ale jak rozkaz.

March posłała pytające spojrzenie Piątkowi, który szepnął:

– Przepowiadaczka. To namiot wróżki. Pełno ich tu. – Zaśmiał się, choć nerwowo. – Zwykle gadają głupoty, choć czasami...

– Chyba nie wierzycie w przepowiednie? – zdumiała się March. – To nie żadna magia, zwykli ludzie też bawią się w takie bzdury.

– Warto się przekonać – stwierdził kot, ruszając w stronę namiotu. Ale wtedy głos zastrzegł:

– Nie. – Był teraz gardłowy, groźny. – Tylko ty, chłopcze.





## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Piątek i March patrzyli na niego oskarżycielskim wzrokiem, jakby sądzili, że sam stał za wezwaniem. Callen otwierał już usta, by powiedzieć, że nie ma z tym nic wspólnego, ale się zawahał. Bo przecież mógł mieć. Od początku ich wizyty w Jaarze szukał oznak, że jego wczorajsze zaklęcie zadziało – jeśli pojawienie się wróżki nie było taką oznaką, to nie miał pojęcia, co mogło nią być.

– Dobra – stwierdził po chwili. – W takim razie muszę tam wejść. – Spojrzał na namiot, starając się obojętną miną zakryć rosnące podekscytowanie.

March zamrugała ze zdumieniem.

– Serio chcesz wydawać kasę na jakieś wróżki? Normalnie bym się nie wtrącała, ale teraz w pewnym sensie mamy wspólne finanse, tak? Poza tym wróżby to jakieś brednie.

– Nie są takie złe – stwierdził Piątek. – Chociaż bywają niejasne, to fakt. Kiedyś jedna wieszczka przepowiedziała mi, że przez chwilę będę super bogaty, a potem całe moje życie się odmieni. I tylko na mnie spójrz!

– Każdy mógł powiedzieć coś takiego – zauważyła March.

– Ale ona miała rację! – upierał się Piątek. – A reszta to już tylko kwestia interpretacji.

Callen w dalszym ciągu wpatrywał się w namiot. Ręka już znikła, ale wiedział, że wróżka wciąż na niego czeka. Wprawdzie podczas dni targowych w Elphame aż roiło się od różnej maści naciągaczy, jednak tym razem chłopak miał wrażenie, że to coś więcej. A może po prostu chciał, żeby tak było? Tak czy inaczej, rezygnacja z okazji nie wchodziła w grę.

Korzystając z tego, że March i Piątek wciąż się sprzecali, niepostrzeżenie uchylił zasłonę i wszedł do namiotu. Bez trudu rozpoznał nałożone na wnętrze czary. Żaden z nich go nie zdziwił. Zaklęcie rozszerzające sprawiało, że namiot w środku wydawał się o wiele większy niż z zewnątrz, a wyciszające tłumilo wszelkie niepożądane dźwięki. Wróżka zastosowała kilka dodatkowych czarów mających sprawić, że atmosfera w namiocie wyda się podniosła. Kogoś niewprawnego mogłyby zwieść, ale Callen dobrze wiedział, że to nic innego jak sprytny marketing, coś w stylu zapachów rozpylanych w ludzkich supermarketach.

Wygląd pomieszczenia też nie różnił się od wyglądu większości gabinetów wróżbiarskich. Intensywne kolory wraz z kłębiącym się kadzidłem wściekle atakowały oczy, tak że w pierwszej chwili Callenowi trudno było się w tym wszystkim odnaleźć. Ściany pozakrywane były barwnymi, haftowanymi zasłonami, na podłodze leżało kilka dywanów. Wróżka siedziała ze skrzyżowanymi nogami w środku kręgu stworzonego z licznych poduszek. Jej ręce spoczywały na szklanej kuli, pod której powierzchnią unosiła się mgła.

– Podejdz, chłopcze – przywołała go, nie spuszczając wzroku z kuli.

Gdyby nie fakt, że Callen coraz bardziej się denerwował, pewnie by się roześmiał na widok wieszczki. Była niczym wyjęta z bajki. Na głowie zawinęła sobie różowy turban ozdobiony połyskującym klejnotem, a jej suknia pokryta była symbolami astrologicznymi. Powoli uniosła niezwykle długą rękę, a chudy palec wystrześlił ku chłopakowi.

– Chodź – powtórzyła. – Usiądź.

Zbliżył się do kuli, zajmując miejsce naprzeciwko kobiety. Nigdy nie był najlepszy w czytaniu z kryształów. To, co dla wróżki mogło być jasną do opowiedzenia przyszłością, dla niego stanowiło zaledwie płataninę mglistych kształtów.

Wieszczka uniosła na niego wzrok. Jej twarz pokrywały liczne zmarszczki, które przypominały blizny po cięciach nożem. Zdawało się, że zamiast oczu ma jedynie dwa ciemne tunele.

– Podaj mi dłoń – poleciła.

Callen posłusznie wyciągnął rękę. Wróżka złapała ją gwałtownym ruchem i zamknawszy powieki, długim, poźółkłym palcem zaczęła zataczać na spodzie jego dłoni koła.

– Stary z ciebie chłopiec – wyszeptała.

– C-co? – zająkał się.

– Masz więcej lat, niż się wydaje. Twój zegar długo był zatrzymany, lecz wreszcie ruszył, dotknięty magiczną dłonią... dłonią starej dziewczyny, starszej nawet od ciebie.

Przełknął ślinę. *Wiedziała*, był niemal pewny, że wiedziała, o czym mówi. Nie odzywał się jednak, pozwalając jej ciągnąć. Puściła jego dłoń i sięgnęła za własne plecy, skąd wyjęła niewielki kryształowy medalion. Callen rozpoznał go jako pamiętnik wróżby – amulet, w którym można było zakląć słowa przepowiedni, by w każdym momencie móc ich odsłuchać. Gdy go otworzył, wróżka uniosła znów spojrzenie na jego twarz. Mimo pustki w jej oczach doznał wrażenia, jakby patrzyła wprost na niego, a może nawet *przez* niego.

– Szukasz tylko jednej rzeczy, a znaleźć musisz trzy – oświadczyła pewnym głosem. – Każda ważniejsza od innej, choć wszystkie na jedną się składają. Pierwsza, pamiętaj, przychodzi w czterech krokach. Dwa już wykonane, trzeci trzeba zrobić komuś, kto kroczy obok ciebie. Cel tej drogi ma barwę i posmak szkarłatny, a osiągnięcie go to spełnienie wszystkich pragnień.

Urwała, choć wcale nie po to, by znaleźć kolejne słowa. Zdawało się, że na języku miała ich aż za dużo, musiała tylko wybrać odpowiednie. Twarz Callena stała się dla niej źródłem, z którego wydobywała przyszłość.

– O drugim celu wiesz, bo to z nim przychodzisz. Dotrzesz do niego szybciej, niż myślisz, ale czy cię zadowoli? – Przymrużyła oczy i po chwili zastanowienia pokręciła głową. – Nie, zadowolić nie może, bo każdy sen czmycha przed twardym kamieniem tego świata. Lecz obrałeś tę ścieżkę, zatem już z niej nie zboczysz, gdyż zdarzenia również na nią wstąpiły. I przyjść do ciebie muszą, zgodnie z twoją wolą.

Medalion w dłoniach Callena przejmował każde słowo wróżki, które wpływało do niego jako błękitna energia. Gdy kobieta spuściła wzrok, chłopak poczuł się, jakby odkleiła się od niego pijawka sącząca jego duszę. Wróżka skupiła się znów na kuli i zaczęła na nowo opowiadać, tym razem wykradając światu wiedzę przez szkło.

– W mrocznych odmętach ryczy przekleństwo dawno tam uwięzione. Głód jego zaspokojono, karmiąc go jego własną naturą. Lecz ono znów pragnie ofiary, gdyż ta, co je powołała, rozbudziła je ponownie, bezwiednie. Sama siebie przeklęła, jako stwórczyni jego i wróg zarazem najsroźszy. On był jej dziecięciem, a wykradł jej dziecię. Imienia tajemnego szukaj w miejscu narodzin.

Callen nie próbował nawet udawać, że rozumie słowa wieszczki. Biorąc jej milczenie za oznakę tego, że już skończyła, sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Ile się...?

– Nic – powstrzymała go.

– Słucham?

– Nic – powtórzyła, nie patrząc na niego. – Coś mi mówi, że postąpiłam słusznie. Ale co dokładnie? Sama nie wiem. Czasem ciężko rozróżnić spośród głosów w głowie.

Mówiła już całkiem zwyczajnie i zajęła się poprawianiem poduszek. Callen był tak zdumiony, że nawet zapomniał jej podziękować, idąc ku wyjściu.

– Chłopcze? – zatrzymała go. – Wiesz, gdzie są Wysokie Pnacza, tak?

– Hm... No... – Zdumiał się tym nagłym pytaniem. – To niedaleko Iarandinnu...

– Zgadza się. W takim razie zapamiętaj: łodyga dwudziesta druga, liść trzydziesty.



Zachowanie Callena odebrało March cały dobry humor. Nie chodziło tylko o to, że czmychnął do namiotu wróżki, nim zdążyła kategorycznie się temu sprzeciwić, ale też o to, że po rozmowie z wieszczką stał się jeszcze bardziej małowówny – o ile to w ogóle było możliwe. Za nic nie dało się z niego wyciągnąć, co usłyszał. Gdy w końcu Piątek wydarł się na niego, niemal wbijając mu się pazurami w nogę, Callen obojętnie odparł, że wróżka „plotła coś bez sensu”. Ale wystarczyło spojrzeć na jego twarz, by dostrzec, że wciąż rozmyślał nad jej słowami.

To wszystko sprawiło, że March straciła zainteresowanie Jaarem. Spędzili w nim jeszcze tylko pół godziny, bo Piątek uparł się, żeby jednak zrobić zapasy jedzenia przynajmniej do jutra. Gdy wybierał kolejne dziwaczne potrawy na wynos, March przyglądała się ferom i wiedźmom, licząc na zobaczenie czegoś niesamowitego, ale nadmiar niezwykłości wkrótce sprawił, że całkiem się do niej przyzwyczaiła.

Musieli wrócić do domu przez coś, co Piątek nazwał portalem stałym.

– Gdyby ich nie było, ty musiałabyś nas teleportować, a to mogłoby się skończyć masakrą – zauważył. – Niektórzy gubią spore kawałki ciała podczas przenosin. Ale portale stałe są bezpieczne.

Dobrze, że to powiedział, bo wcale na takie nie wyglądały. Miejsca, które wydzielono dla czarownic, by mogły przenosić się do świata ludzi, przypominały prowizoryczne toalety, które zamiast drzwi miały jedynie zasłony z liści. W środku były całkiem puste, a ich gliniane ściany pokrywały magiczne symbole.

– Wygląda to jak równanie matematyczne. – March wzdrygnęła się, patrząc na długi ciąg pokrętnych symboli.

– Trochę tak – odparł Piątek. – Tyle że magiczne ciągi faktycznie rządzą kosmosem. Ten tutaj ma zapewnić nam bezpieczne przejście do...

– Idziemy czy nie? – zniecierpliwił się Callen. – Dom na nas czeka.

March obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Ciągłe mówisz o nim, jakby żył.

– Bo żyje. I nie wolno go zostawiać.

– Przecież jest przywiązany do ogródka – westchnął znudzony kot. – Nie ucieknie... tym razem.

Zaśmiał się, choć wcale nie brzmiało to zabawnie. Ostatnią rzeczą, jakiej życzyła sobie March, było uganianie się po Ffolk za magicznym domem.

– Szybciej tam! – zawołał wściekły głos zza liściastej zasłony. – Inni też chcą wyjść z tego parszywego Elphame! – A potem zaczął mówić ciszej, choć z nie mniejszym zdenerwowaniem, do kogoś innego: – Oszukali mnie na trzydzieści monet. Wyobrażasz to sobie? Na pewno zgłoszę to do obsługi konsumenta międzyświatowego w Iarandinnie. Nikt nie będzie sobie ze mną pogrywał.

– No dobra – westchnęła March – to jak mamy się przenieść?

– Po prostu złap nas za ręce i wypowiedz nazwy miasta i domu.

– I tylko tyle?

Callen przewrócił oczami.

– A co jeszcze chciałabyś zrobić?  
– Na przykład kopnąć cię w zadek – rzuciła gniewnie March.  
– Ile można czekać?! – zagrzemiał ten sam głos, po czym rzucił w ich stronę wiązką przekleństw.

Piątek wskoczył March na rękę.

– Już – poprosił.

Niechętnie złapała dłoń Callena i gdy wypowiedziała głośno: „Finfolk, Dom Wiedźm”, ziemia lekko się zatrzęsała, przestrzeń zawirosowała i po sekundzie stali już w salonie Irmy i Cleto, tuż przy drzwiach do Jaaru.

Callen od razu popędził na górę, rzucając tylko:

– Czarem zajmiemy się później.

Jeszcze przez kilka chwil po tym, jak zniknął na schodach, March wpatrywała się w nie ze zdumieniem.

– Zachowuje się dziwnie, prawda? – Odwróciła się do kota, zajętego już obwąchiwaniem pudełek z jedzeniem. – Znów coś ukrywa, jestem tego pewna.

– Jak my wszyscy – oznajmił Piątek, dobierając się do czegoś, co przypominało pieczone ziemniaki. – Jak my wszyscy.



*Szukasz tylko jednej rzeczy, a znaleźć musisz trzy...*

Zamknięty w pokoju Callen otworzył pamiętnik wróżby i na nowo odsłuchiwał słowa wróżki. Obawiał się, że rozumie z nich jeszcze mniej niż za pierwszym razem. To prawda, że poszukiwał tylko jednej rzeczy, ale dlaczego miałby szukać aż trzech? I dlaczego pierwsza z nich miałaby przychodzić w „czterech krokach”, z których „dwa już wykonane”? Jeśli kolejne miał wykonać ktoś, kto był obok niego, w grę wchodził tylko Piątek i March. Poza tym skąd „barwa i posmak



szkarłatny”? Najwyraźniej chodziło o jakiś przedmiot, ważny przedmiot, skoro osiągnięcie go miało spełnić wszystkie jego pragnienia.

Ale on od dawna miał tylko jedno pragnienie. Drugi cel, zgodnie ze słowami wróżki, był już blisko. Martwiło go jednak to, że ten cel nie miał go zadowolić. *Sny mają czmychnąć przed twardymi kamieniami...* Wieszczka zapewne miała na myśli to, że rzeczywistość nie sprostą jego wyobrażeniom. Ale wyglądało na to, że nie ma już odwrotu, skoro zdarzenia miały przyjść do niego zgodnie z jego wolą, co oznaczało zresztą, że czar zadziałał.

Westchnął. Druga część przepowiedni martwiła go najbardziej. To z jej powodu uciekł na górę przed rozmową z March i Piątkiem, a potem, ledwo powłócząc nogami, padł na łóżko. Słowa wróżki go przytłoczyły, sprawiły, że zaczął tworzyć w myślach zbyt wiele scenariuszy. Jeśli miał się zawieść na celu, którego poszukiwał, co to właściwie znaczyło? Odkąd pamiętał, jego wysiłki zawsze szły na marne, odnosił co najwyżej połowiczne sukcesy. A było coraz gorzej i gorzej...

Trzecia część przepowiedni była na tyle skomplikowana, że nie miał siły teraz się nią zajmować. Nie rozumiał z niej właściwie ani słowa, choć przypuszczał, że mogła mieć coś wspólnego z koszmarami wzbudzonymi przez Wyrd. I jeśli można było cokolwiek na to poradzić, to chyba tylko znajdując cel opisany przez wróżkę na początku.

*Czyli właściwie niczego nie mogę zdziałać* – pomyślał. To nie o nim mówiła pierwsza część przepowiedni. Prędzej czy później będzie musiał o niej powiedzieć March i Piątkowi, choć na razie nie było sensu ich martwić. Zapewne zrozumieliby z tego nie więcej niż on, a już i tak mieli na głowie walkę z czarem Wyrd.

Najlepiej rozumiał ostatnie zdanie, które wypowiedziała wieszczka. *Łodyga dwudziesta druga, liść trzydziesty.*

To był adres. Adres, pod który Callen musiał zapukać.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Sam nie wiem, czy te kości policzkowe nie są zbyt wypukłe – stwierdził Piątek. – Będzie bolało.

– Mówiłeś, że i tak będzie bolało! – zawołała March.

– No tak, podrośnięcie o te kilka centymetrów nie odbędzie się bez bólu. Zmiany w kościach nie są przyjemne, choć w porównaniu z moją przemianą wasza to kaszka z mleczkiem. Ale przyznaj się, że ta modelka po prostu ci się podoba.

March trzymała teraz kota na kolanach, ale miała ochotę go rzucić.

– Ta, jasne – prychnęła. – Po prostu chcę wyglądać zupełnie inaczej niż w rzeczywistości.

Pożałowała, że to powiedziała. Skupianie się na najładniejszych modelkach po to, żeby znaleźć swoje przeciwieństwo, nie świadczyło najlepiej o jej samoocenie, a Piątek i Callen nie musieli znać jej kompleksów. Na szczęście przynajmniej ten drugi nie doszukiwał się w jej słowach drugiego dna.

– Ile razy mam powtarzać, że wcale nie musi to być ktoś zupełnie różny od nas? – odezwał się znad ołtarza, gdzie kompletował już składniki amuletu zmiennokształtnego. – Nawet lepiej, żebyśmy wcale się aż tak nie zmienili. Przeciwiństwa są bardziej podejrzane od czegoś, co w znacznym stopniu przypomina zmieniającego się. No i trudniejsze do osiągnięcia.

Postawił z trzaskiem butelkę ze skruszonym ametystem obok pentakla, dysku z wyrysowanym na nim pentagramem.

Ciągle chodził podenerwowany, ale tworzenie amuletu przynajmniej na pewien czas pozwoliło mu skupić myśli na czymś innym.

– Dałem wam katalog, żebyście szybko znaleźli kogoś, do kogo możemy się upodobnić, a nie zastanawiali się nad upiększaniem.

– Pragnę zauważyć, że nie jest łatwo znaleźć kogoś, do kogo można się upodobnić, skoro wszystkie zdjęcia są czarno-białe i stare – odrzekł kot. – A co do standardów piękna, to mocno się zmieniły. W moich czasach takie chude modelki jak dziś mogłyby co najwyżej straszyć w Halloween.

W odpowiedzi March wydała z siebie groźny pomruk. Sama była chuda.

Bądź co bądź, Piątek miał rację co do katalogu. Przygotowując się do czaru, Callen oświadczył, że sam zajmie się warzeniem mikstury, w której miał zagotować amulety, a im dał – jak to określił – najważniejsze zadanie: znalezienia osoby, których kształty będzie można *skopiować*. W domu miał tylko stare magazyny modowe Irmy, w których zdjęcia były od dawna wyblakłe i pomięte, jakby ktoś wyjątkowo często i uporczywie je przeglądał.

– No dobra, mam – stwierdziła zrezygnowana March, wskazując na nieco tęgą, ale na pewno zdrowo wyglądającą modelkę. – Włosy ma podobne do moich, jest tylko trochę wyższa i ma ładniejszy nos. Chyba nikt mnie nie rozpozna, co nie?

Piątek zmrużył oczy, studiując zdjęcie.

– Raczej nie. Nie wygląda na morderczynię bardziej niż ty.

– Jest grubsza od ciebie? – spytał Callen bezlitosnym tonem naukowca. – Jeśli tak, to będę musiał dodać do twojego amuletu trochę posypki do Ciastek Babuni.

March uniosła brwi.

– Jakiej babuni?

– To nazwa leku na chudzielnicę pospolitą – wyjaśnił Piątek, co zresztą tłumaczyło tyle co nic. – No wiesz, to magiczna choroba. Jeśli pogryzie cię szynszyla sehgarska, zaczniesz się odwadniać, stracisz na wadze i umrzesz w przeciągu pół godziny, jeśli nie zjesz Ciastek Babuni... Wcale nie żartuję, sam je jadłem – dodał, widząc rosnące zdumienie na twarzy dziewczyny.

March stwierdziła, że o wiele bezpieczniej dla niej samej będzie nie wnikać, o co dokładnie chodzi. Wstała i podeszła do ołtarza, przy którym krzątał się Callen. Wyglądał trochę jak chemik. Na nos włożył okulary, dzięki czemu lepiej widział zioła, które niezwykle starannie odmierzał w szklanych fiolkach. Miał nawet białe rękawice wykonane chyba z sierści jakiegoś zwierzęcia (o co pewnie też lepiej było nie dopytywać). Można by pomyśleć, że w Domu Wiedźm znajdowało się prawdziwe laboratorium, gdyby nie fakt, że pokój czarownic nadal wyglądał jak świątynia.

Dochodziła północ, a ponieważ nie było tu lamp, w całym pomieszczeniu Callen porozstawiał grube świece. Ich płomienie odbijały się w magicznych sprzętach, tańczyły w szybie okiennej i na powierzchni kociołka. Wyglądały jak żywe, co sprawiało wrażenie, jakby otworzył się tu inny wymiar, nieco podobny atmosferą do Jaaru. A March potrafiła już wyczuwać takie rzeczy.

– Kiedy będą gotowe? – spytała, patrząc na bulgoczącą w kociołku wodę i dwa otwierane medaliony, do których Callen miał wlać substancję, zamieniając je w amulety.

– Jak się zdecydujesz na jakąś twarz – rzucił chłopak niecierpliwie.

– Przecież już to zrobiłam.

– A dla mnie też coś wybrałaś? – Callen spojrzał na nią z nadzieją.

– Owszem – odparła z przekąsem.

Dla niego wybrała modela na samym początku. Tak się składało, że najbrzydszy facet znajdował się już na okładce – wyglądał jak elf zbiegły od Świętego Mikołaja. Nie była to najwredniejsza z zemst, o jakich March mogła pomyśleć po tym, jak Callen zachował się w Elphame, ale lepsza taka niż żadna. Gdy pokazała mu zdjęcie, ledwo na nie zerknął, zajęty miksturą.

– Dobra, to teraz trzeba na podstawie tych wizerunków wybrać składniki. – Wskazał na ołtarz. – Będę je wrzucać do kotła, a ty musisz mieszać.

March spojrzała na wielką drewnianą chochlę.

– Dlaczego akurat ja?

– Chodzi o twoją magię. Chochla będzie trochę jak różdżka. Musisz przesłać przez nią swoją energię, kiedy będziemy wygotowywać amulety.

*Chochla jak różdżka.* Brzmiało to gorzej niż żarty Piątka. *I niby co to miało znaczyć: wygotowywać amulety?*

Callen, uważnie przyglądając się zdjęciom modeli, włożył do kotła najpierw jedno, potem drugie. Przemoczone i parujące, złożył w malutkie kwadraciki, delikatnie, tak by ich nie podrzeć, po czym zamknął je w przygotowanych medalionach.

– Chyba będzie okay – stwierdził. – Pora na zaklęcie.

Położył medaliony na ołtarzu obok zapalonej świecy. Potem wręczył dziewczynie kartkę z zaklęciem. Przeczytała instrukcje. Czar wydał jej się głupi i nedorzeczny, ale w zasadzie nie stanowiło to żadnej nowości. Instrukcja kazała skierować athame w stronę wisiorków i wypowiedzieć magiczne słowa.

– Tylko pamiętaj o energii – przypomniał Piątek, chodząc wokół ołtarza. – Bez tego zaklęcie na nic się nie zda.

– Wiem, wiem – westchnęła March. Jeśli czegoś nauczyła się w Aislingen, to poprawnego użycia mocy.

Zamknęła oczy i wyczuła w brzuchu obszar, z którego emanowała jej magia. Przez chwilę walczyła z natrętnym wspomnieniem głosu Hypnosa, który niedawno nauczył ją czerpania energii – nie potrzebowała ferów łązących jej po głowie, nawet jeśli byli *naprawdę* przystojni. Pozwoliła energii popłynąć ku palcom i przez ostrze scyzoryka.

Gdy spojrzała na ołtarz, z jej athame płynęła już złocista energia. March wypowiedziała słowa:

– *Człowiek w kota, kot w zająca, mym przemianom nie ma końca. Kość niech swoją formę zmieni, usłysz mnie, żywiolo ziemi. W zaczarowaną godzinę to, co stałe, płynnym czynię.*

– *Niech tak się stanie* – dodał kot z taką nabożnością, jakby mówił „Amen” w trakcie nabożeństwa.

Energia przestała płynąć. Uformowana w koło, wirowała przez chwilę nad medalionami, aż wreszcie w nie wniknęła. Callen wrzucił je do kotła.

– Mieszaj, szybko – polecił March, której nie podobał się ten pośpiech. Używanie magii ciągle jeszcze ją fascynowało, ale przesyłanie energii przez drewnianą chochlę zamiast przez ozdobiony zaklętymi symbolami scyzoryk wydawało się znacznie mniej urokliwe.

W bulgoczącej wodzie raz po raz pojawiały się świetliste wiązki energii, które zaraz znikwały. Amulety raz po raz brzęczały, uderzając o ściany kotła. Piątek przyglądał się temu z pewną nostalgią.

– Stare zaklęcia Mallowayów – westchnął. – Wiecie, że to pochodzi jeszcze z Czasów Stosów, kiedy wierzono, że wiedźmy potrafią zmieniać się w zające? Niektóre koweny tak dobrze znały to zaklęcie, że na słowa „Kicajmy jak zające” wszystkie czarownice natychmiast zmieniały formy, a te, które tego nie potrafiły, kucaly i podskakiwały jak...

– Ach! – krzyknęła March, gdy woda w kotle spieniła się i w górę wystrzelił błękitny strumień. Rzuciła chochlę,



oddalając się na bezpieczną odległość, ale Callen, zupełnie niezrażony, nachylił się nad spienioną wodą. Piątek skoczył mu na ramię, żeby lepiej widzieć.

– Udało się! – zawołali unisono.

March nieufnie podeszła znów do kotła. Unosiły się nad nim teraz dwa, wirujące wokół siebie amulety.

– To ma nam zmienić kształty? – zdumiała się.

– Tak, ale... chwilę – powiedział Callen, zamykając oczy. Ścisnął jeden z amuletów w dłoni, najwyraźniej badając go magicznie. – Ten jest twój – stwierdził, wręczając go March.

Dziewczyna zrobiła głęboki wdech. Czekwała na znak Callena, po czym razem założyli amulety na szyje.

Zawyła z bólu. Naraz jej kręgosłup, ręce i nogi zaczęły się wydłużać, kości poruszały się pod skórą, jakby próbowały ją przebić. Złapała się za głowę, pewna, że pęka jej czaszka. Krzyczała przez kilka chwil, nie zdając sobie sprawy, że to robi. Ale ból szybko znikł i wtedy, leżąc na podłodze, czuła już tylko, jak jej ciało się rozrasta, co nie było przyjemne, ale bezbolesne.

– I jak? – spytał Piątek, pochylając się nad nią.

Podniosła się, zupełnie wyczerpana.

– Chyba... chyba okay – odparła zmienionym, wyższym głosem i spojrzała na Callena. Chłopak urósł niewiele, ale znacznie się postarzał, miał dłuższe, kruczoczarne włosy, haczykowaty nos i mocno się przygarbił.

– Zrobiłaś ze mnie Quasimoda! – zawołał, na co Piątek zaczął chichotać. Głos Callena też zmienił barwę, stał się nieco chropowaty.

– Jestem wyższa – stwierdziła March. To dziwne, że choć jedno z jej odwiecznych marzeń się spełniło, wcale nie była pewna, czy ją to cieszy. Dotknęła twarzy, od razu doznając wrażenia, że ta stała się dziwna i nieforemna. Nie czekając na nic więcej, wybiegła ze świątyni, żeby spojrzeć w lustro.

Wpadła do pokoju Irmy z duszą na ramieniu. Przejmowanie się wyglądem w takiej sytuacji było pewnie idiotyczne, ale na zażenowanie przyjdzie czas potem. Na razie March, słysząc wyraźnie, jak wali jej serce, spojrzała na swoje odbicie.

Napięcie uchodziło z niej falami. Nie musiała panikować, nie było tak źle. Wprawdzie nie do końca przypominała całkiem ładną modelkę z magazynu, ale nadal wyglądała jak człowiek. Twarz miała pulchną i delikatną. Gdyby od czasu do czasu się uśmiechnęła, pewnie wyglądałaby nawet... serdecznie. Urosła o jakieś kilkanaście centymetrów, ciała nabrała głównie w biodrach, udach i na piersiach, które nagle stały się niesamowicie ciężkie. Obiecała sobie, że już nigdy nie będzie narzekać, że jest płaska. Jej poprzednia, filigranowa sylwetka wydała się jej nagle bardzo praktyczna. Amulet na jej piersi połyskiwał ciekawą, złotawą barwą.

Westchnęła. Trochę się wygłupiła, wybiegając ze świątyni. Wróciła do środka z uniesioną głową.

– No, może być – oznajmiła wpatrującym się w nią ze zdumieniem towarzyszom. – Będzie się to trzymać, póki nie zdejmujemy amuletów?

– Dokładnie – odparł Callen. – Trzeba je będzie zakładać za każdym razem, jak pójdziemy na miasto.

March nie była zadowolona.

– Oby to było jak najrzadziej – powiedziała.

– Nie lubisz wchodzić w koszmary? – spytał Piątek. – Myślałem, że masz w tym wprawę.



Zasypianie tej nocy okazało się dla March zwyczajnie wkurzające. Chciała przywyknąć do nowej postaci, więc nie zdjęła amuletu przed snem, bała się też bólu, który

towarzyszył przemianie. Nowe ciało przyszło jednak wraz z przyzwyczajeniami, których teoretycznie nie powinno mieć, skoro dopiero co powstało. Ale miało je, oczywiście, i to zupełnie odmienne od przyzwyczajzeń właścicielki. Trudno było zliczyć, ile razy musiała zmieniać pozycję, a każda i tak okazywała się nieodpowiednia. W pewnym momencie March miała ochotę wstać i zacząć kopać ściany.

Jeśli można było powiedzieć o tej sytuacji cokolwiek pozytywnego, to to, że z nowym, upierdliwym ciałem do dziewczyny nie wróciły wspomnienia kamiennego ołtarza i monstrialnej łapy. Więc gdy w końcu zapadła w niespokojny, płytki sen, nie przyśniło się jej absolutnie nic.

Zaraz po przebudzeniu pomacała nową twarz. Wyczuwała ją palcami niczym przyklejoną na stałe maskę. Zerwała się z łóżka, nie chcąc tracić czasu na popadanie w depresję, skoro już i tak było wystarczająco źle. Choć raz rzeczy Armii pasowały na nią jak trzeba, ale wcale nie było jej w nich do twarzy. Ubrana w kwiecistą sukienkę z lat pięćdziesiątych i z sandałami na stopach zeszła na dół, gdzie czekali już Piątek i Callen.

– A to co? – spytała, widząc kapelusz na głowie chłopaka. – Faktycznie wyglądasz teraz jak elf. Albo troll.

Callen zmiażdżył ją spojrzeniem. A przynajmniej bardzo się starał, ale przydługi nos sprawiał, że ciągle zezował.

– Pożyczyłem mu swoje stare ciuchy – oświadczył kot, unosząc głowę znad miski ferzych płatków. – Skoro sam nie mogę ich nosić...

– Wybierasz się z nami? – odparła, siadając do stołu. Omal nie przewróciła krzesła, próbując zapanować jednocześnie nad nowymi rękoma, nogami i tyłkiem.

– Nie, bo on mi zabronił – mruknął kot, bocząc się na chłopaka.

– Ktoś musi pilnować domu – odrzekł spokojnie Callen, odstawiając własną miszkę z płatkami, po czym zwrócił się do March: – Zjedz coś na szybko i wychodzimy. Musimy iść nie tylko do sklepu. Właściwie teraz, skoro mamy już trochę zapasów, to mniej istotne. Ale tak czy siak trzeba porozglądać się trochę po Finfolk, poszukać oznak klątwy.



March obawiała się, że nie będzie wiedzieć, w jaki sposób rozpoznać skutki przekleństwa. Ledwo jednak wyszła za Callenem z ogrodu, poczuła się, jakby rzeczywistość, w której czar Wyrd zatopił miasteczko, wyglądała z każdego kąta. Coś, czego nie umiała nazwać, a co przypominało obecność groźnych zwierząt – niewidzialnych, a jednocześnie niezwykle wyraźnych – osaczyło ją ze wszystkich stron. Ponurość i smutek przykleiły się do jej ciała, wywołując podskórną nerwowość.

– Nie masz wrażenia, że... – Zawahała się, zdając sobie sprawę, że to, co chce powiedzieć, zabrzmii idiotycznie. – To głupie, ale wydaje mi się, że jest tak jakby... ciemno.

Można by uznać, że upadła na głowę. Słońce świeciło tak samo mocno jak wczoraj. Ba, właściwie było o wiele cieplej niż w zwykłe szkockie lato. A jednak ciemność faktycznie opadła na Finfolk. Rozciągała się nad nim niczym mroczna, nieprzepuszczalna płachta – i co z tego, że na pozór wszystko było jasne, skoro mrok wkradał się w samo serce?

Myśląc o tym, March miała wrażenie, że przeszył ją lodowaty chłód. Spodziewała się zobaczyć na twarzy Callena zdumienie, ale chłopak pokiwał głową.

– Tak działa klątwa. Pamiętasz, jak się czułaś, kiedy wrzucono cię w koszmary? – Nagle przybrał tak poważną

minę, że nawet jego dziwny nos nie mógł jej rozśmieszyć. – Wiem, jak to jest; wszyscy, którzy tego doświadczyli, wiedzą. Pojawia się wtedy taka sama ciemność, której... której nie rozumiesz, bo ona przychodzi jakby z zewnątrz i zohydza ci życie, wnika w duszę, bardzo głęboko... Nie masz pojęcia, jak z nią walczyć, bo przecież jej nie widać, nie znasz jej źródła.

Mówiąc, stopniowo oddalał się od March myślami, przywoływał własne wspomnienia, które tak dobrze rezonowały z nią. Mówił o sobie, ale także o niej. A potem jego wzrok znów stał się całkiem trzeźwy.

– Tobie się udało – powiedział. – Ty pokonałaś Strażnika Koszmarów i wierz mi, że niewielu przed tobą dokonało tego samego. W pewnym sensie jesteś skarbem.

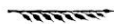
Już otwierała usta, żeby uciąć tę zawstydzającą ją przemowę. Powstrzymała się, bo Callen brzmiał po prostu szczerze. A biorąc pod uwagę wszystkie jego tajemnice i niedomówienia, ceniła sobie momenty szczerości.

Ale nadal, oczywiście, nie znosiła ckliwości.

– No to idziemy – zarządziła. – Żadne skarby nam nie pomogą, jeśli będziemy tu stać i się na siebie gapić.

Chłopak jakby się ocknął.

– Ach tak, racja – powiedział. – Ty prowadź.



Gdy matka March postanowiła przeprowadzić się z Londynu do Finfolk, dziewczynie nie pozostało nic innego, jak spróbować polubić miasteczko. Szybko przekonała się jednak, że było to niemożliwe. Finfolk okazało się nie tylko nudne, ale w dodatku mieszkali tu najpodlejsi ludzie na świecie. Nie żeby March sama nie bywała od czasu do czasu wredna, ale skoro nawet pani Sky nie udało się zaprzyjaźnić z sąsiadami,

musiało to o czymś świadczyć. Gdy dodać do tego fakt, że po miasteczku łążyły czasem fery, gorzej już być nie mogło.

– Na czym właściwie polega ta cała kłątwa? – spytała March, gdy zmierzali samotną ścieżką do jedyne go sklepu w okolicy. – Rozumiem, jak działa wchodzenie w czyjś umysł, ale jakim cudem Wyrd udało się opanować całe miasto?

Callen przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Wiesz, na dobrą sprawę możemy tylko zgadywać, jak to działa. Królowe ferów mają swoje tajemnice, a ich wewnętrzna magia opiera się na strukturach krain. Przypuszczam, że tak jak zwykłe aislingeńskie fery sączą swoje moce do umysłu pojedynczych osób, tak samo królowa wpływa na duchy miejsc. Każde miejsce na Ziemi, każda społeczność, ma swojego ducha. Krainy ferów też. Wiesz, jak funkcjonuje ul?

– No, mniej więcej. Jest tam królowa i...

– Właśnie. Ale to nie taka królowa jak w świecie ludzi. Królowa pszczół jest trochę... niewolnicą. Pszczoły nie mogą bez niej przeżyć, więc przetrzymują ją w ulu, żeby rodziła kolejne królowe. Podobnie jest z ferami. Ich władczynie są potężne dzięki mocy wszystkich *poddanych*, dysponują magią całej krainy i swoich poprzedniczek, tyle że płacą za to wysoką cenę. Na przykład królowa Elphame większość czasu musi spędzać w podziemiach swojego pałacu, dzięki czemu lepiej kumuluje w sobie zapach, którym przyciąga inne fery.

– Zapach? – zdumiała się March.

– Tak, elphamskie fery mają zdolność wyczuwania królowej. Im bliżej Kryształowego Pałacu są, tym bardziej nęcący jest dla nich zapach władczynie, ale nawet kiedy są bardzo daleko od domu, bez trudu mogą do niego wrócić, bo zapach jest jakby w nich.

– No dobra, a te inne? Wspomniałeś, że istnieje jeszcze jedna kraina.

- Tir-na-Nog. Ich królowa nie wytwarza zapachu, ale jest związana krwią z dwunastoma rodami, które założyły Cienistą Krainę. To one sprawują kontrolę nad tirnańską władczynią. Podstawową mocą Tirnan jest magia, jeszcze silniejsza niż w Elphame, choć stamtąd pochodzi. Tyle że elphamskie fery nie praktykują już najstarszych form czarów. Część z tego została zresztą zakazana.

March pokiwała głową.

- I dlatego Wyrd się wyłamała - przypomniała sobie. - Bo zakazano jej używać słodkiego snu.

- Dokładnie. Wyrd jest najstarsza. Jest siostrą pierwszej królowej Elphame i to z nią pokłóciła się o używanie trzech darów. Fery musiały ograniczyć wieczną młodość do swoich królowych i specyficznych przypadków, gdy dostawały pozwolenie na wykorzystanie tej siły, słodkiego snu zabroniono im całkowicie, a magią zaczęły dzielić się z ludźmi, co Wyrd i część ferów z Tir-na-Nog uznała za zdradę. Nie rozstrzygnęły sporu, bo choć to prawda, że ludzie i fery mieli żyć w harmonii, a więc skrzydlatym nie wolno było nas mieć, to jednak wszystkie trzy dary pochodziły od Niej Samej, czyli są całkiem naturalne.

To już któryś raz z kolei, gdy ktoś wspominał March o Niej Samej. Zaczynało ją to drażnić.

- Nadal nie rozumiem, co to właściwie jest, ta Ona Sama. To jakaś bogini, Matka Natura czy po prostu religijny bełkot?

- Żaden bełkot - obruszył się Callen, ale nic więcej nie powiedział.

Kiedy dotarli do sklepu, March miała wrażenie, że rozmowa wcale nie uporządkowała jej niczego w głowie. Szybko przypomniała sobie za to o klątwie. Na sklepowej szybie zobaczyła swoją podobiznę z informacją o niepopelnionej zbrodni - jakby mało jej było takich samych ogłoszeń na każdym kroku. W dodatku ktoś dorobił jej wąsy.

Powstrzymała się, by nie trzasnąć drzwiami. Ekspedientka zmierzyła ją i Callena podejrzliwym wzrokiem. Pojawienie się obcego zawsze wzbudzało w Finfolk nieufność.

– Gdybyś wybrała mi inny nos, toby się tak nie gapila – szepnął chłopak, biorąc koszyk.

– Bądź cicho – syknęła March. – Ruszamy.

Nie sądziła, że chodzenie po sklepie okaże się dla niej kiedyś bojowym zadaniem. Wprawdzie ludzie zawsze się na nią gapili, czego nie znosiła, ale zwykle jakoś ginęła w tłumie. Teraz, choć klientów było niewielu, czuła się podwójnie obserwowana.

– Tylko kilka najpotrzebniejszych rzeczy i wracamy – zarządziła.

Callen chyba nigdy nie był w supermarkecie, bo niemal wszystko zdawało się stanowić dla niego nowość. Zdziwił się, widząc czytnik cen, z którego March korzystała aż za często. W małej portmonetce schowała tylko dwadzieścia funtów.

– W moich czasach... – zaczął Callen. – To znaczy jak mieszkałem tu z Irmą i Cleto, zakupy wyglądały nieco inaczej.

– Domyślam się – odparła znudzonym tonem March, szukając jak najtańszego sera. – A ta cała... ta pani Evans nie zabrała was...

– Nie, nigdy. W końcu w ciałach dzieci i nastolatków kryli się w sierocińcu niebezpieczni przestępcy. No, przynajmniej część z nas była...

March szturchnęła go, dając do zrozumienia, żeby mówił ciszej. Rozpoznała wśród jednej z przechodzących obok panią Connor, swoją dawną sąsiadkę. Kobieta raczej nie bez powodu badała ceny mleka w odległości mniejszej niż metr od nich. Na szczęście gdy tylko zobaczyła kolejną plotkarę, panią Dutcher, popędziła w jej stronę tak szybko, że omal nie przewróciła stojaka z chipsami. Zaczęły szczebiotać, po czym nagle ściszyły głos. March przez chwilę była pewna, że rozmawiają o niej.



– Czemu się tak na nie boczysz? – Gdy tuż przy jej uchu rozległ się szept Callena, aż podskoczyła.

– Boczę? – odparła. – No, może...

Nie była w stanie się powstrzymać, by nie podsłuchać kobiet.

– Czekał tutaj – poleciła chłopakowi, wciskając mu do rąk wielki ser, a sama skryła się po drugiej stronie regału, przy którym rozmawiały plotkary.

– ...przerażające, ma pani zupełną rację – szeptała pani Dutcher. – Podobno gówniara ciągle sprawiała problemy w szkole. Była agresywna, no i mamy skutki. A pani, biedna, musiała obok niej mieszkać.

– Niech mi pani nawet o tym nie przypomina. W życiu nie wyjdę teraz sama z domu. Brayson czeka na mnie pod sklepem. Kto wie, czy ta morderczyni nie ukrywa się dalej w mieście. A jak nie, to na pewno wróci, *ja* to pani mówię.

March zacisnęła pięści. Gdyby rzeczywiście miała kogoś zamordować, te dwie byłyby pierwsze w kolejce. Zmusiła się, by podsłuchiwać dalej, choć każde kolejne słowo podnosiło jej ciśnienie. Stwierdziwszy, że chyba niczego ważnego się nie dowie, miała już odejść, gdy do głosów dołączył trzeci – młodszy, głośniejszy. March dobrze go znała.

– Wy wredne staruchy! – zawołał. – Znowu się wam zebrało na plotki, co?!

Spłoszone kobiety umilkły, wszyscy klienci zadziwiająco szybko znaleźli się obok. Ekspedientka, kasująca akurat towar, wyciągała długą szyję, a kupujący mężczyzna przerwał pakowanie. March zamarła, bo choć trzeci głos nie pozostawiał wątpliwości co do tego, do kogo należał, trudno było uwierzyć, że jej zwykle wycofana przyjaciółka zaatakowała obce kobiety.

Wyszła z ukrycia, by przyjrzeć się scenie. Isel stała tam naprawdę, naprzeciwko tych wstrętnych bab, i wbijała w nie wściekłe spojrzenie.

– Tu się coś dzieje! – dodała. – Nie widzicie tego? W tym miasteczku... coś jest nie tak i... I takie krowy jak wy są za to odpowiedzialne!

Pani Dutcher otwierała i zamykała usta, z których ostatecznie nie dobył się nawet jęk. Jej towarzyszka uniosła głowę.

– Chodźmy, moja droga, zanim ta gruba dziewczucha wyciągnie nóż – powiedziała, biorąc ją pod ramię. – Dobrze już znamy młodzież w tym miasteczku.

Odprowadzone wzrokiem przez podśmiewających się klientów, opuściły sklep tak szybko, jakby dostały turboprzyspieszenia. Ludzie przez chwilę patrzyli na Isel, a ta, z twarzą czerwoną jak burak, skryła twarz w opakowaniach z herbatą. Odważyła się ruszyć dopiero, gdy reszta rozpierzchła się po sklepie. Tylko March wciąż na nią patrzyła. Na krótką chwilę ich spojrzenia się spotkały, ale widząc zdumienie na twarzy przyjaciółki, March szybko odwróciła wzrok. Bała się, że jeśli dłużej będzie na nią patrzeć, zapragnie podbiec do Isel i zerwać amulet, by przyjaciółka mogła zobaczyć, kim jest. Pociągnęła za rękaw Callena, który przez cały czas stał jak sparaliżowany.

– Do kasy – powiedziała. – I do domu.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pochylała się nad jej martwym ciałem. Nigdy nie pragnęła krwi, a teraz pożałowała jej; krew była życiodajną siłą, którą mogła się nasycić. Ciepła, gęsta, wspaniała, pełna mocy, pełna magii. Ostрым pazurem rozcięła szyję. Boski eliksir trysnął wprost do jej ust. Ale tego było mało. Kilkoma gładkimi ruchami rozplątała brzuch ofiary.

*Nie, nie mogę tego zrobić.* Niedobrze, było jej niedobrze.

A jednak nachyliła się, pragnęła tego, ciepłe wnętrzości były... Odruch wymiotny wykręcił całe jej ciało. *Uczta, uczta!* – powtarzał w jej umyśle głos, któremu chciała się oprzeć, który przecież nie mógł należeć do niej. Ale gdy zanurzyła głowę w zakrwawionej ranie, całego jej ducha wypełniła słodycz.

– Pani Connor? – spytała, patrząc w martwe, lecz wciąż przerażone oczy sąsiadki.

*Pani Connor? Pani Connor?* Jej głos odbijał się echem od twardych ścian snu, aż wreszcie je rozerwał. March rzuciła się na łóżku, wciąż czując, jak tajemnicza siła wstrząsa jej ciałem w złości. Chwilę trwało, nim świadomość całkiem się rozbudziła.

Ale na jej ustach wciąż pozostał smak krwi.



– Muszę z nią porozmawiać – stwierdziła March kolejnego dnia przy śniadaniu. Wcześniej prawie wcale nie poruszała tematu tego, co stało się w sklepie, więc Callen przyjął to wyznanie

z niemałym zdumieniem. Siedzieli we dwoje, mieszając smętnie w miskach z płatkami. Piątek jeszcze spał.

– Z kim?

– Z Isel.

– Z...

– To moja przyjaciółka.

March miała wrażenie, że to słowo nabrało jakiegoś nowego, obcego znaczenia. *Przyjaciółka*? Tak, jeszcze do niedawna się przyjaźniły, choć March zdawało się, że minęły od tego czasu lata świetlne. Isel Bini stanowiła część jej dawnego życia. March chciała je opuścić, a w końcu, po tym wszystkim, co stało się w Aislingen, ono samo opuściło ją. Nawet po powrocie do Finfolk uważała siebie za kogoś zupełnie innego. Zobaczenie Isel sprawiło, że zateśniła za tym, co minęło. Nie dlatego, że jej życie było przyjemne – o nie, raczej dalekie od tego. Jednak gdy żyła w nieświadomości czarów, wydawało się zdecydowanie łatwiejsze. Nie wiedziała o wszystkich tych rzeczach i z pewnością było jej wygodniej. Tylko czy – skoro Isel nie miała pojęcia o March – nadal mogły się nazywać przyjaciółkami? Zatajenie przed nią tak ważnej prawdy chyba przekreślało przyjaźń...

– Hej, mówię do ciebie! – Callen zamachał jej przed oczami łyżką.

– Przepraszam – ocknęła się. – O co chodzi?

– O co chodzi *tobie*? Pytałem, po co chcesz z nią rozmawiać. Przecież ona jest nieprzynależąca.

March prychnęła.

– Nie wiedziałam, że rozmowy z nieczarownicami są zakazane. Poza tym ja też wcale nie czuję się *przynależąca*.

– Nie gadaj bzdur, jesteś czarownicą. Nie rozumiem, czego od niej chcesz. Nawet jeśli była twoją przyjaciółką... to znaczy jeśli *jest* twoją przyjaciółką, to przecież cię nie pozna, a nie

możesz się zdradzić i przed nią ujawnić. Szuka cię całe miasto.

– Nie widziałeś, jak się zachowała? – March była zdumiona tym, jak bardzo Callen wydawał się nieogarnięty. A może po prostu tłumaczyła sobie zachowanie Isel po swojemu, żeby poczuć się lepiej. – Przecież nawrzeszczała na te dwie idiotki, kiedy o mnie plotkowały. Ona na pewno nie wierzy, że cię zabiłam.

– Albo nie chce w to uwierzyć – mruknął Callen.

– I naprawdę nie zastanowiło cię to, co powiedziała? Wyraźnie stwierdziła, że w Finfolk coś się dzieje. Ona to wie. Poza tym nie masz pojęcia... Miałam sen o jednej z tych krów ze sklepu. Muszę z kimś pogadać, z kimś, kto orientuje się w sytuacji.

Callen westchnął i pokręcił głową.

– Na pewno mnóstwo mieszkańców coś wyczuwa, nic w tym dziwnego – uznał. – Pamiętaj, że *nie możesz* się ujawniać przed nieprzynależącymi. To byłoby bardzo niebezpieczne, wręcz bezmyślne. A Isel na pewno nie orientuje się w sytuacji lepiej od nas.

– Skończ, dobra? – warknęła March. – Nie musisz mnie pouczać. A nawet nie masz prawa, bo nie masz już nikogo, na kim by ci zależało.

Mówiąc to, nie patrzyła mu w twarz. Mimo to czuła na sobie jego spojrzenie. Nie musiała go odwzajemniać, by wiedzieć, co wyrażało.

– Dlaczego tak mówisz? – spytał cicho.

March przewróciła oczami. Rozpoznała ten ton, wiedziała, co się szykuje – rozmowa o tym, jak to rani go słowami i nie rozumie jego sytuacji. Bez przerwy przerabiała coś takiego z matką: ciągłe żale, wieczne poczucie bycia nie taką, jak trzeba, gorszą od wszystkich. Biorąc pod uwagę okoliczności,

tym razem taka dyskusja byłaby jeszcze większą stratą czasu. Zamiast odpowiadać, dziewczyna po prostu wyszła z kuchni.



Przez resztę poranka nie mieli okazji, by ze sobą porozmawiać, czy może raczej nie chcieli jej sobie dać. Callen zamknął się w swoim pokoju, wywołując u March coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Byłyby większe, gdyby nie to, że ciągle się na niego złościła, a fakt, że tyle czasu spędzał w samotności, wzmacniał jej podejrzenia; na pewno potajemnie coś planował. Jeśli faktycznie go uraziła, trudno. W życiu lepiej być twardym, a dąsanie się o byle pierdoły w tym nie pomoże.

Piątek wałęsał się po domu bez celu, jakby przybity tym, że nie ma komu dogryzać ani kogo pouczać. By ulżyć jego cierpieniom, March zawołała go wreszcie do pokoju Irmy, gdzie konfidencjonalnym szeptem wyjawiała mu swoje obawy co do Callena.

– Że coś ukrywa? – odparł kot, gdy opowiedziała mu o swoich przeczuciach. Nie wspomniała o śnie. W porównaniu do chłopaka wydał jej się mało ważny. – Wszyscy Mallowayowie coś ukrywali, a on jest ich adoptowanym dziedzicem. Dawniej po tym domu nie dało się przejść, żeby nie potknąć się o jakąś rodzinną tajemnicę.

– Ilu było tych Mallowayów? To też jakiś stary ród?

– Ba, równie stary co mój, a nie wiem, czy ci wspominałem, że Heksenssonowie wywodzą się z czasów, gdy wikingowie hulali po morzach i oceanach.

March przewróciła oczami.

– Wspominałeś. Ale ci Mallowayowie... Opowiedz coś więcej.

– No, to była dość tajemnicza rodzina. Nie utrzymywali kontaktu z innymi wiedźmami, rzadko ruszali się z tego domu

i chyba nikt ich za bardzo nie lubił. Miałem wątpliwą przyjemność poznać ojca Irmy i Cleto, Dantego. Dobre imię, co nie? Dziwny był z niego facet, raczej mruk, na wszystkich się boczył. Nie był zbyt zadowolony, jak Irma mnie przedstawiła, a przecież nie byłem wtedy jeszcze kryminalistą. Kiedy Dante umarł, zostały już tylko dwie jego córki.

– Cały ród znikł? – zdumiała się March. – To nie mieli żadnych krewnych?

– Sam się temu dziwiłem. Irma i Cleto o tym nie mówiły, zupełnie jakby im ktoś zawiązał języki. – Kot urwał. Zdawało się, że faktycznie brał taką możliwość pod uwagę. – No, nietypowa rodzina. Dopiero po śmierci Dantego siostry w pełni zainteresowały się alchemią. Irma już nieco wcześniej o niej czytała, ale gdy zabrakło ojca, poczuła się chyba bezpieczniej z tą fascynacją. Potem dołączyła do nas Cleto, tyle że jej zawsze bardziej zależało na sprawach duchowych.

– Właśnie. Mówiłeś sporo o tworzeniu kryształu filozofów, że to proces magiczny i takie tam. Ale *jak* właściwie go stworzyć?

Piątek od razu się ożywił.

– Och, „proces ten boski wielu przemian świętych a tajemnych wymaga”.

– Co?

– Powiedz mi: mieszkasz w tym pokoju już trzeci dzień, a dalej nie dorwałaś się do notatek Irmy? Są w szufladzie, nietrudno je znaleźć.

– Jasne, że je widziałam – przyznała March. – Jak tylko miałam okazję, dokładnie zbadałam pokój. Ale nie czytałam tych zapisków. Są przecież osobiste.

Kot nie zrozumiał.

– Nie gadaj od rzeczy. Wyciągnij ten gruby zeszyt i otwórz na pierwszej stronie.

March tak bardzo korciło zajrzenie do notatek, że nawet nie próbowała się sprzeczać. Skoro miała pozwolenie Piątka, to



tak, jakby dostała je od samej Irmy.

Najgrubszy zeszyt podpisano jako *Sprawy alchemiczne*, a na samym początku, na stronie ozdobionej czerwonymi kwiatami, wklejony był wycinek ze starej księgi, drukowanej chyba jeszcze sposobem Gutenberga.

### JAK KRYSZTAŁ MĘDRCÓW POWSTAĆ MUSI

*Xerion nasz umiłowany, Feniks wieczny, Arcanum najgłębsze a Pan Filozofów Wszystkich, w wyniku Opus Magnum powstaje. Proces ten boski wielu przemian świętych a tajemnych wymaga. Prima materia, spopielona a oczyszczona z niegodziwości wszelkiej, wiecznym ogniem podsycana, czeka w czarnym skupieniu, aż wszelakie fałszy a brudy się spalą. Wtedy to w jasność się przyobleka, a tak wielką, że oczy razić może. Jeno szlachetność a czystość, a harmonia idealna rzeczy przeciwnych w niej zamieszkać musi. Taka to wtenczas wstępuje do boskiego światła, co ją mądrością a odwagą napętnia i spala, co jeszcze niegodne, nim łzy Merkurego popłyną. Tak to kryształ gotowym się stanie.*

March przeczytała notkę szeptem, wyraźnie, z nadzieją, że to pomoże jej lepiej zrozumieć treść.

Nie pomogło.

– Nie jestem jakaś głupia, ale...

Piątek, jakby doskonale wiedząc, z czym mogła mieć problem, zaczął objaśniać trudniejsze słowa.

– *Opus Magnum* to inaczej „Wielkie Dzieło”, praca alchemików, której najwyższym celem jest stworzenie kamienia filozoficznego. By rozpocząć proces, musimy zdobyć coś, co poddano procesowi kalcynacji, spalania. To będzie nasza *prima materia*, substancja początkowa.

– Brzmi to chemicznie.

– Bo to chemia, tyle że *al-*. Lepsza, fajniejsza i ciekawsza.  
– Okay, a co to za wieczny ogień? Kojarzy mi się z piekłem...  
– Ha! – zawołał Piątek, najwyraźniej właśnie tego się spodziewając. – A jest dokładnie odwrotnie. Ogień wieczny jest zarazem ciepły, jak i wilgotny, nigdy nie gaśnie, nie można go wzniecić, za to można przywołać, i mimo że to trudne, on znajduje się wszędzie.

– Pleciesz gorzej od autora tej książki.

– Chodzi o ogień duchowy, March, ten, który podtrzymuje życie. Pamiętaj, że mówimy o *boskich* przemianach, takich, które są teoretycznie poza zasięgiem człowieka, a nawet czarownic czy magów. Trzeba je *wykraść* czemuś wyższemu.

March mruknęła coś w odpowiedzi. Wciąż była daleka od wiary w bogów, no chyba że byli tak samo podli jak aislingeńskie fery, co by tłumaczyło, dlaczego świat wygląda tak, jak wygląda.

– Potem kryształ przechodzi w stan *albedo* – ciągnął kot. – Trzeba go poddać puryfikacji. Alchemicy wierzyli... a ci, co nadal żyją, być może ciągle w to wierzą, choć czasem wątpią... że choć w świecie istnieje wiele pierwiastków, to tylko dwa są podstawowe. To coś na wzór sił w magnezie albo *yin* i *yang*. Gdy je połączysz, uzyskasz pełnię harmonii, a tak *uposażona* możesz iść dalej, do fazy *citrinitas*, gdzie kryształ „napełnia się słońcem”.

– Co oznacza...

– Boskość. Słońce od niepamiętnych czasów uważano za manifestację Stwórcy, a poza tym łączono je ze złotem. Gdy kryształ ulegnie tym procesom, potrzebne jest jeszcze *rubedo*, które trwa najkrócej i sprawia, że Antimonium zyskuje ostateczną formę. No, a potem można go używać w innych procesach, na przykład w projekcji alchemicznej albo w duplikacji.

March uniosła dłoń.

– I na tym zakończmy – poprosiła. – Nie żebym się nie zaciekawiała, ale to za dużo info jak na jeden raz.

Kot wyglądał na niepokieszonego. March faktycznie zainteresowała się kryształem, tyle że nijak się on miał do ich sytuacji, a łatwo myśleć o rzeczach nieosiągalnych, gdy ma się do zrobienia coś bardziej przyziemnego.

– Wracając do Isel... – zaczęła, jednak naraz przypomniała sobie, że jeszcze ani słowem nie wspomniała Piątkowi o przyjaciółce. To raczej jej myśli wciąż krążyły wokół tego tematu. Musiała więc wszystko opowiedzieć kotu. Gdy skończyła, żaląc się na Callena, ostrożnie oświadczył:

– On w sumie ma rację.

– A niby czemu?! – uniosła się. – Ktoś, kto jest w świecie ludzi, mógłby się nam przydać.

– Twoje rozumowanie jest dla mnie zagadką, ale mniejsza z tym. Musisz wiedzieć, że nieprzynależący rzadko stanowią dla nas pomoc, zwykle szkodzą. A nie dajcie wszelkie bóstwa święte i nieświęte, żebyś trafiła na takiego, co boi się magii. Ukatrupi cię jak nic.

– Isel nie boi się magii. Jest ateistką, nie wierzy w żadne rzeczy paranormalne.

– Ale uwierzy, kiedy zobaczy, a to nawet gorsze, bo się przerazi. Chcesz jej zburzyć wizję świata?

– Wam zburzenie mojej jakoś nie przeszkadzało.

– To co innego. Ty jesteś ferianką, a twoja przyjaciółka nie należy do naszego świata. Jeśli się go nie przestraszy, to być może zechce stać się jedną z nas.

– No i? Przecież to możliwe, bo niby skąd się biorą czarownice?

– Myślisz, że to takie proste? – Piątek zaczął wpadać w coraz poważniejszy ton. – Trzeba starannie dobierać ludzi, których

chce się *uświadamiać*. Magia to dar, nawet jeśli tobie często kojarzy się z przekleństwem.

March szeroko otworzyła usta.

– Ja wcale nie...

– Dobrze się zastanów, tylko ci radzę – dodał Piątek, podchodząc do drzwi. – Ale, jak sądzę, już zdecydowałaś?

Jedno spojrzenie na jej twarz wystarczyło za odpowiedź.

– Tak właśnie myślałem.



March się myliła. Callen chciał wykrzyknąć jej to prosto w twarz, ale jej słowa tak bardzo go zabolowały, że nie był w stanie odpowiedzieć na nie gniewem. „Nie masz już nikogo, na kim by ci zależało”. Niczego nie rozumiała, a on nie miał ani siły, ani ochoty, by jej to tłumaczyć. I pomyśleć, że przez chwilę chciał się z nią podzielić tym, co planował.

Chodził w kółko po pokoju, kipiąc ze złości, która wcale nie malała z kolejnymi krokami. Musiał się uspokoić, myśleć strategicznie. Jeśli miał się stąd wydostać niepostrzeżenie, powinien zaplanować każde działanie. Zrobienie tego pod nosem March było wystarczająco trudne, ale ucieczka z domu, w którym mieszkał Piątek, wydawała się wręcz niewykonalna.

Tyle że wcale taka nie była. W końcu wiele lat temu Callenowi już się udało.

*I nie najlepiej się to wtedy skończyło* – odezwał się w nim cichy głos wątpliwości. Chłopak od razu go zagłuszył. Bo tym razem miało być inaczej.

*Wysokie Pnącza, łodyga dwudziesta druga, liść trzydziesty.* Jeśli tam kryły się odpowiedzi na jego pytania, nie było na co czekać.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W ciągu następnych dni March i Callen zrobili niewiele, by ruszyć ze swoimi planami. Po pierwsze dlatego, że patrzyli sobie nawzajem na ręce, jakby przeczuwali, że to drugie coś szykuje. Jednocześnie nie potrafili ze sobą długo rozmawiać, w obawie, że mogliby powiedzieć za dużo.

Dodatkowym problemem był Piątek. Kot, choć nie mówił o tym wprost, wyraźnie wyczuwał, że coś się dzieje, i jeszcze bardziej nalegał, by zajęli się klątwą Wyrd. Sam niemal każdego dnia wychodził, żeby lepiej zbadać okolicę, a wieczorami dzielił się z nimi każdym odkryciem, każąc Callenowi wszystko spisywać. Okazał się mózgiem operacji, i to takim, który miał więcej wiadomości na temat Finfolk niż zbiory lokalnej biblioteki. March szybko przestało się to podobać, bo Piątek co wieczór robił generalne podsumowanie – nie tylko minionego dnia, ale również wszystkich poprzednich. Po tygodniu stało się to nużące.

– To jeszcze raz – powiedział, siadając na swoim ulubionym fotelu w sobotę. – Co tam mamy?

Callen monotonnym głosem przeczytał:

– Punkt pierwszy: burmistrz, Alaister McHagen, zachowuje się dziwnie.

– Tylko tyle? – zdumiał się kot. – Przecież mówiłem o wiele więcej.

– On zawsze był szurnięty – zauważyła March.

Jeśli była w czymś zgodna z całym miasteczkiem, to w tym, że Alaister McHagen nie powinien sprawować urzędu. Za każdym razem, gdy rozmawiało się na temat polityki

z jakimkolwiek mieszkańcem Finfolk, wszyscy wypominali burmistrzowi dawne lub całkiem świeże przewinienia. A jednak facet ciągle zajmował stołek, co samo w sobie było niewiarygodne.

– Czytaj dokładnie – upomniał Callena kot. – Musimy zwracać uwagę na każdy szczegół. Co wam powtarzam od kilku dni? Sprawdzać...?

– „Sprawdzać, dociekać, poszukiwać” – powtórzyli unisono motto, które wymyślił na początku tygodnia Piątek.

Chłopak przeczytał jeszcze raz notatkę, którą March znała na pamięć.

– Burmistrz nakrzyczał na swoją asystentkę, wołając coś na temat bajek, w które nie wierzy już nikt oprócz niego, zabronił wycinki starej, chorej wierzby, a w nocy udał się do parku, gdzie przez dobrą godzinę chodził z założonymi rękami wokół drzewa ferów.

Ta ostatnia nazwa nie była oficjalna. Tylko ci, którzy znali magiczną przeszłość Finfolk, wiedzieli, że drzewo było pozostałością lasu dawniej w całości należącego do ferów. Ale nawet zwykli mieszkańcy opowiadali sobie historię drzewa jako legendę, do której z czasem zaczęli dodawać bzdurne elementy, jak na przykład to, że elfy lubią ludzi.

– Wątpię, żeby burmistrz znał prawdę – zauważył Piątek. – Nie wiemy nic o tym, żeby należał do rodziny wiedźm lub praktykował magię w pojedynkę. Zresztą gdyby tak było, ze swoim ego szukałby pewnie lepszej posady.

– A może zna tajemnicę tej jabłoni? – zastanawiała się March. – Wie, że nigdy nie dojrzewają na niej owoce? Swoją drogą, jak to możliwe, że jabłoń jest pozostałością po lesie? To bez sensu, bo przecież w lasach nie rosną drzewa owocowe, co nie?

– A w ilu lasach *ferów* byłaś? – odparł z przekąsem kot.

– Jabłoń to ich najświętsze drzewo – wyjaśnił Callen. – Elphame i Tir-na-Nog są ich pełne.

– Aislingen też, ale nie radziłbym jeść aislingeńskich jabłek – dodał Piątek.

March zaczęła podsumowanie.

– No dobra, czyli wiemy, że burmistrz dziwnie się zachowywał. Wspomniał coś o bajkach i, jak już z tysiąc razy powiedzieliśmy, nie mamy pojęcia, o co mu chodziło. Nie wiemy też, co z wierzbą, ale to pewnie jakieś dyrdymały.

– Nie dyrdymały, ale sny, być może przejaw szaleństwa – stwierdził Callen. – Zaklęcie może wydobyć z podświadomości mieszkańców Finfolk coś, co siedzi w niej bardzo głęboko. Może wierzba ma dla burmistrza jakieś znaczenie.

– Niby jakie znaczenie może mieć wierzba? – prychnęła March.

– A jakie znaczenie mają zombie, które chcą ci wykraść bitą śmietaną ze schowanej w piwnicy różowej lodówki? – spytał Piątek, sprawiając, że jego towarzysze spojrzeli na niego ze zdumieniem. – No właśnie. Tak działają sny. Podświadomość podsyła ci nedorzeczne obrazy, których nie rozumiesz, ale i tak tylko ty sama możesz je zinterpretować. Trzeba tylko znaleźć klucz.

To od razu skojarzyło się March z kluczem koszmarów.

– Zaraz! – zawołała nagle tak, że Piątek podskoczył, rozdrapując pazurem fotel, a Callen z trzaskiem zamknął zeszyt i złapał się za serce. – To jest to!

– Co? – jęknął chłopak.

– Na Finfolk opadło zaklęcie koszmaru, a więc, jak by na to nie patrzeć, znaleźliśmy się po części we śnie. Żeby wyzwolić się z koszmarów w Aislingen, musieliśmy znaleźć klucz. Może tak samo działa to w przypadku miast? Jeśli Finfolk posiada własną kulę, moglibyśmy ją wykraść i rozbić, a potem uporać się z ukrytymi w niej strachami i tak dalej.



Mina Piątka szybko ostudziła zapał March.

– Nie zapominaj o tym – powiedział – że znaleźliśmy się w koszmarze właśnie dlatego, że rozbił się jeden z takich kluczy. Twój, ale magia Wyrd sprawiła, że i tak zapanował nad całym miastem. Pomyśl, co by było, gdybyśmy faktycznie rozbili kulę należącą do ducha Finfolk. Musielibyśmy zmierzyć się z koszmarami każdego mieszkańca w całej okolicy, a jak wiesz, walka z koszmarami nawet jednej osoby bywa niezwykle trudna.

Przez kilka chwil milczeli. March straciła resztki ochoty na dalsze wysłuchiwanie podsumowania. Callen czytał o wszystkich wydarzeniach, które dla niej nie były już dziwne, choć postronny mógłby się nimi przerazić.

Bo czary ferów sprawiły, że w Finfolk naprawdę działały się tajemnicze rzeczy. Pan Clifford, nauczyciel angielskiego, mimo że wakacje ledwo się zaczęły, był widziany przed szkołą, gdzie na głos czytał w kółko fragmenty *Snu nocy letniej* Shakespeare'a, krzycząc przy tym coś o szaleństwie i wymachując palcem w stronę nieba. Rozbawiona młodzież wrzucała filmy i zdjęcia na Facebooka, a starsze kobiety od tamtego dnia omijały nauczyciela szerokim łukiem.

Ale nie tylko nauczyciel znikował. Bibliotekarka, pani Beatty, wszystkim polecała książki z baśniami, a zapytana dlaczego, nie bardzo potrafiła odpowiedzieć. Piątek nie wywęszył więcej, bo gdy tylko zobaczyła czarnego kota między regałami, złapała go i natychmiast wyrzuciła, splunawszy trzy razy na ziemię. A wcale nie była przesądna.

Piątek nie wszędzie mógł się dostać, dlatego dziś wysłał na zwiady towarzyszy. March nie znosiła przemiany, ale skoro i tak musieli uzupełnić lodówkę, zgodziła się pochodzić nieco po okolicy. Skończyło się na tym, że włóczyła się wokół domów matki i Isel. Tę pierwszą widziała przelotnie, gdy szła do pracy. Dziewczyna zastanawiała się, co czuje matka. Czy za nią

tęskni? Czy uwierzyła w wersję policji? Emma Sky niczego nie dawała po sobie poznać, choć wydawała się nieco przygaszona. March nie była w stanie długo jej obserwować. To bolało tak, jakby ktoś próbował wyrwać jej serce. Wciąż na nowo przeżywała zasłyszaną rozmowę telefoniczną, tę, w której pani Sky twierdziła, że „ją wzięła” i że tego żałuje. Jeśli sądziła, że adoptowała córkę, dlaczego tego żałowała? Wytłumaczenie było jedno: nie kochała jej. Ale to nie było prawdą, nie mogło być. W czym więc był problem? O co chodziło z tamtą rozmową?

Co do Isel, ta wcale nie wychodziła z domu. Być może wstydziła się tego, co zaszło w sklepie. March posunęła się za daleko, wchodząc do jej ogródka i próbując podglądać dziewczynę przez okno. Zresztą nie tylko niczego nie zobaczyła, ale omal sama nie została nakryta przez matkę przyjaciółki.

Teraz zupełnie odbiegła myślami od tego, co czytał Callen. *Isel...* – pomyślała, zastanawiając się, dlaczego wciąż wierzy, że to ona mogłaby im pomóc.



Zegar tykał jeszcze uporczywiej niż zwykle. Callen miał ochotę zdjąć go ze ściany i rozkręcić. Dźwięki odmierzające sekundy brzmiały w jego uszach jak młot, zagłuszały odgłosy dochodzące z pozostałych części domu. A chłopak nasłuchiwał. Nasłuchiwał i czekał.

Jeśli nie miał spróbować tej nocy, to kiedy? Czas naglił. Adres, który podała mu wróżka, mógł nawet przestać być aktualny. Dzielnicę, do której się wybierał, nazywano slumsami ferów. Zupełnie nie współgrało to z wizerunkiem Elphame jako krainy obfitości i czarów, ale było prawdą.

W pewnych kwestiach fery były niezwykle podobne do ludzi, choć do ich slumsów niekoniecznie trafiało się z powodu biedy. Tak czy inaczej, łatwo można było zostać wyrzuconym z tamtejszych mieszkań, co oznaczało, że chłopak może stracić niepowtarzalną szansę, by dostać się do odpowiedniej osoby.

O ile wróżka go nie oszukała. Jeśli tak, Callen pewnie nieprędko wróci do Domu Czarownic... jeśli w ogóle mu się uda, skoro nie ma aktywnej mocy.

Wiedział, że prawdopodobnie popełnia ogromne głupstwo, ale nie pierwsze w swoim życiu – zdążył przywyknąć. Nie myślał o tym, co może pójść nie tak, a zamiast tego skupił się na szybko obmyślonym planie. Wpadł na niego, jeszcze nim skończyli z Piątkiem i March cowieczorne podsumowania. Notatki – mimo że sam je czytał – nie pozostawiły żadnego śladu w jego głowie. Liczyły się tylko kroki prowadzące go do celu.

Gdy jego towarzysze się położyli, dokładnie przestudiował mapę magicznych drzwi w domu, tylko po to, by się przekonać, że choć minęło tyle lat, nadal pamięta, dokąd wiodą każde z nich. Oczywiście oprócz tych, które za każdym razem wiodły do innych miejsc. Po długim zastanowieniu wybrał te, które *prowadzą, dokądkolwiek zechcesz*. Wybór tych przenoszących do Iarandinnu – dużych, żelaznych i zardzewiałych – byłby bezpieczniejszy, ale Callen nie miał czasu na chodzenie po mieście.

Było już po pierwszej, gdy po cichu zszedł z łóżka i włożył buty. Każdy krok wykonywał ostrożnie. Otwierając drzwi, wstrzymywał oddech. Piątek od zawsze lubił przechadzać się po domu, żeby szpiegować mieszkańców. Wprawdzie nie mógłby powstrzymać chłopaka przed tym, co ten zamierzał zrobić, ale gdyby zaalarmował March, mogłoby być gorzej.

Schodząc na dół, Callen nie rozmyślał nad tym, dlaczego Irma i Cleto rzadko korzystały z drzwi, przez które miał zamiar

przejsć. Przewaga starszej wiedźmy, skierowana kiedyś do siostry, i tak pobrzmiewała mu w głowie, chociaż starał się ją zignorować.

„Różnie to bywa z tymi drzwiami” – twierdziła Cleto. „Niby mają cię zabrać, dokąd chcesz, ale żeby to człowiek zawsze był pewien, dokąd chce iść...”

Dlatego siostry miały w domu więcej drzwi prowadzących do konkretnych miejsc w Jaarze i nie tylko, o wiele bezpieczniejszych. Bo *dokądkolwiek zechcesz* mogło równie dobrze oznaczać wszędzie. Lub nigdzie.

Callen pamiętał, co i jak zrobić. Gdy stanął przed solidnymi, całkiem zwyczajnie wyglądającymi drzwiami ze srebrną klamką, najpierw wyszeptał adres miejsca, do którego miał się dostać.

– Wysokie Pnącza, jak najbliżej łodygi dwadzieścia dwa.

Odetchnął głęboko, co wcale nie pomogło mu opanować nerwów, i pociągnął za klamkę. Naraz smagnął go zimny wiatr. Chłopak zdążył jeszcze zamknąć drzwi z drugiej strony, po czym klamka rozplynęła się, a on sam stanął w niemal zupełnej ciemności.

Usłyszał głosy, nieprzyjemne, grube, rzucające przekleństwami w języku ferów, a jego nozdrza uderzył zapach kwaśnego alkoholu, wyrabianego chyba przez górskie ogry. To go otrzeźwiło. Przetarł oczy, które powoli przyzwyczajały się do nowego miejsca.

Nie byłoby tu tak ciemno, gdyby nie wysokie na kilkaset metrów, grube łodygi fasoli, których potężne, częściowo zwiędłe liście rzucały cienie na ponurą ziemię. Fasole wyrastały z niej w rzędach, a do środka każdej z nich prowadziły niewielkie drzwi. Teren oświetlały niewielkie latarnie, w których płonął niegasnący ogień, wytwarzany przez owady nazywane heka sehr. W ich świetle Callen dostrzegł zataczające się fery, poruszające się grupkami. Część była

wyraźnie pijana, inne pokazywały go sobie palcami, mamrocząc coś pod nosem. Był pewien, że zaraz ruszą w jego stronę. Teraz zwlekanie mogłoby kosztować go nawet życie, więc zaczął prędko szukać odpowiedniego numeru. Przy drzwiach każdej fasoli wbite były drewniane tabliczki z informacjami.

Właściwie Callen się cieszył, że nie zabrał tu ze sobą March. Widok pijanych ferów, choć smutny, nie wywarłby na niej żadnego wrażenia, a skrzydlate grupki przestępcze być może wcale by jej nie przeraziły, był za to pewien, że gigantyczne fasole, stanowiące odpowiednik bloków mieszkalnych w świecie ludzi, mogłyby ją nieco... speszyć. Gdyby chociaż okazały się zadbane, może i by jej się spodobały, ale łodygi tych tutaj były poobdzierane, a wandalę pomazali je obraźliwymi napisami.

Dość – pomyślał. Dlaczego w ogóle zastanawiał się nad reakcjami March w takim momencie? Co go obchodziły? Był tu dla siebie, tylko dla siebie. A jednak ostatnio wciąż łapał się na tym, że gdy jego głowy nie zaprzętały inne rzeczy, pojawiała się w niej March. Od czasu, gdy go uwięziono, była jedyną osobą, z którą udało mu się normalnie porozmawiać?

Czując na sobie wrogie spojrzenie niezwykle wyrosniętego fera, Callen podszedł do fasoli opisanej numerem dwadzieścia dwa. Unosił już rękę, by zapukać do drzwi, naraz uświadamiając sobie, że wyglądałoby to idiotycznie. Nacisnął więc klamkę i zwyczajnie wszedł do środka. Było tam niemal całkiem pusto, jeśli nie liczyć biurka, na którym płonęła lampa, również oświetlana blaskiem heka sehr.

– Czego? – usłyszał ponury głos.

Zaczął się rozglądać, szukając jego źródła. Na próżno.

– Dobry wieczór – powiedział spokojnie.

– Pytałem: czego?! – powtórzył głos. Tym razem wyraźnie dobiegł z góry. Callen spojrzał na sufit i zaniemówił. Na

łańcuchu zawieszono tam żelazną klatkę. Drzwiczki były uchylone i wyglądał przez nie złocisty ptak. Przypominałby feniksa, gdyby nie to, że miał dziwnie zakrzywiony dziób, a oczy jak kura. – Nie wiedziałaś, że niektóre zwierzęta umieją gadać? Jesteś nieprzynależący czy jak?

– N-nie. Nie, absolutnie nie!

– Zapytam jeszcze raz: czego? – Tym razem ptak zabrzmiał o wiele groźniej.

– Szukam kogoś. Nazywa się...

– Daruj sobie. Mam lepsze rzeczy do roboty od zapamiętywania imion tych żuli. Przyłóżą i wyłóżą, czy raczej są *eksmitowani*. Jaki numer?

– Trzydziesty – odparł Callen tak cicho, że zabrzmiało to jak cienki pisk.

Ptak mrużył przez chwilę oczy, jakby czytał niewidzialną listę, po czym odparł:

– Ktoś tam mieszka, fakt.

– To mogę... iść?

– A co mnie to obchodzi?

– Mógłby mnie... pan... przenieść?

– Nie mógłby pan, bo portal stały dla gości jest nieczynny. I to od dziesięciu lat. Trzeba użyć windy.

Chłopak powędrował wzrokiem w kierunku czegoś, co wyglądało na sieć utkaną z pnączy.

– Ale... ona działa? – przeraził się.

– Bo ja wiem? Nikt jeszcze nie korzystał. Mieszkańcy teleportują się bez portalu, a mnie też nie jest potrzebny.

Dozorca zaśmiał się. Przypuszczając, że nie można spodziewać się z jego strony niczego więcej, Callen niepewnie ruszył w stronę windy. Ciasno posplatane liany otworzyły się przed nim jak paszcza mięsożernej rośliny. Wszedł do środka, a gdy się za nim zamknęły, wyraźnie wypowiedział numer mieszkania, do którego chciał się dostać. Winda drgnęła

i niespiesznie zaczęła sunąć w górę. Gdy się zatrzymała, serce chłopaka waliło jak szalone. Otarł pot z czoła i ruszył ciemnym korytarzem. Było tu tylko troje drzwi, każde prowadziły do któregoś z gigantycznych liści fasoli. Callen zatrzymał się przed numerem trzydziestym i zapukał.

Dopiero wtedy poczuł wątpliwości. Przez chwilę miał nawet nadzieję, że nikt nie otworzy. Nie rozumiał więc, po co puka po raz kolejny. I jeszcze raz.

Wreszcie drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich fer o niemal kremowej skórze. Srebrne włosy miał w nieładzie, na sobie narzucił wymiętą tunikę, a co najważniejsze, brakowało mu skrzydeł.

– Przecież mówiłem, że zapłacę pod koniec przyszłego tygodnia, tak? – warknął. – Do jasnej cholery, miesiąc dopiero się zaczął!

Przestraszony Callen nabrał ochoty, żeby odwrócić się na pięcie i uciec. Ale po pierwsze, winda już zjechała, a po drugie, bez niczyjej pomocy nie mógł powrócić do świata ludzi. A żadnego planu B nie przygotował.

– Prze-przepraszam, nazywam się Callen Malloway. To znaczy... m-moja matka nazywała się Angelina Callen i...

Fer mrużył oczy. Chłopak zaczął się gorączkować.

– Hm... Emerald... Isinbir...? – rzucił imionami.

I wtedy wydało mu się, że fer coś zrozumiał. Callen dostrzegł zmianę na jego bladej twarzy.

– A więc *jesteś* moim ojcem! – zawołał.





## ROZDZIAŁ JEDENASTY

March wszystko sobie dokładnie przemyślała. Taką przynajmniej miała nadzieję. Przestała się zastanawiać nad tym, dlaczego chciała skontaktować się z Isel. Być może chodziło o coś bardzo osobistego, wręcz samolubnego, ale niewiele ją to teraz obchodziło. Dokładnie o wpół do drugiej po cichu wyszła z pokoju, ściskając w dłoni fiolkę z eliksirem. Dom ogarniała absolutna cisza, co uśpiło jej czujność. Zbyt entuzjastycznie zbiegła po schodach i już miała otworzyć drzwi, gdy z nienacką wyskoczył przed nią Piątek.

– A gdzie to uciekamy? – spytał.

– Że niby co? Ja wcale nie...

Zamilkła. Wymyślanie wymówek w takiej sytuacji byłoby żałosne, zresztą wcale nie musiała się w nie bawić. Kot nie był jej matką. Jakkolwiek dziwnie by to brzmiało.

– Wychodzę, chyba widać – odparła wyniośle. – A co, zabronisz mi?

– Wiem, dokąd idziesz – mruknął Piątek ostrzegawczo.

– Brawo, Sherlocku. Masz zamiar mnie powstrzymać? Bo jak nie, to...

Zawiesiła głos.

– Nie mam – odrzekł, co było dość zaskakujące. – Nie zwykłem powstrzymywać dzieciaków przed robieniem głupot. Ostrzegać też już cię nie będę, raz wystarczy. Jesteś czarownicą, to radź sobie sama.

Nie bardzo wiedząc, co na to odpowiedzieć, March założyła na szyję amulet. Powstrzymała się przed krzykiem. Tym razem przemiana przyszła jej łatwiej, choć i tak musiała oprzeć się

o ścianę, by nie upaść. Potem, ciężko oddychając, wyszła na ulicę.

Dom Czarownic był położony w innej części miasta. W przeciwieństwie do pozostałych, droga, przy której stał, nie była wyłożona asfaltem, a najbliższa latarnia znajdowała się dopiero tam, gdzie miały początek schludne, nudne uliczki Finfook. Idąc nimi, March zdała sobie sprawę, że wcale nie czuje się mniej nieswojo w blasku latarni. Przeciwnie, ciemność okalająca dom Irmy i Cleto dawała jej schronienie. A tutaj, w jaskrawym świetle, koszmar dziewczyny, w którym zatopione było całe miasteczko, stawał się namacalny. Idąc samotnie, czuła to jeszcze wyraźniej. Najchętniej wróciłaby do domu, schowała się znów w cieniu.

*Czarownice są złe.* Ta myśl, która od jakiegoś czasu błąkała się jej po głowie, wyłoniła się zniemacka. March starała się ją odsuwać, ale fakt, że polubiła ciemność i Dom Czarownic bardziej od zwyczajnego, jasnego świata, o czymś świadczył. Stare legendy mówiły o czarownicach jako demonach, stworzeniach nocnych, ukochanych diabła, a on – oczywiście dla tych, którzy w niego wierzyli – był przecież uosobieniem wszystkiego, co najgorsze.

Zadrzała. Jej nogi same zatrzymały się na rogu ulic. Stojąc na twardym, realnym asfalcie, doświadczyła nagle zupełnie nierealnych obaw.

Czary istniały. Może wszystkie te spalone na stosach lub wieszane wiedźmy naprawdę zrobiły coś, za co musiały zginąć, może faktycznie były zagrożeniem dla normalnych ludzi albo dziwnymi tworami, pokraccznymi mieszającami człowieka i demona... fera. Ona sama...

Teraz serce zaczęło bić jej mocniej.

Tak, zawsze była agresywna, zawsze mówiono, że coś z nią nie tak. Razem z matką szukały nazwy choroby, na którą zapadła, fizycznej czy psychicznej. *Może mam już odpowiedź...*

Była ferianką, pół... półczymś. Czymś, czym pogardzała. Nawet jej własna rasa chciała ją zabić.

Skoro magia była prawdą, to i diabeł mógł być prawdziwy. Ludzie, wszystko to, co normalne, było stworzone przez kogoś innego, a istoty takie jak ona pochodziły od Złego. Co z tego, że Jaar był piękny? Kiedy March trafiła do Aislingen, też uznała je za piękne, a okazało się przegniłe, rządzone przez potwora. Trudno było sobie wyobrazić, by ktoś mógł zniszczyć komuś życie bardziej niż Wyrd, która nęciła obietnicami, a na końcu odbierała wszystko, przynosząc coś gorszego od śmierci.

– I co robisz? – usłyszała nagle. Przestraszona, odwróciła się za siebie. Na drodze rysował się długi cień kota. Przez chwilę poczuła się tak, jak za pierwszym razem, gdy spotkała Piątka.

– To ty? – upewniła się. Perspektywa wpadnięcia na więcej niż jednego gadającego zwierzaka była chyba gorsza od możliwości istnienia szatana. – Przestraszyłeś mnie.

– Postanowiłem, że lepiej będzie cię śledzić, na wypadek gdybyś zrobiła jakąś głupotę – stwierdził z wyraźną wyższością Piątek. – Nadal nie mam zamiaru cię przed niczym powstrzymywać, ale przynajmniej mogę się z tobą rozerwać. Chociaż jeśli wyszłaś z domu tylko po to, żeby pogapić się na latarnię, to chyba wrócę. Zresztą Callena też nie ma.

– Jak to nie ma?! Chyba nie chcesz powiedzieć, że gdzieś polazł za naszymi plecami!

– Właśnie to mówię. Zrobił dokładnie to, co ty. Swoją drogą, musicie być strasznie głupi, skoro myślicie, że da się cokolwiek zrobić za plecami *kota*. Tym bardziej że nawet jako człowiek uwielbiałem wtykać nos w nie swoje sprawy. No to co, idziemy do tej Hazel?

– Isel – poprawiła go.

Uszli w milczeniu tylko kilka kroków. Piątek szybko wziął ją na spytki.

– Więc czemu tak się wpatrywałaś w tę latarnię?

– Wcale nie wpatrywałam się w latarnię, tylko stałam. Nie wolno czy jak?

– Oczywiście, że wolno. I wcale nie wyglądało to mniej podejrzanie, niż jakbyś szła. Swoją drogą, dałbym sobie spokój z tą koleżanką. Przecież to bez sensu, żeby...

– Och, zamknij się.

Nie miała zamiaru rozmawiać o Isel, istniał jednak temat, o którym *chciała* pogadać. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, odezwała się dopiero po dłuższym czasie.

– Jak się za pierwszym razem spotkaliśmy – zaczęła powoli – to mówiłeś, że odsyłali cię do diabła?

Piątek wydał się zdumiony, że zapamiętała coś takiego.

– Żartowałem – odparł. – Chyba nie wierzysz, że wiedźmy i namhajdy zlatują się na jakieś sabaty.

Wcale się nie zaśmiała, co wydało jej się podejrzane.

– Namhajdy – powtórzyła. – A więc diabły mogłyby do nich należeć?

– Nie ma żadnych diabłów.

Kategoryczny ton Piątka wzbudził w March dodatkowe obawy.

– No ale w demony wierzysz. Tylko nazywasz je namhajdami – zauważyła.

Kot pokręcił głową.

– No nie – westchnął. – Za grosz nie znasz się na magicznej nomenklaturze. Namhajdy istnieją, to prawda, ale są tylko jedną z kategorii demonów. Nie ma żadnych całkiem *złych* istot, diabłów, w które wierzą ludzie. To tylko nazwa zbiorcza różnych, często nieszkodliwych stworów. A demony wcale nie są złe.

– Jak to nie?

March nie patrzyła na Piątka, żeby nie dostrzegł na jej twarzy zbyt dużego zainteresowania. Wbijała wzrok przed siebie.

Przeszli już ponad połowę drogi do domu Isel.

– Demony to nazwa mnóstwa istot. Zaliczają się do nich nimfy, rusałki, niektóre duchy żywiołów. Większość jest zupełnie nieszkodliwa. Namhajdy są groźne, to prawda, ale każda istota, o ile jest rozumna, może sama wybrać, jaka będzie. I większość z nas nie jest ani dobra, ani zła. Wszystko zależy od okoliczności.

– Większość z *was*? – podchwyciła March.

– Och, mówię ogólnie, o tobie też. Chodzi mi o to, że decyzja o tym, kim się staniesz, należy do ciebie. Bycie złym do szpiku kości jest prawie niemożliwe, nie wspominając już o tym, że byłoby całkiem idiotyczne. Bo niby co to znaczy, być *złym* dla samego bycia *złym*? Nonsens. Najbliżej tych legendarnych diabłów są paimony. To takie ogniste duchy, z którymi podpisujesz kontrakt, kiedy...

– Aha! – przerwała mu March. – Właśnie! Kontrakt krwią! Słyszałam o tym!

Może i argument nie był najlepszy, ale magia i świat Jaaru przypominały filmy. Równie dobrze w Hollywood mogły pracować prawdziwe czarownice.

– Kontraktu magicznego nie trzeba podpisywać krwią – wyjaśnił Piątek. – Wystarczy zwykłe słowo. A paimony cię nie opętają, zwykle umawiasz się z nimi na konkretną zapłatę za usługę i załatwione. Są zbyt leniwe, żeby zajmować się opętaniem. Chodzi im głównie o złoto. Co się dzieje, March?

To nagłe pytanie zupełnie zbiło ją z tropu. Piątek zatrzymał się i czekał, aż ona zrobi to samo. Spojrzała na niego.

– Pochyl się – polecił.

Sama nie wiedziała, dlaczego słucha kota, ale zrobiła to.

– O co chodzi? Myślisz, że więdźmy są złe? Że ja albo Callen jesteśmy źli?

– Ja... nie... – Chętnie by skłamała, ale musiałaby wiedzieć, co właściwie myśli. A wcale nie wiedziała.

– Posłuchaj mnie – powiedział z naciskiem Piątek. – Jeśli magia czegoś nas uczy, to odpowiedzialności. Jest narzędziem i to *ty* masz go użyć. Jak to zrobisz, to twoja sprawa. Nie twierdzę, że jestem dobry, ale chociaż wyda ci się to dziwne, to myślę, że zawsze starałem się być chociaż przyzwoity. Jak nawalisz, to twoja wina i musisz sobie z tym poradzić, tak jak będziesz musiała, zapewniam cię, poradzić sobie z tym, co zrobisz swojej przyjaciółce. Ale nikt z nas nie jest skazany na bycie złym. Nie wierz w takie bzdury.

Chciała potaknąć, jednak to, co powiedział o Isel, ją zezłościło.

– Idziemy dalej – zdecydowała, nie mając ochoty tego komentować. – Jesteśmy blisko.

Skręcili w prawo, w ulicę pełną niskich budynków otoczonych ładnymi płotami – dokładnie tak powinny wyglądać domy należące do przykładowych rodzin. Z rozmów z Isel March wiedziała, że żaden z jej sąsiadów nie jest przykładowy, ale ulice służą w końcu temu, by utrzymywać pozory. Lampy wszędzie były już pogaszone. Jeśli jednak przyjrzeć się lepiej, można było dostrzec w jednym z okien słabe, niebieskie światło, pochodzące z odbitego w szybie laptopa. To okno należało do Isel.

March zatrzymała się przed domem i wyciągnęła komórkę.

– Co robisz? – spytał Piątek.

– Muszę do niej zadzwonić.

– Ale...

– Wszystko obmyśliłam. Uwierzy mi tylko, jeśli będę miała jakiś dowód na to, że jestem... kim jestem.

– Jeszcze niedawno bałaś się, że telefon twojej matki jest na podsłuchu. A co, jeśli...

– Zaryzykuję.

Wybrała numer i nacisnęła zielony przycisk, szybko, by nie zdążyły zaatakować jej wątpliwości.

– H-halo? – Głos Isel zdradzał na pewno więcej, niżby chciała. March w wyobraźni słyszała, o czym myśli przyjaciółka: pewnie już od dawna podejrzewa, że March została zamordowana, a teraz morderca przyszedł zabić także ją.

– Hej, Isel. – Beztroski ton March był mniej wiarygodny nawet od gadających kotów. – Co... porabiasz?

Piątek wybuchnął śmiechem.

– Słucham? – odpowiedział przerażony głos w słuchawce. Dlaczego Isel nie zapytała: „Kim jesteś i co zrobiłeś z March?”, jak przystało na dobrą przyjaciółkę?

– To ja, March. Dzwonię, żeby dać ci znać, że wszystko ze mną w porządku...

– Kłamstwo – mruknął Piątek.

– ...i że stoję pod twoim domem, i...

– To jej raczej nie ucieszy...

– ...i w ogóle – dokończyła, próbując szturchnąć go nogą.

W słuchawce panowała cisza. I choć należało jej się spodziewać, March i tak była zawiedziona. Zaczęła mówić coraz szybciej, byle tylko Isel nie odłożyła telefonu.

– Wiem, że mój głos jest nieco zmieniony, ale jestem w stanie ci udowodnić, że to ja. Na przykład... na przykład... – zaczęła się zastanawiać. – Pamiętasz, jak kiedyś zabrałam ci batona i kazałam się odchudzać? Tak, to było głupie. Albo jak... jak powiedziałam ci, że jesteś gruba i brzydka? No, przepraszam. A ty odpowiedziałaś, że jestem suką. A potem się pogodziłyśmy, tylko że ty nakablowałaś mojej matce, że jestem psychiczna, i znowu się na ciebie wściekłam.

Piątek wysłuchiwał tego w zupełnym osłupieniu. March poczuła się nieswojo, by nie powiedzieć podle. I to ona była tą podłą. Dlaczego wszystkie rzeczy, które sobie przypominała w związku z Isel, to ich kłótnie i wyzwiska?

– Ale... ale... było też dobrze – dodała szybko. – Przez większość czasu się lubiliśmy i trzymałyśmy razem. Mnie nazywali kurduplem, a ciebie... no, sama wiesz. Pamiętasz?

Milczenie w słuchawce się przeciągało. Wreszcie Isel odparła:

– Mówisz o tym, jakby się wydarzyło wieki temu... Ale tak, pamiętam.

March odetchnęła z ulgą.

– Stoję pod twoim domem – powiedziała. – Wyglądam inaczej niż zwykle, ale to ja. Więc jak, wyjdiesz?

Zamiast odpowiedzieć, Isel tylko westchnęła i się rozłączyła. March na chwilę straciła nadzieję, że uda im się pogadać, jednak po chwili drzwi domu przyjaciółki się otworzyły.

– To ona? – szepnął Piątek. – Faktycznie jest gruba.

Tym razem March prawie go kopnęła. Nawet ona nie miała prawa nazywać tak Isel, o czym już się przekonała. Ba, twierdziła, że sama Isel nie ma prawa tak o sobie mówić.

– I wcale nie uważam, że należało ją wyzywać – dodał pouczająco kot. – Jesteś wstrętna, March.

Isel stanęła przed furtką, ale jej nie otworzyła. Zamiast tego podejrzliwie wpatrywała się w przybyłych. March podeszła bliżej, na co jej przyjaciółka się odsunęła.

– Isel, to *naprawdę* ja.

Piątek miauknął na potwierdzenie. Zapewne uznał – i słusznie – że na odzywanie się ludzkim głosem jest jeszcze za wcześnie.

Isel uruchomiła latarkę w komórce i poraziła twarz March ostrym światłem.

– To ty! – zawołała. – Widziałam cię w sklepie. Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?

– Jestem March!

Wiedziała, że nie przekona Isel, powtarzając to jedno zdanie niczym mantrę. Miała inny sposób na sprawienie, by przyjaciółka jej uwierzyła, tyle że w tym celu trzeba było



zaprowadzić ją do Domu Wiedźm. Tutaj nie mogła zdjąć amuletu i się jej pokazać, nawet jeśli w okolicy nikogo akurat nie było, czuła, że za bardzo by ryzykowała. Nikt nie mógł przecież wiedzieć, że March Sky, ta morderczyni, jest z powrotem w miasteczku.

– Dostrzegłaś, że w Finfolk dzieje się coś dziwnego, prawda?  
– spytała. – Masz rację, a ja wiem, co to takiego. Jeśli mi zaufasz i pozwolisz coś sobie pokazać, zrozumiesz.

Przypomniała sobie, jak to było z Callenem. On też wymagał od niej zaufania na słowo. To śmieszne, że znalazła się w takiej samej sytuacji jak on. Tylko że ona zaufała. Ale czy Isel zrobi to samo?

– Nawet jeśli nie wierzysz, że ja to ja – dodała – to musisz przyznać, że wiem o March zadziwiająco wiele. Wiem, co się z nią... ze mną stało, i mogę ci wszystko wyjaśnić. To co, pójdziesz ze mną?

– Gdzie?

– Do Domu Czarownic. – Nazwa nie była tajemnicą, wszyscy w okolicy tak nazywali dom sióstr Malloway.

Isel uniosła brwi. Piątek znów zamiauczał.

– Dlaczego akurat *tam* chcesz ze mną iść?

– Bo tylko tam jest bezpiecznie.

Wbrew oczekiwaniom March, która była pewna, że właśnie wzbudziła w przyjaciółce większe podejrzenia, Isel otworzyła furtkę.

– Jeśli ty ją zamordowałaś – ostrzegła, wyciągając palec – wiedz, że ze mną ci się nie uda. Prędzej sama zamorduję ciebie. – Spojrzała ze zdziwieniem na Piątka. – Pójdę tam i sprawdzę, ale trzymajcie dystans, ty i ten kocur.



Wprowadzanie Isel do Domu Czarownic było jak zdradzanie przed nią jakiejś świętej tajemnicy. Nie byłoby w tym nic złego – w końcu przyjaźń polega głównie na tym, że wie się o kimś więcej niż reszta świata – gdyby nie fakt, że ta tajemnica była szczególna. Poza tym, wyjawiając ją Isel, March czuła się zarazem, jakby zdradzała Callena, o czym Piątek przypominał jej ukradkowymi spojrzeniami rzucanymi przez całą drogę.

Isel nie dopuściła żadnego z nich do siebie bliżej niż na odległość kilku kroków. Szła za nimi, nie odzywając się ani słowem. Dopiero gdy zobaczyła wnętrze domu, westchnęła z zachwytem. Szybko jednak stała się na powrót podejrzliwa.

– Po co tu tyle drzwi? – spytała.

March w ostatniej chwili powstrzymała się przed przyznaniem, jaka jest prawda. Na to było za wcześnie. Wszystko trzeba było zrobić po kolei.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Chcesz herbatę? Nie mam twojej ulubionej earl grey, ale coś na pewno się znajdzie.

Postanowiła na każdym kroku dawać Isel do zrozumienia, jak dobrze ją zna.

– Wiesz o mnie za dużo jak na kogoś obcego – odparła przyjaciółka. – Nie będę nic piła. Usiądziemy, oczywiście w bezpiecznej odległości, i powiesz mi, co wiesz.

– Podoba mi się to! – wypaliła March. Miała ochotę poklepać Isel po ramieniu. Byłoby to całkiem miłe, bo dawniej wcale do niego nie dosięgała. – No, nigdy nie byłaś taka zdecydowana – dodała z zakłopotaniem. – A to, jak potraktowałaś te dwie krowy w sklepie, jak je zwyzywałaś... to było mistrzostwo!

Piątek prychnął z dezaprobatą, co zrozumiała jedynie March, po czym ułożył się w kłębek na dywanie. Isel zajęła samotny fotel. Wciąż nerwowo rozglądała się dookoła, jak gdyby spodziewała się, że w każdej chwili ktoś może ją zaatakować.

– Słuchaj – odezwała się znów, wbijając w March miażdżące spojrzenie. – Nie powiem, że to, co mówiłaś, nie jest... zastanawiające. Ale ja nie wierzę w żadne bzdury typu... no, ponoć sama wiesz, jakiego typu. Twardo stąпам po ziemi i nie jestem kretynką. Zgodziłam się tu przyjść tylko po to, żeby się dowiedzieć, co się stało z moją przyjaciółką.

*Jeszcze trochę, a się dowiesz* – pomyślała March, przygotowując się do zdjęcia amuletu. Musiała tylko wyczuć dobry moment. Nie chciała od razu zaszokować Isel.

– Możemy pogadać o tym, co się stało w sklepie? – poprosiła, próbując zacząć jakoś racjonalnie, przynajmniej na tyle, ile się dało. – Jakie dziwne rzeczy miałaś na myśli, kiedy...

– Nie – przerwała jej Isel. – To ty miałaś mówić. – Wystrzeliła w jej stronę palec. – Słucham.

March się zmieszała. Jeśli miała zacząć od razu, wołała pominąć co bardziej magiczne szczegóły.

– Świetnie znasz legendy Finfolk – zaczęła. – Przeczytałaś chyba wszystkie książki z naszej biblioteki. Kiedyś gadałyśmy na temat doświadczeń poza ciałem, a ja, co na pewno pamiętasz, sama wpadałam w stany OOBE[\[1\]](#) i w jednej z... wizji... czy jak to nazwać... widziałam elfa. Podobno w Finfolk też kiedyś żyły elfy.

Isel patrzyła na nią tak, jakby się zastanawiała, która z nich dwóch jest wariatką. Nie umiała jednak ukryć zdumienia tym, jak wiele faktów przywoływała March.

– Elfy to przesadzona nazwa, jakieś fantastyczne stwory – stwierdziła, siląc się na obojętny ton. – Są badania, które mówią, że o ile w legendach jest choćby ziarnko prawdy, chodzi po prostu o *małych ludzi*.

– Małych ludzi? – March zainteresowała się bez udawania.

– No, nie ma wielu dowodów na ich istnienie, ale przecież wiadomo, że na świecie istnieje kilka ras ludzi, którzy są po prostu niscy. Możliwe, że jedno z takich plemion mieszkało na

Wyspach jeszcze w czasach średniowiecznych. Zostało zwalczone, bo jego członkowie wyznawali pogańskie wierzenia i uprawiali magię.

March się zamyśliła. A co, jeśli te plemiona składały się z feriańskich wyrzutków?

– To tylko gdybanie – zaznaczyła z naciskiem Isel. – Brakuje dowodów. W każdym razie wszystkie legendy mają gdzieś swoje źródła, na przykład jednorożce to tak naprawdę zmitologizowane nosorożce.

– Wiesz, że nie znoszę, jak używasz wyszukanych słów – westchnęła March.

Isel przewróciła oczami. Na krótki moment zapomniała chyba wierzyć w to, że siedząca przed nią kobieta nie może być jej zaginioną przyjaciółką.

– Niewielu starożytnych Europejczyków widziało nosorożca. Korzystali tylko z opisów podróżników, więc dorobili sobie teorię, że to niby konie z rogiem, co jest oczywistą bzdurą.

*Gdybyś tylko wiedziała...* – pomyślała March.

– Okay – odparła. – Ale przedstawiciele tych plemion nie mieli chyba skrzydeł?

– Nie. – Z niezrozumiałego powodu Isel obruszyła się na to pytanie. – I nikt mnie nie zmusi, żebym uwierzyła w skrzydlate, kolorowe ufoludki.

March przyglądała jej się uważnie.

– Zaraz... Czy ty widziałaś fera?

Isel zwlekała z odpowiedzią.

– Nie jestem nienormalna – odrzekła wreszcie cicho, by zaraz potem gwałtownie się unieść: – A ty za dużo o mnie wiesz!

– Tylko pytałam...

To, czego spodziewała się teraz March, stało się. Isel spuściła głowę i zaczęła bawić się rękami.

– Powiedzmy, że przyjmę to, co mówisz, za prawdę. Ale tylko na potrzeby tej dyskusji – zastrzegła. – Jestem ateistką

i w moim światopoglądzie nie ma miejsca na żadne paranormalne dyrdymały, tyle że... czasami świat okazuje się nieco inny i... – Uniosła wzrok. – Na ile mogę ci zaufać?

March otwierała już usta, by odpowiedzieć, ale przyjaciółka prychnęła.

– No tak, jasne, głupie pytanie. Jasne, że ci nie ufam.

– Możesz powiedzieć mi cokolwiek...

– I zrobię to. Właśnie dlatego, że cię nie znam, a to, co powiem, nie ma żadnego znaczenia. Nie może mieć, bo nie sądzę nawet, żeby wydarzyło się naprawdę. Ale widziałam coś.

Oświadczyła to tonem zbyt pewnym jak na kogoś, kto nie dowierza w rzeczy, których był świadkiem.

– Te skrzydlate... te elfy czy jak im...

– Fery – poprawiła szybko March.

– Jakiś tydzień temu w ogrodzie przemknęła mi przed nosem sylwetka.

Piątek nadstawił uszu.

– Sylwetka? – podchwyciła March.

– No, nie wiem, jak to inaczej nazwać. To było coś, nie osoba, i miało skrzydła. Ale widziałam to tylko przez ułamek sekundy, więc stwierdziłam, że to złudzenie optyczne. Byłam zmęczona. Zdawało mi się, że ta istota ukryła się za domem, i faktycznie przez dobrych kilka chwil widziałam jej cień. To trwało zbyt długo, żebym mogła sobie to wyobrazić. Zresztą ja...

– Nie wyobraziałabyś sobie podobnych rzeczy, wiem – zapewniła ją March. – Jesteś zbyt racjonalna.

– Właśnie. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że... hm... może to rodzaj traumy po utracie March Sky?

Słyszając to, March poczuła, jak robi się jej ciepło na sercu.

– Zależało ci na niej? To znaczy zależy ci na mnie?

Isel pokręciła głową z niedowierzaniem, znów patrząc na nią jak na chorą psychicznie.

– Na *niej*, tak. To jasne, była moją przyjaciółką i ciągle gadała o tych wszystkich dziwactwach. A teraz ja sama je widuję. Być może to coś w stylu traumatyzacji zastępczej albo udzielającej się hysterii?

– Nie wiem, o czym gadasz, ale to nie żadne dziwactwa – zniecierpliwiła się March. – Sama mówiłaś mi kiedyś, że mogą istnieć alternatywne światy, że fizyka bierze to pod uwagę, tak?

– Tak. To znaczy nie, nie mówiłam tego *tobie*. I nadal nie powiedziałaś mi, skąd tyle o mnie wiesz!

Zamiast odpowiadać na ostatnie pytanie, March podjęła znów temat ferów. Nie wprost, ale opisała *teoretyczne* przenosiny do innego wymiaru. Wciąż czekała ze zdjęciem amuletu, przygotowywała się na ból, którego doświadczy, i obawiała reakcji przyjaciółki. No, ale straumatyzowana czy nie, za moment Isel nie będzie miała innego wyboru jak tylko jej uwierzyć. Na razie pozostawała absolutnie sceptyczna.

– Zaraz – powiedziała, gdy usłyszała o Aislingen i Jaarze. – Chcesz mi powiedzieć, że są miejsca, w których istnieją jednorożce? Chyba nie słyszałam dotąd niczego bardziej żalosego.

– Dlaczego jesteś tak zamknięta? – zapytała March z rezygnacją. – Okay, ja też kiedyś taka byłam, ale posłuchaj... Dobra, dość tego.

Gwałtownie ściągnęła amulet i rzuciła go na podłogę. Zdołała tylko jęknąć, gdy jej kości zaczęły się zmniejszać, czaszkę rozsadził ból, a twarz ją zapiekła. Nagle ubrania Armii stały się dla niej za duże, a ona na oczach przerażonej przyjaciółki wróciła do swojej zwyczajnej postaci.

A Isel, z zastygłym na ustach krzykiem, zerwała się z fotela. W tym samym czasie Piątek wyprostował się i oznajmił:

– Przecież ci mówiła.

Patrzył na Isel. Isel spojrzała na niego.

I zemdląa.

[1] Ang. *out-of-body experience* – doświadczenie pozacielesne.





## ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Twoja matka nie nazywała się Angelina Callen.

Poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Jego ciało zareagowało, jeszcze nim ta wiadomość dotarła do umysłu, tak jakby już wiedziało, co go teraz czeka: że będzie musiał długo trawić to, co usłyszał i co jeszcze usłyszy, że będzie musiał na nowo ułożyć swój świat. Oparł się o trzeszczący fotel, wzbijając w powietrze tumany kurzu.

Może jedynie w odruchu obronnym, jego głowa jakby opustoszała z myśli, a wzrok zaczął błędzić po mieszkaniu ojca. Świdrował je, skupiając się na obrazach, blokując jeszcze przez kilka chwil rzeczywistość, która zadała mu cios. Niestety, widok nie był pocieszający. Mieszkanie przypominało bardziej składowisko śmieci. Spośród walających się tu sprzętów więcej niż połowa była zepsuta. W dodatku wcale do siebie nie pasowały. Szafki w różnych kolorach, kilka nadszarpniętych materaców, nawet fortepian bez części klawiszy. Wszystko to było rozczarowujące.

A największym rozczarowaniem był sam ojciec. Gdyby okazał się dumny, elegancki, gdyby nie śmierdział alkoholem, gdyby był... inny, po prostu inny, Callen przymknąłby oko na jego zagracone mieszkanie. Wróżka miała rację – zawiódł się tak bardzo, jak to tylko było możliwe. Minęło zaledwie kilka sekund, nim okropne uczucia zdołały przedrzeć się do jego serca i już nic nie mogło ich powstrzymać. Miał wrażenie, że zapada się w sobie, że sięga dna. I nie wiedział, która z napotkanych tam emocji jest silniejsza: wściekłość czy rozrywający go wręcz na kawałki smutek.

„Twoja matka nie nazywała się Angelina Callen” – głos ojca, pusty i obcy, rozbrzmiał w jego myślach na nowo, gdy chłopak patrzył mu wprost w oczy, każde słowo pulsowało. Dlaczego Isinbir zaatakował go tą informacją tuż po tym, jak pozwolił mu wejść? Nie uścisnął go, co zresztą Callen przyjął z ulgą, bo nie chciał tej sztucznej ckliwości. Ale ojciec nie zaproponował mu nawet herbaty. Po prostu to powiedział, to jedno zdanie, z kamienną, ponurą twarzą. Ani słowa ponad to, jakby naprawdę nie miał mu nic więcej do powiedzenia, a cała ich przeszłość była nieważna.

– Więc jak się nazywała? – zapytał Callen po długim milczeniu głosem, który jakby wcale do niego nie należał, jakby chłopak musiał dobywać go z głębokiej studni. Atmosfera stała się tak ciężka, że miał wrażenie, że powietrze zaraz rozerwie mu płuca.

– Niepotrzebnie tu przychodziłeś – oświadczył ojciec w odpowiedzi.

Choć Callen od kilku chwil patrzył na jego bladą, niemal białą twarz, dopiero teraz faktycznie ją dostrzegł. Jego ojciec, w gruncie rzeczy obcy fer, zranił go tymi słowami bardziej, niż ktokolwiek inny by zdołał. A jednak chłopak nie odpowiedział. Studiował twarz Isinbira. Zmarszczki wokół jego oczu zdawały się świadczyć bardziej o smutku niż wieku – aislingeńskie fery starzały się przecież bardzo powoli. Ile właściwie lat miał ojciec? Callen niczego o nim nie wiedział, a być może niewiele więcej wiedział o swojej matce.

– Nazywała się Luna Williams – odparł szybko Isinbir, po czym odwrócił głowę.

Callen gwałtownie wciągnął powietrze.

– Z *tych* Williamsów?

– Z *tych* – odparł zdawkowo ojciec. – Po co ci ta wiedza? Dlaczego mnie szukałeś?

*Dobre pytanie* – uznał Callen. Żałował, że nie zadał go sobie wcześniej, bo może zrezygnowałby z tej niepotrzebnej wyprawy. Wydawało mu się, że pragnienie spotkania ojca było całkiem naturalne, *przyrodzone*. Przyświecało mu to samo, co wtedy, gdy przedostał się do Aislingen: chęć poznania własnych korzeni, przeszłości. Sądził, że bez tego był niepełny, że tylko ta wiedza uczyni go całkiem sobą. Jednak im głębiej sięgał, tym bardziej miał wrażenie, że zamiast zyskiwać, wciąż coś traci. Na nowo burzył i odbudowywał siebie.

– Muszę... – zaczął, lecz szybko się poprawił: – *Chcę poznać prawdę.*

Bo nie był to już przymus, ale przejaw woli, najpotężniejszego magicznego narzędzia. Zaszedł daleko i nawet jego własny ojciec nie miał prawa stawać mu na drodze.

– Jeśli powiesz mi prawdę, dam ci spokój i nigdy więcej tu nie przyjdę – obiecał.

Wszystkie słowa, które musiał wypowiedzieć, bolały, tak cholernie bolały.

– Naprawdę sądzisz, że tego chcę? – Nagle ojciec też wydał się zraniony. – Że nie zależy mi na własnym synu? *Kochałem* twoją matkę, chciałem dla niej lepszego życia, dla ciebie też... Ale wiedziałem, że jeśli masz być szczęśliwy, nie możesz poznać swojej spuścizny.

– Niby skąd wiesz, czy jestem szczęśliwy? Poza tym nie potrzebuję, żeby inni decydowali, co jest dla mnie dobre.

– No tak, tak, rzeczywiście. – Isinbir pokręcił głową, oczy lekko mu się zaszklily. – Nie jesteś już dzieckiem. Luna nie żyje od... od...

– Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku – wtrącił Callen, wściekły, że ojciec tego nie pamięta. – Więc? Jak się poznaliście? Dlaczego tak się to skończyło? Co się stało z mamą?

Ojciec uniósł dłoń, by go powstrzymać.

– Czekaj – poprosił. – Myślisz, że tak łatwo opowiadać o swojej przeszłości komuś, kto przez nią stracił przyszłość?

Callen prychnął. Fery na dworze Wyrd świetnie używały poezji, słodka mowa była zresztą jednym ze sposobów mamienia.

– Co wiesz na temat swojej matki? – spytał Isinbir.

– A jakie to ma znaczenie – zniecierpliwiał się chłopak – skoro wszystko, co wiem, może być nieprawdą? Wolałbym wiedzieć, co *ty* wiesz. Słyszałeś o jej śmierci, musiałeś wiedzieć, co działo się ze mną. Wiem, że miałeś na to setki sposobów, ale oczywiście nie przyszło ci do głowy, żeby się ze mną skontaktować.

Poczerwieniał już nie tylko ze złości, ale i z zażenowania: postawą ojca, swoją własną. Nie musiał warczeć jak nastolatek, powinien zachowywać się jak dorosły facet, którym przecież był.

– Nie mogłem się do ciebie zbliżyć – odrzekł Isinbir. – To aż tak proste.

– To wcale nie jest proste! Może dla ciebie tak, ale nie dla mnie!

Fer westchnął.

– Dobrze, skoro już zapukałeś do moich drzwi, opowiem ci twoją... *moją* historię. Wtedy zrozumiesz, dlaczego nie mogłem tego zrobić wcześniej.

Chłopak spojrzał na zegarek.

– Mów. Nie mam wiele czasu.

Miał nadzieję, że uda mu się wrócić do domu, nim Piątek i March zorientują się, że zniknął.

Isinbir zapadł się w sfatygowany fotel naprzeciwko i przez kilka chwil błędził wzrokiem po mieszkaniu. W końcu wyprostował się i zaczął:

– To potężny ród, Williamsowie. Jasne, że o nich słyszałeś, każdy słyszał. Są jedną z najstarszych magicznych rodzin w Wielkiej Brytanii. Nie zdziwiłem się, gdy wyszło na jaw, że to oni sprawowali opiekę nad kamieniem Danu. Zawsze dbali o swoje sprawy, piastowali wiele ważnych urzędów w Społeczności.

Zamilkł, pozostawiając Callena w poczuciu, że mówił nie na temat. Po chwili zreflektował się i kontynuował, choć brzmiało to tak, jakby zaczynał od początku inną opowieść.

– Jestem synem Wyrd – oznajmił.

– Wiem – uciał Callen. – To jak poznałeś mamę?

Nie miał ochoty wysłuchiwać historii ojca od początku.

– Dzięki kontaktom politycznym. W połowie lat czterdziestych Społeczność międzynarodowa prowadziła politykę zacieśniania sznurów, jak to nazywali. Chodziło oczywiście o metaforę, sznur jako narzędzie magiczne. Po wojnach w świecie ludzi czarownice i magowie coraz silniej ciągnęli do Jaaru. Towarzyszyła temu panika związana z rozdzieleniem światów. Wiedźmy wierzyły, że magia całkowicie opuści Ziemię i że ludzkość czeka zagłada. Przewodniczącym brytyjskiej Rady Wiedźm był wtedy, przez bardzo krótki czas, Jonah Montgomery. Dążył do pogłębienia kontaktów z aislingeńskimi ferami. Twój dziadek, Brutus Williams, był jego dobrym znajomym i od razu zgłosił swoją córkę jako specjalną wysłanniczkę do Miasta Snów, na co przewodniczący z miejsca przystał.

Isinbir znów westchnął, ciężko i z wyraźnym smutkiem.

– Nie powinien był. Luna była za młoda, niedoświadczona... Tak czy inaczej, wysłano ją do nas, a ja stałem się jej przewodnikiem. Byłem wtedy pierwszy w linii sukcesyjnej. Wiesz, co to?

Callen przewrócił oczami.

– Nie, nie wiem – odparł z sarkazmem. Ale wyznanie ojca go zaskoczyło. Musiał być najstarszym żyjącym synem Wyrd. Co stało się z poprzednimi?

– Zasada dziedziczenia u ferów jest prosta. Jeśli najstarsza jest córka, wtedy to ona dziedziczy tron, jeśli zaś syn, musi sobie znaleźć żonę lub ferinię, z którą połączy krew. Oczywiście twoja babka nie miała zamiaru rezygnować z władzy, zwłaszcza że postanowiła wykorzystać mnie w inny sposób.

– Wykorzystać?

– Owszem, bycie królową polega na tym, by umiejętnie wykorzystywać wszystko i wszystkich. Moc mojej matki przewyższa moce innych królowych ferów nie wielkością, ale jakością. Wyrd pamięta czasy sprzed rozdzielenia i jak pozostałe królowe od zawsze wiedziały, że kamień Danu istnieje naprawdę. Tyle że, jak sądzę, jedynie ona domyślała się, gdzie w tamtym czasie się znajdował. Właściwie zyskała pewność. Przypuszczam, że któregoś dnia Brutus coś jej chlapnął, zapewne nie wprost, lecz to wystarczyło.

– Postanowiła wykraść kamień?

– Nie do końca. Oczywiście fery doskonale rozumieją, że czegoś takiego nie da się osiągnąć. Wyrd chciała raczej, by kamień zaczął jej *sprzyjać*, co jest do osiągnięcia. Luna, jako przyjaciółka społeczności ferów, miała stać się łączniczką między kamieniem a Aislingen. Moim zadaniem było ją w sobie rozkochać.

Callen poczuł, jak zapada się w sobie jeszcze głębiej. Krew uderzyła mu do głowy. Miał wrażenie, że z każdym wyznaniem ojciec wkłada mu na barki niewyobrażalny ciężar.

– Więc to tak? – wyjąkał. – Nie było żadnej miłości? Zwyczajnie rzuciłeś na nią czar i...

– Nie! – gwałtownie zaprotestował ojciec. – Nie rzuciłem czaru. Matka chciała, bym po prostu ją nęcił, tyle że ja

naprawdę się w niej zakochałem. Sam nie wiem, kiedy do tego doszło. Chyba od razu, gdy tylko ją zobaczyłem, młodą, uśmiechniętą, z włosami tak cudownie srebrzystymi jak u najwspanialszych ferii... Pozwoliłem Wyrd wierzyć, że nic do niej nie czuję, bo inaczej natychmiast zniszczyłaby naszą miłość i obmyśliła nowy, jeszcze gorszy plan. Tymczasem ja, udając, że postępuję zgodnie z zasadami matki, wciągnąłem Wyrd we własną grę.

Wypiął pierś, jakby z dumą.

– Byłem głupcem, sądząc, że to rozejdzie się po kościach, jednak zaślepiła mnie miłość do Luny. Odwzajemniona miłość. To było nowe, obce uczucie. Nie doświadczyłem go nigdy w Mieście Snów, gdzie, zwłaszcza na dworze Wyrd, wszystko jest jedynie atrapą. Atrapą innego świata, który próbuje skopiować moja matka. Tak bardzo zazdrości ludziom i mieszkańcom Jaaru!

– Zazdrości? – prychnął Callen. – Przecież sama się odłączyła.

– Popołniając największy możliwy błąd. Posłuchaj elphamskich kapłanów. To, co mówią, jest prawdą. Połączenie między nami a ludźmi to najwyższa tajemnica Jej Samej i tylko poznając ją, można zrozumieć, jak działa Matka Duchów. A Jaar istnieje dzięki Niej i w pełni da się go pojąć tylko poprzez odkrycie Jej sekretów. Wyrd na własne życzenie się tego pozbawiła.

Umilkł, by pozbierać myśli.

– Nie żałuję – oznajmił niepytany. Odpowiedź na to niezadane pytanie wydawała się jednak głównym celem tej rozmowy. – A wierz mi, miałbym czego. Ale istnieją rzeczy ważniejsze od... wszystkiego, najważniejsze.

– Co działo się potem? – Callen nie oczekiwał od ojca umoralniania. Nie sądził, by Isinbir mógł go czegokolwiek nauczyć.

– Najpierw zamieszkałem w Aislingen wraz z Luną. Była jedną z nielicznych wiedźm, które zyskały pozwolenie na skorzystanie z dwóch zakazanych darów. Nie powiedziałem jej o planach Wyrd po części dlatego, że bałem się stracić jej zaufanie, a także by ją chronić. Moja matka potrafi czytać ludzkie myśli i nie każdy umie zabarykadować przed nią umysł. Ale to nie ona jako pierwsza dowiedziała się o naszej miłości. Odkryli ją Lei i Leila.

– Lei nie żyje – wtrącił szybko Callen.

Isinbir jedynie lekko ściągnął brwi.

– Cóż, chyba wybaczysz, że nie będę płakać? Swoją drogą, to znaczy, że bliźnięta nie osiągnęły swego celu.

– Celu?

Fer się zaśmiał.

– Celem większości dzieci Wyrd jest odziedziczenie tronu. Jedno po drugim umiera, podczas gdy ona żyje, a i tak między sobą rywalizują, jakby wierzyli, że królowa abdykuje na rzecz kogoś z nich. Lei próbował się mnie pozbyć na rzecz Leili, od której i tak był starszy o kilka minut. To wydaje się nieważne, lecz gwiazdy pamiętają... Jako bliźnięta mogliby rządzić wspólnie, z wielką mocą... Ale się nie udało. Leila pewnie się wściekła.

– Była raczej załamana.

– Wściekła – upierał się Isinbir. – Straci teraz sporo mocy. Może faktycznie go kochała, nie wiem... Moja matka, jak już mówiłem, nie uczyła nas miłości. Pewnie się jej boi, bo podobnie jak nad śmiercią i życiem, jej magia nie ma nad nią kontroli. W końcu to właśnie miłość pokrzyżowała jej plan zdobycia kamienia.

– W jaki sposób Wyrd się o was dowiedziała? Lei i Leila po prostu jej donieśli? Uwierzyła im?

– Lei wdarł się do moich snów, prosta sztuczka. Nim zdążył poinformować królową, skryliśmy się w miejscu *pomiędzy*.



Callen zamrugał.

– W miejscu *pomiędzy*? Przecież mogą je tworzyć tylko najpotężniejsze istoty i tylko na pewien czas. Byłem w jednym z nich, stworzonym przez księcia jednorożców.

– Kiriana? – zdumiał się ojciec.

– Nie, Alogosa. To długa historia, ale... jak tobie się udało?

– Trzeba poznać paradoks czasu. Wiele silnych istot umie stworzyć miejsca *pomiędzy*, jednak nie wszystkie tak jak fery z Miasta Snów rozumieją czas. Nawet wieczność może trwać krócej od sekundy. Zresztą wspomniałeś, że *tylko najpotężniejsze istoty* potrafią stworzyć podobne przestrzenie... Cóż, przyznaję, że nie było mi łatwo.

Przez kilka chwil Callen przyglądał się zmizerowanej twarzy ojca. Czy to możliwe, by ktoś taki był potężny? Skoro tak, to dlaczego tracił czas tutaj, w tym zatechłym mieszkaniu? I dlaczego stał się zwykłym pijakiem?

Isinbir odwrócił się ze wstydem, jak gdyby usłyszał jego myśli.

– Odnależli nas – ciągnął. – Matka chciała się zemścić i to wyszło jej jak nikomu innemu, zawsze wychodzi. Nie wtargnęła do naszego schronienia aż do czasu, gdy Luna zaszła w ciążę. Wtedy do przestrzeni przedostała się bowiem nowa dusza, *ty*.

Uniósł wzrok na syna, w jego oczach znów zalśniły łzy. Gdy zamrugał, od razu znikły.

– Nie chciałem, byś to źle zrozumiał, choć to, co powiem, może się wydać trudne. Prosiłeś jednak o całą prawdę i mam obowiązek ci ją przekazać. Cieszyliśmy się z dziecka, ale jednocześnie wiedziałem, że nasza kryjówka zniknie. Wtedy odnalazła nas imienna klątwa Wyrd. Aislingeńskie fery hołdują starym zasadom tajemnych imion, podczas gdy większość magicznego świata od nich odeszła. Podobnie jak magowie z Sehrgaru, mamy w Mieście Snów dwa imiona:

jedno codzienne i drugie, które zna tylko matka. Magowie, gdy kończą szesnaście lat, zmieniają tajemne imiona i stają się samodzielni, jednak my wciąż pozostajemy pod wpływem matek, a ostateczną matką nas wszystkich jest Wyrd.

Callen pokiwał głową i wyciągnął rękę, by przystopować ojca.

– Zaraz – powiedział. – Na czym polegała klątwa?

– Miała dwa wymiary, jeden bardziej oficjalny, państwowy. Zostałem wygnany. Matka ściągnęła mnie na krótko do Miasta Snów, by zrobić to na oczach wszystkich, żeby wiedzieli, że nie pobłądza nikomu, nawet własnym dzieciom. Tam ogłosiła wyrok i poddano mnie procedurze.

– Procedurze?

Zamiast odpowiadać, Isinbir ściągnął brudną koszulę i pokazał Callenowi dwie podłużne blizny na plecach. Chłopak się skrzywił.

– Lunę poddano jeszcze straszniejszej karze. Czar Wyrd sprawił, że postradała zmysły, zapomniała własnego imienia. Porzucona w Finfolk, błąkała się, aż znalazły ją wiedźmy. Mimo ich pomocy nigdy nie odzyskała sił...

– A jej rodzina? Dlaczego jej nie pomogli? Nie próbowali jakoś temu zaradzić?

– To właśnie najgorsza sprawa. – Wargi Isinbira zadrżały. Trudno było odgadnąć, czy z wściekłości, czy smutku. – Ojciec Luny był bardzo skupiony na polityce. Nie chciał pozwolić, by córka zniszczyła jego karierę. Ukarzał ją we własny sposób. Nie tylko nie zdjął z niej klątwy Wyrd, ale nałożył swoją własną. Wydziedziczył Lunę magicznie.

– Co?! – zawołał Callen. – Ale to przecież oznacza, że...

– ...że twoja matka znikła z historii całej rodziny Williamsów, nagle. Stała się bladym wspomnieniem wyrwanym siłą przez Brutusa. To trudna do rzucenia klątwa, wymaga wpłynięcia na umysły wszystkich, którzy znali daną osobę. Dziś jest zakazana prawem, a nawet dawniej stosowano ją niezwykle

rzadko. Wierzę, że twoja matka była jej ostatnią ofiarą w Europie.

Callen sądził, że nie zdoła poczuć się gorzej, niż już się czuł. Dlaczego więc wewnętrzności skręciły mu się, jakby miał zwymiotować? Nie mógł uwierzyć w to, jak potraktowano jego matkę. Tak samo trudno było mu myśleć o sobie jako o potomku Williamsów.

Ale to, co powiedział ojciec, wiele tłumaczyło. W szpitalu dla obłąkanych wiedźm również nikt nie mógł ustalić tożsamości *Angeliny*. Irma i Cleto nie umiały pomóc, a przecież same były jednymi z lepszych czarownic w kraju.

– A ty? – zapytał gorzko, posyłając ojcu oskarżycielskie spojrzenie. – Dlaczego nas nie szukałeś? Dlaczego nam nie pomogłeś?

– Nie mogłem – odparł Isinbir z naciskiem. – To była moja część klątwy. Nazywa się ją płątaniem zmysłów. Za każdym razem, gdy chciałem zbliżyć się do ciebie lub Luny, przekleństwo mnie od was oddalało. Tylko wy mogliście mnie odszukać, ale Luna zapomniała, kim była, a ty nigdy nie wiedziałeś. Mogłem obserwować, co się z wami dzieje, wiele osób znało moją tożsamość, jednak...

– Nie próbowałeś złamać czaru?

Fer zamrugał, zupełnie jakby po raz pierwszy ktoś mu zasugerował taką opcję.

– To by się nie...

– Nie próbowałeś – odpowiedział sobie Callen. Wcale go to nie zasmuciło, właściwie tego się spodziewał.

Isinbir nagle zerwał się z fotela.

– Ty nie wiesz, jak to jest! – zawołał, rozkładając gwałtownie ręce. – Nie masz pojęcia i obyś nigdy nie musiał się dowiedzieć! Mówiłem ci już: jestem ferem bez przyszłości! Żyję minionymi dniami, wspomnieniami, pięknymi, ale bolesnymi, bo nie da się do nich wrócić. A o przyszłości nie mam co

marzyć. Jestem ciągle w tym okropnym zatęchłym czymś – zamaszystym ruchem wskazał mieszkanie – i każdy kolejny dzień będzie wyglądał tak samo.

– Więc coś z tym zrób! – krzyknął Callen, również wstając. – Wolisz tu siedzieć i się nad sobą użalać?!

– Myślisz, że mogę coś zrobić? Tutejsze fery mi nie ufają, myślą, że skoro mnie wygnano z Aislingen, to na pewno dopuściłem się zbrodni. Dlatego skończyłem tak, jak skończyłem.

Callen czuł, jak pieką go policzki. Miał w sobie tak wiele złości na ojca, że krzyk nie zdołałby pomóc mu się jej wyzbyć. Nawet gdyby rzucił się na tego żalostnego, śmierdzącego pijaka i walił go pięściami, ciągle czułby ten sam palący gniew. Zamiast tego ochłonał. Opadł znów na fotel, myśli pędziły mu przez głowę, aż wreszcie wypalił:

– W takim razie zrób coś, przydad się na coś.

Ojciec ze zdumieniem uniósł brwi.

– Nie rozumiem...

– Jest ktoś, kto może nam pomóc, ktoś, kto być może wyciągnie nas z tego szamba.

Isinbir, nauczony na dworze ogłady, skrzywił się na ostatnie słowo.

– O kim mówisz?

Callen bez wahania opowiedział mu o March. A gdy tylko skończył, wyszedł z propozycją:

– Naucz ją magii, wszystkiego, co wiesz. Możesz to zrobić lepiej niż ktokolwiek, jesteś o wiele potężniejszy niż ludzie i nawet wiele ferów.

Ojciec się zawahał.

– Nie mógłbym...

– Jesteś mi coś winien, prawda? – Callen bardziej żądał, niż prosił.

Chwila ciszy zdawała się trwać w nieskończoność. Zmarszczki na czole fera pogłębiły się, jakby nie mogąc udźwignąć wątpliwości. Wreszcie Isinbir wypuścił powietrze i lekko pokiwał głową.

– Sprowadź ją tu.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Piątek i March pochylali się nad omdlałą Isel. Najpierw sądzili, że dziewczyna szybko dojdzie do siebie, ale mijały kolejne minuty, a ona wciąż leżała. Całe szczęście, jej klatka piersiowa podnosiła się i opadała. Skoro Isel żyła, chyba nie mieli się czym martwić. Przynajmniej do czasu, aż się obudzi. Potem mogło być już tylko gorzej.

– No i po co tak wyskakiwałaś? – ofuknęła kota March. – To przez ciebie zemdląca.

– Sądziłem, że po zobaczeniu zmiennokształtowania nie zwróci uwagi na gadającego kota. Ale bez obaw, znam mnóstwo magicznych sposobów, żeby ją obudzić.

– Nie, lepiej niech śpi. Może łatwiej będzie jej się otrząsnąć, jak trochę odpocznie.

– Po tym, co jej zafundowałaś? – prychnął Piątek. – Nie sądzę. Swoją drogą, słabo to sobie zaplanowałaś. Jakbym wcześniej wiedział, co zamierzasz, to nigdy bym ci na to nie pozwolił. Nie słyszałaś o czymś takim jak okultystyczny szok?

March posłała mu nienawistne spojrzenie. Nie znosiła, kiedy się mądrzył, a pytania w stylu: „Nie słyszałaś...?”, wnerwiały ją najbardziej. Po co je zadawał, skoro za każdym razem doskonale znał odpowiedź?

– To taka psychologiczna przypadłość – wytłumaczył. – Nie jest dobrze, kiedy wystawia się nieprzynależących na działanie zbyt silnej magii. Jak ta cała Isel zwariuje, to będzie to twoja wina.

– Ja jakoś nie zwariowałam, widząc ciebie. Ale ciągle mnie doprowadzasz do szału, więc to nic straconego.

Piątek wyszczerzył zęby i skłonił głowę, jakby chciał powiedzieć: „Do usług”.

– Pamiętaj, że ty masz magię we krwi, to co innego – dodał, wskakując na fotel. Skorzystał z tego, że Isel go zwolniła, i zachowywał się, jakby wcale go nie obchodziło to, że leżała na podłodze.

– Mamy ją tak zostawić? – oburzyła się March, rozkładając ręce nad przyjaciółką.

– No chyba sobie nie wyobrażasz, że ją podniesiemy.

– Wolałabym, żebyś nie żartował sobie z jej wagi – wycedziła March. – A jak spróbujesz, to cię wywalę za drzwi.

Kot spojrzał na nią jak na kosmitkę.

– Słyszysz podteksty, których nie ma – odparł. – Ciekawe, kto jest temu winien.

March odwróciła się, nie mogąc znieść jego przenikliwego wzroku. Nie ulegało wątpliwości, że chciał dać jej coś do zrozumienia, ale co? No, właściwie wiedziała co – nie było potrzeby się oszukiwać.

– Okay, niech ci będzie! – zawołała. Miała wrażenie, że kot prawil jej kazania, nawet kiedy się nie odzywał. – Swego czasu powiedziałam jej kilka nieprzyjemnych słów, przyznaję się. Ale wcale nie miałam ich na myśli. Poza tym nie prześladowuję ludzi za to, jak wyglądają. Spójrz tylko na mnie, nawet nie miałabym prawa tego robić.

– Wiesz, czasem jest źle, jak się nie mówi tego, co się myśli, a czasami gorzej, jak się powie to, czego się nie myśli. Za to najgorzej jest wtedy, kiedy się mówi to, co się myśli. Jeszcze nikt na tym dobrze nie wyszedł.

Zamiast zastanawiać się nad wątpliwą filozofią kota March pochyliła się nad Isel.

– Coś musimy z nią zrobić – stwierdziła.

– Mogłabyś ją przenieść za pomocą magii na górę, ale tego bym nie próbował, bo jeszcze się przez ciebie potłucze, a leżeć



na twardej podłodze jest na pewno zdrowiej niż stoczyć się ze schodów. Z drugiej strony, wtedy na pewno by się obudziła.

Nim March zaczęła się zastanawiać, czy Piątek naprawdę rozważał tę możliwość, z góry dobiegł ich odgłos kroków – zbyt cichych i konspiracyjnych, by ich nie usłyszeć.

– Callen – mruknęła March.

Kot był od niej szybszy. Kilkoma susami pokonał schody. Ona popędziła zaraz za nim, a będąc już na górze, ze zdumieniem odkryła, jak był silny. Rzucił się na chłopaka i powalił go na ziemię, po czym, sycząc i warcząc, wbił mu pazury w piersi.

– Au! Złaż ze mnie, debilu! To boli!

– Tylko nie debilu – ostrzegł Piątek, obnażając pazury. – Bo ci ucharakteryzuję gębę.

March pochylała się nad nimi z założonymi rękami. Była wściekła – choć w zasadzie nie powinna, skoro zrobiła dokładnie to samo, co chłopak – ale gdy kot zszedł i zobaczyła twarz Callena, gniew jakby wyparował.

Jeszcze w Aislingen March odkryła, że pewne rzeczy można wyczuć na podstawie aury. I bez wątpienia wyczuła teraz w aurze Callena smutek. A może tylko zobaczyła go w jego oczach? Dość, że tam był, i to bardzo wyraźny.

– Co się stało? – spytała.

– Nic – skłamał, co również nie ulegało wątpliwości – ale jest coś, o czym muszę wam powiedzieć.

– No ja myślę! – zawołał Piątek.

Chłopak wstał z pomocą March i rzucił kotu gniewne spojrzenie. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się z nim jeszcze kłócić, ale dał sobie z tym spokój.

– Posłuchajcie, sprawa jest poważna i musimy...

Urwał, gdy z dołu dobiegł ich jęk.

– Co to?

March i Piątek znieruchomieli.

– No tak – odezwała się w końcu zakłopotana dziewczyna. – Bo ja też muszę ci o czymś powiedzieć...



Zobaczywszy Callena, Isel z krzykiem rzuciła się ku drzwiom i gdyby nie to, że zakłęcie, którym obłożony był Dom Wiedźm, zablokowało je, pewnie połowa Finfolek dowiedziałyby się, że grasują tu duchy. Schodząc na dół, żadne z nich nie pomyślało o tym, że dziewczyna może tak zareagować na widok kogoś, kto według rozwieszonych w całym mieście plakatów już nie żył. Chłopak musiał długo jej tłumaczyć, że nie umarł. Próbował podać jej rękę, żeby łatwiej było jej w to uwierzyć, ale wtedy wrzasnęła i schowała się za tapczanem. To zachowanie było tak niepodobne do racjonalnej Isel, że March najpierw nie wiedziała, jak zareagować, a następnie szybko się zniecierpliwiła.

– Spodziewałam się po tobie większego rozsądku – prychnęła. – Nie chciałaś uwierzyć, że zmieniam kształty, a sama boisz się duchów?

– Z dwojga złego w duchy łatwiej uwierzyć – stwierdził nieśmiało Piątek. Bardzo nieśmiało, bo za każdym razem, gdy się odzywał, Isel fiksowała na nim przerażone spojrzenie. – Duchy są bardziej *cliché*.

– Zmieniłaś się na jej oczach? – spytał z wyrzutem Callen.

– Banda freaków! – zawołała Isel.

– Hej, to chyba obraźliwe! – warknął kot.

– Isel, jak długo mam ci tłumaczyć?! – March miała ochotę tupnąć nogą, co tylko by ją pogrzyżyło. – To, co zobaczyłaś, jest prawdą. Ja użyłam czarów, żeby zmienić kształty, Piątek gada, bo... – Spojrzała w dół na kota. – ...bo po prostu taki jest. Za

to Callen wcale nie umarł, to znaczy nie zamordowałam go, przynajmniej na razie.

Jej przyjaciółka wcale nie potraktowała tego jako żartu. Callen w końcu machnęła ręką.

– Nie chce mi się w to bawić – oświadczył, tracąc zainteresowanie Isel, jak gdyby miał ją za zbędną, choć hałaśliwą, element dekoracji. – To ty się w to wpakowałaś. Będzie trzeba wymazać jej pamięć, ale tym razem radź sobie sama. Ja idę spać.

– Chyba żartujesz! Nie możesz mnie z tym zostawić!

– Ostrzegałem cię, że tak się to skończy, a ty mnie nie posłuchałaś! Jeśli taka z ciebie mądra wiedźma, to naucz się po sobie sprzątać!

– Słuchaj no, mądralo! – krzyknęła March. – Nie będziesz mnie pouczać! Sam łazisz po innych światach i masz się za lepszego ode mnie?! Bardziej doświadczonego?! Gdyby nie ja, dawno byś nie żył!

Ale równie dobrze mogła wołać do jego pleców, bo Callen faktycznie zniknął u góry schodów. March poczuła, jak gwałtownie zalewa ją złość. Energia w jej brzuchu chciała się wydostać na powierzchnię, aura zaskrzyła, a krew przyspieszyła i stała się jakby gorętsza.

– I tak cię nie potrzebuję – syknęła i odwróciła się do przyjaciółki. Isel naraz wytrzeszczyła oczy. Nieco się uspokoiła, ale nadal wyglądała na oszołomioną.

– M-March – wyjąkała. – Twoje włosy!

Widząc minę przyjaciółki, March z nie mniejszym od niej strachem dotknęła głowy. Okazało się, że pojedyncze włosy nieco się podniosły, najwyraźniej naelektryzowane magiczną mocą.

– No, trochę się wkurzyłam – przyznała. – A jeśli nie chcesz zdenerwować mnie bardziej, siadaj i słuchaj.

– Ja też zostanę – zdecydował Piątek. – Chętnie się dowiem, jak to rozegrasz.

Tym razem kot od razu wskoczył na swoje miejsce, nim fotel zajęła mu Isel. Dziewczyna musiała usiąść obok March, która – stwierdziwszy, że nie ma już na co czekać – zaczęła opowiadać jej wszystko od początku, bez owijania w bawełnę. Nie było to łatwe. Zdała sobie sprawę, że jeszcze nikomu nie mówiła o tym, co się stało, a w świecie ludzi brzmiało to zupełnie niedorzecznie, jakby wspomnianie o magii i Jaarze kłóciło się z rzeczywistością. Nie pozwalała Isel zadawać pytań, chciała wyrzucić z siebie tę historię, być może wierząc, że jeśli zrobi to szybko i głośno, sama zdoła wreszcie w pełni ją zaakceptować. Kiedy skończyła, przyjaciółce i tak zabrakło słów. Korzystając z tego, March od razu wróciła do rozmowy o ferze.

– Wspomniałaś, że widziałaś go w ogrodzie. Jak wyglądał?

– Nie pamiętam, March, naprawdę. Mignął mi tylko przed oczami i nie zdołałam wiele zobaczyć... A może coś zobaczyłam i po prostu to wyparłam. Bo nadal jakoś mi trudno w to uwierzyć. Niby mam empiryczne dowody...

– Co masz?

– Empiryczne, to znaczy poznawalne za pomocą zmysłów – wyjaśnił z wyższością Piątek. – Oczywiście zmysłów mamy siedem, choć powszechnie przyjmuje się, że jest ich tylko pięć. Wzrok, zapach, dotyk, słuch i smak. Do tego dochodzi jeszcze zmysł równowagi, no i ten siódmy, czyli intuicja. W znaczeniu magicznym siódmy zmysł, który ludzie nazywają szóstym, to nie tylko przeczucie, ale również wyczuwanie, zdolność odbierania bodźców ze świata astralnego, duchowego i tak dalej. Dopiero gdy uruchomi się wszystkie zmysły, można o sobie powiedzieć, że jest się człowiekiem pełnym, rozbudzonym, jak to nazywają ci... No, ci, którzy siedzą pod drzewami i mamrocą pod nosem...

– Chodzi ci o buddystów? – odpowiedziała Isel, która uważnie słuchała kota. Z całą pewnością rozumiała go lepiej niż March.

– Właśnie ci – odrzekł Piątek. – Nigdy nie znałem się za bardzo na religiach, choć magia jest w zasadzie pierwszą z nich. Czarownice są trochę jak mnisi, tyle że zamiast siedzieć na tyłku w klasztorze albo klepać całymi dniami modlitwy my działamy. Wiedźma to taki mnich w akcji.

– A co to za światy, o których wspomniałeś? – zacięła się Isel. – Słyszałam o astralnym, ale on istnieje chyba tylko w umyśle, w wyobrażeniach?

– Naprawdę nas to obchodzi? – zapytała uprzejmie March.

– Tak! – zagrmiali jednocześnie Piątek i Isel.

– Okay, już się zamykam.

– Masz trochę racji – mówił dalej kot. – Świat astralny wiąże się z umysłem, co nie oznacza, że jest mniej realny od świata fizycznego. Rzeczywistość składa się z atomów, co wiadomo już od dawna, ale pomiędzy nimi istnieje coś, co nazywamy ciemną materią. No, my, czarownicy, określamy to słowem „energia” lub „Ona Sama”. Wierzymy, że ta siła porusza światem, a na każdym planie działa w inny sposób, na odmiennych częstotliwościach. Mamy zatem plan materialny, naszą Ziemię, to, co twarde i pozornie stałe; mamy świat astralny albo magiczny, dzięki któremu czarujemy, co sprowadza się w zasadzie do wyobrażania sobie rzeczy, które potem dzieją się w świecie materialnym. Potem mamy plan żywiołowy, gdzie istnieją pierwotne, czyste, ale bezrozumne siły, leżące u podstaw świata materialnego i magicznego. No i na końcu mamy plan duchowy albo ostateczny. Zamieszkują go istoty jeszcze starsze od żywiołów. Tak przynajmniej sądzą niektórzy, bo na dobrą sprawę niewiele jeszcze wiemy nawet o materii i astralu, żywioły są potężną zagadką, a plan

duchowy znajduje się niemal zupełnie poza naszym zasięgiem. Chyba wszystko jasne?

– Nie bardzo – odparła March.

– Tak – oświadczyła Isel – tyle że to trochę uproszczone. W każdym razie jako ateistka... – Zamilkła, jakby nie wiedziała, jak skończyć. Jej dotąd niepodważalny argument nieco stracił na znaczeniu.

– Możesz być ateistką i nadal wierzyć w magię – oświadczył Piątek. – Nikt nie wymaga od ciebie wiary w żadne bóstwa. Magia to siła fizyki, ale ktoś musi to wreszcie udowodnić. Może to będziesz ty?

W oczach Isel zapaliło się światło nadziei. March nie chciała go gasić, jednak uznała, że bezpieczniej będzie trzymać się starej, dobrej ziemi, zamiast pozwolić przyjaciółce dryfować ku rozmyślaniom o magii. Miała na uwadze też to, co stało się z Emmą Sky – jeśli fery zmusiły ją, żeby przestała o nich pisać, co mogłoby się stać z kimś, kto próbowałby ujawnić cały świat magiczny?

– Okay, mamy problem – wróciła do tematu, upewniwszy się, że Piątek skończył wywód. – Skoro już wiesz, co jest na rzeczy, być może zdołasz nam jakoś pomóc?

– Czyli nie usuniecie mi pamięci?

– Oczywiście, że nie! Ten głupek może sobie tak gadać, ale chwilowo ma gówno, nie moc, więc to ja tu o wszystkim decyduję.

– Tego bym nie powiedział – odezwał się Piątek. March, ignorując go, zwróciła się znów do Isel:

– To ważne, żebyś nikomu nie mówiła o tym, co tu zobaczyłaś, nie tylko dlatego, że jestem ścigana. Oczywiście musiałam z tobą pogadać, bo jesteśmy przyjaciółkami, ale myślę, że mogłabyś się też nam przydać.

– Niby jak? – zdumiała się Isel.

– Też jestem ciekaw – mruknął Piątek.

March omal nie wymyśliła się, że właściwie to jeszcze nie wie. Naprędcie wymyśliła teorię, mając nadzieję, że trzyma się kupy. Jednocześnie uświadomiła sobie, że przyprowadzenie tu Isel było faktycznie samolubne. Patrząc na przyjaciółkę, miała wrażenie, że zachowała jakąś łączność ze światem, który zostawiła, i choć wiedziała, że powrót do niego nie będzie możliwy, nie chciała całkowicie tracić przeszłości. Naturalnie nie mogła się do tego przyznać przed innymi.

– Isel jest nieprzynależąca – zaczęła. – Bez obrazy – dodała szybko. – Myślę, że możesz być pośrednikiem między nami a światem zwykłych ludzi. Zauważyłaś, że w Finfolk coś się dzieje, widziałaś nawet fera i... no nie wiem, jak ty – spojrzała na Piątka – ale ja uważam, że takie osoby są na wagę złota.

– Mam zrobić coś konkretnego? – spytała Isel.

– Na razie po prostu obserwować – odrzekła March. – No i... mogłabyś przynieść nam od czasu do czasu coś do żarcia, bo naprawdę nienawidzę zmieniać kształtów.

Isel zaczęła nagle sprawiać wrażenie, jakby przypomniawszy sobie o czymś ważnym.

– No właśnie – powiedziała. – W jaki sposób udało ci się przemienić?

– Sama nie wiem. – March wzruszyła ramionami. – Po prostu założyłam amulet, który przygotował Callen. Ale to boli.

Piątek ziewnął nagle tak głośno, że obie podskoczyły.

– Pora... sam nie wiem, czy spać, czy się budzić – stwierdził kot. – Dochodzi piąta.

Isel zaklęła, zrywając się z fotela.

– Moja matka wstaje o szóstej! Wścieknie się, jak mnie nie będzie! Cały czas się boi... boi, że... – Niepewnie spojrzała na kota. – Sama wiesz czego, March.

– Wiem – odparła ta cicho.

– Będę mogła wpaść tu jeszcze jutro? – poprosiła Isel. – Wiesz, tylko po to, żeby się przekonać, że to mi się nie śniło?

March zawahała się. Rzuciła ukradkowe spojrzenie Piątkowi, który tym razem zdawał się nie mieć zdania.

– Jasne – odparła, odprowadzając przyjaciółkę do drzwi. Wyszła razem z nią na zewnątrz. Miała do niej jeszcze jedną prośbę. – Nie chcę być zbyt wylewna – dodała szybko, jakby próbowała wyrzucić to z siebie, a potem uciec przed własną reakcją. – To, co się wydarzyło, było dla mnie trudne. Chyba nic w tym dziwnego. Mogłabyś mi dać znać, co się dzieje z moją mamą?

Isel przyglądała się jej twarzy, jakby w świetle budzącego się poranka próbowała rozpoznać na niej czające się uczucia. Uśmiechnęła się.

– Nie ma sprawy. A ten chłopak... – dodała. – Ten...

– Callen.

– Właśnie. Coś was łączy?

– Nie! – March zaprotestowała o wiele gwałtowniej, niżby chciała. – To znaczy... nie, dlaczego?

– Bo ja wiem? Tak sobie pomyślałam, że skoro tu razem mieszkacie... Ale spoko, niczego nie sugeruję. Pewnie nawet byś go nie chciała.

March poczuła, jak z jakiegoś powodu napinają jej się mięśnie brzucha.

– Nie, jasne, że nie – prychnęła.

– Nie dziwię się. Nie jest zbyt przystojny, co nie? Zresztą to jeszcze pół biedy, sama nie jestem ślicznotką. Tylko ten jego charakter...

– Obrzydliwy – stwierdziła March, kiwając głową.

– Pełna zgoda – zachichotała Isel. – To na razie... I... jesteś pewna, że nic do niego nie masz? Nic a nic?

Dlaczego tak dopytywała?

– Nie mam! – zawołała March.

– Okay, to do jutra – odparła Isel niemal śpiewnym głosem. March kompletnie nie rozumiała tej nagłej zmiany. Jeszcze pół



godziny temu przerażona, teraz jej przyjaciółka wydawała się niezwykle radosna.

*Oczywiście, że nic do niego nie mam* – powtórzyła March w myślach, gdy Isel się oddaliła. Jej mięśnie znów się napięły. Czemu miała wrażenie, że jej własne ciało mówiło: „Nie kłam”?

– Ach, March! – Głos Isel wyrwał ją z rozmyślań. – Ta cała Connor umarła. Słyszałaś?

– C-co? – wyjąkała March.

Isel stała przy bramie. Mówiła głośno, nie wyglądała na szczególnie przejętą.

– Parę dni temu, wczoraj miała pogrzeb. Atak serca. Trochę mi głupio, że tak na nią nawrzeszczałam. Niby wiem, że to nie moja wina, ale... Głupia sprawa. Na razie.

Odwróciła się i po chwili znikła w ciemności. A March poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

*To ja ją zabiłam.* Niczym dzikie zwierzę, myśl zaatakowała March znienacka i zdawała się wgryzać w jej wnętrzności. Wciąż wpatrując się w bramę, dziewczyna położyła rękę na brzuchu, przed oczami zupełnie jej pociemniało.

*Kilka dni temu... atak serca...* A przecież ona, ona sama, podczas snu wściekle rzuciła się na dawną sąsiadkę, zamordowała ją, rozszarpała jej wnętrzności i...

Ale nie. Przecież nie tak wygląda atak serca.

*Tyle że magiczny atak serca...*

Złapała się za gardło. Dławiło ją coś, co wydawało się fizyczne, przypominało wielkiego, ohydneho karalucha. *Zabiłam ją, zabiłam...* Oddech przyspieszał, usta układały się już do szlochu, którego nie była w stanie powstrzymać.

– No i jak? – Piątek wyszedł na zewnątrz.

Wszystko ustało. March natychmiast ukryła rozpacz i spojrzała na niego, niemal idealnie udając, że wszystko jest w porządku.

– Jak? – odparła. – Świetnie. To znaczy...

– To był błąd, wiesz o tym? Już się jej nie pozbędziesz. Ale mniejsza z tym. Trzeba pogadać z Callenem.

– Ach tak, racja – przyznała.

Jeszcze nie mogła nic im powiedzieć, za dużo się teraz działo. Nie. Powie im potem... Może jej nie potępia, może zrozumieją dlaczego... Nieważne. Pozostawało jej tylko udawać, że wszystko jest okay. Może nie ona ją zabiła? Może...

– To nie w tę stronę – powiedział Piątek, gdy ruszyła już do kuchni. On sam stał na schodach. – Pokój tego wstrętnego chłopaka jest tam. – Wskazał pyszczkiem sufit.

– No tak, tak – odrzekła March, próbując wyrzucić z siebie to straszne uczucie, zablokować je choć na chwilę. Tak, przyjdzie czas, by się z nim zmierzyć, jednak gdyby musiała to robić już w tym momencie, w tym miejscu, chyba by umarła.



W ciemności, sam, Callen wyraźniej widział twarz ojca. Zdawało mu się, że Isinbir wciąż jest obok niego, niczym pozostałość po skończonym koszmarze, z którego chłopak wcale nie chciał się budzić i – paradoksalnie – w który nie powinien był nawet wchodzić. Powiedzieć, że wróżka miała rację, to za mało. Prawda jej słów brutalnie sprowadziła go na ziemię w pierwszej chwili, gdy spotkał ojca, a teraz czuł się tak, jakby ściągała go jeszcze niżej, na samo dno, gdzie nie czekały żadne słowa otuchy, gdzie wszystkie iluzje musiały ostatecznie umrzeć.

Nie wiedział, czy cierpi. Odczuwany ból był tępy, nie żywy, nie taki, od którego chce się szlochać, ale uporczywy, beznadziejny, pusty. Nic nie kryło się za poznaniem Isinbira, zupełnie nic. Oprócz... wszystkiego, całego życia Callena, które znów się rozpadło, jeszcze nim zdołał w pełni je ułożyć. Sądził, że spotkanie z ojcem sprawi, że ostatnie elementy, jakich poszukiwał, wpadną na swoje miejsca, tymczasem układanka się posypała. Nawet jego imię, wzięte od „nazwiska” matki, straciło znaczenie. Nadała mu je klątwa Wyrd i być może tak samo było z tym, które wybrała dla niego Angelina. *Luna* – poprawił się w myślach. Bo przecież Angelina nigdy nie istniała. Czy imię Emerald miało jakikolwiek sens? Dlaczego

mu je nadała? Czy w tamtej chwili, choć na krótko, myślała trzeźwo? Powinien był zadać te pytania ojcu, ale z jakiegoś powodu o tym nie pomyślał. Może dlatego, że podświadomie bał się odpowiedzi?

Miał wrażenie, jakby cofnął się do momentu narodzin. Albo jeszcze dalej, do chwili, gdy jego „nowa, obca dusza”, jak to określił ojciec, wstąpiła w idylliczne miejsce, które Isinbir i Luna urządzili sobie w przestrzeni poza czasem. Od tamtego momentu wszystko zaczęło się tworzyć i właśnie wtedy mogło nabrać sensu, ale poszło najgorszą możliwą ścieżką. Gdyby się nie pojawił, rzeczy potoczyłyby się inaczej.

Tak, jasne, że Isinbir nie miał tego na myśli. Nie o to mu chodziło, gdy przyznał, że pojawienie się Callena ich ujawniło. Ale taka była prawda i choć chłopak wiedział, że nie był niczemu winny, nie potrafił inaczej o tym myśleć. Wcale nie chciał się nad tym zastanawiać, choć myśli stały się natrętne. W próbach nierównej walki z nimi Callen co chwila kładł się i z powrotem wstawał. Wreszcie odsłonił okno i pozwolił czerwonemu, niemal krwistemu światłu poranka zalać pokój. Za drzwiami natychmiast rozległo się drapanie Piątka i pukanie March.

– Właźcie – mruknął, otwierając im. – Twoja znajoma już sobie poszła? – rzucił z przekąsem do March.

– Skoro to nie twoja sprawa, nie interesuj się – odparła. Głos miała jednak dziwnie zmieniony, jakby smutny.

Chłopak pokręcił głową i westchnął. March bywała okropna. A właściwie była okropna, a bywała znośna. Ale przekorą udowadniała tylko, że prawdziwa z niej wiedźma.

– Chciałeś nam o czymś powiedzieć – przypomniał mu Piątek. – Pewnie ma to związek z twoim nocnym szlajaniem się po Jaarze. I nie, nie robię ci wyrzutów. Wszyscy w tym domu mają gdzieś bezpieczeństwo.

– Skąd wiesz, że byłem w Jaarze?

Kot prychnął.

– Bo strasznie trudno było się tego domyślić, tak? Gadaj, po co tam polazłeś, i to bez nas... To znaczy bez March, która jako jedyna w tym pomieszczeniu może używać pełnej mocy. A zważywszy na to, jak jest niedoświadczona, przez najbliższe pięćdziesiąt lat powinniśmy siedzieć na tyłkach i przerobić z nią całą teorię okultystyczną!

Ku zdziwieniu Callena dziewczyna nijak na to nie zareagowała. Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w podłogę.

– Być może niedługo March będzie miała nowego nauczyciela, lepszego od nas obu – oznajmił Callen. Jego towarzysze posłali mu zdumione spojrzenia, a on wciągnął powietrze i oświadczył: – Spotkałem się ze swoim ojcem.

Żałował, że nie przeciwzył sposobu obwieszczenia tego w taki sposób, by twarzy nie wykrzywił mu grymas. March i Piątek osłupieli.

– Co? – wyjąkała wreszcie dziewczyna. – Sądziłam, że twój ojciec...

– Nie żyje? Że Lei i Leila mówili prawdę? – dokończył za nią Callen. – Ja od początku im nie wierzyłem.

Urwał. Wiedział, że będzie musiał opowiedzieć im o wszystkim, czego się dowiedział, nawet jeśli mówienie o tym było bolesne. Usiadł więc i – starając się na nich nie patrzeć – szybko przytoczył im rozmowę z Isinbirem. Na szczęście żadne nie okazywało litości, choć oboje byli zszokowani.

– Chwilę – odezwała się March tak ostrożnie, jakby się bała, że Callen wybuchnie, gdy usłyszy to, co chciała powiedzieć. – Skąd masz pewność, że to twój ojciec? Nie zrozum mnie źle, ale... dał ci jakiś dowód? Nigdy go nie widziałeś, prawda?

Pytanie było trafne, ale mógł je zadać tylko ktoś, kto nie całkiem rozumiał magię.

– Po prostu wiedziałem. Wiedziałem od chwili, kiedy go zobaczyłem. To aura, to... wspomnienia, magiczne połączenie, jakiś sznur, który mnie z nim wiąże. Poza tym w dzieciństwie miewałem wizje z ojcem w roli głównej; za każdym razem, gdy starałem się go sobie wyobrazić, wyczuwałem jego aurę. I jasne, mogłem uznać, że to tylko wymysły, ale tej nocy przekonałem się, że były prawdą.

Potrzebował dociekań March, żeby na to wpaść. Wszystkie te rzeczy były dla niego zbyt naturalne, żeby nad nimi rozmyślać. Nie lubił ich tłumaczyć, nie umiał tego robić.

– Za dużo by wyjaśniać, March. Zrozumienie przyjdzie z praktyką – stwierdził Piątek. – *À propos*, zaciekawileś mnie – zwrócił się do Callena. – Faktycznie twój ojciec mógłby ją nauczać?

– Chwilę, a kto mnie zapyta, czy tego chcę?! – oburzyła się March.

– Na razie nikt – ofuknął ją kot. – Jesteś najmłodsza stażem i czasem musimy zdecydować za ciebie.

Nim zdołała odpowiedzieć, Callen szybko dodał:

– Ani ja, ani tym bardziej Piątek nie jesteśmy w stanie przekazać ci tyle, ile Isinbir... To znaczy mój ojciec. Jego moc nie jest zablokowana, poza tym uczył się magii na dworze Wyrd, i to całej magii Miasta Snów, nie tylko tych rzeczy, do których dopuszczono mnie lub ciebie. Skoro mamy z nią walczyć, musimy poznać jej moc. Masz jakikolwiek lepszy pomysł, jak to zrobić?

March kilka razy otworzyła, po czym od razu zamknęła usta, jakby miała mnóstwo lepszych pomysłów, ale wszystkie natychmiast wyparowywały.

– No to postanowione! – ucieszył się Piątek. – Twój ojciec spadł nam chyba z nieba!

Callen zmusił się do krzywego uśmiechu.



Więc March się zgodziła. No, raczej uległa ich namowom, bo do samego końca nie była przekonana do kolejnej wizyty w Jaarze. Nie dlatego, że nie chciała ponownie zobaczyć krainy ferów. Problem w tym, że ani trochę nie ufała ojcu Callena. Właściwie to nie wierzyła, że tamten fer był jego ojcem, a zapewnienia ze strony Piątka, że „wiedzą, o czym mówią”, nie wystarczyły. Co z tego, że znali magię, skoro fery też ją znały, i to lepiej od nich?

Ale musiała się przenieść, musiała walczyć z instynktem, który kazał jej zamknąć się w pokoju i paść na łóżko. Wiedziała, że wtedy prześladowałaby ją twarz pani Connor. Podczas rozmowy z Piątkiem i Callenem wciąż wracało to paniczne poczucie winy. Nie, nie mogła zostawać sama. Ani przez chwilę.

Było już całkiem jasno, gdy przenieśli się pod wskazany przez Callena adres. Chłopak twierdził, że to względnie bezpieczne, a ponieważ od jakiegoś czasu „względnie” było najlepszą formą bezpieczeństwa, na jaką mogli liczyć, March się z nim nie sprzeczała. Jednak gdy już wylądowali na miejscu, od razu przestała wierzyć w bezpieczeństwo.

– Co to jest? – spytała, wytrzeszczając oczy.

– Nazywają to ferzymi slumsami – oznajmił Piątek, rozglądając się dookoła.

Ku niebu wznosiły się gigantyczne fasole, większe nawet od kwiatów mieszkalnych, ale całkiem ponure. O ile podczas targu zielnego March miała wrażenie, że odwiedza raj, o tyle stąd miała ochotę jak najszybciej zwiać. Część łodyg fasoli, które stanowiły chyba coś w rodzaju bloków mieszkalnych, była przywiedła. Wokół nich pięły się cienkie, wiotkie pnącza,



na których wisiało mnóstwo brudnych, postrzępionych materiałów.

– Ferze slumsy... – powtórzyła, na moment zapominając o własnych kłopotach, za to czując, jak wypełnia ją coś niezwykle smutnego. Zupełnie jakby ktoś wyrwał z jej serca poprzedni obraz Jaaru i roztrzaskał go o brudną podłogę.

– Nie uprzedziłeś nas, że to tutaj trafił twój ojciec, ale powinienem być się domyślić – powiedział Piątek. Mówił cicho, najwyraźniej bojąc się, że gadający kot mógłby stać się celem ataku. Kręciło się tu mnóstwo podejrzanych ferów i czarownic, wyglądających w oczach March zupełnie jak wyrzutki społeczne. Wciąż czuła na sobie ich spojrzenia. W nieco podartych dzinsach wyglądała o wiele lepiej niż wszyscy inni.

Callen zaprowadził ich do jednej z łodyg fasoli. March wciąż patrzyła na wszystko z zaciekawieniem, co pozwalało jej choć na moment zapomnieć o strasznej prawdzie czekającej na nią w świecie ludzi. Omal nie wrzasnęła, gdy tuż przed nosem przeleciał jej złoty ptak. Usiadł na biurku i zaczął im się przyglądać.

– Znowu ty? – spytał nagle.

– O nie – mruknęła dziewczyna, spoglądając na Piątka. – Jeszcze jeden?

Callen starał się być dyplomata:

– Zależy nam na wejściu do środka...

– To podejrzane – stwierdził ptak. – Jeśli coś tam kombinujesz z Isinbirem...

Chłopak wyciągnął z kieszeni srebrną monetę.

– *Bardzo* nam zależy – powiedział, rzucając ją na biurko.

Oczy ptaka naraz same zaczęły przypominać monety.

– Skoro tak... – zaczął ostrożnie. – No... właściwie mógłbym potraktować was ulgowo. – Porwał dziobem pieniądz tak szybko, że przez chwilę March była pewna, że go połknął. Szybko wrzucił go do zawieszanej u sufitu klatki i przykrył

słomą. – Idźcie, ale tylko dlatego, że rzadko się zdarza, żeby ktoś odwiedzał nas częściej niż raz w roku... W sumie to, jak dotąd, nigdy się tak nie zdarzyło.

Nie zwlekając, jakby w obawie, że ptak zmieni zdanie, Callen zaprowadził ich do dziwacznej windy.

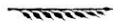
– On też jest czarownikiem zaklętym w zwierzę? – zastanawiała się March, gdy byli już w środku.

– Z pewnością – stwierdził Piątek. – Zwierzęta nie potrafią artykułować takich dźwięków jak ludzie, co najwyżej porozumiewają się myślami, jak jednorożce.

– Nie nazwałabym ich zwierzętami.

– To wielkie konie, tyle że z rogiem na głowie. Więc niby czym są?

– Powinienem był go uprzedzić – stwierdził nagle Callen. Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło March, by domyśliła się, że chodzi mu o coś więcej niż zwykłą uprzejmość. Widząc warunki, w jakich mieszkał jego ojciec, domyślała się, że z nim też coś może być nie w porządku. I bała się tego chyba tak samo jak chłopak.



– Co już wiesz o magii?

Isinbir chciał rozmawiać z March na osobności. Zaprowadził ją do cuchnącego, zagraconego pokoju, kazał usiąść na nieporządnie zasłanym łóżku i przesunawszy kilka razy ręce nad jej ciałem, zadał pytanie zbyt proste, by dało się na nie prosto odpowiedzieć. Pewnie oczekiwał, że dziewczyna filozoficznie odpowie: „Wiem, że nic nie wiem” lub coś w ten deseń.

Od chwili, gdy tylko March zobaczyła ojca Callena, całą uwagę poświęciła udawaniu, że wszystko jest tak, jak być

powinno, że nie dostrzega jego podkrążonych oczu, że nie czuje kwaśnego zapachu alkoholu z jego ust, że w jego domu panuje całkiem zwyczajny bałagan i – co najważniejsze – że to wszystko jest zupełnie normalne. Nikt jej o nic nie zapytał, nie zrobiła żadnej uwagi, ale wszystkie te niewypowiedziane słowa unosiły się wokół. A swobodne zachowanie March w najmniejszym stopniu nie wyglądało naturalnie, zwłaszcza gdy wciąż walczyła z powracającą wizją martwej pani Connor. Straciła zresztą tę wymuszoną swobodę, gdy Isinbir zadał jej swoje pytanie.

– Uczyłam się w Aislingen – odparła.

– Więc nic nie wiesz. – Fer pokręcił głową.

– Gdybym nic nie potrafiła, tobyśmy stamtąd nie wyszli – zauważyła March.

– Łut szczęścia.

– Nieprawda! – zagrzmiała. – Jasne, pomogło mi kilka osób, ale... – Zawahała się. Szybko przemyślała pewne rzeczy. – To nie był łut szczęścia – dodała z pełną stanowczością. – Udało mi się, bo odnalazłam w sobie siłę.

– Mam tylko nadzieję, że nie uważasz się za kogoś wyjątkowego?

W pierwszej chwili chciała odpowiedzieć, że nie. Gdyby jednak miała mówić szczerze, to nie znała zbyt wielu ferian. W każdym razie chętnie by podziękowała za taki powód wyjątkowości.

– W kwestii mocy? – odparła. – Pewnie nie jestem.

I znów wróciła wizja zakrwawionego ciała. *Czy każda czarownica potrafi zabijać w snach?*

– Dobrze, że to wiesz – oświadczył Isinbir takim tonem, jakby doznał faktycznej ulgi. – To zadziwiające, jak często pierwsza z magicznych prac ma sprowadzić młodych uczniów na ziemię, a im większe jest ich *małe ja*, tym bardziej objijają sobie tyłki.

– Małe ja? – podchwyciła March. To sformułowanie o czymś jej przypomniało.

– Ja pisane małą literą, można tak powiedzieć – wytłumaczył Isinbir. – Mamy ja i *Ja*, a jedno z drugim zwykle nie ma nic wspólnego, bo to pierwsze zachowuje się czasem jak dzieciak, któremu to drugie musi spuścić lanie.

March skomentowała jego słowa tylko zażenowaną miną. Trudno było jej się skupić, trudno było jej myśleć o jego naukach, a jednak zainteresowało ją to, co mówił o wyższym Ja. Rozmawiała o tym kiedyś z Irmą... z Irmą wyobrażoną w wizji. Na dobrą sprawę czarownica powiedziała jej to samo i właśnie dzięki jej słowom March udało się wygrać z czarem ferów. „Są w tobie dwa Ja” – mówiła, niestety dziewczyna nie pamiętała już wszystkiego, co usłyszała.

– Ludzie – ciągnął fer – *zwłaszcza* ludzie, bo ferom zdarza się to rzadko, zapominają, czym jest magia i kto ją właściwie praktykuje, ja czy Ja.

– Może je jakoś rozróżnimy, żebyś wiedziała, kiedy mówisz o którym ja? – spytała March z przekąsem.

– Nie ma takiej potrzeby. Z czasem sama się tego nauczysz.

– Nie mam czasu.

– Masz. A jeśli faktycznie nie masz go teraz, nie łudź się, że w przyszłości dostaniesz go więcej. I szczerze mówiąc, to pewnie stara szkoła, ale wolę, kiedy uczeń słucha, a nauczyciel mówi. Jasne?

W jego oczach rozbłysnęło coś, co – choć March nie nazwałaby tego gniewem – sprawiło, że zamilkła.

– Największej magii dokonujesz wtedy, kiedy nie czarujesz. Zapewne nauczono cię o żywiołach, prawda?

„Kiedy nie czarujesz” – jego słowa rozbrzmiały echem w jej głowie. W nocy, podczas wizji, wcale nie czarowała. Czy jej ciało eteryczne przeniosło się do sąsiadki i ścisnęło jej serce, a potem... *Boże, nie, nie chcę o tym myśleć! Błagam!*

Pokiwała głową.

– Naturalnie – ciągnął Isinbir, uważnie jej się przyglądając. Czy już coś wyczuwał? Jeśli tak, nie dał tego po sobie poznać.

– Żywioty są ważne, bo to z nich utkany jest nasz fizyczny świat. Jeśli potrafisz zapanować nad mocami żywiołów, posiadasz wiedzę magii praktycznej, ale to nie ona jest Nauką Nauk. Zresztą powietrze, ogień, woda i ziemia to nie tylko naturalne narzędzia czarownic, ale również ścieżki prowadzące do osiągnięcia harmonii. Ten, kto żyje w harmonii ze światem, nie musi uprawiać magii, bo odkrył już najgłębszą moc. On staje się magią i częścią świata. Nie taką częścią, której wiecznie jest źle, która błąka się bez celu, lecz taką, która idzie ku swemu przeznaczeniu.

W ustach Isinbira nie brzmiało to przekonująco. Sam wyglądał March na ostatnią osobę, która żyła w harmonii ze światem.

– Gdy opowiadano ci o żywiołach, wspomniano o duchu, i pewnie jak zwykle powiedziano o nim na końcu? – zapytał, na co ona znów potaknęła. – Ale on jest początkiem. To z niego wywodzą się żywioły i połączone, to nim na nowo się stają. Jeśli zaprowadzono cię do świątyni ferów, musiałaś widzieć żywiołaki, istoty zamieszkujące poszczególne żywioły. Duch również jest mieszkaniem wielu istot, właściwie *wszystkich* istot, tyle że większość z nich nie rozumie swojej przynależności do niego. Oto pierwszy klucz do zrozumienia tej nauki: czworo drzwi prowadzi do serca. Przejdź przez każde z nich w tym samym czasie, a potem zapomnij o wszystkim, czego się nauczyłaś.

March nie miała pojęcia, czy ostatnie zdanie świadczyło o filozofii fera, czy o tym, że jeszcze wczoraj musiał wypić kilka głębszych. W zasadzie jednak granica między upiciem się a filozofowaniem była dla niej cienka. Równie dobrze można

było uznać, że Isinbir mówił coś, co miało sens, tylko trzeba było mocno w to uwierzyć, żeby go dostrzec.

– Rozumiesz? – spytał. – Masz zapomnieć o wszystkim, czego się nauczyłaś.

– Tak, tak, rozumiem – odparła na odczepnego.

Fer zajął jej głęboko w oczy.

I skrzywił się.

– Nie, nie rozumiesz – stwierdził. – Ale może zrozumiesz, to zależy od ciebie. Jeśli będziesz chciała, przyjdź znowu.

– Słucham? – parsknęła. – Chyba miałeś nam pomóc?

– A czy tego nie robię?

– Oczywiście, że nie! Liczyłam na konkrety!

– Wybacz, jeśli to za mało.

– Callen powiedział, że pomożesz mi walczyć z Wyrd – upierała się March.

– I chcę to zrobić.

– W takim razie powiedz mi, *jak* mam z nią walczyć!

Wreszcie przyszła pora, by dać upust gniewowi, smutkowi, przerażeniu, które tak ją wewnętrznie paraliżowało – pozbyć się tego tak, jak March potrafiła najlepiej. Przez krzyk, przez kłótnię. Miała nadzieję, że Isinbir okaże się godnym rywalem, lecz on zachowywał spokój, który tak ją denerwował.

Zaciskała pięści, drżała. Niech jej odpowie, niech na nią nawrzeszczy! Co sobie myślał? Że była kiepską wiedźmą? Że i do niego nie mogłaby przyjść nocą, by go... *Nie, błagam, nie chcę tych myśli!* Oczami wyobraźni i jego widziała zakrwawionego, pozbawionego serca. Dlaczego gniew podsuwał jej te obrazy, dlaczego zdawał się przejmować kontrolę nad jej umysłem?

Fer widział, co się z nią dzieje. Nie reagował. A może wcale nie widział?

– Już ci powiedziałem: po pierwsze, zapomnij o wszystkim, co już wiesz. Otwórz się, a zrozumiesz. Wybacz, ale wasze

szkoły robią z ludzi półgłówków, wiecie za dużo, dlatego trudniej wam o tym zapomnieć. Myślę, że ty nie wierzysz w świat ducha, co jest niewytłumaczalnie absurdalne, biorąc po uwagę to, co już widziałaś.

– Nie mówię, że nie wierzę! Wiem, że magia działa! – Nadal próbowała sprowokować go do krzyku. – Nie wykluczam tego, że duchy...

– Myślisz, myślisz, myślisz. Nie *wyklucasz*, a powinnaś już coś o tym *wiedzieć*. Ale nie masz tej wiedzy, bo inna, którą w sobie nosisz, cię blokuje. Póki nie zapomnisz o tym, co wiesz, i o tym, czego się nauczyłaś, nie będziesz miała w sobie dość miejsca na to, czego nauczysz się ze mną. I będzie ci trudniej zapomnieć potem również o tym, czego nauczysz się tutaj.

– Nic mi po takich bzdurach! – zawołała. – Tracę czas, a twoja matka...

– Powtórzę to po raz ostatni, skoro nie wystarczyło dwa razy: jeśli masz nauczyć się magii ferów, musisz zapomnieć to, co już potrafisz. Moja matka o tym wie, a jeśli ty tego nie zrozumiesz, nie masz z nią szans.

Wstała. Cisnęło się jej na usta jeszcze kilka słów. Ale to na nic, bo on nie grał na jej zasadach, nie mogła użyć go, by wyładować tę mroczną, straszną siłę, która drzemała w jej brzuchu. Kto wie, czy Isinbir nie działał w zмовie z Wyrd? Najwyraźniej nie chciał niczego jej nauczyć, nie mógł zaoferować żadnych konkretów. A właściwie mógłby, gdyby tylko mu zależało, ale wołał sobie tu siedzieć i pieprzyć te bzdury. Skoro wielka filozofia zaprowadziła go do tego miejsca, March miała tę filozofię gdzieś. Wściekła wypadła z jego pokoju.

– Na dziś to koniec zajęć! – zawołał za nią spokojnie Isinbir, jeszcze mocniej ją tym denerwując.



– Twój ojciec jest szurnięty – stwierdziła March, gdy byli już w domu. Choć Isinbir próbował zaprosić ich na herbatę, uparła się na natychmiastowy powrót. Zresztą Callen też nie naciskał, by zostać, mimo że March równie dobrze mogła wrócić do Domu Wiedźm sama. Wydawała się zdumiona tym, że nie chciał lepiej poznać ojca, ale chłopak uznał, że nie było na to czasu, nie teraz. Żal, który do niego czuł, był zbyt duży, żeby chociaż spróbować mu wybaczyć, a przecież bez wybaczenia normalna rozmowa nie miała sensu. W tej chwili liczyły się dla niego inne rzeczy: najpierw przeżyć, dopiero potem jakoś sobie to życie układać.

Przez kilka minut March chodziła w kółko po kuchni, nie zwracając uwagi na wodzącego za nią wzrokiem Piątka.

– Nie rozumiem, dlaczego wszyscy ci wielce uczeni *magowie* muszą się tak wymądrzać. Jakbym chciała lekcji filozofii, tobym sobie poczytała książkę.

Callen zaczynał coraz bardziej się niepokoić. To, że praktycznie nie znał swojego ojca, wcale nie oznaczało, że nie czuł się za niego odpowiedzialny. Od początku wiedział, jakie Isinbir wyrze wrażenie na jego przyjaciółach. Patrząc na niego, czuł tak palący wstyd, że nie był w stanie nawet o tym myśleć. A jednocześnie prawie nie umiał zająć głowy czymkolwiek innym.

– Co się właściwie stało? – spytał.

– Nic. Właśnie o to chodzi! Ale bez obaw, zdążyłam już przywyknąć do tego, że im ludzie są starsi, tym bardziej nieznośni się robią.

Gdy w końcu się zatrzymała, sprawiała wrażenie, jakby kręciło jej się w głowie. Usiadła i westchnąwszy kilka razy, opowiedziała im o *lekcji z ferem*.



– A więc nie powiedział niczego niezwykłego – uznał kot. – No i miał rację.

March spiorunowała go wzrokiem.

– Okay, to może łaskawie mi wyjaśnisz, jak ma nam to pomóc? – Uniosła dłoń i zafalowała nią nad głową. – Pozbyłam się swojej wiedzy – dodała z udawaną błogością. – Teraz mogę inwokować pomysły na walkę z popieprzoną babką Callena. Jestem pewna, że jak zapalę świeczkę i pogapię się trochę w płomień, to same do mnie przyfruną.

– Inwokować? – podchwycił Piątek. – No, no, opanowujesz już magiczne słownictwo. Brawo.

March wstała, wcale nie wiedząc, z jakim zamiarem. W głowie szumiało jej od nadmiaru myśli. Wściekła uszła tylko kilka kroków, gdy ból w czaszce stał się nie do zniesienia. Próbowwała chwycić się krzesła, ale nim zdołała odnaleźć je palcami, straciła przytomność i jak martwa padła na podłogę.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

To był strach – to, co ją osaczyło. Wtargnął w jej nozdrza, cuchnął. Wypełniał jej usta, gdy wciągała powietrze; robiła to ostrożnie, by nie zbudzić drzemiących głęboko pod ziemią koszmarów. Był majaczącymi w oddali niewyraźnymi kształtami, był raz po raz urywanym dźwiękiem, ni to zwierzęcym, ni to ludzkim. Był wychylającą się ze wszystkich stron pustką.

Ogarnięte tym lękiem zmysły zaczęły działać prawidłowo dopiero po kilku chwilach. Najpierw wysyłały nieznaczące bodźce. Las – ponury, zimowy, pełen nagich drzew, upiornie odznaczających się na tle bladego nieba. Płatki śniegu – zimne, wnikające w wilgotną ziemię. I myśl.

*Co ja najlepszego zrobiłam?*

Nie знаła odpowiedzi. Rozglądała się za czymś, tropiła coś, to coś tropiło ją. Była myśliwym, była ofiarą. Strach skurczył się, naraz przybrał formę niewielkiej kuli energii, krążącej tuż przy jej uchu. Z jej środka wydobywał się szept tworzący w jej głowie obrazy, od których mogłaby zwariować. Choć lęk nie wszechogarniał już lasu, nieustannie przez zmysły sączył jej jad do serca pompującego krew, coraz gęstsza, coraz ciemniejsza.

*Śnieg? Nie żyję?* Gdyby miała sobie wyobrazić piekło, właśnie tak by... smakowało. Tak, bo o smak tu chodziło, o aurę, nie o wygląd.

Kręciła głową na wszystkie strony. Myśliwy i zwierzyzna, kat i ofiara. Ten pierwszy tropił coś, czego nie umiał nazwać, zwierzę uciekało przed czymś, czego nie rozumiało.

March – to, co zostało z jej świadomości, nie w pełni kontrolującej uwięzione w lesie ciało – czekała. Rozumiała, że tuż przed oczami jej umysłu rozgrywa się wizja. Nie potrafiła odgadnąć jej znaczenia, za to czuła, że myśliwy i zwierzę są w niej. Naraz. To zdawało się rozrywać ją od środka. Jak mogła być jednym i drugim w tym samym czasie? Skąd taka wizja?

Nagle jej świadomość uleciała z powłoki, w której była zamknięta. Gwałtownie jak przy pstryknięciu palcami, i już była gdzie indziej. Ale gdy tylko zobaczyła ciało, w jakim przed chwilą się znajdowała, ziemia jakby się pod nią zapadła, a niewidzialny nóż zatopił się głęboko w jej duszy.

To był *on*, potwór – ten sam, którego spotkała w lesie. Nie, nie *widziała* go wtedy, ale to nie miało znaczenia, bo rozumiała, że to *on*. Naraz uzmysłowiła sobie, o czym mówił Callen, twierdząc, że poprzez samą aurę rozpoznał swojego ojca. Aura potwora była jednak utkana z samego koszmaru, a świadomość, że March tkwiła właśnie w tym ciele, nawet jeśli tylko przez kilka chwil, napełniła ją obrzydzeniem.

Ale potwór wyglądał na bezbronny. Ciężkie łapy uginały się pod nim, zdawało się, że zaraz skryje czarny łeb w szponiastych dłoniach i zacznie szlochać. Sprawiał wrażenie tak słabego, tak marnego... i wciąż emanował złą energią. Mógł zaatakować, teraz był z pewnością jeszcze groźniejszy. Nie wyczuwał jednak March.

W końcu przerażony czymś potwór nie wytrzymał. Upadł, a z jego szeroko rozdziawionej paszczy dobył się przeraźliwy odgłos, od którego March zakołatało serce, a w strachu zastygł cały las. Wijąca się w spazmatycznych drgawkach bestia otwierała i zamykała pysk, jakby zaraz miała z wymiotować.

I wreszcie to zrobiła.

Z pyska bestii wypadło coś małego, coś, co miało ręce i nogi, taką samą paszczę. Było jego dziecięcą wersją. On rodził. Tak

wyglądały narodziny potwora.

Bestia dziecko napełniła March jeszcze większym strachem i obrzydzeniem. Przez chwilę leżała u stóp matki jakby martwa. Jednak po chwili drobne kończyny zaczęły drgać, każdy ich ruch był wstrętny. Starszy potwór zaczął się cofać, jak gdyby w obawie przed tym, co wydał na świat.

A to coś rosło. Już po kilku chwilach było zdolne, by wstać i się wyprostować, po czym, w jakiejś piekielnej chwale, uniosło łapy. Wydało z siebie krzyk, który przeraził nawet jego rodzica, kulącego się teraz za drzewem. Las odpowiedział na głos potwora. I nie tylko on. Całe Finfolk, pogrążone w bezdennym koszmarze, zdawało się poruszać, gdy bestia otwierała paszczę.

Ze wszystkich stron zaczęła się sączyć cuchnąca maź, którą wstrętna istota łapczywie pochłaniała. Smród był nie do zniesienia. March miała wrażenie, jakby ktoś zanurzył ją w szambie, za to potwór cieszył się, rosnąc z każdą sekundą. A gdy posilił się całkowicie i stał się wielki jak jego stwórca, spojrzął na March.

Świat się zatrzymał, oddech dziewczyny urwał, oczy potwora rozbłysły. Nic nie mówił, a mimo to March słyszała jego słowa. *Pokażę ci, co ty w sobie masz, jaka ty jesteś obrzydliwa.*

Już nic nie mogła zrobić. Jego łapa wysunęła się w jej stronę, a gdy dotknęła piersi, March wcale tego nie poczuła. Wyraźnie zobaczyła za to prześladowujące ją obrazy.

Martwa pani Connor pojawiła się jako pierwsza. *Nie!* March chciała krzyczeć całym ciałem, ale im silniej zaprzeczała, tym wyraźniejsze stawały się zwłoki. Z otwartej rany na brzuchu sączyła się krew. *Nie, nie...* Wypełniło ją coś gorącego, może sam piekielny ogień. Potępienie. Zasłużyła na nie.

Obok ciała sąsiadki pojawiły się kolejne, równie okaleczone. Mimo półmroku panującego w lesie March wyraźnie widziała ich oczy zastygłe w przerażeniu, usta otwierające się do

konwulsyjnego krzyku. Na drzewach stojących niczym niemi świadkowie jej zbrodni pojawiały się klepsydry z imionami, ze zdjęciem pani Connor.

Wtedy March zrozumiała. *Koszmar*. Strach zmienił się we wściekłość. Znów jej to robili, znów się z niej naigrywali!

*Jestem głupia* – uznała, próbując walczyć z wizją. *Niby jak miałam ją zabić? Nie było mnie przy jej śmierci.*

Ale chętnie by to zrobiła, dlaczego nie? Stara szmata zasługiwała na śmierć.

Nie, nie! Wcale tego nie chciała, nie byłaby zdolna, żeby...

*Ratunku, ratunku!* – chciała wołać. Do kogo? Nie wiedziała.

Nagle zmiana. Konwój pogrzebowy. Niosą otwartą trumnę z ciałem pani Connor, krew wypływa spomiędzy desek na ramiona żałobników w czerni, mruczących pod nosem religijną pieśń. Ich cienie wydłużają się, splatają z cieniami drzew. *Przepraszam, przepraszam, pani Connor... Błagam, przepraszam! Jestem niewinna!*

Matka idzie na przędzie, ociera łzy. Ale jej twarz zaraz się zmienia. Płaty ciała odpadają z policzków i czoła, spojrzenie ze zrozpaczonego zmienia się w szaleńcze, włosy wypadają, obnażając popękana czaszkę.

Strażnik Koszmarów.

March krzyczy, chce się na niego rzucić, ale wpada na trumnę. Zapach krwi. Znów ją nęci, znów...

Twarz Strażnika rozplywa się. I nagle koniec.

Wróciła do lasu. A las ucichł. Milczał, ale nie w ten sam sposób jak wtedy, gdy oczekiwał narodzin potwora. Ta cisza była dobra, kojąca.

Lecz potwór wciąż tu był. Oba potwory, tak podobne ciałem, a różne aurą. Jeden przerażony, drugi zachwycony, jeden słaby, drugi napełniony mocą wzbudzanego w innych strachu. Nie widziały siebie nawzajem, były osobnymi historiami rozgrywającymi się naraz w głowie March.

Między drzewami zajaśniały nagle błękitne światła. Z daleka przypominały czyste płomienie, jednak im bliżej były, tym więcej ludzkich cech zdawały się mieć. Wreszcie z półmroku wyłoniły się sylwetki dwóch nagich kobiet. Ciało jednej z nich było idealnie piękne – takie, jakiego March z pewnością mogłaby jej pozazdrościć – a drugiej idealnie... stare. Tylko tak można było je określić. Każdy fałd skóry, każda zmarszczka niosła ze sobą własną opowieść. Obie kobiety skąpane były w tym niezwykłym błękitnym blasku, sączącym się z płomienistych kul, które trzymały w rękach.

March nie widziała twarzy kobiet. Ta młodsza miała maskę jelenia, starsza – kozła. Zbliżyły się do młodego potwora bez strachu. Przeciwnie, miały w sobie niewypowiedzianą siłę, zdecydowaną i pełną wdzięku.

– Jestem czarownicą – powiedziała starsza głosem, który March dobrze знаła. Ale nawet gdyby go nie usłyszała, dobrze wiedziałaby, kim były kobiety. To wydawało się oczywiste. – Jestem tą, która mówi rzeczom, jakie mają być, tą, która sprowadza harmonię. Rozkazuję ci, ugnij się.

– Jestem czarownicą – zawtórowała młodsza. – Tą, która wdziewa na plecy ciemną noc, a z podziemia przywołuje słońce. Mówię ci, cofnij swą moc.

– Jestem czarownicą – powiedziała Cleto Malloway donośniej. – Tą, która wypija czary srebrnego księżyca, matki tak aniołów, jak demonów. Tą, co sprowadza wieczny ogień. Rozkazuję ci, przepadnij.

– Przepadnij i zgiń – dodała Irma. – Cofnij się.

– Przepadnij i zgiń, cofnij się – powtarzały teraz obie.

Bestia odwracała się na wszystkie strony, osaczona czymś niewidzialnym, ale przerażającym. Duchy lasu, duchy słońca, księżyca i ziemi pętały ją, a ogień buchnął z rąk wiedźm, otaczając potwora płonącymi sznurami.

March krzyczała. To paliło też ją, nie jak zwykły ogień, było o wiele gorsze, wnikało w jej duszę, rozrywało ją, sklejało i rozrywało na nowo, mocniej i gwałtowniej. I znów. Wrzeszczała, wzywając pomocy wszystkiego, cokolwiek mogło ją usłyszeć, wszystko jednocześnie przeklinała. Dlaczego? Dlaczego to się działo? Przecież umiała walczyć z bólem, Alogos ją tego nauczył. Ale teraz jego słowa były nic niewartym echem.

Jej krzyk był niczym w porównaniu z krzykiem potwora. Od jego wrzasku trzęsła się ziemia, drzewa uginały się i łamały, kamienie kruszyły. Kolejne warstwy jego obrzydliwego ciała odpadały zwęglone, aż wreszcie nie pozostało po nim nic oprócz niewielkiej kupki popiołu.

March poczuła chłód; przyjemny, dobry. Wszystko się skończyło. Potwór rodzic przestał szlochać, rozpułynał się, ale nie zniknął.

Wiedźmy podeszły do popiołów. March ruszyła za nimi, mając wrażenie, że jest jedynie świadomością unoszącą się nad ziemią. Siostry Malloway jej nie widziały, za to ona, znajdując się obok ich ciał, świecących nieostrym błękitnym blaskiem, poczuła z nimi bliskość, jakiej nie potrafiłaby opisać. W tym wyrwanym z czasu miejscu stanowiły jedność.

March patrzyła na popiół. Przez chwilę nie istniało nic poza nim, był pozostałością czegoś wstrętnego, to prawda, ale jednocześnie wydawał się żyzny. Siostry nabrały go w dłonie, a potem świat zaczął wirować. Trwało to krótko, a gdy się skończyło, March zobaczyła ten sam popiół – tym razem na stole kuchennym w Domu Wiedźm.

Trwała noc, ale inna, cicha, błoga. Siostry, już ubrane, rzucały nowy czar. Irma postawiła na stole przedmiot przypominający miniaturowy piec o okrągłym dachu. Miał dwie pary malutkich drzwiczek, jedne pod drugimi. Irma otworzyła górne i wyciągnęła z przyrządu coś, co wyglądało



jak złote jajo. Zdjęła z niego górną pokrywę i wsypała do środka popiół, po czym włożyła z powrotem do urządzenia. Cleto otworzyła z kolei dolne drzwi, następnie potarła ręce. Po chwili nad jej rozwartymi szeroko palcami zapłonął ten sam błękitny płomień. Przeniosła go ostrożnie do przyrządu i zamknęła drzwiczki.

W milczeniu siostry podeszły do jednej ze ścian i zaczęły wykonywać rękami ciąg skomplikowanych znaków. Przypominało to układ taneczny.

Ze ścianą coś zaczęło się dziać. Zdawało się, że trójwymiarowa kuchnia zyskała nagle dodatkowy wymiar. Ściana rozstała się, ukazując cegły, między którymi znajdowała się pusta skrytka. Cleto ostrożnie podniosła przyrząd i umieściła go w środku, po czym ściana natychmiast się zasklepiła. Czwarty wymiar znikł – czy może raczej March straciła zdolność widzenia go.

Siostry spojrzały na siebie, a potem – w ułamku sekundy przed końcem wizji – posłały przytomne spojrzenia March.

*Widzą mnie!* Cała jej świadomość zdawała się drgać, wszystkie tworzące ją cząsteczki zatańczyły i się rozproszyły.

A March opadała, długo i głęboko, ze snu w inny sen, z niego w kolejny, aż wreszcie wpadła w być może ten największy ze wszystkich snów – w samą rzeczywistość.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

– *Nic mi nie jest* – wycedziła March przez zaciśnięte zęby. Złość rozsadzała ją od środka, bo za każdym razem, gdy próbowała wstać z łóżka, na którym położyli ją jej towarzysze, Piątek wskakiwał jej na klatkę piersiową i przygwaźdżał ją do poduszek. – Nie rozumiecie, że dobrze się czuję?! – zawołała. Próbowała im to uświadomić od chwili, gdy tylko odzyskała świadomość, czyli od dobrych trzech minut.

Oczywiście kłamała, bo czuła się fatalnie. Owszem, fizycznie było tak, jakby nic się jej nie przytrafiło. Tyle że nie chodziło o jej ciało, ale o umysł, do którego najpewniej znów dorwały się fery. Lub coś znacznie od nich gorszego. Wciąż zbierało jej się na wymioty, gdy myślała o potworze z lasu, wciąż czuła piekący ból w sercu, gdy przypominała sobie martwe, rozszarpane ciała, zupełnie jakby mimo nagle odzyskanej przytomności wcale się nie obudziła.

– Upadłaś bez życia i leżałaś nieprzytomnie przez pół godziny – zauważył Callen. – To nie jest normalne. Nawet jeśli teraz dobrze się czujesz, to możliwe, że złapałaś w Jaarze jakąś chorobę.

– I założę się, że nie jesteś szczepiona na żadne z magicznych schorzeń – dodał kot, a oczy niebezpiecznie mu zalśniły, gdy przybliżył pyszczek do twarzy dziewczyny.

Zrezygnowana March opadła na poduszkę. Chora, tak, może faktycznie była chora... Oczy zaszyły jej łzami, wrócił dławiący ból w gardle. Powstrzymała się w ostatniej chwili, nim na dobre rozplakała się tutaj, przed nimi. Callen to zauważył.

– Co się stało? – spytał.

– Nic. Po prostu widziałam... widziałam coś strasznego. Byłam w finfolskim lesie – oświadczyła. W wizji nic nie wskazywało, że to był właśnie *ten* las, ale ona to wiedziała, podobnie jak nieraz już wiedziała różne rzeczy, i przestało się liczyć, dlaczego o nich wie. Intuicja, przeczucia... W końcu była magiczna. – A potem w Domu Wiedźm.

– Nic w tym dziwnego – zauważył kot. – Nadal tu jesteś i zapewniam, że nigdzie się nie ruszałaś.

– Nie rozumiesz! – Ze złością podniosła się na poduszkach. – *Widziałam przeszłość*. Albo... albo jakieś dziwne wydarzenia. Sama nie wiem, czy faktycznie miały miejsce.

Na to wyznanie jej towarzysze zamilkli, wpatrzeni w nią ze zdumieniem.

– Wiesz – zaczął ostrożnie Callen – takie rzeczy zawsze warto zweryfikować.

– Uważałbym z podobnymi stwierdzeniami – dodał Piątek. – Ludzie bez przerwy coś widzą, przeszłość czy przyszłość, a potykają się o własne łapy... to znaczy nogi... w terażniejszości.

March spojrzała na sufit, jakby czekała tam na nią jakaś wskazówka. Jasne, nie mogła być niczego pewna. Niczego. Od dawna wszystko w jej życiu stało pod znakiem zapytania, łącznie z samym życiem. Przez ułamek sekundy żałowała nawet, że potwór w wizji jej nie zabił, że jej ciało nie legło pomiędzy tamtymi zakrwawionymi. Wtedy koszmar wreszcie by się skończył.

Coś jej mówiło, że rzeczy, których była świadkiem, wydarzyły się naprawdę. Przeszłość miała... smak. March nie potrafiła wytłumaczyć tego nawet przed samą sobą. Wyjaśnienie było na końcu języka, niczym słowo, którego nie sposób wydobyć z pamięci. Duch czasu, leśna aura, magia Domu Czarownic, a może siła wiedźm? Tamten potwór? Coś sprawiało, że tamta

chwila w tak bliskim miejscu i odległym czasie wydała jej się niezwykła.

Zacząła opowiadać Piątkowi i Callenowi o szczegółach tego, co zobaczyła. Inaczej niż w przypadku wielu poprzednich wizji, tym razem dokładnie wszystko zapamiętała. Nic się nie rozmywało, każdy ruch i każdy dźwięk były wyraźne.

Z trudem mówiła o potworze, o ciele sąsiadki nie wspomniała. Znów postanowiła odłożyć to, co najbardziej ją martwiło, na później. W wizji nie chodziło przecież tylko o nią.

– Nie wiem, kiedy dokładnie się to wydarzyło – powiedziała, kończąc opowiadać o lesie – ale Cleto była już stara.

– I miała na twarzy maskę kozła? – zdumiał się kot. – A Irma jelenia?

Spojrzał na Callena. Z twarzy ich obu March wyczytała, że jej nie wierzą. A przynajmniej nie sądzą, by coś takiego faktycznie mogło mieć miejsce.

– To do nich zupełnie niepodobne – oświadczył chłopak. – To mi raczej wygląda na jakiś rytuał ludzi, którzy *chcą* być jak wiedźmy, takie ze średniowiecznych historii. No wiesz, sabaty, nagość, zamiana w zwierzęta...

March, nie mając ochoty się spierać, zwłaszcza że brakowało jej argumentów, przeczekwała ich moment zdziwienia, a potem mówiła dalej. Jeszcze bardziej ich zdumiewając.

– Irma nie miała atanora – powiedział niemal z oburzeniem Piątek, gdy opisała dziwny przyrząd, do którego siostry włożyły popiół.

– Czego?

– Atanor – zaczął wyjaśniać Callen – to piec alchemiczny, tworzy się w nim kryształ alchemików, *xerion*. Jest cholernie drogi.

– Właśnie – dodał Piątek. – W życiu nie byłoby nas na to stać. Ale okay, mów dalej.

– Irma wyciągnęła ze środka jakieś jajo...

– Jajo filozoficzne – wytłumaczył. – Wkładasz do niego prima materię i podsycasz wiecznym ogniem, już ci tłumaczyłem.

– Jajo filozoficzne? – Brzmiało to tak absurdalnie, że March musiała na moment przerwać. Prawie zaczęła sobie wyobrażać wysiadanie tego jajka, co znaczyło, że jej wyobraźnia idzie w bardzo dziwnym kierunku.

Callen się wyszczerzył.

– Alchemia zawsze wydawała mi się trochę pokręcona.

– Więc co, wyciągnęły jajo z atanora i...? – dopytywał Piątek tonem zdradzającym rosnący niepokój. Jednak ten zaczął gasnąć, w miarę jak March opowiadała. A gdy skończyła, zdawało się, że kot odetchnął z ulgą. – No dobra, to teraz wam powiem, dlaczego to zupełnie bez sensu i na pewno nie ma nic wspólnego z wydarzeniami z przeszłości.

March nie była pewna, czy uznał jej historię za nieprawdziwą, czy raczej próbował skrytykować jej zdolność do odbierania wizji.

– Po pierwsze – zaczął – gdyby siostry miały atanor, wiedziałbym o tym. Alchemia była wspólną miłością moją i Irmy, zresztą to od niej zaczął się nasz związek. Nie wierzę, że Irma ukryłaby przede mną kupno pieca alchemicznego. Przecież atanor byłby spełnieniem naszych wspólnych marzeń.

– Może nie mogła ci powiedzieć? – uznał Callen.

– Co masz na myśli? – prychnął kot.

– Sam nie wiem. Rzucam tylko możliwymi wytłumaczeniami. Może Cleto nie chciała, żebyś się dowiedział. Nie jestem pewien, czy całkiem ci ufała. Nie ufała do końca nawet Irmie. I trudno się dziwić po tym, co wywinęliście.

Kot przemyślał sobie te słowa, nim odparł:

– Myślisz, że Irmie można było czegoś zabronić? Nawet gdyby, z pewnością znalazłaby sposób, by ominąć zakaz. Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby nie pochwaliła mi się atanorem! Poza tym ona po prostu nie mogła go zdobyć. Sami

pomyślcie, Irma została skazana na areszt domowy. Nie wolno było jej wychodzić z domu, a gdyby jakimś cudem się jej udało, to sądzisz, że kupowałyby przedmioty służące do alchemii, i to tak istotne? Albo prosiłaby o to swoją siostrę? Od razu ktoś by się o tym dowiedział.

– Czasami Irmie wolno było wychodzić – zauważył Callen. – W niektóre sabaty...

– I co z tego? – Kot zaczął się denerwować, co z kolei zaniepokoiło March. Znała go na tyle, by wiedzieć, że robił to tylko wtedy, gdy miał coś do ukrycia. – Powtarzam: *aresztowano by ją za kupno atanora.*

– Nie sądzę, żeby wizja aresztu ją powstrzymała – prychnął Callen.

Piątek westchnął i zeskoczył z łóżka.

– Cleto i Irma z maskami na twarzach, tak? – zaśmiał się gorzko. – Brzmi to *bardzo* wiarygodnie. A może wyjaśnienie wizji March jest inne, co? Wygląda to na działanie aislingeńskich ferów, a twój ojciec był z nią sam na sam.

Zapadło krótkie milczenie. March była zdziwiona, że Piątek sugerował coś takiego, skoro sam wcześniej uznał naukę u Isinbira za dobry pomysł.

– Chcesz powiedzieć, że mój ojciec... – zaczął powoli Callen.

– *Nic* nie chcę powiedzieć. Uważam, że oboje macie za dużo zaufania, March do jakiejś nieprawdopodobnej wizji, a ty do fera, którego ledwo co poznałeś.

Callen zerwał się z krzesła. Twarz nabrzmiała mu ze złości. Przez chwilę March sądziła, że zacznie krzyczeć, jednak powstrzymał się i po prostu wymaszerował z jej pokoju. Zresztą kot zaraz po nim zrobił to samo. Ona z kolei, odczekawszy trochę, wreszcie wstała, gotowa, by zbadać, na ile jej wizja miała coś wspólnego z rzeczywistością.

Wchodząc do kuchni, doznała niewytłumaczalnego wrażenia, że siostry czekają tam na nią, by wyjaśnić to, co

zobaczyła, co być może *same* jej pokazały. Natychmiast przypomniała sobie słowa Isinbira. Dziwnym trafem nowa sytuacja sprawiła, że March zapomniała o złości na fera, a zamiast tego zastanawiała się, czy na poważnie mówił o duchach zamieszkujących piąty żywioł. Czy to możliwe, że Cleto i Irma faktycznie skontaktowały się z nią z Zaświatów?

Z drugiej strony sugestia Piątka wydawała jej się bardziej prawdopodobna, a już na pewno zgodna z jej przekonaniem. Nigdy nie widziała ducha, a fery owszem – mnóstwo ferów – i jak dotąd żadnemu z nich nie mogła ufać. Nie wykluczała, że to Isinbir ją przeklął. Mógł to zrobić, gdy dotykał jej aury. Ale po co? Dlaczego miałyby działać na rzecz Wyrd, skoro go wygnała? Cóż, mogło to stanowić formę wykupienia się w jej łaski, uzyskania przebaczenia...

Odetchnęła. Nie chciała dłużej się nad tym zastanawiać. Przypominało to błędzenie we mgle, a wszystko było już i tak wystarczająco zagmatwane.

– Po kolei – mruknęła pod nosem, podchodząc do szafek. Sunęła wzdłuż nich palcami, jakby próbowała wyczuć dodatkowy wymiar. Usiłowała powtórzyć ruchy, których użyły siostry, by *otworzyć* ścianę. Czuła się z tym idiotycznie.

Piątek i Callen pozostawali w swoich pokojach. March zaczęła żałować, że opowiedziała im o wizji. Musiały istnieć jakieś ważne powody, dla których siostry nie podzieliły się tym wszystkim nawet z kotem.

Znów zafiksowała się na rozmyślaniu, do tego stopnia, że przeżyła mały wstrząs, gdy ktoś zapukał do drzwi. W pierwszej chwili ją to przestraszyło, bo przecież czar powinien trzymać nieprzynależących z daleka, a jakoś sobie nie wyobrażała, żeby istoty inne niż ludzie miały pukać. Musiała nieco otrzeźwieć, by sobie przypomnieć, że przecież zapraszała Isel, i ruszyła do drzwi.



Tak jak przypuszczała, czekała za nimi przyjaciółka, jednak to, jak wyglądała, przerosło najśmielsze wyobrażenia March. Najśmielsze, jakie kiedykolwiek miała na temat Isel.

Otworzyła usta i długo nie mogła ich zamknąć.

– Wyglądasz... pięknie! – zawołała wreszcie ze zdumieniem, które nie mogło zabrzmieć przyjemnie. Na co Isel oczywiście od razu zwróciła uwagę.

– Stąd to zaskoczenie? – odparła z kwaśną miną. – No okay, niech ci będzie. Sama się zdziwiłam, jak spojrzałam w lustro.

Miała na sobie czerwoną sukienkę, tak elegancką, jakby wybierała się na przyjęcie. Włosy podkreśliła lokówką, a może nawet – kto wie – odwiedziła fryzjera. I chyba po raz pierwszy w życiu się umalowała. Mocna, czerwona szminka powiększyła jej usta, a zwyczajowe rumieńce Isel zakryła pudrem.

– Mogę wejść? – spytała.

– O ile nigdzie ci się nie spieszy...

– Co? – zdumiała się.

– No, wyglądasz, jakbyś była umówiona na randkę.

Isel natychmiast się spieszyła.

– Ja? Na randkę? Nie gadaj bzdur! – prychnęła, wchodząc do środka. – Po prostu... No, uznałam, że mogę od czasu do czasu wyglądać jak człowiek.

Po raz pierwszy w życiu March poczuła się przy Isel jak kocmołuch. Chyba nie wypadało nosić spodni przy kimś w takiej sukience. Dopiero gdy opadł zachwyt, uświadomiła sobie, że strój przyjaciółki nie mógł świadczyć o niczym *normalnym*, i choć przed chwilą najchętniej by jej nie wpuszczała, żeby mieć odrobinę świętego spokoju, teraz musiała wybadać, o co chodzi.

– Co się stało? – spytała, stawiając przed nią ciastka Piątka. Miała nadzieję, że kot ich nie nadgryzł.

– Dziękuję. – Isel odwróciła wzrok od słodczy. – March... – Spojrzała na nią tak poważnie, że w gardle March natychmiast

pojawiła się gębel. Spodziewała się wyznania. I dostała je, gdy Isel oświadczyła: – Postanowiłam zostać czarownicą.

March na moment zatkało.

– C-co? – odparła w końcu. – To chyba nie...

– Posłuchaj – przerwała jej Isel. – Zanim spróbujesz mnie od tego odwieść, sama się zastanów: czy może istnieć jakakolwiek inna droga?

– Uhm...

– Teraz, skoro znam już prawdę, nie mogę udawać, że magia nie istnieje. A skoro istnieje, to znaczy, że nie uprawiając jej, zrezygnuję z tego, kim mogę być. Nie można żyć w zaprzeczeniu. Wiem, że to moja droga.

March z trudem znajdowała słowa odpowiedzi. Badała twarz przyjaciółki w poszukiwaniu czegoś, co wskazałoby na jej chwilową niepoczytalność. Ale Isel, choć nieco bardziej podekscytowana i zdeterminowana niż zawsze – no i zdecydowanie o wiele ładniejsza – mówiła zupełnie serio.

– Myślałam, że ostatnią rzeczą, która przysłaby ci do głowy po tym, co ode mnie usłyszałaś, byłoby pakowanie się w to bagno. Kilka razy omal nie zginęłam przez czary i szczere mówiąc, miałam nadzieję, że – March zniżyła głos – pomożesz mi z tego wyjść i wrócić do normalnego życia.

To nie było do końca prawdą. W zasadzie dobrze wiedziała, że nie było już powrotu do dawnego życia, ale zapraszała tu Isel dlatego, że dziewczyna była ostatnim łącznikiem z normalnym światem, na pewno nie po to, żeby zrobić z niej czarownicę. Zwłaszcza że wiedziała, jak fery podchodzą do wykradania im wiedzy. Jasne, gdzieś daleko istniały wiedźmy tworzące tę całą Społeczność, żyjące w harmonii ze skrzydlatymi, ale March żadnej z nich nie znała.

– Jak widzisz, poczyniłam już pewne przygotowania – oświadczyła Isel.

March obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem.

– Ehm... poczyńska? – spytała.

Przyjaciółka przewróciła oczami i pochwyciła szary, ozdobny kamień, który miała na szyi. Choć był spory, March dopiero teraz zwróciła na niego uwagę.

– To moje znamię diabła – powiedziała Isel niezwykle poważnie.

Tym razem March zaczęła się zastanawiać, czy na pewno ma do czynienia ze swoją przyjaciółką. A może pod Isel podszył się jakiś demon? Pewnie by parsknęła śmiechem, gdyby nie to, że była autentycznie przerażona.

– Że co to jest? – rzuciła.

– Nie słyszałaś o nich? – zdumiała się Isel. – Myślałam, że też taki masz. Nawet chciałam zostawić ci ten mój, żebyś jakoś go zaklęła, sama rozumiesz... No, w każdym razie chodzi o to, że w Czasach Stosów, jak nazywa się prześladowania czarownic, Inkwizycja doszukiwała się na ciałach ofiar *znamion*. Czytałam, że tak naprawdę chodzi o amulety, a nie żadne kurzajki czy jakieś krosty.

– To nie ma nic wspólnego z diabłem! – zaprotestowała March, przypominając sobie rozmowę z Piątkiem. – Poza tym, czy Inkwizycja w ogóle złapała kiedyś prawdziwą wiedźmę?

– Okay... i nie wierzycie w diabła, tak? – spytała Isel. – Czytałam, że część czarownic oddaje mu dusze, ale większość po prostu zajmuje się pogaństwem.

– Nie zajmujemy się żadnymi religijnymi bzdurami, a już na pewno nie czcimy Szatana! – zdenerwowała się March. – A co, chciałaś podpisać jakiś cholerny pakt?!

Isel naraz się speszyła.

– Różne rzeczy przychodzą mi czasem do głowy – wyznała szybko.

– Więc niech ci nie przychodzą.

March poczuła, jak jej złość, pewnie nie całkiem słuszna, powoli odpływa. Isel wpatrywała się w nią przez dłuższy czas,

aż wreszcie wstała.

– Dobra, rozumiem – oświadczyła urażonym tonem.

– Rozumiesz co?

– Nie chcesz mi pomóc, tak?

– Mam ci pomóc w czym?

Twarz Isel przybrała znajomy czerwony kolor, którego nie mógłby zakryć najdbalszy makijaż.

– Chciałam tylko praktykować magię – wycedziła dziewczyna, nie patrząc na March. – Chciałam czegoś się nauczyć. Sądziłam, że ty mi w tym pomożesz, ale widać się myliłam. Tylko powiedz, po co mnie tu ściągałaś? Po co pokazałaś mi coś, co miałaś zamiar zachować tylko dla siebie?

Każde jej kolejne słowo brzmiało jak wyzwanie. Gdy March wpatrywała się w przyjaciółkę, wątpliwości kotłowały się jej w głowie. Jeśli nie pomoże Isel, ta na pewno nie zrezygnuje z nauki czarów, co spowodzi na nią jeszcze większe kłopoty. Może nawet na nie obie.

– Dobra, nauczę cię – postanowiła. – Ale nie dziś. Przyjdź jutro.

Widząc na twarzy przyjaciółki niewypowiedzianą ulgę, sama poczuła strach. Nie potrzebowała czasu, by się przekonać, że pożałuje tej decyzji.

Już żałowała.

– Powiedz jeszcze... – zaczęła, właściwie zmuszając się do zadania tego pytania, bo wcale nie chciała o tym gadać, ale nie miała wyboru. – Pani Connor miała atak serca, tak? – Zalało ją nieprzyjemne gorąco, bawiła się własnymi palcami, które natychmiast zaczęły się pocić.

– No tak.

– Nie stało się jej nic innego?

Isel zmarszczyła czoło.

– A powinno? – ożywiła się nagle. – To znaczy, ty chyba...

– Nie! – zaprotestowała March tak gwałtownie, że sama się tym przeraziła. Poczowała się jak oskarżona na procesie sądowym, jakby ktoś ujawnił jej najskrytszą tajemnicę. – Pytam, bo... wiesz, że w Finfolk dzieją się dziwne rzeczy.

Naraz Isel zupełnie zobojętniała.

– Cokolwiek dziwnego się dzieje, na pewno nie dotyczy jej. Od dawna miała problemy z sercem, była już po jednym zawale. Ale wiesz, ani trochę jej nie żałuję. I gdybym mogła, niejednego bym wykończyła czarami. A ty?

March uchwyciła na moment wzrok przyjaciółki i z całą stanowczością odparła:

– Nie, ja nie.

I wtedy zalała ją błoga ulga.



Callen lekko się zaśmiał. March oczekiwała innej reakcji po tym, jak opowiedziała mu o wizycie Isel. Nie była pewna, czy chłopak śmieje się z niej, z jej przyjaciółki czy też dlatego, że miał rację. Przynajmniej częściowo. W każdym razie nie miała zamiaru tego przyznawać.

– Tak jak mówiłem... – zaczął i urwał, znów się uśmiechając.

– Co mam teraz zrobić? Tylko mi nie mów, że powinnam sama sobie poradzić, bo takie rady mam gdzieś.

– No, na dobrą sprawę trzeba było się tego spodziewać. Wielu nieprzynależących chce do nas dołączyć po tym, jak mają kontakt z magią. I czasem się to udaje, ale...

– Właśnie, przecież czarownicą można zostać – przerwała mu March, a następnie zaczęła mówić jak nakręcona, w dodatku bardziej sama do siebie niż do chłopaka. – Oczywiście nie ma żadnych szatańskich znamion, paktów podpisywanych krwią i tak dalej, są za to jakieś tam książki,

a może nawet rytuały, którym można by poddać Isel. Niech się nauczy rzucać proste czary, ale tylko coś małego. Lepiej nie włączyć w magię tak, jak co poniektórzy, bo wystarczy się rozejrzeć, żeby wiedzieć, jak to się kończy...

Callen chrząknął.

– Ci *co poniektórzy* tu są, przynajmniej jeden z nich – powiedział. – Tak czy inaczej, nie da się *trochę* wejść w magię, nie ma żadnych półśrodków. Czarostwo służy zmianie wszystkiego, całego życia... W domyśle na lepsze, co zresztą nie zawsze wychodzi, a po drodze i tak wiele rzeczy musi się zburzyć, zmienić, trochę jak w procesie alchemicznym. No i tu mamy duży problem, jeśli chodzi o Isel.

March zamrugwała.

– Jaki?

– O wiele lepiej jest, gdy z magią zaczynają osoby... *poukładane*.

– Co masz na myśli?

Chłopak z dezaprobatą pokręcił głową.

– Nie udawaj, że nie wiesz. Przecież czujesz aurę, tak? Isel jest bardzo... Ma mnóstwo kompleksów.

– Każdy je ma. Gdyby to było przeszkodą, nikt by nie praktykował magii.

– Sama pomyśl, March. Zadaj sobie pytanie, *dlaczego* ona chce uprawiać czary? Chyba to wiesz, prawda?

Może i wiedziała, ale o wiele wygodniej było udawać, że nie ma pojęcia.

– No? – zapytała tak, jakby rzucała wyzwanie.

Callen zignorował jej reakcję, za to powiedział coś innego:

– Musimy wziąć za nią odpowiedzialność. Oczywiście nie będę mówił, że sama powinnaś to zrobić, nie będę ci sugerował, że to twoja wina. – Tak bardzo tego *nie* sugerował, że March natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Nie sprzeczała się jednak, skoro miał rację. – Myślę – dodał – że

teraz nie możemy jej zostawić samej sobie. Trzeba coś jej dać i modlić się, żeby nie okazało się to dla niej za mocne.

– Zostawiła tu to – odparła March, wyciągając z kieszeni amulet. – Poprosiła mnie, żebym rzuciła na niego jakiś czar. Myśli, że każda wiedźma powinna nosić amulet.

Callen wziął wisior i przez chwilę mu się przyglądał.

– No... – powiedział powoli – chyba moglibyśmy coś z nim zrobić.

– Serio? Byłam pewna, że to tylko zabobony, wszystkie te talizmany...

– Bo to są zabobony – stwierdził Callen. – To znaczy *mogą* być, ale nie muszą. W każdym razie trzeba będzie jej to oddać i powiedzieć, że rzuciliśmy czar ochronny.

March zmarszczyła czoło.

– Co? Przecież to będzie kłamstwo.

– A niby pierwszy raz będziesz kłamać? – prychnął Callen. – To takie małe oszustwo w dobrej sprawie. Zresztą to będzie tak, jakbyśmy mówili prawdę, bo jeśli Isel nam uwierzy, amulet zadziała. A uwierzyć to znaczy pchnąć czar do przodu. I tak właśnie zaczyna się magia.





## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W ciągu kolejnych dwóch tygodni nie było dnia, by Isel nie odwiedziła Domu Czarownic. March, którą męczyły wizyty przyjaciółki, jakoś nie umiała z nią o tym pogadać, zwłaszcza że sama była winna jej zainteresowania magią. Zainteresowania zmierzającego w dziwnym kierunku, który trudno było na razie określić.

Bo Isel się zmieniała. Jej pojawienie się w czerwonej sukience nie było jedyną akcją tego rodzaju. Za każdym razem, gdy ich odwiedzała – czasem kilka razy na dzień – miała na sobie coś innego. W ciągu tygodnia potrafiła zmienić styl aż trzy razy. Nie chodziło o strój, on był najmniejszym problemem. March miała wrażenie, że jej przyjaciółka wciąż przybiera nowe maski, coraz bardziej różne od tego, kim była naprawdę, a im bardziej odmienne się wydawały, tym bardziej oczywiste stawało się, że desperacko próbuje coś pod nimi ukryć.

Nie było możliwości, żeby z nią o tym porozmawiać, bo za każdym razem, gdy March zaczynała temat, Isel rzucała poradami wyczytanymi w książce pożyczonej od Piątka, *Szybciej na miotle*, autorstwa podejrzanie wyglądającej starszej czarownicy. Poza tym, choć March naprawdę chciałaby, żeby było inaczej, nie miała głowy do spraw przyjaciółki, zważywszy na własne problemy. Na szczęście Isel zdjęła z niej ciężar poczucia winy za śmierć pani Connor. Teraz March wydawało się idiotyczne to, że w ogóle się o nią oskarżała.

Isel nie uspokoiła jej jednak w kwestii matki. Widywała się od czasu do czasu z panią Sky, ale choć wcześniej dobrze się

nie znały, widziała zmianę w jej zachowaniu.

– Jest jakaś osowiała, wiesz? – stwierdziła. – Jasne, można by to zwalić na stratę ciebie i tak dalej, ale coś mi mówi, że to jakiś inny problem.

– Czary? – nasunęło się od razu March. Wiedziała, że jej matka była kiedyś otumaniona i że zaklęcia ferów wciąż ją jakoś wiązały.

– Jeszcze niedawno powiedziałabym ci, że to sprawa czysto psychologiczna – odparła powoli Isel – ale chyba masz rację. Sprawdziłam to nawet tarotem. Wyszedł Głupiec.

– Czyli? – March zmarszczyła czoło, na co jej przyjaciółka głęboko westchnęła.

– To podstawy magicznych podstaw – zauważyła. – Głupiec oznacza zamroczenie, niewiedzę.

– Właśnie to sprowadziły na nas fery – prychnęła March. – Z nas wszystkich zrobiły głupków. W każdym razie dopiero jak sobie z nimi poradzę, będę mogła zająć się resztą.

Na każdą wzmiankę o czarach Isel reagowała wypiekami na twarzy. Rzeczy, które odstręczały March, ją fascynowały. To było w tym wszystkim najbardziej niepokojące. Isel sama zachowywała się jak ten cały Głupiec, myśląc, że odnajdując magię, trafiła na coś wspaniałego, nie mając pojęcia, że w rzeczywistości ta siła może być tak bardzo niszcząca, nie chcąc nawet o tym słuchać.

Zachowanie dziewczyny przysłoniło March też sprawę wizji. Nic podobnego nie powtórzyło się w ciągu następnych dni i była w stanie uwierzyć w tłumaczenie Piątka, że to, co zobaczyła, stanowiło po prostu treść kolejnego koszmaru zesłanego przez fery. Może nie było to całkiem uspokajające, ale pocieszała ją myśl, że ma do czynienia jedynie z wrogiem, którego znała.

Teraz pozostawało zająć się Isel.

– Ile za to dałaś? – spytała ze zdumieniem podczas kolejnej wizyty przyjaciółki. Isel wyciągnęła z torby flakonik z perfumami i spryskała nimi włosy. – To jakiś Dior czy jak?

– Zgadłaś – odparła nonszalancko przyjaciółka. – Ale nie dałam za to ani pensa.

Uśmiech, który zagościł na jej twarzy po wypowiedzeniu tych słów, ani trochę nie spodobał się March.

– Chyba mi nie powiesz, że użyłaś...

– Och, nie! – zawołała Isel. – Poradziłam sobie bez magii. Nie mówiłam ci, ale ostatnio miałam trochę problemów z... No, ze sobą. Matka zabrała mnie do psychologa.

– Co się działo? – spytała natychmiast March.

– Bo ja wiem? Chyba nic. W końcu to on miał mi powiedzieć, co ze mną nie tak, ale już jest w porządku. W każdym razie matka bardzo się przejęła, zaczęła poświęcać mi mnóstwo uwagi i w ogóle zrobiła się miłsza, kupuje mi, cokolwiek zechcę... Sama rozumiesz.

Znów ten okropny uśmiech. March miała ochotę porządnie potrząsnąć Isel. Nie mogła uwierzyć, że dziewczyna wykorzystywała swoją matkę w ten sposób, a przecież sama dobrze orientowała się w ich sytuacji: pani Bini była sprzątaczką. Gdyby nie dodatkowy zasiłek, ledwo starczałoby im na rachunki.

Ale ta rozmowa przynajmniej uświadomiła March, jakie podejście do magii ma jej przyjaciółka. Wyglądało na to, że dla niej czarostwo polegało na manipulowaniu nie energią, ale ludźmi. Oczywiście nie najlepiej jej to wychodziło, bo wykorzystywanie innych zwyczajnie nie leżało w jej naturze. Na pewno łatwo było sobie podporządkować zaniepokojoną matkę, za to z pozostałymi Isel zupełnie sobie nie radziła. A to, że próbowała, nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Ale dlaczego? To musiał być jakiś szok albo kolejny przykład działania uwolnionych przez Wyrd koszmarów. Bo Isel *nigdy*

taka nie była, nigdy nie była materialistką, zawsze postępowała tak, by nie ranić innych, głównie dlatego, że sama wiedziała, co to znaczyło być zranioną. March z każdym dniem martwiło to coraz bardziej. Nie chciała tracić jedynej przyjaciółki, a jednak magia znów zdawała się kogoś jej odbierać, choć w inny sposób niż dotąd, bardziej podstępny. Jednocześnie, jeśli faktycznie to wszystko stanowiło wynik koszmarów, to tylko magią można było pomóc Isel, inaczej – to było pewne – dziewczyna zupełnie zatraci się w nowo odkrytym świecie.

Jej niedoszłą ofiarą był Callen. Nie trzeba było geniuszu, by się domyślić, że dziewczyna próbowała zastawić na niego sidła. Non stop o niego wypytywała, twierdząc, że nauczyłby ją magii lepiej niż March czy Piątek. I to chyba dla niego tak się stroiła. Tyle że on całkowicie to ignorował. Jeśli pojawił się, żeby od niechcienia pokazać jej jakieś ćwiczenie z wizualizacji, szybko potem się ulatniał, zajęty własnymi sprawami.

– Chyba nie jest gejem, co? – zastanawiała się Isel.

– Bo ja wiem? – March wzruszyła ramionami. – Może być.

Wcale by jej to nie zdziwiło, choć miała raczej wrażenie, że chłopak był asekualny. Zdawało się, że sprawy uczuciowe ani trochę go nie obchodzą.

– A co, podoba ci się? – spytała.

– Mnie? – prychnęła Isel. – Pytam z ciekawości. To tyle.

Na początku March trochę denerwowało to mizdrzenie się Isel do Callena. Chyba widziała w niej kogoś w rodzaju rywalki. Ale rywalki w czym? Przecież temat nie istniał. Kilka razy powtarzała sobie racjonalnie, że przecież ona sama nic do niego nie czuje. Doszła do wniosku, że owszem, może brała go pod uwagę jako potencjalnego chłopaka, ale tylko dlatego, że mieszkali pod jednym dachem. Nigdy nikogo nie miała. Chłopcy kojarzyli jej się tylko z Billym Hopkinsem i jak dotąd interesowali się nią jedynie jako obiektem kpin, a nie uczuć.

Jeśli chodziło o Callena, to martwił ją nie brak zainteresowania nią, ale wszystkim innym, co działo się dookoła. Gdyby nie przypominała mu, że nadal tkwią w koszmarze, pewnie by o tym zapomniał. Potrafił całymi dniami nie wspominać o ferach. I wciąż boczył się na Piątka, który odkąd usłyszał o wizji March, stał się zupełnie do siebie niepodobny. Snuł się po domu niczym czarny cień, a mówił tak niewiele, że można by uznać go za zwyczajnego kota. Za każdym razem, gdy dziewczyna zachęcała ich do dalszych badań nad klątwą i obmyślenia planu pokonania Wyrda, obaj – ku jej rosnącej złości – odpowiadali:

– Zdadz się na nauki Isinbira. On przygotuje cię do starcia.

Rzeczywiście ufali jego wiedzy, nawet jeśli niekoniecznie – w przypadku kota – ufali jemu samemu. Niestety March miała coraz większe wątpliwości z każdą kolejną „lekcją”. W zasadzie fer nie nauczył jej jak dotąd niczego na temat magii, a wszystko, co mówił, brzmiało jak puste frazesy. I w dodatku zawsze sprawdzał to, co zapamiętała, w taki sposób, jakby tak naprawdę chciał wiedzieć, o czym *zapomniała*.

– Zamknij oczy i powiedz mi, co widzisz – polecił podczas kolejnego spotkania. Zawsze miał dla niej jakieś bezsensowne zadanie.

– Ciemność – westchnęła zniecierpliwiona.

– Tylko?

Chrząknęła.

– Mrugające światełka – dodała z sarkazmem.

– Świetnie. Sądzisz, że gdybyś uczepiła się któregoś z tych światełek, to doznałabyś wizji?

Otworzyła oczy i znużonym tonem oświadczyła:

– Nie potrzebuję ciemności ani psychodelicznych światełek, żeby mieć wizje.

– Tak, wiem, że widziałaś wspomnienia wyjęte z kluczy koszmarów, ale...

– Nie tylko to. Po naszej pierwszej lekcji też miałam wizję – oświadczyła. Dotąd nie poruszała tego tematu. Nawet z Piątkiem i Callenem do niego nie wracała, obawiając się, że znów dojdzie przez to między nimi do scysji. Na własną rękę przeszukała za to dokładnie notatki sióstr Malloway. Niestety nie znalazła w nich niczego, co potwierdzałoby prawdziwość widzianych obrazów.

Po chwili wahania opowiedziała ferowi o tym, co zobaczyła. Isinbir głęboko się nad tym zastanawiał, co rozbudziło w niej pewną nadzieję. Szybko ją jednak rozwiął.

– Kryształ alchemików – westchnął. – Marzenie wielu wiedźm, pragnienie, które tak bardzo odróżnia ludzi od nas. Moja matka zawsze zwracała na to uwagę. Ludzie nie traktują magii jak daru, poszukują w niej zysku, a to, co prawdziwie wartościowe, rozmieniają na drobne. Cóż, to cena, jaką ponosimy, gdy profani zyskują dostęp do sacrum.

March przewróciła oczami.

– Chyba zbyt ochoczo powtarzasz słowa kogoś, kto cię wygnał i zrobił ci... to. – *Tym* nazwała blizny na plecach fera. Rozumiała, że mówienie o nich wprost było swego rodzaju tabu. – Poza tym w połowie jestem jedną z was, więc pogarda jest zbędna.

– Myślisz, że tobą gardzę? – Isinbir natychmiast się ożywił. – Nic z tych rzeczy! Nie zapominaj, że zakochałem się kiedyś w wiedźmie. *W człowieku*.

– Sorry, ale równie dobrze można powiedzieć: „Nie jestem rasistą, bo mam kumpla Azjatę” – odparła March. – Nie rozumiesz? – dodała, wnioskując to ze spojrzenia fera. – Nieważne.

Pewnych rzeczy nie dało się wytłumaczyć komuś, kto mieszkał na gigantycznej fasoli. Gorzej, że działało to w obie strony, więc i ona nie rozumiała wszystkiego, co chciał jej

przekazać fer. A właściwie niemal niczego nie rozumiała. I to był już całkiem spory problem.

Nim Isinbir ponownie kazał jej otworzyć oczy, zza drzwi dobiegły ich krzyki, po czym ktoś załomotał w nie tak mocno, że March aż się zatrzęsała. Nie czekając na zaproszenie, dobijający się wparował do środka. Na jego widok dziewczyna omal nie wrzasnęła.

To nie był człowiek, choć z twarzy całkiem przypominał mężczyznę, wyrosniętego, ciężkiego faceta, i przy okazji dyszał ze wściekłości. Skórę miał fioletową, oczy malutkie i całkiem czarne, a wielkie uszy dziwnie przyklapnięte. Uniósł grubą łapę i pożółkłym pazurem wskazał fera.

– Isinbir! – ryknął. – Słuchaj no, gnojku, drugi tydzień czekam, aż mi zapłacisz za tę parszywą norę. Myślisz, że możesz sobie ze mną pogrywać, bo jesteś jaśnie księżę?!

Fer spoglądał na niego z pełnym spokojem, zupełnie jakby nie zauważał, że dryblas jest od niego dziesięć razy większy.

– Spokojnie, Kronosie. Skoro obiecałem zapłacić, dotrzymam słowa. Tymczasem wybacz, mam gościa.

March dałaby wiele, by zapaść się pod ziemię, gdy spoczęło na niej zagniewane, pełne pogardy spojrzenie przybysza.

– Gościa? – powtórzył. – Co ty sobie...?!

Dziewczyna wyczuła, jak dryblas wpada w szał, jeszcze nim rzucił się na Isinbira z pięściami. Jej ciało zareagowało szybciej. Nie mogła tego powstrzymać. Złocista energia wybuchła w jej brzuchu, a dłonie aż ją zapiekły, gdy przepłynęła przez palce i poraziła mięśniaka. Uderzył w ścianę z takim impetem, że ta omal nie pękła.

Przerażona March była pewna, że go zabiła. Piątek i Callen, których dostrzegła w drzwiach, byli równie zszokowani co ona. Jej strach narastał z sekundy na sekundę, na szczęście przybysz szybko się podniósł. Przez kilka chwil kiwał się i trzymał za głowę, po czym jakby otrzeźwiało. Nie próbował

walczyć. Zamiast tego spojrzął na March, tym razem bez cienia pogardy, i znów uniósł palec.

– No – wysapał w stronę Isinbira. – No... żeby to się tylko nie... Bo... Jeszcze tydzień. Tylko... – Ponownie rzucił spojrzenie na dziewczynę. – Tydzień.

I – jakby speszony – przepchnął się między Callenem a Piątkiem i wyszedł.



– Tak, mam problem. – Isinbir skrzywił się w taki sposób, jakby przyznanie się do tego sprawiło mu ból. – I obawiam się, że będę potrzebował jeszcze co najmniej dwóch tygodni, żeby trochę uzbierać. W każdym razie dzięki za pomoc, March, nieźle go przestraszyłaś. Faktycznie coś w sobie masz. Nie każda początkująca wiedźma ot tak poradziłaby sobie z ogrem.

– To był ogr? – zdumiała się.

– Jasne – zaśmiał się Isinbir. – Nie widziałaś ich jeszcze? Słyną z wielu rzeczy, głównie z tego, że cuchną i mają dryg do interesów w szemranych miejscach. Takich jak to – dodał z zakłopotaniem. – Jest chyba cała masa istot w Jaarze, o których musisz się nauczyć, prawda?

– Nie zmieniaj tematu, tato – odezwał się cicho Callen. Słowo „tato” przeszło mu przez gardło z niemałym trudem. W dodatku czuł palący wstyd, musząc rozmawiać o sytuacji ojca w obecności March i Piątka. Irracjonalny, bezsensowny wstyd. Chciałby uznać, że problemy Isinbira go nie obchodzą, że właściwie nie ma z ferem nic wspólnego. Ale chodziło o krew, ich wspólną krew, a dla ferów, Plemienia Danu, to coś więcej niż dla ludzi. Dla ferów krew to nośnik magii, żyły każdego z nich to odnogi strumienia mającego źródło



w czasach, gdy, zgodnie z legendami, Matka Duchów obdarzyła ich plemię zdolnością do czarów. Więż z ojcem łączyła Callena ze wszystkimi ferami w sposób, którego nie dało się zanegować.

Poza tym Isinbir *był* jego ojcem, również w tym sensie, który chłopakowi wydawał się tak bardzo ludzki. Nie do końca rozumiał, czemu to wszystko ma go obchodzić. Było to jakoś irracjonalne, bo przecież tak wielu ludzi wychowuje się z dala od swoich ojców, w ogóle o nich nie myśli. A jednak obchodziło go. Czuł potrzebę, by mu pomóc. Próbował się jej oprzeć, lecz na nic. Im silniej z tym walczył, tym większy niepokój rozsadał go od wewnątrz.

– Co chcesz wiedzieć, synu? – spytał Isinbir, na co Callen odruchowo odwrócił twarz. „Synu”... Brzmiało to równie wymuszenie co jego „tato”. – Chyba cię nie zaskoczę, mówiąc, że średnio sobie radzę? Aislingeńskie fery wygnane z Miasta Snów zawsze są w pewien sposób osierocone.

– Potrzebujesz pomocy? – odezwała się March. Callen doceniał ten gest, rozumiejąc jednocześnie, że nie mógł on niczego za sobą pociągnąć. Bo choćby nie wiadomo jak chcieli mu pomóc, nie byli w stanie tego zrobić.

Isinbir się uśmiechnął.

– Nie, to miło, że pytasz, ale nie. Sprzedam kilka własnoręcznie robionych athame i jakoś to będzie.

*Duma* – pomyślał od razu Callen. On odpowiedziałby dokładnie to samo.

– Może mógłbyś zamieszkać z nami? – zaproponował Piątek.

– Nie – odparł chłopak za ojca. Zrobił to tak nagle, że pozostali spojrzeli na niego ze zdumieniem. – Chodzi mi o to, że żaden fer z Aislingen nie ma wstępu do Domu Wiedźm. Tak działa czar sióstr, pamiętacie? Choć... po wygnaniu chyba nie powinien już dotyczyć ciebie, więc... Tylko czy warto ryzykować? Chyba nie.

Ostatnie zdanie wypowiedział tonem mającym zakończyć dyskusję. Miał nadzieję, że nikt nie wyczuł, jak narasta w nim złość. Może była to jedynie zwykła niechęć, a może podskórne pragnienie zemsty na ojcu za to, kim się stał, ale Callen nie chciał, by Isinbir z nimi zamieszkał. Nie chciał ani nie był na to gotowy. Znow walczyły w nim te sprzeczne odczucia. Już prawie wyciągał rękę w stronę ojca, żeby wreszcie ostatecznie oczyścić atmosferę, po czym ją cofał. Bo niby jak miał teraz znaleźć czas na zaakceptowanie go? Teraz, gdy tak wiele się działo? Wszystko, co robił, robił dla wspólnej sprawy. Przynajmniej chciał w to wierzyć, lecz być może faktycznie robił te rzeczy tylko dla samego siebie? Im dłużej o tym myślał, tym mniej wiedział, im mocniej starał się to zrozumieć, tym bardziej się zapętlał. Po raz pierwszy od tych kilkudziesięciu lat spędzonych w ciele nastolatka czuł się jak prawdziwy nastolatek, próbujący w pełni ogarnąć własne emocje.

– Masz rację, nie warto ryzykować – zgodził się ojciec po dłuższym czasie. – Zresztą to nie mnie jest potrzebna pomoc, ale tobie – zwrócił się do March. – I to o wiele szybciej, niż się spodziewałem.

– Nie rozumiem...

– Cóż, powinienem był od razu wam uwierzyć, gdy mówiliście, jak świetnie sobie poradziłaś w Mieście Snów. Teraz jestem pewien, że musiało ci pójść całkiem... *bardzo* dobrze. Oczywiście ujawnianie się mocy w sytuacjach stresowych nie jest rzadkością, zwłaszcza u początkujących. Twoja energia jest jednak dość spora. To też nie dziwi, bo ferianie zwykle dysponują pokładami silniejszej magii od ludzi. A jednak mamy problem, bo wygląda na to, że twoja moc jest zablokowana, o czym świadczy to, w jaki sposób dziś wybuchła. Naturalnie może to stanowić dodatkową ochronę, co wcale nie oznacza, że powinno dochodzić do podobnych

sytuacji. Zadaniem czarownicy jest przejęcie pełnej kontroli nad mocą, a ty tej kontroli nie masz.

– Przez blokadę – dodał Piątek. – Ale o tym już wiemy.

– Ale gdzie jest ta blokada? – March wyglądała na mocno zaniepokojoną.

– Jedynie ty sama możesz ją zlokalizować – odrzekł Isinbir. – Ja mogę cię tylko pokierować.

Dziewczyna klasnęła w dłonie.

– Super, to do roboty. Może wreszcie zaczniemy coś w tym kierunku robić?

Fer westchnął.

– Nie bierz tego do siebie, ale bywasz naprawdę krnąbrna.

– Wcale się nie obraziłam – wycedziła March przez zęby zaciśnięte w wymuszonym uśmiechu.

– U czarownicy pewność siebie jest przecież wskazana, tak?

– dodał Callen, próbując jej bronić.

– Pewność siebie jest niezbędna w magii, gdy rzucasz już zaklęcie. Wtedy faktycznie nie ma się co wahać, *nie wolno* tego robić, bo inaczej magia nie zadziała. Jednak zwykle trzeba mieć dużo pokory. Oczywiście, dzięki niebiosom, nie jesteś zarozumiała, tylko czasami traktujesz rzeczy, których chcę cię nauczyć, jak bzdury. Myślisz, że to wszystko jest oczywiste, lecz zapominasz, że *wiedzieć* nie znaczy *rozumieć*. To dwie różne rzeczy. Jesteś za mało otwarta. Nie wiem, może ma to związek z twoją blokadą, ale póki nie zaufasz, że wiem, gdzie cię zaprowadzić, niewiele wskóram.

– Może po prostu... – March urwała i zaczęła się zastanawiać. – Może... To nie tak, że ci nie ufam. Ja po prostu się... boję.

– Czego?

– Nie wiem – przyznała z taką miną, jakby ją też zaskoczyła ta odpowiedź.

– Postaramy się to odkryć. Strach, choć naturalny, będzie przeszkodą w walce z moją matką. Koszmary składają się z nieoswojonych lęków, takich, które mają zdolność nas paraliżować. Bardzo trudno je okiełznać, mnie samemu nigdy się to do końca nie udało. Ale z wami może być inaczej, jesteście oboje młodzi... w pewnym sensie. Macie mnóstwo czasu.

– Wcale nie – odrzekł Callen. – Prawie go nie mamy. Im dłużej Finfolk jest pogrążone w koszmarze, tym głębiej on w nas wnika.

– Dobrze, że to zauważyłeś – wtrąciła March.

– O co ci chodzi? – Chłopak odwrócił się w jej stronę.

– O to, że ostatnio ty – odparła – i ty też – spojrzała na kota – nieszczęśliwie staraliście się walczyć z kłątą. Zupełnie jakbyście o niej zapomnieli.

– Przecież ciągle to robimy – stwierdził Piątek. – Powoli, to prawda, ale...

– Trzeba robić to szybciej – przerwała mu. – Jest jakiś sposób na przyspieszenie sprawy? Jeśli w grę wchodzi zabicie Wyrd, to proszę... – Zawahała się nagle i przybrała inną minę. – To znaczy nie chcę nikogo zabijać, nie jestem...

– Istnieje pewien sposób, by przełamać wszystkie kławy mojej matki – oświadczył Isinbir. – Ba, można osiąść nad nią władzę, jeśli zdobędzie się jej tajemne imię. Co jest prawie niemożliwe i bardzo niebezpieczne.

– No właśnie, tajemne imię! – zawołał Callen, rzucając w stronę March, która już otwierała usta: – Potem ci wyjaśnię. Skoro mówisz, że to niebezpieczne – zwrócił się ponownie do ojca – to znaczy, że wiesz, jak to zrobić?

– Wyrd ukryła je w Puszczy Krzyków. Imienia pilnuje monstrum ściśle z nią powiązane, ale nie wiem, w jaki sposób. Nie wiem nawet, jak wygląda, i lepiej sobie tego nie wyobrażać.

To jeszcze mocniej pograżyło ojca w oczach Callena. A więc Isinbir wiedział, gdzie Wyrd ukryła swoje imię, i nadal nie próbował z nią walczyć? Był tchórzem.

– Nie wiem, jak można ukryć imię – powiedziała March – i co to w ogóle znaczy. A o jakiejś puszczy słyszę po raz pierwszy.

– To najniebezpieczniejsze miejsce w całym Jaarze – odrzekł Isinbir. – Powstała jeszcze przed ferami, w początkach Zielonej Ery, pierwszej w dziejach tego świata, i lęgną się w niej najobrzydliwsze istoty, jakie można sobie tylko wyobrazić.

– Wiem, jak tam przejść – oznajmił cicho, ale z wyraźną dumą Piątek.

– Oszalałeś?! – zagrzemiał nagle Isinbir. – Nie wazcie się tam przenosić! Chyba nie przyszłoby wam do głowy coś podobnego! Ciebie – spojrzał na syna – bez magii czeka tam pewna śmierć.

– Bez magii? – prychnął Callen. – Nie jest taka najgorsza. W końcu zaklęcie, które miało pomóc cię znaleźć, podziałało.

Urwał. Ale było już za późno.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Bolały go oskarżycielskie spojrzenia, jakie posyłali mu March i Piątek, takie same jak wtedy, gdy stał przed namiotem wieszczki. Choć właściwie mieli do nich prawo, póki nie rozumieli, dlaczego ukrył przed nimi swoje zaklęcie. Ojciec nie zmienił wyrazu twarzy, wciąż był zamyślony i spokojny.

– To nie tak, że chciałem tworzyć jakieś tajemnice – zaczął tłumaczyć Callen. – Nie przyznałem się do swoich planów, bo po prostu... nie mogłem... nie umiałem... – Tak trudno było mu o tym rozmawiać w obecności ojca. – Nie byłem gotowy, żeby się tym dzielić.

– Jakie rzuciłeś zaklęcie? – spytał Piątek.

Zamiast mu odpowiedzieć, Callen zwrócił się do Isinbira:

– Myślisz, że zdołałbym cię znaleźć bez pomocy magii?

– Przypuszczałem, że jej użyłeś – odparł ten – ale wolałem o to nie pytać. W pewnym momencie rodzice nie powinni zadawać swoim dzieciom niektórych pytań, jeśli wolą nie znać odpowiedzi.

– Och, tylko nie rób z siebie tatusia – warknął chłopak. – Trudno mi nazwać cię nawet ojcem.

Isinbir nie wyglądał na zranionego. Zresztą chyba powinien spodziewać się tych słów.

– Rozumiem – odparł cicho.

– Gównu rozumiesz – rzucił Callen. Jasny szlag, jak ten opanowany ton go denerwował. Isinbir wydawał się zbyt spokojny, jakby nic z zewnątrz nie miało na niego żadnego wpływu. Albo do perfekcji opanował własne nauki, albo udawał.

– Może i nie jestem najlepszy, ale przynajmniej chcę pomóc – zauważył fer, za co chłopak obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

Piątek i March milczeli, jakby sądzili, że biorą udział w rozmowie, która powinna odbyć się bez nich.

– Tak, szukałem cię, rzuciłem czar, żeby cię znaleźć – zaczął znów Callen. – Sądziłem, że wyjaśnisz mi kilka spraw. Nigdy nie wierzyłem, że umarłeś. Nie dlatego, że nie chciałem w to wierzyć. W życiu zawiodłem się już nie raz, więc głupotą byłoby żywić jeszcze jakieś złudne nadzieje, mieć iluzje, że może być lepiej. Zależało mi tylko na tym, żeby nie było gorzej, niż już jest, żeby w końcu się z tym wszystkim pogodzić. Rozumiecie – spojrzał na swoich towarzyszy – pogodzić ze swoją przeszłością. Poza tym dla ferów krew ma ogromne znaczenie, wpływa na to, kim jesteśmy, jest niemal jak dusza. Chciałem w pełni odkryć swoją tożsamość.

Pokręcił głową i zrezygnowany usiadł na kanapie, uprzednio zrzucając z niej brudny koc.

– Ale ciągle istniało podejrzenie, że mi się nie uda. Na dobrą sprawę niepowodzenie było bardziej prawdopodobne od sukcesu. Właśnie dlatego wam nie mówiłem. Wolałem uniknąć niepotrzebnej litości, poklepywania po plecach, w razie gdyby się nie udało.

Mówił to wszystko tylko do Piątka i March; jedynie im musiał się tłumaczyć.

– Wiesz, że ja jestem daleka od poklepywania ludzi po plecach – zauważyła dziewczyna. – A już na pewno nie wierzę w żadne lepsze jutro i takie tam.

– Ja też nikogo nie poklepuję – dodał kot. – Zresztą to chyba nie wypada.

Callen zaśmiał się, po czym ze wzrokiem utkwionym we własnych butach mówił dalej:



– Tyle że mnie się udało, czar zadziałał. Pamiętacie tamtą wróżkę? Ona dała mi adres ojca, ale przedtem wygłosiła przepowiednię.

Isinbir zmarszczył czoło.

– Wróżkę?

Chłopak nie zwrócił na niego uwagi.

– Nie mówiłem wam, co mi powiedziała.

– Nie żeby nas to specjalnie interesowało – odparła March. – Jakbym miała gdzieś zasięgnąć rady, to na pewno nie w tarocie.

– Ona nie używała tarota. Miała szklaną kulę, choć na dobrą sprawę wydaje mi się, że nie musiała używać niczego.

Callen przypomniał sobie głębokie spojrzenie wieszczki, jej dłonie unoszące się nad kulą, jej głos, który od chwili spotkania często pobrzękiwał mu w głowie. Umiał odróżnić fałszerzy od osób z prawdziwym darem. Tak, tamta kobieta miała dar, a to, co mówiła, nie brzmiało jak zwyczajna przepowiednia, bardziej jak wyrocznia.

– Posłuchajcie sami – powiedział, wyciągając zza koszulki zawieszony na wisiorku amulet. Gdy go otworzył, kryształ zajaśniał jasnofioletową energią, wzbił się w górę, a ze środka dobiegł głos, który powtórzył zasłyszaną przez chłopaka przepowiednię.

Długo nikt się nie odzywał. Isinbir trwał w najgłębszym zamyśleniu, Piątek również mrużył oczy, jakby niepewny, co o tym wszystkim myśleć. Poprosił chłopaka, by jeszcze raz odtworzył słowa wróżki, co chyba niewiele pomogło. Najmniej rozumiała March.

– Brzmi to dla ciebie pewnie jak... – zaczął Callen.

– Dyrdymały, zgadza się – odparła. – Ale wcale nie mówię, że to nic nie znaczy. Po prostu nie wiem. Wiem, że nic nie wiem – dodała, patrząc na Isinbira z nagłą złośliwością – i takie tam...

Ale fer jakby tego nie usłyszał.

– Szukasz jednej rzeczy, ale musisz znaleźć trzy... – powtórzył. – Które przychodzą w czterech krokach.

– Jedna z nich przychodzi w czterech krokach – poprawił go Callen. – Tak, liczby wprowadziły tu trochę zamieszania, ale już to przeanalizowałem. Liczbą tej przepowiedni jest siódemka.

Piątek machnął ogonem.

– Jak ci to wyszło?

– No zobacz. – Callen zaczął liczyć na palcach. – Mamy trzy cele, jeden z nich zawiera w sobie czwórkę, a trzy plus cztery to siedem.

– Hm... można by to też pomnożyć, prawda? – stwierdził kot. – Trzy razy cztery, a to będzie dwanaście.

– Zaraz – March powstrzymała ich przed dalszym liczeniem.

– Pewnie za moment obmyślicie jakiś wzór, ale czy to ma znaczenie, wszystkie te cyfry?

– Owszem, ma – odparł Piątek. – Zgodnie z teorią analizy dywinacyjnej hrabiego de Saint-Roi w przepowiedniach należy szukać trzech podstawowych rzeczy: obrazów, symboli i liczb. Ja się nie do końca z tym zgadzam, bo wszystko to są symbole, łącznie z obrazami i liczbami, a te ostatnie są w ogóle pokręcone, bo niby skąd wiedzieć, jakiej symboliki użyć do interpretacji wróżby?

– Ustala się to indywidualnie – przypomniał kotu Callen. – Na podstawie kultury, przekonań i tak dalej.

– Ale hrabia musiał dodać coś do tego, co wszyscy już wiedzieli, inaczej nie nazwaliby jego wywodów teorią – stwierdził Piątek.

March posłała pytające spojrzenie Isinbirowi. Fer wzruszył ramionami.

– Ludzkie teorie dywinacyjne – prychnął. – Czarownice i magowie zawsze chcą wymyślać koło na nowo. Fery po prostu rozumieją przepowiednie zamiast je interpretować.

– Jak jesteś taki mądry, to mi powiedz, co miała oznaczać *moja przepowiednia* – ofuknął ojca Callen.

– Była twoja, ty musisz ją zrozumieć. Nie sądzę jednak, by chodziło o liczby. Zastanówmy się nad kolorami. Czym jest ta szkarłatna rzecz, dzięki której masz osiągnąć wszystkie pragnienia?

– Od samego początku podejrzewałem, że chodzi o krew – odparł chłopak bez wahania. – Krew ferów. Tym bardziej że cała ta wróżba jakoś wiąże się z March.

– Niby dlaczego? – przeraziła się dziewczyna.

– *Trzeci krok trzeba zrobić komuś, kto kroczy razem z tobą* – wyrecytował Callen z pamięci. – Musi chodzić o ciebie. Poszukiwałem swojego ojca, swojej przeszłości, swojej krwi, na drodze spotkałem ciebie i bez twojej pomocy nigdy bym nie dotarł do miejsca, w którym jestem teraz.

Nie liczył na to, że March obleje się na te słowa rumieńcem. Właściwie to bez przerwy czuł się winny tego, że ją w to wszystko wciągnął.

– A więc to ja mam zrobić coś za ciebie, tak? – odparła. – Nie powiem, żebym się zdziwiła.

– Kolejny cel to coś, czego jesteś świadom – wrócił do analizy Piątek. – Chodzi o...

– O mnie, oczywiście – wtrącił Isinbir, zakładając ramiona na piersi. – To ja jestem tym, co cię zawiodło.

Callen miał wrażenie, że ojciec mógłby przeświecić go na wylot. Nie miał jednak nic do ukrycia. Nie musiał udawać wielce dumnego z ojca, bo wcale nie miał powodów do dumy.

– Zgadza się – przyznał bez zakłopotania. – *Każdy sen czmycha przed twardym kamieniem tego świata*. Gdy tylko cię zobaczyłem, moje iluzje się rozwiały.

– A myślałeś, że kogo zastaniesz? – drążył fer. – Kogoś dumnego, silnego? Nie mógłbym przed tobą udawać, i nie tylko dlatego, że wystarczy spojrzeć na to mieszkanie, by

domyślić się prawdy na mój temat. Tak – westchnął i zaczął mówić już nie tylko do syna, ale do wszystkich: – Dość udawania. Muszę przyznać, że March była bardzo taktowna, ani razu nie dając mi odczuć, co sobie o mnie myśli. No, przynajmniej tego nie komentowała. Nie chciałbym usłyszeć, że zupełnie straciłem kontrolę nad swoim życiem. Tak oczywiste prawdy bołą najbardziej. Wiem, że stałem się nikim, ale ty mimo wszystko próbowałaś sprawić, bym tego nie odczuł. Może zresztą kryje się w tym część twojej siły, w tej delikatności.

Naraz March wydała się urażona.

– Nie jestem delikatna – oznajmiła, szybko zaciskając wargi.

Isinbir tylko się zaśmiał i wrócił do tematu przepowiedni, pozostawiając ich w poczuciu uciętej dyskusji.

– Więc co, wiemy już, że poznanie mnie było drugim celem z twojej przepowiedni, tym, który cię nie zadowolił, ale który musiałaś osiągnąć. Ale może kryje się w tym coś głębszego, może w opowieści o twojej matce jest coś, co rzuci nowe światło na słowa wieszczki?

Spokojny wzrok fera spoczął znów na Callenie.

– Już o tym myślałem – odparł chłopak – i nie znalazłem niczego takiego, aż do dziś.

– Tajemne imię, oczywiście – wtrącił Piątek. – Zarówno przepowiednia, jak i to, co powiedziałaś nam o Wyrd, nie pozostawiają wątpliwości. Ale zaraz... jak to szło? „Imienia tajemnego szukaj w...”

– *W mrocznych odmętach ryczy przekleństwo dawno tam już uwięzione – wyrecytował Callen. – Głód jego zaspokojono, karmiąc go jego własną naturą. Lecz ono znów pragnie ofiary, gdyż ta, co je powołała, rozbudziła je znowu bezwiednie. Sama siebie przeklęła jako stwórczyni jego i wróg zarazem najsroższy. On był jej dziecięciem, a wykradł jej dziecko. Imienia tajemnego szukaj w miejscu narodzin.*

Piątek wsłuchiwał się w te słowa z uwagą, myślał nad nimi przez kilka chwil, aż nagle zeszywniał.

– Sen o apokalipsie – wyszeptał. – On wrócił. Potwór...

– No nie, błagam cię! – prychnął Callen. – Znow się upierasz? Przecież to bez sensu.

– O czym wy mówicie? – spytała March.

– O niczym – odrzekł szybko chłopak. Kot coraz bardziej działał mu na nerwy. Już od pierwszej chwili, gdy zaczął opowiadać o swoim śnie i porównywać go ze starą opowiastką, którą przekazała mu Cleto, Callen musiał go zbywać. Jakim cudem nadal twierdził, że ta historia ma coś wspólnego z rzeczywistością, a przy tym próbował na siłę dopasować ją do przepowiedni, trudno było powiedzieć.

– Zajmijmy się tym, co najważniejsze – zaproponował Isinbir.

Wszyscy jak na zawołanie odwrócili się w jego stronę. Nawet Callen, choć nieustannie zły na ojca, jakby ten zadał mu ranę, która nie chciała się zabiżnić, wciąż miał nadzieję, żefer wpadnie na coś, na co dotąd nie wpadł on sam. A może tylko pragnął, by choć raz jego ojciec w czymś go wyręczył. Żeby choć przez chwilę *był* jego ojcem – takim, jakiego dawniej go sobie wyobrażał. Jednak Isinbir powiedział tylko:

– March, zapraszam do pokoju. Pora na ćwiczenia.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

– Poczuj siebie.

Isinbir wydał jej to polecenie, ledwo zamknął drzwi swojego pokoju. Znów jego słowa zabrzmiały dla March zbyt prosto, więc natychmiast zaczęła szukać w nich drugiego dna. *Poczuj siebie*. O co mu właściwie chodziło?

Nie dopytywała. Pamiętała, jak w Mieście Snów o to samo prosił ją Hypnos. Usiadła na łóżku i zaczęła wędrować myślami po własnym ciele, zaglądając w każdy jego zakątek, powoli rozluźniając mięśnie. Najpierw zajęła się złością, którą jeszcze do niedawna żywiła do Isinbira. Sądziła, że ta ulotniła się, gdy rozmawiali o przepowiedni Callena, ale teraz, gdy wrócili do pokoju fera, znów się pojawiła.

March poświęcała uwagę każdej części ciała po kolei. Unikała tylko brzucha. Nie lubiła skupiać się na nim zbyt długo. Wystarczyła chwila, by poczuć płynącą z niego złocistą moc. Dłuższe badanie go prowadziło do bólu lub wizji, a tych ostatnich miała serdecznie dość.

– Co widzisz? – spytał fer.

– Co widzę? – powtórzyła ze zdziwieniem. – No... poczułam już siebie. Mam skrzyżowane nogi, siedzę na twoim łóżku, a nosem wdycham alkohol.

„Piłeś wczoraj? To nie fair wobec Callena” – już chciała dodać. Zresztą fer chyba to wyczuł.

– Nie, nie. Wcale nie o to chodzi – rzucił nerwowo. – Miałaś poczuć *siebie*. To, co mówił mój syn o przepowiedni, że ty

masz wykonać jakiś krok... Nie wykonasz go, póki nie poznasz siebie.

*Aha, więc musi chodzić o wewnętrzne Ja* – stwierdziła. Powędrowała myślą w stronę czoła. Nie wiedziała czemu, ale zdawało jej się, że właśnie tam mieszka jej wyższe Ja. Trudno było jednak powiedzieć, czy je czuła. Jeśli faktycznie tam było, to... po prostu było. I tyle.

– Co widzisz? – spytał znów Isinbir.

– Nic – odparła, nim zdołała się powstrzymać.

– Świetnie.

Otworzyła oczy.

– Co?

– Świetnie – powtórzył fer. – Nic to zawsze coś, a na pewno lepsza odpowiedź niż ta z nogami i łóżkiem. Chodzi tu o szczerość. Musisz zajrzeć w siebie, zbadać to, co się znajduje w środku, i umieć przyznać przed samą sobą, co zobaczyłaś. Można obejść cały świat, lecz jeśli nie poznało się swojego wnętrza, to tak, jakby nie wiedziało się niczego. Wierzę, że ty faktycznie niczego jeszcze nie wiesz, co dobrze rokuje.

– Bo skrywam w sobie głębię, którą muszę odkryć, tak? – skomentowała znudzonym tonem, pewna, że brzmi to jak cytat wyjęty słowo w słowo z jakiegoś filmu.

– Dokładnie tak! – zawołał Isinbir. – Stare magiczne nauki mówią, że każdy z nas nosi w sobie wszechświat i choć nie mamy dostępu do wszystkich tajemnic, które kryją się na zewnątrz, w każdej chwili mamy dostęp do tego, co jest w nas samych. Czyli tak naprawdę bez przerwy mamy dostęp do wszystkiego.

Westchnął, przybierając minę, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał.

– Ustaliliśmy więc, że nie czujesz się najlepiej – oznajmił wreszcie, co po dwóch godzinach ćwiczeń nie zabrzmiało zbyt



odkrywczo. – Zadziwiające, jak długo udawało ci się to ignorować.

March otworzyła usta z mieszaniną zdumienia i oburzenia.

– Wcale tego nie ignoruję! – zaprotestowała. – Przecież o tym wiem!

– A jednak nic z tym nie robisz, nawet nie żyjesz z tym uczuciem, bo nie poświęcasz mu dość uwagi; pozwalasz mu sobie być, co samo w sobie nie jest złe, ale jako czarownica powinnaś mu się przyjrzeć, oswoić je i zrozumieć, a potem... pozwolić mu być lub się go pozbyć, albo dać mu życie gdzieś poza codziennością i przywoływać, gdy będzie potrzebne.

– Tego nie da się zrobić. Uczucia to nie zwierzęta.

– Uczucia są tym, czym sprawimy, by były. Może psychologia tego nie uczy, ale magia na pewno. Ale nim do tego przejdziemy, musimy ustalić, skąd się biorą twoje uczucia.

March westchnęła z głęboką dezaprobatą. Miała wrażenie, że wciąż zajmują się oczywistościami.

– Czy naprawdę mam to tłumaczyć? – odparła. – Jak *ty* byś się czuł na moim miejscu? Skrzydlaci chcą mnie zabić, moja matka nie pamięta, kim jest, mój ojciec nie żyje, a ja tkwię między światami magii i normalności. Chyba to nie najlepszy stan na kogoś, kto ma siedemnaście lat, no nie?

– O, właśnie o to chodzi. – Isinbir uniósł palec. – Nazwałaś te rzeczy, choć pod koniec zaczęłaś się nieco użalać. No i nie oddzielałbym magii od normalności, zwłaszcza że to magia jest twoją normalnością.

– Nazwałam je, i co z tego? Miałaś pomóc mi się wydostać z tej sytuacji, a nie ją nazywać.

– Póki czegoś nie nazwiesz, nie wydostaniesz się z tego, bo niby jak? Poza tym ty zwróciłaś uwagę na to, co zewnętrzne, a to tylko połowa problemu, a nawet nie połowa, tylko niewielka jego część. To, co zewnętrzne, to jedno, ale naprawdę liczy się nasza reakcja, to, co w środku, *podejście*.

A to zawsze zależy od nas samych. Chcę, żebyś sięgnęła głębiej, bo skoro tam leży problem, to i tam jest klucz, by go rozwiązać.

– Nie – odparła ostro March. – Klucz znajduje się w Puszczy Krzyków, sam to mówiłeś. Ale skoro tylko to możesz mi zaoferować, proszę bardzo.

Zamknęła oczy i ze złością położyła ręce na kolanach. Miała ochotę zacząć mrużyć pod nosem jakąś mantrę, byle tylko zagłuszyć wyraźną obecność fera. Zaczęła ściągać z siebie kolejne warstwy, tak jak uczono ją tego w Aislingen. Przypominało to kopanie w ziemi, brudnej i suchej. *Czuję się źle, czuję się źle* – powtarzała, jednocześnie pytając siebie, dlaczego tak jest. I choć odpowiedź leżała pod nosem, choć właśnie podała ją Isinbirowi, fer chciał więcej. Więcej i więcej. W takim razie proszę bardzo, mogła sobie...

I nagle coś zobaczyła. W ciemności zajaśniał złoty kluczyk. *Klucz...* No tak, podświadomość robiła sobie z niej żarty. Mimo to March sięgnęła po niego wyobrażoną dłonią i gdy tylko poczuła jego zimną, twardą strukturę, wróciły wspomnienia.

Śmiech, szydarczy, złośliwy, czyjeś ręce na jej plecach, które pchnęły ją z całej siły, brudna, śmierdząca gleba wypełniająca usta. I dalej ten śmiech... śmiech... śmiech...

W dzieciństwie nie lubiła się śmiać. Potem miała wrażenie, że musi się tego uczyć, musi nauczyć się, że śmiech nie zawsze równa się tamtemu okrutnemu, pełnemu pogardy, który słyszała wtedy, gdy miała osiem lat. Starsze dzieciaki ukradły klucz do mieszkania – matka wieszała go jej na szyi niczym amulet na szczęście, połyskiwał i brzęczał, gdy biegła na szkolne zajęcia. A oni wyrwali go, wyrzucili w parku i gdy już miała się po niego schylić, ktoś wepchnął jej twarz w ziemię.

Płakała. Wtedy. Ale teraz też. Nie miała ochoty dłużej grzebać ani w tej ziemi, ani w tych wspomnieniach. Po co? Po

co miała to robić, dlaczego Isinbir ją do tego zmuszał?

Otarła szybko łzy, a gdy otworzyła oczy, nie okazała słabości, jedynie złość.

– To niepotrzebne, rozumiesz?! – zawołała. – To nie ma nic wspólnego z Wyrd!

– Zobaczyłaś smutne wspomnienia? – spytał spokojnie fer. Gdyby dodał jeszcze: „Nie musisz o tym opowiadać, jeśli nie chcesz”, zabrzmiałoby to superpodręcznikowo. – Bo jeśli tak, to ma to *wszystko* wspólnego z Wyrd. Zrozum, ja nie będę szukać tych wspomnień, ale ona tak, i jeśli ty sama ich nie okiełznasz, nie sprawisz, że staną się twoją mocną stroną, ona uczyni z nich twoją słabość. Skoro jednak należą do ciebie, ty masz kontrolę.

– Niby jak mam mieć kontrolę? – spytała March, nagle znów bliska łez. – Wtedy jej nie miałam.

Isinbir uśmiechnął się, co znów ją rozzłościło. Zacisnęła pięści, choć wiedziała, że nie śmiał się z niej. Ale był teraz daleko... tak daleko od niej... Nie mógł niczego zrozumieć.

– Mylisz się – powiedział. – Zawsze mamy kontrolę. Inni ludzie, jakieś sytuacje, to wszystko może nas krzywdzić, losem faktycznie nie możemy rządzić, nie w pełni. Ale zawsze możemy przejąć kontrolę nad sobą.

Urwał, dając jej czas na przetrawienie tych słów.

– Spójrz – dodał po chwili. – Jeśli ktoś cię zranił i chciał uczynić z ciebie ofiarę, to wciąż od ciebie zależy, czy się tą ofiarą staniesz. Ostateczna decyzja zawsze jest po twojej stronie. Dlatego mówiłem: nie użalaj się nad sobą, nie rób z siebie ofiary, nawet jeśli wszyscy inni będą ją w tobie widzieć, nawet jeśli będą to robić ze współczuciem.

Westchnął.

– Wiem, ludzie dużo dziś mówią o... delikatności, o tym, by nie mówić wprost tego, co się myśli, ale jeśli nikt inny nie chce

kopnąć cię w tyłek, musisz zrobić to sama. Bo płaczem i użalaniem się nad sobą niczego nie zdołałaś.

– Wcale się nie użalam!

– A właśnie że użalasz! – Isinbir szturchnął ją palcem. – Tylko że u ciebie to zamienia się w złość. Wciąż jesteś na coś zła. Na to, że cię tu wepchnięto, że musisz sobie radzić z magią, że masz takie życie, jakie masz. Mówisz, że to nie twoja wina, może wina kogoś innego? No i co z tego? Pomogło? Zwalanie odpowiedzialności na innych ci pomogło? To może chcesz, żeby inni się tym zajęli? Taka z ciebie wiedźma?

– Odwal się! – warknęła.

– Nie, nie odwalę się, bo ja naprawdę chcę ci pomóc. Dlatego bierz dupę w troki i rób swoje.

March spojrzała na niego zaszokowana.

– Myślałam, że książęta nie używają takiego słownictwa – oznajmiła.

– Książęta może nie, ale pijacy na pewno – odparł. – No co? Musimy zachować jakieś konwenanse, prawda?

Jego wątpliwy, w gruncie rzeczy nawet smutny żart nieco rozluźnił atmosferę. March ponownie zamknęła oczy i wróciła do wspomnienia. Wcale nie bolało teraz mniej, ale wchodząc w nie z własnej woli, poczuła choć odrobinę kontroli.

Chciała ich wszystkich zniszczyć, pozabijać; nieraz gdy czytała o strzelaninach w amerykańskich szkołach, miała wrażenie, że rozumie sprawców, bała się nawet czasem, że i z nią jest coś nie w porządku, skoro nie umiała wykrzesać współczucia dla niewinnych ofiar. Ale nie chodziło o tamte sytuacje, zawsze chodziło o *jej* sytuację. A ona nie szukała zemsty, nigdy się nie zemściła. I może na tym polegało jej zwycięstwo. A może po prostu była słaba, nie potrafiła się mścić? A może...

*A może... A może... A może...*

Jej umysł zatrzymał się na tych słowach i powtarzał je jak mantrę, której przecież szukała, podczas gdy wewnętrzne oczy otworzyły się na kolejne wspomnienie.

Znów była dzieckiem, a przynajmniej tak się czuła, bezbronna, zamknięta w ciasnym pomieszczeniu, w którego bezpieczne ściany gwałtownie niczym wzburzona woda uderzał z zewnątrz obcy świat. Dusiła się, pogrążona w ciemności, próbując po omacku znaleźć klamkę. Mimo to, gdy wreszcie – rozpaczliwie sunąc dłonią po zimnej powierzchni – na nią natrafiła, wcale nie wyszła na zewnątrz. Za bardzo się bała. Pomieszczenie mogło być ciasne, ale przynajmniej znajome, a to, co poza nim, stanowiło zagadkę.

Nagle w ciemności zaśniły dwa prostokątne kształty, wyrosły na dwóch ścianach naprzeciw siebie, zalewając jej więzienie mdłym światłem.

– Lustra? – szepnęła zdumiona. Wizja była tak żywa, że March nie była pewna, czy słowo wypowiedziały jej fizyczne, czy *astralne* usta.

Spojrzała w pierwsze z luster. Zobaczyła w nim siebie taką, jaka była w dniu, gdy opuściła świat ludzi. Zwyczajna dziewczyna. Dziewczyna, która nie lubiła samej siebie, to fakt, z zawsze nachmurzonym czołem, jakby podświadomie próbowała wszystkich od siebie odtrącić, w wygodnych butach i spodniach, zawsze gotowa do ucieczki z miejsc, które jej nie zadowalały. Czarny T-shirt, czarne włosy, nawet paznokcie pomalowane na czarno. *Pozerka* – pomyślała, a przynajmniej tak by o sobie powiedziała, gdyby nie była sobą.

Za jej plecami ukazało się kilka osób. Najbliżej stała Emma Sky. Jej widok poruszył dziewczynę, jednak ostudziła emocje: to, co widziała, było przecież tylko iluzją. March nie do końca rozumiała wyraz twarzy matki, tak jak zawsze mieszały się w nim troska i niezadowolenie. To, że Emma nigdy nie mówiła o tych rzeczach wprost, tylko oddalało ją od córki. Tuż obok

niej stała Isel. Ręce trzymała w kieszeniach, spojrzenie wbiła w stopy, a z jej aury płynął jak zwykle ten sam przekaz: jakby zarazem chciała, by do niej podejść, ale tak bardzo się bała, że ktoś odpowie na to błaganie, że wołała zawczasu temu zapobiec.

Dalej stał Billy Hopkins z podłym uśmieszkiem. Widząc go, March poczuła nagły przyptyw gniewu. Gdy jednak zza pleców chłopaka zaczęły wychodzić kolejne osoby, była zdolna jedynie stać niczym sparaliżowana i patrzeć, jak zbliżają się do ram lustra, stają naprzeciwko niej i kładą dłonie po drugiej stronie szklanej tafli. Napierały na szkło, jednocześnie napierając na March, jakby chciały ją wypchnąć, dać do zrozumienia, że nie pasuje do ludzi, których widzi. Pod naporem ich rąk lustro pękło; March krzyknęła, zakrywając twarz, ale odłamki jej nie ugodziły. Na tafli powstała jedynie gruba, podłużna rysa, a obraz w lustrze zgasł.

Odwróciła się ku drugiemu zwierciadłu. Widok, jaki się w nim ukazał, był jak najcudowniejszy sen w najmroczniejszym koszmarze. Widziała pejzaż Elphame, wysokie kwiaty wzbijające się ku niebu otwierały się i zamykały, raz po raz wypuszczając nasiona, które delikatnie opadały na ziemię i natychmiast wzrastały, tworząc nowe barwy.

Wyciągnęła dłoń. To był świat, do którego chciała należeć. Dotknęła lustra, które odkształciło się niczym pajęczyna. Powoli wychynęła z niego długa, cienka gałązka, która oplótła się wokół dłoni March. Przez chwilę dziewczyna sądziła, że to przyjazny gest magicznego świata, jednak roślina nagle zacisnęła się tak mocno, że March syknęła z bólu. Gałąź próbowała wciągnąć ją do zwierciadła, lecz już nie do pięknego świata, który przed momentem znajdował się w środku. Teraz w lustrze rządziło inne miejsce: kolorowe kwiaty ustąpiły wysokim, ponurym drzewom, niebo barwiło się na

krwistoczerwono, a między konarami rozbłysły szkarłatne oczy.

Gałąź wciąż ścisnęła jej dłoń, March nie była w stanie się wyrwać, a postać spomiędzy drzew szła w jej kierunku, ciężko dysząc. Była ludzka, choć nie do końca. Miała w sobie coś, co kojarzyło się z wilkiem. Warczała, z jej ust ciekła ślina, a każdy krok jej potężnych łap sprawiał, że serce dziewczyny drżało.

– Puść! – rozkazała gałęzi, sądząc, że to, co kieruje jej ruchami, na pewno zrozumie.

Ciągnęła coraz mocniej, czując narastający ból. Monstrum z lustra z każdą chwilą stawało się wyraźniejsze. Jego aura, prawdziwsza od aur osób, które March widziała przed chwilą, zagarniała całą przestrzeń, warczenie rozlegało się już nie tylko w uszach March, lecz również wewnątrz jej głowy, wewnątrz całego jej ciała. Czerwone ślepia kurczyły się miarowo i rozszerzały. Nagle potwór się zatrzymał. Dziewczyna usłyszała okropny odgłos przemieszczających się kości, monstrum zrzuciło połataną szlafmycę i przybrawszy kształt wilka, rzuciło się na nią, uderzając o lustro i je rozbijając.

March osłoniła się ręką; energia w jej brzuchu rozbłysła, uwalniając drzemiacą tam kulę ciemnej materii. Mrok rozlał się na ciało dziewczyny, ścisnął jej wnętrzności, wywołując potworny ból. Krzyczała z całych sił, nie wiedząc, czy ostre pazury namhajda rozrywają jej ciało, czy też umiera, ulegając samozapłonowi, którym ją kiedyś nastraszone. To się nie liczyło, nie była w stanie myśleć, nie była w stanie działać, błagała tylko – sama nie wiedząc kogo lub co – by to się skończyło. Jeśli miała umrzeć, niech umrze. Ale niech to się skończy, niech ból minie!

I minął.

Prośba, której nie umiała wypowiedzieć, powędrowała najwyraźniej do kogoś, kto potrafił ją zrozumieć.

Ciemność nie rozpięzchła się jednak, choć teraz nie była już tak gęsta, przybrała odcień ciemnego granatu. Powietrze nagle stało się rześkie, a March klęczała, czując pod kolanami twarde kamienie i jakiś niezwykle miękki materiał.

Zdumiona spojrzała w dół, przejechała rękami po własnych nogach, zdając sobie sprawę, że to ona obleczona jest w ten materiał. Spróbowała wstać, a wtedy poczuła nagły ruch za plecami. *Na plecach, zupełnie jakby...*

Czas stanął. Otworzyła szeroko usta. To nie mogło być prawdą, ale...

Raz jeszcze poruszyła dłońmi, nogami, głową...

I skrzydłami.

*Skrzydła! Miała skrzydła!*

Nagle wszystkie myśli wyparowały jej z głowy. *Ja*, które znała, March Sky, wyfrunęło niczym ptak, zostawiając jedynie niewielki ślad, niezdolny, by kontrolować ciało, lecz zdolny do obserwowania tego, kim teraz była: ferinią. Wniknęła w nią nowa tożsamość, a wraz z nią nowe wspomnienia i nowa wiedza.

Ferini wiedziała, że światła, które dostrzegła nagle między drzewami, pochodzą z setek pochodni, że jej skrzydła zostały zaklęte tak, by nie mogła wzbić się w powietrze. I że musi walczyć o życie. A March wiedziała, że to życie jest już stracone.





## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Pędzili za nią. Czuła na sobie ich oddechy, wściekłe, pełne otumaniającej pasji. Snuły się wśród drzew jak energie, przyłgnęły do jej aury, osłabiając ją i brudząc.

– Matko – szeptała błagalnie. – Pomóż mi, matko!

Ale zapach krainy ferów, choć wciąż go czuła, przestał prowadzić ją do domu. Nie była w stanie go uchwycić, pozwolić mu się przenieść jak magicznemu portalowi. Przysłaniały go strach i gniew, lecz to nie one blokowały ferinię. Ludzkie moce, nawet najpotężniejsze, nie miały nad nią władzy. Coś innego ją tu więziło, coś w aurze tego lasu. To istniało w każdym drzewie, w ziemi. To był duch tego miejsca. Dlaczego chciał ją zabić? Przecież należał do niej, do nich, do ferów!

Raniła sobie dłonie, gdy rozpaczliwie uciekając, odchyłała cienkie gałązki drzew. Tylko instynkt kazał jej gnać przed siebie, bo dusza już wiedziała. Nie wyjdzie z tego cało. Las zamykał się, znalazł sposób, by ją poskromić, doprowadzić do miejsca, które wybrał duch, zrobić to, co lasy potrafią najlepiej – zgubić ją.

Jej prześladowcy krzyczeli. Każdy ich kolejny wrzask wzmagął osłabiający ją strach. Nie było zmysłu, którym nie odbierałaby nienawiści tych ludzi – uczucia, które dotąd było jej obce, za to teraz wibrowało w całym lesie, skierowane jedynie do niej. Bo miała stać się ofiarą, ofiarą za nie swoje winy.

*Dlaczego? Dlaczego?* – powtarzała wciąż w myślach. Nie pamiętała, jak się tu znalazła. Spętana zaklęciem

zniewalającym zmysły, opuściła Aislingen, a gdy odzyskała pełną przytomność, była już tutaj, ze skrzydłami pokrytymi niewidzialną substancją, niepozwalającą jej wrócić. Czy ludzie mieli dość mocy, by ją tu przywołać? Nie, to niemożliwe. Czy więc to jej własni bracia i siostry wysłali ją tu na pewną śmierć?

Ta myśl poraziła ją jak cios, jak klątwa. Ferini upadła, a gdy odwróciła się za siebie, niemal oślepta od świateł gwałtownie tańczących pochodni. Już miała wstać i biec dalej, gdy skądś rozległ się głos:

– Poddaj się.

Nie był ani męski, ani żeński. Dochodził zewsząd. Niosły go wiatr, szumiące drzewa, drżenie ziemi, trzask ogni w pochodniach. *Poddaj się, poddaj się, poddaj się...*

A ona... zrobiła to.

Może dlatego, że nie miała sił, by dalej walczyć, może dlatego, że nie widziała w tej walce sensu. Dość, że pozostała na ziemi, czekając. Instynkt przetrwania niczym wściekły wilk walczył ze smutkiem, który zalał jej serce, zalał całą duszę. Nie ruszyła się. Chciała wierzyć, że to jej własna decyzja.

Rozszalały tłum się zatrzymał, krzyki zamilkły i teraz wszechzaległą w lesie ciszę przerywało jedynie groźne syczenie pochodni. Ludzie patrzyli na nią podejrzliwie, zapewne sądząc, że za jej gestem krył się podstęp. Długo trwało, nim z tłumu wyszło kilka osób. Powoli zmierzały w jej stronę. Na przedzie kroczył mężczyzna. Miał w sobie coś dzikiego i właśnie ta dzikość dodawała mu odwagi, czyniła z niego wodza małej, lokalnej społeczności Finfolk. Włosy miał zmierzwione, koszulę potarganą. Wyglądał, jakby mimo mieszkania w mieście nigdy nie pozbył się z duszy lasu.

Ich oczy się spotkały. Oczy fera i człowieka. W jednych i drugich czaiła się dzikość, w jej – ferza, magiczna, w jego – zwierzęca.

– Czego chcecie? – Pytanie wypłynęło z jej ust na przekór strachowi.

Nie odpowiedział. Nie musiał tego robić, bo ona wiedziała. Ze spojrzenia jego oczu wyczytała wszystko. O nim, o innych mieszkańcach, o całym Finfock. Mężczyzna stał się kanałem energii, przez który przepływała cała historia tego miejsca, każda kryjąca się tu emocja. On sam nie rozumiał magii na tyle, by być świadomym tych rzeczy, właściwie niemal wcale jej nie rozumiał, dlatego tak bardzo się bał. A jej, ferini, nienawidził. Czystą, najwyższą nienawiścią.

Mogłaby to wykorzystać. Nie zdawali sobie sprawy z jej ukrytej mocy. Rozumiała ich lepiej niż oni sami. Potrafiła sięgnąć po ich uczucia, wydobyć je, stworzyć z nich nic, którą oplotłaby ich umysły jak pajęczyną, a potem pożarłaby ich dusze jedną po drugiej. Już nieraz postępowała tak z ludźmi, bez wyrzutów sumienia, bez sentymentów. Ale teraz to nie oni byli jej zwierzyną, teraz role się odwróciły.

*Nie będę uciekać.* Skoro wszystko chciało jej śmierci, nie mogła dłużej się opierać. Widząc sznury w rękach niektórych prześladowców, wyciągnęła ręce. *Zabierzcie mnie, zniszczcie, skoro nadszedł mój czas.*

Z tłumu wystąpiły trzy kobiety. Ich zwierzęce maski zdawały się zrastać z szyjami, jak gdyby stanowiły coś więcej niż rytualny strój. Jedna miała maskę jelenia, druga kozła, a trzecia – barana. Szły w jej stronę. Nie bała się ich. Ich obecność była w pewien sposób kojąca, choć nie ulegało wątpliwości, że to właśnie one miały przynieść jej śmierć. Nic w tym dziwnego. Kobiety były wiedźmami, paniami tak życia, jak i śmierci.

Dwie z nich przejęły sznury od mieszkańców. Jedna uklękła u stóp ferini i obwiązała jej nogi, druga z tyłu zawiązała ręce. Trzecia nieustannie szeptała tajemne słowa. Niektóre z nich wyrzucała z siebie głośniej, jakby coś przywoływała.

Wykonywała przy tym gwałtowne ruchy, magiczny taniec. W pustych oczach barana zaśniły oczy wiedźmy. W bijącym z nich świetle ferini dostrzegła wiele rzeczy: dudniący wiatr, płomienie z wnętrza ziemi, wzbudzone wody oceanu i góry wypiętrzające się pośród pyłu, który pochodził wprost z gwiazd.

Były też duchy. O błękitnych jak wieczny ogień ciałach, jęczące cienie niepomszczonych ofiar lasu. Lasu, którego ukryte serce biło w Aislingen. Teraz przyszły, by zemścić się na ferini, by wyrwać życie z jej pozornie młodej piersi. Widziała je wyraźnie, duchy więźniów strasznej komnaty ukrytej w pałacu Wyrd. Wciąż okaleczone, nie umiały zrzucić z siebie kajdan dawnego życia. Pragnęły wzlecieć wysoko, ku samemu księżycowi, matki wszystkich dusz, by je oczyściła, przyoblekła w nowe, świetliste ciała. By jednak osiągnąć cel, musiały dokonać tej zemsty.

Tłum wiwatował, gdy – spętana i oniemiała za sprawą zaklęcia – nieśli ją daleko, niemal do miejsca, gdzie las ustępował już miastu. Może chcieli dokonać mordu na granicy dwóch światów, ferzego Miasta Snów i ludzkiego Miasta z Kamienia i Stali. Wyczuła to miejsce, jeszcze nim dostrzegła je fizycznymi oczami. Pachniało ludzką magią, czarostwem.

*Mallowayowie* – pomyślała i nagle wszystko stało się jasne. To miejsce należało do nich, do rodziny, której jej rasa poprzysięgła wieczną zemstę. Tylko oni mogli rzucić zaklęcie odbierające jej zmysły, bo właśnie oni dawno temu wycięli święty las, rozlali krew drzew. I tym samym rozlali krew ferów.

Zobaczyła kamienny ołtarz, ale nie tak, jak głupi, zaślepiony tłum. Ona zobaczyła go *naprawdę*. W rozedrganych cząsteczkach, które go tworzyły, tańczyła magia tak potężna, że chyba tylko sama Wyrd mogła z nią konkurować.

*Nie macie pojęcia, kim jestem* – powtarzała w myślach ferini, gdy kładli ją na ołtarzu. Krzyczała, jakby kamienny stół

płonął. Brzydziła się tymi czarami tak samo, jak mieszkańcami Finfolk. *Nie macie pojęcia, kim jestem.*

Nie mieli. Może właśnie dlatego nic nie powstrzymywało ich przed tym aktem.

Czarownice przywiązały ją do ołtarza, oplatając sznurami tak ciasno, że z trudem oddychała. Chciała napluć im w twarz. Nawet same wiedźmy nie w pełni rozumiały magię tego ołtarza, tego, jakim przekleństwem był dla ferów, a jaką świętością dla rasy ludzkiej. Ta magia mogłaby ich wszystkich spopielić, gdyby nie to, że dyrygujące nią duchy nie zwracały uwagi na tak żałosne istoty.

Ona też przestała zajmować się mieszkańcami. Byli jedynie pionkami w grze, każdy ich ruch należał do mocarnych dłoni potężnych duchów. Ale najistotniejsza była ferini. W końcu to do niej należała podstawowa rola.

Ktoś jeszcze wiwatował. Kilka osób wykrzyczało coś zwycięskim tonem. A potem wszyscy zamilkli tak, jakby rzucono na nich czar wyciszający. Dla ferini byli już tylko tłum, częścią blaknącego świata. Zaczęli się rozchodzić. Wbrew temu, czego się spodziewała, żadna z wiedźm nie zatopiła w jej sercu ostrza. Ruszyły za tłumem, który zniknął wraz z gasnącymi pochodniami.

Zdezorientowana ferini czekała na coś, co nadchodziło. I gdy tylko to poczuła, zadrżała.

To była śmierć. *Jej śmierć.* Niczym makabryczny podarek niosło ją coś, co miało swój kształt i świadomość. Kroki tej istoty, donośne, dudniące, wzbijały w powietrze tumany pyłu. Cały las zastygł, jakby wycofany, czekając, aż to się pojawi. Z nieba powoli spadał płatek śniegu. Ferini miała wrażenie, że słyszy jego sunięcie, a potem poczuła, jak dotyka jej policzka i zmienia się w mokrą plamę, łzę.

Wtedy dudnienie się urwało. *On przyszedł.* Stał między drzewami, patrząc wprost na nią. Próbowwała się wyrwać,

okrzyk strachu zastygł na jej ustach niczym gwałtownie zamrożona woda. Nie widziała niczego, tylko potwora, który nagle zaczął rozszerzać się na cały las. Bo to on sam był tym lasem, żyli w sobie nawzajem i nie sposób było zgadnąć, które z nich było pierwsze.

Stanął tuż przy niej. Czarna sierść na jego łbie połyskiwała w świetle księżyca, kły były bielsze od śniegu. Z jęzora spływała ślina. Kilka kropel spadło na piersi ferini. Przez chwilę zdawało jej się, że palą ją niczym ogień. Ale nie, były po prostu ciepłe.

Otworzył szerzej paszczę i zdawało się, że mógłby nią połknąć cały świat. Jego ryk sprawił, że ciało ferini zadrżało, przerażenie było nie do zniesienia, serce waliło jej jak w szaleńczy bęben. Bestia obejmowała ją swą aurą, chciała ją pożreć, wchłonąć, uczynić na zawsze częścią siebie i lasu.

Jednak gdy potwór zbliżył paszczę do jej twarzy, strach spłynął z niej niczym szata, którą należy ściągnąć przed wejściem do świątyni tajemnic. Nagle las odżył, soki w drzewach ruszyły, obiecując zbliżającą się wiosnę, ogień głęboko pod ośnieżoną ziemią zapłonął. Bestia nie była już bestią. W jej oczach ferini dostrzegła tylko własną twarz.

Przestrzeń zaczęła się rozplýwać. A może to ona sama rozplýwała się w przestrzeni? Ten potwór... Wcale nie miała stać się kolejną więźniarką lasu. Ona była już jego częścią. A potwór stanowił część niej. Był jej bratem, był jej cieniem, a ona jego siostrą, jego duszą.

Połączeni, rozszerzyli się na cały las. Byli jego żywną ziemią, byli świecącymi nad nim ognistymi gwiazdami, byli każdym wspomnieniem, każdym uczuciem, jakie kiedykolwiek tu zaistniało, byli w sercu każdej kropli krwi, która połączyła się ze świętym lasem – świętym, nie przerażającym.

*Bestio...* – Jej myśl była płochym zwierzęciem, które od niej uciekało. *Bestio, jesteś moja* – zdążyła wysłać te słowa w świat,

nim jej świadomość rozplynęła się w błogości tej nieśmiertelnej chwili.

Wtedy w lesie zakotwiczyła się nowa świadomość.

Umysł March włączył się nagle, jakby na rozkaz kogoś, kto wcześniej ją zahipnotyzował. Naraz dziewczyna poczuła kolana, którymi dotykała zimnej ziemi, jej nozdrza wypełniło mroźne powietrze. Jej ręce, które...

– Nie! – krzyknęła, patrząc na nie. Jej dłonie pokrywała gęsta sierść, palce zakończone były pazurami. Nie była człowiekiem. Była bestią. Tą, która zabiła ferinię.

Obrazy zalały jej głowę niczym porywisty strumień. Nie potrafiła z nimi walczyć. Znów pochylała się nad czymś ciałem. Tym razem w poszarpanej twarzy rozpoznała panią Dutcher. W jej wyłupiastych, przerażonych oczach odbijał się śnieg, który zaczął gęsto sypać z nieba. Ciało było wychudzone, brakowało w nim nie tylko życia, ale i krwi. Bo krew...

Coś przewróciło się w żołądku March. Dziewczyna miała wrażenie, jakby kołysała się w nim wzburzona woda. Ale to coś było ciepłe i gęste.

Wiedziała. To *ona* wypija krew pani Dutcher.

Gwałtowny wiatr przysłał w jej stronę setki skrawków papieru. Klepsydry, klepsydry, klepsydry: Callena, pani Connor, pani Dutcher, Isel, matki. I jej samej.

– Dość! – zawołała. – Dość! Wy małe, podłe dupki! Chcecie wojny?! Dlatego mi to robicie?!

Chciała zawołać coś jeszcze, ale usta wykrzywił jej grymas. Nie wytrzymała. Zaczęła wymiotować. Stalowa dłoń zdawała się ścisnąć jej żołądek, aż zwróciła wszystko. Ciemność miała teraz barwę skrzepniętej krwi.

A potem ktoś pstryknął palcami i March się wybudziła.





## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Isinbir przykładał jej do ust jakąś chusteczkę. Próbowwała go odtrącić, ale w końcu się poddała, rozumiejąc, że zioła, którymi nasączył materiał, miały zbawienny wpływ. Naraz poczuła się tak lekko, jakby zaraz miała zasnąć, choć wcale nie była zmęczona, za to wszelki ból spłynął z niej niczym brudna maź. Zostało tylko dziwne otępienie i coś w rodzaju rysy na sercu. Strach wydawał się wprawdzie odległy, ale nadal żywy i prawdziwy. Spotęgował się, gdy spojrzała na twarze Callena i Piątka, w napięciu przyglądających się, jak fer powoli zabiera chusteczkę.

– Bez obaw – powiedział, jako jedyny zachowując zupełny spokój. – To waleriana lekkoducha. Dziwna odmiana, rośnie tylko w specyficznym miejscu w Jaarze... Oddała problemy, pozwala zapomnieć... – Zapatrzył się jakby z tęsknotą na wciąż trzymany w ręku materiał, po czym szybko się otrząsnął. – Co widziałaś, March?

Wolałaby nie usłyszeć tego pytania. Przez krótką chwilę zatapiała się w tajemniczej błogości, a gdy fer je zadał, wszystkie obrazy, których była przed chwilą świadkiem, przepłynęły znów przez jej umysł. *Co się ze mną dzieje?* – myślała gorączkowo, gdy żołądek ścisnęła jej ta sama stalowa dłoń, potwór z jej koszmaru. *Co się dzieje?*

Spojrzała na nich, jakby byli kimś nowym, szukając na ich twarzach czegoś, czego dotąd nie dostrzegła. Jednocześnie uciekała wzrokiem w obawie, że z jej własnej miny wyczytają więcej, niż chciała im teraz powiedzieć.

– March. – Piątek wskoczył na łóżko, w którym położył ją Isinbir. Nie przejmowała się na razie zatęchłą pościelą. – Miałaś wizję, to oczywiste. Powiedz, znów nawiedziły cię Irma i Cleto?

– Raczej fery – prychnął Callen, pod nosem dodając: – Przestań się oszukiwać.

Kot syknął w jego stronę ze złością. March, nieco jeszcze otępieła, próbowała odzyskać równowagę myśli.

– Tak... To znaczy nie. Sama nie wiem.

Trzy wiedźmy kroczyły wciąż w jej głowie. Jeśli Cleto i Irma były tymi z maskami kozła i jelenia, kim była trzecia?

– Fery nie mogłyby jej tutaj zaatakować – odezwał się Isinbir.

– Te z Aislingen nie mają wstępu do mojego mieszkania.

– Ty też jesteś aislingeńskim ferem – zauważył Piątek.

Nastała chwila ciszy, podczas której Isinbir sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się, czy dobrze zrozumiał kota.

– Co właściwie sugerujesz? – spytał wreszcie.

– Nic – odparł Piątek, odwracając się do niego ogonem. – Ciągle wierzę, że wizje March mogą być spowodowane czymś innym niż działaniem twoich kolegów, ale trzeba brać pod uwagę wszystkie możliwości.

– To nie są moi *koledzy!* – zagrzemiał Isinbir. Chyba po raz pierwszy March widziała, jak traci nad sobą panowanie.

– Czekaj, nikt cię nie oskarża o to, że celowo coś zrobiłeś – powiedział Callen. – W każdym razie masz w sobie krew samej Wyrd. Może przez kontakt z tobą klątwa działa mocniej.

– Sami ją do mnie przyprowadziliście! – Isinbir gwałtownym ruchem wskazał na March. – A fery prześladowały ją na długo przedtem!

March chciała ich powstrzymać, zawołać coś, ale ciągle zbierała w sobie siły, a w jej głowie kołatało zbyt wiele pytań. Tak, była coraz bardziej pewna, że to fery zsyłały jej wizje, przynajmniej część koszmarów pochodziła od nich. Ale nie

wszystkie, na pewno nie wszystkie. Być może gdy zaatakowały ją po raz pierwszy, zamykając w więzieniu jej własnego umysłu, zaszczepiły w niej zdolność do rozpoznawania takich rzeczy. A wizja z ferinią, która przejęła jej umysł, była czymś innym od zwykłych ferzych klątw.

Dopiero po kilku chwilach zdała sobie sprawę, że jej towarzysze ucichli i znów wlepiali spojrzenia tylko w nią. Dłużej nie mogła zwlekać. Zaczęła opowiadać. Nie było to łatwe, bo obrazy, choć wciąż obecne, uciekały z jej umysłu, gdy próbowała ubrać je w słowa.

– To było coś bardzo prawdziwego – przyznała. – Mam wrażenie, że te rzeczy faktycznie się wydarzyły, tam, w Finfolk.

Nagle Piątek spojrzał na Callena, jakby prosił go o pozwolenie na coś. Chłopak zdawał się kręcić głową na nie, tym samym tylko zachęcając kota, który oznajmił:

– No więc jest taka legenda...

– I *tylko* legenda – dodał szybko Callen.

– W każdym razie mówi się – ciągnął niezrażony kot – że dawno temu w Finfolk grasował pewien namhajt, bestia polująca na ludzi.

– Dlaczego na ludzi? – spytała March, pewnie niesłusznie doszukując się w tym jakiejś logiki.

– Jak to dlaczego? Żeby ich zjadać – odparł Piątek. – W końcu to częściowo baśń, a baśnie są pełne czarownic i potworów polujących na ludzi. A ten wyglądał okropnie, jak połączenie psa z gigantyczną jaszczurką. Miał długi ogon, łapy jak u krokodyla, a głowę pokrytą czarną sierścią. Z paszczy wyrastał mu długi, różowy jęzor, cuchnący oczywiście, a jego ślina była w stanie wypalać oczy.

March miała wrażenie, że jej serce bije teraz tak głośno, że wszyscy mogą je usłyszeć. Przecież to był ten sam potwór, ten sam, którego widziała!

– Brzmi to jak bazyliszek – prychnął Callen. – Albo Meduza.

– W Europie od dawna nie ma bazylijszków – odparł całkiem poważnie Isinbir. – Ostatniego zabito w średniowieczu, gdzieś w Polsce. A Meduza to mit. Być może istniała jako duch jednej z greckich wysp, tyle że była dobra, przynajmniej dla mieszkańców. To historia uczyniła z niej potwora.

– Bestia z lasu nie istniała, tak samo jak Meduza – oznajmił z pełnym przekonaniem Callen. – I lepiej nie kłaść sobie do głowy tych głupot.

– Nie mówię, że bestia istniała – odrzekł niezrażony Piątek. – Chcę tylko dokończyć *legendę*. Przypominam, że nawiedził nas koszmar. Legendy nie są wcale mniej prawdziwe od koszmarów, a już na pewno tak samo jak one sięją lęk.

– Więc co działo się dalej? – spytała March, jednocześnie próbując sobie przypomnieć, czy słyszała już o tej legendzie. Jeśli tak, wyjaśniałoby to, skąd bestia wzięła się w jej wizji.

– Ówcześni mieszkańcy wioski... – mówił dalej kot – a było to dawno temu, jakieś sto lat, jak nie więcej... zebrali się całkiem niedaleko od Domu Wiedźm, w lesie, żeby poradzić się lokalnej czarownicy.

– Już wtedy mieszkały tu wiedźmy? – zdziwiła się March.

– W tamtych czasach, podobnie jak dziś, wiedźmy mieszkały wszędzie. To była tajemnica poliszynela, że każde miasteczko miało własną mądrą czarownicę albo czarownika. Czasy Stosów nie wyplenily w ludziach wiary w magię i dopiero po drugiej wojnie funkcja lokalnej wiedźmy zanikła. W każdym razie tamta czarownica poleciła ludziom złożyć w ofierze... *dziewicę*.

Ostatnie słowo Piątek wypowiedział niemal konspiracyjnym szeptem. Callen nie był pod wrażeniem.

– Strasznie to pretensjonalne – stwierdził. – No i seksistowskie, skoro już przy tym jesteśmy.

– Nowomowa – mruknął kot. – Bądź co bądź, w czarostwie dziewictwo nie ma większego znaczenia, to raczej domena

magów. Oni wierzą w tę całą siłę czystości i takie tam. To oczywiście bez sensu. W każdym razie niekoniecznie chodzi tu o płec. No, chociaż wieśniacy oddali potworowi dziewczynę.

– Magiczną dziewczynę – przypomniała sobie March. – Ferinię.

– O tym nie słyszałem... Ale ofiara to ofiara, prawda?

– A więc ją zabili? W mojej wizji po prostu przywiązali ją do kamienia i pozwolili bestii ją pożreć.

Piątek się zastanowił.

– Na jedno wychodzi. W końcu nie przywiązali jej dla zabawy.

– Ale to był ten sam ołtarz! – March gwałtownie podniosła się z łóżka. – A ta bestia... Wiem, że to ta sama istota, która zaatakowała mnie w lesie.

– W lesie? – zdumiał się Isinbir. – Nic mi o tym nie wspominałaś.

– Jeśli dobrze pamiętam, nic cię nie zaatakowało, tylko coś słyszałaś – zauważył Callen, wyraźnie już podenerwowany. – W dodatku było to coś, co nie miało wyglądu. Jeśli chodzi o rzeczy, o których opowiada Piątek, one się nie wydarzyły, opowieść o bestii tłumaczy tylko, dlaczego w Finfock wycięto większą część starego lasu. Miało to oczywiście związek z magią, z ferami, przynajmniej w czasach średniowiecznych, gdy wycinka się zaczęła. Wtedy czarownice próbowały powstrzymać Aislingen przed ekspansją. Na początku dwudziestego wieku istniała jeszcze spora część lasu, której się pozbywano, żeby Finfock mogło się rozrastać. Robili to już niemagiczni. Czasami robotnicy pracujący przy wycince wpadali pewnie na jakiegoś niegroźnego demona i wymyślali różne opowiastki. Teraz z lasu zostały już tylko fragment, który rośnie za naszym domem, i niewielka część parku. To tyle.

Urwał z taką miną, jakby gorączkowo poszukiwał kolejnych argumentów. I szybko je znalazł.

– Nie mamy żadnych dowodów na tamte wydarzenia, a przecież Społeczność by do nich dotarła. Oni zawsze badają magiczne przecieki, rozumiesz, sytuacje, gdy magia z Jaaru w niekontrolowany sposób przedostaje się do ludzkiego świata. Zresztą dlatego wycięto las.

– Serio? – zdumiała się March.

– No tak, przecież mówię, że chodziło o ekspansję ferów. Dużo czarownic błędnie wierzy, że wycinka była sprawką niemagicznych, którzy nienawidzili pozostałości po czarach, ale w rzeczywistości to magiczni próbowali okiełznać fery. Jaar i Ziemia były już wtedy rozdzielone, ale czasami magiczne plemiona walczyły z ludźmi. Trzeba było okiełznać las, żeby osłabić Aislingen. Jasne, można sobie pomyśleć, że to niszczy ducha i tak dalej, ale w niektórych sytuacjach jest po prostu konieczne. Dlatego finfolki las musiał niemal całkiem zniknąć.

– Moja matka uznała to za straszliwą zbrodnię – dodał Isinbir. – Jak wiele królowych, sądziła, że wszystko powinno należeć do niej, a już na pewno nie chciała niczego tracić. Do dziś nie może wybaczyć ludziom, że ukradli jej las. Przynajmniej sama tak to nazywa. Niejednokrotnie próbowała go odzyskać i sama nie wie, dlaczego jej się nie udaje. Przypuszczam, że chodzi tu o pewien rodzaj magii, z którym nie potrafi sobie poradzić.

– Może tamten potwór to jej sprawka? – zastanawiała się March.

– Nie było żadnego potwora – powtórzył z uporem Callen. – Bez względu na to, co mówiły Irma i Cleto. One...

Urwał, szeroko otwierając oczy. Powiedział za dużo.

– Irma i Cleto? – podchwyciła March. – A więc to od nich wiecie o potworze?

- To one opowiadały legendy o nim, tak - odparł Piątek. - Cleto lubiła siadywać przy ogniu i rozprawiać o różnych rzeczach. Zwykle opowiadała baśnie zasłyszane w Elphame. Kiedy Callen był mały, sadzała go sobie na kolanach i mówiła, ale przyznam szczerze, ja też słuchałem tych historii. Cleto miała taki dar opowiadania, że nawet gdyby czytała listę zakupów, słuchałoby się tego z ciekawością.

March jakoś nie umiała sobie wyobrazić małego Callena. W żadnej z wizji dotyczących przeszłości nie widziała go jako dziecka. Pomysł, że siadał zimą na kolanach starej wiedźmy, wydał jej się raczej niedorzeczny.

*Zima...*

Namyśliła się. Po tym, co zobaczyła, zima kojarzyła się jej inaczej, na pewno nie z kominkiem i opowieściami. W poprzedniej wizji, gdy potwór rodził kolejną bestię, też panowała zima. Tyle że March czuła ciepło krwi. Teraz było tak samo. Wszystko wydawało jej się najpierw ponure, ale gdy zmieniła się w potwora, już takie nie było. Mrok stawał się przyjemny, to, co cuchnęło, pociągało ją. Myśl o zabijaniu, czymś, do czego stworzono bestię... Tak, dla niej było to jak powołanie, chętnie się temu poddawała.

Zakrwawione ciało kolejnej ofiary potwora - być może jej ofiary - stanęło jej przed oczami. Czy żałowałaaby pani Dutcher? A może podświadomie życzyła jej śmierci? Może właśnie tego chciała. Chciała ją zabić.

Zupełnie nie kontrolowała tego, co naraz zaczęło dziać się z jej ciałem. Fala bólu, podsycanego wyrzutami sumienia, była niczym gwałtowny strumień opuszczający ją poprzez drżenie rąk i szloch. Zbyt długo to powstrzymywała, walczyła z przerażeniem i rozpaczą, a gdy teraz wybuchły, poczuła się zupełnie przez nie pokonana. Nie była już silna, nie umiała być silna i nawet tego nie chciała.



Ktoś położył dłoń na jej plecach, gdy zakrywając oczy, po prostu łkała, pewna, że już niedługo będzie siebie za to nienawidzić, bo przyznała się do uczucia, które powinna była zachować dla siebie. Nie wiedziała, kto jej dotknął, Callen czy Isinbir. Dopiero gdy poczuła wpływającą przez aurę przyjemną, ciepłą energię, zdała sobie sprawę, że to fer.

– Nie. – Straciła jego dłoń. – Nie chcę tego, nie potrzebuję.  
Posłusznie się cofnęła.

– Co się stało? – spytał łagodnie.

Nie była pewna, czy zdoła cokolwiek odpowiedzieć. Dała sobie jeszcze trochę czasu na płacz. Skoro już i tak się przed nimi obnażyła, było za późno, by to odkręcać.

– Te rzeczy... – zaczęła wreszcie. – Te martwe ciała. To ja doprowadziłam do śmierci tych osób.

– Co?! – zawołał zdumiony Piątek. – O czym ty gadasz?

– Pamiętacie panią Connor? – Uniosła na nich zapłakane oczy. – Ona nie żyje. A w wizji martwa była też ta druga, Dutcher. Boję się, że właśnie ją zabiłam, tak samo jak panią Connor.

Żaden nie zareagował, nie licząc krótkiego „ach” ze strony Callena.

– Co masz na myśli, mówiąc, że to ty ją zabiłaś? – odezwał się wreszcie Isinbir.

– Przed jej śmiercią miałam sen – powiedziała March. – Śniłam, że ją morduję... że piję jej krew, że rozpruwam jej brzuch... To było ohydne, ale... ta krew... chciałam ją pić, sprawiało mi to przyjemność.

Skrzywiła się z obrzydzenia do samej siebie.

Isinbir tylko potakiwał, a Piątek i Callen wlepiali w nią przerażone spojrzenia.

– Jak wampir? – spytał fer.

March spojrzała na niego z urazą.

– Tak, jak wampir – wycedziła.

– Jak umarła ta kobieta?

– Atak serca.

– Więc dlaczego sądzisz, że to twoja wina? W jaki sposób miałabyś ją zabić?

To pytanie wydało jej się nazbyt logiczne.

– Magicznie – odparła.

– A potrafiłabyś to zrobić? – dociekał Isinbir.

– No nie, ale chyba... skąd mogę wiedzieć?

Nagle fer zaczął się śmiać, zupełnie wyprowadzając ją tym z równowagi. Zerwała się z łóżka, nie wiedząc, co właściwie chce zrobić. W pierwszym odruchu była nawet gotowa go uderzyć. Coś ją powstrzymało. Naraz jego mina stężała, jak gdyby rozpoznał jej uczucia. Stała, na wskroś przeszywając go lodowatym spojrzeniem. A wewnątrz znów poczuła rozdzierający ból, miała wrażenie, że ktoś inny steruje jej ruchami.

*Chciałam go uderzyć...* Jak to możliwe, że pragnęła go zranić?

– Śmiesz cię to? – spytała chłodno, odwracając wzrok. Wolała, by nie zaglądał jej w myśli.

– Nie, ale musisz wiedzieć, że twoje podejrzenia są zupełnie niedorzeczne – przyznał. – I chyba się ze mną zgodzicie? – zwrócił się do Piątka i Callena. Obaj potaknęli, choć chłopak bez większego przekonania.

– A to niby czemu? – drażyła March.

– Zabicie kogoś na odległość za pomocą magii jest wyjątkowo trudne. Nie wierzę, że byłabyś zdolna do czegoś takiego.

– A skąd ty wiesz, do czego jestem zdolna? – odrzekła tonem niemal wyzywającym, który ją przestraszył, za to jego znów rozśmieszył.

– Ujmijmy to inaczej – odparł dyplomatycznie, próbując na powrót przybrać poważną minę. – Nie byłabyś *zdolna* w sensie technicznym. Po prostu nie znasz takiej magii. A tamta

kobieta... pani Connor, tak? Najprawdopodobniej zwyczajnie umarła. I tyle. Nie ma w tym żadnej filozofii. Wszystkim się zdarza.

– A co, jeśli fery opętały March? – zastanawiał się Callen.

Na to pytanie odpowiedział kot.

– Nie ma takiej opcji. Fery mogą omamić, ale nie opętać. Opętanie to domena duchów.

– Dobrze. – Chłopak machnął ręką. – Chodzi mi o to, że mogą podsylać jej wizje, które sprawiają, że... – Spojrzał na March z obawą. – Może sama nie *zabija*, ale jest świadkiem, jak...

– Nie, nie, nie – przerwał Isinbir znudzonym tonem. – March musiałaby opuścić dom lub ciało, żeby zrobić krzywdę tamtej kobiecie. Oczywiście pierwszą możliwość odrzucam, bo gdyby zabiła panią Connor tak, jak to opisała, chyba nie uznano by jej śmierci za atak serca. A ciała opuszczać nie potrafi. – Wyciągnął rękę, by powstrzymać Callena przed kolejnym argumentem, jeszcze nim chłopak zdołał otworzyć usta. – Nie, wizje to nie to samo co opuszczanie ciała.

Powiedział to tonem kończącym dyskusję. Wyglądał na tak przekonanego, że wreszcie i March się uspokoiła.

– A powiedz – poprosił kot – co to były za dupki, o których tak krzyczałaś?

– Co? – zdumiała się.

– No wołałaś coś w stylu: „Odwalcie się ode mnie”, czy jakoś tak...

– Ach, to – jęknęła. Nie sądziła, że faktycznie krzyczała. – Chodziło mi o fery. Bo uznałam, że to one znowu mieszają mi w głowie.

– Pewnie tak jest – stwierdził Isinbir. – I, jak już nieraz mówiłem, by z tym walczyć, musisz poznać swoje lęki. – Westchnął. – To co, bierzemy się do dalszej roboty? Żeby, jak wy to mówicie, skopać im tyłki?

I szczerze się uśmiechnął.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

March nigdy nie sądziła, że kilka prostych słów może przynieść jej tak wielką ulgę. „Nie jesteś winna”. Za każdym razem, gdy Piątek, Callen albo Isinbir jej to powtarzali, miała wrażenie, jakby ściągali jej z barków ogromny ciężar. W dodatku wcale nie brzmiali, jakby chcieli ją tylko pocieszyć; byli przekonujący.

Ich argumenty przekonały też ją. Potwierdzały to, do czego sama już wcześniej doszła, ale chyba potrzebowała kogoś, kto wpadnie na to samo. Nie mogła zabić pani Connor. To zupełnie nie miało sensu. Podejrzewała – podobnie jak Callen – że to fery próbowały wpędzić ją w to myślenie, by odkryć jej kolejną słabość.

– Musisz zrozumieć swoje koszmary – powtarzał Isinbir na każdej kolejnej lekcji. – Uwolniły się z rozbitej kuli i trzeba znów znaleźć do nich klucz, tym razem niefizyczny.

Przyszedł sierpień, niosąc ze sobą suszę, jaka od dawna nie nawiedziła Finfolk. By uciec przed upałem, March więcej czasu spędzała w Jaarze. Tam, dzięki magii, temperatura zawsze pozostawała idealna. Więcej ćwiczyła też z Isinbirem, choć wcale nie sądziła, żeby posuwali się do przodu. Co prawda fer nauczał ją, jak używać energii, ale nie traktował tego jako priorytetu. Niczym rasowy psycholog *pracował* za to z jej lękami, tyle że zdaniem dziewczyny te lęki, które już знаła – strach przed niedopasowaniem się do żadnego ze światów i przed prześladowaniem – nie bardzo mogły jej pokazać, jak walczyć z Wyrd. I nadal uważała, że za tymi sprawami kryło się coś jeszcze, że nie chodziło tylko o fery i że miały z tym coś

wspólnego siostry Malloway. Późnymi wieczorami March snuła się nieraz po domu, próbując odkryć jakieś poszlaki. Nie miała planu dla tych wędrówek, wierzyła, że Dom Wiedźm sam ją poprowadzi.

Bo on żył. Jak każde magiczne miejsce miał swojego ducha, umysł, który jednych witał, a drugich wykluczał lub w ogóle nie pozwalał im się odczuć. March próbowała poddać się szeptowi tego ducha. W chwilach, gdy myślała najmniej racjonalnie, liczyła na to, że same siostry zjawią się przed nią jak w wizjach i ukażą rzeczy, które spowodują u niej nagłe olśnienie. Nic się jednak nie działo, zupełnie jakby dom postanowił się przed nią zamknąć.

Nie mówiła o swoich wędrówkach Piątkowi i Callenowi. Przede wszystkim nie rozmawiali na temat bestii, bo to zawsze prowadziło do sprzeczek. Kot twierdził, że w legendzie może kryć się ziarnko prawdy, a chłopak ciągle go zbywał. March zaczęła przypuszczać, że Callen unikał rozmów na ten temat, bo po prostu bał się potwora. Nie miała zamiaru naciskać. Musiała jakoś pogodzić się z własną niewiedzą. Chyba właśnie tego chciał ją nauczyć Isinbir.

– Będziecie musieli znów zmienić kształty – stwierdził któregoś dnia Piątek, sprawiając, że Callen i March zadrżeli. Nienawidzili zmiennokształtności, zwłaszcza March. Choć lepiej znosiła ból, nie sądziła, że kiedykolwiek zdoła się do niego przyzwyczaić. Zresztą od dawna nie potrzebowali amuletów. Zakupy robiła dla nich Isel, badać terenu też już nie musieli. Klątwa, jak się okazało, dawała niewiele fizycznych przejawów, a nawet te z początku, jak dziwnie zachowujący się pan Clifford i bibliotekarka, już minęły, i teraz oboje zarzekali się, że nie pamiętają, co się wydarzyło.

– Po co znów mamy się zmieniać? – spytał Callen. – Nawet nie wiem, gdzie zostawiłem mój amulet.

– Leży na ołtarzu w pokoju wiedźm – odparł Piątek. – A czemu macie się zmieniać? – dodał, odwracając się w stronę March. – Bo twojej koleżanki od dawna tu nie było i wypadaloby zrobić zakupy.

Zauważył coś, czego sama zdawała się nie odnotowywać. To prawda, że już od pięciu dni Isel zupełnie milczała. Nie przysyłała nawet SMS-ów. March miała w zasadzie do niej zadzwonić, jednak coś ją powstrzymywało. Chyba po prostu było wygodniej nie mieć przyjaciółki na głowie.

*Przyjaciółki* – to słowo coraz bardziej jej zgrzytało, gdy myślała o Isel. Odkąd dziewczyna poznała magię, paradoksalnie oddalała się od March. To nie była ta sama Isel. Ale jeśli to magia Wyrd na nią wpłynęła, istniała szansa, że uda się przywrócić ją do normy.

– Okay – powiedziała March, wyciągając telefon. – Zaraz do niej...

– Nie! – Piątek wskoczył jej na kolana i przycisnął komórkę łapą. – Nie pisz do niej ani nie dzwoń. Przecież może cię okłamać.

March przyjęła te słowa z niemałym zdumieniem.

– Że co, proszę? – Powiodła wzrokiem w stronę Callena, który wydawał się równie zaskoczony jak ona. – Dlaczego Isel miałyby mnie oszukiwać?

Kot mruknął.

– Powiedzmy, że mam w związku z nią pewne obawy. Nie od dziś wiadomo, że coś z nią nie tak, prawda? Kiedy ostatnio pokazywałem jej, jak badać aurę, od razu zaczęła wypytywać, czy można dzięki temu wpłynąć na czyjś umysł. Pytała nawet, czy można kogoś *uszkodzić* astralnie. Na razie nic nie mówię, chodzi mi tylko o to, że lepiej ją sprawdzić, a w razie czego nakryć.

– Nakryć na czym? – zaśmiał się Callen. – Chyba nie sądzisz, że ona może nam w jakikolwiek sposób zagrażać?



– Jestem kotem. I czarownikiem. Obie natury każą mi zachować ostrożność. I powtarzam wam: nie mam co do niej żadnych konkretnych podejrzeń. Na razie.

– To prawda, że Isel zachowuje się inaczej – przyznała March – ale to dlatego, że zachłysnęła się magią. Tyle. No dobrze, niech ci będzie, sprawdźmy ją. Po prostu pójdę do niej po tych zakupach i...

– Zwariowałaś? – syknął Piątek. – Bez sensu chodzić po koleżankach w postaci, której i tak nie znają. Mówię o innym rodzaju sprawdzenia, takim, żeby nie wiedziała, że ją obserwujesz.

Zrozumienie, które naraz pojawiło się na twarzy Callena, niestety nie udzieliło się March.

– Co właściwie...

– Eksterioryzacja – oświadczył kot. – Mówi ci to coś?



Callen wyglądał, jakby nie żył. Leżał na posprzątanym ołtarzu w świątyni, boso i w czarnej szacie, a dookoła niego paliło się dwanaście świec. Jeszcze jedna tliła się w jego złożonych dłoniach. March sama musiała ją tam wsunąć i zapalić. Teoretycznie przywykła już do czarów, ale teraz czuła się jak w horrorze, tyle że raczej klasy B. W świątyni paliły się jeszcze cztery świece dla żywiołów. Piątek wyznaczył krąg, obchodząc go z dumnie wyprostowanym ogonem. To on wezwał duchy żywiołów. I to jak! March naprawdę czuła istoty, których obecność wypełniła świętą przestrzeń, najpierw duchy powietrza, sylfy, potem ogniste salamandry i wodne undyny, a na końcu gnomy, duchy ziemi. Choć ich nie widziała, potrafiła rozpoznać, kiedy się pojawiały, bo miała już z nimi do czynienia w Aislingen.

Ale i tak chodziło o otoczkę. Wiedziała, że Callen nie potrzebował żadnych rekwizytów, by opuszczać ciało. Piątek uparł się jednak, że skoro mają przeprowadzać *operację magiczną*, muszą zachować wszelkie środki bezpieczeństwa.

Eksterioryzacja... To słowo nie brzmiało ani trochę magicznie, za to, jak twierdził kot, było nazwą jednej z najbardziej zaawansowanych form magii.

Callen tylko leżał. Zdawało się, że wcale nie oddycha, gdy Piątek wskoczył na ołtarz, zgrabnie poruszając się między świecami. Okrążył ciało chłopaka trzy razy, po czym zaczął szeptać długą formułę po łacinie. Brzmiało to jak egzorcyzm.

*– Ite, venite, explorandum, indute stellae, aperire ianuam caelorum, levitate, leva, sine constrictas, anima tua dominator corpus tuum est.*

Piątek zdawał się powtarzać te słowa bez końca, coraz szybciej, aż zaczęły się ze sobą zlewać. Brzmiały na tyle dźwięcznie, że nawet March podchwyciła niektóre z nich i szeptała je – choć tylko pod nosem, w obawie, że coś zepsuje, jeśli włączy się do czar.

W końcu kot zatrzymał się, stając przednimi łapami na piersiach Callena, i utkwiał wzrok w jego twarzy. Chłopak powoli uchylał powieki, przez co March nie była pewna, czy czar dobiegł końca, czy dopiero się zaczynał. Jednak gdy spojrzała mu w oczy, odpowiedź nasunęła się sama – były szeroko otwarte, owszem, ale zdawało się, że patrzyły w pustkę.

– Gotowe – oznajmił cicho kot.

– W sensie że...

– Nie ma go tutaj.

March zmarszczyła czoło. Wierzyła kotu na słowo, choć nie bez trudu. Co prawda nigdy nie uważała, że człowiek ogranicza się do ciała, ale zbyt długo była pewna, że umysł nie ma prawa wyjść poza nie, by teraz ot tak odrzucić dawne

przekonania. W Mieście Snów podróżowała umysłem, owszem, tylko że jedynie wewnątrz samej siebie, i nawet podróże astralne Callena uważała dotąd za pewien kontakt umysłowy. Myśl, że można opuścić ciało i wyjść na świat zewnętrzny, wydała jej się zarazem przerażająca, jak i w pewien sposób wyzwalająca.

– Nie podałam mu adresu – przypomniała sobie. – To znaczy... bo to chyba istotne, co nie?

Piątek pokręcił głową.

– Nie. On wie, gdzie iść.

– I to w pełni bezpieczne?

– Chyba kpisz – prychnął kot. – Przecież to magia. Nie tworzyłbym kręgu, gdyby to było bezpieczne. Wiesz, to jedna z tych rzeczy, o których w filmach mówią, żeby nie próbować ich w domu.

– Ale my...

– ...ich próbujemy, to jasne. Tylko że my jesteśmy wiedźmami, nam wolno. A teraz cicho. Jak będziemy za dużo gadać, to jeszcze się obudzi i dupa blada z naszych czarów.



Lekkość.

Tak, lekkość.

Gdyby Callen miał zadać sobie pytanie, czego mu od dawna brakowało, właśnie tak brzmiałaby odpowiedź. Od razu, gdy tylko położył się na ołtarzu, jeszcze nim Piątek zaczął czar, poddał się błogości, jaką czuł zawsze podczas opuszczania ciała. Błogości tego rodzaju, o którym czytał w nudnych książkach o chrześcijańskich świętych albo buddyjskich mnichach. Ale on nie musiał się umartwiać ani modlić, by osiągać ten stan. To była jego *siddhe*, moc przyrodzona.

Musiał uważać, by nie zachłysnąć się tą wolnością. W tym momencie życie w ciele wydawało mu się tak trudne, że bez wahania wybrałby możliwość rozciągania umysłu, zagładania, gdziekolwiek zechciał, przemierzania krain, o których niewielu ludzi śniło, a jeszcze mniej dostało szansę, aby je odwiedzić. Oczywiście istniały pewne ograniczenia: właściwie na każdym kroku mógł natrafić na astralne zabezpieczenia, nie był to wymiar w pełni mistyczny. Bywał niebezpieczniejszy od innych, dlatego należało zachować wzmożoną czujność.

Poskładał się do kupy – tak nazywał zakotwiczenie w ciele astralnym. Istniało obok cielesnego, nie w nim, ale raczej nieco poza aurą. Callen bez trudu je wyczuwał, choć nie widział go ani u siebie, ani u innych. Jediną rzeczą, którą był w stanie zobaczyć, była cienka, złota nić, która ginęła gdzieś w eterycznym, ametystowym blasku świata astralnego. To ona łączyła go z ciałem. Im bardziej zaawansowany czarownik, tym większe miała zdolności do wydłużania się. Nie wolno było dopuścić do jej przerwania – to oznaczałoby natychmiastową śmierć.

Ale Callen nie miał odchodzić daleko. Wystarczyło, że pomyślał o Isel, a już pędził w jej kierunku. Finfolk przemknęło mu przed oczami niczym scena przyspieszonego filmu; tutaj czuło się, jak bardzo przestrzeń i czas są ze sobą połączone, jak rzeczy fizyczne mkną w nieustającym tańcu kosmosu. Chłopak nie zastanawiał się nad tym długo, bo rozważania tego typu oderwałyby go od zadania.

Przez chwilę krążył wokół domu Isel. Aura była plastyczna, można było jej dotknąć niczym mazi, nie do końca przyjemnej jak w szczęśliwych domach – których zresztą nigdy nie widział zbyt wielu – ale raczej... zwyczajnej, normalnej. Dom miał swoje smutne i radosne wspomnienia, swoje problemy. Nie miał za to magii ochronnej, nie licząc oczywiście tych kilku śmiesznych zaklęć, które obejmowały część szyb, sprawiając,

że te wyglądały na niedomyte. Isel nie potrafiła się bronić i nawet nie zdawała sobie sprawy, jakim wielkim było to problemem.

Nie dla niego. Bez trudu przeniknął przez ścianę domu i poszukał pokoju dziewczyny, wiedziony jej znajomą aurą. Pokój był zamknięty na klucz – Callen nie potrzebował klamek, ale wiedział o tym, bo intencja, z którą Isel przekręciła klucz, pozostawiła lekką rysę na energetycznej strukturze drzwi.

Wpłynął do środka bez większego zainteresowania. Isel naprawdę niewiele go obchodziła. Był do niej nastawiony wręcz wrogo, choć starał się tego nie okazywać. Nie ona była przecież winna temu, że March przyprowadziła ją do Domu Wiedźm. Zachłyśnięcie się magią było absolutnie nieuniknione, zwłaszcza w jej wypadku. Callen wiedział, że Isel Bini miała mnóstwo kompleksów, a czary nie są pomocne w leczeniu ich, prędzej przeszkadzają. W innych okolicznościach chętnie działałby wraz z March, by pomóc jej przyjaciółce, ale nauczył się, że póki nie rozwiąże się własnych problemów, trudno zajmować się cudzymi.

Światło było zgaszone, a pokój rozjaśniał jedynie malutki, przenośny telewizor, w którym i tak wyświetlały się teraz jedynie niejasne, stłumione obrazy. Callen nie potrzebował lampy, żeby się rozejrzeć. Wymiar astralny zawsze dostarczał wystarczająco dużo eterycznego blasku, by podróżnicy mogli zrozumieć aurę, a rozumieć aurę to o wiele więcej niż po prostu widzieć.

Na biurku Isel widział opakowania po krakersach i niedopitą colę light. Ściany oblepiało mnóstwo plakatów nowoczesnych bandów, których nie znał, jednak przyćmiewał je o wiele większy, choć pojedynczy, plakat Marilyn Monroe. Energia wskazywała, że Isel zawiesiła go z niezwykłą czułością,

podczas gdy pozostałymi nie zwracała sobie już głowy. Callen nie dostrzegł na nich jej aurycznych odcisków.

*Zabawne* – pomyślał, po czym od razu stwierdził, że nie było w tym nic zabawnego. Gdy się urodził, Monroe jeszcze żyła, a gdy umarła, miał tylko dwanaście lat. Teraz teoretycznie miał ich zaledwie szesnaście...

Czego miał szukać? Piątek nie dał mu wyraźnych instrukcji. Mówił tylko, że Isel należy sprawdzić, cokolwiek miało to oznaczać. Callen zaczął od badania aury stolika, na którym urządziła sobie ołtarz. Pełen był przedmiotów, które dostała zapewne w jakimś wysyłkowym sklepie dla samozwańczych wiedźm. Wyglądały całkiem nieźle, ale żaden z nich nie był prawdziwie magiczny. Dziewczyna ich nie poświęciła i choć używała ich często, nie nasiąknęły jeszcze jej energią. Na pewno nie wykorzystwała żadnego do czarów, którymi mogłaby komuś zaszkodzić.

Chłopak rzucił okiem na jej biblioteczkę. Całą półkę zajmowały pozycje, z których przynajmniej połowa miała w tytule *Księgę Cieni*. To oczywiście oznaczało, że do niczego się nie nadawały, ale przynajmniej ich autorzy w co piątym zdaniu pisali, żeby by nie używać czarów *negatywnych*, szkodliwych. Za to miałyby grozić „skutki karmiczne”, coś, co ładnie brzmiało, ale czego oni sami nie rozumieli. Prawdziwe czarownice wcale nie stroniły od szkodliwej magii, choć wiedziały, że za każdą klątwę trzeba zapłacić – nie żadną karmą, ale energią. Większość materiałów Isel można było dostać na rynku dla nieprzynależących, więc z czarostwem nie mogły mieć wiele wspólnego.

A jednak w aurze pokoju coś było. Callen wyczuł to na samym początku, ale odkładał bodźce, by przyjrzeć im się później. Było to coś, w czym nie chciał całkowicie się nurzać. Doświadczenie nauczyło go, by unikać zagłębiania się

w niektóre auryczne doznania, zarówno te wspaniałe, jak i negatywne. Tutaj czuł...

- *Hm...* - próbował mruknąć, lecz jego westchnienie wytworzyło jedynie niknącą wiązkę światła. Ciągłe zapominał, że częścią jego blokady magicznej była niemożność mówienia w świecie astralnym.

Zamknął oczy, by lepiej skupić się na otaczającej go aurze.

Smutek.

Cierpienie. Wewnętrzne, duchowe.

Strach. Przed czym? Czego mogła bać się Isel?

Nie wiedział, był za to pewien tych odczuć. Będzie trzeba naprawdę jej pomóc. Tak, miała kompleksy, ale teraz wiedział już, że chodziło o coś głębszego. W dziewczynie krył się pewien mrok, który otaczał jej umysł. Nie myślała trzeźwo. Właściwie powinien był to zauważyć, gdy tylko ją poznał. Może zresztą zauważył, tylko się nie przejął. Przypuszczał, że się jej spodobał. A w tej chwili, zagłębiając się w jej duszę - choć nieznacznie, tylko na tyle, by dotknąć wierzchołka problemów, nie ich sedna - rozumiał, że Isel wcale nie potrzebowała *jego* uwagi. Chodziło *po prostu* o uwagę. Kogoś. Kogokolwiek.

Samotność. Kolejna rzecz, której posmakował w jej aurze. I wtedy odciął się od niej, bo to uczucie zbyt mocno poruszało struny w jego własnej duszy. Tak długo był samotny, że właściwie mógłby się do tego przyzwyczaić, paradoksalnie samotność stanowiła jego wyłączną towarzyszkę. Ale to nie było coś, do czego da się przywyknąć. W rzeczywistości samotność była pustym mrokiem, pożerającym człowieka dzień po dniu.

Miał dość. Wiedział, co musiał wiedzieć. Isel była niebezpieczna - nie dla nich, ale potencjalnie dla samej siebie.

Spojrzał na telewizor, na którego ekranie obrazy wciąż próbowały przebić się przez coś wyglądającego jak chmara siwych mrówek. Nie był pewien, dlaczego przyciągnęły jego

uwagę. Wpatrywał się w nie przez kilka chwil, poruszony ich hipnotycznym oddziaływaniem. Nie miał pojęcia, co kryje się pod nimi. Bliżej nieokreślone kształty pojawiały się raz po raz na ułamek sekundy. Z czasem zaczęły jednak stawać się coraz wyraźniejsze.

Mrówki nagle znikły. Schowany za nimi obraz w pełni ukształtował się na ekranie. I wtedy Callen nie umiał już odwrócić wzroku.

Co to było? Kto? Na szarym tle widział pojedynczą postać, wychudzoną i bladą, człowieka, tak, lecz w pewien sposób zniekształconego. Trudno było nawet stwierdzić, czy to kobieta, czy mężczyzna, bo obraz urywał się na nagich ramionach. Kamera przeskakiwała, raz po raz ukazując łysą, pokrytą bliznami głowę, potem profil, jeden, drugi, z zapadłymi policzkami. Wreszcie pokazała się też sama twarz: głębokie, brązowe oczy o niewinnym spojrzeniu – ale była to twarz kogoś, komu wyrządzono jakąś krzywdę.

Ciężka energia opadła na Callena, wygaszając zmysły. Wpatrywał się w poranioną postać, a w głowie kołatało mu się tylko jedno słowo. *Więźniowie*. Ludzie przetrzymywani w Komnacie Więźniów wyglądali podobnie do tej chudej istoty.

Nagle poczuł swoje ciało, leżące daleko w świątyni. Wiedział, że przyspiesza mu puls, że oblewa go pot, wiedział, że natychmiast musi wracać. Ale istota z ekranu nie pozwalała mu odejść. Miał wrażenie, jakby potrzebowała jego pomocy. Jak miał jej pomóc? Tego nie wiedział.

Nagle otworzyła usta do krzyku. Niemego, jak na obrazie Muncha. Skóra na jej twarzy zaczęła się marszczyć, a potem odlepiać, jakby trawił ją niewidzialny ogień; ramiona i głowa pokryły się okrągłymi, czarnymi bliznami, a usta otwierały coraz szerzej i szerzej, niemożliwie szeroko, do wrzasku, który – choć niesłyszalny – zdawał się trząść całym domem



w posadach, całym Finfolk. Te usta stały się otchłanią, wielką dziurą, która miała pożreć Callena.

Zaczął walczyć. Było to tym trudniejsze, że nie wiedział, co go atakuje. Przerazająca energia, która zagarnęła cały dom, zgasiła eteryczny blask, zaczęła wysysać jego moc. Miał wrażenie, jakby w zatrważającym tempie się wykrwawiał. Ostatkiem sił zaczerpnął magii, czystej energii, która jeszcze gdzieś się tliła.

Jego ciało zaczęło drzeć, dusza szukała siły. Umysł próbował odnaleźć zatopioną w mroku złotą linię. Callen pochwycił ją eterycznymi rękoma, błyskawicznie przemierzył odległość dzielącą go od Domu Wiedźm i szeroko otworzył usta, już fizyczne, do własnego, urwanego krzyku przerażenia.

Wpadł do ciała jak do schronu, serce tłukło mu się w piersi, w uszach szumiała krew. Ledwo zrozumiał zagłuszony przez nią okrzyk Piątka.

– Cholera! Chcesz umrzeć?! Co ty wyprawiasz?!

Oddychał ciężko, siedząc na ołtarzu i wpatrując się w świątynię, jakby była mu obca. Wśród rozdygotanych świec dostrzegł bladą twarz March.

– Co widziałeś? – Tylko tyle zdołała wykrztusić.

Callen rozchylił usta, ale nie odpowiedział. Jeszcze przed momentem sądził, że coś wie. A teraz nie wiedział już nic.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

„Co widziałeś? Co widziałeś?” Już nie tylko March i Piątek powtarzali to pytanie; Callen sam je sobie zadawał, zdezorientowany siedząc wciąż na ołtarzu. Oddychał coraz spokojniej, próbując dojść do siebie. Choć był już bezpieczny, podskórnie wciąż czuł lęk.

– Tam dzieje się coś niedobrego – oświadczył w końcu. Tej jednej rzeczy był całkiem pewien.

– Mam cię walnąć, żebyś podał konkrety, czy jak? – syknął kot.

Chłopak wstał, potrącając świecę i rozlewając na podłogę воск. Nie do końca rozumiejąc samego siebie, zaczął przechadzać się po świątyni, mimo że posadzka była nieprzyjemnie zimna dla jego bosych stóp. Chyba potrzebował tej małej wędrówki, żeby poukładać własne myśli. A by to zrobić, musiał przeanalizować każdą chwilę i o niej opowiedzieć.

– W jej domu wyraźnie czuć magię, choć Isel brakuje właściwej ochrony. Może niechcący sprowadzić przez to namhajdy.

– To one nie występują tylko w Jaarze? – zdumiała się March.

– Nie wszystkie – wyjaśnił Piątek. – Jak już ci tłumaczyłem, namhajd to nie jest nazwa gatunkowa, tylko jakościowa. Każda istota może stać się jednym z nich, również duchy lub astralne pasożyty.

– Astralne pasożyty?

– Wysysają ludziom energię. No wiesz, trochę jak Strażnicy Koszmarów, ale prościej się ich pozbyć. Są jak zarobaczenie u kotów. Nie żebym miał z tym kiedykolwiek problemy...

– Tak, może właśnie o to chodzi... – mruknął Callen. Nie patrzył na towarzyszy, wciąż zataczając kręgi wokół ołtarza. – Astralny pasożyt. To by wiele tłumaczyło.

– Zaraz dostanę oczopląsu – zdenerwowała się March. – Nie możesz stanąć w miejscu?

– Nie – rzucił beznamiętnie. – Jedna rzecz, o której musimy wiedzieć, to to, że Isel nie zrobi nam krzywdy, a przynajmniej na to się nie zapowiada.

– Od początku byłam tego pewna! – zawołała March.

– Ale krzywda może stać się jej – dodał szybko Callen.

Wtedy March zamarła.

– Jak to: może się...

– W jej domu mieszka coś dziwnego i z pewnością ona sama to sprowadziła, zajmując się magią bez ochronnych amuletów.

– Jeden miała – przypomniał sobie Piątek. – Ale zostawiła go tutaj. Mieliście go pobłogosławić.

Callen machnął ręką, a March złapała się za głowę.

– Faktycznie! Zupełnie o tym zapomniałam. Więc to nasza wina? Gdybyśmy zaklęli ten amulet, nic by jej nie nawiedziło? Ale zaraz, co właściwie tam jest?

Przez kolejną chwilę chłopak tylko spacerował z jednej części kręgu do drugiej. Nic nie mówił. Tak, to oczywiste, że Isel sprowadziła do siebie jakąś energetyczną istotę, ale to nie ta istota stanowiła problem, ale raczej to, czym się żywiła. Dopiero to mogło uczynić ją niebezpieczną – emocje Isel.

– Co tam jest? – powtórzyła March, wyraźnie już zdenerwowana.

Dopiero wtedy Callen się zatrzymał i na nią spojrzął. Musiał na kogoś patrzeć, tak jakby potrzebował zapewnienia, że nie będzie sam, gdy zacznie opowiadać o dziwnej istocie

w odbiorniku. Otwierał i zamykał usta, niepewny, jak ją opisać tak, żeby zrozumieli, żeby poczuli lęk, który i on odczuł. Bo przecież o to chodziło, nie o jej wygląd, ale o przerażenie, jakie wzbudziła – tylko ono faktycznie ją opisywało.

– To było... – Słowa przepływały mu przez głowę: *straszne, okropne, obrzydliwe*. Wszystkie wydawały się infantylne. – Poruszające – oznajmił wreszcie. – Zniewalające... To było... było...

Smutek. Cierpienie. Samotność.

– To było coś, co karmi się jej uczuciami i wygląda jak te uczucia.

– Nie rozumiem – oznajmił chłodno Piątek. – Co to ma niby znaczyć?

Zrezygnowany Callen opowiedział im, jak wyglądała tamta istota. Kilka razy chciał nazwać ją potworem, jednak chyba wcale nim nie była. Jeśli już, to potwór znajdował się w jej głowie i stamtąd ją prześladował. Może dlatego łapała się za twarz, może dlatego jej skóra zaczęła schodzić partiami?

March wyglądała, jakby zalała ją fala niepokoju, który nadal był niczym w porównaniu z tym, co czuł Callen. Nie, tego nie dało się opowiedzieć.

Piątek tylko się namyślał.

– Czyżby fantom? – spytał wreszcie. – Widziałeś go na ekranie, a ekran jest jak lustro, brama.

– Brama? – zdziwiła się March.

– Jest taki stary przesąd, żeby nie uprawiać magii przy odkrytych lustrach i generalnie wszystkim, w czym możesz się odbijać – wyjaśnił kot. – Można wtedy ściągnąć gościa, którego wolałabyś nie zapraszać, na przykład fantom. Dlatego Irma i Cleto zawsze zasłaniały lustro podczas rytuałów.

Callen odszukał w pamięci obrazki fantomów, które widział w książkach o namhajdach. Nigdy nie spotkał takiej istoty na

żywo. Zwykle wyglądały jak chude dzieci z ostrymi zębami. Wtedy jeszcze dało się coś z nimi zrobić. Ale w końcowym stadium przypominały jedynie zasuszone, rozkładające się zwłoki, stąd łatwo było je pomylić ze strzygą.

– Tak, jak fantom – powiedział.

– Co to jest fantom? – spytała March.

– Skradziona energia – wyjaśnił Piątek. – Niektóre istoty są w stanie wykraść moce czarownicom, nazywamy je obcożytami. Nie mają własnej magii, więc próbują odebrać ją innym. Zwykle nie udaje się skraść całej mocy, jej część się odłącza i stopniowo zaczyna przypominać istotę ludzką, choć nie ma ciała, ale jedynie... no, nawet nie ducha, po prostu jest energią. Tylko że jeśli chodzi o...

– O Isel, to nie mamy do czynienia z fantomem – dokończył Callen, z góry odgadując argument kota. – Obcożyty nie atakuje w świecie ludzi, a Isel przecież nie przedostała się do Jaaru. To musi być coś innego, choć wyglądało podobnie do fantomu.

– A więc co? – zapytała March tonem jasno wskazującym, że nie zaakceptuje odpowiedzi *Nie wiem*. Jednak Callen żadnej innej nie mógł jej udzielić.

– Przypuszczam, ale tylko przypuszczam, że jej ukryte lęki zaczęły się materializować w świecie astralnym. On zawsze jest pomieszaniem wielu bodźców. To nie tak, że widzę tylko to, co fizyczne, gdy podróżuję. Na obraz fizyczny zawsze nakłada się obraz energetyczny i duchowy, czasami są bardzo pomieszane. Nie mogę wykluczyć, że to, co widziałem, miało tak naprawdę związek ze mną.

Zawahał się. Ta myśl rozkwitła mu na dobre w głowie dopiero po tym, jak wypowiedział ją na głos. Świat astralny był zagadką, to prawda. Może istota na ekranie stanowiła część jego energii, a nie aury pokoju Isel...

– Cóż – ciągnął powoli – wiemy, że jesteśmy zatopieni w koszmarze. Wyjaśnień może być... kilka. – Właściwie powinien był powiedzieć, że jest ich mnóstwo, zbyt wiele, żeby każdemu dokładnie się przyjrzeć. – Tyle że jeśli chodzi o Isel, jeśli to jej i tylko jej problem, to...

– Musimy wziąć go na siebie – przerwał mu nagle kot.

Ani Callen, ani March nie zaprotestowali. Oboje zrozumieli.

– Tak, to ja ją wprowadziłam do świata magii – oświadczyła dziewczyna. – Mimo waszych ostrzeżeń. Zaczęła ją uprawiać i kto wie, czy nie zainteresowały się nią fery. Przecież mówiłeś, że w aurze jej domu da się wyczuć, że praktykuje... A one tego nie zniosą. Musimy jej pomóc, ja muszę to zrobić.

Callen spojrzał na nią poważnie. Wszystko przestało mieć znaczenie; to, że ostrzegął March i jeszcze niedawno kazał jej samej rozwiązywać swoje kłopoty, już się nie liczyło, złość dawno się ulotniła.

– A ja ci pomogę – obiecał.



March obwiniła się o stan Isel, choć wciąż prawie nic o nim nie wiedziała. Pół nocy spędziła na zastanawianiu się, czy w ogóle zdołają jej pomóc, a gdy wreszcie odpłynęła, wpadła w sen bez snów, choć zachowała część świadomości, zatopionej w ciemnej przestrzeni. Przed siódmą obudziły ją trzaski, jakby ktoś walił w ścianę. Piątek drapał w drzwi jej pokoju, a gdy tylko je otworzyła, zawołał:

– Isel!

– Chryste, co z nią?! – przeraziła się March, pewna, że jeszcze trochę, a naprawdę dostanie zawału.

– Nie wiem. Po prostu dobija się do drzwi, a przecież ja jej nie otworzę. Callen śpi.

Walenie nie ustawało. March zbiegła na dół z duszą na ramieniu i przekręciła klucz. Isel, niezwykle wzburzona, wpadła do środka i oparła rękę o ścianę. Cała była czerwona, a włosy przyklejały się jej do spoconego czoła. Przez kilka chwil jedynie dyszała. March położyła jej rękę na plecach, zastanawiając się, czy wystarczy podać przyjaciółce wodę, czy może potrzebne będzie jakieś specjalne zaklęcie.

– Co jest? – spytała, poklepując ją po ramieniu. – Ktoś cię gonił?

– Ktoś był w moim pokoju – wysapała Isel tonem, z którego trudno było wyczytać, czy jest bardziej przestraszona, czy podekscytowana. – W nocy. Ktoś bezcielesny.

March rzuciła krótkie spojrzenie Piątkowi.

– Zawołaj Callena – poleciła mu. – Chodź, Isel, chyba musisz się napić.

Poprowadziła ją do kuchni i usadziła na krześle. Nalewając wody i podając jej szklankę, biła się z myślami. O kogo chodziło przyjaciółce? O demona, którego Callen spostrzegł na ekranie telewizora, a może o samego chłopaka?

– Nie umiem ci tego dokładnie wytłumaczyć – mówiła Isel. March dopiero wtedy przyjrzała się jej strojowi. Włożyła czarną sukienkę i pełno srebrnych amuletów, usta pomalowała ciemną szminką. Może w tej chwili lepiej było tego nie komentować. – Spałam, ale tak jakby... czujnie. To był jeden ze świadomych snów, wiesz, tych, o których rozmawialiśmy, gdy sądziłam, że jesteś wariatką. – Urwała. – No, to znaczy...

March machnęła ręką.

– Nieważne, mów dalej.

– Paraliż nocny. To było to. Obudziłam się i tak jakby wciąż spałam, nie mogłam się ruszać i po prostu czułam, a raczej byłam pewna, że ktoś jest obok. Nie było to nic wrogiego ani nieprzyjemnego, ale wyraźnie czułam obcą aurę.



A więc nie namhajt – pomyślała March. Wprawdzie nie miała w tym doświadczenia, ale logicznie wydawało się jej, że namhajtjy muszą roztaczać wrogą energię.

– Nie mam tylko pojęcia, kto to był – dokończyła Isel.

Do kuchni wszedł Callen. Miał na sobie pomiętą szatę, w której najwyraźniej spał. W połączeniu z wielkimi kapciami wyglądała co najmniej śmiesznie. Oczywiście miał rozspane i nieudolnie próbował poprawić sobie zmierzwione włosy.

– Hej – mruknął, po czym posłał badawcze spojrzenie March.

– Mamy problem – odparła ta i kazała przyjaciółce raz jeszcze opowiedzieć o nocnym doświadczeniu.

Piątek wskoczył na stół i wpatrywał się uważnie w Isel, a Callen, gdy tylko usłyszał, że dziewczyna wyczuła obecność, usiadł, naraz całkiem rozbudzony.

– Opisz dokładniej, jak ją wyczułaś – poprosił.

– Nie wiem, co tu dodać. Chyba tylko tyle, że nabrałam pewności, że to nie sen, po prostu energia była zbyt wyraźna. Normalnie odrzuciłabym ezoteryczne wytłumaczenia, sama wiesz, March, jak zawsze byłam sceptyczna, ale teraz nie widzę żadnego innego.

– Obecność nie była wroga... – zastanawiał się Piątek. – A czy była całkiem obca? Może ta aura z kimś ci się skojarzyła?

Na czole Isel pojawiła się podłużna zmarszczka.

– No... może...

– Z kim? – spytał natychmiast kot. – To był człowiek, duch?

– Nie znam się na tym. Nie umiałabym tego rozpoznać. Wydaje mi się, że raczej... człowiek, jakiś umysł. Rozumny umysł.

Piątek i Callen wymienili spojrzenia. March zrozumiała, że Isel musiała wyczuć chłopaką. Nie mając zamiaru niczego z nimi konsultować, wypaliła:

– To był on. – Wskazała na Callena, który wytrzeszczył oczy i nagle jakby się skurczył. Isel rozchyliła usta, ale March nie dała jej dojść do słowa. – Rozumiesz, martwiliśmy się o ciebie. Nie odwiedzałaś nas od kilku dni. Sądziliśmy, że coś jest nie tak, a jak człowiek zaczyna zajmować się magią, mogą mu się przytrafić różne rzeczy.

– Różne rzeczy? – powtórzyła Isel. – Myślisz, że jestem głupia i nie potrafię się zabezpieczyć?

March przybrała zakłopotaną minę.

– Hm...

– Przecież znalazłam sobie amulet, znamię diabła, tak? – warknęła Isel. – Prosiłam was, żebyście go pobłogosławili, ale jakoś wam to wyleciało z głowy.

– Mieliśmy sporo spraw...

– Oczywiście, a gruba Isel to najmniej wartościowa z nich.

– Jak możesz tak mówić?! – March wstała, przewracając krzesło, które z głośnym trzaskiem uderzyło w płytki. – Poświęciliśmy ci czas i uwagę, Callen nawet zajrzał do twojego domu, żeby zbadać, czy nie grozi ci niebezpieczeństwo, i...

Isel przewróciła oczami.

– No dobrze już, dobrze – odparła. – Nie grozi. Chronię się na swój sposób. Nie mogłam zwlekać, sami rozumiecie, i zwróciłam się do innych sił.

– Innych sił? – zdumiał się Piątek. – Co masz na myśli?

– Siły duchowe, oczywiście. W międzyczasie próbowałam różnych zaklęć. Sama ochroniłam i pobłogosławiłam swój dom.

– Nie dość silnie – odezwał się Callen. – Osłona wydaje się niezwykle słaba. Bez trudu się przedostałam.

Isel rzuciła mu obrażone spojrzenie.

– Super, włazicie mi do pokoju, do mojej przestrzeni prywatnej, bez pukania? Choćby *astralnego* pukania? –

Całkiem poczerwieniała. – A co, gdybym się, dajmy na to, przebierała?

Callen westchnął, potrząsając głową.

– Odwróciłbym wzrok – odparł. – W świecie astralnym są ciekawsze rzeczy do robienia niż podglądanie kogoś. Tak czy siak, powinnaś poprawić swoje zabezpieczenia.

Isel zaciskała usta, patrząc na niego, jakby miała ochotę mu przyłożyć. Wreszcie wycodziła:

– Trudno, poprawię je, żebyście nie mogli włączyć do mnie, kiedy się wam podoba. Za kogo się w ogóle macie, co?

– Za twoich przyjaciół – odparła March, podnosząc krzesło.

– Świetnie, tylko dlaczego zatajacie przede mną tak wiele spraw? – Isel zaczęła rozglądać się po ich twarzach. – Wiem o waszych wycieczkach do Jaaru. Przecież próbowałam tu wejść, kiedy was nie było. Oczywiście nie przyszło wam do głowy, żeby zaproponować mi wspólne wyjście.

– Miałaś być tu, na miejscu – przypomniała jej March. – Prosiłam cię, żebyś przyglądała się okolicy.

– No i dobrze, robiłam to. Ale tu nie dzieje się nic ciekawego. Przestaję wierzyć w całą tę klątwę, o której mówiliście.

– Zaraz! – podchwycił Callen. – Przecież sama twierdziłaś, że dzieje się coś dziwnego, wtedy, w sklepie?

– Bo może tak mi się wydawało, ale już tak nie sędzę. Zresztą byłam wściekła na te dwie stare szmaty. Ale teraz, skoro obie zdechły, nie ma się czym przejmować.

Naraz krew uderzyła March do głowy; miała wrażenie, jakby ktoś oblał jej twarz czymś gorącym. Nogi się pod nią ugięły, zachwiała się i opadła na krzesło.

– Co? – wyjąkała. – Jak to obie...?

– Nie żyją. I szczerze wam powiem, wcale mnie to nie obchodzi. Sama próbowałam zawiązać im języki magicznie. Może nawet to ja je zabiłam? Jeśli tak, to dobrze, cieszyłabym się.

Zacisnęła usta z nienawiścią, jakiej chyba nikt się po niej nie spodziewał. March kręciło się w głowie od nadmiaru myśli, tak nagłych, że sama za nimi nie nadążała. Isel wydała jej się jeszcze bardziej obca niż ostatnio. Nigdy nie była okrutna! A teraz stała tutaj i zupełnie bez oporów gadała o tym, że cieszyła ją czyjaś śmierć?

– Chwilę – powiedziała March. – Mówisz *je*? Chciałaś związać *im* języki? Przecież stara Connor umarła, zanim w ogóle dowiedziałaś się o magii.

Isel naraz przybrała zszokowaną minę i szybko zaczęła się wykręcać.

– No jasne, tak. Przejęczyłam się. Chodziło mi tylko o Dutcher... To znaczy, Connor też złorzeczyłam, czy jak to się tam nazywa, chciałam, żeby zatkała jadaczkę... Mam na myśli tylko to, że mogłam *niechcący* rzucić jakiś czar, prawda? Bo jestem urodzoną wiedźmą.

Piątek obrzucił spojrzeniem jej strój.

– Tak, jesteś... – mruknął, po czym poważnie dodał: – Nie ma żartów z taką magią. Nie, nikogo nie zabiłaś, ale... – Zawahał się. – Po prostu tego nie rób.

Isel zerwała się i pobiegła ku wyjściu.

– Odwalcie się! Mam gdzieś wasze pouczenia!

Gdy trzasnęła drzwiami, March lekko zadrżała. To nie mogło się dziać, po prostu nie mogło się dziać. Pomyślała o matce, o Callenie, o Isel i wreszcie o samej sobie. O tych wszystkich klepsydrach z jej wizji. Umierali – osoby, których nazwiska były na nich wypisane, umierały.

Piątek machał jej ogonem przed oczami, próbując ją otrzeźwić.

– Hej, to nie twoja wina – mówił tak, jak się tego spodziewała. – Na pewno nie ty zabiłaś tę drugą kobietę. Pamiętaj, już to ustaliliśmy.

Nie pomógł jej. A jednak musiała się otrząsnąć, nie mogła znów pozwolić się dopaść tamtemu stanowi. *Nie, nie ja zabijam. Nie ja.* Z trudem przetrwała rosnący niepokój. *Fakty, teraz liczą się tylko fakty.*

– Tak, tak, jasne – odparła beznamiętnie. – Co z Isel? Mówisz, że to nie ona zabija, ale nie wyklucasz, że może być częściowo winna. Dobrze to zrozumiałam?

Kot westchnął.

– Bo wpadło mi coś do głowy – powiedział. – Ale to ty będziesz umiała najlepiej rozpoznać. Czy Isel zawsze tak się zachowywała? Czy coś jakby w nią... wstąpiło?

– Absolutnie taka nie była. Nigdy nawet nie zakłęta... No, może sporadycznie. I w życiu by nikogo nie nazwała szmata ani nie życzyła mu, żeby zdechnął. Aż do teraz, więc może faktycznie coś w nią wstąpiło... Zaraz! *Wstąpiło?*

Piątek pokiwał głową.

– A więc sądzisz, że to jednak opętanie? – zapytał Callen z niezwykłym spokojem. – Nie wyglądało mi na to.

– *Mamienie.* To inna forma wpływu. Opętany nie ma kontroli nad swoim ciałem, coś innego je przejmuje, za to mamiony jest sterowany z zewnątrz.

– Fery – powiedziała March. – Wiedziałam. To one zabijają ludzi w Finfock, magicznie. Czy to możliwe, że robią to czyimiś rękami?

Po tym pytaniu zapadła nieznośna dla dziewczyny cisza.

– Nie wykluczałem tego... w pierwszej chwili – oznajmił Piątek. – Ale to mi nadal nie gra, bo gdyby fery chciały kogoś zabić, to po pierwsze, dlaczego wybierałyby nieprzynależących? A po drugie, po co wysługiwałyby się kimś innym, skoro same mogą użyć zaklęć?

– A Społeczność? – odparł Callen. – Nie wolno im ot tak zabijać, wybuchłby skandal. Zwalenie wszystkiego na kogoś innego, powiedzmy, Isel, byłoby idealnym rozwiązaniem.

– No okay, ale... pierwsze pytanie: po co zabiłyby te dwie kobiety? One nie były nikim istotnym dla Wyrd.

– Skąd wiesz? Nie znasz historii wszystkich mieszkańców Finfolk. Tutaj każdy może mieć związki z czymś magicznym, nawet jeśli już zapomnianym.

March przenosiła wzrok z jednego na drugiego, czując, jak napięcie znów w niej narasta. Była pewna, że zwariuje, jeśli przyjdzie jej się mierzyć ze strachem, że sama jest winna śmierci mieszkańców, a obrazy zakrwawionych ciał powoli zaczynały już nasuwać się jej przed oczy.

– Co mamy robić? – spytała. – Musimy zakończyć ten koszmar, już, natychmiast. Ale jak?

– Nie wiem – odparł smętnie Piątek.

Callen namyślał się przez chwilę, zaciskając usta.

– Za to ja wiem – odparł.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Umówmy się, nie jest to coś, na co można się przygotować – oznajmił Callen, nim March rzuciła kolejny tego dnia czar ochronny, już ostatni. – Mógłbym ci podać listę połowy niebezpiecznych istot, na jakie można tam natrafić, ale zajęłoby to całą noc, a wszystkiego i tak bym nie wyjaśnił.

Mówiąc *tam*, miał na myśli Puszcę Krzyków, miejsce, którym – zgodnie ze słowami Piątka – wiemy boją się nawet straszyć niegrzeczne dzieci. Nie mówili o niej zbyt wiele, nie przygotowywali się do podróży, poza rzucając tych kilkudziesięciu ochronnych czarów, które znaleźli w zapiskach sióstr Malloway.

Pomysł Callena, by udać się do puszczy, był konsekwencją tego, o czym mówił Isinbir. To tam miało się znajdować rozwiązanie ich problemów, tajemne imię Wyrd. March od samego początku przypuszczała, że czeka ich podróż w to miejsce, jednak ani słowem się o tym nie zająknęła, jakby podświadomie się tej wyprawy obawiała. Choć Puszcę Krzyków znała wyłącznie ze słyszenia, już sama ta nazwa wywoływała w niej lęk, z którego istnienia chyba nie do końca zdawała sobie sprawę, choć jej ciało wciąż reagowało na nią lekkim drżeniem.

Próbowała się z tego śmiać, ale szybko stwierdziła, że tak mogłaby postępować jedynie osoba niewiedząca niczego o magii. A March wiedziała.

Nie byli bezpieczni, nie mogli być. Puszcza Krzyków istniała jakby tylko po to, by nikt nie mógł do końca czuć się bezpieczny w Jaarze. Jedno z zaklęć, które rzucili, miało



sprawić, że przeniosą się jak najbliżej miejsca, w którym Wyrd ukryła imię. Tyle wiedzieli, choć nawet co do tego nie mieli pewności. Trudno było zgadnąć, czy każdy z czarów zadziała. Poza tym nie mieli pojęcia o niczym: w jaki sposób królowa chroniła imię, czy było gdzieś wyryte, czy można było zyskać do niego dostęp w jakiś inny sposób.

– Trzy okrażenia, tak? – spytała March, kreśląc nad głową kręgi przy pomocy athame. – I co mam mówić?

Callen podyktował jej słowa zaklęcia, które powtarzała, wyobrażając sobie, jak w jej aurę wnika złocista energia.

*Odegnaj ode mnie mrok,  
Niech zło odwróci wzrok.  
Pozwól bezpiecznie przejść,  
Gdziekolwiek powiodą nogi.  
Gdy w sercu zrodzi się lęk,  
Nie daj mi zgubić drogi.*

Brzmiało to jak dziecięca rymowanka, a mimo to March wypowiedziała te słowa z namaszczeniem, jakby od nich miało zależeć jej życie. Tak, wybranie się do Puszczy Krzyków było najgorszym z możliwych pomysłów. Tylko że nie mogli beczynn timer tu stać, gdy piętrzyły się problemy, a ostatecznie odwiedzenie nawet najpotworniejszych miejsc wydawało się lepsze od bycia zżeranym powoli przez klątwę królowej Aislingen.

Nad głową Callena March zataczała krąg powoli, jak gdyby chcąc odroczyć moment samego przejścia do puszczy. Piątek uważnie ich obserwował, a gdy skończyli, zaczął wypytywać o rzucone zaklęcia.

– Niewidzialność dla demonów, jest – mówił. – Na niektóre zadziała. Neutralizacja zapachu magii, odhaczona. Gaz miętowy na trolle macie w plecaku. No, ale one i tak boją się

zapuszczać w sam środek puszczy, więc nie trzeba się ich bać. Coś srebrnego przeciw wilkołakom, coś złotego przeciw wampirom... Okay, na dobrą sprawę tam zagląдают tylko przedstawiciele najpotężniejszych uli, ale oni nie pijają krwi. Nie potrzebują jej. Powinni dać wam spokój, choć przyznaję, że lubią pofilozofować, co bywa denerwujące.

Westchnął, patrząc na nich wzrokiem, który March kojarzył się jedynie z zatroskaną opiekunką.

– Święta Matko – jęknął. – Tylko nie zgińcie, dobrze?

Atmosfera w Domu Wiedźm pozostawała grobowa i jego półzarty nie mogły niczego zmienić, zwłaszcza gdy wypowiadał je głosem tak załamany, jakby już nie żył.

– Wiecie, że jeśli nie wrócicie w ciągu...

– Trzech godzin, będziesz musiał zaryglować drzwi – dokończyła za niego March. – Wiemy.

Doskonale pamiętała, co Irma i Cleto napisały *à propos* przejścia do Puszczy Krzyku. *Po powrocie zamknąć na trzynaście spustów. W razie gdyby wędrowiec nie wracał, zamknąć i tak – najpewniej zginął.* Dlatego z rosnącym strachem spoglądała w stronę okrągłych drzwi, pokrytych olbrzymią siatką przypominającą pajęczą nić. Był to symbol ochronny, coś w stylu ogromnego łapacza snów.

– March? – Callen spojrzał na nią znacząco. Wyciągnął dłoń. Musieli się chwycić, bo gdyby cokolwiek ich rozdzieliło, chłopaka czekałaby śmierć. Zresztą ona bez jego pomocy też nie dałaby sobie rady.

W jednej ręce ścisnęła athame, w drugiej jego dłoń. Nie odzywali się, podchodząc do drzwi. Callen, nim je otworzył, jedynie wzrokiem zdawał się ją pytać, czy jest w stu procentach pewna. Jasne, że nie była. I jasne, że nie miała wyboru.

– Otwórz – szepnęła.

To przejście nie otwierało się jak zwykle drzwi. Callen musiał kilka razy zastukać w środek, z którego rozchodziły się liczne odnogi pajęczyny. Gdy to zrobił, cienkie nitki zaśniły jasnym, srebrnym światłem. Potem, bezszelestnie, drzwi poruszyły się i powoli opadły.

Ze środka wyglądał mrok tak nieprzenikniony, że zdawało się, jakby pochodził z samego serca najciemniejszej nocy. March już nieraz miała wrażenie, że w ciemności coś żyje, ale tym razem był w tym pewien paradoks. Z jednej strony poczuła, że w mroku czai się wiele różnych istot. Ich aury były wyraźne, część emanowała smutkiem, część strachem, inne nienawiścią lub widmem... śmierci, ale nie tylko, również czegoś o wiele gorszego od śmierci, paniki, bólu, beznadziei. I pustki. Tak, była w tym również pustka – pomimo tych wyraźnych obecności March miała wrażenie, że zaraz wkroczy w pustkę.

I tak właśnie się stało, gdy wraz z Callenem wykonała pierwszy krok. Po chwili dryfowali już w morzu mroku, śmierdzącym, duszącym. March jeszcze mocniej ścisnęła zarówno athame, jak i dłoń towarzysza. Oddychała z trudem. Naraz wydało jej się, że wszystkie koszmary, które zsyłały na nią jeszcze do niedawna fery, były niczym w porównaniu z tym, z czym będzie musiała się zmierzyć tutaj.

Ciemność nie ustępowała, panowała długo, stanowczo zbyt długo. March zaczynała sądzić, że zrobili coś źle, że przenieśli się w inne miejsce lub nawet wpadli w niebyt. *Na co myśmy się porwali? Co sobie wyobrażaliśmy?*

Światło zajaśniało nagle. Był to jeden, pojedynczy blask, niczym cienka błyskawica. Przez ułamek sekundy dziewczyna widziała las z potężnymi drzewami, które wyglądały jak zaschnięte, ludzkie ciała, wbite w ziemię groteskowe figury. Oślepiąca blaskiem, po chwili znów zatoneła w pełnym mroku.

Czuła zarówno ciepłą dłoń Callena, jak i rękojeść scyzoryka.

– J-jesteś? – wyjąkała, zdumiona wysiłkiem, jaki musiała włożyć w to, by się odezwać. Nic się nie działo, było nad wyraz cicho, a jednak strach ścisnął jej gardło tak mocno, jakby za nią znajdowało się coś, co próbowało ją udusić.

– Jestem – odparł Callen, sprawiając, że wszystko na moment stało się łatwiejsze do zniesienia. Ale nie na długo, bo panująca tu atmosfera zdawała się gasić każdy przejaw pozytywnych odczuć, ulgi czy ciepła, szczęście wydawało się równie odległe co zgaszone gwiazdy. Tylko strach... To była jedyna rzecz, jaka naprawdę tu pasowała. I żeby móc się w nim poruszać, trzeba było spróbować go przewyciężyć.

– Dobrze trafiliśmy, prawda? – szepnęła March, niepewna, przed czym zachowuje tak daleko posuniętą ostrożność. Nie drgnęła dłonią czy stopą i nawet ustami ledwie poruszała, tylko na tyle, żeby Callen zdołał ją usłyszeć.

– Tak – odparł. – Chyba czujesz.

– Czuję. Ale... gdzie ono może być? To imię... Jak do niego trafić?

Chłopak, który również trwał bez ruchu, nie odpowiedział. Stali jeszcze kilka chwil, każde czekało, aż to drugie podejmie decyzję za oboje.

– Zapal światło u czubka athame – poprosił wreszcie Callen.

March wiedziała, jak to zrobić, a przynajmniej zdawało jej się, że wie – jeszcze nim tu przybyli, wiedziała to na pewno. *Tylko trochę mocy, niech rozbłyśnie jak żarówka* – przypomniała sobie, jak podczas którejś z lekcji o energii uczył ją tego Isinbir.

Zamknęła oczy, co w tych okolicznościach było raczej zbyt ciche, i skupiając moc w okolicach brzucha, zaczerpnęła z niego nieco siły. Słaba energia przepłynęła przez jej rękę i zajaśniała na ostrzu bladym światłem.

– Nie zobaczą nas, prawda? – upewniła się March.

– Nie, zakłęcie niewidzialności sprawia, że tylko my dostrzegamy to światło i siebie nawzajem. Nie bój się.

*Nie bój się.* Trudno było spełnić prośbę Callena, skoro on sam się trząsał. March przeszło nagle zimno, gdy puścił jej dłoń, by spojrzeć na mapę, którą zrobili przed wyruszeniem. Nie przypominała zwyczajnych map. Piątek nazwał ją mapą myśli, a żeby ją stworzyć, musieli na zaklętym pergaminie spisać wszystko, co wiedzieli na temat miejsca, w którym Wyrd mogła ukryć swoje imię. W miarę jak to robili, ich słowa wsiąkały w papier i tworzyły coś na wzór labiryntu. Od samego początku trudno było im się w nim zorientować; teraz było tylko gorzej. Pochylali się oboje nad pergaminem, który jaśniał pod wpływem dotyku, i ponownie studiowali skomplikowane linie. Nie mieli do czego ich odnieść, skoro puszca pozostawała zupełnie ciemna.

– Gdzie właściwie jesteśmy? – spytała March. Zamiast Callena odpowiedziała jej mapa. Niemal w samym środku labiryntu pojawiły się dwie ciemne kropki. – To my? – upewniła się.

– Tak.

Odwróciła się w prawo i w lewo, by oświetlić przestrzeń.

– Sądziłam, że będzie tu wyglądać bardziej jak na mapie. Ona pokazuje ścieżki.

– To ścieżki energetyczne, coś w rodzaju radarów zabezpieczających w muzeach. Nie widać ich gołym okiem, ale trzeba je znać, żeby wiedzieć, na którą wejść, a której unikać. Mapa pokazuje oczywiście tylko te, które zaprowadzą nas do celu.

Cel był blisko. Z rysunku wynikało, że znajdują się zaledwie kilkadziesiąt metrów od niego. Ale dlaczego? Czyżby Wyrd nie dość się zabezpieczyła? Spodziewali się, że mimo zaklęcia, które miało przenieść ich jak najbliżej skrytki królowej, jej magia utrudni im zadanie.

– Czyli, jak rozumiem – powiedziała March, sunąc palcem po mapie – powinniśmy pójść gdzieś tu, a potem...

Szelest. Natychmiast zamarła. Nie wiedziała, dlaczego tak ją poruszył, może dlatego, że dotąd panowała tu głucha cisza.

Callen również wyglądał na zaniepokojonego. Jego oczy powiększyły się w padającym mu na twarz świetle athame. Oboje musieli nieco odczekać, nim wrócili do rozmowy.

– Okay – zaczęła znów March. – Jeśli pójdziemy w...

Znów szelest. Tym razem towarzyszył mu dobiegający z oddali szept. March za bardzo się bała, by się rozejrzeć.

– Ktoś tu jest... – wyjąkała.

Callen milczał. Jego strach był jednak tak wyraźny, że March miała wrażenie, jakby fizycznie go odczuła. A może była to obecność czegoś innego?

Skierowała athame przed siebie. Nie wiedziała dlaczego, to było tak, jakby jej ręka sama pokierowała ją w tę stronę. Białe światło, przygaszone jej lękiem, padło na drzewa. Szelest, teraz bardziej przypominający już głos, znów się rozległ. Przeciągły, pełen rozpaczy, powtarzał jedno i to samo zdanie. Zdanie w obcym, niezrozumiałym języku.

Między drzewami zajaśniała jakaś postać. Pojawiła się zniecka, skąpiana w bladobłękitnej, niemal białej poświacie. Przez chwilę March zdawało się, że jest skuta lodem, poruszała się zresztą tak, jakby coś blokowało jej ruchy. Jeszcze nie widzieli jej twarzy, była zbyt daleko. Wyraźnie zbliżała się jednak w ich kierunku.

Dłoń Callena powędrowała ku March; przez kilka chwil szukał palcami jej palców, a gdy je połączyli, ścisnęli się tak mocno, że prawie syknęła. Ale ból nie miał znaczenia – gdyby mogła, chwyciłaby chłopaka jeszcze silniej.

*Co to jest, co to jest?* – myślała w panice. Nie ruszyli się, teoretycznie byli bezpieczni, skoro nic nie miało ich zobaczyć. Zresztą wcale nie wyglądało na to, że postać ich dostrzegła.

Wydawała się bezwładna. Coś innego, nie ona sama, rządziło jej ciałem.

Wciąż tylko szeptała te same słowa. March wreszcie zaczęła lepiej słyszeć dźwięki. Choć nadal ich nie rozumiała, postać wypowiedziała je tyle razy, że dziewczyna bez problemu umiałaby je powtórzyć.

*Erh sehrirer em.*

Brzmiały niczym powiew wiatru, mroźnego, który przeszywał ją na wskroś.

*Erh sehrirer em, tirnan-sem bhar.*

To nie była łacina, to nie był żaden znany jej język. Z czasem słowa zaczęły brzmieć melodyjnie.

– Czy ona... czy ona rzuca na nas zaklęcie? – wyjąkała.

Callen otworzył usta, z których dobieła się jedynie mgiełka. Wszystko stało się naraz tak zimne, jakby powietrze zamieniło się w lód.

Serce podskoczyło March do gardła. Postać znajdowała się na tyle blisko, że dziewczyna wiedziała już, kim była. Ferinią. Jej połamane skrzydła zwisały z ramion jak potargane szmaty, chude ręce, w których coś trzymała, trzęsły się, a usta, wykrzywione przez szloch, wciąż powtarzały słowa, które brzmiały tak strasznie.

*Erh sehrirer em, tirnan-sem bhar.*

*Erh sehrirer em, tirnan-sem bhar.*

March z trudem oderwała od niej wzrok, by spojrzeć na Callena.

– Nie ruszaj się – poprosił niemal bezgłośnie. – Ona nas nie widzi, ale może wyczuć, jeśli się poruszymy. To duch.

– C-co? – wyszeptała.

Ale tak, teraz widziała to wyraźniej. Ferini była martwa. Poruszała się, to prawda, lecz w jej aurze, która ogarnęła całą przestrzeń, było coś tak zimnego jak sama śmierć, pustego, ostatecznego.

– Co ona mówi? – spytała March.

– Zabili go, bo był Tirnaninem – odparł Callen.

Cokolwiek to miało znaczyć, już nie dopytywała, bo zjawa była za blisko. I dopiero gdy znalazła się na wyciągnięcie ręki, March poraził strach, od którego mogłaby zemdleć.

Szczęka ferini drżała nie tylko od szlochu. Zjawa wyglądała, jakby zaraz miała się rozpaść, jakby całe to niematerialne ciało miało się skruszyć. Ledwo powłóczyła nogami, a tym, co ścisnęła w rękach, było...

March z trudem powstrzymała krzyk.

Duch niósł ze sobą serce, jeszcze żywe, bijące, obleczone tą samą bladą łuną, co on. Poruszało się bezgłośnie, miarowo, a ferini niosła je z nabożnością.

*Erh sehrirer em, tirnan-sem bhar.*

Była zbyt blisko. Jej oczy znalazły się na wysokości oczu March. Zjawa szła wprost na dziewczynę, która była pewna, że dłużej tego nie wytrzyma. Nie mogła, musiała stąd uciec. Ale nie zrobiła tego, zbyt przerażona, że jeśli się ruszy, duch faktycznie ją dostrzeże.

Wreszcie zjawa przeszła, nie obok nich, ale *przez* nich. March zdawało się, że ktoś przelewa przez jej wnętrze lodowatą wodę, mętną i cuchnącą. Miała zamknięte oczy, gdy ferini przenikała jej aurę, jej ciało. Otworzyła je gwałtownie, kiedy tuż za plecami usłyszała krzyk.

Nie zdołała się powstrzymać. Odwróciła się machinalnie. Callen również.

Zjawa klęczała, wydając z siebie żalosny głos. Cierpiała, to nie ulegało wątpliwości – cierpiała tak, jakby skupiła się w niej cała beznadzieja świata.

A potem się rozpadła: jej skrzydła całkiem się pokruszyły, włosy wypadły, skóra się zmarszczyła. Wciąż ścisnąc serce, ferini upadła na ziemię, zamieniając się w proch.



Jeszcze przez długi czas po tym, jak znikła, serce March waliło jak oszalałe.

– N-nie mogę, musimy wrócić – niemal błagała Callena. Ale on nie mógł na to pozwolić.

– Nie, March, musimy iść dalej. Musimy...

Położył dłonie na jej ramionach. Krótka czuła jego ciepło, bo po chwili atmosfera, która ledwo zaczęła się rozrzedzać, znów stała się mroźna, jeszcze mroźniejsza niż przedtem. March wiedziała, co to oznacza, jeszcze nim spojrzała w stronę, z której nadeszła zjawa. Wszystkie zmysły zdawały się krzyczeć: „Nie odwracaj się”, ale instynkt kazał jej zrobić co innego.

Tym razem krzyknęła. Nie wiedziała, czy ktokolwiek ją usłyszał. Żaden z kolejnych duchów nie wydawał się jednak zwracać na to uwagi. A było ich mnóstwo, zjawy wychylały się zza każdego drzewa i w makabrycznym pochodzie zbliżały się do przybyszów. Nie tylko fery, ale również ludzie. Ci ostatni zresztą przeważali. Kobiety, mężczyźni, dzieci... wszyscy tak oddaleni od życia, jakby nigdy tak naprawdę go nie przeżywali. Niektórzy jęczeli, inni szli w milczeniu, niemo zgadzając się na swój los. Z oczu wielu płynęły łzy.

March odwróciła się w stronę Callena i po prostu się w niego wtuliła. Sama chciała płakać, nie potrafiła już opanować drżenia. Nie wiedziała, co dzieje się z jej ciałem, traciła nad nim kontrolę.

Chłopak objął ją mocno. Lodowate, eteryczne zjawy przenikały przez nich bezwiednie i upadały, jakby porażone ich krwią, ich życiem. Towarzyszyły temu krzyki i bliżej nieokreślone odgłosy, duszenie się, zawodzenie, wołania w różnych językach.

Pochód kroczył przed siebie długo, bardzo długo. Wreszcie ostatni z duchów, szurając czymś, może łańcuchem, zniknął.

Zjawy nie pozostawiły po sobie żadnego śladu – żadnego, oprócz rozdygotanych ciał wciąż wtulonych w siebie March i Callena.

– Już... już ich nie ma – powiedział chłopak, ujmując dłońmi zapłakaną twarz March. – Już znikli.

Ona wciąż miała jednak wrażenie, że tu są, że nie mogli odejść. Przecież były istotami ponadczasowymi, być może skazanymi na wieczne przebywanie w tym miejscu. Mogły się gdzieś ukryć, stać niewidzialnymi...

Ale Callen miał rację. Powietrze nie było już tak zimne, właściwie wydało się nawet ciepłe w porównaniu z mrozem, jaki przed chwilą w nim panował. March nie sądziła, że zdoła jeszcze poczuć ulgę. Mimo to jej doświadczyła – ulgi kogoś, kto, choć znajduje się w najgorszym położeniu, cieszy się, że nie dopadło go coś jeszcze straszniejszego. Duchy przecież mogły ich zabić, mogły zabrać ze sobą.

– To były cienie – oznajmił Callen. Obejmował March, wysyłając jej tyle ciepła, ile tylko zdołał. – Wiesz, one... nazywa się je duchami, ale to bardziej wspomnienia po zmarłych. To na pewno jedna z pułapek Wyrd. Trzeba było się tego spodziewać. Po prostu... nie dajmy się temu. Nie dajmy się.

– Jeśli to pierwsza zasadzka, boję się myśleć o kolejnych.

– Daj spokój. – Callen spróbował się zaśmiać, co wcale mu nie wyszło. – Jesteś przecież odważna, odważniejsza ode mnie, co nie?

Dał jej kuksańca.

– Idziemy – zdecydował, ponownie biorąc ją za rękę. – Musimy iść dalej.

Pokiwała głową.

– Idziemy.

Musiała być odważna. Tylko tak mogła pokonać mrok.



Szli powoli, spięci, niespokojnie rozglądając się na boki. Choć mapa wskazywała krótką drogę, ta zdawała się wydłużać za każdym razem, gdy gdzieś w oddali słychać było szelest lub pohukiwanie. Las ich obserwował, czekał, aż powinie im się noga. Lęk sprawiał, że błędzili jak po ruchomych piaskach.

Ciepło dłoni Callena było jedyną ostoją, jedyną rzeczą, dzięki której March czuła się jeszcze mniej więcej bezpiecznie. Gdy zagłębiali się w ponury las, próbowała walczyć z nawracającymi obrazami zjaw, ale im dłużej ją atakowały, tym silniej zaczynała się zastanawiać, czego naprawdę się bała.

Duchy? Nie, nie chodziło o to, co widziała. Lęk nie płynął od tych istot, ale z niej samej.

Cierpienie. To przyniosły ze sobą zjawy. Cierpienie, które wiązało się z czymś, co im zrobiono. Skąd wzięły się te *cienie*, jak nazwał je Callen? March tak bardzo kojarzyły się z więźniami Wyrd, choć straszniejszymi, bo już nie żywymi, ale takimi, którym nie można było pomóc. A może nie byli wcale więźniami królowej, tylko czasu, który ich tu trzymał, wspomnień niepozwalających przejść na drugą stronę, czymkolwiek ona była. Albo bali się umrzeć całkowicie, zostawić świadomość i po prostu... zniknąć.

Zniknąć.

Zniknąć.

March się zatrzęsła. To ona się tego bała. Zniknięcia. Tutaj, gdzie śmierć była tak blisko – bo przecież była, nie dało się temu zaprzeczyć – pustka i ciemność przerażały ją bardziej, niż mogłyby przerazić duchy.

– Wszystko w porządku? – spytał Callen.

Mówienie o tym było dla March bez sensu.

– Kim oni byli? – odpowiedziała pytaniem. – Te cienie? Należeli do...

– Przypuszczam, że do ofiar puszczy. Nie patrzyłaś na nich, prawda? Ja też się tego bałem, ale kilka razy otworzyłem oczy. To nie był przyjemny widok. A najbardziej żał mi tych dzieci...

– Callen westchnął. – Puszcza nie oszczędza nikogo. To straszne, że jako czarownicy nie możemy uchronić ludzi przed śmiercią tutaj.

– Ale to niesprawiedliwe – jęknęła March, przerażona wizją niewinnych zaklętych w tym okrutnym stanie. – Dlaczego ktoś ma cierpieć za to, że... tylko dlatego, że tu przybył i zginął?

– Wiesz, świat... świat ludzi... na pewno nie jest sprawiedliwy. Bywa piękny, ale nie jest sprawiedliwy, co zresztą leży w ludzkiej naturze i co widać, gdy patrzy się na naszą Społeczność. Czasami myślę, że Jaar też nie jest sprawiedliwy. Może dlatego, że ludzie go odwiedzają, zmieniają jego strukturę energetyczną.

– Mówiłeś, że Puszcza Krzyków istnieje od dawna, dłużej niż ludzie.

– Tak, ale nie mówię teraz o niej, tylko bardziej ogólnie. Zresztą może to wszystko, to zło, pochodzi od kogoś innego.

*Diabła* – pomyślała March, już wcale niezażenowana swoim przesadnym myśleniem. Tutaj miała do niego prawo.

– W każdym razie nie myśl, że cienie to cierpiące dusze. To raczej wspomnienia osobowości, pewnych wydarzeń, może są częściami osób, które straciły tu życie, ale to nie ich prawdziwe dusze. Te prawdziwe... cóż, one po śmierci idą dalej, żyją dalej.

– Wcale w to nie wierzę – rzuciła March z pewną agresją, łapiąc się na tym, że chciała chyba w ten sposób zranić chłopaka, zarazić go swoim pesymizmem.

*Zniknąć...* Tak, bała się tej pustki, która tutaj stawała się namacalna.

Więcej się nie odzywała. Pozwoliła prowadzić się Callenowi, który trzymał mapę. Przyjemnie było móc choć raz zdać się na kogoś innego. Szelesty w oddali wciąż rozbrzmiewały, wciąż wywoływały dreszcze. Ale teraz March szukała źródła lęku w samej sobie, nie w nich. *Ciekawe ćwiczenie* – uznała. Isinbir byłby z niej dumny. Oczywiście dopiero po tym, jak zabiłby ją za wyruszenie do puszczy mimo jego przestrogi.

Miała wrażenie, że Callen jedynie udaje, że rozumie mapę. Co i rusz kazał jej się zatrzymywać i uważać, choć nie dostrzegła żadnego zagrożenia. Czasem, mimo że przestrzeń pozostawała otwarta, czuła się, jakby musiała się przeciskać ciasnym tunelem. Gdy dotarli wreszcie do niewielkiej pieczary, przyjęła to niemal ze zdumieniem. Jednocześnie uświadomiła sobie, że może istnieć jeszcze głębszy mrok niż ten, w którym pograżyli się po przybyciu tutaj.

Ciemne niebo wydawało się nabierać barw w porównaniu z otworem pieczary, z którego ciemność wypełzała niczym śliski gad. Była duszna, ciężka i jakby... matowa, wyjałowiona. W środku nie było żadnego życia, March nie wyczuła niczyjej obecności.

– Ten potwór... – zaczęła. – Ten, który miał pilnować imienia. Co to może być?

Callen utkwiał spojrzenie w mroku, którego nie rozproszył blask athame.

– Nie wiem – powiedział tylko. – Nie wiem.

To miało być coś, na co nie mogli się przygotować. Zamiarem Wyrd z pewnością było zaskoczenie każdego, kto zechce wykraść jej sekret. Ale...

– Koszmary – wyszeptała March. Powtarzała to słowo w ostatnim czasie tak często, że stało się powszednie, choć nabrało nowego wymiaru. Koszmary były żywe, były w pewien sposób prawdziwe, miały swoją osobowość i żywiły się lękami. Co innego mogłoby czekać w jaskini, jeśli nie one? Jaką inną

pułapkę mogłaby zastawić na swych wrogów królowa ferów, władczyni koszmarów?

– Koszmary? – powtórzył Callen. – Tak, pewnie tak.

March ruszyła w stronę otworu. Mierzyła się już z koszmarami. Nie musiała się bać.

– Ty powinieneś zostać – zwróciła się do Callena.

– Co? – zdumiał się. – Chyba żartujesz.

– Nie. Pamiętasz, jak podziały na ciebie w Aislingen, w Komnacie Więźniów? Nie wiem, czy będziesz umiał sobie poradzić, jeśli...

– Nie ma mowy, żebym cię zostawił – przerwał jej, po czym szybko dodał: – I nie ma mowy, żebyś ty zostawiła mnie. Osobno zginiemy.

– Razem też możemy...

– Ale będzie nam różnie. – Callen głupkowato się zaśmiał

March nie podzielała jego poczucia humoru. Na pewno nie miała zamiaru umierać. Nie, ona zamierzała przeżyć, a jeśli ktoś musiał zginąć, to Wyrd. Prawie zapomniała, jak jej nienawidzi. Teraz to ta nienawiść pchnęła ją w stronę pieczary.

Callen natychmiast do niej doskoczył, ale tym razem nie podała mu ręki. Włożyła dłoń w mrok. Chciała zbadać jego strukturę. Był... inny, czuła go, a właściwie czuła jego energię. Cząsteczki lepiły się niczym skrzepnięta krew, pamiętały czasy tak odległe, że dziewczynie wydawały się snem lub wyobrażeniem. Postawiła stopę przed siebie. Oświetlenie pieczary za pomocą magii było na nic. Ciemność natychmiast pożerała światło.

Nagle coś poruszyło się głęboko w jamie. Nie usłyszała tego fizycznie, poczuła raczej zmianę w energii, jakby wraz z poruszeniem się tej istoty zafalował sam mrok.

Zamarła. Czas spowolnił. W ułamku sekundy, która rozciągała się na wszystkie strony, na całą puszcę, March próbowała walczyć z kolejną falą paralizującego strachu.

Wiedziała, co się stanie, na moment, nim faktycznie się wydarzyło. Instynkt podpowiadał jej ucieczkę, tyle że na nią było już za późno.

Z gęstego mroku jak zza zasłony wychynęła dłoń, pomarszczona, niemal całkiem biała, ale ludzka, o długich, powykrzywianych palcach. Macała ziemię, jak gdyby ten, do kogo należała, chciał się upewnić, że może bezpiecznie wyjść.

Potem pojawiła się kolejna, identyczna ręka. Callen i March cofnęli się o kilka kroków, ale nie uciekali ani nie wtulali się w siebie. Tym razem zagrożenie wydawało się zbyt wielkie, by odwracać od niego wzrok. To była istota fizyczna.

Istota... lub coś, co nawet nie zasługiwało na to miano. Z ciemności wyłoniła się jeszcze jedna dłoń, a potem kolejna, wreszcie również noga, wygięta jak u zwierzęcia. A potem...

March zakryła usta ręką, Callen cofnął się, wydając okrzyk przerażenia.

Potwór, który opuścił pieczarę, przypominał masę stworzoną z ludzkich kończyn, pozszywanych ze sobą bez namysłu, skradzionych być może wielu osobom i połączonych pewnie za karę. Nie miał tułowia, chyba że krył się on pod płataniną rąk i nóg. Stwór poruszał się jak pająk. Z ran pozostałych po zszyciach ud i ramion sączyła się krew.

March nie słyszała już bicia swojego serca, być może nawet stanęło. Tym, co czuła, nie był już chyba nawet strach. Jej własne zmysły poplątały się i wygasły. Teraz liczyło się jedynie ciało – zimny pot, który je oblewał, trzęsące się nogi, ból w klatce piersiowej. Tylko to czuła, gdy potwór zmierzał w ich kierunku. Niewidzialność na nic się zdała, skoro on i tak nie używał wzroku.

Callena równie dobrze mogłoby nie być. Wyciągnął dłoń i znów ścisnął March, ale ta miała wrażenie, że jego świadomość się ulotniła. Otwierał tylko szeroko oczy, chyba nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

March nie wiedziała, co sprawiło, że uniosła athame. Z czubka wystrzeliło kilka iskier. Zdezorientowany potwór odskoczył, a potem wszystkimi rękoma i nogami zaczął badać przestrzeń. Wbijał stopy głęboko w ziemię, unosił dłonie i zaciskał palce, jak gdyby próbował pochwycić nimi powietrze. Być może nie miał żadnych zmysłów oprócz dotyku, ale ten jeden zdawał się funkcjonować doskonale. Potwór napiął nogi i w mgnieniu oka rzucił się na nich.

Kontrolę przejęło ciało. March miała wrażenie, że jej świadomość została jeszcze przy pieczarze, gdy rozpędzone nogi gnały w niewiadomym kierunku. Dopiero po kilku chwilach zdała sobie sprawę, że krzyk przerażenia, który dźwięczał jej w uszach, wydał Callen. Chłopak ścisnął jej dłoń tak mocno, że prawie miażdżył palce. Zresztą ona robiła to samo z jego ręką. Zarazem czuła to, jak i tego nie czuła. Instynkt przetrwania był zbyt silny, silniejszy niż rozum, silniejszy niż magia.

Magia!

Zdolność do czarów zakotwiczyła się chyba w jej podświadomości. Strumień światła nieprzerwanie płynący z athame stał się jaskrawszy, dłoń March sama powędrowała w stronę potwora i mimo że dziewczyna nie odwracała głowy, jakimś cudem wycelowała prosto w niego.

– Ach! – krzyknęła. Chciała krzyczeć mocniej, głośniejsze, bo jej ciało zalał ból, któremu nie umiała się oprzeć, żywy, straszny ogień. Ostatkiem świadomej myśli, a może mocą czegoś wyższego, skierowała energię w stronę ostrza. Ból spłynął z ciała do ręki, co przypominało obmywanie się w czymś chłodnym. Gdy magia wybuchła, całą przestrzeń rozświetlił blask.

Callen się zatrzymał. On pierwszy zdał sobie sprawę z tego, co się stało. March, która dalej próbowała biec, poczuła szarpnięcie. Syknęła z bólu. Myśli, które naraz wróciły do jej



głowy, wyparowały tak szybko, jak się pojawiły, gdy spojrzała na potwora.

A potwór płonął. Nie miał ust, którymi mógłby krzyczeć, przez co jego cierpienie pewnie tylko się zwiększało. Wił się, kurczył mięśnie, wbijał paznokcie dłoni w nogi. Swąd unoszący się z jego ciała był tak paskudny, że March zebrało się na wymioty. Odwróciła głowę, puściła dłoń Callena i oddaliła się o kilka kroków.

Jej wnętrzności wywracały się na drugą stronę, żołądek bolał ją tak bardzo, jakby coś w nim pękło. Ale mimo wszystko nie zwymiotowała. Coś ją paraliżowało.

Potwór wreszcie padł, ogień trawił go nadal, na ciele pojawiły się obrzydliwe pęcherze. March nie chciała na to patrzeć. Była pewna, że już więcej nie zniesie. Nie umiała wrócić do pieczary. Oparła się o Callena, który dyszał ciężko ni to z ulgą, ni to ze strachu.

– A więc zabiliście Milczenie – zadrwił ktoś.

Głos wybrzmiał gdzieś blisko, choć w pierwszej chwili wydał się odległy. Może dlatego, że March nie spodziewała się spotkać osoby, do której należał. Nim jej zmysły go zlokalizowały i odwróciła się za siebie, w głowie miała już obraz różowej ferini.

Callen zaklął.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Leila stała wysoko, na grubej gałęzi drzewa, w rozkroku i z założonymi rękoma. Z jej skrzydeł bił blask otaczający całą sylwetkę, a na twarzy wyraźnie malowała się satysfakcja. March dostrzegła na jej policzku wypalony ślad, pozostałość po walce, którą stoczyły kilka miesięcy temu.

– Milczenie było tylko jednym z wielu przeciwników – powiedziała ferini, zeskakując z drzewa. Machając skrzydłami, powoli opadła na ziemię. Uśmiechnęła się szyderczo. – Jednym z wielu, które na was jeszcze czekają. – Wykonała ruch, jakby zdejmowała wiszącą w powietrzu zasłonę. March naraz poczuła się obnażona, jakby usunięto część jej aury. – Czar niewidzialności? Żałosne. Chyba nie sądziliście, że nie można sobie z nim poradzić?

March się nie bała. Właściwie to, że zobaczyli ferinię zamiast kolejnej bestii, przyniosło jej ulgę. Wycelowała athame w Leilę.

– Nie żartuj – prychnęła ta. – Tyle razy to przerabialiśmy. I za każdym pomógł wam jedynie przypadek.

Zaczęła się do nich zbliżać. Callen zasłonił March, która jednak go odepchnęła. Zgrywanie bohatera było bez sensu, skoro to nie on dysponował magią. Patrzyła wyzywająco na córkę Wyrda. Wprawdzie urodą Leila nie dorównywała swojej matce, ale i tak pozostawała nieskazitelna, pełna dumy i wdzięku. W jej oczach, podobnie jak u królowej, igrało pewne zimne okrucieństwo. Ból po stracie brata dawno już chyba minął. A może nie? Może czaił się tam jak kęsający insekt, który tylko czeka na przejęcie kontroli i atak.

– Czego od nas chcesz? – warknął Callen. – Śledziłaś nas?

– Nie muszę was śledzić. Aislingen ma oczy dookoła całego świata, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś. Osobiście nie potrzebuję robić absolutnie nic, ale... tak, jeśli chcesz wiedzieć, jesteście śledzeni, na każdym kroku. Rozliczne oczy królowej patrzą na wasze ruchy, matka trzyma w rękach całe wasze parszywe miasteczko.

March nie odpowiadała, nie chciała bawić się w jej gierki. Myślała tylko o tym, jak skumulować w sobie energię. Bała się, że po zabiciu potwora nie będzie to łatwe.

Próbowała pozostawać w gotowości, wciąż kierowała athame na Leilę. Jednak gdy ferini wyciągnęła rękę, dziewczyna nie potrafiła się obronić. To było zbyt nagłe. Zacisnęła zęby w bólu, mając wrażenie, że dłoń Leili na wskroś przenika jej serce. Nie dotknęła jej fizycznie, sięgnęła głębiej niż do ciała, sięgnęła po jej wspomnienia. Te najbliższe. Obrazy duchów i potwora zawirowały w głowie March. Poczucie samotności i przygnębiającej pustki wróciło. Tylko na chwilę, ale wystarczająco długą, by ferini poznała jej słabość.

– Och tak – westchnęła Leila. – Puszcza zmienia ludzi. Niewielu z niej wychodzi, a ci, którym się udaje, zostają odmienieni. Zniszczeni, ale uświadomieni. – Roześmiała się. – Uświadomieni, czym jest magia.

March czuła jeszcze nieprzyjemny ścisk w klatce piersiowej, gdy ponownie uniosła athame, chwając się na nogach.

– Wiecie, Puszcza Krzyków kryje w sobie wiele tajemnic, sekretów najpotężniejszej magii; trzeba być więc odważnym, by tu przyjść. – Leila obrzuciła ich pogardliwym spojrzeniem. – Lub głupim – dodała.

– Czego chcesz? – powtórzył Callen. – Czego chcecie wy wszyscy? Zaatakowaliście Finfolk. Społeczność się zemści.

Ani March, ani zapewne on sam w to nie wierzyli. Leila pokręciła głową.

– Głupiec – parsknęła. – Teraz nie macie już odwrotu. Wypowiedzieliście nam wojnę, więc będziecie musieli ją prowadzić. Pozwolimy wam przegrać, gdy się nam znudzi. A wtedy, kto wie, może nawet damy wam po prostu umrzeć. – Nagle jej oczy rozbłysły. – Tak! To byłby wspaniały pomysł. Moglibyście dołączyć do nich.

Gdy to powiedziała, wśród drzew zajaśniały błękitne zjawy. Na czoło March znów wstąpił pot. Odwracała się we wszystkie strony, kierując athame na duchy. Zjawy zmierzały w ich kierunku z niewidzącymi spojrzeniami.

– Boisz się? – zadrwiła Leila.

I to właśnie sprawiło, że w sercu March strach ustąpił miejsca gniewowi. Była wściekła na ferinię, choć tylko przez chwilę. Bo jej pytanie było dobre, brzmiało tak samo jak to, które ona sama sobie zadała. I na które odpowiedź już znalazła. A teraz ta odpowiedź do niej wróciła, pełniejsza. *Nie* – przypomniała sobie. Duchy nie mogły jej skrzywdzić. Wyglądały raczej na nieszczęśliwe niż żadne krwi. Świat, do którego przynależały, zatopiony był w mroku. A March nie chciała żyć w tym świecie, nie chciała stać się jego częścią, a właśnie tym groziła jej Leila.

– Nie musimy się ich bać – szepnęła do Callena, który stykał się z nią plecami.

– Wiem – odparł. – To tylko cienie, tylko...

– Tylko ofiary Puszczy – przerwała mu dziewczyna. – Jeśli nie chcemy do nich dołączyć, musimy raczej... im współczuć, a nie się ich bać.

Znów pomyślała, że Isinbir byłby z niej dumny. Nie miała pojęcia, skąd wziął się jej pomysł, ale czuła, że ma rację. Zmusiła się, by patrzeć na duchy, na ich połamane nogi, które ciągnęli za sobą, jakby nie wiedzieli, że te nie są już stworzone z ciała i sami mogą je uleczyć, na ich zrozpaczone oczy.

Poczuła przyływ nowej energii, innej, obcej, ale dobrej, równie potężnej co gniew i strach, a może nawet potężniejszej, jednak w sposób, którego dotąd nie знаła. Duchy były blisko, już prawie na wyciągnięcie ręki, mimo to nie zamknęła oczu. Z całą mocą zwróciła się w stronę Leili.

– Prezent dla ciebie. – Tym razem to March się uśmiechnęła.

I wystrzeliła energię z athame. Czysty strumień popłynął ku ferini, która – zbyt zdumiona – dopiero po sekundzie odskoczyła, ledwo unikając uderzenia.

Zjawy nagle się rozproszyły. Mina Leili mówiła wszystko. March zawsze wiedziała, kiedy robiła coś, o co skrzydlaci jej nie podejrzewali. W oczach ferini zaśniła wściekłość. Rzuciła się na March i Callena. Dziewczyna odepchnęła ją kolejnym, tym razem spokojniejszym strumieniem energii. Leila krzyczała, gdy rozbudził się w niej gniew, który tak długo ukrywała pod maską spokoju.

– *Athali!* – ryknęła.

Callen jęknął, kiedy na konarach drzew zaśniły kolejne ferze postacie. Gdyby nie jaśniejące skrzydła, ich ciała trudno byłoby dostrzec w mroku.

March wiedziała, że nie zdoła sobie poradzić z tak dużą liczbą skrzydlatych. Gdy Callen rzucił się do ucieczki, ciągnąc ją za rękę, wypuściła kolejny strumień mocy, ale nikogo nie trafiła. Jeden z ferów o ciemnych ciałach szybkim ruchem dłoni rozproszył energię. Jego oczy lśniły jak ogniki.

– K-kim oni są? – wydyszała March.

– To tirnańscy wojownicy – odparł Callen, podskakując, gdy pod jego stopami rozprysł się czar jednego ze skrzydlatych. – I nie, nie mam pojęcia, co tu robią!

– Mówiłeś, że inne...

– Że inne fery są okay, tak. O nic nie pytaj.

Chyba wiedział, dokąd biegnie. March zdała się na niego, a sama raz po raz się odwracała, by odeprzeć ataki.

Wrzasnęła, gdy w ich stronę popłynęła potężna kula błękitnego ognia. Nie mieli jak uciec, była zbyt wielka. March z całą siłą rzuciła się na Callena, przygważdżając go do ziemi. To była ich jedyna szansa. Kula przemknęła obok i uderzyła w ścianę kamiennej pieczary, tworząc w niej potężną wyrwę. Część skalnych odłamków poleciała w stronę March. Dziewczyna zakryła rękami głowę. Syknęła, gdy ostre kamienie poraniły jej dłonie.

Fery się zatrzymały. Wściekła Leila krzyczała coś do wojowników; oni nie pozostawiali jej dłużni. Wyglądało to na burzliwą kłótnię. W końcu wojownicy jakby rozplynęli się w powietrzu, a ferini wciąż stała, patrząc na zniszczoną pieczarę.

– Wy robaki! – zawołała. – Zdechniecie, zrobię wszystko, żebyście zdechli!

I niespodziewanie sama się ulotniła.

Callen wierzgał, próbując wydostać się z uścisku March, która, wcale nie zdając sobie z tego sprawy, przylgnęła do chłopaka w obawie o być może swoje, a być może jego życie. Zdezorientowana, podniosła się, czując pulsujący ból w poharatanych dłoniach.

– Wow! – westchnęła, patrząc na to, co stało się z kamienną ścianą. Jednocześnie po plecach przeszły jej ciarki, gdy pomyślała, do czego by doszło, gdyby kula energii ugodziła w nich.

Rozświetliwszy znów czubek athame, spojrzała na Callena.

– Dlaczego ona tak szybko znikła? I o co tak się wściekła na tych Tiranian?

– Tirnan – poprawił ją. – Nie rozumiem języka ferów całkowicie. No, na pewno lepiej zrozumiałem ją niż ich. Tirnanie mają nieco ostrzejszy akcent. Z tego, co usłyszałem, pokłócili się o zniszczoną pieczarę. Wyrd będzie o to wściekła. W końcu ukryła tam swoje imię.

– A o co jej chodziło z tym milczeniem? I z innymi przeciwnikami, którzy na nas czekają? Zupełnie nie rozumiem. Sądzisz, że tam kryje się coś więcej? Myślałam, że właśnie to... to coś, co nas goniło, było potworem chroniącym jej sekret.

– Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że Milczenie to po prostu imię tej bestii i... – Nagle Callen przybrał minę, jakby zrozumiał coś ważnego. – No tak, Milczenie. Rozumiesz, March, *Milczenie*.

– Uhm... tak jakby nie bardzo?

– Słyszałaś o Piramidzie Wiedźm?

– Uhm... nie? To jakaś świątynia czy co?

– Nie. – Chłopak machnął ręką. – Chodzi o *duchową* piramidę, o cztery działania, które pozwalają ci poznać tajemnice magii. Po pierwsze trzeba mieć Wolę, potem trzeba Wiedzieć, jak jej użyć, Odważyć się to zrobić, a na końcu zachować Milczenie. Wygląda na to, że... wygląda na to... – Urwał i nagle szczerze się uśmiechnął, co w tych okolicznościach wydało się March niemal bezczelne. – Przeszliśmy te próby, rozumiesz?

Starła się ułożyć w głowie jego słowa.

– No... ma to sens – przyznała. – Chcieliśmy tu przybyć i przybyliśmy, a to przejaw woli.

– Przez duże W.

– Okay, skoro tak twierdzisz... Potem...

– Wiedzieliśmy *jak* – kontynuował Callen. – Bo rozumiesz, sama Wola na nic się nie zda, jeśli nie wiesz, jak ją zmanifestować. A my wiedzieliśmy, odważyliśmy się. Zresztą ta odwaga została przetestowana, kiedy pojawiły się cienie. No i wreszcie potwór, Milczenie. – Ha! – zawołał nagle. – Leila to idiotka. Niechący się wygadała. Teraz imię jest nasze.

– O ile ono tam jest. – March wskazała na grotę.



Gdy spojrzała w ciemne wejście, zdawało jej się, że Puszcza Krzyków przycichła, jakby opadła na nią woalka sprawiająca, że miejsce nie było już całkiem realne. Liczyło się tylko to, co jest w jaskini, a mogły to być rzeczy jeszcze gorsze od wszystkiego, co już ich tu spotkało. I jeśli tak było, March nie umiała sobie ich wyobrazić. Ale już się nie bała. A może raczej strach stał się na tyle wszechogarniający, że przestała go czuć, zespoliła się z nim. W wejściu do jaskini czekała zaledwie ciemność.

March pozwoliła energii swobodniej płynąć przez ramię, ostrze athame zajaśniało mocniej.

– To co? – Spojrzała na Callena. – Idziemy?

Chłopak pokiwał głową.

Zdawało się jej, że czas się zatrzymał, gdy zmierzali w stronę ciemnego wejścia. Magiczny blask sączący się z czubka sztyletu był silniejszy niż przedtem. Teraz mrok nie pochłaniał go całkowicie. March i Callen znów trzymali się za dłonie, mocno i pewnie.

Przekroczywszy wejście do groty, dziewczyna miała wrażenie, jakby dokonała niemożliwego. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że tak naprawdę przez całą tę krótką drogę walczyła z instynktem, by się cofnąć, zaszyć gdzieś, nigdy nie musieć tu wracać. Teraz, gdy światło athame padało na wnętrze, delikatnie je oświetlając, tamto uczucie się rozproszyło.

*Nic szczególnego* – pomyślała i od razu się za tę myśl skarciła, jakby w obawie przed zapeszeniem.

Tyle że w grocie faktycznie nie było niczego niezwykłego. Niczym nie różniła się od zwyczajnych jaskiń. Nagie kamienie wydawały się może bardziej puste, pozbawione życia. March i Callen ostrożnie wchodzili głębiej, ale nie było tu żadnego ukrytego tunelu. Czyżby Milczenie faktycznie miało okazać się jedynym potworem, jaki miał na nich czekać?

Nagle coś zatrzeszczało pod stopą March. Odgłos nie był może zbyt wyraźny, jednak w ciszy wybrzmiał złowieszczo. Jęknęła, a Callen głośno wciągnął powietrze. Dopiero po chwili spojrzeli w dół.

To była skorupa, wielka i ciemna. March pochyliła się nad nią. Kształt faktycznie kojarzył się jej z pękniętym jajem, ale to nie ona je zniszczyła. Wszystko wskazywało na to, że zbito się już dawno temu, było wysuszone i pokryte bruzdami, zupełnie jakby ktoś ciął powłokę nożem.

Callen schylił się, by wziąć skorupę w dłoń.

– Twarda jak kamień – stwierdził zdumiony.

Podał ją March, która z nie mniejszym zdziwieniem zaczęła dokładnie ją oglądać. Chłopak odnalazł drugą część jaja i po chwili badania go oznajmił:

– Tu jest coś napisane.

Pokazał March wnętrze skorupy. Dziewczyna oświetliła je. W środku rzeczywiście wyryto jakieś znaki.

– Co to za język? Chyba nie ferów?

Pamiętała mniej więcej, jak wyglądały litery skrzydlatych. Były bardziej ozdobne, natomiast ten napis stworzony był z symboli przypominających pismo klinowe.

– Wygląda trochę jak znaki jednorożców – stwierdził Callen.

– Ale to chyba nie one. Może coś starszego? Mam nadzieję, że nie.

– Dlaczego?

– Bo wtedy nigdy tego nie odczytamy. Prawie nikt nie pamięta znaków starszych od tych, którymi posługują się jednorożce.

– Sądzisz, że to imię Wyrd?

Chłopak westchnął.

– Tak, chyba tak.

– Więc musimy znaleźć sposób, żeby je rozszyfrować.

– Klucz do zrozumienia go powinien kryć się tutaj, March. Chodzi mi o to, że... sama rozumiesz, teraz jajo jest pęknięte i...

– Chwilę. Chcesz mi powiedzieć, że ktoś poznał już to imię i wykradł je przed nami?

– Albo sama Wyrd zmieniła zaklęcie. I zakładam tę wersję...

– Callen zabrzmiał tak, jakby zaraz miał się rozpłakać. – Jeśli dobrze zrozumiałem ojca, kluczem do zrozumienia był potwór, ale jego już nie ma. Cokolwiek przebywało w tym jaju, wydostało się na zewnątrz.

March wpatrywała się w twarz chłopaka, niepewna, czy dobrze ją widzi. Wszystko jakby się rozplątało, stawało nierealne.

– Więc wracamy – zarządziła chłodno. Miała wrażenie, jakby ktoś wyjął z niej ostatnią nadzieję i roztrzaskał ją o zimne kamienie jaskini. – Zabierz to jajo i wracamy.

Odwróciła się od Callena. Nie była w stanie patrzeć na jego przygnębioną minę. Więc przeszli tę próbę na darmo, ryzykowali życie bez sensu. A teraz mieli wrócić do koszmaru, dalej mierzyć się z wrogiem, którego nie potrafili rozgryźć, który być może już dawno z nimi wygrał i teraz tylko bawił się ich umysłami.

Nigdy specjalnie nie wierzyła, że gdy jest źle, zawsze musi prowadzić to do czegoś lepszego. Tej nocy wierzyła w to jeszcze mniej. Miała ochotę umrzeć.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Pustka. Właśnie to czuła March, gdy wracali, nic więcej. Zdawało jej się, że każdą cząstkę jej ciała i umysłu wypełniło coś, co całkowicie zabierało... wszystko. Jeśli przedtem miała jakąkolwiek nadzieję, zostawiła ją w jaskini. Polecenia Callena, który tłumaczył jej, jak stworzyć portal, wnikały w jej podświadomość i reagowała na nie jedynie instynktownie. Nie skupiała się, tworząc przejście i rzucając wokół niego szereg ochronnych czarów. Sama się zdumiała, że zaklęcia działały, skoro nie przywiązywała do nich żadnej wagi.

Gdy wrócili do Domu Wiedźm, wcale nie czuła się, jakby zostawiła Puszcę Krzyków za sobą. Przeciwnie, miała wrażenie, że przyniosła jej część tutaj. A może zostawiła część siebie tam – dość, że zdawało jej się, jakby trwale połączyła się z tamtym mrocznym miejscem.

– I co? – Głos Piątka odbił się od niej jak od ściany, gdy z obojętną miną przekroczyła zakłete drzwi. To Callen musiał odpowiedzieć.

– Nic.

Kot śledził wzrokiem każdy ich ruch, przenosząc błyszczące spojrzenie z niego na nią.

– Jak to...?

– Po prostu nic – warknął Callen. – Tylko to.

Rzucił na podłogę twardą skorupę. Piątek obwąchał ją i prychnął.

– Śmierdzi czarną magią.

– Ale nie ma w niej żadnej magii – odparł gorzko chłopak. – Już nie ma.

Nie musiał mówić kotu o inskrypcji. Piątek sam ją znalazł.

– Przypomina...

– Pismo jednorożców. Ale to nie ono.

– Wcale nie pismo jednorożców, ale jeden ze starych magicznych alfabetów, tak. Nie wiem tylko który.

– Równie dobrze może przypominać je wszystkie i nie być żadnym z nich.

March milczała, wpatrzona w kuchenną ścianę, tę samą, w której jeszcze niedawno doszukiwała się sekretnego przejścia sióstr Malloway. Tę samą, która wydawała się ruszać. W tej chwili była jednak boleśnie zwyczajna, pozbawiona jakichkolwiek czarów.

– Będziecie musieli zapytać Isinbira – stwierdził Piątek. – Być może Wyrd wymyśliła własny alfabet.

– Jeśli to zrobiła, nikt nie będzie go znał, rozumiesz? – Callen coraz bardziej się denerwował. – Poza tym chciałbym zauważyć, że mój ojciec jak na razie okazywał się raczej marną pomocą. Traciliśmy czas na kontakty z nim. Zaczynam żałować, że w ogóle go szukałem. To tylko pogorszyło sprawę.

Po tych słowach zamilkł i gorzko westchnął.

March zacisnęła usta. *Nie będę płakać* – obiecała sobie. *Nie będę płakać*. Ostatnio zdarzało jej się to stanowczo zbyt często. Hamując łzy, drżała, gdy jej ciałem wstrząsały zarazem rozpacz i wściekłość.

– Powiedz lepiej, co stało się w puszczy – poprosił ostrożnie kot. – To cud, że udało się wam wrócić.

– Dostyc. – March odwróciła się w ich stronę. – Mam tego dość. Chcesz wiedzieć, co się stało? Proszę bardzo. Gównno! Gównno! Poleźliśmy tam z nadzieją, że ten zaszary koszmar wreszcie się skończy, zaatakowały nas jakieś pieprzone zjawy i potwór. Po co? Żebyśmy zdobyli to świństwo!

Kopnęła jedną z połówek skorupy. Ta uderzyła o ścianę i rozłamana się na kolejne dwie części. Piątek patrzył na March

z przerażeniem, a ona, nie mogąc znieść jego wzroku – wzroku kogoś, kto nie rozumiał, co się tam wydarzyło – popędziła na górę i zamknęła się w pokoju Irmy.

Nie płakała. Już nie miała na to ochoty. Rozsadzał ją gniew, nie tylko na fery, ale i na... świat. Po co jej była odwaga, po co jej magia, jeśli to pierwsze okazało się głupotą, a w tym drugim była zbyt słaba? To Finfolk było prawdziwym przekleństwem, nie Wyrd. Właściwie to March wcale nie dziwiła się królowej, że tak nienawidziła tego miejsca. Było tu tyle rzeczy, których można było nienawidzić. Całe to pieprzone miasteczko powinno zniknąć.

Jeszcze ta puszcza... Oto, czym był Jaar: siedliskiem tego, co najgorsze, nie żadnego piękna. Co to za czary, które pozwalają duchom cierpieć, co to za świat, gdzie wylęgają się takie demony jak Milczenie? Dlaczego nikt się tym nie zajmie? Dlaczego nikt nie spali puszczy, dlaczego pozwolono jej w ogóle wyrosnąć? No tak, ale ona jest stara, starsza od ludzi, starsza od ferów. Może właśnie tak miał wyglądać Jaar? Nie jak raj, za który go uważała, ale jak przeklęte piekło?

Znów jej myśli zaczęły krążyć wokół diabła. Czy wierzyła? Nie, wcale nie, mimo magii, jakiej doświadczyła; teraz była nawet pewniejsza, że nie wierzy. A mimo to uznała, że w opowieściach o diable coś było. Musiało być. I właśnie dlatego fery z nią wygrywały: bo były od niej gorsze. Jasne, ona też była zła – cała ta niespożyta agresja, całe życie spędzone w gniewie. Ale one były gorsze, Wyrd była wcieleniem zła.

Ciemna kula, którą March nosiła w brzuchu, nigdy nie była bardziej fizyczna. Dziewczyna kopiała w kant łóżka, nie przejmując się bólem stopy. Gniew wylewał się z niej niczym brudna, błotnista rzeka. Musiała się go pozbyć, bo miała wrażenie, że zaraz zapłonie, że stanie się to, przed czym wszyscy ją przestrzegali.

Dopiero po kilku chwilach zdała sobie sprawę, że ktoś delikatnie pukał do drzwi. Wcale nie miała ochoty ich otwierać, jednak zrobiła to, jakby wiedziona instynktem przetrwania. Bo – choć wolałaby temu zaprzeczyć – potrzebowała teraz kogoś obok siebie.

– Mogę? – spytał ostrożnie Callen. Wbrew temu, czego spodziewała się March, Piątek nie czał się tuż za nim. Chłopak przyszedł sam.

Zamiast odpowiadać, szerzej otworzyła drzwi.

– Przepraszam – mruknęła. – Niepotrzebnie naskoczyłam na Piątka. To nie jego wina, że nic nam nie wychodzi.

– Hm... – zaczął Callen, siadając na łóżku. – Może coś jednak wyszło? – Rozejrzał się po pokoju i głęboko wciągnął powietrze. – Ach, przebywanie tutaj zawsze mi pomagało. Chociaż Irma nie żyje, mam wrażenie, jakby jej duch zawsze był obecny w tym pokoju.

– Coś jednak wyszło? – podchwyciła March. – Niby co?

– Pokażemy jajo mojemu ojcu. Być może będzie umiał nam pomóc.

March usiadła obok Callena i pokręciła głową. Nagle naszła ją chęć, by się w niego wtulić, ale rozsądek podpowiadał, że na niewiele się to zda. Zresztą ta huśtawka nastrojów jej nie służyła.

– Dopiero dziś zdałam sobie w pełni sprawę, że nie mamy z Wyrd żadnych szans – oznajmiła.

Callen milczał, jakby walczył z własnymi wątpliwościami. W końcu stwierdził:

– Wiesz, czasem fakt, że nie zna się jakiejś magii, może być pomocny. Zawsze pozostaje wtedy nadzieja. Słyszałem o różnych rzeczach, o czarach, o których nie śniło się największym magom. Znacznie potężniejszych niż to, czego doświadczyliśmy.

– Trzeba by umieć ich użyć – odparła gorzko March.



– Prawdę mówiąc, taka magia nieraz uaktywnia się samoistnie. Ty też nie wiedziałaś, że jesteś zdolna do walki z silniejszym przeciwnikiem, a mimo to sobie poradziłaś, i to nie raz. Poza tym pamiętaj, że prowadzą cię siostry Malloway. Ukazywały ci się w wizjach; może kierują tobą zza... no wiesz, zza Zastłony.

March cicho prychnęła. Nie chciała burzyć jego wiary w Zaświaty. W te lepsze od tych, które dziś widziała.

– Nie mogę zdawać się na wizje – oświadczyła. – Poza tym one tak się poplątały, że nie mam pojęcia, jak je traktować. Znów zaczęłam się bać, że jakimś sposobem to ja zabiłam panią Connor i tę jej przyjaciółkę.

– Nie mów tak. – Callen gwałtownie się poruszył i spojrzał na nią karcąco. – Dobrze wiesz, że nie ma takiej możliwości. March, jesteś po prostu... Jest w tobie coś niezwykłego.

– Motywacyjna gadka – zaśmiała się prawie całkiem szczerze. Była zdumiona, że jej się to udało.

– Mówię prawdę. Nawet mój ojciec musiał to przyznać. A choćbyśmy nie mieli racji, to musisz nam wierzyć. Nie masz wyboru. Przeciętniacy nie mogą pokonać Wyrd, więc nie bądźmy przeciętni.

Próbowała uciekać wzrokiem, jednak Callen patrzył na nią z taką pewnością, że nie mogła zrobić niczego innego, jak dać mu się zmotywować. Zmusiła się do jeszcze jednego, krótkiego uśmiechu, mając wrażenie, że na dziś wyczerpała już ich limit.

– Boję się – przyznała. – Myślałam, że pokonałam strach w Puszczy Krzyków, ale chyba po prostu przestałam go na chwilę czuć. Bo tego wszystkiego było zbyt wiele. A teraz wali mi serce. Przypominam sobie o tamtym potworze. Jeszcze bardziej boję się tego, co czeka nas potem. Jest źle, naprawdę źle, beznadziejnie, a i tak wydaje mi się, że będzie gorzej. Jesteśmy na to zupełnie nieprzygotowani.

– Dlatego krok po kroku musimy dążyć do celu – mówił Callen uparcie. – Bo na dobrą sprawę nie mamy żadnego innego wyjścia.

Zamilkł ze wzrokiem utkwionym w ścianie. Jego czoło pokryło się zmarszczkami.

– Myślałem sobie najpierw, że źle zrobiłem, odwiedzając ojca – przyznał – Pomyliłem się. Po pierwszej wizycie u niego byłem załamany, nie chciałem wam o tym mówić, wolałem odłożyć sprawy osobiste na bok. Wcześniej wierzyłem, że ojciec może nam pomóc.

Westchnął ciężko, wypuszczając z siebie ogromny żal.

– Strasznie się wstydzilem, kiedy was do niego prowadziłem. To nic przyjemnego, mieć ojca pijaka.

– Nigdy nie widzieliśmy, żeby... – zaczęła March, jednak Callen uciszył ją pełnym pobłażania spojrzeniem.

– Dobrze wiemy, że pije. Cały dom śmierdzi alkoholem, tylko po prostu nie zastaliśmy go wstawionego, to wszystko. Zresztą skończył, jak skończył...

– Jeszcze nie skończył – zauważyła March. – I, wiesz, nie chciałabym się licytować na to, kto ma gorzej, ale *ty* przynajmniej znasz swojego ojca. A ja nie.

– Za to możesz sobie wyobrazić, że jest kimś innym, niż mógłby się okazać. Jako dziecko miałem w głowie jego konkretny obraz: był dobry, opiekuńczy, władał silną magią. Jasne, potem dorosłem i odrzuciłem te obrazy... No, a przynajmniej tak mi się zdawało, póki nie zobaczyłem Isinbira. Wtedy wszystkie odżyły i się zawiodłem, pewnie wcale nie mniej, niżbym się zawiódł, gdybym go poznał w wieku pięciu lat.

March nie przekonywało to, co mówił. Rozumiała go, tak, ale czuła zupełnie inaczej.

– Wolałabym znać prawdę o swoim ojcu, wiedzieć, kim jest... lub był, niż się tego domyślać.

Callen powoli uniósł na nią spojrzenie. Nie była pewna, czy chce coś jeszcze dodać. Jego usta wprawdzie nieznacznie się poruszyły, ale milczał. Nagle March zauważyła w nim coś, czego wcześniej nie dostrzegąca. Sposób, w jaki poruszyły się jego wargi. Głęboką błyszczącą oczu, która kilka miesięcy temu ją prześladowała, ale i przyciągała. Bliskość jego aury, tak wyraźnej, tak prawdziwej, jakby jej dotykała.

Nie mogła tego opanować, nie chciała z tym walczyć. Ciało jeszcze nigdy nie posyłało jej tak silnych impulsów. Położyła dłoń na jego dłoni, zbliżyła usta do jego ust. Przyciągał ją, nie próbował się odsuwać.

Dopiero gdy ich wargi się zetknęły, uznała, że to najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiła. Ale myśl szybko wyfrunęła z jej głowy, gdy serce i brzuch wypełniło przyjemne ciepło.

March nie wiedziała, jak się całować, i była pewna, że Callen też tego nie wie. Dlaczego więc wydawało się jej, że pocałunek był fantastyczny?

Długo trwało, nim się od siebie oderwali. Dopiero wtedy March zdała sobie sprawę, że bawi się włosami chłopaka, a on mocno ją do siebie przytula. Otrząsnęła się w momencie, gdy znów spojrzała na jego twarz.

– Przepraszam – jęknęła, zakrywając usta. Poczowała palący wstyd. – Nie chciałam, nie powinnam była. Przepraszam.

Callen wpatrywał się w nią, jakby nie do końca zrozumiał, o co jej chodzi. A gdy to pojął, blask w jego oczach zgasł i chłopak czym prędzej opuścił pokój.



– A więc zrobiliście to? – W głosie Isinbira pobrzmiwał prawdziwy gniew. – Ostrzegałem was. Proście się o śmierć,

więc nie zdziwcie się, gdy was wreszcie dosięgnie.

Z samego rana odwiedzili Jaar. Musieli przyznać się do wyprawy. Nie znaleźli żadnego wyjaśnienia tego, skąd mają jajo. Zresztą nawet gdyby wymyślili sposób, by się jakoś wykręcić, fer z pewnością by ich rozgryzł.

– Po co poświęcam wam czas? – warknął. – Czy nie ustaliliśmy, żeby robić wszystko po kolei? Szwendanie się po Puszczy Krzyków to jak podawanie się Wyrd na tacy. Skoro nie zależy wam na życiu, może od razu wracajcie do Aislingen? A ty? – zwrócił się do Piątka, który nagle zaczął się cofać. – Nie można ci ufać, prawda? Nie potrafisz się nimi zająć?

Z każdą chwilą Isinbir stawał się coraz agresywniejszy. March zastanawiała się, czy miało to jakiś związek z faktem, że wydawał się podchmielony. Chyba pospieszyła się wczoraj z pocieszaniem Callena, gdy twierdziła, że nigdy dotąd nie widzieli go pijanego.

Zresztą poprzedni dzień wciąż nie dawał jej spokoju. Ledwo spała, nawiedzana myślami o zjawach i potworze, który, choć już martwy, wydawał się nazbyt realny. Przez całą noc miała zapalone światło, a i tak, gdy zamykała oczy, wydawało jej się, że słyszy lepki odgłos wielu stóp wyrastających z pokaleczonego ciała.

Nie wiedziała, czy bardziej prześladowała ją myśl o tym, co zobaczyła w puszczy, czy raczej o pocałunku z Callenem. Nie chciała go pocałować. To znaczy, owszem, chciała – na ułamek sekundy, nim do tego doszło. I to był dobry pocałunek, choć oczywiście w tym temacie miała zerową wiedzę. Ale potem... potem zaczęła myśleć. Niemal całą noc poświęciła na myślenie. *Dlaczego* go pocałowała? Nigdy sobie nie wyobrażała, żeby to ona pierwsza miała zbliżyć się do chłopaka. Zresztą w ogóle nie wyobrażała sobie takich rzeczy. No, może czasem, gdy naprawdę nie było niczego innego do roboty. Tyle że inne dzieciaki skutecznie dawały jej do

zrozumienia, że nikogo sobie nie znajdzie, a ona w to uwierzyła, więc przestała się przejmować. Do wczoraj.

A może już wcześniej miała podobne myśli, tylko je od siebie odrzucała? Kiedy Isel zainteresowała się Callenem, March czuła coś... jakby... no, powiedzmy, że zazdrość. W każdym razie widziała, że jej przyjaciółka o niego zabiega, więc może nie chciała go dla niej tracić albo tracić jej dla niego? Albo to wszystko zwyczajnie nie miało sensu, i tyle.

To była chwila słabości. March dokładnie to przeanalizowała. Nie sądziła, by cokolwiek czuła do Callena. Po prostu tamten dzień ją wykończył, fizycznie i psychicznie, a chwile spędzone w puszczy wciąż odbijały się echem w jej świadomości. Drżała ze strachu, z rozpacz. I go pocałowała – bo potrzebna jej była bliskość.

Szkoda, że jej na to pozwolił. Może zrobił to tylko po to, żeby nie było jej przykro? I co sprawiło, że opuścił jej pokój bez słowa, jakby przygaszony?

Tak, pewnie miał jej to za złe, pewnie uznał, że pozwoliła sobie na tę chwilę bliskości tylko dlatego, żeby uporać się z huśtawką uczuć. Może nawet poczuł się wykorzystany. Nie mieli szansy o tym porozmawiać i March na razie wołała chyba tego nie robić. Tak się wstydziła tego, co zaszło, że nie była w stanie nawet spojrzeć mu w oczy.

– Do niczego ich nie zmusiłem. – Słowa Piątka dotarły do niej z trudem, jakby przebijały się przez grubą zasłonę. – I na pewno nie mógłbym ich powstrzymać.

To była pora, by przerwać dyskusję.

– Chcieliśmy coś zrobić, tak? – odparła March. – Mam dość siedzenia na tyłku i medytowania z tobą, kiedy zagraża nam Wyrd. Chcieliśmy poznać jej tajemne imię.

Isinbir zaśmiał się tak, jakby powiedzieli dobry żart.

– I co? Naprawdę sądziliście, że parce smarkaczy uda się wygrać z władczynią Aislingen? Jesteście tak głupi czy tak

zarozumiali, żeby...

– Tak, tak sądziliśmy – przerwała poirytowana March. – I nadal tak sądzimy. Bo chyba w to kazałeś nam wierzyć. Inaczej po co wszystkie te ćwiczenia? Mieliśmy ją pokonać, prawda?

Naraz fer zaczął się plątać.

– Tak, ale nie takimi sposobami. Chodziło o to, żeby... żeby...

– I coś nam się udało, prawda? – odezwał się Callen. – Zdobyliśmy to. – Spojrzał na trzymaną przez siebie skorupę.

– Pokaż mi to. – Fer wyciągnął rękę. Callen posłusznie oddał mu jajo, rzucając przelotne spojrzenie March. Nie mógł jednak znieść jej wzroku i szybko się odwrócił.

Isinbir uważnie przyjrzał się każdej części skorupy.

– Magia już stąd uszła – oznajmił.

– Rozpoznajesz to pismo? – spytał z nadzieją Piątek.

Fer zmrużył oczy.

– To osobiste symbole Wyrd, tylko ona zna ich pełne znaczenie.

– Świetnie – westchnęła March. – Czyli nigdy nie dojdziemy do tego, jak brzmi jej imię!

– Nie, to niemożliwe – powiedział ostro kot. – I ty, Isinbirze, dobrze o tym wiesz.

March spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Chodzi o to – zaczął tłumaczyć Callen, nieśmiało znów podnosząc na nią wzrok – że magia tajemnych imion wymaga tego, żeby istniał sposób na ich odkrycie. To wydaje się nielogiczne, ale ma sens. Nie ma przecież zagadki bez rozwiązania, nie ma celu bez drogi do niego. Decydując się na ukrycie imienia poza swoim umysłem, musisz liczyć się z tym, że ktoś je odkryje.

– W takim razie po co w ogóle je ukrywać? – zdumiała się March. – Nie lepiej zachować je dla siebie?

– Umysł bywa zdradliwy i nie jest stały, nawet jeśli dobrze się go wyćwiczysz – powiedział Isinbir. – Wyrd dobrze wie, że istnieją siły potężniejsze od niej. Nie ufa im i z pewnością się ich obawia, głównie dlatego, że ich nie rozumie. Ukrywając swoje imię, sprawiasz, że nikt nie może go poznać, wkradając się w twój umysł, bo już go tam nie ma. Inne skrytki bywają bezpieczniejsze.

– Okay, ale nam się udało dotrzeć do jaskini, tak? Pokonaliśmy potwora, choć Leila mówiła, że czeka nas jeszcze więcej przeciwności.

– Nie zabiliście właściwego potwora – odparł Isinbir. – Z waszego opisu Milczenia wynika, że był raczej posklejany z pozostałości po wrogach Aislingen, jakkolwiek przerażająco to brzmi. Ale to nie był ten sam potwór, który wyklął się z jaja pozostawionego przez Wyrd. Prawdopodobnie o to chodziło Leili.

– Że ten potwór gdzieś istnieje? – spytała March. – Że nie umarł?

– Ten potwór jest jej imieniem. To znaczy... – Fer zaczął się zastanawiać. W miarę jak to robił, jego zamglone dotąd spojrzenie stawało się coraz trzeźwiejsze. – Potwór jest *nośnikiem* imienia, łączy się z nim w sposób, który trudno opisać komuś, kto operuje językiem świata fizycznego. W magii, zwłaszcza tej wysokiej, istnieją zależności, których po prostu nie da się przełożyć na język zwykłego człowieka, a wy, nawet ty, kocie, nadal nosicie w sobie sporo z *przyziemnego* świata. Magia działa poprzez symbole, zdarzenia, tak zwane przypadki, i byty energetyczne. Uważam, że ten potwór jest jakby wcieleniem imienia Wyrd.

– Jej prawdziwą naturą? – zapytał Piątek.

Isinbir uniósł palec.

– O właśnie, można tak to nazwać. Lub raczej stanowi mroczną część jej natury, przy czym również tę

najpotężniejszą. Nie ma tak naprawdę wielkiej różnicy między imieniem a tym, kto je nosi. Moja matka podzieliła się swoją naturą z tym, co wykluło się z jaja, cokolwiek to jest. Może być nawet na pierwszy rzut oka o wiele mniej przerażające od Milczenia, może być piękne, ale z całą pewnością będzie o wiele niebezpieczniejsze.

Zrozumienie tego przychodziło March z trudem, zwłaszcza że nasuwały się jej pytania dotyczące o wiele prostszych spraw.

– Jeśli potwora już tam nie było, o czym Leila i tamte fery pewnie wiedziały, to dlaczego się na nas rzuciły?

– No właśnie – dodał Piątek. – Poza tym wygląda na to, że Tirnanie stanęli po stronie Aislingen w walce z March i Callenem. Jaki mają powód? To do nich niepodobne.

– Nie patrzcie na mnie tak, jakbym znał odpowiedzi na te pytania – prychnął Isinbir. – Gdybym sam ich spotkał, pewnie spróbowałbym zbadać ich umysły, ale skoro tego nie zrobiliście, niczego więcej się na razie nie dowiemy. Jeśli Tirnanie faktycznie sprzymierzyli się z Miastem Snów, to sprawa polityczna. My poznamy jej znaczenie jako ostatni, o ile w ogóle.

– Zastanawiam się nad jedną rzeczą – powiedział Callen. – Jeśli potwór, czy cokolwiek wykluło się z jaja, wyszedł z jaskini, to znaczy, że gdzieś teraz jest... Co mogło się z nim stać?

Isinbir wzruszył ramionami.

– Jest tak wiele możliwości, że żadna hipoteza nie przybliży nas do prawdy – stwierdził. – Potwór mógł się rozpuścić, zmienić formę, połączyć się z Wyrd. Generalnie... to magia, mogło stać się niemal wszystko.

March zastukała palcami o fotel i gwałtownie wstała.

– Okay, czyli tak jak mówiliśmy, ani trochę nie przybliżyliśmy się do prawdy i wszystko schrzanił? Dobrze mówię?



– Niekoniecznie, March – odparł Isinbir. – Tak naprawdę... Cóż, nie było żadnego szczególnego planu. Od początku szliśmy małymi krokami do twojego wnętrza, do twoich lęków. Chcieliście posunąć się do przodu szybciej, rozumiem, ale widzisz, że w ten sposób nie da się walczyć z istotą, która ma tysiące lat na snucie kolejnych intryg, jak moja matka.

– Nie było planu? – oburzyła się March. – A więc co? Mamy po prostu się miotać albo czekać, nic nie robić?

Isinbir chyba nie bardzo wiedział, co jej na to odpowiedzieć.

– My nie mamy planu, ale jakiś... wyższy na pewno istnieje – odrzekł. – W tej kwestii zaufałbym wszechświatowi.



– „Zaufałbym wszechświatowi!” – warknęła March, gdy wrócili do domu. Z całej siły trzasnęła drzwiami portalu do Jaaru. – Czy ten facet w ogóle wie, o czym gada?!

– To tylko takie powiedzenie – odparł Piątek. – Ja też je sobie często powtarzam.

Obrzuciła go spojrzeniem.

– Tak... – westchnęła, w ostatniej chwili stwierdzając, że lepiej tego nie komentować. – A ty? – Odwróciła się do Callena.

– Co ja? – Chłopak lekko zadrżał.

– Też nie masz żadnych innych planów, żadnego pomysłu?

– No...

Pociągnęła go za rękę.

– Chodź, musimy o tym pogadać. Bez ciebie – rzuciła w stronę Piątka, a ten, obrażony, wysoko uniósł głowę.

Prowadząc Callena do pokoju Armii, March czuła, jak jej klatkę piersiową zalewa fala gorąca. Nie była pewna, czy to przez jakiś strach, wstyd czy niepewność. Tak czy inaczej, musiała z nim porozmawiać, a skoro już się na to odważyła,

nie wolno jej było zwlekać. Niemal wepchnęła go do pokoju. *Uspokój się* – powtarzała, zamykając drzwi. Miała nadzieję, że go nie przestraszyła.

– Jak wiesz, wcale nie chcę rozmawiać o planach – zaczęła nieco zbyt oficjalnie. Odchrząknęła i policzyła w myślach do pięciu, próbując nieco się uspokoić. Nie pomogło. – Chodzi o to, do czego wczoraj między nami doszło.

Callen już otwierał usta, ale March nie dowiedziała się dlaczego, bo coś wciąż zmuszało ją, by mu przerywać.

– Tylko mi nie mów, że nic się nie stało. Powiedz, masz mi za złe to, że cię pocałowałam? Przyznaj się; przecież cię za to nie zabiję.

*Choć będę wściekła, to fakt* – dodała w myślach.

Znów otworzył usta. I znów nie dała mu dojść do słowa.

– Musisz wziąć pod uwagę to, że się mocno zestresowaliśmy. Pamiętaj, że mało brakowało, żebyśmy zginęli. Nie w pełni kontrolowałam emocje.

– Dobrze, March, wcale nie...

– Oczywiście traktuję cię bardziej jak... – Kilka określeń przemknęło jej przez głowę. Brat, przyjaciel, kara boska, chłopak ze snów... O tym ostatnim ledwo co sobie przypomniwała. W końcu miała wrażenie, że początki ich znajomości sięgają jakiegoś innego świata, który bezpowrotnie minął. – No, traktuję cię jak... jak...

On też chyba nie znajdował żadnego pasującego słowa.

– Towarzysza? – podpowiedział wreszcie. – Towarzysza niedoli?

Palec March wystrzelił w górę.

– O tak! – zawołała. – Właśnie tak. Przepraszam, że pozwoliłam sobie na taką bliskość. Jeśli ci się nie podobało, szkoda, że od razu mnie nie odtrąciłeś.

Callen nagle poczerwieniał.

– Ale przecież wcale nie mówię, że...

Jego kolejne słowa zagłuszył łomot, od którego zadrżały ściany. Brzmiało to tak, jakby przez dom przetoczyło się coś ciężkiego. Piątek wrzasnął przeraźliwie, sprawiając, że March serce podskoczyło do gardła. Mimo to instynkt był silniejszy od strachu. Nacisnęła kławkę i wybiegła na korytarz.

Stała jak wryta, a za jej uchem rozbrzmiał głos Callena.

– Ty! – zawołał chłopak.

Z kolei March ledwo wyjąkała:

– H-Hypnos?



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

March wciąż tylko stała, jakby czekając na czyjeś instrukcje. Krew uderzyła jej do głowy, trudno było uwierzyć, że to wszystko działo się naprawdę. Wreszcie w jej uszach rozbrzmiał głos Callena, co całkiem ją otrzeźwiło.

– Athame! – wołał chłopak. – No już!

Zapomniała o scyzoryku. Sięgnęła do kieszeni i wycelowała ostrzem w fera, ale dłoń jej drżała. Uświadomiła sobie, że jedyne, co potrafi robić przy pomocy tego rodzaju magii, to niszczyć albo zabijać. Nie opanowała w pełni innych czarów. Ale Hypnosa nie chciała zranić. Posłał jej błagalne spojrzenie, gdy Piątek, wbijając mu pazury w pierś i obnażając kły niczym wściekły pies, z nieprawdopodobną siłą przygwaźdżał go do podłogi.

– Skąd się tu wzięłeś? – Zmusiła się, by zabrzmieć stanowczo. – Czego od nas chcesz?

– Zabierz go ode mnie – jęknął fer, gdy Piątek wbił pazury jeszcze głębiej. – Proszę...

– March, potrafisz pętać za pomocą magii? – spytał kot. – Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział sam sobie. – Callen, przeprowadź ją przez czar.

– Błagam cię, March – znów cicho odezwał się Hypnos. – Przecież wiesz, że bym cię nie skrzywdził. Pamiętasz, że nigdy tego nie chciałem, prawda?

Patrzył na nią tak, jak gdyby próbował wymusić współczucie. Wyglądał na przygaszonego, zmarnowanego. March pamiętała blask jego młodzieńczej twarzy, kiedy się poznali. Teraz nic już z niego nie zostało.

– Dobrze sobie – prychnął Piątek. – Wasze gierki na nas nie działają.

Callen nie był równie przekonany co kot. Wpatrywał się w March tak, jakby przeczuwał, że się waha, że chodzi o coś więcej niż strach przed użyciem zaklęcia.

– Nie przyszedłem tu z wami walczyć – wciąż próbował przekonywać Hypnos. Patrząc na niego, March zaciskała usta. Przywołała w pamięci sceny z Biblioteki Snów. Wtedy, gdy walczyła z Leilą, fer podsunął w jej stronę athame. Był to gest, który ją zadziwił; potem jakoś o nim zapomniała, a teraz tamten moment powrócił, znów wywołując konsternację.

Piątek i Callen czekali, aż zacznie działać. Oni nie wiedzieli; nigdy im nie powiedziała, co się wtedy stało.

– Callen, dalej, udziel jej instrukcji – ponaglał kot. – Trzeba go związać!

Chłopak skinął głową.

– Okay, musisz zwizualizować...

– Nie, zaczekajcie – przerwała mu March, cofając dłoń. – On naprawdę nic nam nie zrobi.

– Co? – Piątek odwrócił się w jej stronę, co Hypnos natychmiast wykorzystał. Zerwał się z podłogi, zrzucając kota, i wycofał się w głąb korytarza, skąd posyłał im niepewne spojrzenie.

– Nie wiecie wszystkiego – oznajmiła March.

– Chyba sobie żartujesz! – zawołał Piątek, sycząc w stronę fera. Callen z kolei milczał, choć wyglądał, jakby oblano go lodowatą wodą.

March zignorowała ich obu. Powoli ruszyła w stronę Hypnosa. Dostrzegła, że z rany na jego piersi sączy się krew.

– Czego od nas chcesz? – zapytała ponownie.

– Wiesz, że nie pragnę twojej krzywdy – odparł fer. Powtarzał te słowa jak zaklęcie. A ona mu wierzyła, nie rozumiała tylko dlaczego. W Aislingen ją mamił, tak. Potem jej pomógł, to też

była prawda. Tylko dlaczego to zrobił? I kiedy postępował w zgodzie ze sobą?

– Nie powtarzaj się. – Próbowwała zachować pewność siebie, wciąż zmierzając w jego stronę. Athame trzymała w pogotowiu, nie sądząc, by faktycznie musiała go użyć. – Co tu robisz? Jak przedostałeś się do Domu Wiedźm?

– Chronią nas potężne zaklęcia – dodał kot. – Powinieneś nie żyć.

– A jednak żyję. To chyba znaczy, że magia domu zna moje intencje. Przyszedłem tu, żeby was... Dobrze, niech będzie, śledziłem was. Ale to dlatego, że muszę was ostrzec.

– Dlaczego mielibyśmy ci uwierzyć? – spytał Callen. Zabrzmiał dziwnie spokojnie.

– Sprawdźcie mnie, w jakikolwiek sposób chcecie. Gwarantuję, że nie wykryjecie złych intencji.

– Masz nas za półgłówków? – prychnął Piątek. – Nie dysponujemy magią, która mogłaby się równać waszemu mamieniu. Jeśli kłamiesz, nie zdołamy tego sprawdzić.

– Mylisz się. Dom sióstr Malloway jest niezwykle dobrze chroniony. Przypuszczam, że sami nie rozumiecie, jak to działa. Wygląda na to, że zaklęcie odtrąca fery, ale tylko te, które źle wam życzą. Zresztą nie tylko fery z Aislingen są wam wrogie. Nie macie pojęcia, co się dzieje. Grozi wam potężne niebezpieczeństwo ze strony całego magicznego świata.

– A ty przyszedłeś nas ostrzec, ot tak, z dobroci serca? – zakpił kot.

Hypnos znów utkwiał spojrzenie w March.

– Chroniłem cię. Od samego początku to robiłem.

– Zwłaszcza kiedy kazałeś mi wypić eliksir zapomnienia?

– Nie miałem wyboru. Ale przecież dałem ci wskazówkę co do tego, co ma się wydarzyć. Ba, dawałem ci je cały czas. W świątyni, kiedy warzyliśmy eliksir, a potem, zanim moja

matka cię przywołała, radziłem ci, jak zataić myśli. Wreszcie wtedy gdy...

– Podczas walki z Leilą, tak – przerwała mu, wprawiając Callena i Piątkę w osłupienie. – Dlaczego?

Fer westchnął.

– Chcesz o tym rozmawiać tutaj? – Rozłożył ręce.

– Masz zamiar dyktować nam warunki? – warknął Piątek.

March dobrze wiedziała, że wpadła w pułapkę. Nie mogła zrobić nic innego jak tylko pozwolić Hypnosowi opowiedzieć swoją historię. Na powrót wymierzyła w niego athame.

– Niech będzie – powiedziała. – Dam ci czas, żebyś wszystko wyjaśnił.

– Jesteś szurnięta! – zaprotestował kot.

– Co innego mam zrobić? – Odwróciła się gwałtownie w jego stronę. – Zabić go? – Spojrzała na Callena, jakby próbując odczytać odpowiedź z jego twarzy. Chłopak nie zdradzał jednak żadnych odczuć. – Opowiesz nam, o co chodzi – przemówiła znów do fera – a potem znikniesz. Nie ufam ci. Wiem, że mnie mamieś. Gdyby nie ty, szybciej uciekłabym z Aislingen. Działałeś w zмовie ze swoją matką.

Głębokie spojrzenie Hypnosa zaczynało działać jej na nerwy. Sprawiał wrażenie, jakby sądził, że to on ma w tej chwili przewagę. A najgorsze było to, że w jego oczach faktycznie kryło się coś, co mogło mu ją dać.

– Kiedy poznasz moją wersję wydarzeń, być może zmienisz zdanie – powiedział.



Piątek prowadził Hypnosa na dół, a March, która szła tuż za nim, trzymała athame tak blisko jego pleców, że niemal dotykała skrzydeł. Opędzała się od chęci, by je podziwiać.



Piękno ferów było dla niej zarazem nęcące, jak i ją odpychało. Albo zwyczajnie przerażało. Nie sądziła, że podczas krótkiej wędrówki po schodach nawiedzi ją tak wiele wątpliwości. Czy mogli nadal bezpiecznie czuć się w Domu Wiedźm, skoro Hypnosowi udało się tu przedostać? A może faktycznie nie stanowił dla nich zagrożenia?

Wolną ręką ocierała pot z czoła. Zmierzający obok niej Callen rzucał jej ukradkowe spojrzenia, a emocje, jakie tym wywoływał, odczuwała na całej skórze. Rozumiała, że o coś mu chodzi, nie miała tylko pojęcia o co.

Piątek kazał Hypnosowi usiąść, po czym sam wskoczył na fotel naprzeciwko. Siadając obok kota, March opuściła scyzoryk, choć go nie odstawiła. Spojrzała na fera. Znów poraziło ją jego piękno, podobnie jak większości ferów, które dotąd spotkała. Hypnos był synem Wyrda, pochodził z królewskiego rodu i odziedziczył po matce urok, choć w zasadzie bardzo się różnili. Jej skóra była niemal kredowa, podczas gdy jego miała orzechowy kolor, miał też ciemniejsze oczy i zdecydowanie inne, łagodniejsze spojrzenie. Atletyczne ciało fera sprawiało, że podobał się March również jako mężczyzna, nawet jeśli był daleki od gatunku ludzkiego. Gdy widziała go po raz pierwszy, właśnie o tym pomyślała – że był całkiem pociągający. A teraz ją to ubodło, bo przecież czyniło ją słabą. Obawiała się, że właśnie dlatego dała mu się zwieść wtedy, i być może teraz też poddawała się jego urokowi.

– Więc mów – zażądała ostro, jakby chcąc go skarcić za własne myśli.

Hypnos powiódł wzrokiem po całej trójce. Callen przyglądał mu się wprawdzie podejrzliwie, ale bez większych emocji, za to Piątek ustawił się na kanapie tak, że wyglądał niczym egipski posąg groźnego kota. Fer wydał się tym speszony, co było dziwne, skoro sam jeden miał więcej mocy niż oni wszyscy razem.

– Jest tak wiele rzeczy, że nie wiem, od czego zacząć – oznajmił w końcu. – Może od tego, że śledzi was Społeczność.

Piątek prychnął.

– Powiedz coś, o czym byśmy nie wiedzieli.

Jednak Callena zaniepokoiły te słowa.

– Co masz na myśli? – spytał. – Chcesz powiedzieć, że nas inwigilują? Nie wyczułem w Finfolk obecności żadnych innych wiedzów.

– I nie spodziewaj się w najbliższym czasie ich zobaczyć – odrzekł Hypnos. – Społeczność na razie nie będzie się tu zapuszczać, nie fizycznie. Wiedzą o klątwie mojej matki i z pewnością się jej obawiają. Co wcale nie oznacza, że nie mają pojęcia, co się dzieje. Królowa sama ich poinformowała, a to dla was zła wiadomość.

– Właśnie tego się spodziewaliśmy – odparł lekceważąco Piątek. – March trochę zaszalała w Bibliotece Snów, co nie? Uwolniła zbyt dużo więźniów... No, właściwie to wszystkich, więc...

– To tylko część problemu. Podstawowy błąd popełniliście już tutaj. Od razu po opuszczeniu Miasta Snów powinniście byli zgłosić się do Społeczności i donieść na nas... To znaczy na moją matkę. Ona nie ma prawa więzić kogoś, kto na to nie zasłużył, kogoś takiego jak ty. – Choć skierował spojrzenie na March bardzo delikatnie, dziewczyna poczuła się, jakby ją nim przeszył. – Ale nie zgłosiliście tego.

– Nie wiedziałam, że to w ogóle możliwe! – March z oburzeniem spojrzała na Piątka. – Powiedziałeś, że Społeczność woli milczeć na temat porwań.

– Bo tak jest – zachnął się kot. – Wcale by nam nie pomogli. Spisaliby jakieś protokoły i tak dalej. Poza tym, chłopcze – zwrócił się do fera – jedyne Ona Sama wie, jak bardzo nie ufam tej bandzie kretynów. Nie wiesz, co mi zrobili! Nie wiesz, co...

Urwał nagle, gdy Callen uniósł dłoń.

– Daj mu mówić – poprosił. – Więc co? Wyrd na nas doniosła?

Hypnos skinął głową.

– Właśnie tak. A to sprawiło, że znalazła się od razu na wygranej pozycji. Społeczność bardzo dba o zachowanie poprawnych stosunków z Miastem Snów, podobnie zależy na tym innym krainom ferów. Dlatego Tirnanie ścigali was razem z Leilą. Wyrd poskarżyła się królowej Tir-na-Nog.

– Skąd wiesz, że nas ścigali? – podchwyciła natychmiast March.

– Jestem tu już od pewnego czasu – odparł Hypnos, spuszczając głowę. – Słyszałem, jak o tym rozmawialiście.

Piątek wydał groźny pomruk.

– Szpiegujesz dla swojej matki czy dla Społeczności?

– Ani jedno, ani drugie. – Hypnos zachował spokojny ton. – Myślisz, że gdybym to robił, to mówiłbym wam, co się dzieje?

– Nakryliśmy cię – zauważył Callen. – A gdyby do tego nie doszło...

– To pewnie nadal bym się nie ujawnił, to prawda – oświadczył fer. – Wasz kot ma świetny refleks.

– Nie jestem ich kotem, kretynie – warknął Piątek.

– O wiele bezpieczniej było obserwować was z ukrycia – ciągnął Hypnos, ignorując go. – Przebywałem w waszym domu na innym planie, zmieniłem formę na astralną, ale nadal musiałem czasem się materializować, żeby coś zjeść. Inaczej wiadomo, jak by się to skończyło.

Sądząc po rozdziawionym pyszczku Piątka i rozszerzonych oczach Callena, March była pewna, że Hypnos wyjawiał przed nimi jakąś niezwykłą zdolność. Sama nie miała za to zamiaru być pod wrażeniem jeszcze bardziej, niż już była.

– Nadal nie wiem, po co nas śledziłeś – zauważyła.

– Żeby was chronić.

– *Żeby nas chronić* – prychnęła. – I co, tylko tyle? Dlaczego?!  
*Dlaczego?*

– Chodziło mi głównie o ciebie – przyznał Hypnos, utwierdzając ją w przeczuciu, że prowadzi z nią rodzaj gry. Próbowwała się na to zamknąć, pozostać zimna. Zaciskała usta tylko po to, by nie dostrzegł zmian na jej twarzy, choć pamiętała, że był empatą. Pewnie i tak wszystko rozumiał i umiejętnie to wykorzystywał.

– O mnie? – spytała chłodno.

– Tak, bo... rozumiesz, od momentu, gdy pokonałaś Strażnika Koszmarów, moja matka sądziła, że coś z tobą nie tak, że możesz mieć coś, czego powinna się obawiać. Ona w zasadzie często się boi, najbliższy powód może wyprowadzić ją z udawanej równowagi. Kiedy wygrałaś z własnymi koszmarami, wszyscy byliśmy zdumieni. Myślę, że matce chodziło o coś jeszcze.

Zamilkł i utkwiał wzrok w dywanie. March miała wrażenie, że jego czoło aż nabrzmiało od myśli.

– O co więcej mogło jej chodzić? – odparła powoli.

– Nie wiem. – Uniósł na nią wzrok i znów przeszył ją tym tajemniczym spojrzeniem. Odwróciła się, w obawie, że bada jej aurę. – Właśnie to sprawiło, że postanowiłem ci pomóc. Nie wiecie, jak to jest wychowywać się na dworze mojej matki. Ona wydaje się pozbawiona uczuć. Jest królową, matką nas wszystkich, a to tak, jakby nie była tak naprawdę niczyją. Z nikim nie dzieli się swoimi sekretami. Z nikim. Za to otacza nas ciągłym kultem nienawiści. Wiecie, że my, w przeciwieństwie do innych ferów, świętujemy czas rozłączenia?

Z każdą chwilą Hypnos mówił coraz żywiej.

– Matka twierdzi, że rozłączenie było karą za konszachty magicznych z człowiekiem. Naszą rasę ma za najpotężniejszą

i właściwie szanuje jeszcze tylko jednorożce i duchy. Ludzi uważa za upadłych, za pochodzących od tępych zwierząt.

Piątek odchrząknął. Mimo to odparł:

– Ma trochę racji. W końcu ludzie *naprawdę* pochodzą od zwierząt.

– A fery niby nie? – obruszyła się March. – Ewolucja dotyczy chyba wszystkich, prawda?

Hypnos pokręcił głową.

– Ewolucja... Tak, to prawda, wszystko w świecie ciągle ewoluuje, tyle że nie wszystko w fizyczny sposób. Fery powstały z czystych, wcielonych duchów, tak mówią nasze święte teksty.

Piątek prychnął z niesmakiem, ale Hypnos nie zwrócił na niego uwagi i kontynuował:

– Nie pochodzimy od zwierząt, choć mamy cechy wspólne z pszczołami i motylami. Które są święte, więc... Cóż, mniejsza z tym. Na pewno żadna magiczna nauka nie mówi, by zwierzęta lub ludzie byli mniej święci, tylko w Aislingen każe nam się sądzić inaczej.

– Niech zgadnę – odezwał się znów Piątek. – Przestało ci się to podobać?

Fer, choć z pewnością wyczuł sarkazm, odpowiedział całkiem poważnie:

– Nigdy mi się nie podobało. Właściwie zawsze podważałem to, czego nas nauczano, ale kiedy pojawiła się March, zrozumiałem, że coś w tym wszystkim było bardzo poplątane. Zadawałem sobie coraz więcej pytań. Dlaczego matka cię uwięziła? To nie był przypadek, musiała coś wiedzieć. Dlaczego prześladowała *twoją* matkę? To były tajemnice, których ona strzeże jak największej świętości. Już kiedy byłaś w Bibliotece Snów, dużo nad tym rozmyślałem, wydawało mi się to tak niesprawiedliwe! Wchodziłem tam czasem, patrzyłem, jak sobie radzisz.

Na to wyznanie March wcale nie poczuła się lepiej – wręcz przeciwnie.

– I co? Nie przyszło ci do głowy, żeby mi pomóc?

– Bałem się – przyznał szczerze. – Może i potrafiłbym to zrobić, choć istniała obawa, że skończyłoby się o wiele gorzej, gdybym spróbował. Strażnik Koszmarów, uwolniony, bywa nie do okiełznania nawet dla nas. Wydaje się nierealny jak coś, co siedzi tylko w głowie, ale faktycznie jest duchem, zniewoloną częścią kogoś, kogo pokonaliśmy.

Wizja duchów z Puszczy Krzyków wróciła tak silna, jakby zjawy przybyły do Domu Wiedźm. March zrobiło się niedobrze.

– Z nich tworzycie Strażników?

– Ja osobiście tego nie robię. Nigdy nie zajmowałem się nekromancją. To zakazane.

– Przez kogo? – spytał Piątek.

– Przez samą Matkę Duchów. Przywoływanie ich i zmuszanie do wykonywania rozkazów to potężne pogwałcenie świętego prawa.

– Wierz mi, czarownice niezbyt się tym przejmują – zaśmiał się kot. – Znałem co najmniej cztery, które do woli pętały duchy, przetrzymywały je w sygnetach i wisiorach, i wcale nie były z nich złe wiedźmy.

Hypnos spojrzał na niego z urazą.

– Zmarli przynależą do krainy wieczności. Nie wolno ich stamtąd wrywać.

– Frazesy – zbył go kot.

Fer przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, aż w końcu zwrócił się znów do March.

– Gdy matka kazała mi cię mamić, nie byłem do tego przekonany. Dlatego postanowiłem stworzyć miksturę w świątyni wraz z tobą. Sądziłem, że to da ci pewną wskazówkę co do zamiarów królowej. Poza tym było ważne,

żebyś poznała składniki, bo jeśli się wie, jak stworzyć truciznę, potrafi się również znaleźć na nią remedium.

– Nadal nie rozumiem, po co to wszystko robiłeś. Nie znałeś mnie wtedy, a teraz znasz niewiele lepiej.

– Może wcale nie robiłem tego dla ciebie? Może po prostu odkryłem w tobie coś, co miało pomóc mnie?

Zapatrzył się na nią. W jego oczach March dostrzegła nagle rozgwieżdżone niebo, tak samo jak w oczach Wyrda, wtedy gdy omamiła ją po raz pierwszy. Każdy aislingeński fer chyba to w sobie nosił – świat snów, do którego w dowolnej chwili mógł wrzucić każdego, w kogo wystarczająco długo się wpatrywał.

March miała wrażenie, że salon sióstr Malloway zniknął, a w oczach Hypnosa odbijała się każda chwila spędzona przez nią w Aislingen. Wracały jedna po drugiej, pojawiały się przed nią niczym obrazy w ciemnym tunelu. Gdy Piątek nagle syknął, aż podskoczyła i gniewnie zmrużyła powieki.

– Radzę ci nie próbować – ostrzegła, wymierzając w Hypnosa athame.

– Nie próbować czego? – zdumiał się.

– Dobrze wiesz. Próbujesz wciągnąć mnie w koszmar!

– Wcale nie! – zaprotestował gwałtownie. – Przeciwnie, chcę cię z niego wyciągnąć. Po to tu przybyłem.

– Lepiej powiedz, skąd się tu wzięłeś – powiedział Piątek.

– Tak jak mówiłem, dom wyczuwa intencje. Wiedziałem, jakie są moje, ale postanowiłem użyć wszelkich środków ostrożności. Pomogła mi twoja przyjaciółka.

March otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Zrobił to za nią Piątek.

– Isel? Byłem pewien, że coś z nią nie tak.

– O nie, wszystko z nią w porządku. Z całą pewnością nie chciała wam zaszkodzić. Muszę się jednak przyznać, że trochę ją wykorzystałem. Nie miałem wyboru, skoro musiałem się do was dostać. Wygląda na to, że zaklęcia sióstr Malloway

wytworzyły wokół domu aurę przypominającą tę, która otacza kręgi magiczne. A żeby dostać się do takiego kręgu, trzeba zyskać zaufanie jego twórców.

Nagle obraz sam pojawił się w głowie March.

– Amulet – wyszeptała. – *Znamię diabła.*

To było jasne. Skoro Hypnos zmienił formę, a energię dało się zamknąć w biżuterii, to było jedyne wytłumaczenie tego, skąd się tu wzięło.

– Właśnie tak – przyznał bez ogródek. – Nie wiem, dlaczego tak go nazwała, jest na tym punkcie nieco przewrażliwiona. W każdym razie przybrałem energetyczną formę, a wcześniej przekonałem Isel, że powinna sprowadzić mnie do waszego domu. Nie miejcie jej tego za złe. Musiała trzymać język za zębami, inaczej na nic by się to nie zdało.

– Świetnie – wycedziła March. – Więc moja najle...

Trzask, który nagle rozległ się w salonie, sprawił, że niemal stanęło jej serce. Callen ciężko padł na podłogę, trzęsąc się i gwałtownie próbując złapać dech. Wyglądał, jakby się dusił. Przerazona March zerwała się z fotela i nie wiedząc, co robi, złapała chłopaka za drżące ramiona.

– Boże, co się dzieje?! – wrzasnęła. Oczy Callena, choć szeroko otwarte, wydawały się puste. Chyba nie umierał? Nie mógł tak po prostu umrzeć! – Zostaw go! – Odepchnęła Hypnosa, gdy uklęknął przy chłopaku i wyciągnął ręce nad jego klatką piersiową. To była jego wina, to musiała być jego wina.

Ciałem Callena wstrząsały teraz miarowe drgawki, raz po raz, jakby spazmy. Hypnos spokojnie się pozbierał i jeszcze raz spróbował coś zrobić. March, nie kontrolując własnych odruchów, była gotowa z nim walczyć, ale Piątek rzucił się na nią.

– Nie! On próbuje go wyleczyć! Pomaga mu!



Wszystko to trwało jeszcze przez kilka chwil, które ciągnęły się w nieskończoność. Z dłoni Hypnosa dobywała się seledynowa energia, która wnikała w ciało Callena. Drgawki zaczęły słabnąć, aż wreszcie chłopak całkiem się uspokoił. Jego oczy zalśniły, jak gdyby na nowo zagościło w nich życie.

– Ja... tylko... próbowałem eksterioryzować... – wyjąkał.

A sprzed drzwi, które nagle trzasnęły, rozległ się krzyk:

– Przepraszam was! Naprawdę nie chciałam!



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W drzwiach stała zdyszana Isel. Trzymała się za pierś, a ręce tak jej drżały, że zdawało się, że i ona zaraz dostanie spazmów. Powiodła wzrokiem po salonie, ze strachem otwierając usta na widok leżącego Callena, a gdy jej spojrzenie padło na Hypnosa, natychmiast pobladła.

March zerwała się z podłogi i kilkoma susami doskoczyła do przyjaciółki. Nagle poczuła się co najmniej dwa razy od niej większa. Nie miała pojęcia, co chce zrobić. Nabrała ochoty, żeby wytargać ją za włosy, walnąć z pięści w zęby, i z trudem powstrzymywała się, by faktycznie jej nie zaatakować. Przed sobą miała tylko jej czerwoną, przestraszoną twarz, ale oczami wyobraźni widziała czarną, skłębioną kulę we własnym brzuchu. Kulę karmiącą się jej agresją, wściekłością, mogącą lada chwila wybuchnąć i rozsadzić od środka nie tylko March, ale cały Dom Wiedźm i to podłe miasteczko.

– I co?! – zawołała. – Co, do jasnej cholery?!

Poczuła do Isel coś w rodzaju nienawiści. Ale nie była to prawdziwa nienawiść. Raczej gniew połączony z pogardą, tak jak wtedy, gdy wracały ze szkoły i wyrzuciła jej wszystko, co o niej myślała.

– Stoisz tu jak cielę! Na co się gapisz?! Zabawiłaś się magią, tak?! Sprowadziłaś nam na głowę jednego z tych pieprzonych morderców! I za co mnie teraz przepraszasz?!

W gniewie rzuciła wściekłe spojrzenie Hypnosowi. Poruszył ustami, jakby chciał powiedzieć: „Nie jestem mordercą”, i wyraźnie skrzywdzony spuścił głowę.

– Uspokój się, March. – Callen pozbierał się z podłogi. – On mi pomógł, nie chciał mnie...

– Zamknij się! – zawołała. Przez te kilkanaście sekund, bo chyba nie trwało to dłużej niż minutę, tak strasznie bała się o jego życie, tak potwornie się bała. A on jak gdyby nigdy nic wstał i chyba nawet gotów był dziękować ferowi za uratowanie mu tyłka.

Odwróciła się znów do Isel. Dłonie same zacisnęły jej się w pięści. Mięśnie bolały, bo wciąż próbowała stawiać opór tej agresji. Wyobraziła sobie siebie płonąca magicznym ogniem, samospalającą się. Jej oddech przyspieszył, był teraz płytki i urywany. Przez chwilę miała wrażenie, że to się zacznie, że naprawdę zapłonie i umrze. Nogi same powiodły ją ku fotelowi, a gdy na niego opadła, miała wrażenie, że wszystko uchodzi z niej i wnika w ziemię.

– Mogę? – Hypnos, na którego dłoni pojawiła się wiązka uzdrawiającej energii, zbliżył się do niej.

– Nie. – Odtrąciła go.

Piątek wskoczył jej na kolana i zbliżył pyszczek do jej twarzy tak, że nie miała innego wyboru, jak tylko zajrzeć mu w oczy.

– Nie wygłupiaj się – warknął. – On ci pomoże, zanim zejdziesz na zawał. A bądź co bądź, jesteś nam potrzebna.

Mrużąc oczy z pogardą, pozwoliła ferowi użyć na sobie magii. Przejechał dłońmi po jej aurze, seledynowa energia wpłynęła do jej serca. Choć uzdrawianie trwało zaledwie kilka chwil, gniew uszedł, przynajmniej w połowie, robiąc miejsce dla nowego uczucia. Dla wstydu.

Niepotrzebnie tak mocno naskoczyła na Isel. Miała już tego nie robić, przecież sobie obiecała...

– Siadajcie – zarządziła. Nie pozwoliła wyrzutom sumienia zagnieździć się w głowie, nie miała czasu się z nimi męczyć. – Wszystko sobie po kolei wyjaśnimy.



– Wyczułam go, *naprawdę* go wyczułam. – Isel mówiła tak, jakby duma mieszała się w niej z upokorzeniem. Raz po raz zerknęła na Callena. Wzroku March unikała i wciąż nerwowo ścisnęła palce. – Jeszcze zanim go zobaczyłam, wiedziałam, że jest w pokoju. A potem, jak się odwróciłam, unosił się nad łóżkiem.

Callen, przed chwilą zupełnie blady, poczerwieniał. To on był źródłem całego zamieszania. Jak się okazało, gdy tylko Hypnos wspomniął o Isel, chłopak postanowił eksterioryzować, ale tylko w połowie, tak by móc poruszać ciałem fizycznym i kontrolować sytuację w Domu Czarownic, a w formie astralnej badać pokój Isel. March nie wiedziała, czy będzie umiała mu wybaczyć to, że doprowadził ją niemal do ataku hysterii. Z drugiej strony coś musiał zrobić, a przecież nie miał jak powiedzieć jej o swoich zamiarach w obecności fera. Przeniósł się więc niezauważony.

Ale tym razem dziewczyna zabezpieczyła pokój. Tego Callen się nie spodziewał i dlatego skończyło się dziwnym atakiem.

– Wzięłam sobie do serca to, co mi mówiliście o ochronie domu – tłumaczyła Isel – no i rzuciłam kilka czarów.

– Zupełnie poplątanych! – zawołał Callen. – Ledwo wysłałem ci sygnał, żebyś do nas przyszła, coś mnie zaatakowało, różne rzeczy z różnych stron. Zdawało mi się, że wiążą mi ręce i mnie duszą! Co to było?

– Ochronne znaki, jakieś runy... Nic więcej. – Isel jeszcze bardziej się spieszyła.

– Tak czy siak, ochroniłaś się źle – stwierdził nagle Piątek.

Wszyscy oprócz Hypnosa spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Chcesz powiedzieć, że dobrze by było, jakbym wykitował, tak? – obruszył się Callen.

– Nie, chodzi mi tylko o to, że skoro czar ochronny zadziałał dopiero w chwili, gdy się odezwałeś, czyli kiedy musiałeś użyć mocy w największym stężeniu, bo przecież inaczej to u ciebie nie działa, to znaczy, że ciągle można dostać się do domu Isel, tylko nie wolno korzystać w nim z silnej magii. Ale mniejsza z tym, to wątek poboczny.

– Właśnie – odezwała się March. Dotąd milczała, próbując sobie poradzić z na nowo narastającą złością. Wreszcie udało jej się opanować ją na tyle, że sama przestała widzieć siebie stojącą w płomieniach, a to był już pewien sukces. – Obchodzi mnie tylko, jak doszło do *tego*. – Zamaszystym ruchem wskazała Isel i Hypnosa, którzy siedzieli obok siebie.

Spojrzeni po sobie, jakby jedno próbowało przekonać drugie do wyjaśnienia sprawy. W końcu, chyba z poczucia moralnego obowiązku, zaczęła Isel.

– Jak ci mówiłam, że widziałam coś w ogrodzie, to była to prawda – oświadczyła. – Wtedy, kiedy po raz pierwszy opowiedziałas mi o magii. A zaraz po naszym spotkaniu pojawił się on.

Urwała i przeciągle westchnęła. Temat zawisł w powietrzu jak coś, czego nikt nie chciał tykać, aż wreszcie podjął go Hypnos.

– Już wcześniej badałem Isel. Wiecie, że Aislingenianie mają dostęp do tego miasteczka. Bez trudu sprawdziłem, z kim przyjaźniła się March. Ukazałem się Isel i obiecałem nauczyć ją magii w zamian za to, że pozwoli mi się dostać do Domu Wiedźm.

March pokręciła głową. Posłała przyjaciółce miazdzące spojrzenie.

– Czyli nie wolno mi już ufać nikomu – wycedziła. – Ty sprzedałaś mnie za jakąś magiczną moc, a ty... – zwróciła się do fera. – Co jej obiecałeś? To samo co mnie w Aislingen? „Nauczmy cię podstaw, trochę tych bzdur o żywiołach?”

Marne ochłapy. Nigdy nie pokazujecie ludziom, jak się używa prawdziwej magii, boby wam zagrozili.

– To też jest prawdziwa magia – odparł cicho Hypnos. – Podstawy. A ludzie nigdy nie zdołają nam zagrozić. Jesteśmy zbyt silni.

– Żebyś się nie zdziwił – mruknął Piątek.

– Ja wcale nie chciałam cię zdradzić! – zaprotestowała Isel, bliska płaczu. – On mi powiedział, że chce wam pomóc, że grozi wam straszne niebezpieczeństwo i...

– Faktycznie grozi – przerwał jej kot, zeskakując z fotela. – A nasz ferzy kumpel zaraz wszystko o tym opowie, ale my, Isel, pójdziemy teraz gdzie indziej. Zaczekaj na mnie na górze, przy wejściu na strych.

Isel spojrzała na March, jakby chciała zapytać o pozwolenie. March założyła ręce na piersi i odwróciła twarz w drugą stronę.

– No dobra – westchnęła Isel i pomaszerowała na górę. Gdy znikła, Piątek cicho oświadczył:

– Myślcie sobie, co chcecie, ale nie możemy jej zostawić bez solidnego treningu. Pokażę jej pokój świątynny i... Posłuchaj mnie! – zawołał, bo Callen już otwierał usta do protestu. – Magia wymaga zaufania. Jak już się zdecydowaliśmy ją uczyć, niech pozna nasze sekrety. Jak na razie z kręcenia i półprawd wyszło nam, co wyszło, więc nie dyskutuj ze mną.

Nagle kot wydał się March poważny i władczy. Zachowywał się jak opiekun Callena, a nie przyjaciel.

– Idę – oświadczył. – A wy zajmijcie się resztą. Wiecie, o co go pytać. – Na moment zatrzymał spojrzenie na March, po czym ruszył za Isel.

– Wiemy, oczywiście, że wiemy. – March poprawiła się na fotelu tak, by patrzeć wprost na Hypnosa. Bawiła się scyzorykiem, trzymała go na widoku jako ostrzeżenie. – Kto zabija? – spytała od razu.

Fer natychmiast się zmieszał.

– Słucham?

– Kto za...

– Czekaj – Callen przerwał March. – Po kolei. W Finfolk ostatnio giną ludzie. No, jak na razie zginęły tylko dwie osoby, starsze panie, i niby nie widzielibyśmy w tym nic podejrzanego, gdyby nie fakt, że March nawiedzają przy okazji wizje. A to, jak dobrze wiesz, kojarzy nam się tylko z wami.

Uporczywie wbijał wzrok w Hypnosa, ale jego ton pozostawał dość łagodny. W końcu zawdzięczał ferowi życie. March w sumie się cieszyła, że Callen tak sucho objaśnił jej obawy, choć czuła w związku z tym pewien niesmak. W końcu mówił o czymś, przez co niemal wpadła w paranoję. *Niech powie, że to ich sprawka* – modliła się, obserwując fera. *Niech tylko się przyzna.*

– Nie wiem, o czym mówicie – oświadczył Hypnos, gasząc jej nadzieję, a przy okazji wzbudzając nową falę gniewu. Dlaczego nie wiedział? Powinien wiedzieć, *musiał* wiedzieć!

– Kłamiesz – syknęła.

– Nie, naprawdę nie – zarzekał się.

– Opowiedz mu o wszystkim – poleciła Callenowi. Sama nie była w stanie do tego wracać. Ale gdy chłopak zaczął mówić o jej wizjach i zmarłych sąsiadkach, co pewien czas musiała mu przerywać. Bo *on* nie mógł oddać wszystkiego, nie doświadczył tych rzeczy, to nie on pragnął ludzkiej krwi, nie on rozszarpywał ciała tamtych kobiet.

Hypnos słuchał w zamyśleniu, jednak z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

– Opuściłem Miasto Snów krótko po waszym zniknięciu. Jeśli nasze fery maczały w tym palce, być może zaczęły planować te ataki, kiedy już mnie tam nie było. A gdyby to jedynie moja matka za nimi stała, to... już wam mówiłem, ona rzadko dzieli się czymkolwiek z innymi, na pewno



zachowałyby to w sekrecie, może co najwyżej zdradziła Leili albo Khonsu. Mnie nic o tym nie wiadomo.

Nie. March nie miała zamiaru tego akceptować. Hypnos musiał wiedzieć więcej.

– A to? – spytała z nadzieją. – Posłuchaj.

Opowiedziała mu o jeszcze jednej wizji, tej, w której poświęcono młodą ferinię czemuś, co znajdowało się w finfolkskim lesie.

– I zdawało mi się, że to ja sama byłam tą ferinią – oświadczyła na koniec.

Hypnos zmarszczył czoło.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o co może chodzić. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek złożono w ofierze ferinię, przynajmniej nie zrobili tego ludzie... Ale... – Zawahał się. – To mi brzmi trochę jak Kowen Bestii.

– Jak co? – March odwróciła się w stronę Callena. Chłopak wcale nie był mniej zdumiony od niej.

– No – odparł Hypnos – wszyscy przecież wiedzą, że w Finfolk działała kiedyś grupa czarownic nazywających siebie Kowenem...

Nagle z góry doleciał przeraźliwy wrzask Isel. March poczuła, jak serce podskakuje jej do gardła. Nogi same powiodły ją na strych. Pędziła schodami, przeskakując po dwa naraz. Krzyk brzmiący tak, jakby Isel obdzierano ze skóry, trwał nieprzerwanie, rezonował w głowie March, zagłuszając najmroczniejsze myśli, które natychmiast ją zaatakowały.

Dobiegła do pokoju świątynnego; drzwi były otwarte, Piątek wybiegł stamtąd, omal nie wpadając jej pod nogi. Wołał coś, ale ona go nie słyszała. Wpadła do świątyni, lecz nie doskoczyła do Isel. Na jej widok zatrzymała się z mieszaniną szoku i przerażenia na twarzy, a już po chwili musiała powstrzymać odruch wymiotny.

To, co wyprawiało się z ciałem Isel, było obrzydliwe. Skóra zdawała się rozlewać, pęcznić, a zaraz potem kurczyć, kości poruszały się pod nią z trzaskiem; niektóre wyglądały, jakby zaraz miały ją przebić. Najgorsza była twarz, którą wykrzywiały nie tylko ciągłe zmiany, ale też potworny grymas bólu. Isel wrzeszczała i wrzeszczała, coraz głośniej.

March stała jak sparaliżowana. Callen zerwał z dziewczyny amulet zmiennokształtny, jednak nic to nie dało, bo ciało Isel wciąż wstrząsały spazmy. Hypnos ukląkł przy niej i kilkoma ruchami objął ją seledynową aurą. Dziewczyna zatopiła się w niej jak w bańce. Jej krzyki stopniowo cichły, ciało zaczęło wracać do normy, aż wreszcie, wyglądając tak samo jak przedtem, pojękiwała już tylko raz po raz, tępo patrząc w sufit.

Fer wstał. Wyglądał na wykończonego. Słaniając się na nogach, wpadł wprost w ramiona Callena, który w ostatniej chwili go podtrzymał.

– No – powiedział Hypnos, posyłając March blady uśmiech. – To uratowałem dziś dwójkę twoich przyjaciół. Chyba możesz mi zaufać, prawda?



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

– Odwróciłem się tylko na moment – zarzekał się Piątek. – Niepotrzebnie jej powiedziałem, że na ołtarzu leżą amulety do zmiany kształtów. Porwała jeden z nich i założyła na siebie, a nie był z nią zestrojony, no i się stało.

Siedzieli teraz w pokoju Callena. Musieli położyć Hypnosa na łóżku i dać mu coś do jedzenia, żeby jego magia mogła się zregenerować. Fer krzywił się z każdym kęsem słodkiej bułki, ale nie narzekał. Isel leżała w pokoju March. Hypnos zdołał ją uspić, twierdząc, że to jedyny sposób, by mogła dojść do siebie.

– Ale nie od razu – zastrzegł. – Przypuszczam, że długo jej zajmie, nim pozbędzie się tego wspomnienia. Jeśli nie będzie umiała sobie z nim poradzić, spróbujemy je usunąć.

March miała wrażenie, że cała się trzęsie, choć w rzeczywistości siedziała nieruchomo, wpatrzona w łóżko. Ale wcale nie widziała Hypnosa, jej wzrok zatonął w białej pościeli, zupełnie jakby mózg sam szukał punktu, na którym mógłby się skupić i jakoś pozbierać myśli. Wydarzenia tego dnia sprawiły, że w sercu March zrodził się lęk, który ani na moment jej nie opuszczał. Spodziewała się, że w każdej chwili znów coś się stanie. Wizyta w Puszczy Krzyków nagle wydała jej się mniej przerażająca niż to, czego świadkiem była dziś.

– Dlaczego? – spytał Callen. – Dlaczego ona to zrobiła?

*Dlaczego?* March zadawała sobie to samo pytanie, choć wcale nie chodziło jej o to, dlaczego Isel porwała amulet. Chciała raczej wiedzieć, dlaczego jej przyjaciółka w ostatnim czasie stała się takim utrapieniem, nie tylko karykaturą

kogoś, kim nie była, ale w dodatku żywym, obciążającym barki ich wszystkich problemem. Pragnęła bawić się w bycie czarownicą, ale to nie była zabawa. To było niebezpieczne.

– Nie wiem, co ją podkusiło – odparł kot. – Ale gdyby nie Hypnos, skończyłoby się gorzej niż fatalnie.

– Nie ma za co – zaśmiał się lekko fer, patrząc na March. A ona wstała i z założonymi rękami odwróciła się ku ścianie.

– Ja wiem, dlaczego to zrobiła – powiedziała cicho.

W pokoju zapadło milczenie. Nikt o nic nie dopytywał. Pewnie wszyscy znali odpowiedź, a nawet jeśli nie, to ona nie miała zamiaru im jej udzielać. Bo niby co miała powiedzieć? Że Isel nienawidzi swojego ciała, że z pewnością w amulecie upatrywała wybawienia od niego, że może zajęła się magią tylko po to, by naprawić życie, którego nie umiała poukładać w zwyczajny sposób? Przecież wszyscy o tym wiedzieli. A przy okazji było to coś, o czym nikt nie chciał dyskutować, jakby sądzili, że im nie wolno.

– Będziesz musiała z nią o tym pogadać – stwierdził wreszcie Piątek. – Tylko bez...

– Wiem – ucięła March.

Musiała tym razem zachować pełen spokój. *I to nie będzie łatwe* – pomyślała. *Będzie trudne jak cholera.* Ale nie miała wyboru. Paraliżowała ją myśl, że mogłaby stracić Isel. Nie *przyjaciółkę*, ale po prostu Isel. Bo jako *przyjaciółkę* już i tak ją chyba utraciła.



Za każdym razem, gdy March wchodziła do swojego pokoju, bała się, że Isel umarła. Nie rozumiała źródła tego dziwnego lęku, ale ledwo kładła dłoń na klamce, serce gwałtowniej tłukło jej się w piersi, oddech na chwilę się zatrzymywał

i przez kilka sekund musiała walczyć ze strachem, żeby podejść do łóżka. Co śmieszne, równie mocno bała się momentu wybudzenia przyjaciółki. Bo wcale nie czuła się gotowa na rozmowę z nią.

Twarz Isel była blada. To jedno straszne doświadczenie w pokoju czarownic zdawało się odcisnąć na niej piętno. *Co ona musiała czuć?* – zastanawiała się March. Ból był zapewne nie do zniesienia. Ona sama wzdrygała się na myśl o zmiennokształtności, ale w jej przypadku wszystko skończyło się w kilka sekund. Isel cierpiała tortury przez dobrą minutę. Jej kości łamały się i zrastały, ciało...

*Nie.* March nie była w stanie sobie tego wyobrazić, zwłaszcza gdy przed oczami stało jej znów Milczenie, tamten ohydny stwór, którego tylko fery mogły stworzyć. I pomyśleć, że jeden z nich był teraz w tym domu, w *jej* domu, bo pewnie mogła już tak o nim myśleć. Obecność Hypnosa była jak przekleństwo. „Chyba możesz mi już zaufać” – jego słowa dźwięczały w głowie March. *Nie*, wcale nie mogła. Nawet nie powinna. Ale gdyby nie on, Isel by nie żyła. W przekleństwie było więc błogosławieństwo.

– Nie musiałaś tego robić – wyszeptała z wyrzutem, patrząc na bezwładnie zwisającą z łóżka rękę przyjaciółki. – Nie musiałaś...

Chciała już odejść, gdy jej uszu dobiegł słaby głos Isel.

– March... – wyszeptała tak, jakby budziła się z długiej śpiączki. Oczy miała zamknięte. Syknęła z bólu i położyła dłoń na czole, ale nie uchyliła powiek, najwyraźniej bojąc się tego, co zobaczy.

– Dalej cię boli? – zaniepokoiła się March.

– Nie, już nie, to tylko wspomnienie...

Słowa Isel zawisły w powietrzu. Atmosfera stała się zbyt ciężka do zniesienia, zupełnie jak gdyby pokój Irmy nagle wypełnił się czymś dławiącym. A w March odezwało się

uczucie, które choć pojawiło się znienacka, wcale nie sprawiało wrażenia nowego. Przeciwnie, czekało z ujawnieniem chyba tylko na to, aż Isel się wybudzi. *Wyrzuty sumienia*. Bo przecież to March ją tu przyprowadziła, to ona pokazała jej magię. I nie chodziło o to, co Isel zrobiła dziś, ale raczej o fakt, że w ogóle pomyślała o rozwiązaniu swoich najgłębszych problemów za pomocą czarów.

Prawdziwa rozmowa miała się dopiero odbyć. Poważna, najpoważniejsza, jaką March dotąd przeprowadziła, chyba nawet ważniejsza od tych o magii. O nic nie zapytała. Nie przemyślała sobie tego, jak ta wymiana zdań powinna wyglądać. Woląca oddać pierwszeństwo Isel. Straciłaby przy tym wprawdzie część kontroli, ale to była historia przyjaciółki. I jej ból. Ona musiała o tym opowiedzieć.

– Nie czuję się ostatnio dobrze – zaczęła dziewczyna, doskonale wiedząc, czego oczekuje od niej March. Spojrzenie kierowała na sufit, cierpienie, które zostawiło ślad na jej twarzy, tylko się pogłębiło. – Liczyłam na to, że amulet mi pomoże. A nawet... Nie, nie wiem, czy na to liczyłam. Po prostu nie pomyślałam. To był impuls.

March ciągle milczała. Może powinna o coś zapytać. Jeśli tak, to nie wiedziała o co. Usiadła przy łóżku, ale nie patrzyła na Isel. Żadna z nich nie potrzebowała bliskości spojrzeń, to było zbyt trudne.

– Wiesz, dlaczego się kiedyś cięłam? – spytała nagle Isel głosem całkiem suchym, pozbawionym rozpacz, cienia bolesnych wspomnień, wszystkich tych rzeczy, których March się spodziewała.

– Wiem – odparła cicho.

*Wiem, bo wszystko widziałam. Wiem, bo tobą byłam. I jako Isobel Bini nienawidziłam siebie bardziej, niż nienawidzę March Sky, bardziej, niż umiałabym sobie wyobrazić wstręt do samej siebie. I cierpiałam bardziej, niż mogłam cierpieć jako ja.*

Ale tego wszystkiego nie mogła jej powiedzieć. Musiała utrzymywać w Isel złudzenie, że tylko ona sama rozumie swój największy smutek.

– A ja do końca tego nie rozumiem – powiedziała Isel. – Bo niby jak miało mi to pomóc? I nawet wcale nie próbowałam się zabić, bo tego bym nie potrafiła. Nie znalazłam żadnego logicznego wytłumaczenia, dlaczego musiałam się ranić, a wiesz, że zawsze szukam racjonalnych wyjaśnień. I to głównie prawda, że psychologia mi pomogła. Wcale nie. Bo wszystkie te opisy nie sięgały samej... no wiesz, głębi tego mojego... stanu.

Jej głos wydawał się aż zbyt rzeczowy. Może właśnie tylko w ten sposób mogła o tym mówić: odsuwając emocje na bok. March dobrze wiedziała, że emocje zwykle tylko przeszkadzają.

– Potem, jak powiedziałaś mi o magii – ciągnęła Isel – myślałam sobie, że tak, jasne, to jest rozwiązanie. Dusza. No... nie do końca dusza, bo ona pewnie nie istnieje... ale jakiś wymiar psychiczny, umysłowy, coś, czego nauka jeszcze nie zgłębiła. I uznałam, że to tam choruję, może w świecie astralnym, no wiesz. – Westchnęła i się zaśmiała. – W życiu bym nie wierzyła w takie bzdury, gdybym ich nie doświadczyła. Magia wydała mi się jakimś... rozumiesz, cudem natury, dodatkowym wymiarem w czasoprzestrzeni i takie tam. I wtedy zaczęłam się zmieniać.

March powoli wypuściła powietrze.

– Nie rozumiałam tych twoich zmian – przyznała. – Sądziłam, że coś z tobą nie tak.

– Bo przecież było nie tak. Ja siebie nie lubiłam... No, nadal nie lubię, nie do końca darzę swoje ciało *szacunkiem*.

– Piękny eufemizm – prychnęła March – czy jak to się tam nazywa.

– Albo peryfrazą – zachichotała Isel. – Przebierałam się, próbowałam nowych rzeczy, zmieniałam makijaż. I naprawdę



sądziłam, że to mnie uszczęśliwi. Zresztą na chwilę uszczęśliwiało, tyle że w końcu doszłam do stanu, kiedy to wszystko już mi zupełnie nie pasowało. I jak tu przyszłam, mówiłyśmy o tym amulecie. W waszej świątyni Piątek pokazał mi twój. Wiesz, March, wcale nie wyglądałaś ładnie, jak się zmieniałaś w tamtą babkę, ale ja ogólnie uważam, że każdy jest ładniejszy ode mnie.

– A Belinda Gordon? – wtrąciła szybko March, co tylko na chwilę poprawiło im humory.

– Pięknością to ona nie jest – zauważyła Isel. – Ale i tak wyglądam od niej gorzej.

– Ja też. Dlatego świat jest popieprzenie niesprawiedliwy. Jak mam wierzyć w dobroczynne działanie magii i stojącą za nią jakąś przyjazną moc, skoro ja dostałam takie ciało, a tamta krowa ma lepsze? I założę się, że w życiu nigdy nie będzie miała pod górkę tak jak ty czy ja.

– Ale jest głupia – zaznaczyła Isel.

– No jest, i kogo to obchodzi? – March urwała. Trwała tak przez chwilę, nie wiedząc, co się właściwie z nią dzieje. Pod powierzchnią tworzyło się już jakieś uczucie. A gdy wybuchło, objawiło się jedynie gromkim śmiechem. – Wiesz co? – spytała, trzymając się za brzuch. – Myślałam, że tylko się teraz zdołuję, za to w sumie chce mi się śmiać. Bo znów gadamy jak dawniej.

– Tak – odparła Isel. – W życiu bym nie pomyślała, że z Belindy może być jakiś pożytek.

Śmiech wydawał się oczyszczający, ale gdy radość znikła, nie pozostawiła po sobie ani odrobiny ulgi.

– Wiesz co? – podjęła March. – Magia na pewno ułatwi nam zadanie, ale musi być dodatkiem. Pomyślimy o jakimś rozwiązaniu, a teraz chciałam spytać...

Podskoczyła, gdy nagle rozdzwonił się telefon Isel.

– Sorry – jęknęła dziewczyna.

– Okropny dzwonek – skrzywiła się March, podając jej komórkę.

Isel spojrzała na wyświetlacz i odrzuciła połączenie.

– Mama – powiedziała. – Potem do niej oddzwonię.

– Chyba nie powinnaś jej tak traktować, wiesz? – zauważyła March. – Mam wrażenie, że nadużywasz magii.

Wbrew jej podejrzewaniom Isel wcale nie zareagowała na to gniewem.

– Wiem – odparła. – Muszę to wszystko... przemyśleć. Ale ty też musisz ułożyć sprawy ze swoją mamą.

– Jasne, zrobię to, jak tylko ukatrupię Wyrd. – March wyszczerzyła zęby.

– A tak w ogóle – dodała Isel. – O co chodzi?

– Co?

– No, mówiłaś, że chciałaś o coś zapytać.

– Ach, nie, nie...

March zamilkła. Miała zamiar pogadać o Hypnosie, jednak nagle wydało jej się to niepotrzebne. Wiedziała już, że omamił Isel, chyba też rozumiała, czemu dziewczyna dała się wciągnąć w jego gierkę. Gadanie o tym tylko by ją na nowo rozjuszyło. Poza tym Hypnos im dziś pomógł. Więcej niż pomógł – uratował życia Isel i Callena, a pośrednio też życie March, bo bez jednego i drugiego sama by pewnie zginęła.

Była jednak inna rzecz, o której March musiała pomówić z przyjaciółką.

– Tak sobie myślę – zaczęła powoli. – Czy może...

*Czy może przyszło ci do głowy, żeby rzucić na kogoś klątwę?*

*Czy kogoś zabiłaś?*

Przełknęła ślinę.

– Nie rzucałaś chyba żadnych negatywnych zaklęć, co? – spytała ze śmiechem, którego chciała uniknąć, ale wcale nie umiała powstrzymać, jakby miał stanowić usprawiedliwienie tego, o co podejrzewała Isel.

*Podejrzewała...* Właściwie to jak w ogóle mogłaby ją podejrzewać? Przecież to było całkiem bez sensu.

– Myślałam o nich – przyznała Isel poważnie – ale żadnego bym nie wykorzystała. To znaczy, chyba bym nie umiała, co nie?

Dopiero teraz spojrzała na March. Wcześniej, gdy mówiła samą prawdę, unikała jej wzroku. Czyżby teraz kłamała?

March szybko oddaliła od siebie tę myśl. Jasne, że Isel nie kłamała. A zresztą nawet gdyby, to jej klątwy z pewnością na nikogo by nie podziały. Winny jej zachowaniu był Hypnos.

Trzeba było natychmiast zmienić temat.

– Słuchaj, założymy ci Facebooka i Instagrama – wypaliła nagle March. – No nie gap się tak, okay? Nie będziesz musiała wstawiać swoich zdjęć, przynajmniej nie od razu. Dobrze ci wychodzą makijaże i różne stylówki, może mogłabyś o tym pisać, co? Udzielać porad?

Brzmiała może nieco fałszywie, bo sama miała tylko Facebooka, i to bez profilówki, ale coś jej mówiło, że właśnie tego potrzebowała teraz Isel: uwierzenia, że może zrobić coś, co spodoba się innym. I to nie było ani trochę płytkie. To było ważne.

– Okay. – Isel uśmiechnęła się z rezygnacją. Przez chwilę nie wydawała się już tak blada jak wcześniej.

I nawet March uwierzyła, że może jej pomóc.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Isinbir powoli odłożył szklankę z wybuchowym ferem, najgorszym piwem w Elphame. *Mocno alkoholowym* – pomyślał Callen, uważnie przyglądając się twarzy ojca, która nieznacznie zmieniała się z każdym kolejnym łykiem. *A jest dopiero południe...* Z trudem odtrącił tę myśl. Zastanawiał się, dlaczego właśnie teraz pijaństwo ojca tak go denerwuje; teraz, kiedy on i March przyszli do Isinbira w o wiele istotniejszej sprawie.

Nie chciał tego. Póki mógł, wmawiał sobie, że alkoholizm ojca nie jest jego problemem. Z każdym ich kolejnym spotkaniem czuł jednak, jak łącząca ich więź wciąż się wzmacnia. Nie chodziło o walkę z Wyrd czy o magię – chodziło o coś głębszego. Choć Callen tak się przed tym wzbraniał, zaczynało coraz bardziej zależeć mu na Isinbirze i, co ważniejsze, czuł, że i ojcu zależy. Najgorsze, że nawet nie mieli okazji, żeby o tym pogadać, bo wciąż zajmowało ich coś innego.

– Więc mówicie, że fer pojawił się znienacka – westchnął po głębszym zastanowieniu Isinbir. Ścisnął szklankę, wypił do dna i zabębnił palcami o blat brudnego stołu.

– Sądzisz, że on nie kłamie? – spytała March.

Wciąż zadawała to pytanie. Callen podzielał jej niepokój, ale nie potrafił odpowiedzieć. Hypnos był z nimi już trzeci dzień i dopiero teraz zdecydowali się donieść o tym Isinbirowi. Wcześniej powstrzymywał ich chyba strach. Bo przecież dobrze wiedzieli, że trzymanie w domu aislingeńskiego fera

było jak samobójstwo. A mimo to mieli wobec Hypnosa dług wdzięczności, zwłaszcza Callen.

– Kłamie, mówiąc, że chce wam pomóc? – odparł Isinbir. – To bardziej niż pewne.

– Więc musimy się go pozbyć – stwierdziła March z lekkim wahaniem. Callen nie chciał wykorzystywać empatycznych mocy, by badać jej uczucia, ale choć sam nie wiedział dlaczego, nie umiał się powstrzymać. Nie w pełni rozumiał, co się działo, gdy rozmawiali na temat fera, czuł jednak, że dziewczyna jest z nim w pewien sposób związana. I chyba go to niepokoiło. No, na pewno coś w związku z tym czuł, a niepokój wydawał się najprostszym wyjaśnieniem.

– O nie, tego zrobić nie możecie! – Isinbir zabrzmiał agresywnie. Callen zadrżał z nerwów i złości; wiedział, że alkohol zaczął przejmować nad ojcem kontrolę.

March, która wydawała się wcale nie przejmować podchmielonym ferem – a może tylko udawała, że się nim nie przejmuje – założyła ręce na piersi.

– No to co proponujesz? – spytała.

Isinbir odruchowo uniósł szklankę. Przypominając sobie, że jest już pusta, skrzywił się i prychnął.

– To, co wam powiedział, ma sens. Jestem w stanie uwierzyć w część tej historyjki, może nawet większość. To żadna tajemnica, że was śledzą i że Społeczność może chcieć pociągnąć was do odpowiedzialności. Jak szambo się wyleje i wszyscy się dowiedzą o zniszczeniu Biblioteki, cała wiedźmia prasa zacznie o tym pisać. Wtedy dobrze będzie kogoś wsadzić, to zawsze ładnie wygląda w gazetach. A co do reszty opowieści... Jakoś nie chce mi się wierzyć, że fer zbiegły z Aislingen ukrywa się w Finfolk. Przecież Finfolk to też Miasto Snów. Albo Koszmarów...

– Co masz na myśli? – March niespokojnie się poruszyła.

– Nic poza tym, że jesteście przejęci, zawsze byliście. Wyrd nie zrezygnowała z chęci sprawowania kontroli nad tym miasteczkiem, a powody zna tylko ona sama... No i teraz przejęła je jeszcze silniej, przez własne czary.

Nim March zdołała zadać kolejne pytanie, wtrącił się Callen.

– Hypnos – powiedział. Miał wrażenie, jakby to imię miało smak, smak zdradliwego fera, a jednocześnie nie potrafił wypowiedzieć go z pogardą. – On jest przecież twoim bratem.

To, co powiedział, zabrzmiało zarazem oczywiście i odkrywczo.

– Jest, mam pewnie wielu braci i sióstr, o których nie wiem.

– Więc nie urodził się w czasach, gdy mieszkałeś w Aislingen. Ile może mieć lat?

Ojciec spojrzał na niego wzrokiem, który był już w połowie przyćmiony. Callen odwrócił twarz; to spojrzenie wzbudzało w nim wściekłość.

– Bo ja wiem? – odparł Isinbir. – Na pewno jest młody.

– I Wyrd go kocha? Jak sądzisz? – dodała March.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zaśmiał się fer. – Wyrd nie darzy nikogo szczególną miłością.

– Ale jemu ufa – uznała March. – Na pewno, to logiczne. Wiemy już, że Wyrd czegoś ode mnie chciała, nie wiemy czego, ale o coś jej chodzi, prawda? Musiała wysłać kogoś, komu ufała, żeby się mną zajął, inaczej to by nie miało sensu.

– A on ją zdradził – odparł Callen.

– Lub wcale nie, skąd możesz to wiedzieć? Może przyszedł do nas tylko po to, żeby dalej nas mamić?

– I uratował mi życie...

– Po co miałby pozwolić ci umrzeć? Tobie albo Isel?

– Isel może być z nim w zмовie.

– Nie, na pewno nie! Nie, posłuchaj! – March zaczęła się gorączkować. – Myślałam o tym i wcale w to nie wierzę. Jasne, wykorzystał ją, ale jej magia do niczego by mu się nie

przydała. Isel niczego jeszcze nie potrafi i... Nie, on na pewno jej nie potrzebuje, bo ona... Nie.

Urwała nagle, jakby uciekła jej myśl. Oboje spojrzeli na Isinbira w chwili, gdy ten mocno zachrapał.

Zasnął.



– Nie podoba mi się to, co robisz – oświadczył surowo Callen. Odesłał March do domu wcześniej, a sam został z ojcem. Ponad dwie godziny czekał, aż fer się obudzi. Ściany jego śmierdzącego mieszkania zdawały się zaciskać, dusząc chłopaka samotnością i jeszcze gorszym od niej poczuciem beznadziei. Z każdą minutą w Callenie narastała też złość, już nie tak gwałtowna jak wtedy, gdy patrzył na pijanego ojca i miał ochotę mu przywalić, ale raczej chłodna i przemyślana, złość, którą można było wykorzystać jak ostrą broń.

Isinbir siedział na fotelu, teraz już całkiem trzeźwy, choć zmarnowany. Wpatrywał się w Callena, udając, że nie rozumie problemu.

– Zdrzemnąłem się tylko na chwilę. To nie tak, że was nie słuchałem, ale...

– Nie wiem, jak jeszcze chciałeś pokazać, że masz nas gdzieś – przerwał mu chłopak. – Może się zachłasz na śmierć? Wyświadczyłbyś mi wtedy przysługę, choć wolę, żebyś jeszcze się wstrzymał, do czasu, aż sobie nie poradzimy z twoją przekłętą matką. I powiedz mi, czy wszyscy w naszej rodzinie, przynajmniej tej po twojej stronie, to skończone dupki i psychopaci, czy może jest ktoś normalny?

Fer wytrzeszczył oczy. Nie spodziewał się pewnie tego wszystkiego usłyszeć, a Callen, choć mówił z opanowaniem,



nie umiał się powstrzymać przed wymierzaniem kolejnych ciosów.

– Mam pecha – uznał. – Mam cholernego pecha, bo akurat musiałem cię przywołać do swojego życia, a w dodatku tylko w tobie ja i March możemy znaleźć jakieś oparcie w kwestii Wyrd. Takie oparcie to żadne oparcie. Już jesteśmy martwi.

Isinbir zawahał się.

– Myślisz, że tak łatwo radzić sobie z moim problemem, a...

– Przestań się nad sobą użalać! – wrzasnął nagle chłopak, zrywając się z fotela. Siedział na nim zbyt długo, zbyt długo pozwalał panować nad sobą chłodowi. – Powtarzasz March, żeby sobie radziła z przeszłością, z jakąś tam raną, i ciągle rzucasz złotymi myślami, a sam ciągle narzekasz, jak wielce jesteś pokrzywdzony! Co z tego, że ktoś cię skrzywdził?! Twoja matka, twoje plemię, przypadkowy los?! To bez sensu, skoro najbardziej krzywdzisz się sam!

Miał ochotę spoliczkować ojca, choćby tylko po to, by ten oprzytomniał i zdał sobie sprawę z tego, co wyprawia. Właściwie to powinien był go walnąć, powinien znaleźć jakiś ostateczny argument, który go przekona, że ma się wziąć w garść.

Isinbir wpatrywał się w niego wielkimi oczami, z mieszaniną szoku i bólu. Wreszcie spuścił głowę i wyszeptał tylko:

– Masz rację.

Callen, który teraz nad nim górował, nie miał zamiaru pozwolić, by zdjęła go litość.

– I co w związku z tym? – spytał ostro.

– Potrzebuję pomocy – odparł cicho ojciec.

– Świetnie, no to zrób coś ze sobą. Nie wiem, czy w Jaarze istnieje coś takiego jak odwyk, ale...

– Odwyk? – Isinbir niespokojnie się poruszył. – Niby po co miałbym...

- Bo sam sobie nie poradzisz, to jasne, a ja nie umiem ci pomóc. Nawet nie wiedziałem, czy *chcę* ci pomagać. Nie wiem, może zależało mi tylko na tym, żebyś ty pomógł mnie? A teraz...

Zamilkł, gdy zaczęły drżeć mu usta - nie ze smutku, ale z gniewu.

- A teraz? - pomógł mu ojciec.

- A teraz to się zmienia - rzucił zdenerwowany Callen. - I za to też cię nie znoszę! Myślałem, że będzie o wiele łatwiej, rozumiesz?! Że po prostu... po prostu się zobaczymy, opowiemy sobie nawzajem, co się działo, i...

Pokręcił głową.

- No, ale to niemożliwe - powiedział. - Bo obaj nie jesteśmy normalni, prawda? Jak dziecko łudziłem się, że spotkanie ciebie będzie jakąś magiczną chwilą. Oczywiście mówiłem sobie, że nie ma sensu tak głupio marzyć, ale rozsądek to jedno, a co innego...

Urwał i odwrócił wzrok.

- Emocje - dokończył za niego Isinbir. - Wybacz, to moja wina.

- *Twoja wina* - przedrzeźnił go chłopak. - No i co z tego? Zupełnie jakby chodziło tu o jakąś kretyńską winę! Powinniśmy chyba spróbować coś zrobić, tak? Początkowo myślałem, że jakoś uda mi się to wszystko olać, tylko, jak widać, nie udało mi się. Nie chcę patrzeć na ciebie pijanego, rozumiesz? Jedyne, co mogę zrobić, to kopnąć cię w tyłek i kazać pójść gdzieś, gdzie cię wyleczą.

Teraz patrzył ojcu prosto w twarz, jakby próbując zmusić go do złożenia obietnicy.

- Pójdiesz czy nie? - spytał, gdy Isinbir ociągał się z odpowiedzią.

- Pójdę - odparł fer.

Ale czy można było mu wierzyć? Callen jeszcze przez kilka chwil stał nad nim, zastanawiając się, czy może powiedzieć coś więcej, *zrobić* coś więcej. Nie mógł. I to chyba nie był jego problem. Dał z siebie, ile potrafił, a teraz...

– Okay – westchnął, przysiadając się do ojca. – Potrzebujesz jeszcze czegoś? Udało ci się ostatnio opłacić czynsz, a teraz masz pieniądze?

– Mam. Sprzedałem kilka naprawdę dobrych athame.

– Bo jakbyś nie miał, to mogę ci pomóc.

– Nie ma mowy, nie będę grabić syna z...

– Nie bądź śmieszny! Irma i Cleto zostawiły mi trochę w spadku; niewiele, ale na pewno wystarczy, żeby pomóc ci stanąć na nogi, oczywiście jak już zaczniesz coś robić ze swoim *problemem*.

Urwał. *Teraz to już wszystko* – pomyślał – *choć...*

– I możesz się do nas przeprowadzić – dodał w taki sposób, jakby jego gardło walczyło z tymi słowami.

Zapadło milczenie. Ojciec dobrze wiedział, że Callen tak naprawdę tego nie chce.

– Nie – odrzekł powoli. – Nie, nie. Wszystko jest w porządku.

Chłopak uśmiechnął się lekko. *Może teraz wreszcie wszystko się zmieni* – pomyślał, pewnie naiwnie. Ale nawet jeśli nie wszystko miało się zmienić, to choć część rzeczy mogłaby... Ojciec uczył March magii. Dlaczego nie miałby zacząć uczyć i jego? Zawsze mu zależało, by mieć kogoś, kto pokaże mu inne ścieżki niż to, czego mógł się nauczyć od sióstr Malloway czy Piątka. Jasne, kochał tę trójkę jak własną rodzinę, tyle że to nie było to samo, co odziedziczyć po kimś spuściznę innego rodzaju czarów, takich, które należały jedynie do ferów.

Oczywiście nie chodziło mu jedynie o magię. Miał na myśli coś więcej. Chyba zaczął wierzyć, że Isinbir pewnego dnia stanie się jego prawdziwym ojcem, prawdziwym w każdym

znaczeniu tego słowa. Musiał za bardzo się rozmarzyć przez tę myśl, bo nagle, zaskakując samego siebie, wypalił:

– A z innych spraw, pocałowałem March.

Naraz zrobiło mu się gorąco w okolicach serca, jak gdyby rozlało się tam przyjemne ciepło, ale też pewien rodzaj bólu. *No nie, kretyn.* Miał ochotę palnąć sobie w łeb. Dlaczego się z tym wyrwał, zupełnie jakby nie mógł się powstrzymać? Czyżby tak naprawdę chciał z kimś o tym pogadać i po prostu teraz, po części nieświadomie, uznał, że ojciec jest do tego odpowiednią osobą?

Powoli uniósł na niego wzrok, nie wiedząc, jakiej reakcji się spodziewać. Isinbir wydawał się niewzruszony, może nieco zadowolony.

– To chyba dobrze, prawda? – spytał.

– Nie wiem. Zresztą może to ona pocałowała mnie? W sumie to trudno stwierdzić...

Każde kolejne słowo Callen kierował bardziej do siebie niż do ojca. Sam nie zdawał sobie sprawy, jak często zastanawiał się nad tym, co zaszło między nim a March po wyprawie do Puszczy Krzyków. Po prostu zakrywał te myśli innymi, a tak naprawdę cały czas wracał pamięcią do tamtej chwili. To ona zbliżyła swoje usta do jego? Chyba tak. Z drugiej strony, on *chciał* tego pocałunku, może nawet sam przyciągnął do siebie March.

I dlaczego? To wydawało się zupełnie bez sensu. Ona chyba wcale mu się nie podobała.

Chyba.

Chyba wcale nie...

– Dobra, to idę – powiedział, wstając znów z kanapy.

– Już? Nie chcesz o tym pogadać?

– Nie. Odeślij mnie do Domu Wiedźm, a sam zajmij się swoim problemem.

Isinbir nie krył rozczarowania.

– Sądziłem, że skoro już zaczęliśmy rozmawiać jak ojciec z synem... – zaczął.

– No właśnie – zauważył Callen. – Dopiero zaczynamy. Poza tym coś mi się wydaje, że pewne sprawy powinienem zachować dla siebie. Co nie, *tato*?

Tym razem nie zmusił się do tego słowa, nie było w nim też ani cienia ironii. Tym razem wypowiedział je naprawdę.



Gdy Callen wrócił do domu, znów była tam Isel. Siedziała w kuchni, pochylając się z March nad laptopem. Hypnos siedział obok, ze zdumieniem śledząc to, co działo się na ekranie.

– To chyba będzie dobre, co nie? – spytała March. – Jeśli naprawdę wolisz nie pokazywać twarzy, sfotografujemy tylko oczy.

– Hej – powiedział Callen, stając przy nich.

– Hej, jak tam? – spytała March, nie odrywając wzroku od monitora. – Pogadałeś z ojcem?

Chyba celowo na niego nie patrzyła, żeby pozostali nie domyślili się kalibru tej rozmowy.

– Pogadałem.

– I co? Sprawa załatwiona? – Teraz rzuciła mu przelotne, choć poważne spojrzenie.

– Można tak powiedzieć. A wy co robicie?

– March zmusiła mnie do założenia konta na Instagramie i szukamy zdjęć – odparła Isel. – Chyba już trzecią godzinę, co też świadczy o tym, jak wyglądam.

– Nie gadaj bzdur – ofuknęła ją March. – Muszę z tobą pomówić – dodała, zwracając się znów do Callena. – Najlepiej od razu.

Sądząc po jej minie, Callen uznał, że stało się coś złego. Wzięła go za rękę, tak jak wtedy w puszczy. W tamtej chwili miał wrażenie, że był jej potrzebny w taki sposób, w jaki potrzebuje się drugiej osoby – żeby podtrzymać ją na duchu, pomóc jej. Teraz jej dotyk był bardziej stanowczy i zdradzający pewność siebie, ale ciepły i... po prostu przyjemny.

Zaprowadziła go do pokoju Irmy i zamknęła drzwi.

– Chodzi o Hypnosa – powiedziała od razu.

– Czemu właśnie tego się spodziewałem? – Callen wysilił się na uśmiech.

– On chce mnie nauczać projekcji astralnej.

Na chwilę go zatkało.

– Co? – wyjąkał wreszcie. – Ale... no, ale przecież...

Było zbyt dużo „ale”. *Ale* on nie powinien cię uczyć, *ale* to zbyt trudne, *ale* ja to potrafię, po co więc jeszcze ty masz się tym zajmować, *ale*...

– Właściwie po co? – spytał.

– Żartujesz? – zdziwiła się. – Przecież to oczywiste, że prędzej czy później będę musiała to opanować. Aislingen istnieje w dużej mierze na planie astralnym, *sny* dotyczą planu astralnego. Zastanawiam się tylko, czy to właśnie on powinien być moim nauczycielem. Ta wiedza by mi się przydała, a twój ojciec nigdy nie zająknął się nawet o tym, żeby mi ją wyjawić. Problem w tym, że...

– *Ja* znam się na podróżach astralnych – zauważył Callen.

March wcale nie zrozumiała podtekstu.

– Tak, ale ty nie potrafisz rzucać zaklęć, gdy jesteś w astralu, prawda?

– To prawda, tyle że skoro ktoś ma cię nauczać, to chyba lepiej, żebym to...

– I wiesz – ciągnęła March, nie zwracając uwagi na jego słowa – Hypnos uświadomił mi, że jeśli nie opanuję projekcji astralnej, mogę sobie darować walkę z Wyrd. Co sądzisz?

Callen patrzył na nią, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Miał wrażenie, że jej słowa wzbudziły w nim jakieś uczucie, które nie całkiem rozumiał i które wydało mu się głupie. *Skoro Hypnos coś ci uświadomił...* – pomyślał. I tak, ta myśl też była idiotyczna.

– No... tak, on ma rację.

Nie mógł odpowiedzieć niczego innego. Hypnos *miał* rację. Callen miał za to tylko wątpliwości. Zbliżył się nieco do March, chyba z nadzieją, że dojdzie do tego, do czego doszło wcześniej. Wtedy jego wątpliwości by się rozwiały. Ale ona tylko obróciła się na pięcie, nie zdając sobie chyba sprawy z żadnego z jego uczuć. Choć niczego nie powiedziała, w jego głowie rozbrzmiały jej wcześniejsze słowa. „Musisz wziąć pod uwagę to, że się mocno zestresowaliśmy. Nie w pełni kontrolowałam emocje”. A jej: „Traktuję cię bardziej jak...” mogło znaczyć wszystko, tylko nie *chłopaka*.

Wątpliwości zostały.





## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Niebezpiecznie piękne spojrzenie Hypnosa padło na March, która miała wrażenie, że magia jego oczu obejmuje całą jej aurę i przenosi ją do świata snów. To, że byli teraz w rozświetlonym świecami pokoju czarownic, a cienie rzucane przez migotliwe płomienie tańczyły na podłodze, wcale nie pomagało. Otrząsnęła się.

– Więc? – spytała. Fer miał jej wyjaśnić, o co chodzi z planem astralnym. Zgodziła się na naukę, bo Callen i Piątek nie protestowali.

– O rzeczywistości astralnej można mówić na dwa sposoby – zaczął Hypnos. – Mogę wytłumaczyć ci wszelkie zawiłości energetyczne, to, jak ten świat funkcjonuje w kosmosie i łączy się z naszymi umysłami, tworząc myślokształty lokujące się w bardzo realnej przestrzeni między jawą a snem. Ale mogę też mówić ci o Srebrnym Oceanie Snów, w którym przed wiekami zatopione było jajo Neshlira i na którego powierzchni unosiły się dusze zrodzone wprost z łona Wielkiej Matki.

– Wolę to pierwsze – stwierdziła March bez cienia wątpliwości. Pierwsza wersja może i brzmiała skomplikowanie, ale druga za bardzo kojarzyła jej się ze sztuczkami Wyrd. Ona też opowiedziała jej historię o początkach świata, a potem z samej dziewczyny zrobiła bohaterkę własnej, pokręconej bajki.

Hypnos wyglądał na zawiedzionego.

– Spróbuję, choć musisz wiedzieć, że logika astralu jest skomplikowana i ostatecznie nie wyjaśnia najważniejszej sprawy: uczucia, które cię nawiedza, gdy zatapiasz się

w krainie gwiazd, jak nazywamy plan astralny. Ty już znasz to uczucie, więc...

– Dlatego wolę sobie go nie przypominać – ucięła March. – Skoro świat astralny to koszmary, najpierw wyjaśnij mi, jak one działają.

Fer skinął głową. Siedzieli na podłodze w otoczeniu magicznych narzędzi, ale nie różdżek czy athame, którymi łatwo skrzywdzić. Zamiast nich Hypnos położył tu kryształ, szklaną kulę, misę z wodą, a na środku niewielkie lustro Armii. Wszystkie te rzeczy kojarzyły się March jedynie z wróżeniem, które Piątek nazywał magią pasywną.

– Wszystko, co tu widzisz, to narzędzia związane z intuicją, czystością myśli i wglądem w światy niefizyczne. Używam słowa *niefizyczne* zamiast *niematerialne*, bo fery wierzą, że wszystko stworzone jest z materii, ale nie każda materia jest fizyczna. Właściwie to większość wcale taka nie jest. Cały świat utkano z cząstek duchowych i energetycznych, które ciągle się poruszają, zmieniają, wpływają jedna na drugą i bez przerwy tworzą nowe wymiary, światy, rzeczywistości. Dzięki temu właśnie działa magia.

Mówiąc to, Hypnos wziął do rąk kwarc i lustro. Za pomocą magii sprawił, że kryształ zaczął świecić delikatnym, jasnym światłem, które – odbite w szkło – zmieniło się jak tęcza.

– Tęcza, którą widzisz, to mnogość form istniejących w świecie astralnym. Czyste światło kryształu jest jak myśl Wielkiej Matki, która tworzy wszystko inne. Oczywiście tu mamy niewiele kolorów w porównaniu z tymi, jakie istnieją w całym świecie. Większości nigdy nie zobaczysz fizycznymi oczami. Zauważ, że światło odbite nie jest wcale oddzielne od tego, które emanuje z kryształu. Przeciwnie, jest tym samym światłem, tyle że zmienionym. To znaczy, że magia jest aktem twórczym, przekuwaniem jednej energii w kolejną. Forma jest inna, ale moc pozostaje ta sama.

– Zaraz, co to ma ze sobą wspólnego? – przerwała March. – Przed chwilą mówiłeś o jakichś światach, a teraz o czarach...

– Magia polega na tworzeniu. Ona Sama tworzy świat swoją magią, a my tak samo tworzymy własną rzeczywistość, używając naszej. Oczywiście mamy o wiele mniej siły... nazywamy ją *netcher*... od Wielkiej Matki. Nie stworzymy nowego świata od podstaw, za to świat, który już istnieje, możemy przekształcać, sprawić, że nasze życie, przypominające statek, wpłynie na nową wodę. Zmieniając jedno życie, można zmienić wszystkie inne wokół, na lepsze lub gorsze.

March podniosła rękę, jakby była w szkole. Nie omieszkała przy tym zrobić złośliwej miny.

– Miało być o logice, *panie profesorze*. Na razie słyszę tylko gadki filozoficzne.

Hypnos chrząknął.

– Przepraszam, magia zawsze była dla mnie romantyczna.

– Szczęściarz – mruknęła March.

– Dobrze, to konkrety. Świat astralny to rzeczywistość, w której dokonuje się magia. Tworzą go myśli, wizje, sny, uczucia i tak dalej. Istnieje między światem ducha a fizycznym. Słowo *astralny* znaczy „gwiazdny”, bo tak samo jak gwiazdy są zarazem prawdziwe, jak i po części nieosiągalne, tak samo świat umysłu istnieje rzeczywiście, ale trzeba się nauczyć, jak w niego wchodzić. Każde zaklęcie, każde działanie magiczne polega na intencji, którą musisz wizualizować. Akt wizualizacji to coś więcej niż wyobrażanie sobie czegoś. To tworzenie tej rzeczy w świecie astralnym. Wizja napęła się potem mocą magiczną i manifestuje.

– Czyli to jakby wyobraźnia, która staje się prawdą?

Hypnos zastanowił się.

– Tak i nie. Wyobraźnia nie musi stawać się prawdą, magia działa dopiero, gdy masz jasną intencję i wiedzę, jak

zamanifestować tę intencję w świecie. Z drugiej strony w świecie astralnym istnieją wszystkie lęki, marzenia, wyobrażenia. Ludzie nie mają pojęcia, że tworzą wszystkie te rzeczy, za to kiedy już zdadzą sobie z tego sprawę, mogą nauczyć się, jak wyjąć tę wizję ze świata wyobrażeń i przekuć ją w prawdę. Żeby kontrolować, oczywiście tylko do pewnego stopnia, świat, trzeba umieć kontrolować własny umysł. Myśli faktycznie wpływają na rzeczywistość, czarownica od zwykłego człowieka odróżnia się tylko tym, że ona o tym wie.

– Dlatego każdy może zostać wiedźmą. To dość logiczne... – zaczęła się zastanawiać March.

– Zgadza się. Nie okłamałem Isel, obiecując jej dostęp do magii. Naprawdę może się jej nauczyć.

Te słowa podziały na March jak kubeł zimnej wody.

– Skąd wiesz, że o niej myślałam? – zdenerwowała się. – Chyba nie czytasz mi w głowie?!

– Nie. – Hypnos gwałtownie się poruszył. – Chciałem tylko się usprawiedliwić.

– Nie wysilaj się – fuknęła March. – To co dalej z tym astralem?

*Jak to idiotycznie brzmi – pomyślała nagle. Astral...*

– Tak jak mówiłem, to świat, w którym rządzi umysł. To sprawia, że gwiazdna kraina jest płynna, ciągle się zmienia, a tworzą ją nasze wyobrażenia o niej, ale także działania celowe. Jeśli wiesz jak, możesz w świecie astralnym stworzyć własny azyl, miejsce spotkań z innymi osobami, które podróżują poza ciałem, własną krainę, cokolwiek chcesz.

– Jak Aislingen?

– Podobnie, ale Miasto Snów nie jest całkowicie astralne, istnieje też fizycznie. Tak naprawdę każdy świat ma kilka wymiarów, również świat ludzi, ale wy rzadko korzystacie świadomie z mocy gwiazd.

March zmarszczyła brwi. Zastanawiała się, na ile to wszystko mogło mieć związek z astrologią, jednak nie zadała tego pytania.

– Istoty zamieszkujące Jaar robią to częściej. Właśnie dlatego jesteśmy w stanie wpływać na pogodę w naszych krainach. Po prostu połączoną mocą wszystkich umysłów sięgamy po ich astralny obraz, wyjmujemy go z krainy gwiazd i napełniamy nim swoją materię.

– Gdzie właściwie znajduje się ten astral? Niby w umyśle, tak, ale przecież nie tylko?

March nie po raz pierwszy się nad tym zastanawiała. Zawsze lubiła rzeczy poszufladkowane, jak najlogiczniej się dało. Była przekonana, że jeśli magia ma prawdziwie zadziałać, trzeba podejść do niej w ten sam sposób.

– Tak jak świat fizyczny jest zbiorem wszystkich fizycznych bytów, tak samo świat astralny jest zbiorem wszystkich bytów umysłowych, świadomych czy nieświadomych – odparł Hypnos, przyglądając się jej, jakby po to, by zyskać pewność, że go rozumie. – Istnieje w umyśle twoim, ale też w umysłach innych, jest więc subiektywny i obiektywny zarazem. Poruszając się po nim, musisz umieć się orientować, co jest tylko twoim lub czyimś wyobrażeniem albo wspomnieniem, a co rzeczywiście może ci grozić. Potwory świata astralnego są równie prawdziwe i niebezpieczne jak te fizyczne.

– Prawdziwe – prychnęła March. – Nie bardzo już wiem, co znaczy prawda, jak o tym myślę.

– Bo... – Hypnos się zawahał. – Prawda jest też względna, na wielu poziomach przejawia się w inny sposób.

Westchnął. Płomień odbity w jego oczach zatańczył.

– To, co mówię, to tylko definicje. Tak naprawdę świat jest jednością wszystkich rzeczy, plany fizyczne, astralne, duchowe przenikają się i istnieją w tym samym czasie. O przestrzeni

pomiędzy można pisać książki, lecz zrozumieć ją da się tylko poprzez doświadczenie. Zresztą tak samo jest z całą magią.

– No dobra, czyli astral jest źródłem czarów, tak?

– Nie.

– Jak to nie? Właśnie to powiedziałaś: że tam się wszystko zaczyna.

– Tam wszystko tworzymy, to świat, w którym kujemy swoje idee jak kowal żelazo, pozwalamy im tam drzemać, po czym ubieramy je w szaty *realności*. Ale to świat duchowy jest źródłem prawdziwej magii, to odkrycie tego, kim naprawdę jesteśmy wewnątrz.

– Wiedziałaś – westchnęła March. – Wiedziałaś, że tego nie potrafisz.

– Czego? – zdumiał się Hypnos.

– Właśnie tego: mówienia o konkretach. Ciągłe przechodzisz do tych swoich metafor, opowiastek i snów.

– Bo już ci mówiłem, że tak najlepiej wyjaśnić świat astralny. Jak inaczej chcesz zrozumieć Aislingen, Miasto Snów, i Aislingenian, fery, które tymi snami się posługują, i świat gwiazd, który jest rzeczywistością wszystkiego, czego najlepiej doświadczasz, śniąc?

Chyba po raz pierwszy, odkąd się znali, Hypnos założył ręce na piersi, demonstrując, że jest obrażony.

– I mam cię naprawdę dość, March Sky – powiedział nagle. – Jesteś niewdzięczną uczennicą. Ryzykowałem życie, żeby do ciebie dotrzeć, a teraz, kiedy próbuję przekazać ci swoje tajemnice najlepiej, jak potrafię, ty masz mi to za złe.

– Gdyby nie ty i twoja matka, nie musiałabym w ogóle paprać się w tych waszych magicznych brudach.

Hypnos wytrzeszczył oczy.

– Nazywasz mój świat brudem?

– A niby czym innym jest?

– Matka Duchów ukarze cię za takie...

– Daruj sobie. Nie wierzę w wasze zabobony. Matka Duchów może mi naskoczyć.

Teraz fer wyglądał, jakby to, co powiedziała March, zapiekło go do żywego. Patrzył na nią w sposób, który przypominał pełne pogardy spojrzenia Leili i Leia, powieki drżały mu z gniewu. Nie sądziła, że stać go było na podobne uczucia.

– *Ludzie* – wycodził. – Powinienem być wiedzieć, że zbrukam świętość, dzieląc się z tobą swoją wiedzą. Nie zasłużyłaś na nią. – Wstał i poruszył dłońmi, jakby strzepywał z nich coś brudnego. March wiedziała, że tym brudem była jej energia. – Nikt, kto obraża Matkę Duchów, nie zasługuje na usłyszenie choćby jednego słowa o magii.

March też wstała.

– Świetnie – warknęła. – A więc teraz czujesz się *skalany*? To ja czuję się skalana przez takie potwory jak wy! Masz się za lepszego, bo masz skrzydła, bo masz magię, bo masz... cholera wie co jeszcze! W *moim* świecie zasłużyłbyś co najwyżej na miano freaka, a twoja matka z napuszczonym ego to największe monstrum z was wszystkich!

Hypnos zatrzepotał skrzydłami. March przez chwilę sądziła, że szykuje się do rzucenia na nią czaru, ale on milczał. Wypiął tylko dumnie pierś i naraz wydał się jej o wiele większy niż przedtem.

– Nie masz pojęcia, że mógłbym zmiażdżyć cię jednym palcem, prawda? – Nie zabrzmiało to wcale jak groźba; raczej jak drwina.

– Mam – odparła bez strachu. – Żebyś wiedział, że mam. Nie jestem tylko pewna, czy w związku z tym to właśnie ty masz nade mną przewagę. Ja, w przeciwieństwie do ciebie i całego twojego *plemienia*, nie jestem przesiąknięta złem.

– A więc masz mnie za kogoś złego? – Jego oczy zalśniły chłodem. – Mnie, który uratował dwójkę twoich przyjaciół? Chcesz wiedzieć, dlaczego omal nie zginęli? Nie? Ale ci

powiem. O tak, powiem ci. Zdechliby, bo to my mamy rację. Magia nie jest dla was. Szczerze mnie śmieszyło to, jak nie umieli sobie z nią poradzić, nawet chłopak, który wychowywał się u wiedźm. Sądzisz, że siostry Malloway były wielkimi czarownicami? Były nikim w porównaniu z moją matką.

– To do niej wracaj! – ryknęła March. – No już, wracaj do niej! Jeśli jest taka wielka, na pewno wybaczy ci zdradę! A może wcale nie zdradziłeś?! Może właśnie w tym masz cel? Może to ona cię tu wysłała?

Nie wiedziała dlaczego, ale z trudem łapała oddech. Miała wrażenie, że wypowiedzenie wszystkich tych słów odebrało jej część mocy. To dziwne, sądziła, że ją zyska – jak zwykle, gdy wzbudzała w sobie złość – jednak tym razem gniew zdawał się posilać jej energią i wcale jej nie napędzał.

Stali przez kilka chwil, wpatrzeni w siebie jak najwięksi wrogowie szykujący się do walki. March dobrze wiedziała, że do tej walki nie dojdzie. Hypnos nie chciał jej atakować. Energia w świątyni nabrzmiała, jakby zaraz atmosfera miała pęknąć.

A wtedy rozległo się drapanie w drzwi. Zdezorientowało March do tego stopnia, że naraz straciła cały gniew. Obserwowana bacznie przez Hypnosa, podeszła do drzwi i gdy je otworzyła, do środka wmaszerował Piątek.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy – powiedział. – Naprawdę nie lubię wtrącać się w problemy nastolatków, nawet tych starszych ode mnie. – Omiótł March wzrokiem. – Ale trudno nie reagować, jak ściany w całym domu trzęsą się od waszych wrzasków. Proponuję zatem przejść do rzeczy, bo chyba przyszłście tu uczyć się o astralu, a nie przekrzykiwać, kto ma gorszą matkę.

Przeszedł się dookoła nich, wysoko unosząc ogon.

– I naprawdę, March, sądziłem, że stać cię na więcej. Wyrd nie jest monstrum. Jest o wiele gorsza.



Gdy wyszedł z pokoju czarownic, wciąż z podniesionym ogonem, cisza, która zaległa, szybko stała się niezręczna. Hypnos mruknął coś pod nosem i w końcu, nie bez lekkiej urazy, stwierdził:

– On ma sporo racji. Mamy pewne obowiązki ważniejsze od kłótni. Skoro zdecydowałem się wam pomóc, to...

– Chyba wcale nie uważasz, że zasługujemy na tę wiedzę. My, ludzie – odparła z przekąsem March.

– Nie. Gdybym tak sądził, wcale bym się tu nie pojawił. Przecież to dlatego opuściłem Aislingen: bo przestałem wierzyć, że ludzie nie są warci magii. – Patrzył na nią uporczywie, ale ona nie była w stanie skupić na nim wzroku na dłużej niż kilka sekund. – Przepraszam – powiedział cicho.

March też otworzyła usta. Ale słowo „przepraszam” ich nie opuściło, zawsze było dla niej zbyt trudne.

– No dobra – westchnęła. – To może powiesz mi o tym świecie gwiazd w taki sposób, w jaki najlepiej umiesz?

– Zrobię to, tylko obiecaj mi, że nie zszargasz świętości, którą usłyszysz z moich ust. Że nie będziesz mi przerywać, że mnie wysłuchasz i postarasz się zrozumieć.

– Okay. Przecież mam w sobie jakąś *pokorę*, tak? Chodzi mi tylko o to, żebyś nie próbował mnie omamić jak twoja matka.

Hypnos się uśmiechnął.

– Skąd wiesz, że już tego nie zrobiłem?

March zmrużyła oczy.

– Żartuję! – zawołał szybko. – Naprawdę nie chcę cię mamić.

– Już i tak się na was uodporniłam – stwierdziła March, na co Hypnos zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć: „Przekonamy się”. Ale nie powiedział tego. Milczał przez dłuższy czas, chyba próbując dostroić się do krążącej w powietrzu magii. Gdy zaczął mówić na nowo, jego głos brzmiał inaczej i niemal od razu przeniósł March do świata

snów, uświadamiając jej, że nie tylko bała się tam wracać: jednocześnie było to coś, czego całą sobą pragnęła.

Płomienie świec emanowały nowym, delikatniejszym ciepłem, aura świątyni skrzyła się. A March słuchała.

– Sny nie są prawdą taką, jaką rozumie się w świecie fizycznym, nie są też kłamstwem. Istnieją poza tymi kategoriami, istniały jeszcze przed nimi i trwają w świecie przenikającym wszystko, dostają się do umysłów poprzez potężne wyrwy lub niewielkie szczeliny w nocnej świadomości.

Hypnos urwał, po czym przemówił jeszcze głębszym głosem.

– Wyobraź sobie potężny ocean pełen wody mieniącej się wszelkimi kolorami tęczy.

March westchnęła w duchu. Miał przecież nie używać tej swojej poezji...

– Ten ocean – ciągnął – obejmuje wszystkie horyzonty, nie jesteś w stanie ujrzeć jego granic, zresztą wiesz, że te granice nie istnieją, ocean jest bowiem potężny jak sam kosmos. Każda kropla świetlistej wody to inny sen, wspomnienie, pragnienie... a więc również osobny wszechświat. Ta niezliczona ilość światów mieszkających w kroplach wciąż przepływa przez tęczy wszechocjan, w każdej zamknięty jest umysł ich stwórcy, a także jego stwórcy, a wszystko to kontroluje duch Jej Samej, która jest matką tego oceanu i milionów innych jemu podobnych.

Pod zamkniętymi oczami March przesuwwały się kolory, widziała je wyraźnie. Pokój czarownic, Dom Wiedźm, a nawet całe Ffolk były teraz odległe i malutkie, w porównaniu z oceanem wydawały się mniej rzeczywiste, a nawet nieważne. Umysł dziewczyny wędrował daleko, ciesząc się ogromem barwnego świata.

– Ten ocean jest planem astralnym. Krople w nim to umysły poszczególnych dusz zamieszkujących świat. Każda kropla jest osobna, lecz gdy się im przyglądasz, widzisz, że to wielki

paradoks, bo przecież stanowią jedną wodę. Mogłabyś zastanawiać się, dlaczego widzisz je zarazem jako w pełni połączone, jak i oddzielne, ale nie zaprzątasz sobie tym głowy. Bo to nie ma znaczenia. Tego świata nie dotyczą prawa fizyczne, lecz prawa magii, a one wykraczają poza zmysły.

Widziała, jak otwierają się przed nią możliwości. Każda kropla miała w sobie jądro, olbrzymią, ciemną przestrzeń, w którą March mogła wnikać i wypełnić ją własnymi barwami.

– Krople, umysły, łączą się z innymi umysłami, czasem w mniejsze, innym razem w większe skupiska. Każda z nich może być częścią wielu skupisk, bo podróżowanie po tym świecie jest łatwe, a dzięki niezwykłemu połączeniu poprzez wodę każda kropla może nawet stać się wszystkimi, może sięgnąć też po wszelkie wspomnienia i sny innych kropeł. Ważne, by wykorzystywać tę moc w harmonii z rządzącym oceanem duchem Matki. Ale harmonia nie zawsze oznacza to, co jest dobre dla jednej kropli, czasami...

Hypnos chrząknął. March, nie otwierając oczu, znów poczuła, że jest w pokoju wiedźm właśnie z nim. Napęczniona mocą świata astralnego, choćby tylko wyobrażoną, czuła fero o wiele wyraźniej niż wcześniej. Sprawiał wrażenie niepewnego. Woląca jednak nie badać go głębiej, bo nie chciała tracić sprzed oczu tęczę oceanu.

– Tak, tego mnie nauczono – powiedział wreszcie Hypnos. – Że rzeczy nie zawsze wydają się właściwe, co nie znaczy, że takie nie są. I że wiele nam wolno... Ale czy to było prawdą? Nie wiem. Wiem tylko, że świat astralny działa poprzez połączenia umysłowe, poprzez fakt, że wszystkie dusze tworzą wspólną rzeczywistość. Teraz nauczę cię wnikania w umysły innych, żebyś mogła zrozumieć, w jaki sposób działa magia Aislingen.

Odetchnął, jakby przygotowywał się do rzucenia zaklęcia. March czekała, czując pod skórą rosnącą ekscytację. W końcu miała nauczyć się konkretów, przydatnej magii.

– Wszystko w oceanie jest połączone, więc nie ma różnic między tobą a innymi kroplami. Jeśli chcesz sięgnąć do czyichś wspomnień, połączyć się z czyimś umysłem, po prostu pomyśl o tej osobie. Teraz.

To był ten moment, w którym March mogła stracić kontakt z rzeczywistością snu. Wiedziała o tym. Zawsze, gdy zaczynała nad czymś się zastanawiać, wizje się rozwiewały; magia nie znosiła wahania.

Starła się więc nie wybierać świadomie. Kilka twarzy przepłynęło jej przez głowę, ale na żadnej się nie zatrzymała. Potem – nie wiedzieć czemu – przed oczami jej wyobraźni stanęła Irma. March nie skupiała się na niej. Po prostu dała się ponieść uczuciu, które kazało jej pomyśleć o wiedźmie. I już sunęła w jej stronę. Wśród roztańczonych kropeł wyraźnie widziała świecąca jakby słonecznym blaskiem kroplę Army. A tuż obok niej dostrzegła kolejną, srebrzystą – umysł Cleto. Obie krople wirowały, otwierając się przed umysłem March, zapraszając ją. Dotykając ich myślą, dziewczyna miała wrażenie, że wszystko się rozlewa, a ona sama wpływa w świadomość czarownic.

I wtedy wszystko, co znała, przestało istnieć. Były tylko wspomnienia, obawy, uczucia – każdą cząstką swej istoty stopiła się z Irną i Cleto Malloway.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kilkunastoletnia dziewczyna siedziała w otoczeniu grupki ludzi wpatrujących się w nią z oczekiwaniem. Ale ona ich nie dostrzegła, jedynie ciałem pozostając na miejscu, a duchem badając światy niedostępne ani im, ani March. Oczy zaszyły jej mgłą, były równie srebrzyste, co jej cieniutkie niczym pajęczki nici włosy, których pojedyncze kosmyki lekko się unosiły. Oznaczało to budzącą się w ciele dziewczyny magię. March o tym wiedziała, bo przecież sama doświadczyła czegoś podobnego.

Stojący wokół ludzie mieli stroje wskazujące na to, że pochodzą z innych czasów. W dłoniach trzymali pochodnie, których światło padało na skupioną twarz siedzącej dziewczyny. Kilku ze zgromadzonych ludzi mogło pojawić się też w wizji z ferinią, jednak tutaj żaden nie zachowywał się gwałtownie. Atmosfera była niemal nabożna. March miała wrażenie, że uczestniczy w czymś niezwykle podniosłym, w rytuale, którego nie rozumiała, i przez to stała się jego częścią jedynie w połowie.

Spojrzała w górę, ponad głowami ludzi – mogła to zrobić, bo nie ograniczało jej ciało, była rozciągającą się do woli świadomością – i naraz przeszył ją strach. Rozpoznała to miejsce. Odwróciła się znów w stronę dziewczyny i dopiero wtedy dostrzegła, na czym ta siedziała.

To był ołtarz, ten sam kamienny ołtarz, do którego przywiązano ferinię.

March była pewna, że w oddali słyszy ciężkie kroki potwora, jednak nim zdołał zmaterializować się w jej wizji, siedząca

dziewczyna nagle zaczęła się krztusić. Jakieś słowa próbowały wyjść z jej ust, ale albo nie potrafiła ich wypowiedzieć, albo też nie pozwalała im spłynąć z warg. Nagle jej ciałem wstrząsnęły spazmy. Nadal siedziała, ale zaczęła gwałtowniej się trząść. Nikt nie zwracał na to uwagi, zupełnie jakby ludzie właśnie tego się spodziewali. Dziewczyna kiwała się teraz w przód i w tył, a z jej ust wciąż dobywały się gardłowe dźwięki. Atmosfera stała się do tego stopnia napięta, że March niemal czuła, jak powietrze się elektryzuje.

Nagle dziewczyna znieruchomiała, znów spokojna. Chwile mijały niczym wieczność, atmosfera oczekiwania udzieliła się także March. Nieznajoma trwała bez ruchu przez kilka chwil, aż wreszcie przemówiła, tym razem wyraźnie:

– Dziecię z jej ciała, krew z jej krwią zmieszana. Z miejsca narodzin przychodzi jej imię. Jedyna rada: oddać mu magiczną dziewczynę... Oddać... – Znów zachrypiała. – Mu... magiczną... dziewczynę.

March nie wiedziała, co działo się dalej, bo płynęła przez morze czasu zakłęte w dwóch kroplach, z którymi się zjednoczyła. Tak szybko wpadła do Domu Wiedźm, że przez chwilę zdawało jej się, że wizja dobiegła końca. Ale nie, wcale nie. March była teraz w salonie sióstr Malloway. Cleto bujała się na fotelu przed kominkiem. Z każdym ruchem fotel trzeszczał, podobnie jak płonące kawałki drewna, z których raz po raz wystrzeliwały iskry.

Choć starsza siostra wydawała się spokojna, March wyraźnie wyczuwała w jej aurze pewną obawę. Irma natomiast nie kryła się ze swoim zdenerwowaniem. Chodziła po salonie, głośno tupiąc ciężkimi butami. Cały dom zdawał się rozbrzmiewać echem jej kroków.

– Jesteś pewna, że ich trochę nie wykorzystujemy, i to od samego początku? – spytała młodsza wiedźma. Była zła na

siostrę, jakby sądziła, że problem, z którym musiały się zmagać, powstał z jej winy.

Cleto wydawała się tak różna od siostry. Irma miała kręcone, złociste włosy ułożone w ładną fryzurę, jej policzki rumieniły się może z ciepła, a może ze złości. Każdy jej ruch był pełen naturalnej gracji. Cleto była magiczna w zupełnie inny sposób. Hipnotycznym wzrokiem wpatrywała się w kominek, na czubku głowy wciąż miała kilka zeschniętych liści, a w jej pokrytych zmarszczkami dłoniach spoczywała niedbale wykonana różdżka.

– Tak, wiem, że ich wykorzystujemy – odparła na pytanie siostry po dłuższym namyśle. – Ale wiem też, że gdybyśmy tego nie zrobiły, rzeczy potoczyłyby się jeszcze gorzej, niż mogą. Jeśli mamy cokolwiek zrobić, nie widzę innej drogi. To jedna z... trudnych sytuacji.

– Ty i te twoje trudne sytuacje! – zdenerwowała się Irma. – A ja naprawdę go kocham!

– Bardzo dobrze – powiedziała powoli Cleto. – Wobec tego nie musisz czuć się winna.

– Ale on o niczym nie wie. Nie ma pojęcia, że to kolejny etap i że...

Cleto przerwała siostrze tak cichym głosem, że trudno było zrozumieć, dlaczego właściwie Irma zamilkła.

– Trudna sytuacja – westchnęła starsza wiedźma. – Kiedy różne wyjścia są złe, ale i tak musisz jedno wybrać. W każdym razie nie dzieje się tak z naszej winy. A ty zgodziłaś się brać w tym udział, nalegałaś, żebym i ja to zrobiła, więc po prostu pokazałam ci drogę.

– Twoja droga jest...

– Jedyną możliwą. – Cleto nagle się uśmiechnęła. – Nie lubię, kiedy inni mi tak mówią, ale tym razem faktycznie tak jest.



Co to miało znaczyć? March nie rozumiała, dlaczego akurat to wspomnienie się przed nią otworzyło. Siostry mówiły jakby szyfrem. Na domiar złego nie dowiedziała się niczego więcej, bo jej umysł, popychany strumieniem historii wiedźm, sunął już w kierunku kolejnej wizji.

Tu dopadła ją panika. Chaos. Cała się trzęsła, cały dom się trząsł, a ona odczuwała te drgania sobą samą. Wszystkie ściany zdawały się krzyczeć, gdy coś uderzało w drzwi i okna. Z zewnątrz dochodziły wściekłe wrzaski, wyzwiska. W oknach March dostrzegła twarze wzburzonych ludzi. Część trzymała w rękach drewniane pałki, inni coś ostrego. Jedynie zaklęcie Irmy i Cleto chroniło szyby przed pęknięciem. Wiedźmy rozkładały dłonie. Sączyła się z nich bladobłękitna energia, która pokrywała wszystkie wejścia do domu, łącznie z magicznymi drzwiami.

Ale czarownice były w potrzasku. March wiedziała, że ich czar nie utrzyma się długo. Wiedziała, jakby ta historia rozgrywała się dla niej naraz w kilku czasach, a ona znała już jej zakończenie.

– Wiedźmy! – wrzasnął ktoś.

– Zabiłyście je! Zabiłyście to dziecko!

Irma jęknęła. W przeciwieństwie do Cleto, która wydawała się jedynie zmartwiona, młodsza wiedźma była całkowicie przerażona. To starsza utrzymywała teraz czar trzęsącymi się z wysiłku rękoma. Skupiona wpatrywała się w drzwi wejściowe.

Z góry zbiegł Piątek.

– Mówią, że kogoś wyślą! – zawołał, przekrzykując tłum zgromadzony wokół Domu Wiedźm. – Ale jakoś im się nie spieszy!

– Niech ich szlag! – Irma wyglądała, jakby miała się rozplakać. – Musicie uciekać!

Kot zamarł.

– C-co? Przecież...

Jego kolejne słowa zagłuszyło rozbicie szyby.

– Już! Uciekajcie! – ponagliła Irma. – Sprowadźcie kogoś szybciej, nie wiem, skopcie tyłek przewodniczącemu Rady, ale nie możemy tu wszyscy zginąć!

March spojrzała na twarz Cleto, jednocześnie pełną determinacji, by chronić dom, jak i zrezygnowaną, bo przecież rozumiała, co się zaraz stanie. Przegrały. Ludzie pokonywali już czar, powoli zaczęli przedostawać się do okna. I tak wiele widzieli. Mówiącego kota, rzucające zaklęcia wiedźmy, a zaraz zobaczą, jak jedna z nich znika.

– Dobrze – powiedziała Cleto, podejmując najtrudniejszą decyzję w życiu. – Idziemy.

– Co ty mówisz?! – krzyknął Piątek. – Przecież nie...

Ale starsza czarownica po prostu podniosła go za kark.

– Wrócimy! Powstrzymuj ich jeszcze chwilę! – krzyknęła do siostry, po czym przeniosła się wraz z kotem.

Irma nie miała już sił. Pozbawiona pomocy Cleto, zaczęła krzyczeć, być może z bólu, być może z rozpacz. Nie mogła, nie umiała już dłużej walczyć. March czuła, jak wstrząsa nią coś, czego nie potrafiła opisać, zupełnie jakby naraz zarówno uczestniczyła w każdym uczuciu Irmy, jak i wciąż przyglądała się jej z oddali, pełna własnego strachu i niemożliwego przerażenia. Atakowali ją, atakowali je obie.

Potem nie wiedziała, co się działo. To były już tylko przebłyski. Jakiś mężczyzna zaciskał sznur wokół szyi Irmy. Dusila się. Potem w rękę kolejnego załśniło czyste ostrze. Ukłucie. Ból. Ostrze było już czerwone. Zastygłe spojrzenie Irmy, strużka krwi płynęła z jej ust.

Cleto i Piątek pochylający się nad ciałem w opuszczonym już Domu Wiedźm.

Woda stawała się brudna. March miała wrażenie, że rozsadza ją od środka. Krzyczała. Hypnos szarpał ją za ramię.

Gdy wreszcie się wybudziła, zdawało jej się, że znana jej rzeczywistość roztrzaskała się na małe kawałki, które zaczęły się składać, a każdy ostry odłamek, wracając na swoje miejsce, ranił jej duszę.

Teraz już wiedziała, co się tu wydarzyło. Wiedźmy nie uciekły, nie obie. Irma nie przeżyła ataku mieszkańców Finfolk.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Tylko dlatego, że Hypnos nalegał, opowiedziała mu o tym, co zobaczyła. Siedzieli jeszcze w świątyni i fer twierdził, że każda wizja jest istotna i że trzeba ją rozpracować, by zrozumieć doświadczenia astralne. Jednak gdy usłyszał jej opowieść, tylko spuścił głowę. Natychmiast domyśliła się dlaczego.

– Wiedziałeś o tym – warknęła.

Hypnos pokiwał głową.

– Sądziłem, że wszyscy wiedzieli. Pewna czarownica zginęła w Finfock.

– To nie była *pewna* czarownica. To była Irma Malloway. – March gotowa się z wściekłości. – Czy ty w ogóle...

Nie, nie rozumiał. Wzburzona opuściła świątynię i przez kolejne kilka godzin nie wychodziła z pokoju. Nie sądziła, by w tej chwili potrafiła z kimkolwiek podzielić się tym doświadczeniem.

Nigdy nic nie wstrząsnęło nią tak jak to, co dziś zobaczyła. Wszystko, o czym dotąd słyszała, wszystko, o czym czytała, nieważne, jakie zbrodnie popełniali ludzie, było gdzieś tam, daleko, nigdy nie obok, nigdy nie przytrafiło się jej. A teraz było tak, jakby właśnie przeżywała ostatnie chwile Irmy wraz z nią. Nawet jeśli niewiele z nich zapamiętała, to najważniejszą rzecz, te straszliwe uczucia, pojęła w pełni. I rozumiała teraz o wiele lepiej niż ktokolwiek inny, że była związana z siostrami Malloway na sposoby, o których na razie wiedziała tyle co nic.

Dopiero gdy dała sobie dość czasu na oswojenie się z bólem, zaczęła analizować to, o czym mówiły siostry. Nie przekazała ich rozmowy Hypnosowi, bo wydała jej się nieważna w obliczu

tego, co stało się później. Ale teraz próbowała przyjrzeć się każdemu wypowiedzianemu przez nie słowu. I im dłużej to robiła, tym mniej rozumiała. Pomóc mogła jej tylko jedna osoba.



Nie wiedziała, jak zacząć tę rozmowę. Mogła zrobić to na setki sposobów, ale żaden z nich nie wydawał się odpowiedni. Pokręciła się więc nieco po kuchni, kilka razy nalewając sobie szklankę wody, jedną, drugą, trzecią, co w końcu musiało wzbudzić podejrzenia. Piątek, który leżał na stole i udawał, że śpi, równie mocno i wiarygodnie, jak ona udawała, że zjawiała się w kuchni po coś konkretnego, raz po raz uchylał powieki, aż wreszcie całkiem otworzył oczy.

– Po prostu to powiedz – mruknął.

March zastygła, trzymając w ręku szklankę, do której po raz czwarty miała zamiar nalać wody.

– Woda nie pomoże ci w walce z tym, co zobaczyłaś.

– Skąd wiesz, że...

– Hypnos mi powiedział. Nie musisz udawać.

Usiadła i wlepiła wzrok w ścianę. Właściwie mogłaby wlepić go gdziekolwiek, byle tylko nie patrzeć na kota.

– Tak, musimy o tym pogadać – przyznała. Mimo to przez kilka kolejnych chwil milczała.

– No więc... – zachęcił ją Piątek, choć w zasadzie nie zabrzmiał szczególnie zachęcająco.

– Nie wiedziałam, że Irma zginęła w ten sposób – powiedziała. – Sądziłam, że dożyła później starości.

Kot szczerze się zdumiał.

– Naprawdę nie powiedzieliśmy ci wcześniej o ataku? Jestem pewien, że nieraz o nim rozmawialiśmy.

– Ale bez szczegółów. Poza tym w wizjach, które mi przekazałeś, widziałam cię w szpitalu obok starszej kobiety. Sądziłam, że to była Irma.

– Nie, leżałem wtedy obok Cleto. Irma zginęła, bo, jak wiesz, skazano ją na areszt domowy i mogła opuszczać Dom Wiedźm tylko w pewnych wypadkach. To nie był jeden z nich... Zaatakowano nas, bo dziecko, które leczyła Cleto, umarło na ospę. Dziwna sprawa. Była końcówka lat sześćdziesiątych i... rozumiesz. Musieli znaleźć winnego, a kiedy jest pod ręką wiedźma czy po prostu ktokolwiek... *odmienny*, wtedy jest i winny. Gotowe.

Spuścił głowę. Jego futro zjeżyło się pod wpływem emocji, którym zaczął dawać upust.

– Cóż, w każdym razie rozumiesz, dlaczego nie chciałem do tego wracać. Nie jest to dla mnie nic miłego, chociaż można by pomyśleć, że po tylu latach nie powinienem mieć żadnego problemu z rozmawianiem o tym. Ba, to chyba wręcz źle, że o tym nie rozmawiam, pewnie powinienem mówić wszędzie, gdzie się da, żeby ludzie wiedzieli. Wiedzieli, że to wina nie tylko nieprzynależących, ale i Społeczności. Cleto błagała ich, żeby pomogli jej siostrze, a miała na to może minutę. I... tak, źle, że tyle milczę. Gadam mnóstwo bzdur, a o tym, co ważne... Irma pewnie by nie była ze mnie zadowolona.

– Nie – szepnęła March. – Wcale tak nie myślę.

Ale kot jej nie słuchał. Coś się w nim odblokowało i teraz mówił bez przerwy, nie tak, jak gdyby zwierzał się komuś konkretnemu, ale ogólnie – mówił do całej przestrzeni, choć tylko dlatego, że był w niej ktoś, kto tego słuchał.

– Myślisz, że czuję się już z tym lepiej? Wcale nie, ból nie minął, choć oczywiście umiem go łagodzić. Zwykle nie wyglądam na zbyt przejętego, ale musisz wiedzieć, że czasem można wyglądać, jakby wcale nie miało się problemu, a jednak się go ma.

*Dziwne* – pomyślała March. Istniało pewnie mnóstwo określeń na tę rozmowę, ale właśnie to przyszło jej do głowy. *Dziwne*. *Dziwne*, że Piątek nigdy przedtem nie wydawał się jej równie ludzki co teraz. *Dziwne*, że był tą samą osobą co tak odległy w czasie Ove.

Nie próbowała go pocieszyć. Nie dlatego, że nie wiedziała, jak to zrobić. Przeciwnie, znała wszystkie te utarte frazy, które należy powtarzać cierpiącym ludziom. „Będzie lepiej. Trzeba pogodzić się z przeszłością i żyć dalej. Na pewno ci ciężko, doskonale rozumiem”. I tak, to wszystko było prawdą, tyle że nijak nie mogło pomóc Piątkowi. Ovemu.

– Wiesz... – zaczęła powoli. – W tamtej wizji pojawiło się jeszcze kilka rzeczy i kiedy o tym myślę... to już wcześniej miałam pewne podejrzenia i...

Kot uniósł na nią spojrzenie. Wrócił myślami do tu i teraz i chyba był jej nawet wdzięczny, że nie drażyła osobistych tematów.

– No więc? – powiedział.

– Tamta wizja w lesie, o której wam opowiedziałam, o bestii i tak dalej... Ciągłe mam wrażenie, że tamte dwie wiedźmy to były właśnie Irma i Cleto. Te, które związały ferinię. Nie wiem tylko, kim była trzecia.

– Zaraz. – Piątek zeskoczył ze stołu. – Chcesz mi powiedzieć, że sądzisz, że siostry byłyby zdolne zabić niewinną...?

– Kto mówi, że niewinną? Była ferinią, pewnie z Aislingen. Nie znam nikogo stamtąd, kto byłby niewinny.

Kot prychnął.

– Niczego nie rozumiesz. Irma i Cleto nie posunęłyby się do czegoś takiego. Poza tym co, myślisz, że bym o tym nie wiedział? A gdybym wiedział, tobym dziś tu był? Na litość wszystkich świętych i nieświętych duchów, March, jestem czarownikiem! Mam pewne zasady!

Dopiero wtedy zrozumiała, że go uraziła.



– Przecież nie chciałam... – zaczęła szybko.

– A co do ferów z Aislingen – dodał kot – skoro naprawdę masz tak czarno-białą wizję świata, że uważasz je wszystkie za morderców, idź i pogadaj z Hypnosem.

March uniosła dłoń. Olśniło ją.

– To jest myśl! – zawołała i ku zdumieniu Piątka pobiegła z powrotem do świątyni.

Hypnos zdążył już pochować magiczne sprzęty i teraz siedział w kręgu, medytując. W pierwszej chwili March uznała, że lepiej mu nie przeszkadzać, jednak ostatecznie odsunęła na bok magiczne konwenanse.

– Hej, jesteś tu? – spytała, na co fer lekko uchylił jedną powiekę i mruknął coś w stylu: „Hmm...”. – Super. Przepraszam i tak dalej – dodała szybko March, wchodząc głębiej. – Chyba się nie obraziłeś?

Odpowiedziało jej kolejne mruknięcie. To miało chyba oznaczać coś jak: „Ludzie są zbyt mało istotnymi stworzeniami, żeby móc mnie obrazić”. Bardzo dobrze.

– Przypomniałam sobie o czymś ważnym – oznajmiła March, siadając naprzeciwko. Zachodziła w głowę, jakim cudem dopiero teraz wpadła na tę myśl. Może dlatego, że w międzyczasie zbyt wiele się działo.

– To dotyczy twojej wizji? – odparł Hypnos, całkiem otwierając oczy.

– Nie do końca, choć możliwe, że tak. Mniejsza z tym. – March machnęła ręką. – Kiedy pojawiłeś się w Domu Wiedźm, krótko po tym, jak uleczyłeś Callena, zacząłeś mi o czymś opowiadać, ale nie skończyłeś, bo Isel... No, doszło do tej sprawy z amuletem.

Fer zmarszczył czoło.

– O czym mogłem...?

– Kowen Bestii. Pamiętasz?

March wpatrywała się w niego, spodziewając się zobaczyć tajemniczą minę, może nawet nieco przerażoną. Ale Hypnos tylko westchnął.

– Ach, to! Cóż, faktycznie istniała tu grupa czarownic, które nazywały siebie Kowenem Bestii. Podobno oddawały cześć duchowi zamieszkującemu las.

– Bestii? – zdumiała się March. – Po co wiedźmy miałyby oddawać cześć potworowi?

– Bo to wiedźmy. – Fer wzruszył ramionami. – Dlaczego miałyby tego *nie* robić?

– No... – March zawahała się. – Piątek mówił, że...

– On też jest czarownikiem. Każdy czarownik czy wiedźma powie ci, że nie robi nic, co można by uznać za *złe*. Ale częścią tej ścieżki, ścieżki magii, jest raczej chodzenie poboczem niż, że tak powiem, główną drogą. Jeśli myślisz, że czarownica to ktoś, kto uprawia *białą* magię i tak dalej, to jesteś w błędzie. Taki ktoś to najwyżej czarodziejka czy coś w tym stylu. Są tacy, którzy nazywają je flafami.

– Flafami? – March nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek słyszała podobne określenie.

– No, to takie czarownice, które wierzą tylko w dobroczynne czary i przyjaźń między wszystkimi istotami. Nie znajdziesz ich zbyt wielu, bo większość pożarły już namhajdy. Jeśli chodzi o prawdziwe czarostwo, serce tajemnic zawsze kryje się gdzieś pośrodku. Dlatego czarownice to córki nocy, choć prędzej nazwałbym je córkami zmierzchu i brzasku. Wszędzie tam, gdzie spotykają się przeciwieństwa, znajdziesz wiedźmy. Godzina czarów to północ, miejsce czarów to rozdroża, magia dzieje się w świecie astralnym, na pograniczu umysłu i fizyczności. Rozumiesz, zawsze można wybrać *jakaś* drogę, a czasem można kroczyć ścieżką poza wszelkimi drogami.

– Rozumiem, że to jakaś filozofia czarownic... A wy też w to wierzycie?

– Nie. To więdźmy w to wierzą. My doskonale wiemy, że tak po prostu jest.

March nie była pewna, jak to rozumieć. Zresztą nie miało to na razie znaczenia.

– No dobrze – odparła – ale w takim razie czym był ten Kowen Bestii? Tamte czarownice naprawdę czciły potwora, który zamieszkiwał finfolski las?

– Tego nie wiem. One stroniły od ferów, nie miały nawet własnych.

– Własnego czego?

– Ferów. Więdźmy i fery często łączą się w magiczne pary. Oczywiście my w Aislingen tego nie robimy...

Ostatnie zdanie Hypnos wypowiedział z pewną wyższością.

– A dlaczego twierdzisz, że tym, co widziałam w wizji, mógł być tamten kowen? – drażyła March.

– Bo wspomniałaś o maskach, a w Kowenie Bestii często noszono maski różnych zwierząt – wyjaśnił fer. – Kozła, jelenia, koguta... nawet świni. – Wzdrygnął się.

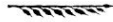
Nic tu nie grało. Piątek i Callen nie słyszeli o takim kowenie. Irma i Cleto chyba wcale nie mogły do niego należeć. Poza tym ludzie z wizji o ferini wyglądali, jakby wyjęto ich z XVIII, może XIX wieku. Ale znowu, March miała wrażenie, że w tej najnowszej pojawiły się te same osoby. Oczywiście mogło to mieć związek z jej własnym mózgiem. Nikt nie powiedział, że wizje są w stu procentach prawdziwe, w końcu nawet w świecie astralnym część rzeczy widywało się tylko z powodu własnych odczuć czy wspomnień – tak mówił Callen.

– Wiesz co? – Hypnos wyrwał March z rozmyślań. – Chyba wiem, jakiego zwierzęcia ty mogłabyś nosić maskę.

– No... jakiego? – odrzekła powoli, chyba znając odpowiedź. *Jeleń, kozioł, baran.* Te trzy nosiły więdźmy, które doprowadziły do śmierci ferini.

Fer się uśmiechnął.

- Barana – powiedziała. – To w końcu twój znak astrologiczny, prawda? *March Sky?*[\[2\]](#)



Callen i Hypnos się nie polubili. Mimo że fer uratował chłopakowi życie, wytworzyła się między nimi bariera, zbudowana głównie z nieufności tego drugiego. March doskonale wyczuwała te blokady, choć nie w pełni zdawała sobie sprawę z ich przyczyn. Miała wrażenie, że Callenowi chodzi o coś jeszcze. Była pewna, że miał jej za złe to, ile czasu spędzała zamknięta z Hypnosem w świątyni, gdzie ćwiczyli badanie świata astralnego, tym razem bez żadnych niespodzianek. Chłopak sądził pewnie, że całkiem otworzyła się na fera. Jeśli tak, to był w błędzie.

Przede wszystkim kilka dni March poświęciła na wyrzucenie z głowy myśli o tym, co Hypnos powiedział jej w świątyni. *Maska barana... Jasne.* Niby chodziło mu o astrologię, ale po pewnym czasie zdała sobie sprawę z tego, że mógł specjalnie nasunąć jej to skojarzenie. Przecież wiedział, co miały na sobie czarownice. Nie miał tylko pojęcia, że March rozpoznała dwie z nich, podczas gdy ta trzecia, nieznajoma, nosiła właśnie baranią maskę...

Ale to nie miało sensu. Nie mogła przecież zobaczyć samej siebie. Poza tym tamte, które związały ferinię, też nie mogły być siostrami Malloway. Po pierwsze, stało się to zbyt dawno temu, a po drugie, gdyby należały do Kowenu Bestii, dlaczego by tę bestię zniszczyły? A przecież zrobiły to, spaliły ją. Coś tu nie grało. I jednocześnie coś mogło zwyczajnie nie mieć większego znaczenia.

Wreszcie March całkiem wyrzuciła z głowy wątpliwości. Przez cały wrzesień zajmowała się lekcjami z Isinbirem

i Hypnosem. Nie miała już poczucia, że nic nie robi. Przeciwnie, zdawało jej się, że każdy pobyt w Jaarze wzmacnia ją magicznie, a jeśli było to tylko iluzją, nie przejmowała się. W końcu magia opierała się na wyobrażeniach.

Isinbir też się zmienił. Nie śmierdział już alkoholem i chyba faktycznie poszedł na jakiś magiczny odwyk. Więcej czasu spędzał też z Callenem, co służyło im obu. March nie wiedziała, o czym rozmawiali, i nie dociekała, jednak obaj wydawali się coraz bardziej rozluźnieni. Natomiast jej rozmowy z ferem ostatnio częściej schodziły na tematy filozoficzne, tyle że March już się tym nie denerwowała. Uwierzyła, że mógł kryć się w tym klucz do zrozumienia nie tylko czarów, ale również jej wizji. Zwłaszcza teraz, gdy zaczął się październik, wszyscy wokół stawali się bardziej refleksyjni.

– Czas duchów – westchnął Piątek, wpatrując się w okno. W pełnym słońcu drzewa w finfol skim lesie wydawały się niemal złote. – Wiesz, co to znaczy dla czarownic?

– No tak – odparła March. – Zawsze wiedziałam, że Halloween to jakiś szczególny czas dla wiedźm. Ciągłe się o tym mówi w filmach.

– Samhain – poprawił ją Piątek. – My nazywamy Noc Duchów Samhain, choć w sumie Halloween nie jest takie złe...

– Zastanowił się. – No, o ile nie ograniczysz go do zabawnych strojów i rozdawnictwa słodyczy... Wybacz, nie znoszę się dzielić cukierkami.

March słuchała go tylko pobieżnie, w międzyczasie przesuwając palcem po ekranie komórki. Od czasu do czasu udawało jej się połączyć w Domu Wiedźm z internetem. Strasznie się zacinał, jakby magia nie tolerowała nowinek technologicznych, ale March udało się przynajmniej sprawdzić Instagram Isel. Wydawał się całkiem w porządku, sporo osób klikało serduszka, co – miała nadzieję – pomagało przyjaciółce budować poczucie własnej wartości.

– Duchy, duchy, duchy – wzdychał dalej kot. – Czasem bywają wredne, jak poltergeisty, choć one są w zasadzie bardziej zjawiskami niż pełnoprawnymi duchami.

– Pełnoprawnymi duchami? – March odstawiła komórkę. Za każdym razem, gdy słuchała o duchach, przypominała jej się Puszcza Krzyków. Czuła się z tym dziwnie, bo z jednej strony wzdrygała się na wspomnienie tamtych chwil, za to z drugiej ciekawiła ją natura cieni. – Co to właściwie znaczy? Masz na myśli zjawy, które łążą po ciemnych lasach i straszą w nawiedzonych domach? Jeśli tak, to dziękuję.

– Nie, nie. Chodzi mi o inne duchy, choć cienie też odgrywają pewną... rolę.

– Tak, zdążyłam zauważyć, co to za rola – prychnęła March. Kot westchnął z dezaprobatą.

– Masz strasznie wąskie horyzonty – stwierdził. – Wydaje ci się, że świat ogranicza się tylko do rzeczy, które widziałaś? To, że aislingeńskie fery wykorzystują cienie, nie znaczy, że powołaniem tych istot jest służenie Wyrd. Cienie to w gruncie rzeczy bardzo smutne i zagubione części świadomości zmarłych. Trzeba im pomóc połączyć się z duszą w zaświatach, poprowadzić je do światła.

– Jak w filmach o mediach?

Zadając to pytanie, March wcale nie spodziewała się, że odpowiedź będzie brzmieć:

– Coś w ten deseń. Ludzka dusza składa się z kilku warstw, niektóre są wiecznie wolne i nie da się ich okiełznać magią, inne, bardziej związane ze światem fizycznym i świadomością ego, mogą błąkać się po ziemi. Media, owszem, doprowadzają takie duchy, cienie, do eterycznego, wielowymiarowego światła, co czasami polega niestety na tym, żeby takim duchom nakopać. Wiesz, żeby sobie poszły.

Kot odwrócił się w jej stronę i patrzył zbyt poważnie, by mogła uznać, że to pora na śmiech.

– To tyle teorii – oznajmił na koniec. – A jak jest naprawdę, tego nikt nie wie.

– Zaraz – odparła March niemal z oburzeniem. – Chcesz mi powiedzieć, że nie macie pojęcia, czy cokolwiek dzieje się *po*? To znaczy mam na myśli śmierć.

– Oczywiście, że nie wiemy. Jakbyśmy wiedzieli, to życie nie byłoby zbyt warte przeżycia, co nie?

– Chyba żartujesz. Tamte cienie, które doprowadzacie...

– *Media* doprowadzają cienie do światła, nie ja. A co dzieje się potem, tego nikt nie wie. Ja jestem pewien, że coś musi się dziać, przy czym twierdzę, że o wiele lepiej żyje się z nutką niepewności.

March wróciła do sprawdzania internetu.

– Naukowcy mówią inaczej – powiedziała, wzruszając ramionami. – Po śmierci nic nie ma, więc równie dobrze cienie mogą być wszystkim, co nam zostaje. Niezbyt to przyjemne, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tak było.

– Naukowcy! – Piątek wyrzucił z siebie to słowo prawie z pogardą. – Jak twierdzą, że nic nie ma po śmierci, to niech szukają dalej.



W dzień Halloween padało. March, zbudzona kroplami deszczu gwałtownie bębniącego o dach, mogłaby przysiąc, że to nie była zwyczajna ulewa. W półśnie zdawało jej się, że słyszy śmiech Wyrda, jakby królowa przygotowywała się do przypuszczenia kolejnego ataku, którego załóżek pewnie już i tak czekał uśpiony w rzuconej na Finfolk kłątwie. Kilka chwil zajęło dziewczynie przypomnienie sobie, że parę dni temu, chyba tylko po to, by zachować pozory normalności, postanowiła urządzić w Domu Wiedźm małe przyjęcie.

– Przebierzemy się, potańczymy i na koniec będziemy wzywać duchy – zaproponowała. Robiła to przede wszystkim dla Isel, która w ostatnim czasie, pewnie z powodu ponurej jesiennej atmosfery, wydawała się jakaś przybita. Była blada, oczy jej błyszczały, jakby ciągle szykowała się do płaczu, który nie nadchodził. Oczywiście nie chciała o tym rozmawiać, a March za bardzo się bała, że jeśli będzie na nią naciskać, przyjaciółka jeszcze bardziej się w sobie zamknie.

Hypnosowi nie spodobały się dwa pierwsze punkty programu halloweenowego. Piątek siłą próbował nałożyć mu na głowę czapkę w kształcie dyni, co skończyło się tylko tym, że niemal wydrapał ferowi oko. Wzburzony Hypnos prawie cisnął nim o ścianę, w rezultacie czego wszyscy siedzieli teraz niezadowoleni.

A Isel w ogóle nie przyszła.

– Dlaczego? – zastanawiała się March. – Była zapalona do tego pomysłu. Chciała wzywać duchy. To była jedyna rzecz, która ją jakoś cieszyła.

– Ja na pewno nie mam zamiaru wzywać duchów – mruknął Hypnos, który z założonymi rękami wpatrywał się w podłogę. – Samhain to poważne święto, nie czas na przebieranki.

– Może Isel nie interesuje się już magią tak, jak na początku? – zastanawiał się Callen. Jego zmartwiona mina nie pasowała do stroju wesołego elfa, pożyczonego od Piątka, który sam siedział w czapce odrzuconej przez Hypnosa. – Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że straciła zapał. Zawsze kiedy w świątyni pokazywałem jej coś nowego, zadawała mnóstwo pytań, a ostatnio chyba wszystko olała.

– *Olała* – prychnął fer. – To by wiele tłumaczyło, jeśli chodzi o podejście ludzi do magii.

Reszta go zignorowała.

– Też mi się wydaje, że coś z nią nie w porządku – stwierdził Piątek.



March wstała zdenerwowana.

– Wcześniej mi to mówicie – warknęła.

Bardziej była zła na samą siebie niż na nich. Jeśli coś działo się z Isel, powinna była to zauważyć zamiast czekać, aż zrobi to ktoś inny. Nie lubiła się oszukiwać, ale naprawdę nabrała nadziei, że mogą odbudować swoją przyjaźń, a nawet zacieśnić ją, skoro coraz więcej o sobie wiedziały.

– Idę szukać lepszego stroju – powiedziała, wskazując na długą czarną suknię, która chyba nieszczególnie nadawała się jako przebranie. – I zadzwonię do niej. Może jednak przyjdzie.

Gdyby Isel miała nie przyjść, całe to Halloween byłoby bez sensu. Wspinając się po schodach, March nie miała pewności, czy bardziej jest rozgniewana, czy zmartwiona. W pokoju Irmy kilka razy spróbowała skontaktować się z przyjaciółką, ale ta nie odpowiadała. March miała ochotę rzucić telefonem o ścianę. Wzdychając, otworzyła szafę i zaczęła wygrzebywać z niej ubrania jedno po drugim. Spodziewała się, że w ciuchach wiedzmy znajdzie coś, co pasowałoby na Halloween, jednak Irma zdecydowanie wolała nie epatować magią. March, po części z braku czegoś lepszego do roboty, zakradła się więc do pokoju Cleto. Wolała, żeby jej towarzysze nie widzieli, jak to robi. Nie dlatego, że nie mogła tam wchodzić, ale raczej dlatego, że wszyscy traktowali pokój starszej czarownicy ze zdecydowanie większą nabożnością niż świątynię, choć nikt nie mówił tego wprost.

A właściwie niczego specjalnego tam nie było. W oszklonej szafce stało pełno wazonów z zasuszonymi kwiatami i ziołami. Może Cleto zbierała je na pamiątkę jakichś ważnych wydarzeń. Poza tym były tam tylko łóżko, niewielka szafa i stare biurko do pisania, w którym wydzielono miejsce na kałamarz. March nigdy się nie zastanawiała, czy Cleto miała jakieś życie prywatne. Cóż, na pewno musiała je mieć, tyle że żyła chyba

bardziej dla tego domu niż dla samej siebie, i może dlatego jej pokój wydawał się tak skromny.

Podchodząc do szafy, March nieco się obawiała, że jeśli włoży coś z niej, Piątek lub Callen będą mieli jej to za złe. Mimo to z ciekawością otworzyła garderobę. Wisiało tam tylko kilka zmechanicznych płaszczy i długich czarnych spódnic. Poza tym wewnątrz pachniało szałwią i czymś słodkim, co mogło stanowić obietnicę magii... lub też ostrzeżenie przed nią. Nim March zaczęła odsuwać ubrania, zajrzała jeszcze do niewielkiej półki pod szafą. Jej oczom ukazały się trzy rzeczy.

– Co do...!

Maska kozła.

Maska jelenia.

I maska barana.

– Nie – szepnęła, zakrywając usta dłonią. Nie wierzyła w to. Nie wolno było jej w to uwierzyć. Bo gdyby jej wizje okazały się prawdą...

A jednak ciemne oczy zwierząt, paradoksalnie wyglądające na zarazem żywe, jak i martwe, zdawały się patrzeć wprost na nią.

– March! – usłyszała nagle. Głos dochodził z bliska, ale nie od razu go rozpoznała. Musiał zawołać ją jeszcze kilka razy. Wydawał się spanikowany, a ona w jakiś sposób nie potrafiła go uchwycić. – Gdzie jesteś?!

Jej usta odpowiedziały, choć sama nie była pewna, czy zgodnie z prawdą.

Do pokoju wpadł Hypnos. W ręku trzymał coś, co wyglądało na roztrzaskany amulet. Znamię diabła. March spojrzała ze zdumieniem najpierw na nie, a potem na fera. Ledwo wzięła wisior do ręki, świat przed jej oczami, już i tak dziwnie odległy, całkowicie pociemniał.

Potem zobaczyła zaledwie urywki zdarzeń, jakby wycinki z krótkiego filmu.

Isel szła przed siebie jak zahipnotyzowana, przed nią raz po raz migały światła rozpędzonych samochodów. Każdy oświetlał jej na wpół przytomną twarz. Nie spała, nie lunatykowała, wydawała się otumaniona... magią.

Odczekała kilka chwil. Kolejny samochód nadjeżdżał. Zrobiła jeszcze jeden krok przed siebie.

Zginęła od razu.

[2] W j. ang. *March Sky* oznacza „marcowe niebo”, a właśnie w marcu, miesiącu urodzenia dziewczyny, Słońce wchodzi w astrologiczny znak Barana.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Patrząc na informację o wypadku zamieszczoną na stronie Finfock, March widziała jedynie litery. Nie układały się w słowa. Nie mogły się układać, bo wtedy zyskałyby znaczenie, a ona nie chciała ich zrozumieć, nie chciała ich przyjąć. Próbowwała przeczytać je już dwudziesty raz, jednak coś wciąż ją blokowało. Serce przyspieszało, łzy cisnęły się do oczu, dławily ją, niemal dusiły. Wreszcie Hypnos, delikatnie rozsuwając jej palce zaciśnięte na telefonie, wyjął go z jej rąk i zamknął stronę z informacjami.

Aż do wieczora kolejnego dnia nie wybuchła płaczem przed innymi. Przechodziła obok nich jak duch, niewrażliwa na zasmucone miny, którymi próbowali zachęcić ją do rozmowy. Odzywali się do niej ściszonymi głosami, mruzcili niezrozumiałe słowa. Gdy wreszcie się rozplakała, siedząc przy stole, wszyscy zastygli. Żaden nie wiedział, co zrobić. A ona chciała wrzeszczeć, krzyczeć na nich, znaleźć winnego. Bo nie mogła się oszukiwać, ktoś był temu winien. Hypnos, który zwodził Isel, March, która ją tu przywiodła, Piątek i Callen, którzy nie dość próbowali wybić jej czary z głowy... To magia okazała się ostatecznym powodem, przez który Isel odeszła. Magia, która ją rozczarowała, tak samo jak za każdym razem rozczarowywała March.

W ciągu kolejnych dni dziewczyna była pogrążona we śnie. Nie, nie zasnęła naprawdę. To był bardziej letarg. Jak zwierzę zapadające w sen zimowy poczuła, że opada na dno ciemnej pieczary. Tyle że jej schronienie nie było ciepłe, nie było przyjazne. Miała wrażenie, że oddzieliła się od ciała, a jej

umysł trafił w miejsce przypominające Puszcę Krzyków. I on też trząsał się w tym samym, cichym krzyku, w jakim pogrążona była puszcza.



– Dziewczyna zginęła? – zdumiał się Isinbir, gdy Callen doniósł mu o sprawie. Przyszedł do ojca tylko po to, by usprawiedliwić March, z którą właściwie nikt nie miał kontaktu. – Co się stało?

– Nie mam pojęcia – przyznał smętnie chłopak.

Nie był w stanie patrzeć na cierpienie March. Straszna atmosfera przepełniła cały Dom Wiedźm, którego Isel ostatnio znów bywała częstym gościem. Wszyscy przeżyli to na swój sposób, nawet Hypnos, jednak niczego nie dało się porównać z tym, co musiała czuć March. Callen próbował postawić się w jej sytuacji, wyobrazić sobie, jak by to było mieć tylko jednego przyjaciela, który ot tak ginie. I to przez magię. To dręczyło go najsilniej. Bo to przecież on przywiódł do magii March. Gdyby tego nie zrobił, Isel też nie zajęłaby się czarami i nie zginęłaby w tak straszny sposób.

– Chyba została otumaniona – wyjaśnił cicho. – Tak przynajmniej twierdzi March, ale... wiesz, trudno z nią o tym rozmawiać.

– A ty jak się trzymasz?

Callen wzruszył ramionami.

– Nie chcesz o tym rozmawiać? – spytał Isinbir, fiksując na nim spojrzenie.

– Nie wiem. Ale chyba powinienem, prawda? – Chłopak też uniósł na niego wzrok. Chyba po raz pierwszy potraktował ojca jak prawdziwego mentora w sprawach innych niż magia. –

Zwłaszcza pogadać z March. Próbowałem kilka razy, tyle że nie umiem. Czuję się za to odpowiedzialny.

Fer wydał się zdumiony.

– Ty? Dlaczego miałbyś za to odpowiadać?

– Sam pomyśl. Gdyby nie ja, żadna z nich, ani Isel, ani March, nie trafiłaby do Domu Czarownic. Wiem, że March nie powie tego wprost, ale jestem pewien, że od teraz już zawsze będę się jej kojarzył z tym, kto... kto...

Usta mu zadrżały.

– Kto zabił jej przyjaciółkę – dokończył wreszcie.

Isinbir usiadł blisko niego i objął go ramieniem. Callen stwierdził z ulgą, że nadal nie czuje od ojca alkoholu. Nawet teraz było to coś, co zadowoliło chłopaka. Ostatnio wreszcie zyskali trochę czasu dla siebie, częściej rozmawiali o wszystkich tych rzeczach, które nie dotyczyły magii, o których powinni rozmawiać. Isinbir rozpoczął specjalną terapię. Brał magiczny lek na bazie ametystu, który pozwalał mu zapomnieć o alkoholu. Oczywiście same tabletki nie mogły załatwić sprawy. Callen wiedział, że ojcu przydałaby się też bardziej *ludzka* terapia, rozmowa. Nie był wprawdzie psychologiem, ale starał się, jak mógł, by zrozumieć Isinbira.

Ani chłopaka, ani fera nie zdziwiło to, że jego problem miał związek z Luną. To strata jej i dziecka sprawiła, że ojciec, wygnany z domu swojego dzieciństwa przez matkę, którą pewnie też w jakiś sposób kochał, zaczął pić. Właśnie o tym rozmawiali i gdy Callen wreszcie zaczął rozumieć ojca, uwierzył, że pewnego dnia całkowicie zdoła mu wybaczyć jego nieobecność przez tak wiele lat. Pewnego dnia, gdy to wszystko się uspokoi, bo na razie działania Wyrd skutecznie poskramiały jego nadzieje.

– A co z tym ferem, który z wami mieszka? – dopytywał Isinbir. – Jak on na to zareagował?

– Właściwie to nijak – odrzekł chłopak. – Też jest trochę przygnębiony, ale może tylko udaje? Trudno powiedzieć.

Callen nie potrafił rozgryźć Hypnosa. Fer miał zdolności empatyczne, umiał bezbłędnie odczytywać uczucia innych, jednak była to umiejętność zdradliwa. Łatwo mógł ją wykorzystać przeciw wrogom. A kim była dla niego March? Wrogiem czy przyjacielem? Chłopak obawiał się, że ani jednym, ani drugim, za to kimś spomiędzy, co tylko komplikowało sprawę.

– On *zaprzyjaźnił* się z tą Isel, tak? – spytał Isinbir, głęboko się nad czymś zamyślając.

– No... użył podstępu, żeby dostać się do domu, tylko że...

Callen zamrugał, tknięty jakby myślą ojca.

– Sądzisz, że maczał w tym palce? – przeraził się.

– Niczego nie mówię – odrzekł fer – tylko tyle, że warto go obserwować.

– Ale po co miałyby to robić? – zastanawiał się Callen. – Nawet gdyby to on doprowadził do śmierci Isel, to jaki by miał w tym cel? Przecież fery z Aislingen nie działają bez powodu. No, nie licząc tych wypadków, kiedy pastwiły się nad ludźmi... no...

– Dla zabawy? – podpowiedział mu Isinbir.

– Właśnie – odparł chłopak. – To znaczy, nie mówię o tobie, ale i tak... Wiadomo, teraz Aislingenianie już tego nie robią.

– Nie *oficjalnie* – uzupełnił ojciec. – Mieliby problemy ze Społecznością. Jeśli zaś chodzi o cel, to, że go nie widzimy, nie znaczy, że go nie ma. Bo, jak zakładam, na pewno fery doprowadziły do jej śmierci? To nie było samobójstwo?

Callen pokręcił głową.

– Miało tak wyglądać, ale nie było. Ufam March. Ona widziała twarz Isel w swojej wizji. Poza tym Finfolek jest zatopione w koszmarach, więc sam rozumiesz... No i March...



Chłopak zastanowił się. Nie był pewien, czy rozmawiać o wszystkim z ojcem, bo sam nie do końca rozumiał, co się działo w Domu Wiedźm. No, ale skoro już tu był...

– Kiedy March miała tę wizję, znalazła w rzeczach Cleto trzy zwierzęce maski. Chodzi o maski *rogatych* zwierząt, no wiesz, takich związanych z wiedźmami.

– Należały do sióstr Malloway? – zaciekawiał się fer.

– Tego właśnie nie wiem. Nigdy nie widziałem, żeby nosiły maski, ale chyba inna opcja nie wchodzi w grę? No i... pamiętasz te wizje, które miała March, te z potworem i ferinią? Może za tym wszystkim coś się jednak kryje?

Wlepił w ojca oczekujące spojrzenie. Isinbir, zmieszany, milczał przez dłuższy czas, po czym głęboko westchnął.

– Obserwujcie sytuację dalej – polecił. – Uwolnione czary ferów mogą działać bardzo podstępnie, zwłaszcza na umysł. Jeśli nie masz pewności, od kogo pochodzi wizja, nie podążaj za nią.

Posłał synowi poważne spojrzenie i dodał:

– Jeśli to fery zabiły Isel, musimy uważać, bo nie wiadomo, kogo wybrały sobie na kolejną ofiarę. A rozsądek podpowiada, że lada dzień może się nią stać któreś z was.



Listopad był nie do zniesienia. Ból March, który momentami sprawiał, że miała ochotę szaleć z wściekłości, otworzyć okno i wrzeszczeć na całe Finfock, zmieniał się, choć nie malał. Towarzyszył jej nieustannie, był uciążliwy, ale wewnętrzny. Zagnieździł się w jej ciele, pewnie już na zawsze. Widziała go, spoglądając w lustro, czuła jego obecność silniej niż obecność swoich towarzyszy i nawet kiedy mówiła, zdawało jej się, że przemawiał za nią.

Życie w Domu Wiedźm toczyło się swoim rytmem. Piątek i Callen szybciej przywykli do sytuacji, Hypnos starał się unikać March, z pewnością rozumiejąc, że to jego winiła za śmierć przyjaciółki. Miał rację tylko do pewnego stopnia, bo tak, winiła go, jednak nie bardziej niż siebie samą.

Musiało minąć kilka tygodni, nim była w stanie podjąć próbę dłuższej rozmowy. Imię Isel nie miało paść w niej ani razu, nie miała mieć nic wspólnego z tym, co się wydarzyło.

– Klątwa... Co z nią? – mruknęła March, patrząc na Piątka. Nie wiedziała dlaczego, ale to jego upatrzyła sobie na partnera do rozmowy. Może dlatego, że kot powinien ją zrozumieć.

Czas nie stał w miejscu. Podczas gdy ona wyłączyła się z rytmu przekłętego Finfolk, Piątek i Callen na nowo zajęli się badaniem okolicy. Kot często wychodził wieczorami.

– Bez większych zmian – oznajmił. – Było jeszcze kilka zgonów...

– Kto umarł? – spytała od razu March. Słowo „umarł” natychmiast wywołało skojarzenie, którego tak bardzo chciała uniknąć.

– Kilka starszych osób. Nie ma to chyba związku z ferami.

March zapatrzyła się w okno. Zamiast deszczu padały za nim teraz wielkie płaty śniegu.

– Nie, nie ma – przyznała. – Bo nic mi się nie śniło.

Przynajmniej nie pamiętała żadnych snów. Dni i noce stapały się ze sobą w ponury bezczas, rzadko spała i odkąd nie praktykowała z Isinbirem ani Hypnosem – to Callen poprosił ich o przerwę, bo sama nie była w stanie tego zrobić – nie nawiedziła jej ani jedna wizja.

– March – zaczął Piątek – przecież wiesz...

– Wiem co? – Przeniosła na niego nieco otępiałe spojrzenie.

– Że żadna z tych śmierci nie miała związku z tobą.

*Żadna* – pomyślała – *oprócz jednej*. Zakryła twarz dłońmi, w odruchu obronnym powstrzymała się od płaczu.

– Którego dziś mamy? – spytała.

– Pierwszy grudnia... – odparł powoli kot.

Pokiwała głową.

– Tak. Tak, wiem.

To dziwne, ale zaczęła się oswajać z bólem. Chętnie pozwoliłaby mu przejąć nad sobą kontrolę na kolejny miesiąc. Był zarazem straszny, jak i w dziwny sposób... bezpieczny. Zapewniał jej ucieczkę. Bo choć zdarzyło się już tak wiele rzeczy, najgorszych, najboleśniejszych, wiedziała, że limit jest niewyczerpywalny. Mogły przydarzyć się kolejne, a kiedy spędzała większość czasu w łóżku, jakoś udawało jej się do nich przywyknąć. Ale życie czekało na nią.

– Jeśli pójdziesz do pokoju Cleto, zobaczysz coś ważnego – oświadczyła, nie patrząc na Piątka. Dotąd nie umiała wspomnieć o maskach, bo była to kolejna rzecz, na samą myśl o której skręcały jej się wnętrzności.

– Już tam byłem. Wiem.

– I co? – spytała z obojętnością, którą czuła jedynie w połowie. Wcześniej chciała o tym rozmawiać, za to teraz miała wrażenie, jakby musiała się zmuszać do każdego, nawet najprostszego słowa.

Kot spojrział na nią poważnie i chyba lekko speszony.

– Jedyne odpowiedzi, jakiej umiem ci udzielić, to... nie wiem. Szczerze: nie wiem.

Nie dało się ukryć, że i jego zszokowało to, co zobaczył w pokoju starszej wiedźmy.

March westchnęła. Niczego innego się nie spodziewała.



Jaskinia była pusta. Czerń była pusta. Dusza March też była pusta. Jaar, magia, życie... wszystko to było pustką, nie miało

żadnego znaczenia. Schodziła coraz głębiej, z nicości w większą nicość, odkrywając kolejne pokłady strachu, smutku, osaczona czymś gorszym od ferów, czymś gorszym od realnego zagrożenia, z którym mogłaby walczyć. Tutaj nie była w stanie tego robić.

Wróciła tam, do Puszczy Krzyków. Cichszej i straszniejszej. Już nawet nie miała sił, by się bać. Nie widziała kamieni, ścian ani podłogi jaskini, czerni, która z niej wyzierała, pochłonęła wszystko. Unosząc się w niej i dookoła niej, March z trudem dostrzegła niewielki rozbłysk srebrzystego światła. Nie spowodowały go jej słowa – nie umiałyby nic powiedzieć. Cały jej umysł skupił się w jednym punkcie. Punkcie, z którego dobywał się ten mętny blask.

Zobaczyła skorupę. Zobaczyła, co było na niej wyryte. Znaki rozbłysnęły mocniej, wiatr coś wyszeptał, ziemia zadrżała.

March zniknęła i się obudziła. A mrok trwał nadal. W niej.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

W Wigilię Callen przytaszczał ze strychu niewielką choinkę. Postawił ją obok kominka, który długo i bezskutecznie próbował rozpać, i przystroił ją kilkoma bombkami. March mu nie pomagała. Nie cieszyła się, nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie się cieszyć. Więcej, sądziła, że nie ma prawa tego robić teraz, gdy Isel nie żyła.

Nie żyła. Te dwa słowa wciąż do niej wracały, kłując niczym ostrze prawdziwego, rozpalonego noża, a jednak nie mogły wyryć się w jej świadomości. Choć rozumiała, że bezpowrotnie utraciła przyjaciółkę, wcale tego nie akceptowała, nie miała zamiaru zaakceptować. Isel zmarła z jej winy, z jej winy. I nie było sensu udawać, że jest inaczej.

Callen również nie wyglądał na szczęśliwego. Uśmiechał się od czasu do czasu, jakby sądził, że tak wypada, jednak mina rzedła mu za każdym razem, gdy trafiał na spojrzenie March. Tylko Piątek upierał się, żeby obchodzić święta. Przez całą Wigilię nosił czapkę Mikołaja i nawet próbował rozwiesić na choince łańcuch, co skończyło się tym, że omal jej nie przewrócił. Zamiast więc pomagać, zajął się grą w karty z Hypnosem. Ponieważ nie mieli zwykłych kart, używali do tego tarota.

– Pomyśleć, że walczyliśmy ze sobą w najkrótszą noc, a teraz gramy w karty – oznajmił kot. – Minęło pół roku.

– Faktycznie – przyznał fer nieco znudzonym głosem. Rozgrywali już trzynastą partię z rzędu. – Swoją drogą, uważam, że przywiązujecie do Yule zbyt dużą wagę. Dla nas w Aslingen to wcale nie jest miłe święto.

– Wcale go nie obchodzicie, więc skąd możecie wiedzieć – prychnął Piątek.

– Ależ obchodzimy, jak wszystkie fery! Tyle że nam kojarzy się z ciemnością i śmiercią. Wolimy Słońce, gdy jest w pełni sił. Tylko wtedy nasza matka może czerpać z niego moc.

– Yule jest tak samo ważne jak każdy inny sabat, ale Wyrd, zafiksowana na nieśmiertelności, nigdy nie widziała potęgi rodzącego się, słabego Słońca – wtrącił ponuro Isinbir, którego Callen poprzedniego dnia przez ponad godzinę przekonywał, żeby ich odwiedził. Fer upierał się, żeby zostać u siebie, jednak perspektywa rodzinnych świąt (na tyle, na ile tylko byli w stanie je sobie urządzić) ostatecznie go przekonała.

Isinbir odzywał się rzadko i ledwo tolerował obecność drugiego fera. Trudno było powiedzieć, że byli braćmi, bo właściwie nie łączyło ich nic. Może tylko wzajemna niechęć.

Wszystkie te wymuszone rozmowy odbywały się jakby za plecami March. Choć wciąż kręciła się obok, zapewne podświadomie łaknąc czyjejs obecności, nie miała ochoty się do nikogo odzywać, a i reszta instynktownie dawała jej spokój. Większość czasu przesiadywała przy oknie, patrząc, jak z nieba śnieg sypie się tylko po to, by zaraz roztopić się na mokrej ziemi. Płatki przyklejały się do okna, przez chwilę piękne; zaraz potem zamieniały się w wodniste smugi. Przypominała sobie, jak Hypnos mówił jej o innych światach, istniejących w każdej kropli astralnego oceanu. Może osobne wszechświaty istniały także w każdej z tych śnieżynek? Może gdyby przeniosła się do jednego z nich, nawet jeśli miał istnieć tylko przez kilka sekund, jej życie byłoby inne? Lepsze. Bo wszystko musiało być lepsze od tego, co miała tutaj.

Spędziła w tym stanie całe Boże Narodzenie, snując się po domu i wyobrażając sobie leżącą w trumnie Isel. Nie było mowy, by pójść na pogrzeb w zmienionym kształcie – w Finfolk wszyscy od razu zaczęliby szeptać o obcej. Poza tym

miała uraz do amuletu, który tak bardzo zranił jej przyjaciółkę. Zamykając oczy, ciągle jeszcze widziała wijącą się z bólu Isel. Te wszystkie natrętne obrazy nawiedzały ją kilka razy dziennie i choć z całych sił pragnęła zapamiętać przyjaciółkę w inny sposób, nie umiała tego zrobić.

Drugiego dnia świąt wpadła na pewien pomysł, co przyjęła niemal ze zdumieniem, bo nie sądziła, że jest zdolna o czymkolwiek myśleć. Od razu, gdy zaświtał jej w głowie, wiedziała, że nikomu nie pozwoli się od niego odwieść, nieważne, jak bardzo był niebezpieczny. Śmierć Isel nie miała sensu, ale sprawiła, że March coś zrozumiała, coś bardzo ważnego, co nie mogło czekać.

Na skrawku papieru zapisała kilka słów. Przyszły jej z trudem, jakiego nie spodziewałaby się po czymś tak prostym.

*Mamo, chciałam Ci tylko powiedzieć, że wszystko ze mną w porządku. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś Cię zobaczę – mam ogromną nadzieję, że tak – ale wiedz, że nie uciekłam od Ciebie. Uciekłam od własnego życia tylko po to, żeby stanęło mi ono na drodze i walnęło mnie jeszcze mocniej niż zwykle. Kocham Cię. Teraz wiem to o wiele lepiej niż dawniej, teraz wiem to naprawdę.*

*March*

Najtrudniej było jej napisać te dwa słowa: „kocham Cię”. Nie pamiętała, kiedy wypowiedziała je ostatnio do matki, pewnie kiedy miała jakieś osiem lat. A potem, tak, pewnie to jeszcze powtarzała, ale jedynie ustami, bez uczuć, bez ducha. Robiła to, do czego przywykła. Jeszcze później zamilkła i nie powiedziała już ani słowa o miłości. A być może Emma Sky właśnie na takie wyznanie czekała. No i cóż, były święta. Jeśli



przez większość roku „kocham cię” nie przychodzi łatwo, właśnie teraz powinno.

Przemogła się, by jednak znów założyć amulet, i przygotowała się do wyjścia.

– Dostaliśmy list? – zaciekał się Piątek, gdy stanęła przy drzwiach z kopertą. Miała na sobie futro Irmy i była gotowa do wyjścia.

– Nie, to mój list. Ja mam zamiar go komuś dać.

– Co? – przeraził się kot. – Chyba nie mówisz na poważnie! Hej, znów zmieniłaś kształty! Uciekasz z domu, w dodatku po to, żeby zanieść komuś list? March, narażasz nas wszystkich!

– Wcale nie *uciekam* – odparła – tylko wychodzę. Nie muszę was o wszystkim informować.

– Nie ma mowy! – zawołał Piątek. – Nie pozwalam, rozumiesz? Jestem twoim opiekunem, prawie że prawnym! No... to jeszcze można załatwić, uwierz mi.

Zwabiony kłótnią, na schodach pojawił się Callen. Jeszcze nie zdążył zejść na dół, gdy kot doniósł mu o zamiarach March.

– Powinno się was ubezwłasnowolnić – stwierdził.

Callen zmarszczył czoło, uważnie przyglądając się March. Uciekała wzrokiem, a on dostrzegł chyba na jej twarzy coś, co sprawiło, że nagle pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Och, daj jej spokój – westchnął, zupełnie ją zaskakując. – Ale na wszelki wypadek pójdźmy razem.

– Nie, wolałabym...

– March... – Zdawało się, że bardziej prosił, niż nalegał, ale w jego tonie i tak było coś stanowczego. Dziewczyna uznała, że popełniłaby błąd, gdyby poszła sama.

– No dobra – odparła. – To idziemy.

– Daj mi tylko chwilę, pójdę po swój amulet!

Gdy pobiegł z powrotem na górę, Piątek, z wysoko uniesionym ogonem, śmiertelnie obrażony, ciągle miażdżył

March spojrzeniem.

– Tylko jakby co, nie mówcie, że was nie ostrzegałem.



Włożyła list do skrzynki, czując się jak dziecko ofiarujące najlepszy możliwy prezent świąteczny. Nagle, nie wiadomo dlaczego, na myśl przyszły jej świąteczne pierniki. Miała czasem wrażenie, że matce nie zależy na świętach, ale teraz w jej głowie zakotwiczyło się jakieś wspomnienie. Miała może pięć lat, matka wyciągała z piekarnika ciasteczka.

– Nie poparz się! – zawołała ze śmiechem, gdy March zbyt szybko sięgnęła po jedno z nich.

Właśnie to była miłość. Tamte pierniki. *Byłam głupia* – uznała. Zawsze dobrze wiedziała, że matka ją kocha. Zawsze. Tylko udawała, że jest inaczej, żeby ją rozzłościć, czasem, by ją zranić, choć tak naprawdę nigdy tego nie chciała. *Głupia*. Musiała spędzić kilka miesięcy bez niej, żeby sobie to uświadomić.

Szybko odwróciła się od domu matki. Po części dlatego, że wpatrywanie się w niego w końcu wzbudziłoby podejrzenia sąsiadów, ale bała się również, że im dłużej będzie się mu przyglądać, tym trudniej przyjdzie jej odejść. A przecież nie mogła – choć pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek w świecie – po prostu tam wpaść i zawołać, że wróciła. Gdyby tylko wolno jej było wtulić się w ramiona matki i znów powierzyć jej odpowiedzialność za swoje życie.

Uśmiechnęła się. Nigdy by nie przypuszczała, że coś podobnego przyjdzie jej kiedyś do głowy.

– Wracamy? – spytał stojący z boku Callen.

Pokiwała głową.

– Chodźmy.

Do końca ulicy szli w milczeniu, które March znosiła z trudem. Zbyt długo milczała. Od śmierci Isel miała wrażenie, że zewsząd otacza ją milczenie. A jeszcze większe zamieszkało w niej samej. Nic nie przychodziło. Nic. Żadne wizje, żadne przyływy energii.

– Opowiedz mi o tym święcie – poprosiła, zastanawiając się, czy to znaczy, że znów otwiera się na magię, że znów może być czegoś ciekawa.

– O Yule? – odparł Callen. – No, to przede wszystkim święto rodzącego się na nowo Słońca. Czarownice czerpią moc magiczną z Natury, a ona bez Słońca by przecież nie istniała. Chodzi też o to, by pamiętać, że każdy mroczny okres prędzej czy później się kończy, że ciemność nie trwa wiecznie. Światło zwycięża z nią właśnie w najdłuższą noc, kiedy teoretycznie jest najsłabsze.

– Może i u mnie światło wygra z ciemnością – mruknęła March. Nie była nawet pewna, czy wypowiedziała te słowa na głos, póki Callen nie odparł:

– Mnie wydajesz się dość świetlista. I nie, nie chodzi o to, co myślisz! – dodał szybko, widząc jej najwyższe zdumienie. – Twoja energia jest słoneczna. Ognista, ale niekoniecznie związana z ogniem, bardziej z samym Słońcem, które w zasadzie jest najsilniejszym źródłem tego żywiołu. Jesteś skazana na powodzenie.

Zaśmiał się. Być może choć on jeden wierzył w to, co powiedział. Słońce, blask, ognista energia... To wszystko...

– Chwilę! – zawołała March, nagle się zatrzymując. – Powiedziałeś, że to czas, gdy rodzi się nowe Słońce, tak?!

Spojrzała na Callena, jakby sam w sobie stał się dla niej objawieniem. *Niech to szlag!* Dlaczego pomyślała o tym dopiero teraz, skoro przez ostatnie dni bez przerwy gadali przy niej o święcie Yule?

– No, nie do końca tak, ale...

– Kalcynacja, albedo i *citrinitas!* – wyrzuciła z siebie, mając ochotę potrząsnąć Callenem. – *Citrinitas*, rozumiesz?!

– N-nie, March, nie rozumiem.

– Mniejsza z tym – rzuciła. – Do domu.

Pociągnęła go za rękę. Chyba mu się to spodobało, bo jego dłoń szybko dopasowała się do jej i po chwili ogrzewali się już wzajemnie palcami, ale ona kompletnie o tym nie myślała. W głowie miała tylko *citrinitas*, ostatni z alchemicznych stanów. *Citrinitas*, rodzące się Słońce, powstający xerion, kryształ filozofów. Wróciła do niej każda wizja, jakiej teraz potrzebowała. Po tak długim uśpieniu magia przybyła ze zdwojoną siłą. March widziała, jak siostry otwierają portal w kuchni, każdy ich ruch powtarzał się wystarczająco dużo razy, by mogła je zapamiętać.

Przemierzyła ulice oddzielające ją od Domu Wiedźm chyba szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Wpadła do środka, wciąż trzymając za rękę Callena. Po drodze chłopak zaczął w końcu protestować, bo ścisłała go z pewnością za mocno, ale jego słowa do niej nie docierały. Dopiero w progu puściła go, a on odetchnął z ulgą. Hypnos, widząc jej podekscytowanie, rozchylił usta. March go zbyła. Wbiegła do kuchni. Nie miała pojęcia, co robi, ale robiła to dobrze.

Skupiła się. Rozłożyła ręce. Magia połaskotała jej palce, osiadała na jej skórze i pod paznokciami, wpływała w nią i wypływała z niej; to, co w ciele i duchu, łączyło się z tym, co istniało poza, i na kilka chwil March stała się jednością z tą kuchnią, z całym Domem Czarownic. Odetchnęła. Czas spowolnił.

I nagle otworzył się inny wymiar. Światło zalało kuchnię, tańczyło, poruszając morzem tęczy barw, czyste, jasne, pachnące świeżością, pachnące pięknem. Pachnące prawdą. W tej jednej minucie March wszystko wiedziała, niczego się nie bała, każde wydarzenie stało się zrozumiałe, właściwe, dobre.

Piątek, Callen i Hypnos czekali za jej plecami. Wiedziała o tym nie dlatego, że ich dostrzegła. Czuła ich dusze, obecność silniejszą od ciała. Ale oddzieliła się od nich. Były ważniejsze rzeczy do zrobienia. Ściana otworzyła się, atamor płynął w powietrzu i opadł na dłonie March. Przez malutkie drzwiczki, teraz szeroko rozwarte, przedostawał się blask kryształu.

Jeden z celów Callena, ten, który „przychodzi w czterech krokach”, właśnie się objawił. *Dwa już wykonane, trzeci trzeba zrobić komuś, kto kroczy obok ciebie.*

A więc wreszcie się pokazał. Kryształ filozofów powstawał na jej oczach, karmiony słoneczną energią wypływającą spod jej palców, teraz stawał się pełnią. Wykonała swój krok.

*Gdy kryształ ulegnie tym procesom, potrzebne jest jeszcze rubedo.*

To się działo. Światło, którym obleczony był kamień, zaczęło nabierać rubinowej barwy, koloru najczystszej krwi. Choć wcześniej March nie myślała o tym procesie jako o czymś mistycznym, w tym momencie nie umiała nazwać go inaczej jak tylko świętością. Blask wciągnął ją do środka magicznego klejnotu pożądanego od tysiący lat przez kolejne pokolenia alchemików, przetrawił jej duszę, napełniając ją swym światłem, i wypuścił inną, lepszą. A wszystko to trwało zaledwie kilka sekund, które całkowicie odmieniły jej istnienie.

Nie pożądała go tak jak inni, tylko przez krótką chwilę myślała o korzyściach, które mógłby jej dać, jednak te prawdziwe płynęły z zupełnie innego miejsca, znaczyły o wiele więcej od rzeczy materialnych. Rozumiała to, kładąc na kamieniu dłonie i prosząc:

– Pokaż mi.

Nie wiedziała, co ani jak miał jej pokazać, ale była pewna, że to zrobi.

Rozbłysnął jeszcze mocniej, zalewając wszystko morzem czerwonego światła. Blask opłynął Dom Wiedźm, zmieniając go, cofając w czasie, ale teraz już nie tylko umysł March powędrował z jego biegiem, ale również ona cała. Nie było w tym nic strasznego, nie tak, jak podczas wizji. Rozumiała, że wszystko dobrze się skończy, że nic nie zdoła jej zranić, gdy ma po swojej stronie potęgę Ognistego Feniksa.

Jej towarzysze znikli, podczas gdy ona się przeniosła. Od razu rozpoznała miejsce, do którego trafiła, więc ani trochę się nie zdumiała, gdy za drzwiami rozległy się czyjeś kroki, a następnie do salonu Domu Wiedźm weszła Cleto Malloway.

Tym razem czarownica ją dostrzegła, uśmiechnęła się do niej. Spodziewała się jej, czekała na nią w tej zapętającej się w czasie chwili.

– Witaj, trzecia siostró – powiedziała, promieniejąc z radości. I dopiero wtedy March się zdumiała.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

– Nazwałaś mnie...? – zaczęła March. Chociaż istniało ze sto innych pytań, które powinna zadać na początku, to jako pierwsze wypłynęło z jej ust.

– Trzecią siostrą, tak – odparła spokojnie Cleto. Podeszła bliżej, ale nie dotknęła dziewczyny. Mimo to nie ulegało wątpliwości, że nie jest duchem ani wspomnieniem, ale kobietą z krwi i kości. Jak? Dlaczego? Odpowiedzi krył kryształ, którego March nie miała już w ręce. Woląca jednak nie zadawać pytań związanych z zaklętą przestrzenią, w jakiej się znalazła. Woląca zaufać.

*Zapomnij o wszystkim, co wiesz. Otwórz się, a zrozumiesz.*

Więc się otworzyła i ze wszystkich sił starała się nie okazywać zdumienia.

– Nie martw się. – Cleto wyglądała na szczególnie rozbawioną. – Nie odkryję przed tobą żadnych rodzinnych tajemnic, przynajmniej nie twoich. Twoje życie chyba i tak jest wystarczająco skomplikowane. Mówiąc *siostra*, nie mam na myśli więzi ciała, lecz te głębsze. Chodzi o więzi między czarownicami. To nie krew nas połączyła, ale duch.

Po tych słowach Cleto położyła na stole płócienną torbę. Wyciągnęła z niej ciastka, które wysypała na talerzyk. To działo się szybko i naturalnie, a March w dziwny sposób z każdą sekundą przyzwyczajała się do tej sytuacji.

– Zatem poznałaś tajemnicę kryształu alchemików? – Cleto posłała jej pogodne spojrzenie.

– Tak sędzę. Zrozumiałam, że zabrakło już tylko trzeciego, ostatecznego procesu.



– Citrinitas – westchnęła wiedźma.

March pokiwała głową.

– Nie wiem dlaczego, ale nagle wydało mi się jasne, że ty doprowadziłaś do pierwszego stanu, Irma do drugiego, a ja...

– Do trzeciego. Dlatego nazwałam cię trzecią siostrą. Twoje pojawienie się to wielkie błogosławieństwo dla naszej rodziny. Czy rozumiesz także, co oznaczały kolejne procesy i z czym się wiązały?

March zastanawiała się dłuższy czas, jednak sprawy wydały jej się na tyle poplątane, że nie mogła odpowiedzieć twierdząco.

– Usiądź, proszę. – Wiedźma wskazała jej krzesło. – Mamy do pogadania. Czas na moją historię.



Cleto rozlewała herbatę do filiżanek. March patrzyła, jak strumień naparu wiruje hipnotycznie, a w powietrzu unosi się pachnący dym. Przypominało to rytuał magiczny i może faktycznie nim było, silniejszym nawet niż wszystkie inne. Dziewczyna cierpliwie czekała, aż czarownica usiądzie obok niej i przemówi. Cleto nie trzymała jej długo w niepewności, choć również nieszczególnie się spieszyła. Może nie ograniczał ich tu żaden czas.

– Rodzina Mallowayów to jeden z najstarszych rodów wiedźm – zaczęła całkiem podobnie jak kilka miesięcy temu Ove, choć w jej tonie March nie dosłyszała ani krztyny przechwałek. – Nasi przodkowie na początku dziesiątego wieku pomogli poskromić wojownicze fery, właśnie tu, w Finfolk, gdzie rósł las Wyrd. On sam ma ciekawą historię. W dawnych czasach Aislingen znajdowało się w Puszczy Krzyków i to jej fragment Wyrd zabrała ze sobą, gdy odłączyła swoją krainę od Jaaru.

Inny fragment puszczy pozostał zaś w finfolkskim parku; fragment, w którym rosło drzewo zasadzone niegdyś przez samą władczynię. Stało się pomostem między Miastem Snów a światem ludzi.

March słuchała cierpliwie, nawet jeśli Cleto powtarzała rzeczy, o których już słyszała. Czarownica w pewien sposób poskramiała jej naturalną dociekliwość, dziewczyna nie miała ochoty przerywać jej i pytać o powody, dla których zaczyna tę opowieść od tak zamierzchłych czasów.

– Wszyscy wiedzieli, jaka jest Wyrd, woleli nie czekać, aż upomni się o swoją własność. Finfolk szybko zostało zamieszkane przez wiedźmy. Na początku fery próbowały z nami walczyć i przejąć miasteczko, które oczywiście stałoby się tylko bazą wypadową na resztę ludzkiego świata. Wszystkie znaczące ludzkie siły współpracowały, by pokonać Aislingen, w tym właśnie moi przodkowie. Udało im się, lecz Wyrd nie puściła tego płazem. Na każdego ze swoich wrogów rzuciła klątwę. Przez stulecia dotykała ona kolejnych potomków ludzi, którzy pokonali królową ferów. Wreszcie spadła również na mnie i moją siostrę, bo to my stałyśmy się spadkobierczyniami przekleństwa. Wiesz, co to oznacza?

– Spadkobierca...

– Przekleństwa. Klątwa ma zawsze dwa końce, podobnie zresztą jak kij, a chodzi o to samo. Rzucający ją na zawsze wiąże się ze spadkobiercą. Co zabawne, w prawie czarownic i magów nazywa się taką osobę klątwobiorcą.

Cleto omal nie parsknęła śmiechem, popijając herbatę.

– Och – westchnęła – długo marzyłam, by napić się właśnie takiej, ziemskiej.

Odstawiła filiżankę z błogim wyrazem twarzy.

– Na czym skończyłam? – spytała. – Ach tak, klątwa Wyrd dotknęła mnie i Irmę. A co to była za klątwa? Cóż, nie nazwałabym jej wymyślną, lecz jak na tamte czasy była

straszna. Wyrd rzuciła zaklęcie, które miało sprawić, że wśród potomków wiedźm, które powstrzymały ją przed objęciem władzy w tym świecie, pewnego dnia nastaną dwie siostry. Miały być obdarzone mocą, która pozwala „odkryć najwyższe arkanum z pomocą świętej liczby trzy”. Tak dokładnie brzmiały słowa królowej i chyba rozumiesz już, w czym tkwił podstęp?

– Siostry były dwie – odparła March. – To znaczy *wy* byłyście dwie, a do stworzenia kamienia potrzebna była trójka wiedźm. Mam rację? – dodała niepewnie.

– Masz, oczywiście. Wyrd w pewien sposób powierzyła nam wielki dar, lecz taki, którego nie mogliśmy w żaden sposób dostać. No i sprawiła też, że umrzemy bezpotomnie, tym samym kończąc ród Mallowayów. Jak już wspomniałam, klątwa związała królową z nami. Zwykle przekleństwo by tego nie zrobiło, ale Wyrd użyła magii krwi, a więc zgodziła się złożyć ofiarę, a wszechświat zawsze równa rachunki. Zapłaciła wiele lat później.

– Gdy pewnie już o tym nie pamiętała – stwierdziła March.

– Tak sądzisz? – spytała Cleto, patrząc na nią poważnie. – Mnie nie wydaje się, by Wyrd o czymkolwiek zapominała, choć mogę się mylić, nie przeczę. W każdym razie dla niej setki lat mijają szybko niczym letnie dni. Żyje w pewnej iluzji i choć twierdzi, że jest inaczej, nie ma nad tą iluzją pełnej kontroli. Wieczna młodość sama w sobie może stanowić przekleństwo...

Wiedźma zamyśliła się i dotknęła swoich srebrnych włosów w taki sposób, że March nie wiedziała, czy chciała je przygłodzić jakby w podzięce, że tam są – siwe i stare – czy może upewnić się, że naprawdę starość stanowi dla niej błogosławieństwo.

– Nie znam dokładnych słów wypowiedzianych przez królową, ale to nieważne, bo rozumiem ich sens – wróciła do opowiadania. – Wiedziała, że czas, w którym miała dopełnić

się klątwa, nadchodzi, i raz jeszcze postanowiła przejąć kontrolę nad Finfolk. Wtedy stworzyła bestię.

*Bestia...* Tutaj to słowo nie brzmiało równie złowieszczo co w świecie, z którego przybyła March. Tutaj stwór, który krył się pod tą nazwą, nie mógł jej zranić.

– Nie jest łatwo stworzyć jakąkolwiek istotę – ciągnęła Cleto.  
– Akty twórcze należą do duchów, do Niej Samej i tylko ona zna wszelkie niewypowiedziane tajemnice, a jedną z tych najświętszych jest umiejętność tchnienia życia w istoty czujące, napełniania ich duchem. Nikomu nie udaje się to tak jak Matce. Ale Wyrd nie musiała niczego tworzyć od podstaw, a duch już tu był. Bo widzisz, March, bestia z lasu istniała wcześniej.

March zmarszczyła czoło.

– Królowa nie szukała daleko, skorzystała z czegoś, co miała pod ręką. Być może wiesz, że wszystkie rzeczy, miejsca i istoty mają swoje duchy. Coś musi je przecież ożywiać, nadawać im cechy, które odróżniają je od wszystkiego innego. Finfolki las również ma swojego ducha, po części utworzonego jako dziecko większej istoty, ducha Puszczy Krzyków, a po części karmionego umysłami mieszkańców naszego miasteczka. Wyrd nie szukała zatem daleko, postanowiła nadać formę czemuś, co już istniało, w pewnym sensie obdarować ducha ciałem.

Cleto na moment urwała, jakby nie była pewna, czy jej rozmówczyni zdoła przetrwać naraz tak wiele informacji. Skupiony wzrok March był wystarczającą zachętą do kontynuowania.

– Duchy miejsc są neutralne. Ich główny cel stanowi zachowanie harmonii, a to nie zawsze wiąże się z rzeczami, które my uważamy za właściwe. Poza tym można nadawać im nowe *kształty*, oczywiście zwykle nie fizyczne, choć dobre medium z pewnością zauważy je w należyty sposób. Wyrd, jak

wiadomo, jest mistrzynią lepienia różnego rodzaju istot z ludzkich lęków. Wie, że strachem najłatwiej kogoś pokonać, wiedziała, czego boją się mieszkańcy Finfolek. Wyhodowała potwora z jaja, które napełniła własną mocą w świątyni Aislingen, a które następnie zaniosiła do Puszczy Krzyków, dokładnie do miejsca, w którym puszcza podzieliła się przed wiekami, tworząc finfolki las. Tam jajo napełniło się pierwotnym strachem i częścią ducha lasu.

March przypomniała sobie obrzydliwą postać potwora. Wzdrygnęła się, gdy i Cleto zaczęła go opisywać. Lecz nie mówiła tak jak Piątek, który skupił się na cechach fizycznych. Ona uchwyciła samo sedno jego istoty.

– Potwór stał się idealnym uosobieniem tego, czego bali się ludzie tamtych czasów, czaił się w ciemności, zabierał im to, co najcenniejsze: życie. Jego obecność napełniała powietrze podskórnym lękiem, tym, z którego doskonale zdajesz sobie sprawę, choć nigdy nie wiesz, skąd właściwie pochodzi. To ten lęk popycha ludzi do najgorszych czynów, sprawia, że przestają rozumieć samych siebie, zapominają, że prawdziwe demony pochodzą z naszego wnętrza. Wyrd w pewnym sensie pozwoliła im samym kształtować potwora. Nie mieli jednak pojęcia, że ten, kto kształtuje, ma kontrolę. A królowa nie wiedziała, że przez setki lat ktoś inny kształtował już bestię z lasu.

March raptownie wciągnęła powietrze. Nagle wszystko wydało się jasne, a przed oczami zamigotały jej fragmenty wizji z ferinią, a potem maski, które wypadły z szafy w pokoju Cleto.

– Zaraz! Chcesz powiedzieć, że to, co widziałam, było prawdą? I te maski w twoim pokoju... – Patrzyła na Cleto jak na uosobienie dobroci, ale lęk ponownie ją nawiedził. – Dlaczego czciłaś bestię?

Czarownica lekko się zaśmiała. Jej twarz nadal była spokojna, pełna niemal matczynej troski.

– Czciłam? Nie, więdźmy nie czczą duchów, raczej uważają je za równe sobie, a najwyższy z nich, Matka, nie potrzebuje wyznawców, istnieje bez nich, jest w nas wszystkich. Jeśli chodzi o inne duchy, jak bestię, ducha z lasu, nawiązuje się z nimi rodzaj kontaktu. Pamiętaj, że las został zraniony. Z jednej strony czarownice musiały go wycinać, z drugiej szanować. Trzeba było wynagrodzić jego duchowi to, co się działo, trzeba było zyskać jego przychylność. Las należał do aislingeńskich ferów, więc duch miał ich właściwości, a celem tutejszych więdźm było sprawienie, by je zmienił.

– Jak to zrobić?

– Więdźmy z Finfolk próbowały wpłynąć na ducha i przejąć kontrolę nad jego rozwojem tak, by nie zagrażał ludziom. To bardzo skomplikowana, stara magia, która przynosi efekty dopiero po wielu latach. I udała się. Sprawiała, że duch stał się opiekunem miasteczka. Dawniej ludzie widzieli w nim coś w rodzaju starej opatrznosci. Bali się go, to prawda, ale w sposób pełen czci. Widzieli, że nie zgubi ich ani nie zniszczy, jeśli będą żyć z nim w harmonii. Niestety z czasem sprawy przybrały inny obrót, postrzeganie bestii się zmieniło. Jej pazury przestały rozszarpać jedynie wrogów, a stały się brzytwami przynoszącymi śmierć każdemu, długi język nie chronił nas, ale zdaniem ludzi mógł truć. To sprawiło, że duch napełnił się strachem. I to właśnie wykorzystała Wyrd. Zaczęła się prawdziwa wojna.

– Wojna? – zdumiała się March. Nie przypominała sobie o żadnej walce między więdźmami a Wyrd tutaj, w Finfolk, a chyba by o niej słyszała.

– *Duchowa wojna* – odparła Cleto z lekkim uśmiechem, ale wcale nie żartując. – Finfolskie więdźmy, w tym moja rodzina, nadal kontaktowały się z duchem. Właśnie wtedy nazwaliśmy

się Kowenem Bestii, aby zbliżyć się do niej i wpłynąć na jej fizyczne ciało. W pewnym sensie zaistniały dwie odrębne istoty, sam duch i fizyczna powłoka, którą mógł wypełnić. Na mocy starej zasady, mówiącej, że podobne przyciąga podobne, Wyrd chciała ostatecznie stopić naszego ducha ze swoim wyobrażeniem, a ponieważ użyła własnego tajemnego imienia, było to tak, jakby walczyło z nami całe Aislingen. Nie poddawaliśmy się. Bestia z wyobrażeń Wyrd zaczęła żyć własnym życiem, niezależnie od *naszej* bestii.

– To dlatego widziałam je obie – szepnęła March. – Jedna bestia rodząca drugą, ale jakby... czująca strach przed tym, co się z niej wydobyło...

Cleto utkwiała wzrok w ciastkach, o których zarówno ona, jak i March zupełnie zapomniały.

– Musiałyśmy działać silniej – oznajmiła wiedźma z pewnym smutkiem. – Wyrd zaciągnęła dług, który musiała spłacić, i jedyne, co nam pozostało, to pomoc wyrównać rachunki. Byłam wieszczką. Odziedziczyłam ten talent po matce, Atropie. Gdy cielesna powłoka ducha zaczęła mordować, mieszkańcy zwrócili się do mojej rodziny o radę.

Zamilkła, a gdy dłużej się nie odzywała, March spytała:

– To ty byłaś tą dziewczyną, która wygłosiła przepowiednię?

Cleto powoli pokiwała głową.

– Tak. Właściwie zrobił to duch lasu moimi ustami. Czułam, że cierpi, bo był rozdarty, nie wiedząc, czemu służy. Ty chyba powinnaś zdawać sobie sprawę z tego, co znaczy być rozdartym?

March skinęła głową. Teraz rozumiała, dlaczego tak bardzo walczyła wewnątrz, gdy w wizjach stapiała się z bestią.

– Duch chciał dbać o równowagę, ale Wyrd omamiła go swymi czarami i przypomniała o krwiożerczej części natury. Ponieważ miał w sobie zwierzęcą moc wspartą imieniem

królowej, jedynym sposobem było zharmonizowanie jej przez tę samą moc, lecz bardziej *ludzką*.

Wiedźma się zawahała.

– Nie, nie *ludzką*, przepraszam. Mamy tendencję, by widzieć siebie jako lepszych, bardziej osobowych, lecz wiele istot jest nam podobnych lub nawet mądrzejszych od nas. Duch szukał równowagi w czymś *umysłowym*. Musiał wchłonąć silną magię, również związaną z Wyrd, by wina królowej została odkupiona.

– Magiczna dziewczyna – wyszeptała March. – Ferini...

Cleto sprawiała wrażenie, jakby zmagająca się z czymś niezwykle trudnym, jej twarz posmutniała.

– Myślisz, że to moja wina, że ferini zginęła? Cóż, ja też się o to obwinałam, choć nie miałam żadnej kontroli nad tym, w jaki sposób mieszkańcy Finfolk zinterpretowali moje słowa. Nie zrozumieli ich tak, jak należy. Trudno im się zresztą dziwić, skoro przesiąkli do cna historiami o *dziewicach składanych w ofierze monstrom*. – Zaśmiała się. – Cóż, czarownice nigdy nie były dobrze odbierane. Zawsze żyłyśmy na uboczu, nie tylko dlatego, że tego chciałyśmy, ale w pewnym sensie byłyśmy do tego zmuszone. Ludzie akceptują magię, czasem chętniej, czasem mniej, ale gdy im nie pomaga, gdy po prostu jest tym, czym jest, a więc mocą, którą nie zawsze da się kontrolować, wtedy wzbudza strach. Mało kto jest w stanie z nią obcować. Nazywano nas dziećmi nocy i tym właśnie jesteśmy, czyż nie? W końcu kryjemy się, czasem uciekamy, rzucamy czary o północy, gdy ludzie śpią, ale las... nie. Las wtedy nie śpi, magia nie śpi, to, co zamieszkuje nasze sny, nasz umysł, czasem nawet nasze lęki, budzi się nocą. I nie jest złe, choć bywa niebezpieczne, zupełnie jak bestia.

– Ja nie jestem dzieckiem nocy – powiedziała March z uporem, niczym małe dziecko, bardziej do siebie niż do



wiedźmy.

Cleto spojrzała na nią poważnie.

– Noc nie musi być czymś złym, March – zaznaczyła. – W dzieciństwie bałam się ciemności, bo przychodziły do mnie duchy. Szeptały różne rzeczy. Z czasem zaczęłam je rozumieć, stały się moimi przyjaciółmi. Wyobrażałam sobie, że nocą niebo zakrywa suknia samej Matki Duchów, ochrona najlepsza ze wszystkich. Wróćmy jednak do potwora. On nie chciał *zabijać* ferini i właściwie wcale tego nie zrobił. Raczej *wchłonął* ją w siebie, sprawiając, że jej duch na zawsze zasilił cały las i ostatecznie Finfolk.

– Ale oni zabili ferinię, widziałam, jak...

March urwała.

– Co właściwie widziałaś?

– No... sama nie wiem – odparła po chwili. – To było niezrozumiałe. Czarownice przebrane za zwierzęta przywiązały ferinię do kamiennego ołtarza... Kim były te wiedźmy? Myślałam, że to... hm...

Bała się to powiedzieć.

– Że to my, Irma i ja? – pomogła jej Cleto. W jej głosie nie było ani cienia żalu.

– Przez chwilę tak. Tyle że nie zgadzałyby się to z czasem...

– Wizje nie muszą zgadzać się z czasem. Być może widziałaś tam mnie i moją siostrę, być może widziałaś nawet siebie... Wizje, czasem pokręcone, kierują nas ku prawdzie czasem poplątanymi ścieżkami. W każdym razie w rzeczywistości to mieszkańcy Finfolk, przebrani za wiedźmy, złożyli ferinię w ofierze.

– Zostawili ją, a potem bestia przyszła i...

March wiedziała, że nigdy nie zapomni tego, co zobaczyła. Potwór zbliżył się do ferini, by ją pożreć, widziała ten okropny pysk i nagle...

– Błogość – szepnęła. – To dziwne, prawda? Nie wiem, co się stało z ferinią, obudziłam się, ale nie czułam jej strachu. W pewnym sensie... ona się rozplynęła, a bestia okazała się jakby... przyjacielem. To bez sensu, choć...

– Choć? – pomogła jej Cleto.

– Biorąc pod uwagę wszystko, co mi powiedziałaś, to ma sens. Bo bestia nie była zła, była częścią mieszkańców miasteczka, a więc również częścią mnie. I kiedy to zrozumiałam, kiedy ta ferini spotkała potwora, uświadomiła sobie... ja też sobie uświadomiłam... że ona i potwór są... jesteśmy jednością, że on jest mną i... – Mówiła coraz szybciej i szybciej, wreszcie zawołała, jakby odkryła coś najważniejszego w świecie: – Że mogę go kształtować!

Cleto klasnęła w dłonie.

– Och, a właśnie miałam ci o tym opowiedzieć! – zaśmiała się. – Wyręczyłaś mnie, wszystko już zrozumiałaś. Ferini była silnie związana z bestią, nie wiem, w jaki sposób, ale gdy ich duchy się połączyły, nastąpiła harmonia. Potem ciało potwora czekało uśpione, aż *ktoś* niechcący je obudzi.

– Ja... – March załamał się głos. Ciężar winy za wszystkie zabójstwa w Finfolk spadł na nią nieoczekiwanie.

Po raz pierwszy Cleto jej dotknęła. Przytuliła ją, wlewając w jej aurę całe swoje ciepło, fizyczne i duchowe.

– Nie wiem, kto faktycznie zabijał mieszkańców Finfolk, nie wiem, czy to już się skończyło, czy będzie trwać. Jeśli chodzi o mnie, to, łącząc te sprawy z bestią, powiedziałabym, że winna morderstwom jest ta część ludzi, której nie potrafią oni w odpowiednim momencie poskromić. Jeśli już musisz szukać jednego winnego, jest nim Wyrd, która napełniła bestię najgorszymi cechami wiele lat temu. Ty, March, poskromiłaś potwora. Jesteś wybawczynią, nie demonem. Wybawiłaś również mnie, stworzyłaś kryształ alchemików. Jesteś... och, March, jesteś wielka! I jesteś potrzebna, choćby

nieprzynależącym w Finfolk, którzy zapomnieli już, że muszą mieć swoją czarownicę.

March zdumiała jej słowa.

– Pomimo tego, co zrobili wam mieszkańcy miasteczka, nadal chcesz mieć z nimi coś wspólnego?

– Oczywiście, że tak – odparła z przekonaniem Cleto. – Nieprzynależący wciąż nas potrzebują. Świat musi mieć kogoś, kto zrozumie rzeczy, kto będzie umiał nazwać je po imieniu, tak jak to robią prawdziwe czarownice. Stajesz się wiedźmą nie dlatego, że umiesz trzymać athame, ale dlatego, że *wiesz* na sposoby, które innym są niedostępne, bo... cóż, bywają niebezpieczne. Pamiętaj też, że nie wolno nam się mścić, bo wtedy wpadamy w zły rodzaj kręgu, nie wynosimy żadnej lekcji z tego, w co rzuca nas świat, a tylko napędzamy kolejne straszne wydarzenia. Sprawiedliwość to nie zemsta. Wierzę, że jesteś dość mądra, by zrozumieć tę naukę. Wierzę, że ci się uda.

March nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo potrzebowała tych słów. Choć zawsze uważała przytulanie i wszystkie te gadki za tanie sentymenty, tym razem z radością wtuliła się w suknię Cleto, pachnącą lasem, tym wspaniałym, bezpiecznym lasem, w którym kryły się sekrety magii.

– Chcę, żebyś poznała resztę tej historii; żebyś wiedziała o nas wszystko, co będzie ci potrzebne – oznajmiła czarownica. – Ale o tym powinien opowiedzieć ci już ktoś inny.

Drzwi Domu Wiedźm znów się otworzyły i do środka weszła Irma.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Była piękna, na jawie o wiele bardziej niż w snach czy wizjach. Jej aura olśniła pomieszczenie, olśniła March.

– Cześć, spóźniłam się? – spytała Irma, wieszając płaszcz na krześle.

March rozejrzała się. Cleto znikła w tajemniczy sposób, dziewczyna była sama z młodszą siostrą.

– Na co? – spytała, raczej dość głupio.

– Żeby z tobą porozmawiać! – zawołała Irma, wybuchając śmiechem. – Biegłam tu tylko po to, żeby cię zobaczyć.

March wytrzeszczyła oczy. Irma miała się spieszyć na spotkanie z *nią*? Okay – pomyślała. *Miałaś się nie dziwić.*

– Skąd biegłaś? – spytała, zaczynając nienawidzić siebie za te idiotyczne pytania.

Irma machnęła ręką.

– Ach, to parę wymiarów stąd. Oczywiście wiesz, jak to działa?

Gdy March pokręciła głową, Irma przybrała nieco zawiedzioną minę.

– A więc ona o niczym ci nie powiedziała? Nie wiesz, jak działa kryształ?

– Na razie wiem tyle, że *działa*, skoro przeniósł mnie tutaj... gdziekolwiek jesteśmy, bo przecież tym razem to nie wizja ani nic w tym stylu, prawda?

Irma przygryzła wargę.

– No nie – odparła. – To coś innego, coś, co zdarza się niezwykle rzadko, ale... – Zmarszczyła czoło, jakby nasłuchiwała dźwięków, których March nie była w stanie

usłyszeć. – Dobrze – powiedziała do kogoś, z pewnością nie do dziewczyny. – Zrobi się.

Zamaszystym ruchem odsunęła krzesło.

– Wiem, na czym skończyła Cleto, więc nie muszę zaczynać od nowa. Nie lubię tego robić, bo podobno mówię dość chaotycznie. Jest sporo szczegółów, w które chciałabym cię wprowadzić. Wiesz, jestem z tych, co pamiętają nawet to, w co byli ubrani w poszczególne dni. Ale ubrania są ważne, prawda? Chyba polubiłaś moją szafę?

– No... – zaczęła March, nieco wytrącona z nastroju tym pytaniem. – Tak, polubiłam...

Wiedźma zastukała palcami o blat.

– Tut-tut – niemal zaśpiewała. – Dobrze... a więc bestia z lasu... tak...

Zamyśliła się, a gdy podjęła opowieść w momencie, w którym zakończyła ją Cleto, wzrok miała utkwiony w odległym punkcie, jakby nie widziała już swojej kuchni, ale wyłącznie sprawy, które rozegrały się w Finfolk wiele lat temu.

– Sama nie byłam świadkiem tamtych wydarzeń – zaczęła – bo jeszcze się nie urodziłam, ale nasz ojciec, Dante, kiedyś o wszystkim mi opowiedział. Zrobił to tylko raz i niedługo powiem ci dlaczego. Ale tak... po kolei. Wyrd była wściekła – powiedziała z wyraźną satysfakcją. – Zaprzepaszczono jej ostatnią szansę na przejście Finfolk. Nieświadomie nie tylko wzmocniła miasteczko ludzi, pieczętując je własną mocą, ale również na zawsze się z nim związała. To była jej pierwsza tak sromotna klęska od czasów, gdy nie udało jej się przekonać Ishtar, swojej siostry, do sprzeniewierzenia się duchom pragnącym, by fery zawiązały pakt z ludźmi.

– A więc to duchy...

– Tak – odrzekła Irma, jeszcze nim March skończyła pytanie.  
– Ale to dawne dzieje, niemające związku ze sprawą. Wyrd oczywiście zawsze chciała mścić się na ludziach za to, że

wykradali to, co jej zdaniem powinno należeć tylko do niej. A ludzie ją pokonali, i to nie raz. Cleto wspomniała ci o klątwie, którą zostałyśmy obłożone. Wszyscy wrogowie Wyrd już nie żyli, gdy przyszła kolej na moją rodzinę. Ale nasz ojciec...

Westchnęła, jakby wspomnienie ojca miało dla niej słodko-gorzki posmak.

– Nie był z niego najlepszy człowiek, ale jeśli można tak powiedzieć, był niezłym czarownikiem. Nie mógł nic poradzić na już wypełniającą się klątwę, ze wszystkich sił próbował jednak zapobiec kolejnej. Wyrd zemściła się raz za pokrzyżowanie planów i mogłaby zrobić to ponownie, tym razem uderzając w samą Cleto. Ojciec zdołał ukryć przed królową tożsamość dziewczyny, która wygłosiła przepowiednię, lecz z pewnym zastrzeżeniem. Nie mogłyśmy same podejmować walki z aislingeńskimi ferami ani w żaden sposób ich krzywdzić.

Irma się uśmiechnęła.

– Ale przecież to małe dupki, prawda? Bez obrazy – dodała szybko. – Twój ojciec był na pewno miły. W każdym razie większość z nich to wybryki Matki Natury, więc sama rozumiesz, że trudno opędzić się od pokusy, żeby im dokopać. W każdym razie mnie i Cleto długo udawało się, jak na dobre córki przystało, wypełniać wolę ojca. Zresztą nie miałyśmy z ferami szans, a życie było nam miłe, przynajmniej wtedy. Za to kiedy Cleto się zestarzała, przestało zależeć jej tak bardzo na przeżyciu, ale bardziej pragnęła zabezpieczyć wiedzę naszej rodziny, sama rozumiesz?

March pokiwała głową. Na tyle, na ile mogła, rozumiała.

– Wiesz, magiczne rody mają pewne tajemnice, którymi nie dzielą się z innymi, a gdybyśmy umarły bezpotomnie, jak tego chciała Wyrd, Mallowayowie już z nikim nie mogliby podzielić się swoją spuścizną. Jasne, część z niej można było przekazać

dalej, ale nie wszystko, bo istnieją sprawy, które przechodzą jedynie z rodzica na dziecko albo z nauczyciela na ucznia. Długo szukałyśmy sposobu na odwrócenie klątwy, tyle że z tak starymi przekleństwami, w dodatku rzuconymi przez samą królową ferów, właściwie nie da się walczyć, o ile nie dysponujesz mocą równą jej, a najlepiej jeszcze większą. My takiej mocy nie miałyśmy. Sądziłyśmy więc, że nic nie wskóramy. Nasze myślenie uległo zmianie, gdy pojawił się Ove.

Wyraźnie się rozmarzyła, wspominając o Piątku, zupełnie jakby ich miłość przez te lata nie wygasła. To było zarazem smutne i piękne. Łatwo było myśleć o tym jako czymś tragicznym, ale w tej opowieści wciąż kryło się piękno. W końcu gdyby Ove i Irma mogli spędzić ze sobą więcej czasu, być może przestaliby darzyć się uczuciem. Tak, na pewno by do tego doszło, March widziała zbyt wiele podobnych historii, by wierzyć, że mogło stać się inaczej. Rozłąka sprawiła, że zawsze mogli cofnąć się do przeszłości i pamiętać ją dokładnie tak, jak chcieli.

– Ach, ile wojen wybuchło w domu z naszego powodu! – Irma z rozbawieniem uderzyła ręką w stół. – Dasz wiarę, że nie tylko mój ojciec nie akceptował Ovego, ale Cleto miała podobne zdanie?

March tylko blado się uśmiechnęła – jasne, że dawała temu wiarę.

– Chodziło oczywiście o alchemię. Bo wiesz, czarownice niekoniecznie akceptują tę sztukę. Już po śmierci ojca Cleto ciągle mi powtarzała, że głównym celem Ovego jest wzbogacenie się. Nie, nie żeby mnie nie kochał. Wiedziała, że za mną szalał... Tak samo jak ja za nim! – W jej oczach rozblęskło światło. – Ale on zawsze był awanturnikiem, poszukiwaczem przygód. Zaraził mnie tym. Cleto tego nie pochwaliała, przynajmniej do czasu, aż sama odkryła, że alchemia może nam pomóc.



Znów na chwilę zamilkła.

– Wiesz, jak teraz o tym myślę, to sędzę, że był to pewien akt desperacji. Niewiele więcej mogłyśmy osiągnąć zwyczajniejszymi sposobami, a kryształ alchemików... Zresztą sama wiesz, w końcu go stworzyłaś.

– No właśnie. I to nie do końca rozumiem. Odkryłam, że miałam przeprowadzić ostatni proces, citrinitas, ale nie umiem jasno tego wytłumaczyć. Skojarzył mi się ze Słońcem, tak po prostu.

Irma żywo pokiwała głową.

– Tak po prostu, i słusznie, bo właśnie o to chodziło. O Słońce. Zaraz do tego przejdziemy. Pozwól mi kontynuować. Wiedźma chrząknęła.

– Och, jak dawno tego nie robiłam! – zawołała.

– Czego?

– No wiesz, nie kaszlałam, nie używałam gardła, ust... Niesamowite! Ale mniejsza z tym, przejdźmy dalej. Kiedy razem z Cleto postanowiłyśmy stworzyć xerion, wiedziałyśmy, że proces ten będzie wymagał wielu poświęceń.

– Dlaczego nie powiedziałyście o tym Piątko... to znaczy Ovemu?

– Odpowiedź jest prosta: nie mogłyśmy – oznajmiła Irma. – Nie, naprawdę *nie mogłyśmy* – dodała, jakby sądziła, że March jej nie wierzy. – Fizycznie. Bywają zaklęcia, które wiążą ludziom język, a my musiałyśmy same rzucić takie na siebie; sprawa miała pozostać tylko między nami i było to jedno z tych poświęceń, wyrzeczeń, o których mówiłam. Wcale zresztą nie największe. Miałam wyrzuty sumienia, rozmawiałyśmy o tym z Cleto, ale nic nie mogłam zrobić. A ona powtarzała, że musimy wybrać większe dobro, choć nie znosiła tego mówić. W każdym razie miała rację. Sprzedałyśmy dom w Hagsborough, który należał do mojego

ojca, i za pieniądze z niego kupiliśmy atanor. Mogliśmy zacząć magiczną pracę.

Odetchnęła głęboko i znów zaczęła patrzeć w niedostępny dla March punkt.

– Nie bez powodu jednym z imion kryształu alchemików jest Ognisty Feniks. Jak wiesz, to ptak, który ulega samospaleniu, po czym powstaje z własnych popiołów. *Opus Magnum*, Wielkie Dzieło, zaczyna się od podobnego procesu. Nazywamy go kalcynacją, zwęgleniem lub też nigredo, z łaciny *czernieniem*, gdy pierwotna substancja nabiera czarnego koloru. To boli.

Jakby na zaprzeczenie swoich słów, zaśmiała się.

– Naprawdę boli – dodała poważniej. – Okrutnie. Kryształ tworzymy ze zgliszczy czegoś, co uległo doszczętnemu zniszczeniu. My wybrałyśmy pozostałości bestii z lasu. Pomimo tego, że potwór wchłonął ferinię, co teoretycznie miało powstrzymać zapędy Wyrd, wspomnienie jego gorszej części czasem wracało i musiałyśmy przywrócić porządek. Unicestwiłyśmy go więc i wykorzystaliśmy popiół, by stworzyć xerion. To miało dużo sensu. Potwór dysponował mocą Wyrd, ale wiązał się też z czarownicami, nosił w sobie ducha lasu i miał związek z naszą przeklętą rodziną, bo w końcu to Cleto znalazła sposób, w jaki go poskromić. Być może ci mówiła, jak bardzo przez to cierpiała. Miała wyrzuty sumienia, sądziła, że... Och, spróbuj sobie wyobrazić, jak to jest czuć, że jest się winnym czyjejsi śmierci.

W brzuchu March naraz pojawił się nieznośny ciężar. Ona nie musiała sobie wyobrażać, jak to jest; ona wiedziała...

– Na tym właśnie polegała kalcynacja, na oczyszczeniu. Cleto musiała zmierzyć się z tym bólem, by ostatecznie się go pozbyć. I gdy jej się udało, przynajmniej na tyle, że nauczyła się nad nim panować, kamień zaczął nabierać kształtów. Nadeszła moja kolej, drugi proces. No i druga siostra.

– Każda z was musiała przeprowadzić jeden z procesów.

– Każda z *nas*, March.

– No tak, ja również. Choć nie bardzo wiem, co to znaczy, że jestem waszą siostrą. Cleto wspomniała o duchu i...

– Po kolei – przerwała Irma. – Duch przychodzi na końcu. Na razie jesteśmy przy drugim procesie. Wiesz pewnie, że nazywa się *albedo*, bielenie. Po kalcynacji pierwotna materia staje się czysta, nieskalana, doskonała na tyle, na ile cokolwiek może takie być na ziemskim planie. Ten stan ma również drugie znaczenie. Do idealnego *albedo* prowadzi bowiem harmonijne połączenie dwóch pierwiastków. Stara nauka magiczna głosi, że choć istnieje tak wiele rzeczy i istot, w Naturze można je podzielić na dwie przeciwstawne, ale jednocześnie uzupełniające się siły. Nazywano je różnie: światłem i ciemnością, czynnikiem aktywnym i pasywnym, a niektórzy, bardziej religijni, określali je Ojcem i Matką. Niezależnie od tego, jak na to patrzysz, możesz odnaleźć te harmonizujące się siły we wszystkim, choć nie zawsze będą do siebie idealnie pasować. Ja nazwałam je energią żeńską i męską.

– Zaraz – powstrzymała Irmę March. – Ty i Ove? – spytała. – O to chodzi?

Irma nieznacznie skinęła głową.

– Otóż to. Nasza relacja była oparta na głębokiej i prawdziwej miłości, no i tak się składało, że ja byłam kobietą, a on mężczyzną, choć odmienna płeć w harmonijnym związku nie jest wymogiem koniecznym... – Zamyśliła się. – W tamtych czasach miało się o tym nieco inne pojęcie, choć my, czarownice, zawsze byłyśmy postępowe... No, wracając do tematu, jeszcze wtedy nie wiedziałam, że mój związek z Ovem ma jakieś znaczenie dla Wielkiego Dzieła. Ale Społeczność wiedziała coś innego... i, krótko mówiąc, nie mieliśmy szans.

Zacisnęła wargi, jakby próbowała powstrzymać je od drżenia. W głowie March natychmiast zrodziły się dodatkowe pytania.

– Nie rozumiem – powiedziała powoli. – Jak to *Spółeczność* coś wiedziała? Chyba nikt się nie domyślał, że tworzycie kryształ?

– Chodziło nie o kryształ, ale rzeczy, które rozgrywały się na wyższych szczeblach, rzeczy, o których nie miałyśmy pojęcia. Jak sądzisz, March, czy wiedźmy chciały tak *naprawdę* walczyć z klątwą Wyrd? Oczywiście, że nie. Spółeczność pozwoliła się jej dopełniać, bo członkowie Rady Wiedźm dobrze wiedzieli, że w przeciwnym razie Aislingen się zemści. Nie wprost, ale pomagali klątwie się spełnić. Przekleństwo mówiło, że żadna z nas nie może mieć dzieci. Cleto zawsze pozostawała samotna, ale ja...

Urwała, najwyraźniej chcąc, by March sama dopowiedziała resztę.

– Dlatego zmienili Ovego w Piątka? – spytała zszokowana. – Żebyście nie mogli...

– Nie, nie. My rzeczywiście włamaliśmy się do tamtej świątyni, choć wiesz... nie miałam jeszcze trzydziestu lat! Powinno się wybaczać ludziom błędy młodości. Kto chociaż raz nie marzył o tym, żeby wykraść jakiś cenny zabytek z piramidy, antycznej budowli albo chociaż muzeum?

March nikogo takiego nie znała. Czasy chyba faktycznie się zmieniły.

– Ukarano nas za kradzież, zupełnie niesłusznie, bo nawet nie wynieśliśmy tej figurki poza świątynię. Zresztą i tak byśmy ją oddali. No, mniejsza z tym. Liczył się wyrok. Spółeczność bardzo rzadko skazuje kogoś na tak... umówmy się, dziwaczne kary. W tamtych czasach wymierzano niekiedy karę śmierci, ale zarówno w przypadku moim, jak i Piątka byłoby to głupie. Jeśli chodziło o mnie, to klątwa miała się dopełnić tylko wtedy, gdybym *umarła*, a nie została zabita. Gdyby z kolei zabili Ovego, cierpiałabym, ale być może znalazłabym sobie kogoś innego i zagrożenie by wróciło. Nie, nie mogli sobie na to

pozwolić. Sprytnie zmusili nas do życia razem, a jednocześnie osobno, jego zamieniając w kota, a mnie więżąc w domu. Ove dostał dziewięć żyć, przy czym przez pierwsze pięć musiał pozostawać pod naszą opieką.

Dotychczas March uważała karę Piątka za zdumiewającą, może dziwną. Teraz zrozumiała, jak była okrutna.

– Wiedzieli, że byłoby mi głupio umawiać się z kimś, mając pod nosem dawnego kochanka. Umarłam zatem bezpotomnie. Jak do tego doszło, chyba wiesz.

– Wiem – odrzekła cicho March.

– Och, spokojnie! – zaśmiała się Irma. – Mają tu, to znaczy tam, w świecie duchów, świetne sposoby, żeby zapomnieć o takich sprawach. Dawne dzieje! Nadmienię tylko, że winna wszystkiemu była Wyrd. Gdy zaczęłyśmy pracować nad xerionem, dowiedziała się, że to Cleto wygłosiła przepowiednię, po której zginęła... czy raczej rozplynęła się, ferini. Tamto dziecko, o którego śmierć nas obwiniono, umarło przez nią.

– Ona je zabiła? – March nie wiedziała, dlaczego tak trudno jej w to uwierzyć. Powinna chyba spodziewać się po królowej ferów wszystkiego.

– Tak. Ale to również minęło, March. Nie myśl zbyt wiele o tych, którzy już nie żyją.

Twarz Isel mimowolnie pojawiła się w myślach dziewczyny.

– Wiem. Rozumiem – powiedziała Irma w taki sposób, że faktycznie można było jej uwierzyć. – Płacz jest potrzebny, rozpacz nie. Wasz świat nie jest idealny, ludzie często opuszczają go, czując się niekochani, niechciani. Ale jeśli martwią cię wszystkie nieopłakiwane dusze, pamiętaj, że w moim świecie jest mnóstwo rąk, które mogą je przytulić. A poza tym to wszystko jest o wiele mniej ważne, niż się wydaje, i o wiele ważniejsze na sposoby, które wam wydają się nieważne. I oczywiście w tej chwili tego nie zrozumiesz, zwłaszcza biorąc pod uwagę moją zawiłą gadkę.

Znów się roześmiała.

– Dalej – zarządziła. – Miałam ci wytłumaczyć, co działo się później. Cleto myślała, że to koniec Wielkiego Dzieła; ona również umarła, pewna, że straciłyśmy także Callena, który miał zostać naszym spadkobiercą. Nikt nie mógł dokończyć za nas tworzenia kamienia, zwłaszcza że nikt o nim nie wiedział. Sprawa miała przecież należeć do sióstr Malloway, tak przynajmniej wtedy sądziłyśmy. Tyle że nie miałyśmy racji, czego dowiodłaś ty.

Wiedźma skierowała w stronę March palec i lekko, radośnie ją dźgnęła.

– Połączyłaś się z nami duchem już wtedy, w Aislingen, gdy ukazałam ci się we śnie.

– Co? – zdumiała się March. – To wydarzyło się naprawdę, nie było tylko zwykłą wizją?

– *Zwykłą wizją?* A widziałaś kiedyś coś takiego? Wizje z reguły są niezwykle. Nie przeniosłam się wtedy tak samo jak teraz, nie przywrócono mi ciała, bo do tego zdolny był tylko xerion, jednak mój umysł może wędrować ze świata duchów w inne wymiary. Właśnie taką wędrówkę odbyłam, odwiedzając twoją wizję.

– Pomogłaś mi! Bez ciebie nigdy bym nie wygrała z zaklęciem ferów.

– Drobnostka! – Irma machnęła ręką. – Już wtedy zrozumiałam, że nikt tak jak ty nie nada się do stworzenia kamienia. Bo właśnie o to chodzi, to jedno słowo, które już kilka razy powtórzyłam: *duch*. I Cleto również ci to powiedziała: połączyłyśmy się za pomocą ducha. Ty z Callenem, a on był już złączony z nami. Trzeci z alchemicznych procesów na tym polega, *citrinitas* to stan, w którym boskie światło zstępuje na ziemię, a do pierwotnej materii zostaje wezwany duch. Akt twórczy dobiega końca. Gotowy kryształ ma moce najwyższych istot. Dzięki niemu

możesz tworzyć i zmieniać, panować nad materią, możesz przyzywać przyszłość i kontaktować się ze zmarłymi tak, jak teraz robisz to ze mną. Możesz sprawić, że „to, co na dole”, stanie się jak „to, co na górze”, a „wszystko po to, by spełnić niezwykłość tylko jednej rzeczy”. W tym wypadku tą rzeczą jest kamień, a właściwie zawarta w nim moc Matki Duchów.

– Więc tylko moc kamienia mogła sprawić, że pojawiłyście się tu w ciałach? Albo że to ja przeniosłam się w czasie? Wybacz, nie jestem pewna, jak to wszystko jest możliwe... Bo to chyba nie *zwykła* magia.

Głęboko w środku czuła, że rzeczywiście nie były to czary, jakich mogliby nauczyć ją ludzie.

– Moc Jej Samej, którą ma również xerion – wyjaśniła Irma.  
– Nie przeniosłaś się w czasie ani my nie odwiedziłyśmy twojego czasu. Siła zawarta w kryształach, napędzona twoim pragnieniem, a może bardziej twoją potrzebą, stworzyła pewną wyrwę w czasie i przestrzeni, wyrwę, w której mogą dziać się wszelkie cudowności... Lecz nie mogą trwać, niestety.

Nagle March przyszło do głowy coś, o co bała się zapytać wprost.

– Czy gdybym... – zaczęła, a przed oczami znów stanęła jej Isel. – Czy to znaczy, że mogę przyzywać ducha jakiegokolwiek... to znaczy... to, czego pragnę...

Mina, jaką przybrała Irma, sprawiła, że March natychmiast zamilkła. Czarownica wprawdzie nie zdradziła gniewu – była od tego daleka – ale dziewczyna i tak poczuła się zawstydzona. Było w spojrzeniu Irmy coś, co sprawiło, że od razu zrozumiała odpowiedź.

– To, czego pragniesz? – spytała. – Możesz to osiągnąć, ale czy to będzie tym, czego potrzebujesz? – Urwała na chwilę, dając jej czas na zastanowienie się, choć najwyraźniej wcale nie oczekiwała odpowiedzi. – Wiesz, powinnam teraz wygłosić sporo mądrości, ale nie jestem w tym najlepsza. Niemniej

spróbuję, w końcu edukacja młodej wiedźmy zawsze warta jest wysiłku, prawda?

Puściła do niej oko, po czym ciągnęła:

– Jeśli miałam cię czegoś nauczyć, mówiąc ci o dwóch Ja, to tego, że w pewnym sensie jest w nas konflikt, w każdym z nas, między tym, co niektórzy nazywają wyższą Jaźnią, a ego. To drugie *myśli*, że jest tobą, całą tobą, i że każde jego pragnienie jest dobre i musi zostać spełnione. To pierwsze odzywa się rzadko, tylko wtedy gdy dopuścisz je do głosu. Ale właśnie ono *wie*.

March kiwnęła głową, choć w duchu zastanawiała się, czy naprawdę to rozumie, czy może dopiero zacznie rozumieć wtedy, gdy zajdzie taka potrzeba.

– Nie przyszłam tu dlatego – dodała Irma – że było mi to potrzebne, ani kryształ nie zadziałał dlatego, by pomóc tylko tobie. On, ja i ty wypełniliśmy część większego planu, planu naszych prawdziwych Ja, które nieczęsto nazywamy tym, czym one są: nami samymi, najprawdziwszymi i nieśmiertelnymi częściami nas. Wiesz, dlaczego Ona Sama jest tak potężna?

Jeszcze wczoraj March miałyby na to kilka odpowiedzi. Kiedy jednak patrzyła w głębokie oczy Irmy, znajdowała tylko jedną. Bezużyteczną i głupią.

– Bo jest tym, kim jest? – spytała, czując się coraz żałośniej.

Irma zawahała się, nim odparła:

– Właśnie tak. I dlatego, że wie, kim jest.

Westchnęła, znów badając twarz dziewczyny tak, jakby mogła przez nią sięgnąć po jej duszę.

– Wiem, że chcesz się skontaktować ze swoją przyjaciółką, wiem – oznajmiła z troską, z wyraźnym wręcz bólem. – Ale czy jest to komuś potrzebne, komuś innemu oprócz ciebie? Nie kontaktuj się z nią. Tylko *ty* chcesz się z nią porozumieć, ale



nie twoje prawdziwe Ja, bo ono wie, że rzeczy są takie, jakie są, że nie da się ich zmienić i trzeba się z nimi pogodzić.

Westchnęła, zapewne doskonale rozumiejąc wyraz twarzy March. Dziewczyna poczuła ukłucie bólu, wiedziała, że nieraz jeszcze go poczuje. A jednocześnie tutaj była ponad nim, była wolna od wszystkiego.

– Nie powiem ci tego, co wielu ludzi chce usłyszeć – powiedziała Irma. – Zdradzę za to coś, co jest prawdą: nie jesteśmy wyjątkowi, w większości spraw jesteśmy wszyscy tacy sami i tak samo musimy się mierzyć z podobnymi rzeczami. Czy gdyby tobie wolno było skontaktować się ze zmarłą przyjaciółką, byłoby to... *sprawiedliwe*? Dlatego, że masz kryształ, dlatego, że znasz magię? Najwyższą magią jest radzenie sobie bez magii, March.

Nie odpowiedziała. Gdyby usłyszała te słowa od kogokolwiek innego, byłaby rozgoryczona, nawet wściekła, kłóciłaby się, ale teraz, tutaj... Była rozgoryczona... tak, ale nie wściekła. Przyjęła tę naukę. Irma miała rację.

– Dlaczego ja? – spytała nagle March.

– Nie wiem – odparła wiedźma, doskonale rozumiejąc, o co naprawdę chodzi w tym pytaniu. – Widocznie byłaś najlepsza. Odkryłaś, czym jest „złoto, które lśni”. W kamieniu filozoficznym od samego początku nie chodziło bowiem o zamianę ołowiu w złoto, przynajmniej nie w tym sensie, o jakim myśli większość ludzi. Raczej o zamianę ołowiu ludzkiej natury w złoto nieśmiertelnej duszy. Zaklęcie, które rzuciliście wraz z Callenem, miało również formę przepowiedni. Wyruszyłaś w drogę, otworzyłaś wiele drzwi, znalazłaś złoto...

– I teraz muszę „pójść z powrotem” – dokończyła March słowami przepowiedni.

– Zgadza się. Ale nim pójdziesz... Chwilę. – Znowu sprawiała wrażenie, jakby nasłuchiwała głosu, który dla March

pozostawał niesłyszalny. – Cleto mówi, a ja się pod tym podpisuję, żebyś zajęła się Callenem. On twierdzi, że sobie poradzi, ale to nonsens. Jesteś mu potrzebna. Nie zapomnij, dobrze?

Irma posłała jej spojrzenie lśniących oczu.

Jak mogłaby zapomnieć? To, co się tu działo, było jednocześnie najdziwniejszym i najwspanialszym doświadczeniem w jej życiu. Bała się tylko, że gdy wreszcie wizja się rozmyje – bo mimo wszystko to musiała być jakaś forma wizji – uporczywy rozsądek sprawi, że to, co tu usłyszała, zblednie wraz z twarzami sióstr Malloway.

– Dobrze – odparła jednak.

– Świetnie. Zatem pora wracać. Zapewne skoro stworzyłaś kryształ, wiesz, co dalej robić?

Irma zaśmiała się jeszcze raz, już ostatni. March chciała odpowiedzieć, że wcale nie, że nie ma pojęcia, co dalej, gdy zniecka magiczną przestrzeń rozerwał wstrząs; zaczęła rozpadać się na kawałki, kruszyć, jakby nawiedziło ją potężne trzęsienie ziemi. March usłyszała szum w uszach i upadła, na powrót znalazła się w kuchni Domu Czarownic, w miejscu i czasie, które opuściła. I ktoś ciągnął ją za ramię.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

– March, słyszysz?! March?

Spojrzała na spanikowaną twarz Hypnosa. Otrzeźwienie przyszło samo. Przeniesiona w czasie i miejscu March jakoś mocniej czuła podłogę pod stopami, wyraźniej widziała kuchnię. I wszystko mówiło jej, że coś się stało. Coś, co nie miało związku z nią.

– O co chodzi? – spytała ostro. Sytuacja zupełnie się zmieniła, ale ona zorientowała się w niej tak szybko, jak gdyby stworzenie kamienia tchnęło w nią jakąś nową moc. Samego kamienia nie miała już w dłoniach, kuchnia wyglądała zwyczajnie, po tęczowym blasku nie pozostał ani ślad. Dom Wiedźm trwał jednak w dziwnym napięciu, każda jego cząstka zdawała się czegoś nasłuchiwać, gotowa do walki.

– Mamy kłopoty – oznajmił cicho Hypnos.

– Oni tu są? – To była pierwsza myśl March. – Fery?

– Nie, ale jest... źle.

– March – dobiegł ją szept Piątka. – Podejdź do okna, tylko powoli.

Odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos. Kot i Callen czaili się tuż przy firanice. March, mając wrażenie, że strach, który nagle opanował dom, wcale jej nie dotyka, ale bardziej przesuwa się obok, powoli ruszyła w stronę okna. Z każdym krokiem spływał z niej niezwykły czar tego, co przed chwilą widziała, jak gdyby jej zmysły przygotowywały ją na nową sytuację. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości od szyby. Znieruchomiła.

Ktoś stał przy płocie, kilka osób w czarnych uniformach, dwie kobiety i mężczyzna.

March czuła, jak z każdą chwilą przyspiesza jej puls.

– Czego oni...?

– To Społeczność – przerwał jej Callen, blady jak nigdy.

– Wyglądają jak policjanci – Mimo że serce March biło teraz jak szalone, ona zachowywała dziwny spokój. Może sam fakt dotknięcia kryształu napełnił ją przekonaniem, że nic nie może się stać. Sama tego nie wiedziała.

– To funkcjonariusze Społeczności – warknął Piątek. – Święta Matko, aresztują nas, masz to jak amen w pacie... zaklęciu.

– Mówiłem, że za wami węszą – powiedział Hypnos. – Musicie uciekać.

Jedna z kobiet wciąż naciskała klamkę w bramie, ale magia ochronna nie pozwalała jej dostać się do środka. Wreszcie cała trójka uniosła dłonie, w których trzymała athame, i zaczęła ciskać w płot zaklęciami. Funkcjonariusze coś mówili, ale March nie słyszała z tego ani słowa.

– Dobra, jaka jest szansa, że uda nam się zwiać? – spytała Hypnosa.

– Mogę was przenieść. I tylko ja mogę to zrobić.

– Dlaczego tylko ty? – March zdała sobie sprawę, jak mało mu ufa, mniej nawet, niż sądziła.

– Bo założę się, że na was wszystkich rzucono czary blokujące. A na mnie nie mogli. I tak nie wiedzieli, że tu mieszkam.

Płot zaczął trzeszczeć. Energia płynąca z athame funkcjonariuszy, choć niewidzialna, przybierała na sile.

– Ale siostry Malloway... – zaczęła March.

– Nie łudź się – przerwał jej Piątek. – Ich magia była silna, ale nie wytrzyma w starciu ze Społecznością. Zresztą jak zaraz im nie otworzymy, to wezwą posiłki.

– Nie będziemy otwierać – zarządził Callen. – Nie ma mowy.  
March spojrzała na Hypnosa, bijąc się z myślami.

– Przenieś nas – powiedziała wreszcie. Dźwięki z zewnątrz stawały się coraz głośniejsze. Była pewna, że jeszcze chwila, a płot rozerwie się na strzępy.

Fer już wyciągał ku niej rękę, a ona wyciągnęła własną w stronę Piątka i Callena. Ale żaden z nich do niej nie podszedł. Spojrzeli na siebie nawzajem, być może nawet porozumieli się w myślach.

– Co wy...?!

– Nie możemy iść, March – oświadczył chłopak. – Nie możemy.

– Dom Wiedźm jest dla nas zbyt ważny – dodał Piątek. – Nie wolno nam stąd odejść, jeśli oni mogą się tu dostać. Mamy zbyt dużo rzeczy po Irmie i Cleto i nie pozwolimy, żeby wpadły im w łapy.

– No i nie ma szans, żeby udało nam się je wszystkie teraz zebrać – dokończył Callen, po czym od razu odwrócił twarz, jakby bał się spojrzenia March.

A ona dopiero wtedy poczuła lęk, który wypełniał Dom Wiedźm. Strach wszedł w nią wraz ze wspomnieniami. Przeszłość i terażniejszość zlały się ze sobą. Choć całkiem przytomna, dziewczyna wyraźnie słyszała głosy.

– *Niech ich szlag! Musicie uciekać!*

– *C-co? Przecież...*

Trzask rozbitej szyby. March nie wiedziała, czy słyszy go teraz, czy tylko przypomina sobie ten z wizji.

– *Już! Uciekajcie! Sprowadźcie kogoś szybciej, nie wiem, skopcie tyłek przewodniczącemu Rady, ale nie możemy tu wszyscy zginąć.*

*Nie możemy tu wszyscy zginąć.*

*Nie możemy tu wszyscy zginąć.*

Boleśnie i okrutnie słowa te odbijały się echem od ścian Domu Czarownic. Nie, nie mogli zginąć. Historia nie mogła się powtórzyć. A jednak powtarzała się.

– Uciekaj, March! – zawołał Piątek. – Ty możesz uciec! Jesteś bardziej potrzebna niż my!

– Nie mogę – chciała krzyknąć, ale głos wiązał jej w gardle. – Nie zostawię was.

– Bez przesady, przecież nie zginiemy – prychnął Callen. – Co najwyżej nas aresztują.

– Nie ma mowy. Nie...

March poczuła dotyk Hypnosa. Delikatnie musnął jej palec.

– Nie panikuj – poprosił. – To dobre rozwiązanie. Jakoś się z tego...

Jego ostatnie słowo zagłuszył huk. Furtka Domu Wiedźm, wyrwana z zawiasów, uderzyła o chodnik.

– *Dobrze. Idziemy.* – Głos Cleto rozbrzmiał tak wyraźnie. Zbyt wyraźnie. Do oczu March cisnęły się łzy. Miała wrażenie, że wiedźma mówi do niej, że każe jej podjąć decyzję. Dlaczego tak bardzo się jej bała? Przecież naprawdę nic nie mogło się stać. Ale to wszystko przypominało jej wydarzenia sprzed lat.

– *Co ty mówisz?! Przecież nie...*

Piątek głośno miauknął.

– *Wrócimy!*

*Wrócimy!*

*Wrócimy!*

Miała poczucie, że ich zostawia, że zawiodła. Callen był zdeterminowany, zaciskał usta, gotów. Teraz funkcjonariusze uderzali zaklęciami w drzwi. Kiedy je otworzą...

– *Dobrze. Idziemy... Wrócimy!*

March porwała gwałtownie dłoń Hypnosa.

– *Wróć!* – krzyknęła, gdy drzwi domu sióstr Malloway jęczały pod naporem zaklęć. – *Już, dalej!* – rozkazała ferowi.

Podłoga zatrzęsała się, gdy drzwi pękły. A całe ciało March drżało jeszcze przez kilka chwil, gdy wraz z Hypnosem przemierzała dystans, którego się nie spodziewała. Nie miała szansy, by go zapytać, dokąd ją przeniesie. Nie miała pojęcia, co chciał zrobić. Na tę chwilę musiała całkiem mu zawierzyć, a to wypełniło jej duszę strachem i poczuciem bezbronności. Trzymając się jego dłoni, trzymała się też słabej ufności, że zabierze ją w bezpieczne miejsce.

A potem owionęła ją ta aura. Ta, której nie umiałaby pomylić z żadną inną. Piękna woń. Dusząca woń. Woń, która mamiła i która wywoływała odruch wymiotny.

Aislingen.

I to nie była po prostu woń Miasta Snów. To było coś głębszego, to był zapach płynący z samego wnętrza tej krainy, z serca tej, która go wytwarzała.

– Mój ferze, moje kochane dziecko – przemówiła śpiewnie Wyrd. – Wiem, że go czujesz. Stało się coś, co dało ci tę zdolność. I teraz on zawsze cię odnajdzie, podobnie jak ja.





## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Drzwi pękły na dwoje. Jedna połowa z trzaskiem uderzyła o ścianę, druga opadła na podłogę. Callen odruchowo zasłonił Piątka, ale kot wyrwał się z jego rąk, raniąc je, i z gwałtownością dzikiego zwierzęcia, sycząc, stanął między chłopakiem a przybyszami. Wiedźma, która znajdowała się pośrodku, wymierzyła w niego athame.

– Pan Ove Heksenson, jak mniemam? – spytała. – Bez obaw, nie mamy zamiaru nikogo atakować.

Zdezorientowany Piątek spojrzał na Callena. Chłopak odwzajemnił jego zdumienie uniesieniem brwi.

– Dorcas Cloyce – przedstawiła się wiedźma, po czym wskazała kolejno swoich towarzyszy. – Anthonea Perkins i Tony Hatcher. Pracujemy dla Społeczności, wydział do spraw trudnych i przykrych. Musieliśmy użyć *mnóstwa* magii, by się do was dostać, zatem nie ukrywam, że teraz wolelibyśmy obejść się bez niej.

– Oczywiście możecie się nam stawiać, ale chyba zdajecie sobie sprawę, że to na nic – dodała druga czarownica.

Cloyce omiotła ją spojrzeniem.

– Hamuj się, Perkins. Przypominam ci, że jesteś na okresie próbnym.

Tamta mruknęła coś w odpowiedzi, po czym cała trójka ściągnęła kaptury. Widząc ich twarze, Callen przestał się obawiać. Jedynie Perkins miała surową, zaciętą minę. Pozostała dwójka wyglądała na wyraźnie zmęczoną.

– Pan Emerald Callen Isinbir Malloway? – spytała głównodowodząca, przyglądając się wciąż leżącemu na ziemi

chłopakowi.

– Uhm... tak – odparł powoli. Zaskoczyła go mnogością imion, jakich wobec niego użyła. Dlaczego nazwała go Emeraldem? Przecież ludzie ze Społeczności mieli nie używać tego imienia. Stanowiło po części źródło jego mocy.

Funkcjonariusz podszedł do niego i podał mu rękę. Callen obrzucił ją nieufnym spojrzeniem. Sam podniósł się z podłogi.

– Niczego wam nie zrobimy – oznajmiła kobieta.

– Chyba że nas zmusicie – wtrąciła szybko Perkins, na co przełożona gwałtownie odwróciła się w jej stronę.

– Chcesz wylecieć czy jak?

Perkins zamilkła. Piątek badał całą trójkę uważnym wzrokiem. Nadal sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł zaatakować.

– Czego od nas chcecie? – warknął. – Jeśli zamierzacie nałożyć na nas jakieś zaklęcia, śmiało. Jasne, *my* jesteśmy wszystkiemu winni, nie te przeklęte fery. Chcecie zmienić nas w psy czy co tam jeszcze, raz-dwa, i tak mam to gdzieś!

Ale Callen wiedział, że nie takie mieli zamiary. I właśnie to sprawiało, że z każdą chwilą czuł się coraz bardziej odrealniony.

– Nie – westchnęła Cloyce, siadając na kanapie. – Nikogo nie będziemy w nic zamieniać. Mamy nakaz, owszem, ale nie, by was aresztować, tylko... Hatcher, jak to szło?

– Żeby rzeczowo porozmawiać i zwerbować do wspólnej misji – wyrecytował funkcjonariusz, prawie stając na baczność.

– Co? – prychnął Callen.

– To, co słyszałeś, chłop... To znaczy, to, co pan słyszał, panie Malloway – odparła Cloyce. – Ale nim do tego przejdziemy, to, jeśli łaska, napiłabym się herbaty.



March z trudem opanowywała odruch wymiotny. Wpatrywała się w podłogę pałacu Wyrd, na której połyskiwały zgromadzone przez wieki klejnoty i dary dla Miasta Snów. Wiedziała, o czym mówiła królowa. Poczowała jej zapach, ten, który przyciągał aislingeńskie fery. Jej ludzka natura buntowała się przeciw niemu, za to ferza sprawiała, że pod dziewczyną nogi same ugiwały się do pokłonu. Uniosła nienawistne spojrzenie na Hypnosa. Ogarnął ją do niego jeszcze większy wstręt niż do woni Wyrd. Fer opuścił wzrok.

– Odejdź, synu – rozkazała mu królowa. – Spisałeś się lepiej, niż się tego spodziewałam.

Hypnos posłusznie skinął głową i rozplynął się w powietrzu, nim trafiła go zaciśnięta w pięść dłoń March, którą dziewczyna błędziła jeszcze przez kilka chwil, aż powstrzymała ją władczyni. Gdy Wyrd chwyciła jej przegub, March przeszła najwspanialsza słodycz, na którą jej żołądek paradoksalnie zareagował przewrotem. Chciała coś powiedzieć, tak wiele słów cisnęło się jej na usta, ale najpierw musiała się opanować. Zapach był toksyczny, całkiem ją zamroczył.

– Ty... ty... – wysapała, słaniając się na nogach.

Spojrzała na Wyrd.

Jej czarna suknia wyglądała na tak delikatną, jakby utkano ją z samego nocnego nieba, a powtykane w materiał brylanty lśniły niczym gwiazdy. Włosy Wyrd zdawały się falować, oczy wpatrywały się w dziewczynę przenikliwie, z wyższością. March zdała sobie sprawę, że zawsze zazdrościła królowej jej piękna, a teraz to uczucie tylko się pogłębiło, wzmocnione dziwnym pożądaniem. Chciała rzucić się na Wyrd i wchłonąć ją w siebie. Być może w sercu każdego fery istniało pragnienie, by to zrobić.

– To żadna niespodzianka, prawda? – Dźwięczny głos władczyni przerwał ciszę. – To, że znów się spotykamy. Było

tylko kwestią czasu, aż znów cię do siebie wezwę.

Pogładziła jej policzek z czułością. Ale za delikatnymi ruchami Wyrd czaił się gniew, gniew, który zawsze jej towarzyszył, a który brał się z czegoś, czego March do końca nie rozumiała.

– Spodziewałam się, że będziesz wiedzieć lepiej, Sky. Poznałaś nas, spędziłaś trochę czasu w moim królestwie, a jednak nadal darzysz nas zaufaniem, którego przecież nie możemy ci dać. Niejako jesteśmy skazani na... *niechęć* do waszego gatunku, a jednak ty uwierzyłaś mojemu synowi. Wiara, nadzieja... to tylko część z ludzkich słabości, na które nie ma miejsca w prawdziwej magii. Wiesz, dlaczego cię wezwałam?

March zrobiła głębszy wdech. Zapach wypełnił każdą cząstkę jej ciała, a potem, stopniowo, gdy instynktownie przestała z nim walczyć, zaczął słabnąć, choć czuła, że się w niej zagnieżdża, że odtąd już zawsze będzie obecny.

– Chcesz... mnie... zniszczyć – cedziła każde słowo.

– Zgadza się – przyznała Wyrd. – Zaszłaś zbyt daleko, March Sky. Nie podoba mi się, gdy coś takiego wchodzi na moje terytorium. Poza tym to sprawa osobista. Widzisz, trudno mi znieść, że jestem matką ciebie i podobnych tobie istot. Nie myśl, że nie kocham obecnego w tobie fera. Po prostu za bardzo nienawidzę człowieka. Jestem... rozumiesz... połączona z każdym, w którego żyłach płynie choćby kropla mojej krwi, i nie ukrywam, że świadomość połączenia z tobą napawa mnie obrzydzeniem.

To zabolalo, choć wcale nie powinno. Przecież Wyrd była dla March nikim. A mimo to jej słowa trafiły w to miejsce, które przed momentem napełniło się zapachem królowej, i zatoneły w nim jak w świeżej ranie. Obok tej rany zaczęły krwawić kolejne. *Zostawiłam Callena, zostawiłam Piątka, zaufałam*

*Hypnosowi*. Na myśl o ferze zacisnęła zęby. Żałowała, że nie zabiła go, gdy pojawił się w Domu Wiedźm.

– W gruncie rzeczy – powiedziała, patrząc wprost na Wyrd – jesteś słaba.

Ledwo to powiedziała, część jej własnej siły wróciła do niej.

– Słaba – powtórzyła, czując kolejny przyływ mocy. – Ale są rzeczy, o których nigdy się nie dowiesz.

Najpierw usta Wyrd ułożyły się w kpiący wyraz, lecz gdy królowa zdała sobie sprawę, że March nie żartuje, jej mina zrzędła.

– Chyba nie chcesz uczyć mnie magii? Co *ty* mogłabyś wiedzieć o rzeczach tajemnych?

– Być może ja nie, ale moje *siostry* wiedziały całkiem sporo. I nauczyły mnie tego.

– Siostry? – March poczuła, jak Wyrd zakrada się do jej umysłu. Próbowwała ją zablokować, jednak królowa i tak zbadała minioną wizję. – Ach, tak, czarownice są śmieszne – uznała, choć wcale nie wyglądała na rozbawioną. – Naprawdę wierzycie w to, że duchy to coś romantycznego, inny, wspinały wymiar. Czy wiesz o tym, że najgorsza istota, jaka plugawiła tę ziemię, również należy do rasy duchów, i to najwyższych? Czy wiesz, co uczyniła z Jaarem całkiem niedawno, jak sponiewierała ten wasz święty świat? Wreszcie powinnaś wiedzieć, że i ja jestem jedną z potężnych istot. Istniałam na długo przed tobą, na długo przed twoim światem, i będę istnieć, gdy już zostanie starty w proch.

Wyrd cofnęła się, na jej twarz wystąpiła wściekłość, ukazując jej prawdziwą naturę. Oczy władczyni zwięziły się w szale, prychnęła jak dzikie zwierzę. Atmosferę w całym pałacu wypełnił lęk i nawet na jasnioletowym niebie Aislingen, którego skrawek March widziała w oknach, zgromadziły się burzowe chmury.

– Cleto Malloway być może wiele ci opowiedziała. – Głos władczyni stał się gardłowy. – Nie powiedziała jednak, kogo faktycznie zabiła. Moją rodzoną córkę.

Gdy padły te słowa, March miała wrażenie, że przez podłogę przetoczyło się coś ciężkiego.

– C-co?

– Dobrze usłyszałaś. Ferini, którą złożono w ofierze, była następczynią tronu. Chciałam odejść, a ta przeklęta wiedźma skazała mnie na kolejne tysiące lat życia, aż trafi się ktoś godny, by mnie zastąpić. Poniesiesz za to karę, ty i wszyscy, których znasz! Nie przeżyje nikt, kogo kochała ta starucha!

March, wciąż porażona tą wiadomością, otrząsnęła się po kilku chwilach.

– *Dlatego* zabijasz niewinnych mieszkańców Finfolk? – spytała. – Chcesz się zemścić na nich wszystkich?

– Ja zabijam? – prychnęła Wyrd. – Och, cóż... tak, można w ten sposób to rozumieć. Ale to nie moja ręka dokonywała czarów.

Zamilkła na chwilę, która rozciągnęła się w czasie. March zrozumiała, że królowa szykuje cios. I zadała go o sekundę za wcześniej, nim dziewczyna zdołała się na niego przygotować.

– Isel Bini – wycedziła Wyrd.



– To jakiś żart – jęknął Callen, niemal wypuszczając filiżankę z rąk.

Mimo protestów Piątka poczęstował funkcjonariuszy herbatą. Kot wściekał się, chciał ruszać na poszukiwanie March. Żaden z nich nie przyznał się jednak, co stało się z dziewczyną – nie ufali w dobre intencje Społeczności. Już samo to, że jeszcze ich o to nie zapytano, wydało im się

podejrzane. Być może tak naprawdę tylko ona jedna była teraz bezpieczna, póki jej nie znaleźli.

– Isel tego nie zrobiła – powiedział Callen. – Nie mogłaby. Wiem, że na pewno... – Spojrzał na Piątka, szukając poparcia, ale kot utkwiał czarne oczy w funkcjonariuszce.

– Wiedziałem – szepnął.

Callen z brzdękiem odłożył filiżankę.

– Co ty chrzaniysz?! Co wiedziałeś?!

– Spokojnie, panie Malloway – powstrzymała go Cloyce. – Teraz wszystko jest już wyjaśnione, nasi ludzie sprowadzą tu March Sky i będziecie mogli powtórzyć jej wszystko, co ode mnie usłyszycie. Nim wyjaśnię, skąd wiedzieliśmy, że to Isobel Bini zabijała mieszkańców miasteczka, zacznę od tego, jak to wszystko się zaczęło. Problem nie leżał bowiem w niej, ale w klątwie, którą na was rzucono.

– Wiedzieliście o niej – wycedził Callen – i nawet nie próbowaliście nam pomóc!

– Wiedzieliśmy, owszem, ale skąd pomysł, że nie próbowaliśmy? – Cloyce spokojnie popijała herbatę. – Potężny wybuch magiczny nie mógł nie zwrócić naszej uwagi. Bardzo szybko zrozumieliśmy, że maczała w tym palce Wyrd. Kto orientuje się w sytuacji Finfolk, z łatwością doda dwa do dwóch. Tyle że przebicie się do was nie było łatwe. Nie chcę tracić czasu na opowiadanie, ilu pokładów mocy musieliśmy użyć, żeby wreszcie przełamać barierę. Udało się, ale Dom Wiedźm chroniły dodatkowe czary. Nie mogliśmy się do was dostać, choć oczywiście wiedzieliśmy, że tu jesteście. Doniosła nam o tym agentka z Jaaru.

– Agentka z Jaaru – prychnął Piątek. – Niedorzeczne.

– Spotkaliście ją podczas targu zielnego.

– Ta baba z nosem jak jakieś ptaszysko?! – zawołał kot.

Cloyce zadarła własny, nieco przekrzywiony nos.



– Wątpliwy komplement, trzeba przyznać... – powiedziała. – Bądź co bądź, tak, ma pan rację. Ale nie tylko ona widziała was w Jaarze. Doniósł nam jeszcze pewien ogr, u którego wynajmuje mieszkanie pański ojciec. – Callen przewrócił oczami. – Wcześniej była też jeszcze jedna agentka, jest wróżką i...

– Zinwigilowała mnie – dokończył chłopak.

– Tak bym tego nie nazwała. March Sky jest od pewnego czasu śledzona, to prawda, ale nie mieliśmy zamiaru nikogo *prześwietlać*. Jest mnóstwo spraw, które usiłujemy zrozumieć.

Westchnęła, odkładając filiżankę. Nim wróciła do opowiadania, naląła sobie kolejną. Jej towarzysze stali za nią w milczeniu, jak dwa cienie gotowe, by w każdej chwili pojmać Piątka i Callena.

– Skoro nie mogliśmy dostać się do Domu Czarownic, zaczęliśmy badać inne użycia magii w Finfolk. Jediną aktywną czarownicą była Isel Bini. To nas zdziwiło, bo dziewczyna przecież nie miała magicznej rodziny. Szybko dotarliśmy do tego, skąd brała się jej siła.

– Od ferów – powiedział Piątek.

– Otóż to. Isel Bini spotkała jednego z nich.

– Przecież o tym wiemy – wtrącił Callen. – To Hypnos próbował się wkraść w jej łaski, żeby do nas dotrzeć. Obiecał jej kilka rzeczy, dał jej medalion...

– Przeklęty medalion – odparli razem kot i funkcjonariuszka.

Wiedźma uśmiechnęła się.

– Ma pan niebywałe zdolności detektywistyczne, panie Heksenson. Skąd pan o tym wiedział?

– O medalionie wspomniał sam fer, ale wielu rzeczy się domyśliłem. – Piątek uniósł głowę i zamachał ogonem. – March przecież mówiła, że Isel zachowuje się inaczej niż zwykle. Poza tym podczas rozmowy powiedziała, że gdyby mogła, zabiłaby te stare kobiety.

– To jeszcze żaden dowód! – uniósł się znów Callen.

– Samo w sobie nie – przyznała Cloyce. – Ale były inne symptomy mamienia.

– To, co widziałeś podczas odwiedzin w świecie astralnym – dopowiedział Piątek. – To była oznaka opętania. Wszystkie negatywne uczucia Isel skłębiły się i ją prześladowały, tworząc fantom. Pamiętasz, że widziałeś go na ekranie telewizora, a ja mówiłem tobie i March, że ekrany też są bramami.

– Ale ta cała Connor umarła przecież, zanim Isel dowiedziała się o magii – zauważył chłopak.

– Niekoniecznie – oznajmiła Cloyce. – To prawda, że świadomie zaczęła ją praktykować po kontakcie z wami, ale wszystko wskazuje na to, że fery już wcześniej zaczęły ją mamić. Nie wiemy, dlaczego do niej dotarły. Możemy tylko przypuszczać, że królowa dobrze rozeznała się w sytuacji March Sky, co przecież nie jest dla niej trudne.

– I zaczęła mamienie – dodał Piątek. – Fantom, który widziałeś, był już dość zaawansowany. Proces jego powstawania musiał zacząć się wcześniej.

Callen zapadł się w fotel. Myśli skłębiły się w jego głowie, łącząc w coś na wzór ścieżek, które nagle zaczęły się rozjaśniać i ukazywać mu prawdę. Mamienie, Hypnos, fantom, morderstwa. Zerwał się z fotela.

– Durniu! – zawołał w stronę kota. – Wiedziałeś o tym! Wiedziałeś, że on jest zdrajcą, i o niczym nie powiedziałeś! A teraz gdzieś się przeniosła, kto wie, czy nie do Aislingen...

– Co?! – Cloyce niemal zakrztusiła się herbatą. – Kto się przeniósł?!

– March Sky – odparł spokojnie Piątek. – Ale bez obaw. To... Wiedźma już go nie słuchała.

– Perkins, Hatcher! Natychmiast zgarnijcie ludzi i przenieście się do Aislingen, sprawdźcie ten trop! Tylko załatwcie... – Jej podwładna już zniknęła, funkcjonariusz

jeszcze został, z przerażeniem wypisanym na twarzy. Cloyce zaklęła. – Ona nigdy mnie nie słucha! Hatcher, załatwcie wszystko pokojowo. Nie chcemy wojny... Póki można ją jeszcze powstrzymać – dokończyła cicho, gdy i Hatcher zniknął.

Rozgniewany Callen stał nad Piątkiem, dysząc ze złości. Chciał udać się do Miasta Snów razem z funkcjonariuszami. Nie rozumiał, dlaczego kot pozostaje tak spokojny.

– Przeniosła się z Hypnosem – oznajmił Piątek.

– Tak, do jasnej cholery, z tym samym, który omamił Isel i kazał jej zabijać!

– Uwierz mi, skoro odkryłem sprawę Isel, to nie mylę się w pozostałych. Hypnos działał na polecenie matki, ale nie skrzywdzi March. Pomógł jej raz i pomoże znowu, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Nie byłabym taka pewna, panie Heksenson – odparła również zagniewana Cloyce. – Fery są zdradliwe i dobrze pan o tym wie.

– Zdradliwe? Ludzie też są zdradliwi. Ale fery potrafią też się zakochać. Nie uwierzycie, jak wiele mają z nami podobieństw.

*Zakochać się!* Callen rozluźnił zaciśnięte pięści. *Hypnos miałby zakochać się w March... albo ona w nim...?* Nie wierzył w to. Nie wierzył. Ale na samą tę myśl jego klatkę piersiową przeniknął chłodny dreszcz, jakby ktoś rozciął ją lodowatym mieczem. Hypnos nie mógł się w niej zakochać. Nie teraz, kiedy sam Callen... kiedy on nie zdążył jej jeszcze powiedzieć...



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

– Nie – szepnęła March, nie umiejąc się powstrzymać.

– Och tak! – Królowa nie kłamała. March nie wiedziała skąd, ale miała pewność, że tak jest. – I nie, nie dlatego, że do tej dziewczyny żywiłam szczególną niechęć. Jestem przede wszystkim praktyczna. Skoro wykorzystałam ją w jeden sposób, dlaczego Isel nie miałyby przydać mi się do jeszcze kilku rzeczy?

Napawała się każdym słowem, wiedząc, jak bardzo cierpi przez nie March. Przed oczami dziewczyny znów pojawił się Hypnos.

– Nie on. – Wyrd pokręciła głową, już nie kryjąc tego, z jaką łatwością czyta jej myśli. – Mój syn zrobił wszystko, co trzeba, ale realizacji tej części planu bym mu nie powierzyła. Nie upatruj jednak w tym wszystkim niczego wielkiego. Tak naprawdę chodziło mi o ciebie. Isel rzucała tylko czary, jeden po drugim, bo łatwo było mi zapanować nad jej duszą. Kryło się tam coś mrocznego, a ja lubię mrok. Bez trudu można z niego coś ulepić i wszystko jakoś szybciej w nim rośnie.

– Jak? – warknęła March. Tylko to ją obchodziło. Ból zamieniał się w gniew. Gniew, który mógł rozsadzać. A ona miała sposób, by go użyć. Ale jeszcze nie teraz.

– Bez trudu. Dziewczyna nie była głupia, ale słaba. Brzydka... duchowo, jak wy wszyscy... Cóż, w każdym razie nie trzeba mi było wielkiego mamienia, by kazać jej rzucać czary na tamte stare kobiety. Ty mi pomogłaś, bo to z twoich wspomnień i odczuć uformowałam sobie w głowie obraz Isobel.

Zachichotała, jakby faktycznie zabawa ludźmi sprawiała jej radość.

– To nie Hypnos ją mamił. Jeszcze nim się pojawił, ja sama zajęłam się jej umysłem. Nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje, nawet gdy już bardziej świadomie rzucała przekleństwa. Ale moja ręka wciąż ją prowadziła, aż do *końca*.

Błysnęły jej oczy.

– Nie mogłam pozostawić jej przy życiu – dodała po chwili namysłu. – Nosiła w sobie moją tajemnicę, a ja lubię zachowywać je dla siebie.

*Gniew.* Tylko tyle czuła teraz March. *Zniszczę cię.*

– Społeczność nie będzie wiedzieć, że za tym stałam, zwłaszcza że z naszego dzisiejszego spotkania nie wyjdiesz już żywa.

– Chcesz się przekonać? – March zabrzmiała, jakby rzucała władczyni wyzwanie. I faktycznie to robiła. Strąciła się zapachu na dalszy plan. Nic już nie mogło jej przeszkodzić.

– Oczywiście, że chcę, dziecko. Po to cię tu ściągnęłam. Mam dla ciebie propozycję.

– Nie potrzebuję żadnych twoich...

Gdy królowa uniosła dłoń, March poczuła dławienie w gardle.

– Obawiam się, że tej propozycji nie będziesz mogła odrzucić – ciągnęła ze spokojem Wyrd. – Słyszałaś już kiedyś o pojedyńku matek?

Nie pozwoliła March odpowiedzieć. Mocniej ścisnęła jej gardło.

– Oczywiście, że nie. Wiedz zatem, że to będzie dla ciebie wielki honor, zginąć w ten sposób. A dla mnie... cóż, kolejna wygoda. W oczach Społeczności będzie to wyglądać w porządku i żadni brudni ludzie nie wejdą tu, by wtrącać się w sprawy królestwa. Zabiję cię, jak należy, ale i ty dostaniesz... – Parsknęła śmiechem. – To zabawne,

doprawdy... Zupełnie jakby mogło to coś znaczyć. Ale tak, ty też dostaniesz szansę zabicia mnie. Zgadzasz się?

Dopiero wtedy opuściła dłoń, a March, charcząc, rzuciła:

– Zmiotę cię!

Zakaszła, czując się żałośnie. A mimo to moc płynęła w jej stronę. Z każdego miejsca, z nieba, z żywiołów, z aislingeńskiej świątyni. Z całej tej przeklętej krainy. Tak jakby magia w powietrzu chciała przełamać nienawistne zaklęcia, jakby chciała jej powiedzieć: „Jestem tu i należę też do ciebie. A ty przynależysz do tego miejsca”.

– Przekonajmy się – odparła Wyrd. – Moja widownio...

Wszędzie wokół zaczęły materializować się fery. Przybycie każdego zmieniało atmosferę, sprawiało, że gęstniała, stawała się nieznośna, ale w nozdrzach March osłabł zapach Wyrd, być może dlatego, że musiała się nim teraz dzielić z innymi. Odwracała głowę za każdym razem, gdy pojawiał się nowy skrzydlaty. Najpierw robiła to gwałtownie, potem, by nie zdradzać strachu, coraz spokojniej. Zobaczyła Leilę, na której twarzy w niezwykle sposób zadowolenie mieszało się z nienawiścią. Dostrzegła też Ilyę, opiekunkę Domu Gości, w którym March mieszkała w Aislingen. Zjawił się nawet Khonsu, dostoyny fer w purpurowej szacie, strażnik granic Miasta Snów. Wyrd musiała szykować ważne widowisko.

– Zasady są proste – oświadczyła. – Fery nazywają ten pojedynek walką matek, bo wierzymy, że nikt nie potrafi walczyć tak jak matki. Ja występuję jako matka tej krainy, ty jako... niech będzie, przedstawicielka ludzi. Niech wygra ta, która bardziej kocha swoją krainę. Khonsu?

Spojrzała na strażnika. Fer dźmierzył w dłoniach dwie ozdoby różdżki. Wolnym krokiem podszedł do królowej i wręczył jej jedną z nich, a drugą wyciągnął w stronę March. Dziewczyna pochwyciła ją nieufnie. Energia przepłynęła przez drewno i lekko poraziła jej palce. To była różdżka ferów.

*Zdradziecka* – myślała March. Bała się nią walczyć, ale nie miała swojego scyzoryka. Zresztą chyba nie wyciągnęłaby go na oczach wszystkich tych ferów, które i tak już patrzyły na nią szyderczo. Czuła ich pogardę, czuła też ich niepokój; aury ferów zdawały się zlewać w jedną energię, która z całą pewnością miała własnego ducha.

*I ja do niego należę.* March się wzdrygnęła. Ale taka była prawda. I jedyne, co jej pozostawało, to spróbować to wykorzystać.

– Jesteś gotowa? – spytała Wyrd, odsuwając się ku tronowi. Jej szata zajaśniała, zmieniając kolor. Przez kilka chwil migotała, aż pokryła się tak intensywną czerwienią, że przez chwilę wyglądało to, jakby królową zalała krew.

March skinęła głową. Była gotowa. Tym razem była. Przecież miała asa w rękawie.

Khonsu stanął na środku sali i ściągnął z palca jeden z licznych pierścieni. Gdy rzucił go w stronę podłogi, pierścień zawisł w powietrzu. Jego złota powierzchnia zaczęła się rozmywać, aż ustąpiła miejsca czystemu błękitowi. Potem pierścień rozrósł się, tworząc niewielki błękitny krąg.

– Nasz ring – zaśmiała się Wyrd. – Nim przestąpisz jego granicę, musimy mieć pewność, że masz w sercu tylko prawdę. Wiem, że ludziom zwykle jej brakuje, ale...

March nie dała jej skończyć. Bez wahania przestąpiła krąg. Nie wiedziała, czy ma w sercu prawdę, czy nie. Na pewno miała wściekłość. I wciąż pamiętała o mocy kryształu, która ją napełniła. Nic nie mogło jej teraz zranić.

Wyrd, zaskoczona, przez chwilę wpatrywała się w dziewczynę, jednak szybko również ruszyła w stronę kręgu. Nie mogła przecież pozwolić, by poddani mieli ją za kogoś gorszego od człowieka. Gdy oczy jej i March ponownie się ze sobą spotkały, przestrzeń poza kręgiem przestała mieć



znaczenie, rozplynęła się, a z zewnątrz dochodził jedynie głos Khonsu.

– Trzyście... dwanaście... jednaście...

Zdezorientowana March nie od razu zrozumiała, że odliczała. Gdy wreszcie to do niej dotarło, zacisnęła dłonie na różdżce.

– Dziesięć... dziewięć... osiem...

Najpierw spróbuje walczyć zwyczajnie. Nie będzie od razu używać sekretnej broni. Nie jest słaba.

– Siedem... sześć... pięć...

Użyje całej mocy ognia, całej mocy Słońca, mocy kryształu filozofów.

– Cztery... trzy... dwa...

Chwila. Tylko krótki moment.

– JEDEN.

Wyrd uderzyła. Nieznacznym ruchem ręki sprawiła, że March padła na kolana, w całym ciele czując ogromny ból. Obezwładnił ją, walczyła z chęcią, by krzyczeć. Ale знаła już to uczucie, umiała sobie poradzić. Ból mógł się zresztą przydać. Jeśli bolało, energia wzrastała.

Czując magię w brzuchu, który zdawał się eksplodować, przesłała energię do różdżki. Strumień mocy przypominającej promień słońca odbił zaklęcie Wyrd. Królowa uśmiechnęła się drwiąco, jakby właśnie na to liczyła. Nim ponownie zaatakowała, przeszła kilka kroków wokół krawędzi kręgu, wciąż kierując różdżkę w stronę March. Gdy ponownie ją uniosła, March była gotowa.

Tym razem z różdżki władczyni popłynęła fioletowa magia. Rozwarstwiła się, przypominając dwugłowego węża. Siła Słońca, która wystrzeliła znów spod palców March i wniknęła w jej różdżkę, zaczęła go poskramiać. Wyglądało to jak taniec dwóch przeciwstawnych sił, które na przemian odpychały się i przyciągały. Wreszcie Wyrd skierowała energię ku podłodze, gdzie obie się rozproszyły.

Twarze ferów migały przed oczami March, gdy poruszała się w rytmie nadanym przez przeciwniczkę. Skrzydlaci byli skupieni, choć każdy zdawał się wiedzieć, jak skończy się walka.

Królowa ponownie uniosła różdżkę, ale nie wypuściła z niej czaru. Zamiast tego osaczyła March swoją aurą. W umysł dziewczyny wdarły się obrazy z ostatnich miesięcy. Krew, poharatane ciała, bestia rodząca bestię, list od Isel. Śnieg, błoto, trumny.

– Próbujesz przed tym uciec, prawda? – usłyszała głos Wyrd, choć władczyni nie poruszała ustami. – Przed samą sobą. To żalosne. Ale pozwolę ci uciec. Od początku chciałam, żebyś uciekła. W śmierć. Dlatego rzuciłam klątwę, dlatego prześladowałam cię kolejnymi wizjami. Układałaś je sobie w całość; myślałaś, że więcej zrozumiesz? Dobrze wiesz, że mogę poplątać twój umysł, tak samo jak poplątałam umysł twojej matki.

Nienawiść sprawiła, że energia March buzowała, ale w jakiś sposób nie mogła wydostać się z jej ciała.

– Pozwól mi to skończyć – mówiła dalej królowa. – Wiesz, że mam nad tobą kontrolę, taką, jakiej ty nigdy nie zyskasz. Po co się opierasz? Ostatecznie jesteś półferinią, a wszystkie fery, które stąd pochodzą, muszą mi się poddać. Callen też się poddał. Hypnos doniósł mi o tym, czego poszukiwaliście w Puszczy Krzyków. Zadziałałam wcześniej, nie da się mnie pokonać. Bez trudu mogłam zabić chłopaka, gdy nawiedził astralnie twoją przyjaciółkę i przeraził go fantom utkany z lęków, którymi ją karmiłam.

March zobaczyła jaskinię. Jajo znów lśniło w zupełnym mroku, tak samo jak we śnie. I dobrze widziała, co w sobie kryło. Znała imię Wyrd.

– Ależ tak, mam nad tobą władzę – oświadczyła. – Mam ją... Ishelsaabhar.

Jej głos zabrzmiał jak wiatr, jak zaklęcie skierowane jedynie w stronę Wyrd. Nikt inny go nie usłyszał. Na twarzach ferów zgromadzonych wokół kręgu zagościło zdumienie. A potem ich władczyni upadła na ich oczach.



– Jednego nie rozumiem – powiedział Piątek. – Po co Wyrd miałyby zabijać te kobiety?

Callen zacisnął usta. Nie pojmował, jak kot mógł rozmawiać o tym tak spokojnie, zwłaszcza gdy March groziło niebezpieczeństwo. Ale może właśnie tego teraz potrzebowali? Spokoju.

– Usiłujemy to rozwikłać – oznajmiła Cloyce. – To tajemnica, która kryje się w tym miasteczku. Zapewne wszyscy słyszeliście o bestii z lasu, finfolskim potworze.

Obaj pokiwali głowami. Na szczęście Piątek darował sobie: „A nie mówiłem?”. Gdyby zaczął znów się przechwalać swoimi zdolnościami detektywa, Callen by za siebie nie ręczył.

– Wiemy, że potwór jest jakoś związany z Wyrd i z Jaarem. Dawniej na tych terenach działała nawet grupa wiedźm, które nazywały się Kowenem Bestii, choć nic nam nie wiadomo, by miały jakieś związki z Aislingen. Być może Wyrd próbowała obudzić potwora, składając mu ofiary? To ona sterowała rękoma Isel Bini, właśnie przez jej amulet.

Znamię diabła. Callen pokiwał głową. Nazwa nie kłamała.

– Po co? – ciągnęła Cloyce. – To jej sekret, podobnie jak to, czego chce od March Sky.

– Wyrd chce czegoś od March? – Callen uniósł wzrok na wiedźmę. – Nie próbuje się tylko zemścić lub...?

– Nie, oczywiście, że nie. Wyrd jest mściwa, co nie znaczy, że lubi tracić czas. Zwykle łatwo wykańcza swoje ofiary albo po

prostu traci nimi zainteresowanie. Z panem, panie Malloway, było inaczej, być może dlatego, że pański ojciec mógłby dziedziczyć tron. Ale o co chodzi z March Sky, nie wiadomo, zwłaszcza dlatego, że trudno nam powiedzieć, kim jest jej ojciec. Królowa coś w niej zobaczyła, coś, o czym pewnie wie tylko ona sama.

Piątek spuścił głowę, znów nad czymś rozmyślając. Callen mu się przyglądał. Jeśli kot wpadł na jakiś pomysł, to zostawił go dla siebie.

– Przypuszczam, że macie środki, żeby poznać prawdę, tak?  
– zapytał.

– Zgadza się, jednak bez waszej pomocy niczego nie wskóramy. Pokrótkie przedstawiając sprawę: Społeczność jest już znudzona zachowaniem Wyrd. Sądzymy, że teraz, gdy świat jest osłabiony po ostatniej wojnie, gdy nasz wróg... – Cloyce na moment zamilkła. – Dokonał tego, czego dokonał... Cóż... myślimy, że Wyrd coś planuje i trzeba jej w tym przeszkodzić.

– Szybko to do was dotarło – mruknął Piątek.

Cloyce zaszczyliła go jedynie przelotnym spojrzeniem.

– Będziemy was potrzebować – oświadczyła. – Czegokolwiek chce od was Wyrd, musimy się tego dowiedzieć, musimy dać wam ochronę, ale zdołamy to zrobić, tylko jeśli przyłączycie się do naszej misji. Elphamianie i Tirnanie już to zrobili.

Callen prychnął.

– To dlatego tirnańscy zwiadowcy próbowali nas zabić w puszczy?

– Panie Malloway. – Wiedźma pokręciła głową. – Oni nie chcieli was zabijać, to było działanie zwodnicze, jak to nazywamy. Nowa królowa Cienistej Krainy nie akceptuje poczynań Wyrd. Dowiedziała się o tym, że ktoś próbuje wykraść jej tajemne imię.

Chłopak poruszył się niespokojnie.

– Tak – dodała rozbawiona Cloyce. – Wiemy dużo więcej, niż pan sądzi. Niestety Wyrd też to wiedziała. Zdążyła ukryć swoje imię w nowym miejscu. Tirnanie towarzyszyli Aislingenianom w walce z wami, lecz tylko pozornej. Zresztą prawdopodobnie sama Wyrd wcale nie ma zamiaru was zabijać. Tamto w puszczy... przypuszczamy, że chodziło tylko o pewien straszak. I tu wracamy do punktu wyjścia: kim jest March Sky i dlaczego królowa Miasta Snów upatruje w niej tak wielkiego zagrożenia?



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Żrenice Wyrd zwęziły się niczym u gada, królowa zaczęła więc się po podłodze jakby w bólu, ale nie fizycznym, nie takim, który powodowałby krzyk. Syczała we wściekłości, pluła, próbując wyszeptać przekleństwa w stronę March, jednak straciła nad nią wszelką moc. Całe jej ciało wyginało się niemal w konwulsjach, napinała mięśnie i raz po raz spoglądała na dziewczynę z taką wściekłością, jak gdyby chciała ją pożreć.

March się uśmiechnęła. *Kto zna imię, ma władzę nad tym, który je nosi.* Nieważne, jak potężną magią próbowałyby cisnąć w nią Wyrd, nie mogła tego zrobić. Bo teraz to ona, March Sky, rządziła całą jej magią.

Nawiedziło ją mnóstwo myśli, myśli, które satysfakcjonowały, wizji, w których mściła się na władczyni. Za swoją matkę, za Callena, za Isel, za każdego, kogo Wyrd zraniła... za samą siebie... I może gdyby nie rozmowa z siostrami Malloway, wykorzystalaby swoją przewagę, zniszczyłaby królową ferów, a wraz z nią całe Aislingen.

Ale rozmowa się odbyła. I March wiedziała lepiej.

– Wstań – rozkazała. Królowa z całą mocą próbowała oprzeć się rozkazowi, ale podniosła się, dysząc i charcząc. Choć wciąż była idealna, połowa jej piękna odeszła, zastąpiona zmęczeniem i gniewem wstrząsającymi jej aurą.

March myślała, że czekała na tę chwilę, spodziewała się, że będzie się nią napawać. Nie było tak. Słabość władczyni ani trochę jej nie cieszyła.

– Myślisz, że cię zabiję? – spytała. – Nie jestem taka jak ty!

– Je-jesteś – wysapała królowa. – Sła-absza, ale... – Krzyknęła, jak gdyby obelgi skierowane w stronę March sprawiały jej ból. – Ale tak... podobna! – warknęła niczym rozjuszony pies.

– Przestań – rozkazała March. – Mów normalnie, zachowuj się normalnie, bądź taka jak zwykle.

Choć oczy Wyrd wciąż zdawały się miotać piorunami, królowa w pełni się wyprostowała i stanęła dumnie przed dziewczyną.

– Masz cofnąć swoje czary – oświadczyła March. Od początku wiedziała, co rozkaże królowej, gdy przyjdzie na to pora. – Moja matka ma odzyskać pamięć, magia Callena ma zostać odblokowana, z jego ojca też masz zdjąć klątwę.

Nie wiedzieć czemu, Wyrd wydawała się nagle usatysfakcjonowana.

– Mogę spełnić tylko jedną z twoich próśb – oznajmiła. – Nie mam władzy nad klątwą chłopaka, a jego ojciec został związany prawami Miasta Snów, których nawet mnie nie wolno obejść, inaczej Aislingen i wszystkie fery z naszej krainy zostaną zniszczone.

– Sądysz, że mi na tym zależy? – prychnęła March z nadzieją, że brzmi tak, jakby jej nie zależało.

– *Wszystkie* fery – dodała władczyni dla pewności. – Również Isinbir, którego chcesz uratować, również częśćka ciebie i częśćka Emeraldy ...

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, słysząc o tym. Od dawna szukałam sposobu, by to w sobie zabić.

– *To?* – zaśmiała się Wyrd.

– Ciebie, twoje królestwo, zmyć z siebie hańbę bycia w połowie jedną z was!

Usta władczyni zadrżały.

– Hańbę bycia jedną z nas? – powtórzyła. – To twoja krew zhańbiła Miasto Snów. I przestań udawać, że to ci się nie



podoba. Magia, potęga, bycie nie kimś innym niż człowiek, lecz kimś większym. Bez naszej krwi nigdy byś nie była tym, kim jesteś, nigdy byś tu nie dotarła, by stawić mi czoło, bo żadna zwykła wiedźma...

– Cleto Malloway – przerwała jej lekko March. Strach, który żywiła w stosunku do władczyni, całkiem opadł, gdy zawładnęła jej imieniem. Było to trochę jak przejmowanie kontroli nad koszmarem. – To ona uknuła sposób, żeby cię ostatecznie pokonać. A teraz twoja moc jest w moich rękach, a ja nakazuję ci oddać przeszłość mojej matce i ściągnąć z całego Ffolk koszmar.

– Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz? – odrzekła królowa.  
– Wy, ludzie, o wiele bardziej kochacie swoje sny i ułudę od prawdy. Dobrze się zastanów, bo to, o co prosisz, będzie mieć swoją cenę.

– Chcesz stawiać mi warunki? Ty mnie? – wycedziła March.

– Wiem, że niszczenie ładu leży w waszej najgłębszej naturze, ale wszechświat pozostaje nieubłagany. Prosisz mnie, bym użyła prawdziwie potężnej magii, a ja, owszem, potrafię tego dokonać, lecz nie wolno robić mi tego za darmo. Gdyby coś takiego jak ty mogło używać tajemnych imion do woli, świat zostałby unicestwiony.

Przez krótką chwilę March milczała, wahając się. Królowa kłamała czy nie? Czy poznawszy jej imię, potrafiłaby zajrzeć w jej umysł?

– W takim razie... – zaczęła tonem zdradzającym niepewność, co Wyrd natychmiast wykorzystała.

– Musisz mi coś przysiąc.

– Ja nie przysięgam – odrzekła chłodno March.

– Szkoda, bo magia to przysięga. Używanie czarów jest jak składanie przysięg wszechświatowi, raz po raz. Bez tego nie zdołam nic zrobić, choćbym chciała... choćbyś mnie zmuszała. Nie będę w stanie.

March miała ochotę cisnąć w nią zaklęciem. Dlaczego nawet w takiej sytuacji Wyrd umiała przejąć nad nią kontrolę?

– Czego chcesz? – spytała z pogardą.

– Tylko tego samego, o co Król Słońce poprosił Matkę Ziemię – odparła władczyni, a na jej twarz zaraz wpełznął złośliwy uśmiech, kiedy na twarzy March zobaczyła niezrozumienie. – Cóż, a więc nikt ci nie opowiedział tej historii? Cała magiczna wiedza opiera się na umiejętnym opowiadaniu historii. Wyřęcę twoich kiepskich nauczycieli.

Westchnęła i zaczęła opowiadać, a gdy to robiła, March czuła, jak zмага ją ten dziwny, hipnotyczny stan. Sądziła, że Wyrd znów próbuje z nią swoich sztuczek, ale tym razem nie mogło jej się udać.

– W dawnych czasach Król Słońce, mężny i młodzięncy, palił Ziemię swymi promiennymi łukami. Matka, w obawie o swoje dzieci, myślała nad sposobem, by temu zaradzić, a jako że była biegła w magii, skradła część promieni Króla i uwięziła je w lustrze, które potem rozbiła, a odłamki włożyła w potężnego, ulepięnego z gliny węża. Potwór zaatakował Króla i śmiertelnie go ranił.

Jej oczy rozbłysły radošnie, językiem musnęła wargi, jakby widziała umierające Słońce i cieszyła się z tej śmierci.

– Matka Ziemia nie mogła zabić Króla, gdyż jej dzieci wciąż go potrzebowały. Jednak gdy leżał zmożony trucizną palącą jego członki i wywołującą niewyobrażalny ból, Ziemia obiecała mu pomoc, choć tylko pod warunkiem, że zdradzi jej swoje imię. Król, zmuszony go spełnić, wyszeptał jej pieśń swej tajemnej mocy i zastrzegł, by nigdy nie użyła jej przeciw niemu. A ona, dla zachowania harmonii, musiała to zrobić. I tak stała się równą Królowi, a nawet od niego wyższą, lecz nigdy nie mogła użyć jego imienia. A ja chcę tego samego od ciebie. Chcę przysięgi.

– Przysięgi? – powtórzyła podejrziwie March.

– Że nie użyjesz mojego imienia przeciwko mnie. Jeśli mi tego nie obiecasz, nie cofnę czaru.

W oczach królowej czaił się podstęp. March doskonale go wyczuwała, choć ani odrobinę nie rozumiała. Ale jeśli Wyrd jej nie oszukała, to czy miała inny wybór? Nie, władczyni nie kłamała, teraz nie mogła już kłamać przed March, panią jej imienia.

– Musisz podać mi dłoń – dodała Wyrd, jakby już wiedziała, jaką decyzję podjęła dziewczyna.

Z poczuciem porażki March zbliżyła się do władczyni i wyciągnęła rękę.

– Jeśli czai się w tym podstęp... – zaczęła.

– Wszystko w magii jest mniejszym lub większym podstępem; to, co ty robisz, również – odparła Wyrd, chwytając jej przegub. March odruchowo próbowała się wyrwać, jednak wreszcie odpuściła. Władczyni uniosła różdżkę nad ich złączonymi rękoma i wypowiedziała inkantację: – Usłysz nas, niebo, usłysz nas, ziemio, usłyszcie, wszystkie siły wokół, zostańcie strażnikami świętej przysięgi. A gdybyśmy nie dotrzymały słowa, niech niebo się na nas zapadnie, niech ziemia przeklętą nam będzie, niech wszelkie moce dokoła pomszczą zdradę.

Z różdżki wyływała ametystowa energia, która wiła się wokół ich rąk. March nie czuła potęgi zaklęcia, ale same słowa wystarczyły, by ją przerazić. Była teraz już niemal pewna, że Wyrd ją przeklina, jednak magia zespoliła ich ręce tak mocno, że nie było sposobu, żeby je oderwać.

I potem do March napłynęła pewność. Królowa spełniła jej żądanie, cofnęła klątwy. Ale błoga satysfakcja wyrysowana na jej twarzy mówiła, że przyszło to z ceną, jakiej dziewczyna się nie spodziewała, jakiej być może nie będzie potrafiła znieść. A gdy świat się zatrząsł i odesłana z Miasta Snów,

przemierzając wymiar po wymiarze, wróciła do Domu Wiedźm,  
wiedziała, że wszystko się zmieniło.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Odetchnęła czystym powietrzem; mglisty smok, który ścisnął aurę Finfolk, rozplątał się. Wiedziała o tym, ale co z tego, skoro całą opanował ją niepokój? Uderzyła ją cisza, głębsza niż sama nieobecność głosów czy dźwięków. Zdawało się jej, że duch Domu Wiedźm znikł, powodując pustkę, na którą March nie była przygotowana. Wciąż ścisnęła różdżkę od Khonsu, a jej ręce się trzęsły, jakby dopiero teraz spóźnione ciało zaczęło reagować na wydarzenia z Miasta Snów.

– Callen? – próbowała zawołać, ale strach ścisnął jej gardło.  
– P-Piątek?

Rozejrzała się wokół. Gdy jej wzrok padł na podłogę, zobaczyła leżącego tam półnagiego, ciemnowłosego mężczyznę. Był odwrócony twarzą w stronę okna, a na jego biodrach spoczywał ręcznik. Z różdżką skierowaną przed siebie March powoli ruszyła w jego stronę. Uklękła i spojrzała na jego nieprzytomną twarz.

Krzyknęła, a może tylko zdawało jej się, że to zrobiła. Wiedziała, kim jest ten mężczyzna. Ove.

– Niemożliwe – szepnęła, odsuwając się. – Niemożliwe.

Kroki na schodach na moment ją otrzeźwiły. Gwałtownie odwróciła się w ich kierunku.

– March! – zawołał Callen, zbiegając z góry. W ręku trzymał pęk ziół, z których unosił się dym. – March!

Tylko tyle był w stanie z siebie wydusić. Patrzyła na niego jak na zjawę. Po tym wszystkim, co przeżyła, chłopak wyglądał w jej oczach zbyt zwyczajnie. Przecież zmierzył się ze

Spółecznością, przecież... myślała, że... tak, to było głupie, ale spodziewała się najgorszego.

– Dokąd on cię wziął? – spytał Callen, świdrując ją spojrzeniem przerażonych oczu. – Co się stało?

– To... to... – jęknęła.

Nagle chłopak rzucił się na nią i przytulił ją tak mocno, jak nigdy by się tego nie spodziewała. Było w tym uścisku coś, co przypomniało jej o Cleto. Dom na moment zapachniał lasem, tym bezpiecznym, pełnym dobrej magii.

– Muszę ochłonać – wysapała wreszcie March. – Ale co tu się wydarzyło?

Nim Callen odpowiedział, podszedł do okna i pochylił się nad Ovem. Ostry zapach ziół szybko wypełnił salon. Teraz, gdy zdawało się, że magia domu odeszła, wydawał się jedyną zaczarowaną rzeczą.

– Nie uwierzysz, March. – Callen pokręcił głową i odwrócił się w jej stronę. – Ja sam się w tym pogubiłem.

– Ale co się stało... Jak...? – March pomachała ręką. – Dlaczego to tak śmierdzi?! – zawołała. Skłębiony dym wdzierał się w jej nozdrza i im wyraźniej go czuła, tym bardziej gryzący stawał się zapach. Wszystkie jej zmysły zdawały się wyostrzać.

– To otrzeźwiająka – odparł Callen. – Powinna go oprzytomnić, ale... okay, chyba mu nie pomoże – stwierdził, gasząc zioła po prostu o dywan. – Po takiej magii musi chyba wybudzić się sam.

– Jakiej magii? O czym ty mówisz? – March coraz bardziej się niepokoila.

Callen posłał jej poważne spojrzenie.

– Chyba lepiej, żebyś usiadła.

– Nie, nie będę siadać! Natychmiast powiedz mi, co się stało!

– Nasze życie się zmieniło. Wszystko. Oni przewrócili je do góry nogami i nie wiem już, czy to dobrze, czy źle.

O ile March nie chciała siadać, o tyle Callen opadł na fotel tak, jakby nagle postarzał się o czterdzieści lat. Dziewczyna wciąż wbijała w niego oczekujący wzrok.

– Zaraz po tym, jak znikłaś, weszli tu przedstawiciele Społeczności. Spodziewałem się wszystkiego: że nas aresztują, że rzucają na nas klątwę. Ale nie, March, oni wcale nas nie ścigali.

– Jak to nas nie...

– Po prostu. Śledzili nas, to prawda, tyle że wcale nie mieli zamiaru atakować. Niepotrzebnie staraliśmy się przed nimi kryć. Wiesz, kto za...

Przerwała mu.

– Wiem. – Nie chciała słyszeć tego ponownie. Opanował ją chłód. – Co ze Społecznością?

Teraz i March usiadła. Callen spojrzał na różdżkę w jej dłoni.

– Czy ty masz... – zaczął.

– Walczyłam z Wyrd. Hypnos nas zdradził, nieważne.

*Nieważne.* Tak, było to teraz nieważne. Gdy tylko będzie miała okazję, chętnie się z nim zmierzy, chętnie pokona go tak, jak pokonała jego matkę. Na razie nienawiść była zbyt gorąca, żeby pozwolić jej o tym trzeźwo myśleć.

Callen jeszcze przez chwilę podejrzliwie patrzył na różdżkę. March odłożyła ją i przykryła poduszką.

– Więc? – ponagliła go.

Gdy opowiedział jej o szczegółach rozmowy ze Społecznością, długo milczała. Jej myśli były zbyt poplątane, więcej było w nich wątpliwości niż nowych rozwiązań. Callen unikał tematu Isel, rozumiejąc, że nie była na niego gotowa.

– Wierysz im? – spytała w końcu.

– Nie wiem, March. Oni chcą nas zwerbować, ale nie mieliśmy zamiaru się zgadzać, póki nie pogadamy z tobą. Ta Cloyce miała na ciebie zaczekać, tylko że ją wezwano, pewnie w sprawie Miasta Snów. W każdym razie na zachętę, żebyśmy



chcieli do nich dołączyć... Sama widzisz. – Callen wskazał Ovego. – Zdjęli z nas klątwy. Mnie zostawili tylko młodość. Oni nas potrzebują. Chyba sądzą, że masz coś, co pomoże im w walce z Wyrd.

– Kryształ – odparła krótko March.

– Co?

– Kryształ alchemików.

Callen uniósł brwi.

– Jak to? – zdumiała się March. – Niczego nie widziałeś? Nie wiesz, że go stworzyłam? Przecież musiałeś... Ej! Byłeś wtedy ze mną w kuchni, ty, Piątek i ten... *dupek*. I zaraz, gdzie kryształ jest teraz?!

Wstała i sięgnęła do kieszeni. To było dziwne. Wydawało jej się, że od chwili, gdy ujrzała xerion, wypełniał on każdą jej myśl, ale tuż potem paradoksalnie o nim zapomniała. A Callen najwyraźniej nie miał pojęcia, o co jej chodziło.

– Dobrze się czujesz? – spytał, za co ona zgromiła go wzrokiem.

– Oczywiście, że tak! *Stworzyłam* ten kryształ! On powstał i... i...

Urwała. Nie wiedziała, co dalej mówić. Nagle spłynęła na nią jedna myśl: *niezwyczajna magia*. To, co się stało, nie było wyjaśnialne w żaden sposób, który Callen mógł zrozumieć. Ona sama tego nie rozumiała. Tego można było jedynie doświadczyć.

– Okay – powiedziała powoli, znów zajmując miejsce. Znajdzie go. Jeszcze raz otworzy portal w kuchni. Wiedziała już, jak to zrobić. I wtedy udowodni Callenowi. By dłużej go nie niepokoić, westchnęła, zmieniając temat: – Więc chcesz mi powiedzieć, że nasz kot znów jest człowiekiem?

Mężczyzna przy oknie – March nie umiała już widzieć w nim Piątka, ale z nie mniejszym trudem myślała o nim jako

o Ovem – mruknął coś niezrozumiałego. Wcale się jednak nie obudził.

– Kiedy zdjęli czar, odebrali mu ostatnie kocie życie – oznajmił Callen. – No i zostało to.

March spojrzała znów w stronę Owego. Sądziła, że będzie musiała patrzeć długo, nim zdoła przyzwyczaić się do nowej sytuacji.

– Ale zmieniło się coś jeszcze – powiedziała. – Dom wydaje się jakiś... pusty.

– Społeczność objęła go swoimi czarami, więc magia domu się wycofała. Tak będzie bezpieczniej.

March pokręciła głową.

– Tak sądzisz?

– Nie rozumiem...

– Uwierzyłeś we wszystko, co mówiła ci Społeczność. Dlaczego?

Callen wydał się zmieszany.

– Musimy komuś wierzyć – stwierdził. – Musimy, inaczej będziemy zdani tylko na siebie, a ja mam tego dość, March. Wiem, że sami nie damy sobie rady.

– Nie mogę w to uwierzyć. Skazali cię na to wszystko, a ty tak po prostu...

– A mam inny wybór? – Callen wstał. – Sądzisz, że sobie bez nich poradzimy?

March wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Dotąd sobie radziliśmy.

– *Ty* najlepiej – zaśmiał się chłopak. – Nie mogę uwierzyć, że znów jej zwiąłeś. Jak?

Patrzył na nią z podziwem.

– Poznałam jej imię – odparła.

Na chwilę Callen zaniemówił.

– Słucham? – wyjąkał w końcu.

– Pojawiło się w którymś z moich snów, krótko po śmierci Isel. Szybko o tym zapomniałam, ale imię zapisało się jakoś w mojej podświadomości i w odpowiednim momencie go użyłam. Tak mi się zdaje.

Sądziła, że miał w tym swój udział kryształ, ale o tym miała zamiar mówić dopiero z Piątkiem. *Ovem*. W końcu to on pierwszy jej o nim opowiedział.

– Użyłaś jej imienia? March, to znaczy, że zyskałaś nad nią kontrolę!

– Nie ciesz się na zapas – mruknęła, po czym opowiedziała mu o szczegółach walki. Ove co jakiś czas mówił coś pod nosem. Miał teraz nieco zmieniony, głębszy głos. Wreszcie zaczął chrapać.

– Jeszcze chwila i się obudzi – uznał Callen. – Ale zaraz, chcesz mi powiedzieć, że obiecałaś Wyrd, że nie użyjesz jej imienia? To komplikuje sprawę.

March westchnęła. Nie musiał jej o tym przypominać. Ciągle miała przed oczami niepokojąco zadowoloną minę królowej.

– Za to udało mi się ją zmusić, żeby cofnęła klątwę – oświadczyła. – Cokolwiek miało to znaczyć. I chyba... – Zastanowiła się. – Chyba to czuję. Atmosfera jakby się zmieniła, prawda?

– Tak. Klątwa znikła, wyraźnie to czuć. Boję się tylko, do czego tak naprawdę doprowadziła Wyrd. Fery są podstępne i...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Dopiero wtedy March ze zdumieniem zauważyła, że – wbrew temu, czego się spodziewała – wejście do domu pozostało całe. Najwyraźniej funkcjonariusze naprawili je w nagłym przypływie uprzejmości.

Pukanie rozległo się po raz kolejny. Było niecierpliwe. Callen i March jednocześnie ruszyli w kierunku drzwi, ale dziewczyna stanęła przy nich pierwsza. Gdy je otworzyła, miała wrażenie, że dom się zatrzęsł.

– March. – Głos jej własnej matki, której przestraszone oczy spoczęły na twarzy dziewczyny, niemal wyrwał ją z ciała.

– Mamo – jęknęła. – Co ty...?

A wtedy Emma Sky opadła w jej ramiona. W ułamku sekundy March zobaczyła, jak jej młoda twarz pęka, poprzecinana setkami zmarszczek, ciemne włosy matowieją i zmieniają kolor na srebrny, ciało wiotczeje. Matka zaszłochała, coraz mocniej wtulając się w dziewczynę. A ona miała wrażenie, że cały świat zwała się jej na barki. Ból i strach zalały ją gwałtowną falą. Zapadała się, tracąc grunt i wszelkie podparcie, którego jeszcze do niedawna tak kurczowo się trzymała. Wszystko, co istniało, zaczęło znikać. Klątwa Wyrd dobiegła końca.

Ale koszmar zaczął się na nowo.





### Poznaj serię „Kroniki Jaaru” Adama Fabera!

Kate jest typową nastolatką. Mieszka u swojej ciotki w Londynie i wiecie spokojne życie. Pewnego dnia staje na progu tajemniczego sklepu pełnego czarodziejskich przedmiotów, od właścicielki którego otrzymuje *Księgę luster*. Dziewczyna rzuca miłosny urok na przystojnego Jonathana, lecz czar skutkuje zupełnie inaczej, niż by tego oczekiwała. Kate trafia do Jaaru, krainy zamieszkaney przez magiczne stworzenia.

Fion jest ferem, baśniową istotą. Jego stosunki z ojcem są coraz gorsze, więc w akcie buntu opuszcza dom, by odnaleźć przypisaną mu czarownicę. Wpada w ręce niebezpiecznej nimfy Erato i przez swoją naiwność wprowadza do świata magii wielki zamęt.

Tymczasem w Londynie ciotka dowiaduje się, że ze sklepu pani Selene zniknął magiczny kamień o potężnej mocy. Czy uda się go odnaleźć? Jak Kate, początkująca wiedźma, poradzi sobie w świecie Jaaru, mając u boku ekscentryczne fery i wyniosłego jednoroźca? I co tak naprawdę skrywa plan nikczemnej Erato?







# SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)  
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY](#)  
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY](#)  
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY](#)  
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY](#)  
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI](#)

[Polecamy również](#)